






15  
re  
VR







Digitized by the Internet Archive  
in 2025







# KAZANIA PRZYGODNE

II.



KS. PIOTR SEMENENKO

# KAZANIA

TOM CZWARTY

NAKŁADEM ZGROMADZENIA ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO  
W KRAKOWIE 1923.

KS. PIOTR SEMENENKO  
ZGROMADZENIA ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO

# KAZANIA PRZYGODNE

II.

ODBITO W Drukarni „CZASU” POD ZARZĄDEM LEOPOLDA WÓJCIKA  
W KRAKOWIE 1923.

Pozwala się drukować tom 3 i 4 kazań ks. Semeneki.

*Ks. Władysław Zapała*  
Przełożony generalny  
Zgromadzenia XX. Zmartwychwstańców.

Kraków, dnia 30 kwietnia 1923.

NIHIL OBSTAT

*Ks. Dr Jan Kanty Tobiasiewicz,*  
cenzor ksiąg treści religijnej.

L. 5206/23.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.  
Z książęco-biskupiego konsystorza.

Kraków, dnia 15 maja 1923.



*Ks. Wład. Miś,*  
kanclerz.

# KAZANIA

(OD 1858 DO ROKU 1881).





## TREŚĆ TOMU IV.

	Str.
XXIV. O wierze . . . . .	1
XXV. O nadziei . . . . .	10
XXVI. O miłości . . . . .	21
XXVII. Chrystus w Ogrójcu . . . . .	32
XXVIII. O miłości Ojczyzny . . . . .	44
XXIX.       "       "       " . . . . .	60
XXX.       "       "       " . . . . .	84
XXXI. O Ś. Stanisławie Kostce . . . . .	100
XXXII. O Bogach fałszywych . . . . .	117
XXXIII.       "       zmysłowych . . . . .	136
XXXIV.       "       rozumowych . . . . .	145
XXXV.       "       osobistych . . . . .	154
XXXVI. O Papieżu . . . . .	167
XXXVII. Mowa pogrzebowa po ś. p. Korzeniowskim . . . . .	178
XXXVIII. Papież jako podwalina Kościoła . . . . .	203
XXXIX.       "       "       "       wiary . . . . .	222
XL.       "       "       "       nadziei . . . . .	268
XLI.       "       "       "       miłości . . . . .	312
Dodatek: O stosunku Episkopatu do Papieża . . . . .	329
XLII. O prześladowaniu w Polsce . . . . .	351
XLIII. Do pielgrzymów polskich . . . . .	357
XLIV. Na cześć ŚŚ. Cyryla i Metodego . . . . .	360





## KAZANIE XXIV.

### O wierze.

(Miane w Ostendzie 1858.)

„Bez wiary niepodobna jest spodo-  
bać się Bogu“. (Do Żyd. XI, 6)

Najmilsi Bracia!

Nim przystąpię do wyłożenia wam tych słów Ducha św., tak ważnych, tak tajemnicą swoją ciężkich, tak skutkami swymi zbawiennych, pozwólcie że was tu naprzód mile w Panu przywitam, a razem Bogu podziękuję za to nasze spotkanie. Spotkanie zaiste nie bez zrządzenia Bożego! Tu, na obcej ziemi; choć całe życie nam jest obcą ziemią, bo daleko od domu niebieskiego; spotykamy się wędrowcy pańscy, na tej samej drodze, w tej samej podróży, do tego samego celu; a jednak wędrowcy nie jednakowi; bo jednym Bóg kazał o drogę pytać, a drugim ją pokazywać; jednym słuchać, a drugim nauczać; jednym być gorącymi, wytrwałymi, niezmordowanymi niczem zawodnikami w tej drodze, a drugim pokornymi, ale wiernymi i pilnymi przewodnikami. A w tem ani tamtych żadne upośledzenie, ani tych wywyższenie, ani tamtych wina, ani tych zasługa, ale spólny pożytek, spólne dobro i spólna pociecha; tak Bóg chciał, tak Bóg postanowił, tak dobrze być musi! tak musi być pięknie, mądrze, doskonale.

A więc dopełnijmy każdy naszego obowiązku. Wy pytajcie o drogę żywota, szukajcie, po wskazanej postępujcie — to wasz obowiązek; a my czynić będziemy co naszym jest obowiązkiem: drogę wskazywać, od błędnych bronić, strzedz od przepaści i od jaskiń zbójeckich, do celu prosto prowadzić, i dać

Boże razem zejść tam z wami. Czyńmy każdy co naszym jest obowiązkiem, a Bóg dopomoże!

Tak więc, najmilsi moi, spotkawszy się z wami w życiu na tej drodze doczesnej będę wam mówił o drodze do żywota wiecznego. A trzy są rzeczy każdemu podróżnikowi potrzebne:

- 1) Widzieć cel i drogę; lecz nie dosyć;
- 2) Pragnąć iść do celu tą drogą; lecz i tego nie dosyć;
- 3) Iść doprawdy.

Rozum wie, — serce pragnie, — woła idzie.

Tak i w drodze do żywota wiecznego. Wiara cel i drogę wskazuje; nadzieja iść tam pragnie; a miłość dopiero idzie.

Będę wam tedy mówił o wierze, nadziei i miłości. A na-przód o wierze. I dlatego zacząłem od owych słów Ducha św.: „Bez wiary niepodobna jest podobać się Bogu“.

O sprawco i dokonawco wiary naszej Chryste Panie, do Ciebie oczy podnosimy, a razem i umysł, i serce, i duszę. Ty nam spraw te oczy duchowne. Ty spraw w nas wszystko, Ty spraw i dokonaj tę wiarę świętą, bez której niepodobna podo-bać się Bogu, za przyczyną Najświętszej Dziewicy.

Zdrowaś Maryo.

---

Co nam mówić o wierze? tak może nie jeden powie. Alboż my to nie wiemy co wiara? Alboż my wiary nie mamy? Albośmy to niewierni? Żydzi może lub bisurmanie? Kraj nasz azali z wiary nie słynie? Kaznodziejo! Idź raczej tam do chłop-ków naszych, zajrzyj tam do kościołów naszych, tam pod strze-chy rodzinne; a zobaczysz jak tam rzewnie czczą Boga, jak tam się modlą, jak tam wierzą; jak tam wszędy szeroko i bujnie kwitnie nasza święta wiara katolicka! I ty nam chcesz tu mówić o wierze?

Kaznodziejo! doda drugi kto, roztropniejszy jeszcze od pierwszego, ty się mylisz, ty nie znasz kraju naszego, ty tylko na Zachód patrzysz; tam co innego. Tam wiara utonęła w wiel-kim potopie burzy społecznej; teraz na nowo się budzi; więc tam mówić o wierze; ale u nas nic podobnego, u nas nic nie utonęło, nic nie przepadło, nic się nie zachwiało; u nas wiara jak stała tak stoi. Ty się śnać jej nie dotknąłeś, kiedy nie wiesz jak silna ta wiara u nas. Poco tedy chcesz nam mówić o wierze?

A my na to: Doprawdy? Wiara, powiadacie, silna u nas, jak stała tak stoi? Doprawdy? Ach błagam, otwórzcie oczy, wy, wy sami lepiej patrzcie; bo ja tam widzę rzeczy, które z wiarą pospołu nie idą. Widzę i czuję to co i wy widzicie i czujecie, co świat cały spólczując widzi, widzę biedy, cierpienia, klęski, nieszczęścia; raz ponurą ciszę grobową, drugi raz jęki konania, i wołanie o ratunek do Boga i do ludzi; ale wesela, szczęścia, pokoju nawet, bezpieczeństwa, prostego wytchnienia wśród trudów i udręczeń, — nie, nie widzę. Ach! nikt z was tego nie widzi, bo tego niema. A dlaczego niema? Bo niema wiary i życia z wiary. Czemuż patrzycie na skutki tylko, a nie chcecie razem z innymi widzieć przyczyny? Niema, powtarzam, niema tego wszystkiego, bo niema wiary! I wy chcecie, abym wam o wierze nie mówił?

Posłuchajcie. To omyłka myśleć i mówić że u nas wiara należyta, silna, mocna, doskonała. To gorzka omyłka, która nam zagradza drogę nie tylko do tego, co sobie życzyć na tym świecie możemy; ach! bogdajby nasze nieszczęście z tym światem się kończyło, ale nam zagradza wejście do wiecznego szczęścia; i to jest, co nasze serce kapłańskie szczególnie porusza, to, co nas nagli i mówić nam każe.

A wiem do kogo mówię. Nie mówię do chłopków naszych biednych, o których wierze mi wspominaliście, nie mówię do prostaczków: nie mówię nawet do was, dusze pobożne, chyba dlatego, aby was do modlitwy poruszyć; ale mówię do was zli obrońcy niedobrej wiary, których może tu mało, może ani jednego; ale których dosyć i zanadto jest w kraju naszym, do was którzy mówicie, że u nas wiary pełno, wiary jak najlepszej, do was to mówię i powiadam w imieniu Boga: Nie mylcie się. Wiary takiej, jakiej Bóg wymaga, jeśli nie powiem, że niema, to z gorzka pewnością mogę powiedzieć, że mało, bardzo mało; ale bardzo, bardzo mało! A nam na gwałt takiej wiary trzeba, która czyni chrześcijan prawdziwych zapaśników duchownych, mężów i bohaterów Bożych; takiej, mówię, wiary, która cuda czyni, która świat zwycięża, piekło niszczy, niebo otwiera, która daje zbawienie i żywot, która jedna podoba się Bogu! Bez wiary niepodobna jest podobać się Bogu. Ach! takiej wiary nam potrzeba; tylko z taką wiarą i dla takiej wiary żyć warto i tylko taką zresztą żyć można; a bez takiej wiary,



bez wiary, mówię, zamiast co ma długo konać przy wolnym ogniu, lepiej od razu wrzucić do nicestwa.

Nie mamy wiary, przynajmniej takiej, przynajmniej tyle ile nam potrzeba, a potrzeba nam wiary, gwałtem potrzeba; więc cóż? Podnieśmy się i idźmy na jej znalezienie, i nie spocznijmy, póki jej nie znajdziemy. Nie lękajmy się, praca nie długa. Wiara sama wyjdzie na nasze spotkanie i szczerze szukającym wnet pokaże swoje święte i miłe oblicze.

Cóż tedy jest wiara? Oto pytanie. Wiara! słowo święte, cóż ono znaczy? Tak często ludzie biją się i wojują słowami albo o słowa. Gdyby wiedzieli nieraz co znaczą, tej wojny przynajmniej nie byłoby na świecie. Cóż tedy znaczy to słowo: Wiara? i pod tem wielkiem imieniem jakaż jeszcze większa świętość ukryta?

Krótką i prostą na to odpowiedź: Jest to przystanie rozumu na prawdę.

Lecz czyż to nie jest wiedza? powie mi kto, i słusznie. I jeżeli wiara podobnież się orzeka i opisuje jak wiedza, jakaż między niemi różnica? Tak zaiste, wiedza jest także przyjęcie tego, co prawdziwe dla umysłu. Ale prawdziwe przedstawia się naszemu umysłowi w podwójnej postaci, raz w swojej własnej, drugi raz w pożyczonej, i tym sposobem raz staje się wiedzą, drugi raz wiara.

Przykłady mamy pod ręką. Jesteśmy np. w Rzymie. Byliśmy w kościele św. Piotra. Widzieliśmy to cudo własnymi oczyma i w jego własnej postaci. A więc mamy wiedzę. Tygodni temu kilka słyszeliśmy tylko o tem, postać tych rzeczy była nam opowiedziana, była to postać pożyczona. Musieliśmy wierzyć, że tak wygląda Rzym, że taka jest postać św. Piotra, lub tej podobna. Była to wiara, wiara na słowo, na twierdzenie, bo owa postać pożyczona jest najczęściej słowem i twierdzeniem.

Wiara tedy, już w ściślejszem znaczeniu, jest to przystanie rozumu na prawdę, nie we własnej, ale w przybranej postaci; a ponieważ ta postać jest objawieniem, więc wiara jest to przystanie rozumu na prawdziwe objawienie.

Dwa są objawienia: przyrodzone i nadprzyrodzone. Kiedy mi człowiek mówi we własnem imieniu o rzeczy jakiejś, wiarę którą mu daje jest iście przyrodzona; ale kiedy mi Bóg mówi,

lub prawowity posłaniec Boży, wtedy wiara moja jest nadprzyrodzoną.

Otóż nam tutaj o tej ostatniej mowa.

Aby wiara ta była jak należy, człowiek powinien: 1) uznać nicestwo swego rozumu; 2) prawdę Bożą przyjąć jako prawdę Bożą i 3) przyjąć ją całą.

Pierwszy warunek: uznać nicestwo swego rozumu, to jest, uznać, że rozum jego nie może sam sobie dać wiarę, prawdę objawioną, nie może sam, o własnych siłach, dojść do wiary; ona, ta prawda Boża, to Bóg, to wiedza Boża, a prawda w nas to, co nam Bóg objawia.

Z jednej strony prawda Boża, z drugiej strony nasz umysł. Z ich połączenia owoc: wiara.

Wszakże to jasne i dalej tego dowodzić nie będę; bo i czego miałbym dowodzić? Że rozum nie jest sam prawdą, ani prawda sama rozumem? Wiem, że i to ludzie mówią, owszem to jest główny dogmat złej filozofii dzisiejszej; ale co mi tutaj do tej filozofii? Mówię do ludzi, którzy jeszcze do tego nie doszli, aby rozum głosili za prawdę, a prawdę za rozum, aby swoje widzimi się mieli za istotę rzeczy, swoją wolę za prawo, swoje namiętności za dobro, swoje chucie za cnoty, swoje głupstwo za rozum absolutny, swoje szaleństwo za mądrość Bożą. Dzięki Bogu, jeszcze się nie rozmnożył u nas ten rodzaj, i jeśli gdzie twarz taką spotkamy, możemy z politowaniem spojrzeć i pominąć, jeszcze nie jest tak niebezpieczna, aby z nią walczyć.

Ale co strasznego to ta gawiedź, która bieży za tymi szaleńcami! nibyto z ciekawości tylko, słucha i dziwuje się — ale słucha: i to straszne. Bo powoli odwyka od prostego rozumu, powoli przywyka do szaleństwa, powoli porywa i porwie je wir, i jednej chwili, niebaczni! nie postrzegłszy się nawet zacząną sami kręcić się i bełkotać jak i tamci. To straszne!

A więc do tych, do tych niebacznych nasza mowa. Do tych podnosimy ten głos poważny i silny, na samej podstawie wiary oparty: Dla Boga nie słuchajcie! Rozum ludzki jest nicestwem w sobie, prawda jest po za nim, a tą prawdą jest Bóg! Broń Boże co innego na to miejsce postawić, a najgorzej swój własny rozumek.

Widziałem niestety! i nieraz, i często, jak ludzie, jak chrześcijanie czynią; powiem com widział.

Każdy sędzi po swojemu. Każdy chce być, pozwala sobie być mędrszym niż prawda sama, niż Bóg i Kościół. Wielka tu wolność, ach, wielka swawola!

Skąd te błędne systemata i systemaciki, te uwidzenia rozumu, te mamidła fantazyi, które każdy sobie dowoli kuł i kuje i za istą prawdę sprzedaje. Lada młokos jakiś, skończył albo nie skończył szkoły, dotknął się albo nie dotknął książki, słyszał tam coś albo i nie słyszał, a już o wszystkim rozprawia, dowodzi, rostrzyga, wyrokuje: o człowieku, o duszy, o wieczności, o świecie, o Bogu, o prawdzie, o fałszu, o wszystkim. Rzeczy nad wyraz poważne, rzeczy trzykroć święte, rzeczy, które długie wieki w religijnem poszanowaniu trzymały, przed których majestatem klękały narody całe, on te rzeczy, niedorostek bezbrody, na swój język bierze, który ledwie co mówić się nauczył, i jednym tego języka zamachem ciska to wszystko na prawo i na lewo, do góry lub na dół, wywraca lub na nogi stawia, i dziwi się swemu rozumowi, kiedy my się dziwimy jego zuchwalstwu i szaleństwu. Czyż to nie smutny widok a czy nie prawdziwy? Taki potem podrośnie, ale zamiast przybywać mu rozumu, przybywa mu zuchwalstwa. Wtedy włązi na katedrę, chwyta za pióro doktorskie, uczy i pisze; mniejsza o to że kaleczy język nasz dostojny, jak skaleczył dostojniejszą prawdę; ale w tem bieda, że umysły przewraca, że inną młodzież do zuchwalstwa zaprawia, do szaleństwa równego swojemu popycha. I zaraza się rozszerza i dżuma śmiertelna raz wdarłszy się już bezkarnie grasuje i wypędzić się nie daje.

To zuchwalstwo rozumu, tak powszechne, jad tej zarazy tak się rozlał po powietrzu, że nawet wierzący — źle wierzący, ale z imienia mający się za takich — najniewinniej odzywają się z takimi pytaniami, uwagami, na które wiara wzdryga się ze zgrozy: a czemu Niepokalane Poczęcie, a czemu piekło, a czemu posty, a czemu i poco władza świecka Papieża, a czemu to, a czemu owo? I to wiara, i to wiara?

Pokaż mi rozum, z tych co rozumują, któryby z dziecinną prostotą ukorzył swe czoło przed prawdą Bożą. Jużci wiem, że są, i dzięki Bogu codzień ich więcej. Ale jakże ich jeszcze mało!

O człowieku dobrej woli, który mię słuchasz, wierzaj mi, wiary nam potrzeba, wiary prostej, żeby rozum przed prawdą Bożą miał się za nicestwo, wtedy tylko wielki, jasny, silny,

kiedy swoich uwidzeń się pozbywszy prawdę Bożą oburącz obejmie i łono swoje nią wypełni, tem większy, tem świętszy, tem dostojniejszy im bardziej siebie się zaprze, a z prawdą Bożą się złączy. Takiego rozumu, takiej wiary nam potrzeba.

Drugi warunek, żeby prawdę Bożą przyjąć jako prawdę Bożą, dla tego że prawda Boża.

Bo jeśli dlatego, że nam się podoba, och, wtedy nie przedstawiamy być zuchwałymi.

Znam i takich, niestety, wśród nas. Opiekują się prawdą Bożą. Powiadają, że ich nauka zgadza się z chrześcijaństwem, z Kościołem, że nie przeciwnego, nawet skrupulatni, ale nauka ich zawsze ich. Moja nauka. Przyjmują to co Bóg objawia dla tego, że to się im podoba, że się im zdaje prawdziwe, przypada do smaku, do ich widzimisię, do ich czucia. Właśnie to było prawidło główne tej sekty (i jest jeszcze, niestety) tej sekty z którą mieliśmy tyle do walczenia w naszym życiu. Towiański i jego zwolennicy zawsze ci za dowód prawdy i wiary przez nich przynoszonej dawali twoje własne czucie, które miało zadrzeć na ich objawisko i poczuć jego prawdę. Oni do czucia jak inni do widzimisię! Ale to wszystko jedno: to jedna i ta sama kuźnia, z której wychodzą wszyscy heretycy: Widzę, czuję, smakuję, a więc prawda! a więc Boża wiara!

Trzeci wreszcie warunek, aby wiara nasza była należytą to: przyjąć prawdę całą, oddać jej cały rozum. Tem, moi najmilsi, wszyscy grzeszymy, że tak nie robimy.

Ach ile czynimy co jest przeciwko wierze, i nie myślimy żeby to złe było. Nie mówię o grzechach z ułomności albo ze złości, ale mówię o grzechach z niewiary.

Ten nie idzie do kościoła, bo nie wierzy żeby to był grzech.

Ten nie pości — ten obmawia — ten uszy obraża a czoło mu się nie rumieni, bo nie wierzy, żeby to był grzech.

Przebieżmy wszystkie grzechy. Ach, czyż nieprawda, jaka niewiara?

Ale na co najbardziej zwracam uwagę to na tę nieszczęśliwą mieszaninę złego i dobrego. Zasady postępowania pół od Boga a pół od świata i szatana. Przykazania Boże i honor; zakon Boży i przyzwoitość światowa.

A jacy sami jesteśmy tak i wychowujemy. Wychowanie szczególnie należy do wiary, bo w wychowaniu wszczepiają się



zasady, i zwykle taki człowiek jakie jego wychowanie. A jak wychowujemy? Czy pierwszą myśl zwracamy do Boga? Czy pierwszą miłość, pierwsze uczucie serca dla Boga i dla Chrystusa: pierwsze wesele dla Jezusa dzieciątka, pierwszy smutek dla męki i śmierci Jego? Jak przygotowujemy tę duszę dziecięcą do spowiedzi, do komunii? Czem pasimy ten umysł młodociany? Ach, czy nie pierwszy ojciec mówi o głupstwach światowych, czy nie pierwsza matka o próżnościach serca? Przynajmniej jeśli nie słowem to przykładem, i tem nieszczęściem, że przykładem, bo jeden przykład to więcej niż sto słów! A wiecie co Chrystus o takich powiedział: „Biada człowiekowi przez którego zgorszenie przychodzi. Przyjdą na świat zgorszenia, ale biada człowiekowi: lepiejby mu było aby mu uwiązano kamień młyński do szyi i utopiono w głębi morza.” Czy to słyszysz ojcze, matko! Ach, jakże wasze straszne potępienie!

Powiecie, że tak nie jest. Jużei wiem, że to złe ostatnie, najgorsze, nie jest powszechne. Ale co to znaczy: że wszędzie napotykam mieszanię złego i dobrego, zasad światowych obok zasad niby z wiary pochodzących. Co to znaczy? To, że wiary niema. Prawda jest cała i nie może się dzielić z nieprawdą. Prawda jest cała i musi panować cała, przez wiarę. Panowanie prawdy jest niepodzielne, wiara jest niepodzielna. Jeżeli wiarę dzielicie z niewiarą, jużecie wiarę całkiem stracili. I powód bardzo prosty. Albowiem wiara to prawda Boża. Dlaczego tę prawdę przyjmujemy naszą wiarą? Dlatego że od Boga. Ale ona od Boga cała, każda jej cząstka nosi na sobie ten sam charakter Boży. Więc wszystko trzeba przyjąć. Kto rwie najmniejszą cząstkę ten Boga w niczem nie widzi: ten wszystko drze i niweczy. Że prawda i wiara od Boga pochodzi, łatwo przyjmują wszyscy i wyznają i idą za tem. Biorą prawdę i wiarę od Boga. Ale całą? całą? Ach, gdzie ten mąż rzadki? gdzie ta dusza wybrana? gdzie i kto?

Niech ten głos nie przebrzmi! Bądźmy synami wiary, wyznawcami wiary, ale całej, całej wiary i jedynej wiary.

Patrzcie, oto człowiek wiary!

Innych kołatają niepewności: nie wiedzą skąd wyszli i dotąd idą; blakają się w ciemnościach. Człowiek wiary w ciemnościach nie chodzi, jemu przyświeca światło wiary, jasne, czyste, po-



godne, niebieskie światło wiary. A choć mu wewnątrz przyświeca, całego go jednak światłym czyni, przebija się na zewnątrz, i po całej postaci rozlewa jakąś jasność nadludzką.

Człowiek wiary wie cel do którego zdąża. A jak prosto do niego idzie! Nic go zdrożyć nie zdoła. Lekką ręką odpycha mamidła i pokusy, śmieje się z sideł i zasadzek, przeskakuje przeszkody. Nic go nie wstrzyma.

Jak pewny! jak silny! Życie w nim i do życia idzie.

Ale nie osobiście tylko. Coby to był za widok całego kraju takiego, kraju wiary? Jeszcze taki widok w całej doskonałości nie rozweselił ziemi. Czekają na niego wieki, ale mamy wyrocznie, że kiedyś jednak przyjdzie. „I będzie jedna owczarnia i jeden pasterz.” Ale pierwszym warunkiem jest jedność wiary. Prawda, mówi Chrystus Pan: „Syn człowieczy przychodząc czy myślisz, że znajdzie wiarę na ziemi?” Więc nie znajdzie, albo tak mało jej będzie, że wątpić trzeba będzie czy jest. Ale przedtem jeszcze wiara zakwitnie, będzie jeden pasterz i jedna owczarnia. A i wtedy wiemy, że będą zapaśnicy wiary niezłomni w onym ostatnim boju. Ach, komuż bardziej niż nam wziąć się sercem całym dzisiaj do rozszerzania wiary, aby potem zasłużyć na to, by być ostatnimi jej zapaśnikami.

Nie darmo nas Bóg przeprowadza przez biedy i cierpienia, przez ogień i wodę, przez mękę i śmierć samą; czyni jak z dziećmi ulubionymi, aby nas oczyścić i oczyszczonych użyć za narzędzie miłosierdzia swego. Zrozumiejmy drogi Boże. One nas koniecznie do Boga prowadzą. Wstąpmy już raz na nie dobrowolnie, wielkiem sercem i zacznijmy iść po niej. Ale pierwszym warunkiem wiara; w niej światło, w niej siła, w niej moc stąpania po tej drodze. O najmiłsi, jaki to będzie widok miły, kiedy nas opromieni całych światło wiary; kiedy rzucimy z siebie postać świata tego i przemienieni będziemy jak Chrystus na górze Tabor. Wtedy zstąpimy na pole walki, inaczej silni, pójdziemy na mękę, pójdziemy na śmierć, bo nas czeka zmartwychwstanie, bo nas czeka żywot wieczny.

## KAZANIE XXV.

## O nadziei.

(Miane w Ostendzie 1858 r.)

„Gdzie jest skarb twój, tam jest  
i serce twoje.“ (Mat. VI, 21)

Mówilem Wam o wierze, dziś mam mówić o nadziei.

Jeśli siedlisko wiary rozum, gdzież siedlisko nadziei? Tam gdzie siedlisko uczucia. A gdzie siedlisko uczucia? Każdy człowiek co czuje, rękę kładzie na sercu. W sercu mieszka uczucie.

Zaprawdę, rozum wielka, niezmierna władza w człowieku! Czegoż człowiek myślą nie obejmuje? Cały czas w jedną chwilkę ściska, bo w myśl jedną; całą przestrzeń w jeden punkt zamyka, bo i tę również w granicach jednej myśli; nieskończoność ogarnia, wieczność pojmuje, i jednej i drugiej wyczytuje i wypisuje prawdę; śledzi ustawy świata, bada głębinie ducha, odkrywa tajnie życia samego; już już rządzi światem, już panuje w duchu, już zdaje się że oładnie ostatnią tajemnicą życia; i jeśli tylko nie jest tytanem zuchwałym, ale synem pokory, tedy ten rozum poddaje wierze, a wiara do Boga samego rozum podnosi i pokazuje. Mu jeśli nie samo oblicze Jego trójświęte, tedy przynajmniej tę zasłonę uroczą, pod którą Bóg nam to swoje oblicze pokazuje, zasłonę, która to oblicze zakrywa wprawdzie, ale zarazem i wydatnem i pojętnem czyni. Taka jest władza rozumu. Boga samego dosięga, i obejmuje Go, dzisiaj wiarą, a jutro wiedzą i jasnym widzeniem.

Lecz serce, jakaż to druga władza w człowieku? Niech rozum sięga jak można najdalej, serce go jeszcze prześciga. Niechaj obejmie cały czas i przestrzeń, sercu tam jeszcze ciasno, nie dosyć mu na tem; niechaj zmierzy nieskończoność, temu nie dosyć; niechaj odkrywa wszystkie tajemnice i świata i ducha, sercu nie dosyć, nie dosyć, nie dosyć! Niech widzi Boga samego, sercu i tego nie dosyć! Sercu nie dosyć śledzić, wiedzieć, widzieć; serce wymaga więcej niż rozum; ono to wszystko chce mieć, chce posiadać; chce posiadać Boga samego, którego rozum tylko znać może. O! jeśli rozum wielki, jakże daleko większe jest serce. Jeżeli wielkości rozumu dziwi się

niebiosa i ziemia; wielkości serca dziwić się musi sam rozum z całą wielkością swoją.

W czymże tedy ta wielkość serca? W tem, że pragnie, że pragnie nieskończenie, i nie może się nasycić jedno Bogiem samym.

Ale taki jest porządek opatrny, że i rozum musi ustąpić z tego świata nie zobaczywszy ostatniej prawdy, i serce musi uciekać nie zakosztowawszy prawdziwej słodyczy, nie znalazłszy żadnego ostatniego używania. To wyrok i zakon istnienia dla wszystkich ludzi. Tu tylko wiara, tu tylko nadzieja; a tam, w niebie, dopiero widzenie, tam używanie. O człowieku! całe życie tę prawdę sprawdzasz, i codzień sam sobie i innym dajesz o niej dowody niezaprzeczne; jakże ci mogła przyjść myśl do rozumu i do serca, że ty na tym świecie możesz tych skarbów szukać, i łudzić się jeszcze, że je znajdziesz? Jakże ci mogła ta inna myśl przyjść do rozumu i do serca; żeś ty stworzony dla tej tylko ziemi? że z ciałem jak zwierzątko umierasz? a nie świeciła ci i nie świeci słonecznem światłem ta inna myśl tak oczywista: żeś ty dla innego, dla innego świata? I nie brzmiało nad uchem duszy twojej to słowo, którego jednego powinienesz słuchać, to słowo: Uciekaj stąd prędko! a nie zatrzymuj się tu na niczem! śpiesz się, śpiesz się: bo nie tu, ale tam twoje mieszkanie, twoja ojczyzna!

Ten skarb, to dobro, ten prawdziwy dom twój i dziedzictwo chcę ci dzisiaj pokazać, chrześcijaninie dobrej woli, a przede wszystkim, przede wszystkim chcę ci pokazać drogę do niego. Pokazałem ci jak masz wiedzieć i wierzyć, pokażę ci jak masz pragnąć i spodziewać się. Słuchaj mię, synu wiary, który masz być także synem nadziei; słuchaj o twoich prawdziwych skarbach. Aby się spełniło: Gdzie jest skarb twój, tam będzie i serce twoje.

Chryste Panie! Ty dopomóż przez przyczynę Najś. Twojej Matki.

**Z d r o w a ś M a r y o .**

Przedmiotem serca jest dobro — jak rozumu była prawda.

Dobro jest podwójne: przyrodzone i nadprzyrodzone; pierwsze doczesne, światowe, przemijające, drugie niebieskie, niezmiennie; jedno fałszywe a drugie prawdziwe.

Serce postawione jest wobec dobra. Samo w sobie dobra niema, niema czem siebie wypełnić. Musi go pragnąć, musi szukać, musi go chcieć posiadać. Taki jego zakon, taka natura serca.

Bo czyż serce ma w sobie swoje własne wypełnienie? Czyż potrzebuję dowodzić, że niema? Kiedym dowodził, że rozum niema w sobie prawdy i nie jest prawdą, był jakiś powód do tego. Mędrkowie nowocześni utrzymują ten bezrozum na korzyść rozumu. Ale kiedy o serce idzie, ciż sami mędrkowie nie są tak zuchwali. Bo i oni mają serce, i to serce często nędze gryzą, bole trawia, pragnienia pożerają. I zdarza się, że kiedy w dziedzinie rozumu czołem swem butnem niebo biją, w krainie serca po ziemi się czołgają i proch wargami gryzą i nie mogą powiedzieć: szczęśliwym! Więc też i nie mówią, że w sercu jest jego dobro i jego szczęście. Jedną chyba rzecz w rozpacz swę uczynić się odważają, powiedzieć, że serca niema, że serce jest coś niestwornego, co pod kategorye filozoficzne podciągnąć się nie da, a zatem wyrzuconem być powinno, że trzeba rozumem żyć nie sercem, że ten mędrzec nad innych, który mniej ma serca, ten najwyższy który go zgoła niema! O mędrkowie! bądźcież sobie bez serca. My mamy serce, rodzaj ludzki ma serce, wy go sobie nie miejcie: nam nie do tego. My ludzie, my mamy serce i to serce powiada nam, że ono nie jest dobrem, niema szczęścia w sobie, że ono pragnie dobra, szczęścia, że całą siłą swoją wzdycha za dobrem i pragnie go, szuka. Dopiero wtedy szczęśliwe, kiedy się z niem połączy. A więc niema wątpliwości: dobra w samemże sercu niema! Owóż poza sercem dobro jest podwójne, jakieśmy powiedzieli: przyrodzone i nadprzyrodzone. Tu się otwiera dwójaki porządek rzeczy dla serca, dwójaki tudzież żywot. Biada mu kiedy pójdzie za pierwszym! Błogosławieństwo, jeśli za drugim!

Przypatrzmy się dobrze sercu ludzkiemu na tej rozstajnej drodze: przypatrzmy się, co się w niem dzieje, kiedy pójdzie drogą przyrodzoną, i jakim znowu być powinno, kiedy się podniesie nad przyrodzenie swoje. Ach, przypatrzmy się dobrze! W tej różnicy dopiero poznamy, czem jest nadzieja chrześcijańska.

Patrzcie! na drodze światowej, w życiu doczesnem, w porządku przyrodzonym rzeczy, serce ludzkie mało się bawi



w nadzieję, nie chce oczekiwać, nie chce spodziewać się, chce posiadać. Goni za chwilą obecną; całe zadyszane w lot łowi to dobro, tę rozkosz, to szczęście, które ledwie mu do rąk wpadnie, już dziś nie posiada, co dziś posiedzie, jutro już posiadać nie będzie. Posiada to niby w tej chwili, chociaż doprawdy nawet kiedy posiada, nie posiada; ale w każdym razie cały ten porządek przyrodzony obraca się koło posiadania; trzeba go nazwać posiadaniem, choć raczej nazwaćby go trzeba było cieniem posiadania, marą, widmem wciąż uciekającym, za którym goni pragnienie, nie mogące nigdy dogonić. Takie jest serce w porządku przyrodzonym.

Inaczej w porządku nadprzyrodzonym. Dobro nadprzyrodzone powiada: Czekaj! Serce ludzkie, ty chcesz dobra, pragniesz je, wzdychasz za posiadaniem; oto mię mieć będziesz, ale umieć czekać! Oddam ci się, ale dopiero w nagrodę za twoje długie pragnienie, za twoje wierne czekanie! Czekaj tedy i pragnij! A wiedz, że nie będziesz darmo pragnęło, ani darmo czekało. Nie będziesz darmo pragnęło, bo ja, dobro prawdziwe, jak ci się oddam, to ci się nie wydrę, jak Mię trzymać będziesz, dopiero będziesz szczęśliwe! Lecz i czekać nie będziesz darmo. Bo bądź pewne, że Ja ci się oddam; bądź pewne, że ciebie nie zawiodę, będziesz Mię miało, posiedziesz M ię, nasycisz się. Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą. Więc pragnij i czekaj! Pragnij mocno i czekaj wierne! A to pragnienie i to czekanie, i ta pewność, że cię ani jedno, ani drugie nie zawiedzie, jest znamię, które na ciebie kładę, jest gwiazda, która ci świecić będzie i nazywa się nadzieja!

Bracia najmilsi, teraz widzicie, co to jest nadzieja.

W porządku przyrodzonym stosunek serca ludzkiego do dobra, którym żyć chce, możecie nazwać posiadaniem, ale fałszywym; a posiadanie można orzec, że jest: Mocnem przystaniem człowieka do dobra obecnego, ale znikomego, a przeto fałszywego.

W porządku nadprzyrodzonym ten stosunek nazywa się nadzieją, a nadzieję nazwać można, iż jest: Mocnem przystaniem człowieka do dobra obiecanego tylko, ale prawdziwego i pewnego.

Oto na czem się zasadza i czem jest nadzieja.

Teraz widzicie, jak szeroko rozciąga się dziedzina nadziei, jak ona włada w sercu człowieka, jaką ona panią w całej jego istocie. Jak wiara zabrać powinna wszystkie jego myśli, tak nadzieja wszystkie jego chęci i pragnienia. Jak tamta była pierwszą, tak ta jest drugą królową życia; jak tamta pierwszą, tak ta drugą główną sprężyną, bodźcem, podstawą całego żywota ludzkiego. Jakże tedy ważną jest rzeczą, byśmy ją zbliżka poznali, i wiedząc, czym ona jest, poznali także, jaką jest, z jednej strony, co nam daje, a z drugiej, czego po nas wymaga, co rozkazuje, co jej dać powinniśmy. Przystąpmy do niej, nie lękajmy się. Jeśli wiary postać surowa, jej postać jest łagodna; ona nadzieja! na jej twarzy uśmiech, na czole światło błogie, w jej oczach pokój, pod stopami zieleność się rodzi, z ręki kwiaty padają, one się wkrótce przemienią w owoce — to nadzieja, to matka przyszłości, płodna matka szczęścia; o, przybliżmy się do niej. Jak ją blisko poznamy, to już serce nasze nigdy się nie odłączy od jej błogosławionego łona!

Główną rzeczą, którą wiedzieć mamy, jest to, iż nadzieja jest to słowo Boże. Jak wiarę zrodziło słowo Boże objawiające się, tak nadzieję słowo Boże przyrzekające; tam objawienie, a tu obietnica, ale jedno i to samo słowo Boże. Na słowie Bożem obietnica, na słowie Bożem nadzieja.

Jaka obietnica? Jaka nadzieja?

1-o. Że to jest jedyne prawdziwe, a wszystko inne (wszelkie dobra) fałszywe.

2-o. Że to pewne, a inne niepewne.

3-o. Że tego chcieć i pragnąć jedynie, a czego innego ani pragnąć, chyba dla tego.

Bracia moi, nad temi trzema rzeczami, proszę was, zastanówmy się dobrze.

1-o. Nadzieja chrześcijańska jedna daje nam dobro prawdziwe. A więc wszystkie inne odrzucić, pogardzić. I zaiste tylko to dobro, które ona daje, prawdziwe jest, tylko to jedno trzeba cenić. A jak przyjsć do tego? Rozmyślać; i to podwójnie: marność wszystkich innych, a prawdziwość tego. Rozmyślać, o jak ważna rzecz! Już starożytne doświadczenie wyrzekło: *Ignoti nulla cupido*. Czego nie zna, nikt nie pragnie. Trzeba poznać. To jest obowiązkiem. W tem poznaniu leży podstawa nadziei, punkt wyjścia, początek drogi.

2-o. Nadzieja chrześcijańska daje dobro pewne, daje pewność: oparte na słowie Bożem. A pewne dobro to tak, jakby się trzymało. Nie mając, mieć będziesz. To jest siła na drogę i opatrzenie. Bo będą pokusy; fałszywe dobra zwodzić będą. Jużemy niemi pogardzili, uważając za fałszywe; teraz odepchniemy, jako przeszkody do jedynego dobra pewnego. Tę pewność trzeba w serce wkorzenić, zważając, że to słowo Boże; a tak stanie się tarczą, wałem, murem, od napadów zdrady. O, jak łatwo je wtedy odepchniemy!

3-o. Lecz nie dosyć cenić wysoko dobro, a fałszywem wzgardzić; nie dosyć być pewnym tego jednego, a inne jako złe odpędzić; trzeba chcieć i pragnąć, i ten jest punkt środkowy; to środek, to korona, to samo serce nadziei: chcieć i pragnąć, a tem samem szukać, starać się, czynić! Powtarzam, to główna rzecz w nadziei. I tę chęć, to pragnienie, trzeba pielęgnować, podnosić, rozżarzać. A jak? Przez modlitwę. Bracia mili, proszę uważać: Trzeba modlić się, żeby Pan Bóg dał nam łaskę osiągnięcia tego, co nam przyrzekł, żebyśmy doszli do tego szczęśliwie. Trzeba prosić o to posiadanie. Trzeba prosić, trzeba modlić się. Przez prośbę, przez modlitwę objawia się chęć, pragnienie, i im modlitwa będzie usilniejszą, tem i chęć, pragnienie gorętsze. Modlitwa będzie chęć podbudzać, tak jak znowu chęć modlitwę rodzić; i serce nasze stawać się będzie coraz bardziej zdolne tego dobrego, które nas wtedy spotka nieomylnie. To trud, obowiązek nadziei i obowiązek najgłówniejszy, w którym się zamyka cała nadziei istota i życie.

A więc trzy są obowiązki nadziei: znać dobrze dobra nam przyrzeczone, cenić wysoko i wszelkie inne mieć za nic, a zafać temu dobru jednemu i odmieść wszelkie fałszywe, a nareszcie pragnąć i modlić się ciągle o nie. A szczególnie modlitwa. Bądźmy dziećmi modlitwy, a będziemy dziećmi nadziei.

Jakie jest to dobro, które nadzieja nam przyrzeka? Wyrazić to, jest nad wszelki język ludzki. Św. Paweł jedno tylko ma słowo o tem: „Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani w serce człowieka nie weszło, co Bóg zgotował kochającym siebie.“ Słuchajcie! Ani w serce nie weszło! A jednak w serce ludzkie ileż to wejść nie może! Świat cały je nie wypełni; wszystko co stworzone za małe; nieskończoność za mała. A jednak to dobro, które nam dała nadzieja chrześcijańska, w serce



człowieka nie weszło? Bo też Bóg jeden tem dobrem. I cóż dziwnego, że ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani w serce człowieka nie weszło? O serce ludzkie! otwórz twe głębiny nieskończone, natęż stokrotnie wszystkie siły twego pożądania, rozpalaj i jeszcze rozpalaj ten ogień nieugaszony, który wszystko na tym świecie pożera, i nasycić się nie może; o serce ludzkie, ty jeszcze nie dosięgniesz, ty jeszcze nie dosyć obejmiesz, nie dosyć jeszcze sił mieć będziesz, aby przycisnąć do twego łona to dobro, które cię czeka. Tak, nie dosyć, i trzeba będzie, aby to samo dobro podniosło cię do siebie, aby ci sił dodało. O serce ludzkie, takie dobro cię czeka, a ty? a ty o niem nie myślisz, ty go nie pragniesz, ty go nie szukasz? O serce ludzkie! jakież to obłąkanie twoje, jaka głupota, jakie nieszczęście! Prawdziwie zawołać trzeba z prorokiem: Oczy mają, a nie widzą, uszy mają, a nie słyszą, rozum mają, i nie rozumieją!

Ach, Bracia moi, spojrzyjmy i my na siebie i zobaczymy co się z nami dzieje? Czy i my też może mamy oczy a nie widzimy, uszy, a nie słyszymy, rozum, a nie rozumiemy? Proszę o chwilę jeszcze uwagi.

„Gdzie jest skarb twój, tam jest i serce twoje“, powiada Zbawiciel. Niechże każdy z nas rękę na sercu położy i powie gdzie jest skarb jego? Tu dopiero poznamy, czyśmy prawdziwi chrześcijanie. Rozum może udawać, może kłamać wiarę; ale serce nie umie zmyślać, nie uda nadziei, kiedy jej niema, nie pokaże pragnienia, które niem nie włada; nawet gdyby chciało udawać, wnet je zdradzi jego prawdziwe pragnienie i żądza ukryta tem jawniej wybuchnie. Więc i w nas nie znaków wiary szukamy, ale znaków nadziei chrześcijańskiej; ona i za wiarę odpowie. Pokaż mi u nas znaki chrześcijańskiej nadziei, a wtedy dopiero powiem, żeśmy chrześcijanie.

A gdzie one te znaki, gdzie nadzieja, gdzie życie całe podług nadziei chrześcijańskiej urządzone? Tego szukam, tego. I patrzcie, nie jestem wymyślny, nie przypatruję się tak bardzo z bliska, nie śledzę ostatnich zakątków serca, po wierzchu rzeczy biorę; niech mi, tylko ogólnie rzeczy biorąc, życie nasze odpowie głosem nadziei chrześcijańskiej, a rad będę, a Bogu podziękuję, a sam będę pełen otuchy i dobrej nadziei. Ale gdzie to, czego szukam? Patrzcie, zostawiam dzieciom ich igra-

szki; że młode serce jakie jeszcze w próżnościach się kocha, wybaczam, to może przeminąć; że dziecko jakie, choćby dorosłejsze, chce się popisać, otrzymać poklaski, zyskać marne nagrody, i to przebaczenia godne, jeszcze to student, poprawi się! że młodzieniec ze szlachetniejszym sercem, utopi je niebacznie w ideale jakim, oddając serce więcej niż się godzi, i myśli, że znalazł piękno i dobro, gdzie jutro będzie karykatura przed oczyma świata, a dzisiaj jest nędza moralna przed oczyma ducha; i to można darować, owszem, nad tem trzeba się ulitować i współczującym sercem zająć się tej niedoli; bo każde zaślepienie jest niedolą dla serca. Przeminie ono, albo się oczyści, jeśli tam tylko jest źródło szlachetne. To wszystko można wybaczyć, to się zdarza dzieciom, którzy jeszcze nie wiele skorzystali w szkole nadziei chrześcijańskiej; ale którzy jeszcze szkoły nie porzucili. Nauczą się, jeśli jedno będą dobrej woli. Więc to wszystko przepuszczam, to nie należy do naszego publicznego rachunku sumienia. Dzieci złe albo mniej baczone, mogą się jeszcze stać mężami roztroprnymi i mądrymi. Miejmy nadzieję o nich.

Ale kiedy mówię, że u nas nadziei chrześcijańskiej niema, mówię o tych, którzy już są w pełnym środku swego życia, którzy mu cel naznaczyli, którzy wiedzą czego chcą i pragną, którzy do tego wszelkimi siłami i środkami dojść usiłują; mówię o tych, którzy już wypłynęli na pełne morze życia, i wszystkie żagle rozpuścili, i ustawili swój kompas w wytkniętym kierunku, i bądź co bądź zapłynąć tam usiłują. O tych mówię. Oni stanowią to, co pod rachunek wziąć trzeba, oni stanowią życie nasze obecne, oni wpływają na życie przyszłych pokoleń, oni odpowiadają przed Bogiem, oni odpowiadają przed światem chrześcijańskim, przed Kościołem, i my za nich odpowiadamy. Jesteśmy wszyscy solidarni między sobą, odpowiadamy jedni za drugich — i dlatego trzeba nam się rachować i przed Bogiem i przed światem.

A więc patrzmy, Bracia najmiłsi, czego chcemy w życiu naszym, czego pragniemy, o co się staramy, dla jakiej nadziei żyjemy? O! tu otwieram przenikliwe oczy, bo tu mnie chodzi i o braci moich i o mnie samego. O braci, bo mi ich Bóg powierzył, o mnie samego, bo muszę dopełnić włożonego od Boga poselstwa, muszę wołać, muszę ostrzegać, muszę pokazywać,

abym potem mógł powiedzieć: Panie! mówiłem, pokazywałem, przestrzegałem. Patrz, oto ci usłuchali Ciebie, a tamci — sami sobie winni; nie mogą powiedzieć, że nie słyszeli, że nie wiedzieli.

Bracia moi, tak was uroczyście przed Bogiem pozywam, bo rzecz jest uroczysta. Tu idzie o to, aby życie całe nasze było dla Boga. Wszak widzicie, że o to idzie, kiedy idzie o nadzieję chrześcijańską. Więc patrzmy, czy tak jest. Cóż widzimy? Ach, bądźmy szczerzy, poco tu oszukiwać się, albo nie patrzeć, nie chcieć widzieć? Co to pomoże? Bądźmy szczerzy! Dla kogo żyjemy? Czego chcemy w życiu, czego pragniemy? o co staramy się? Gdzie jest skarb nasz, z którym, w którym jest serce nasze? Gdzie? Powiedźcie, dla Boga, powiedźcie! Ach, jeśli mi usta wasze może powiedzieć nie chcą, uczynki wołają na głos: Skarb nasz jest tu, na tym świecie. Tak! tu na tym świecie jest skarb nasz i jest serce nasze!

Bracie mój, jeden i drugi, pozwól, że zajrzę do twojego życia, bo tu mamy przed Bogiem wspólne rachunki. Nie będę się bawił z tobą, człowieku rozumu i nauki, któryś u nas jest gościem, i ty grzeszysz przeciwko nadziei, jeśli chcesz wszystko wiedzieć na tym świecie. Rozum powinien mieć także swoją nadzieję, jak i serce, tą nadzieją jest owe jasne widzenie oblicza Bożego w niebie. Biada rozumowi, jeśli to chce mieć na tym świecie, jeśli skarb niebieski chce mieć już na ziemi, bo go szal ogarnie, ciemności weźmie za światło. Ale dajmy mu pokój u nas. I ciebie nie zaczepię człowieku dumy i próżności światowej, którego cały skarb jest władza i przemoc nad innymi, który tem mniej się troszczysz o królestwo niebieskie, im bardziej się cieszysz królowaniem ziemskim. Nędzarzu, ach, jakiś ty biedny i nagi, u ciebie zgoła niema nadziei chrześcijańskiej; tyś zawczasu skazany na zatracenie razem z tym światem, który jest skarbem twoim. Dzięki Bogu, twój rodzaj jeszcze się u nas nie rozmnożył i nie rozgospodarzył, chociaż może nie nasza w tem zasługa; i wiem, że są tacy, jeżeli nie w rzeczy, to przynajmniej w pretensyi; ale dajmy im pokój. Idę do tego co jest oczywiste, jawne, powszechne; co zaprzęta wszystkie miejsca, zajmuje wszystkie chwile życia.

Więc do ciebie przychodzę, bracie mały czy wielki, bogaty czy ubogi; do ciebie który serce swoje utopiłeś w materyi.

Spotykam cię, mój Bracie, wszędzie, na każdym rogu ulicy, w każdym towarzystwie, w każdym domu, niestety, w samej świątyni i w domu Bożym. Czciecielu materyi! ty dzisiaj jesteś panem świata; myślę się świat jest twoim panem; ale to chcę powiedzieć, że dziś na świecie, ciebie tylko z pewnością wszędy spotkać można. Materya jest dziś panią świata i głównym grzechem jest cześć, ubóstwianie, bałwochwalenie materyi. A materya jest nieprzyjaciółką nadziei. Czyż i u nas nie tak? Powiedz, o czem ty myślisz, mój bracie, czego pragniesz, czem żyjesz? Podobno tylko o tem jak zjeść i jak wypić. Dbasz o to, żeby komora była pełna, zaglądasz a przynajmniej dowiadujesz się co się w kuchni dzieje, myślisz czy piwnica ma jeszcze dosyć zapasu, a do innych już z tobą nie pójde, żebym nie spotkał sromoty twojej. A choćby i nie było tego, tedy na czem schodzi całe twoje życie? Na staraniach o ciele! Czyż nie tak, powiedz mi, czyż nie tak? Więc ciało jest skarbem twoim; więc tam myśl twoja, pragnienie serca! Więc tam złożyłeś twoje nadzieje! Ach, czy wiesz gdzieś je złożył?

A ty, bracie mój drugi, ty także czcisz materję, ale w inny sposób. Ty chcesz być bogatym, zamożnym. O tem całe życie myślisz, jak grosz do grosza, jak majątek do majątku dodawać. Ile to często uczynków podejrzanej uczciwości, ile to często podstępów i zdrad, ile to często nawet jawnych niesprawiedliwości i krzyczących gwałtów, aby osiąść ten skarb twój, w którym jest serce twoje!

Cóż będę was wszystkich powoływać nieszczęśni czcieciele materyi? Ciebie, który w próżnościach i zabawach i marnotrawstwie; ciebie, który albo która w zbytkach i wystawie; ciebie, który w spekulacyach, ciebie, który w pieniąctwie, i w tysiąca innych sposobów serce wasze oddaliście temu skarbowi?

Gdzież u was chrześcijanin coby żył chrześcijańską nadzieją? Jużci są, wiem; ale jeśli ludzi wiary u nas mało, jakże daleko mniej ludzi nadziei. Posłuchajcie, odmaluję wam jaki jest człowiek nadziei chrześcijańskiej, potem mi powiecie czyście wiele takich widzieli.

Człowiek z nadzieją chrześcijańską w sercu, tylko do Boga ma obrócone serce, tylko jego pragnie, szuka. Niedba o rzeczy tego świata, stara się tylko tyle o nie ile potrzeba, ale ich nie



pragnie posiadać, nie szuka ich. Jeśli ma nad potrzebę, wtedy jawnie pokazuje czem jest. Wtedy używa dla siebie ile słusznie, ile Bóg przykazał, a resztę obraca na chwałę Boga i na dobro bliźnich. Człowiek nadziei nic na ziemi nie posiada. Jeśli posiada zewnętrznie, nie posiada sercem. Ach, jak dalekie jego serce. Pamięta co mówi Chrystus: „Niech się wyrzecz dom, ojca, matki, braci, żony i duszy własnej.“ To jest, niech nie posiada dla siebie, ale dla mnie i co chwila mi ofiaruje. Więc też patrzcie: Bóg mu odejmie co z tego, człowiek doczesny upada, ale człowiek nadziei już dawno z tego ofiarę zrobił; spokojnie znosi. Nic nim nie zakołata, nic nie wstrząśnie, nic nie obali. Żadna pokusa ani przystąpi do niego, bo niema za co go uchwycić. Żadna przeciwność nic mu nie podoła, bo niema o co uderzyć. Żaden gwałt, żadne prześladowania, nic mu uczynić nie może, bo niema co mu wydrzeć. Ach, jak szczęśliwy; on nic tu niema na ziemi! Ale to tylko połowa jego szczęśliwości. Człowiek nadziei daleko szczęśliwszy, on zdaje się nic nie mieć, ale on wszystko posiada. Posiada łaskę Bożą, posiada spokój sumienia, posiada potęgę woli dobrej, posiada cały majestat cnoty. Co za dobra! tu jeszcze na ziemi! Ale on posiada jeszcze wszystkie przyrzeczenia Boże, posiada drogę żywota, posiada żywot, posiada niebieskie skarby, już tu w zapowiedzi; posiada wieczne szczęście, posiada Boga samego, i jest bezpieczny Bogiem samym, niezachwiany jak słowo Jego, pewny jak Jego obietnice, silny jak moc Jego, spokojny, wesoły, szczęśliwy, jak ta łaska Boża, jak to dobro Boże, które mu jest przyrzeczone, i którego on jest, i wie że jest dziedzicem nieomylnym. O człowieku nadziei! niech spojrzę na ciebie z uwielbieniem, z upodobaniem, ze szczęściem. Na ciebie sam Bóg patrzy z wysokości, Chrystus Pan patrzy na ciebie, i On ma w tobie swoje upodobanie i swoje szczęście, i jak ty z twojej strony czekasz ziszczenia Jego obietnic, tak On czeka tej chwili, w której będzie mógł do ciebie powiedzieć: Pójdź tu błogosławiony Ojca mego, posiądź królestwo zgotowane dla ciebie od założenia świata.

O daj mi tych mężów świętego pragnienia, daj mi tych synów nadziei, a będziemy ludem wybranym, a będziemy narodem błogosławionych! Ach, cóż wam teraz powiem? Czy u nas wielu takich? Bądźmy my przynajmniej, ilu nas tu jest,

takimi ludźmi, bądźmy mężami pragnienia, bądźmy tymi synami nadziei. Uczyńmy sobie to szczęście, a Bogu tę pociechę, która się nie skończy na wieki wieków. Amen.

## KAZANIE XXVI.

### O miłości.

(Miane w Ostendzie 1858.)

„Jakom was umiłował, abyście się  
i wy społu miłowali“. (Jan XIII, 34.)

Mówiłem wam o wierze, mówiłem o nadziei; dzisiaj mam wam mówić o miłości. Wielka rzecz jest wiara, nadzieja większa: ale jakaż największa, jeśli nie miłość? Tak i do zbawienia potrzebna wiara, potrzebna nadzieja; ale bez miłości tamte nie nie pomogą; ani wiara, ani nadzieja nic nam nie dadzą bez miłości. To o niej woła prawdziwie boski apostoł Paweł św.: „Choćbym ludzkimi języki mówił i anielskimi, a miłościbym nie miał, stałem się jako miedź brzęcząca albo cymbał brzmiały. I gdybym miał proroctwo i znał tajemnice wszystkie i wszelką wiedzę, i gdybym miał wszelką wiarę, tak, iżbym góry przenosił, a miłościbym nie miał, niczem jestem“. Tak to miłość górę ma nad wiarą, że wiara niczem nie jest, gdy się z nią porówna. Ale też ani nadzieja; bo ciągnie Apostoł: „I gdybym rozdał na żywność ubogich wszystkie majątności moje (rozumie się dla nadziei wiecznej), i gdybym wydał ciało moje tak, iżbym zgorzał, a miłościbym nie miał, nic mi nie pomoże“. Nie, nic nie jest wiara cała, nic nie jest nadzieja sama, jeśli miłości niema. A zresztą ani wiara, ani nadzieja nie są wieczne, jedna miłość nigdy nie umiera. „Miłość, woła znowu Apostoł, miłość tylko nigdy nie ustaje: bo czy to proroctwa zniesione będą; czy to języki ustaną; czy wiedza będzie wyniszczona. Po części bowiem poznajemy i po części prorokujemy. Gdy zaś przyjdzie to, co doskonałe jest, ustanie to, co po części jest. Gdy byłem maluczkiem, mówiłem jak maluczki, czułem jak maluczki, myślałem jak maluczki. Gdy zaś stałem się mężem, porzuciłem to, co było maluczkiego. Widzimy teraz przez zwierciadło w zagadce, ale wtedy twarzą w twarz. Teraz poznaję po części, ale

wtedy tak poznam, jak sam poznany jestem. Teraz przeto zostaje wiara, nadzieja, miłość, trzy te rzeczy; ale największa z nich jest miłość“.

O tej największej rzeczy mam wam dziś mówić nareszcie, o bracia najmilsi. O wierze śmiało do was mówiłem, bezpiecznie mówiłem o nadziei; ale o miłości przychodzi mi mówić z obawą i ze drżeniem. Ach! bo wiem, że mi nie pomoże tu żaden język ludzki, nie pomoże ani anielski; choćbym je wszystkie posiadał, stałbym się tylko jako miedź brzęcząca, jako cymbał brzmiały; nie pomogą mi tu ani sztuka prorocztw, ani wiedza, ani umiejętność żadna, ani tajemnice żadne. To wszystko nie tu nie pomoże. Tu mi dziś potrzeba miłości. Jedna miłość może godnie mówić o miłości. O Panie, cóż pocznę? Panie, oto proszę Ciebie, daj mi w tej chwili tę rozkosz świętą do duszy, daj mi ją, proszę. Przez jedną chwilkę przynajmniej niech sam poczuję, co to jest miłość, i niechaj dam poczuć to samo tym najmilszym moim; niechaj i oni poczują choćby przez chwilę jedną, co to jest miłość, co to jest ta największa z rzeczy; największa: bo ty sam nią jesteś, o Boże miłości!

Proszę Cię o to, prosimy wszyscy razem przez przyczynę Najśw. Panny: Zdrowaś Maryo.

## I.

Siedliskiem wiary jest rozum; siedliskiem nadziei jest serce. Przedmiotem wiary jest prawda; przedmiotem nadziei jest dobro. Wiara łączy rozum z prawdą; nadzieja jednoczy serce z dobrem. Lecz co teraz miłość sprawować będzie? Gdzie będzie jej siedlisko? Jaki będzie jej przedmiot? Co z jednej, a co z drugiej strony łączyć będzie i między sobą jednoczyć? Czy jest w człowieku jaka inna władza prócz rozumu i serca, gdzieby miłość swoje mieszkanie lepiej założyła? Czy jest inny jaki przedmiot poza człowiekiem, prócz prawdy i dobra, któryby miłość godniej za przedmiot swego kochania wybrała? Oto pytania, Bracia mili, które naprzód wypływają z tego, cośmy wam o wierze i o nadziei wyłożyli; oto pytania, które następnie same się nam nasuwają, kiedy chcemy mówić o miłości. Trzeba nam tedy te pytania wprzód rozwiązać, abyśmy poznali i zrozumieli, co to jest miłość.



Prawda sama przez się, oderwana, samotna, nieżywa wcale nie istnieje; dobro takie samo, bezwładne, nieruchome, martwe nie istnieje także ale prawda i dobro istnieją w poznaniu i w woli Bożej, są osadowione w naturze Bożej, która je łączy i jedno stanowi, którem jednym jest Bóg sam, w Trójcy swojej osobistej wiecznie istny i żywy. Tak samo rozum sam przez się nie istnieje, zwierciadełko jakieś bez życia i ruchu, ani serce także nie żyje i nie pali się samo jakoby jaka góra buchająca ognie i dymy bez dna, z któregoby pochodziły; ale rozum i serce jest to władza poznania i władza pragnienia osadowiona w naturze ludzkiej, w duszy człowieka, która je sama łączy i w sobie jedno stanowi, a tem jednym jest człowiek sam, osoba ludzka, wiecznie jedna i nieśmiertelnie ta sama. Poza prawdą i dobrem jest tedy Bóg jako osobistość; poza rozumem i sercem jest człowiek, jego dusza także jako osoba. Tam tedy miłość mieszka. Miłości siedlisko jest dusza ludzka, jest osoba człowieka; miłości przedmiotem jest Bóg, Bóg w Trójcy swojej osobisty. I jak wiara łączyła rozum z prawdą, nadzieja serce z dobrem, tak miłość łączy człowieka całego z Bogiem, duszę ludzką z jej Oblubieńcem wiekuistym, trzykroć świętym i trzykroć miłości godnym.

A więc miłość jest stosunek osoby do osoby. A cóż się dzieje w tym stosunku? Tu mię posłuchajcie, Bracia najmiłsi, bo tu dotknę samego dna miłości i pokażę, czem ona tam jest na dnie samem. A więc w tym stosunku Bóg z dobrej woli daje człowiekowi byt, prawdę, dobro, wszystko, co ma, lecz nie dosyć; Bóg kładzie ostatnią pieczęć na dary swoje i niewymownem oddaniem się oddaje siebie samego; a człowiek ze swej strony przyjmuje wszystkie dary Boże, nie przeto mniejszy w miłości, że przyjmuje, bo przyjmując dary, może nie przyjąć dawcę i sam mu się nie oddać; więc człowiek ze swej strony w tym stosunku miłości, jak Bóg mu oddał siebie, tak i on siebie Bogu oddaje. Oddaje się cały, jak Bóg mu się oddał cały, daje wszystko za wszystko i Bóg wtedy staje się własnością człowieka, tak jak człowiek stał się własnością Boga; miłość ich równa jednoczy i jednego w drugiego przemienia. Z dwojga stają się jednym, o cud! o dziwo! o łasko niepojęta! Bóg żyje w człowieku, a człowiek w Bogu: co natura rozłą-

czyła od siebie całą nieśkończonością, to cudownie miłość zjednoczyła z sobą w jednym nieśmiertelnem objęciu!

Oto macie, Bracia moi, co to jest miłość, ten ostatni i najwyższy stosunek między Bogiem a człowiekiem.

Człowieku! poznaj prawo twojego istnienia; poznaj, czym jesteś, twoją godność i twoje przeznaczenie. Człowieku, ty jesteś ulubieńcem Bożym, stworzony dla miłości. Miłość twoim zakonem istnienia, potrzebą jedyną, życiem twojem. Ale nie byle jaka. Ach, nie, nie! nie ten świat, nie jego dobro, nie inne serca, nie inne dusze, choćby anioły cudowne, choćby istoty niebieskie, pełne zachwyty; nie, nie tak nisko, twoja miłość musi się wznosić; przeznaczeniem twojem kochać Boga samego. Człowieku, to poznaj, a dopiero wtenczas poznasz całą zagadkę twoją własną; to uczyn, a dopiero wtenczas dopełnisz i będziesz szczęśliwym. Ja ci chcę pomódz i abyś w jednym krótkim obrazie cały ten zakon obejrzał, zwrócę twą uwagę na trzy rzeczy:

1-e żeś nicestwo, ale nicestwo które Bóg kocha,

2-e że kiedy Bóg kocha i ty kochać powinienesz,

3-e że miłość zależy na oddaniu się,

W tych trzech rzeczach wszystko.

1-e. Człowieku tyś nicestwo! Trzeba żebyś naprzód to poznał. To podstawa. Nim przystąpisz do cnoty miłości, trzeba żebyś się do niej przybrał w szatę pokory. Więc poznaj, żeś nicestwo. Rozum nicestwo prawdy, serce nicestwo dobra; ale dusza, ale osoba sama człowieka to dopiero nicestwo: nicestwo życia, nicestwo bytu! Najmilsi moi! co nas oszukuje to to, że w naszym rozumie, chociaż nie nasza, jest iskierka światła, która oświeca; w sercu, także nie nasza, okruszyna dobra, która pociesza; i człowiek myśli że on coś jest, coś znaczy. Te dobra pożyczone, a wtedy raczej ukradzione, uważa za własność, myśli, że to on, i kocha się w tem nie — jego, i siebie w tem kocha, i tak kocha samego siebie. Patrzcie jakie błędne koło w którym się obraca miłość własna. Musi uważać siebie w tem, co nie jest swoim, co innego wziąć za siebie, aby kochać siebie. Bo samego siebie, takiego jaki jest. niepodobna aby człowiek kochał. Niechby tylko zdjął te przedmioty pożyczone, te cudze pióra, te szaty nie swoje, niechby spojrział na na własną nagość t. j. na własne nicestwo, co myślisz? czy

mógłby siebie kochać? A ja powiadam, że on nie widziałby nawet siebie. Takim jest nicestwem, że kiedy siebie widzi, to nie w sobie samym, nie widziałby siebie, widziałby ciemność tylko i zgrozę, i myślisz, że mógłby kochać siebie? O, zamiast kochania zadrżałby ze wstrętu i zajęczał z rozpacz i dopiero poznałby jak straszne jest nicestwem. Doprawdy, kto wytłómaczy miłość własną? Kiedy patrzę na miłość własną, zaślepienie jej pojmuję, obłąkanie pojmuję, szal pojmuję; ale dobrej wiary nie pojmuję. Zdaje mi się, że widzę trupa, że widzę martwy szkielet; na gołe szczęki wdział sobie maskę krasną, rumianą, malowanem życiem błyszczącą i patrzy na nią w zwierciadle, choć domyśla się, choć wie co tam wewnątrz, — i cieszy się, że tak piękny. O miłości własna ciesz się zdrowa i wmawiaj w siebie żeś ty naprawdę tak piękna, we mnie nigdy nie w mówisz, że tak wierzysz wewnątrz jak udajesz, że wierzysz, jakbyś chciała wierzyć i w mówić w siebie i w innych. Ty wiesz o tem, żeś sobie maskę włożyła, a ty sama żeś wewnątrz proch i nicestwo! O człowieku z miłością własną jakie uroczyście świadectwo składasz temu co tu mówię! Ty nie kochasz siebie takiego jakim jesteś, nie, ty kochasz kogo innego, kochasz postać jakąś urojoną siebie samego, ty kochasz maskę swoją! Dobrze robisz, bo wiesz, że sam w sobie ty jesteś straszne nicestwo.

Tak człowiek siebie samego kochać nie może jedno oszukując. Ale daremnie. Prędzej czy później maska zdarta będzie, przy śmierci koniecznie, i człowiek zostanie ze swoim nicestwem, i wtedy nie kochać już siebie będzie, ale nienawidzić, potępiać, i rozdzierać, i szarpać z rozpacz.

Pamiętaj tedy człowieku, żeś nicestwo i nie kochaj nigdy siebie a szczególnie maski nie wkładaj, którą zresztą tak nieszlachetnie kleić i patrzeć musisz i krasić z tych samych darów bożych, które ci Bóg dał, abyś Go kochał.

Ale pamiętaj zarazem, żeś nicestwo które Bóg ukochał. Ta jest pierwsza przyczyna dla której świat istnieje, ta równie dla której my żyjemy. Bóg widział, że z nicestwa może powołać istoty, które nie przestając być w sobie nicestwem, mógłby uszczęśliwić — i z miłości powołał je do życia. O nicestwo do bytu powołane pomnij szczęście twoje! Bóg cię ukochał, kocha i chce ci się oddać! Człowieku, to pierwsza rzecz, którą masz

wiedzieć, abys pojął miłość i przyszedł do miłości. Tyś nicestwo, ale nicestwo które Bóg kocha!

2-e. Ale teraz druga rzecz, a jak ważna! Kiedy Bóg ciebie ukochał, ty musisz kochać Boga. Ach jaka tu nędza! Dusza nie myśli o tem. Duszo! musisz! To na dnie twojem zapisano, to wyryte w głębokości, to rozlane po całej istocie. Tu głos Boga: Kochaj mnie, bo ja ciebie kocham prześladowuje cię duszo i pokoju nie daje. Darmo kochasz co innego, nie cię nie nasyci, nic nie zadowoli. A w samym zaprzaniu się, głos Boży ciągle woła, więcej niż do ucha, bo do sumienia: Duszo kochaj mię! ty mnie masz kochać! Za każdym nowym zawodem, głos na nowo odzywa się: Duszo, mnie kochaj! Bóg mnoży zawody, mnoży odczarowania, mnoży cierpienia, mnoży krzyże, i za każdym nowym ciosem coraz silniej woła: Duszo, kochaj mnie, mnie kochaj! Czasem zawiesi rękę karzącą, a dłoń pieszczącą wyciągnie, i przyciągając pociechę i łaskami woła czulej coraz i czulej: Duszo mnie kochaj! Ach kiedyż mnie kochać będziesz? I kiedy znowu dobrocie nie pomogą, na nowo ugodzi jakim razem: przyjdzie choroba, spadnie nieszczęście: już nie same zawody i odczarowania, ale kary, ale groźby. Patrz, to dla tego, że mnie nie kochasz; czemu, czemu nie kochasz? Nawet gdy nic nie pomoże, gwałt jakoby Bóg zadaje, szturm niejako przypuszcza; tak ją ze wszech stron osaczy, tak zabieży, a tak przynagli, że już niema dla niej innej ucieczki, oprócz łona tego Boga miłości, innego ratunku tylko upaść w jego otwarte objęcia. O szczęśliwa chwila, a często tak długo oczekiwana, tak długo zwlekana, w której Bóg może powiedzieć do duszy: A więc mnie kochasz! A dusza może odpowiedzieć: Panie, teraz już Cię kocham, ach czemuż tak późno otworzyły mi się oczy i serce i dusza!

Tak duszo, kochać koniecznie musisz. To sobie dobrze zapisz w sumieniu. Na to jesteś, abyś kochała; kochać musisz. A gdybyś miała nieszczęście aż do końca nie kochać, czeka cię kara, straszliwa kara, bo kara miłości. Piekło niczem innem nie jest, tylko miłością Bożą karzącą. Są ludzie co nie wierzą w piekło. Znam ich, są ci sami co nie wierzą w miłość Bożą. Nie wiedzą jak miłość kocha, więc nie wyobrażają sobie jak miłość karze. Miłość, która kocha, nie przyjęta usuwa się. Tak Bóg usuwa się, a razem z sobą zabiera swe dary, zdziera



maskę z duszy, zostaje nicestwo jej. Wtedy ten ogień, co miał palić się dla Boga, i karmić się Bogiem samym, zapala się we wnętrznościach wyrzutka i trawi jego samego. Ale nad wszelki ogień, i mękę, i cierpienia, sroższy, nieznośniejszy, straszliwszy będzie ten głos sumienia: Bóg cię kochał, a ty Go nie kochałeś! O człowieku, ktokolwiek jesteś, powiadam ci, że niema nic okropniejszego nad ten głos sumienia, jednym tętnem bijący przez wieczność całą.

3-e. Pamiętaj nareszcie, że kochać to oddać się. Miłość wymaga dwóch rzeczy, 1-e, żebyś szukał nie darów Bożych, ale samego Boga, 2-e, z twojej strony także nie darów ale samego siebie. Tego wymaga miłość doskonała.

a) Bóg chce, abyś Jego samego szukała, o duszo, Jego przyjmowała. Co kochającemu po tem, co Bogu po tem, że przyjmiesz dary Jego, a Jego nie przyjmiesz? To w oczach miłości jest zbrodnią. Jakto? Bóg się oddaje — Bóg! Siebie? a ty nie przyjmiesz? Iście zbrodnia! Przyjmiesz zdrowie, przyjmiesz dostatki, przyjmiesz dobre powodzenie, dobrą sławę, doby byt, i dziękujesz Bogu za to, takeś wdzięczna, tak ci się zdaje, że Boga kochasz! A niech ci tylko te dary Bóg odbierze, a zobaczmy czy Mu będziesz błogosławiła jak ów mąż Boży Hiob: „Pan dał, Pan wziął, niech będzie imię Pańskie błogosławione!”, i czy nie raczej serce twoje będzie wtedy pełne oburzenia i nie uczyni według rady żony Hiobowej: „O prostaczku! i ty pozostaniesz w twojej głupocie? Oto przeklnij Boga, przeklnij i umrzyj!” O duszo ludzka! ty nie wiesz, jakieś obrzydliwa przed Bogiem. Mówisz, że kochasz Boga, lecz ty kochasz te dary Jego; ty sama siebie kochasz, tyś samolub. I szatan ukochał dary Boże, ukochał siebie, a nie Boga, i w tejże samej chwili jak błyskawica spadł z nieba do piekieł, i tam wiecznie umiera, i wiecznie Boga przeklina, ojciec wszystkich samolubów.

Ach, to samolubstwo, tak obrzydliwe przed Bogiem, że cienia jego znieść w duszy nie może! I tu do ciebie obracam się, duszo pobożna. Porzuciłaś dary doczesne, ale szukasz darów duchownych; szukasz światłości Bożych, szukasz pokarmów serdecznych, zadowolenia, pociechy duchowej; i męczysz się i cierpisz i niespokojna jesteś, gdy ich nie masz. Ach! bo i ty także szukasz darów, nie dawcy, i ty szukasz jeszcze siebie, nie Boga. Jeszcze nie wiesz, co miłość, jeszcze nie weszłaś na

drogę miłości, i dlatego nie używasz jeszcze pokoju, jaki miłość daje. Duszo dobra, żal mi ciebie; aleś sama sobie winna.

b) Następnie trzeba oddać Bogu także nie dary, ale siebie samego. Wszystko, co dasz Bogu prócz siebie, nie może Mu wystarczyć; On ciebie chce. Oddasz cześć najgłębszą, dziękczynienia, modlitwy; oddasz Mu posty, umartwienia, ofiary; oddasz Mu dobre uczynki, jałmużny, święte szczodroblivości; Jemu nie dosyć tych darów, nie dosyć kadzidła modlitwy, nie dosyć mirry umartwień, nie dosyć złota dobrych uczynków; On chce więcej niż kadzidła, mirry i złota, więcej niż darów wszystkich, On chce ciebie samego. Póki Mu siebie nie oddasz, niceś Mu nie dała, duszo skąpa i do miłości leniwa!

A chcesz wiedzieć, czyś się oddała Bogu, czy przynajmniej jesteś na tej drodze, dążysz do tego? Dam ci znak. Zajrzyj tam do głębi twojej, gdzie samo dno osobistości, tam, gdzie twoja wola, źródło zamiarów i czynów. Osoba przez wolę się wyraża i w woli, że tak powiem, mieszka osoba. Wola jest jej domem, wola jest jakoby jej obliczem, jej ciałem, jej życiem. Więc patrz na wolę swoją. Czy tam ty mieszkasz, czy Bóg? Patrz dobrze, czyś wolą swoją objęła Boga, objęła wolę Jego świętą, wszystkimi siłami twemi przycisnęła ją do łona, tak, że w tych silnych objęciach woli twojej, bo wola jest siłą człowieka, nic nie mieszka innego, tylko Bóg, tylko wola Boża, tylko święte Jego upodobanie? Czy nie myślisz o sobie, tylko o Bogu, nie chcesz siebie, tylko Boga, nie podobasz sobie w niczem: jedno tylko twoja wola, twoje upodobanie, twoja pociecha, twoje szczęście, żeby się w tobie czyniło, co Bóg chce, żeby Bóg czynił w tobie, co się Jemu podoba? Czy tak jest w tobie, duszo chrześcijańska? Jeśli tak, szczęśliwaś. Ty kochasz Boga! Ty jedna prawdziwie Go kochasz!

Najmilsi, każdy z was może zrobić ten rachunek sumienia. Niech tylko spojrzy w siebie. Aleś jeszcze nie skończył. Dam wam jeszcze jeden znak nieomylny, po którym nie już wewnętrznie, ale zewnętrznie każdy poznać może, czy jest w nim miłość Boża.

## II.

Znak nieomylny, że kochamy Boga, jest w tem: jeżeli kochamy bliźniego. „Jeśliby kto rzekł, iż miłuje Boga, a brataby swego nienawidził, kłamcą jest“ (I Jan IV, 20).



Kochać bliźniego. Ale kochać nie ustami, lecz rzeczą. Wiemy, co to jest kochać. Jest to oddać się. I tu zważcie, jak mądre jest przykazanie Boże: kochać bliźniego, nie dla jego miłości, ale dla miłości Boga.

Bliźni nie ma w sobie godnego kochania. Jego osoba jest nicestwo. Co posiada od Boga, jego dary, to nie jego. Choćby nam dał wszystko, nic nie daje; choćby siebie samego oddał, nic nam nie dał. On takie samo nicestwo, jak i my. A zresztą nie wolno nam przyjmować. Chociaż niema wielkiej obawy; on nie nam nie odda. Choć zdaje się oddawać, nie oddaje; on siebie szuka, on taki samolub, jak i my. A nawet nie tylko nie wart miłości, ale przeciwnie; bo często on nas i tak po swojemu nie kocha, i tą swoją samolubną miłością, często ma wstręt do nas, a częściej jeszcze lekceważy. Jeżeli niema nienawiści, to ma pogardę, a w każdym razie obojętność.

A jednak i takich trzeba kochać; obojętnych, lekceważących, pogardliwych, nienawidzących, źle nam czyniących i przesładujących. Wszystkich trzeba kochać, i miłością prawdziwą. I dla tego dla Boga.

Jak Bóg nam się oddał, chociażśmy nie warci, tak chce, byśmy się bliźniemu oddawali, chociaż tego nie wart. Wtenczas będziemy kochali, jak Bóg. Jaka mądrość, jaka szlachetność Boga w miłości! Chce, żebyśmy w miłości byli jak On! Ten warunek jego miłości. I to tak, żebyśmy nawzajem od bliźniego niczego nie pragnęli. W tem miłość: wszystko oddać, niczego nie pragnąć. Tylko wtedy dla Boga kochamy, inaczej kochamy dla siebie.

Więc ty nie kochasz doskonale, co świadczysz dobrze a chcesz wdzięczności, i smucisz się gdy jej nie masz. Wdzięczność dobra, cieszyć się nią można, bo Bogu miła, ale chcieć jej nie należy, bo wtenczas siebie się szuka. Ty nie kochasz prawdziwie, ty dajesz aby wziąć, i to rzecz bardzo piękną i miłą: wdzięczność; a więc nie dajesz, nie kochasz.

Nie kochasz, który choć wdzięczności nie szukasz, ale sławy u ludzi, albo sławy przed sobą samym. Dajesz, aby wziąć. Nie kochasz.

Nie kochasz, który dajesz, aby po twojemu czyniono, twoją wolą. Dajesz, aby wziąć.

A czyż mam zajrzeć do tej wielkiej próżni serca i duszy, która się zwykle na świecie miłością nazywa, a która tak podobna do miłości, jak cień do rzeczy, jak szkaradne podrzeźnianie do pięknego ideału. Tam niby dają swe serce; ale każdy daje, aby więcej wziąć, wziąć z lichwą, a potem tam się żyje cudzą duszą, tam się czyha na cudze serca, jak pies na kość jaką, i gryźć się będą, bo tam zazdrość najwyższem prawem. A co ma zazdrość spółnego z miłością? To pieczęć jaskrawa samolubstwa! Lecz tam zazdrość konieczna; bo to nie miłość ale samolubstwo. Spójrzycie na wszystkie miłości tego świata, u każdej w łonie ten wąż. Wiem, że są dusze szlachetne, które się oddają. Biedne, one się tam zaawanturowały, w te strony, gdzie ludzka ta miłość mieszka. To nie ich kraj, niech uciekają, bo będą ofiarami, z których się jeszcze śmiać będą.

Dlaczego tak na tę miłość światową powstają? Bo tę miłość podnoszą na świecie, cenią, wielbią, za rzecz wielką i świętą podają. Trzeba zdzierać maskę z tego trupa, i pokazać przecie że to trup, że cuchnie.

Niedawno jeszcze, u nas w Polsce, młode dusze w tej szkole się wychowywały. Ideałem życia była ta chora, ta zgniła, ta cuchnąca miłość. Dzięki Bogu, dziś lepiej. Ale czy dobrze? I dlatego nie dosyć nigdy to złe piętnować.

Więc niech to twierdzenie będzie światłem, pochodnią, owszem słońcem jasnym na tej drodze miłości: Miłość, prawdziwa między ludźmi, bliźniego jest ta, która daje i sama oddaje się, a oddaje się dla Boga, i niczego nie pragnie, niczego brać nie chce, a jeżeli co jest dane to Bogu, jako Jego własność, powraca.

A teraz, jeżeli to powiedzieć musiałem o tych co dają, aby brać, cóż o tych powiem, co nie nie dają a wszystko brać chcą? Istne szatany, które tylko żyją pracą, krwią i potem bliźnich i ich nędzą i zniszczeniem, albo też jakieś duszyczki bez duszy, jak owady jakie pasożytnicze pożerają serca i dusze ofiar swoich i żyją ich niepokojem, cierpieniem, nieszczęściem. Ach, rzucam zasłonę na tę tajemnicę samolubstwa, gdzie już ono samo siebie przechodzi, staje się okrutne i zażarte, podobne do owych żelaznych a krwawych bałwanów, w których rozpalone ręce rzucano dziatki niewinne, których gorejące wnętrzności pożerały ludzkie ofiary. Czy przesadzam? Moi najdrożsi,

samolub jest tak brzydką istotą, że każdy jego obraz za słaby; a to co on w sercu swoim knuje, to tu na świecie dlatego tylko często nie widzimy, że są jakieś względy, i wstydy, i prawa ludzkie; ale to nam kiedyś piekło pokaże. Dajmy mu pokój. Czas odpocząć duszy naszej; odetchnąć po takiej zgrozie.

A więc spojrzijmy na tego, który kocha prawdziwie bliźniego swego i tak nosi na duszy znak, że kocha i Boga.

Wszystko oddaje, niczego nie chce.

Ani wdzięczności, ani sławy, ani zadowolenia dumy, ani spełnienia swej woli, ani serca cudzego, ani duszy. Chce tylko aby bliźni był Boży, chce miłości.

Rodzice kochają dzieci, bo im Bóg je dał i dla Boga wychowują. Wtedy dopiero kochają ich prawdziwie.

Dzieci kochają i szanują rodziców i Boga w nich widzą.

Mąż kocha żonę i nie widzi w niej zabawki swojej, ale towarzyszkę daną od Boga; szanuje ją zarazem i ma za równą bo w miłości koniecznie jest równość.

Żona kocha męża, i nie szuka wstępnym bojem lub podstępem ować nim i uczynić narzędziem kaprysów swoich. Nie dla siebie kocha, ale dla Boga i jest dobrą, posłuszną, czei pełną, a jedno życzenie ma tylko w sercu, aby mąż do Boga należał.

Brat brata, bliźni bliźniego nie dla siebie chce mieć, ale dla Boga, i ta powszechna miłość ma swój znak, tym jest dobre życzenie — wszystkich darów od Boga, i daru darów miłości.

O gdyby tak było, coby to był za raj na ziemi! Prawdziwie zstąpiłoby z nieba królestwo Boże, i spełniłaby się prośba nasza codzienna: Bądź wola twoja jako w niebie, tak i na ziemi.

Najmilsi! nie wchodzę w pytanie: Czy u nas tak? Ale powiem: że tak być może. A więc do dzieła.

Zacznijmy od wiary.

Umocnijmy się nadzieją.

Zapraźnijmy miłości.

Tylko zapraźnijmy. Początek trudny; ale jak zaczniemy, to za łaską Bożą pewno dokonamy. Amen.

## KAZANIE XXVII.

## Chrystus Pan w Ogrodzie Oliwnym.

Pójdziemy dzisiaj, Bracia najmiłsi, z Chrystusem Panem pod górę Oliwną do ogrodu i jaskini Gethsemani. Czas, który tam Chrystus przepędził, był wstępem do Męki Jego. W przeciągu trzech godzin, krótkich na pozór, niezmiernych w swej rzeczywistej ważności, Chrystus Pan odbył swoje przygotowanie się do wielkiego dzieła Odkupienia naszego, a przygotowanie się odpowiednie było dziełu samemu. W tych trzech uroczystych godzinach takie się widowisko odbyło, jakiego niema i nie było drugiego! Chrystus Pan stanął tam jako człowiek przed Bogiem, aby się rozprawić z Jego sprawiedliwością, i miłosierdziem, aby Bogu zadość uczynić za krzywdę przez człowieka Mu wyrządzoną. W Nim cały rodzaj ludzki stanął tam także przed Bogiem; każdy człowiek był tam w Nim, a On za wszystkich ludzi stanął tam jednym człowiekiem, aby zapłacić i naprawić, co uczynił także człowiek, on pierwszy Adam, w którym byli także wszyscy ludzie i wszyscy w nim jednym zgrzeszyli.

I jednej i drugiej rozprawy widownią i świadkiem był ogród. Jak człowiek buduje miasta, tak natura zasadza ogrody; jak człowiek po miastach stawia pomniki wielkości swojej, tak po ogrodach natura wspaniałość swoją rozacza i, jak człowiek w miastach założył stolicę swoją, tak stolicę dla swoich mieszkańców w ogrodach natura wystawiła. Ale, myślę się! Ogrody były przed upadkiem człowieka, po upadku ogrody zamieniły się w lasy; tak jak człowiek z syna Nieba zamienił się na syna ziemi, i jak zwierzęta ze swojskich podwładnych zmieniły się w drapieżnych samowładców. Wtedy to człowiek musiał sobie budować miasta, kiedy stracił ogród, swoją pierwszą stolicę; i już odtąd ogrody same, pracą i potem ludzkim urządzone, są tylko słabem przypomnieniem onego ogrodu rozkoszy, pierwszej człowieka stolicy.

W ogrodzie tedy rozkoszy upadł pierwszy człowiek według ciała; w ogrodzie pokuty powstał pierwszy człowiek według ducha. Albowiem Ogród Oliwny był ogrodem pokuty, ogrodem przekleństwa, ogrodem potępienia. Tu do potoku Cedron, pły-



nącego węzłowemi zakrętami do Morza Martwego, spływała ze świątyni jerozolimskiej przez podziemne kanały krew ofiar, tam zabijanych, skąd zapewne i imię „Cedronu“, tj. Czarnego Stoku; tu przez napowietrzne mosty wypędzano corocznie z miasta ową krowę czerwoną i kozła wysłańca: ofiary, obarczone grzechami całego ludu izraelskiego; tu ze stóp Góry Oliwnej rozciągała się i rozciąga owa dolina Jozafata, na której Żydowie popełniali wszystkie obrzydliwości, których się jedno w ciągu dziejów swoich przeciw Bogu dopuścili; ta sławna dolina Jozafata, na której, według podania narodów, odbędzie się Sąd ostateczny. A tak ten Ogród Oliwny, ta góra i jej okolice, jest to góra pokuty, góra przeklęstwa, góra sądu i potępienia.

Takim był ogród, który Chrystus Pan wybrał na miejsce przygotowania się na mękę. W życiu Chrystusa Pana jednej chwili niema, któraby nie miała swego znaczenia, jednego słowa niema, jednego ruchu, jednego kroku, jednej okoliczności, któraby nie była napiętnowana pieczęcią Bóstwa Jego. (Każda chwila tego życia ma przeszłość całą za proroka, a całą przyszłość za świadka; każda chwila sięga początku dziejów ludzkich, i za jednym razem stoi u ich końca, to, co mówi Apostoł: „Christus hodie et heri: ipse et in saecula“ (do Żydów r. XIII, w. 8). „Chrystus dzisiaj i wczoraj: ten sam i na wieki“; i jak życie Chrystusa odnosi się do całej historii, tak i cała historia odnosi się i zamyka w życiu Chrystusa: omnia per Ipsum et in Ipso — wszystko przez Niego i w Nim. I ten to właśnie jest wspaniały, ten wielki, ten niewypowiedzianie mocny dowód Bóstwa Chrystusowego, który pokazuje, że cała historia jest Jego dziełem, ponieważ cała historia zależy od Jego życia. Z tego punktu chciałbym, Bracia najmiłsi, abyście się zapatrywali i na te chwile Męki Pańskiej, które tu wam jedną po drugiej postawimy przed oczy).

Tak więc i ten wybór miejsca, na którym Chrystus do Swego wielkiego dzieła się gotuje, ten wybór Ogrodu Oliwnego, jest pełen głębokiego znaczenia.

W ogrodzie rajskim człowiek z nieba spadł na ziemię, w ogrodzie ziemskim człowiek z ziemi podniósł się do nieba, w ogrodzie rozkoszy człowiek przez rozkosz przyszedł do cierpienia, w ogrodzie pokuty człowiek przez cierpienie zaprowadził nas do rozkoszy; w ogrodzie błogosławieństwa człowiek,

szukając innego błogosławieństwa aniżeli Bożego, usłyszał na siebie przeklęstwo; w ogrodzie przeklęstwa człowiek, przyjmując na siebie przeklęstwo Boże, dał nam wszystkim usłyszeć błogosławieństwo; człowiek z pierwszego ogrodu uciekać musiał, a za nim pędził Anioł pomsty z ognistym mieczem; człowiek z drugiego ogrodu sam wyszedł, choć miał dwanaście wojsk Aniołów do obrony swojej, wyszedł naprzeciw i dał się związać i dał się ciągnąć przeciwnikom swoim, to jest szatanom, choć sam szedł dobrowolnie za nimi; pierwszy człowiek z ogrodu swego wyszedł na śmierć, drugi na zmarłychwstanie.

Idźmyż tedy dzisiaj, Bracia moi najmilsi, idźmy z Chrystusem do tego Ogrodu Oliwnego patrzeć na to wielkie dzieło, które On tam odbędzie, na to dzieło przeciwne owemu nieszczęśliwemu dziełu Adama, odbytemu w ogrodzie rajskim; idźmy poznać i przypatrzeć się tym tajemnicom, które się w duszy Chrystusa Pana tam spełnią między niebem a ziemią, między człowiekiem a Bogiem, idźmy je widzieć, idźmy je poznać; abyśmy, poznawszy je, stać się mogli ich uczestnikami. Przez przyczynę Najświętszej Panny.

Zdrowaś Maryo.

## I.

Pierwszy człowiek, a w nim cały rodzaj ludzki, podwójnie albo raczej potrójnie grzeszył: ciałem osobno, osobno duchem, a nareszcie spólną obóm, w jednej i tej samej duszy, wola. Albowiem człowiek nie jest, jako Anioł, istotą pojedynczą, mającą tylko jedno jestestwo, to jest, jestestwo ducha; człowiek jest istotą podwójną, czyli raczej, z dwóch istot jedną trzecią: to jest, że dwa jestestwa: jestestwo ciała i jestestwo ducha składają dopiero spólną a jedną istotę ludzką. Takie istoty ludzkiej orzeczenie, czyli definicyę, daje nam Sobór powszechny lateraneński.

Odpowiednio do tej troistości natury ludzkiej i przykazanie, dane Adamowi, miało potrójną siłę: „Nie będziesz pożywał!” To dla ciała. „Bo tam wiadomość dobrego i złego!” To dla ducha. „Śmiercią umrzesz!” To hamulec i zatwierdzenie dla woli (duszy), dane przez Boga, Pana życia i śmierci.



I pokusa ma również troisty charakter. Jak pokusa powiada: Nie, to nieprawda. I, zaprzeczywszy zuchwale, czyniwszy Boga kłamcą, mówi dalej: „Jedź tylko!” To dla ciała. „A otworzą się oczy wasze!” To dla ducha. „I będziecie jako Bogowie!” To dla woli, dla duszy, dla całej istoty. Ty sam będziesz Bogiem stanowicielem dobrego i złego, Panem życia i śmierci, Ty sam!

I człowiek usłuchał! I zgrzeszył!

Nieszczęśliwy, cóżeś zrobił?

Zabiłeś Boga.

W duchu: jako prawdę.

W ciele, w sercu: jako dobro.

W woli, w duszy: jako życie i Pana życia.

Ale ty raczej sam siebie zabiłeś.

Sprawdziło się, co ci Bóg zapowiedział: Którego dnia pożywać będziesz, śmiercią umrzesz.

Umarłeś!

W duchu twoim: prawdy niema: jest ciemnota i jej zgroza.

W sercu: dobra niema; jest cierpienie.

W duszy: niema zakonu i siły życia: jest niewola, nicość, śmierć.

Człowieku nieszczęśliwy, ty doprawdy umarłeś! I trzykroć umarłeś.

Ten bunt, tę krzywdę, tę zniewagę, ten potrójny grzech człowieka, przyszedł Chrystus zniszczyć, zmasać, naprawić. Jak Adam przez potrójną pokusę przyszedł do potrójnego złego, tak Chrystus potrójną pokusę i potrójne złe zwyciężyć musiał. I uczynił to w trzech uroczystych chwilach życia Swego: w pokusie na pustyni, w konaniu tu w Ogroju, i w Męce skończonej na krzyżu. Jak potrójną była pokusa Adama, tak potrójną pokusa Chrystusa na pustyni. Adamowi szatan pokazał owoc piękny i smaczny i rzekł: Jedz, a będziesz Bogiem; Chrystusowi podał kamień twardy i chropowaty i rzekł: Jeżeliś Bóg, zrób z tego Sobie chleb do jedzenia. Adamowi rzekł szatan: Wstąp na tron Boży, na tron wiadomości dobrego i złego, i siądź na wysokościach! Chrystusa zaniósł na wysokość i rzekł Mu: Jeżeliś z nieba, jeżeliś Syn Boży, spuść się na dół, nic Ci się złego nie stanie! Adam usłuchał, szatan ryknął ze śmiechem: Terażeś mój! Pokłoniłeś mi się, nic ci nie

dam! (I świat cały zamknął wewnątrz swoje przed oczyma Adama i przed wolą jego.) Chrystusowi szatan cały świat otworzył i Jego chwałę pokazał i rzekł Mu: Pokłoń mi się, dam Ci to wszystko! Szatan zwyciężył Adama, szatana zwyciężył Chrystus.

Ale nie dosyć było Chrystusowi pokusę zwyciężyć, jeszcze tem nie naprawił złego, działanego przez Adama. Zwyciężając pokusę, dał nam wprowadzić moc przeciwko pokusom, nie dał jeszcze mocy na grzechy i do powstania z nich; zwyciężając pokusę, nie zwyciężył jeszcze grzechu. Utorował On Sobie przez to pierwsze zwycięstwo drogę do ostatniego, ale to ostatnie odniósł dziś dopiero w Ogroju Oliwnym i na krzyżu. I dlatego tamto zwycięstwo staje na początku Jego zawodu zbawicielskiego, a to na końcu: tamto dało Mu, jako czystemu, niepokalanemu i pokusy zwycięzcy, prawo przed Bogiem odpłacenia za grzech, a to za grzech odpłaciło; tamto pokazało, że On będzie Zbawicielem, a to, że nim jest rzeczywiście.

Przypatrzmyż się tedy temu człowiekowi duchownemu, który w duchu swoim wszystkich nas mieści, temu Ojcu naszemu prawdziwemu, temu Królowi i Wodzowi, jak odniósł to zwycięstwo, co Go ono kosztowało i co nam przyniosło.

Oto skończył ostatnią wieczerzę, ostatni odpoczynek miłości Swej wśród Swoich uczniów, wśród ulubionych Swoich, ostatnie wolne odetchnienie przed pójściem na bitwę. Skończył, i rzekł do uczniów Swoich: „Wstańcie, pójdźmy stąd!” (Jan XIV. 31). I podniósł się ten wielki Wódz, ten olbrzym z nieba wyszły, na przebieżenie drogi, po której za Nim poszli Apostołowie i my wszyscy iść mamy. „Exultavit ut gigas ad currendam viam, a summo coelo egressus ejus.” „Wyteżył się jak olbrzym do przebieżenia drogi, z najwyższych niebios wyszedł On” (Ps. XLVIII. 6). Wyszedł i przebiegł drogę, i stanął na miejscu bitwy, kiedy jeszcze nieprzyjaciół był daleko. Oto już jest we wsi Gethsemani, u wrót Ogrodu Oliwnego. Wtedy mówi do uczniów Swoich: „Siedźcie tu, aż pójde ondzie i będę się modlił” (Mat. XXVI. 36).

Chrystus, zostawiwszy ośmiu uczniów Swoich koło Gethsemani, trzech wziął z Sobą, jakoby świadków potrójnego aktu, który miał spełnić. Uszedłszy kilka kroków, począł (mówi Ewangelia) smucić się i tęsknić sobą. Oto początek walki.

Cały oddany temu smutkowi powiada do tych trzech wybranych uczniów Swoich, tych samych, co Go niegdyś na Górze Tabor w jasności niebieskiej widzieli, a teraz na takie Jego zaćmienie patrzą, powiada im: „Smutna jest dusza moja aż do śmierci.“ To zaś rzekłszy, i tych trzech opuszcza, tylko im powiada: „Czekajcie tu, a czuwajcie ze mną. Módlcie się, abyście nie weszli w pokuszenie“, i sam się od nich oddala.

Tu się ta Boska walka rozpoczyna.

Powiada Ewangelia, że „postąpiwszy trochę, jakoby mógł zacisnąć kamieniem, padł na oblicze swoje, modląc się i mówiąc: Ojcze mój, jeśli można, niechaj odejdzie odemnie ten kielich. Wszakże nie, jako ja chcę, ale jako Ty.“ „Ten kielich!“ Jakiżto kielich? Kielich Męki Pańskiej! Dlaczegoż go nazywa kielichem? Co kielich znaczy?

Skoro grzech Adama wszedł na ten świat, Bóg niejako przestał być Bogiem na tym świecie. On, Pan człowieka przestał być tym Panem, człowiek Mu wypowiedział posłuszeństwo, i dla większej wzdargi, tysiące sobie Panów stwarzał, własnymi rękami je lepił, własnym rozumem, własnym upodobaniem, aby tylko Boga prawdziwego nie znać za Pana. Jednym słowem, Bóg nie był za Boga czczony, ale odepchnięty, ale wzgardzony, ale sponiewierany, ale wyśmiany. To wszystko Ty, Panie, w tym kielichu widzisz! I nie tylko widzisz, co do tej chwili się stało, widzisz jeszcze, co się stanie aż do końca świata. Widzisz, jak Twoją prawdę heretyki wzgardzą, jak Twoje dobro sponiewierają nauczyciele fałszywych dóbr, jak Twoją zacność i godność jawnoszyderycy i publiczni komedyanci wyśmiewają, jak Twoje panowanie zli politycy i swego tylko panowania chciwi odepchną i podepcą. Jednym słowem: widzisz, jak Bóg aż do końca świata będzie wzgardzony, sponiewierany, wyśmiany, odepchnięty! I widzisz to, Panie, jako Bóg i jako człowiek. Jako Bóg, widzisz i czujesz całą godność Bożą; jako człowiek, widzisz i czujesz całe nicestwo ludzkie, widzisz całą wielkość obrażonego Bóstwa, i całą lichotę obrażającego prochu ziemskiego; to wszystko Panie, w tym kielichu przed oczyma Twemi, i ten kielich przyjmujesz, o Panie! I oto, z kielicha tego, jeżeli go przyjmiesz, spływa na Ciebie to wszystko, cokolwiek człowiek przeciwko Bogu uczynił. On Boga za Boga

znać nie chciał, i Ty za Syna Bożego uznany nie będziesz: on Bogiem wzgardził i Ty będziesz wzgardzony! on Go sponiewierał, i Ty będziesz sponiewierany: on Go wysmiał, i Ty wysmiany będziesz: on Jego panowanie odrzucił, i Twoje panowanie i Twoje królestwo odrzuca. Tak będziesz sponiewierany, wysmiany, spolieczkowany, zgnieciony, jak robak starty, w prochu śmierci położony. Takim sposobem odpłacisz Bogu i zadość uczynisz za to, co człowiek przeciwko Bogu popełnił. To, Panie, z tego kielicha spływa na Ciebie. Ale Ty go przyjmujesz: i, jakkolwiek gorzki, jakkolwiek okropny, jakkolwiek nieczuony, Ty padasz na oblicze i wołasz: „Ojcie, Twoja wola, a nie moja!”

Tym sposobem, Bracia moi, Chrystus odbył i dokonał pierwszego zwycięstwa nad sprawiedliwością i miłosierdziem Bożem. On, który w urodzeniu nie stał się królem, który szatana odepchnął, ofiarującego Mu panowanie, który od ludu uciekł, On, który był jednak, nie jak Adam, prawdziwym królem i panem — czysty od tej pokusy, pod którą Adam upadł, tu stał i ofiarował się na wżgardę, wypił ją z tego kielicha i zadość uczynił Bogu za wżgardę Jego. Przebłagał, uśmierzył, zwyciężył Boga raz jeden.

Skonczywszy pierwszą swą walkę, Chrystus wstaje od modlitwy i przychodzi do Apostołów, aby ich do czuwania z Sobą i do modlitwy ocucić. Ale, darmo! Oczy ich były obciążone, spali snem głębokim, i dopiero Chrystus budzić ich musiał, aby do siebie przyszli. Tedy rzecze do Piotra: „Symonie, śpisz? Jednej godziny czuwać ze mną nie mogłeś? Czuwajcie i módlcie się, abyscie nie weszli w pokuszenie!” Ale, wszystko nadaremnie! Zaledwo odszedł, oczy się ich znowu zamknęły. Sam jeden Chrystus musiał walczyć w tej walce. Mylę się jednak: Matka Jego Najświętsza całą tę walkę razem z Nim walczyła; ale zdaleka, i żadnej pociechy zewnętrznej, dotykanej, której Jego natura ludzka tu szukała, przynieść Mu nie mogła. Tak więc, pomimo tego, Chrystus tę walkę musiał sam walczyć do końca!

Oto już odszedł na miejsce modlitwy Swojej. Pada znowu na oblicze i znowu woła: „Ojcie mój, jeśli nie może ten kielich odejść, jedno, abym go wypił, niech się dzieje wola Twoja!” Rozpoczyna się drugi akt tej walki. Już jedna część kielicha spełniona, już wypił z niego całą zniwagę Boga, ta zniwaga



na Niego spłynęła; w czym człowiek Boga swawolnie zelżył, tę On zelżywość na Siebie dobrowolnie przyjął. Teraz ma spełnić drugą część tego kielicha goryczy, ma z niego wypić śmierć dla serca, dla ciała, i za swawolną rozkosz, której mu pozwolił pierwszy człowiek, a w nim wszyscy inni, ma odpłacić dobrowolną boleścią i śmiercią. Wprawdzie, już na pustyni zwyciężył pokusę, namawiającą Go do nakarmienia ciała, ale tu musiał tego zwycięstwa dokonać, i nie tylko odmówić ciału przyjemności, chociaż niewinnej, ale winien był Ciało Swoje oddać na cierpienie, aby tem dobrowolnem cierpieniem sam korzeń złej rozkoszy wytępić w człowieku i zniszczyć, a zarazem Bogu zadość uczynić za to wszystko, w czym przez to był obrażony.

O Panie, proszę Cię znowu, daj mi poznać okropność tego drugiego przystąpienia Twego do kielicha! Ach, widzę, z jakim Ty wstrętem patrzysz na człowieka, który się odwrócił od Boga, dobra swego, rozkoszy swojej, a obrócił do ziemi i do ciała, do błota i do krwi, i oddał im serce swoje! Ach, jak człowiek w tem swoim upodleniu wznieca niewymowną obrzydliwość i odrazę w Twojem czystym, w Twojem niepokalanem, w Twojem Boskiem Sercu! Oto widzę, jak przed Twoją duszą przechodzą wszystkie obrzydliwości starożytnego świata, widzę tajemnice Astarty, widzę okropność Molocha, widzę sprośność Saturnaliów, widzę bachantskie szaleństwa; rzeczy, których język obmówić nawet nie może; Ty wszystko widzisz, Panie, chociaż pod postacią, która oczy Twoje szanuje, ale dostatecznie, aby duszę Twoją przeniknąć niewymownym wstrętem, okropną odrazą, śmiertelnym smutkiem. Ty to wszystko widzisz, Panie, i widzisz, co się stanie na przyszłość; widzisz, że Ciebie samego wyrodne syny poświęcą Molochowi i Baalowi i obrzydliwościom ich. To widzisz, i nie tylko widzisz, ale przyjmujesz na Siebie. Ach, i to właśnie Serce Twoje takim smutkiem ściska, że umierasz pod nim, i już zawczasu czujesz okropność męki cielesnej i śmierci, które na odpłatę tego wszystkiego z onego kielicha masz wypić. A jednak przyjmujesz. O Panie, ten kielich przyjmujesz! I oto z kielicha tego spływa na Ciebie tyle cierpienia, ile człowiek przeciwko Bogu złej zażył rozkoszy. Oto całe Ciało Twoje zbiczowane będzie, i od stóp do głowy zdrowego na niem miejsca nie zostanie jednego; oto ostre i długie ciernie w głowę Twoją wpędzone



będą: oto krzyż na ramiona Twoje włożą, i Ty go ciągnąć będziesz, sam ciągniony, popychany a bezsilny, oto trzykroć pod tym krzyżem upadniesz, nim Cię na niego położą: oto Cię gwoźdźni do krzyża przybiją, żółcią napawać będą, i, kiedy tak wszystkie zewnętrzne wytrzymasz boleście, przyjmie Twe Ciało wewnątrz ogień, rozpali się pragnienie, trawienie, pieczenie do niewytrzymania, i po takich dopiero długich, a nieporównanych mękach, śmierć nareszece powolna przyjdzie! Oto, Panie, Twój kielich boleści za wszystkie rozkosze człowieka! Ach, jak okropny! Ale, Ty go, Panie, widzisz i przyjmujesz. Otoś upadł na oblicze Twoje i wołasz: „Ojcze, Twoja wola, a nie moja!“

Podziwiamy, Bracia moi, tę drugą próbę i to drugie zwycięstwo Chrystusa Pana! To zwycięstwo nad śmiercią ciała. On, czysty od pokusy ciała, pod którą upadł Adam, On, który w urodzeniu nie dał ciału wygody i rozkoszy, który na pustyni szatana, ofiarującego, odepchnął, który zgromił Piotra, odcinającego go od cierpienia — czysty zewsząd i niepokalany na Swojem świętem Ciele, tu stanął odpłacić za złą rozkosz człowieka, i dlatego ofiarował ciało na cierpienie za fałszywe życie tamtego, wypił z tego kielicha śmierć, zadość uczynił Bogu za grzech ciała. Przebłagał, uśmierzył, zwyciężył Boga raz drugi.

I znowu wstaje od modlitwy i do uczniów przychodzi głęboko śpiących, i woła na nie: „Czemu śpicie?“ A oni nie wiedzieli, co by mu odpowiedzieć. Upomina ich tedy raz jeszcze: „Wstańcie, módlcie się, abyście nie weszli w pokuszenie!“ Teraz odchodzi po raz ostatni na miejsce modlitwy swojej, i, klękawszy na kolana, modli się, „mówiąc: Ojcze, jeśli chcesz, przenieś odemnie ten kielich. A wszakże nie moja wola, ale Twoja niech się stanie. I okazał mu się Anioł, posilając Go. A będąc w konaniu, dłużej się modlił. I stał się pot Jego jako krople krwi, spływającej na ziemię“ (św. Łuk. XXII, 41—44). Tak Ewangelia opisuje ten trzeci i najuroczystszy akt tej Boskiej walki. Zostawało najmilszemu Zbawicielowi naszemu wypić samo dno tego kielicha goryczy: wypił już z niego śmierć ciała, teraz trzeba było wypić śmierć ducha. Za to, że człowiek chciał być czemś sam w sobie, bez Boga, że sam chciał przez się zostać Bogiem, sam dla siebie prawdą i wszystkim, za to

Bóg opuścił ducha ludzkiego, i duch ludzki, wytracony z objęć Boga, wpadł w objęcia śmierci, w objęcia nicstwa, z którego został wyprowadzony. Odtąd nicość, jak sęp Prometeusza, szarpała swym śmierćdajnym dzióbem wnętrzości ducha ludzkiego; w jego rozum wpijała się coraz grubsza wątpliwością i ciemnością; jego serce wyżerała czczością coraz okropniejszą. Człowiek pragnął światła, a nigdy go nie spotykał; człowiek usychał za szczęściem, a nie znajdował go nigdzie. Ale ta śmierć okropna ducha, opuszczonego przez Boga, nie na tym tu świecie dochodziła ostatniego stopnia okropności swojej. Bo tu, na tym świecie, człowiek ma jeszcze w tych rzeczach zmysłowych, co go otaczają, jakieś światelko dla swojego rozumu, jakąś przyjemność, jakąś siłę, chociaż błahą i przemijającą. Nie tu przeto mogła i może się pokazać cała okropność śmierci duchowej. Na tamtym dopiero świecie, kiedy dusza jest opuszczona przez te rzeczy zmysłowe, poznaje się owa straszna rzeczywistość; dopiero piekło pokazuje, czym jest duch, opuszczony przez Boga. Tak jest, piekło nic nie jest innego, tylko opuszczenie, ostateczne, zupełne ducha przez Boga.

Bracia moi! Oto ostatnie następstwo grzechu Adama! Oto dno jego! I ta śmierć ducha jest także na dnie kielicha Chrystusowego; tę teraz wypić musi Zbawiciel mój, musi Chrystus umrzeć w duchu Swoim, Bóg Go opuści, to jest, odejmię Mu uczucie obecności Swojej, i wyda Go na uczucie nicstwa Jego ludzkiego, a tem samem na całą okropność jakoby opuszczenia Swego. Jest to jakoby piekło samo, na któreśmy zuchwale zasłużyli, a które mój Zbawiciel przyjmuje na Siebie i ofiaruje się dobrowolnie uczuć je w Sobie, aby nas od niego uwolnił.

O Panie mój! Widzę całą tę ostatnią okropność kielicha Twojego! Widzę jak ona Ciebie przybija do ziemi, jak ona Ciebie wewnątrz całego przygniata; już, już Boga nie widzisz, już Boga nie czujesz, Bóg Ciebie opuścił; a tylko nicstwo i jego piekło ciąży na Tobie, przywala Ciebie swoją ciemnością, swoim strachem, swoją zgrozą, swoją rozpaczą. „Opuszczonyś od Boga” woła na Ciebie zewsząd przepaść cała. „Opuszczonyś od Boga!” powtarza w Tobie, drżąc, cały duch Twój własny w głębokości swojej. „Opuszczonyś od Boga; zdaje się powtarzać głucho nad Tobą milczenie Boże. Ach, co za okropność!” Próżno dusza Twoja obraca się trwożnie naokoło, próżno do

góry spoziera, próżno ratunku szuka, próżno wzdycha, próżno łka, próżno jęczy! Opuszczonyś! opuszczony! opuszczony! Ach, teraz się nie dziwię, teraz pojmuję, dlaczego zesłany jest Anioł, aby cię pokrzepił. Już Cię nie pokrzepia Moc Twoja Boska. Bóg Cię opuścił, a Tyś to przyjął. W tem opuszczeniu natura ludzka nie wytrzymałaby ani mgnienia oka, i dlatego Anioł jest zesłany, aby pokrzepił jej słabość, aby w tej strasznej chwili, kiedy ona opuszczona i wydana na łup nicestwa, nie dał się jej rozlecieć i być zniszczoną. Ale daremnie Anioł krzepi! tyle Ci tylko sił dodaje, ile potrzeba, aby cierpieć, cierpieć ono straszne konanie, oną śmierć ducha. Ty zaś, Panie, przyszedłszy do konania, dłużej się modlisz; a to konanie tak Cię ścisła strasznie, że pot krwawy występuje po całym Ciele Twojem i strumieniami na ziemię zbiega. O Panie, jakie straszne to Twoje konanie! O Panie, jakież to okropne to dno kielicha Twego! Dzięki Bogu, jużes wypił, ostatnia kropla już się wlała do duszy Twojej, i Ty po raz ostatni padłeś na oblicze i głosem całej duszy Twojej zawołałeś: „Ojcie mój, Ojcie mój. Twoja wola niech się stanie!”

Podziwiamy znowu, Bracia moi, tę ostatnią próbę, to ostatnie zwycięstwo. To zwycięstwo nad śmiercią ducha. On czysty od tej pokusy ducha, pod którą upadł Adam; On który w urodzeniu Swojem nie okazał się Synem Bożym, ale Synem człowieczym; który na pustyni odpędził szatana, radzącego Mu rzucić się na dół, jako Synowi Bożemu; który cudów i znaków Faryzeuszom odmówił, aby przekonać, iż Mesyaszem i Synem Bożym, — On jednak, który jest prawdziwym Synem Bożym i Bogiem, wolny zewsząd od tej pokusy, pod którą upadł Adam, zostania i pokazania się Bogiem, tu stanął, aby odpłacić za on grzech nie ludzki. I dlatego ofiarował się na opuszczenie Bóstwa, wypił z tego kielicha całą okropność tego piekła, i zadość uczynił Bogu za zuchwałstwo, za dumę świętokradczą Adama.

Przebłagał, uśmierzył, zwyciężył Boga raz trzeci. I we wszystkim i na zawsze, Bóg zwyciężony, uśmierzony, przebłagany. Tak Chrystus Pan wytrzymał próbę, odpłacił za grzech zwyciężył Boga, a nam zyskał wolność, pokój, zbawienie, chwałę! O, upadnijmy do stóp Jego i oblejmy je łzami naszej wdzięczności i miłości.

Cóż wam teraz powiem, Bracia moi najmilsi, co dodam do tego, com powiedział. Cały będąc przejęty widokiem tej Boskiej walki i tak gorzkiego konania i tak szczęśliwego zwycięstwa Pana i Zbawiciela mego, cóż wam powiem, wam, którzyście niezawodnie równie niem przejęci? Już nie nie będę mówił do rozumu waszego, ani będę zwracał uwagi waszej na dowód tak mocny, który z tego wszystkiego wypływa i, że tak powiem, sam wytryska, że Chrystus jest tem, czem się być powiada, jest Bogiem, jest Zbawicielem, a Jego prawda jedyną prawdą. Ale raczej wezmę w usta słowa tegoż Zbawiciela mego i te puszcę do serc waszych, słowa, które On do Apostołów Swoich onej nocy po trzykroć wyrzekł: „Czuwajcie a módlcie się, abyście nie weszli w pokuszenie.“ Niechaj ten będzie owoc tej trzykrotnej walki i trzykrotnego zwycięstwa, które Zbawiciel nasz i wywalczył dla nas i darował nam.

Bracia mili! Pokusa zewsząd nas otacza, i potrzeba jest, abyśmy przeszli przez pokusę. Ale, jakże przez nią przejdziemy bezpiecznie? Oto, idąc za Chrystusem, a nie za Adamem. Kiedy pokusa miała przyjść na Adama, Adam nie czuwał, i dlatego zaszła go niespodzianie: kiedy go raz zaszła i uderzyła na niego, Adam nie ucieknął się do modlitwy i dlatego pokusa przemogła. Nie czynmyż jak Adam, byśmy nie mieli czuwać i modlić się. Czyńmy jak Chrystus: czuwajmy i módlmy się. Tak uczynił Chrystus na pustyni, tak uczynił w Ogrodzie Oliwnym. — A co to jest czuwać? Czuwać, Bracia moi, jest to nie spać, jest to mieć oczy otwarte, jest to widzieć, czego śpiący nie widzą. Czuwać tedy jest to widzieć i przewidywać. Tak Chrystus w Ogrodzie Oliwnym widział i przewidział całą Swą mękę. — A co to jest modlić się? Modlić się, Bracia moi, jest to zgodzić się z wolą Bożą, jest to przyjąć z ręki Bożej to, co się widziało i przewidywało, jest to podnieść się nad człowieka i powiedzieć: Nie moja wola, ale Twoja niech się stanie! Tak Chrystus w Ogrodzie Oliwnym przyjął, co przewidział i powiedział: „Ojcze, Twoja wola niech się stanie!“ Z takiego czuwania i przewidzenia, z takiego modlenia się i przyjęcia przychodzi zwycięstwo. A więc tak czuwajmy, tak się módlmy! Wtedy niech przyjdzie pokusa — nie upadniemy, niech stokroć wróci — nie wzruszymy się, i owszem, razem z Chrystusem na pustyni, tyle zwycięstw naliczym, ile będzie jej napadów.



Tak czuwajmy, tak się módlmy! A wkrótce sami przeciwko pokusie wyjdziemy, i, razem z Chrystusem w Ogrodzie Oliwnym, zwyciężymy świat, zwyciężymy ciało, zwyciężymy samych siebie; zyskamy niebo, owdadniemy ziemią, przełamiemy piekło; staniemy się wolnymi, staniemy się panami, staniemy się synami Bożymi. Tak czuwajmy, tak się módlmy!

A czy to czynim? Gdyby Chrystus przyszedł teraz do duszy, czyby ją znalazł czuwającą, a nie raczej śpiącą, jak Apostołów? Ileżto razy przychodził Chrystus, jak do Apostołów Swoich, tak do duszy twojej, o chrześcijaninie mniej czujny, i wołał na ciebie: Symonie, śpisz? A tyś ledwie oczy przetarł, a gdy Zbawiciel odszedł, tyś na nowo zasypiał. Lecz oto przychodzi poraz ostatni i wielkim głosem woła: „Śpijcie już i odpoczywajcie! Dosyć: przyszła godzina! Wstańcie! Oto się przybliżył, który mię wyda. — Przybliżył się Judasz, przybliżył się zdrajca.“ I ty, chrześcijaninie mniej czujny, nie śpij i nie odpoczywaj! Grzech, ten zdrajca, który w duszy twojej wyda Chrystusa, bliżej, aniżeli myślisz: wstań, czuwaj i módl się!

O, Bracia moi, czuwajmy i módlmy się! Wszyscy, którzy upadli i zginęli pod pokusą, zginęli, iż nie czuwali i nie modlili się; wszyscy, którzy zwyciężyli pokusę i grzech, dlatego zwyciężyli, iż czuwali i modlili się.

Bracia moi! Chcemy zwyciężyć z Chrystusem, czuwajmy i módlmy się z Chrystusem. Czuwajmy i módlmy się!

## KAZANIE XXVIII.

### O miłości ojczyzny.

Nauka pierwsza miana w Rzymie w kościele S. Andrea della Valle podczas oktawy wszechnarodowego wysławiania Objawienia się Pańskiego (Trzech Króli) dnia 9 stycznia 1864.

Adorabunt eum omnes Reges terrae,  
Omnes gentes servient ei! *Psalm 71, 11.*  
Afferte Domino patriae gentium!  
Afferte ei gloriam et honorem. *Ps. 95, 7.*

Czołem bić mu będą wszyscy królowie ziemi, wszystkie narody służyć mu będą: O Ojczyzny narodów! Przynieście Panu chwałę i cześć! Przy-



nieścież jemu cześć i chwałę, wy! wy, ojczyzny narodów!

Tak wołał Prorok, patrząc w duchu na chwilę obecną, na tę chwilę, na którą i my dzisiaj w duchu, jakby na obecną patrzymy; chwilę tę, w której się narodził ten Król wszystkich narodów, ten Ojciec Ojczyzn wszystkich, i w której oto u stóp jego, od kończyn świata przybiegli i królowie, i narody, i ojczyzny, czołem biją i składają dary, a z niemi samych siebie w ofierze. Chwila jedyna! Chwila, w której cała wieczność zapisana blask sieje na tę ziemię i na jej noc i ciemność; — jakoby gwiazda przemigająca się, zwiastunka światła nieskazitelnego. Albowiem wieczność będzie tem światłem patrzącem nieustannie na to, na co ta chwila patrzy w przelocie: na tego Króla królów i Pana narodów, i na te króle wszystkie, i narody, i ojczyzny wszystkie, u stóp Jego wiecznie Mu się kłaniające i wiecznie Mu śpiewające cześć nieprzystanną i chwałę wiekuistą!

Bracia moi! Bracia najmils! Czyż i my nie powinniśmy przybieść do tych stóp świętych i należeć do tego chóru błogosławionego? Czyż i my nie powinniśmy uderzyć czołem, i złożyć do stóp tych nasze ozdoby królewskie, jeżeli mamy jakie; a nie, tedy przynajmniej nasze dary sieroce, nasze, mówię, serca zbolące i dusze zakrwawione, ale zawsze wierne, zawsze kochające? Czyż i my nie powinniśmy przynieść z sobą naród nasz, Ojczyznę naszą, do tych stóp Bożych, prawdziwego jej Króla, prawdziwego Pana i Ojca; tę, mówię, Ojczyznę, niegdys królowę, dziś więcej niż wdowę, więcej niż sierotę: dziś biedną pokutnicę, śmiertelnicę konającą, ale zawsze ojczyznę? Czyż nie powinniśmy razem z nią, ale, ach! jak czule, jak serdecznie, ucałować i uścisnąć te stopki dziecięce tego, który jest tym wielkim i wiekuistym Mocarzem, a który wzwyż stanie się Zbawicielem naszym, i oddać Mu cześć i chwałę, a On nam za to da życie i zbawienie? O Bracia! o najmils! czy nie powinniśmy?

Dziś szczególnie, dziś przedewszystkiem: kiedy Zastępcą tego Pana i Króla, i Ojca, kiedy sam Ojciec święty modli się za tę ojczyznę naszą<sup>1)</sup>; kiedy świat cały chrześcijański na słowo

---

<sup>1)</sup> Mowa tu o wezwaniu uczynionem przez Piusa IX do publicznych modlitw za Polską.

jego, na krzyk bolesny serca jego ojcowskiego, cały wstrząśnięty modli się za nią; kiedy Niebo same, koniecznem echem ziemi odpowiadając, modli się za nią; kiedy Święci z krwi naszej zrodzeni, a z nimi wszyscy Święci modlą się za nią; Aniołowie Boży i Archaniołowie, wszystkie potęgi niebieskie, Cherubinowie i Serafinowie, modlą się za nią; kiedy Marja, Matka Boża, jedyna dziś, i na zawsze Królowa nasza, ach! Ta nad wszystkich i nad wszystkie gorąco, niewymownie, niepojęcie modli się za nią; dziś tedy, dziś przedewszystkiem czyż nie powinniśmy, Bracia najmilsi! już wszystko porzucić, już wszystko inne zapomnieć, a przybiedz jedynie do stóp tych świętych Zbawiciela naszego, przybiedz z naszą ojczyzną do nich, do nich jedynie, i już nie modlić się tylko (są tacy co się modlą!), ale uczynić to, o co się tamci modlą, o co się modli cały świat boży, wszystko, co Boga wyznaje, co Bogu służy na ziemi i na niebie; uczynić tedy o co się ci modlą. Czyż nie powinniśmy?

A cóż uczynić? To wam Bracia chcę pokazać. Nic innego zaiste, jedno to, co czynią ci mędrcomie królewscy: nic innego, jedno uznać tego jedyne, Jezusa, za Króla i za Pana naszego; Jemu jednemu oddać ojczyznę naszą, Jemu oddać cześć i chwałę! — Żeśmy o tem zapomnieli, dlatego cierpimy; uczynimy, a pocieszeni będziemy. — To wam chcę pokazać!

## I.

Kochać ojczyznę, to rzecz iście święta.

Wołał niegdyś jeden z wieszczów naszych, a tysiące sere pocziwych za nim powtarzało:

„Święta miłości kochanej ojczyzny

Czują cię tylko umysły pocziwe“.

I słusznie. Ale dodam, że to wtedy dopiero rzecz święta, kiedy się święcie kocha. Niechaj umysły pocziwe, niechaj sere najpocziwsze nawet czują ją po swojemu; ale mówię i muszę to twierdzić, że tylko umysły pełne wiary, tylko serca chrześcijańskie czują prawdziwie i jak potrzeba, prawdziwą, a nie byle jaką, miłość ojczyzny. Bo miłość ojczyzny może być skalana, a powinna być i jest w sobie iście święta: otóż serca święte tylko mogą się dotknąć rzeczy świętej, i objąwszy ją w swoje ramiona nie splugawić jej, ani zbezcześcić.

A więc naprzód: rzecz święta, ale też powtóre trzeba ją święcie pojąć, święcie poczuć, i święcie w czynie ziścić!

Rzecz święta! A dla czego? Dla tej samej przyczyny, dla której każda inna świętość jest i będzie świętością; dla tego, mówię, że pochodzi od Boga i wraca do Boga. Bóg ją dał jako przykazanie duszy ludzkiej, i chce, aby dusza ludzka dała mu ją w ofierze jako czyn i cnotę spełnioną. — Gdzie i kiedy dał ją w ten sposób Bóg ludziom? Wtedy gdy przykazywał: Będziesz kochał Boga... będziesz kochał bliźniego twego jako siebie samego; a wśród bliźnich tuż przy nas na pierwszym miejscu stoją rodzice i ojczyzna. Wtedy mówię, gdy przykazywał: Czcij ojca twego i matkę; a tuż przy ojcu i matce, nierozdzielnie, jako rozszerzone koło rodzicielstwa nad nami, stoi ojczyzna, ta wielka i wspólna matka nasza ziemską. Rodzice i ojczyzna tak są z sobą złączone w pojęciu chrześcijańskim, że stanowią one jeden przedmiot osobnej cnoty chrześcijańskiej, która w języku nauki kościelnej nazywa się *pietas*, wyrazem od starożytnych pożyczonym, a uświęconym przez Kościół. Nazwałbyś ją po polsku pobożnością, gdyby pobożność nie wskazywała i na Boga także, a ów pierwszy kościelny wyraz w swem ściśle odznaczonem przyjęciu jako cnoty osobnej chrześcijańskiej nie odnosił się bezpośrednio tylko do rodziców i do ojczyzny, lub do tego co z nimi ma związek.

Jest to, mówię, osobna cnota. Św. Tomasz, ten wielki nauczyciel kościelny, którego naukę Kościół za swoją uważa, ma osobną rozprawę o tej cnocie, która się nazywa *pietas*; i powiada, że tym samym sposobem i prawem, jak cnota religii, odnosi się do Boga, i ma za przedmiot swych czynności Boga; tak ta druga cnota, cnota tej pobożności synowskiej, odnosi się wprost do ojczyzny i rodziców, i ma za przedmiot rodziców i ojczyznę. Cnota tedy prawdziwa i pierwsza, jaką, po religii względem Boga, człowiekowi nakazuje sprawiedliwość, ta wielka cnót matka. Taka jest nauka św. Tomasa, a tem samem Kościoła; taką jest ta cnota, iście święta, iście chrześcijańska, iście boska!

Ale jeżeli ją nakazuje sprawiedliwość według tej niemyślnej nauki, tedy ją również nakazuje miłość (*charitas*), ta druga wielka cnót matka, owszem, wszystkich cnót królowa, ich źródło najgłębsze i ich szczyt najwyższy. Miłość ma wprowadzić

Boga za jedyny swój powód i początek, za jedyny cel i koniec; ale za przedmiot z jednej strony ma tegoż Boga, z drugiej, jakoby powtórzenie jego, ma bliźniego; a między bliźnimi, jak wiemy, na pierwszym miejscu są rodzice i ojczyzna. A więc i ta cnota miłości, a mówię o miłości Bożej, nakazuje również kochać ojczyznę, i to sprawia, że kochając z tego powodu ojczyznę, kochamy Boga samego, bo spełniamy Jego przykazanie. A tak zewsząd i coraz więcej i więcej, miłość ojczyzny wykazuje się i jest rzeczą świętą.

Cześć jej! Czyście widzieli kiedy pobożnego syna, pracującego w pocie czoła na utrzymanie ojca ubogiego i skołatanego wiekiem? Czyście widzieli córkę pobożną, dzień i noc nieodstępującą od matki, złożonej na łożu boleści? Czyście widzieli prawych synów ojczyzny, przynoszących wszystko co mają w ofierze, kiedy ojczyzna w potrzebie? Cześć im! W nich żyje owa miłość, owa pobożność synowska, owa *pietas*, którą niebo uświęca. Bóg na nią z góry patrzy, i poznawszy swoje dziecko, jak ojciec błogosławi.

Ale, — czemuż to ale? Lecz ono koniecznie przychodzi. Więc powiadam: ale czyście nie słyszeli tego drugiego głosu: Kto nienawidzi ojca i matki, nie jest mnie godzien? — Kto nie wyrzeknie się braci i sióstr, i żony i domu, a więc z nimi i ojczyzny całej, nie jest mnie godzien? Kto się nie wyrzeknie, kto nie znienawidzi, nie jest mnie godzien, nie może być uczniem moim? Co ten głos znaczy? głos tak stanowczy, tak nakazujący, a tak zdaje się niemiłosierny? tak przeciwny tamtej nauce i tamtej prawdzie? Byćże może, aby one z jednych ust wyszły? aby i jednemu i drugiemu Bóg dał pieczęć Swoją, aby nam Bóg obie rzeczy dał za przykazanie, i chciał, abyśmy Mu z obojga przykazań zarówno przynieśli pełne, a zgodne z sobą owoce?

Zagadka, bracia moi! A kto nam ją rozwiąże, jeśli nie ci sami mędrcy, których dzisiaj święto święcimy, ci mędrcy, którzy są gotowi rozwiązać zagadki wszystkich wieków i całego rodzaju ludzkiego: mędrcy prawdziwi! Któż, jeśli nie oni, którzy umieli, gdy tego potrzeba było, i porzucić ojczyznę, zaprzeć się jej, i pójść daleko, gdzie im Bóg iść kazał; i znowu umieli, gdy tego znowu była potrzeba, powrócić do tej ojczyzny, i wylać na nią całą miłość swoją wraz z temi darami



niebieskimi, które ona miłość dla niej znalazła i dla niej przyniosła.

Jakież tedy jest to cudowne słowo zagadki, którego nas ci mędracy uczą? To, a nie inne, Bracia moi! że jest fałszywa miłość ojczyzny, i tę trzeba znienawidzić, i tę trzeba porzucić; i jest znowu prawdziwa, i tę trzeba przyjąć do serca, tą żyć i działać. Fałszywa, kiedy się kocha ojczyznę bez Chrystusa, kiedy się ją kocha nie w imię Chrystusa, nie dla imienia Chrystusowego. Z takiej ojczyzny uciekli mędracowie, z ojczyzny bez Chrystusa, i właśnie dlatego, że Go tam nie było, i właśnie dlatego, aby Go znaleźli i do ojczyzny przynieśli: i kto jedno mędrzec, ten tak, bez Chrystusa, ojczyzny nie kocha. Nie kocha ojczyzny dla ojczyzny, nie kocha jej dla bogów leśnych, i dla jej nymf wodnych, i dla jej geniuszów domowych, dla jej larów i penatów. To wszystko nie Chrystus. To wszystko biedota pogańska, to wszystko natura śmiertelna; wszystko z tej natury rodem i razem z człowiekiem zstępuje do wspólnego grobu. Tego mędrzec kochać nie może: takie kochanie, owszem, musi znienawidzić, wyrzec się go, porzucić je: to miłość fałszywa. Nauczeni mądrości z nieba, oni kochają swoją ojczyznę, nie dla niej samej, nie dla jej wdzięków przyrodzonych, ani dla jej uroków osobistych; ale kochają inaczej: kochają naprzód jak swoją matkę przyrodzoną, ale której brakuje wszystkiego, nie tylko wdzięków i uroków, ale życia i zdrowia, bo brakuje Chrystusa. Więc biegną choćby na kończyń świata, choćby do ziemi żydowskiej, i tam znajdują, czego potrzeba, i z tem wracają, i przynoszą Chrystusa tej matce swojej. Szczęśliwi synowie! którzy mogą w stonach matce wrócić to, co od niej raz wzięli, i za życie ziemskie odplacić życiem niebieskiem. I odtąd kochają prawdziwie tę ojczyznę, którą poświęcili Chrystusowi, która się stała Jego mieszkaniem, Jego narzędziem, Jego świątynią, i w której Chrystus jest początkiem i końcem wszystkiego. Szczęśliwi zaiste synowie; ale szczęśliwsi jeszcze miłośnicy: znaleźli wszystko, co potrzeba, do prawdziwej miłości! I jakże nie ma być teraz prawdziwą? Znaleźli nie tylko co kochać, Ojczyznę odrodzoną; ale znaleźli jeszcze c z e m kochać, znaleźli Chrystusa. Jednego i drugiego potrzeba, aby miłość być mogła prawdziwa. Oni



oboje znaleźli i są szczęśliwi całym szczęściem, jakie miłość prawdziwa dać może.

Ale nam tu trzeba razem z wami, Bracia najmilsi, zstąpić głębiej do tej zagadki o miłości ojczyzny i objaśnić sobie wspólnie to, com teraz powiedział, to mówię, że prócz tego co kochać, trzeba nam mieć to czem kochać. Tym dopiero sposobem będziemy mogli jasno zobaczyć jak z tą rzeczą świętą trzeba się święcie obchodzić. Pokazałem wam obraz zewnętrzny tej rzeczy na tych mędrach szczęśliwych; teraz muszę wyświecić jej istotę wewnętrzną: odchylić zasłonę i pokazać w głębi i na dnie czem jest i czem żyje ta miłość ojczyzny.

Bracia moi! Mówiąc o miłości ojczyzny, nie mówię o miłości bezwzględnie uważanej; bo wtenczas inaczej musiałbym mówić. Gdybym mówił o miłości bezwzględnie, a taką jest tylko miłość Boża, musiałbym powiedzieć, że jej celem i końcem jedynym, a zatem i przedmiotem pierwszym i ostatecznym jest Bóg, że jej początkiem i źródłem jest łaska Boża w duszy naszej razem z nami działająca, że jej środkiem, to jest czynem i życiem jest oddanie się bezwzględne, bezwarunkowe, zupełne, w całkowitej ofierze duszy naszej Bogu, któremu oddaniu się Bóg odpowiada podobnem udzieleniem się ze swej strony. To jest miłość bezwzględna. Inne jej warunki i inne przymioty. Tam niema nic do rozróżnienia. Tam wszystko czyste i pełne, w sobie samem ma swoje uświęcenie.

Ale kiedy mówię o miłości ojczyzny, mówię o miłości względnej. Tam i przedmiot miłości, cel i koniec jest względny; tam źródło skąd pochodzi, powód i początek jest względny; i względny także być musi ów środek wspólny obojga, sam czyn i życie takiej miłości. Więc się też zmieniają warunki, i inne są cechy i przymioty takiej względnej miłości. Przedmiotem, końcem i celem jest tam ojczyzna, a ta bez Boga i bez Chrystusa, dowiodę wam zaraz, miłości nie warta; tam źródłem i początkiem miłości jest własna dusza i jej upodobanie, a ta również bez Boga, zobaczycie, miłości nie zdolna; tam środkiem i życiem takiej miłości może być wprawdzie oddanie się, poświęcenie, ofiara; ale ta bez Boga, sami mi świadczycie, na nic nie przydatna, czeza, próżna, i żal się Boże! wierutne nicstwo!

To twierdzą, tego mam dowieść: ale rzecz tak jasna, że tylko rękę trzeba mi otworzyć, a pokażę ją wam jak na dłoni.

Ojczyzna bez Boga, bez Chrystusa, miłości nie warta. Tego miałbym wam dowodzić? Ale rzecz sama z siebie iskrzy się i pali: nie tylko światła, ale ognia pełna. I spustoszenie jakie rzecz podobna, ojczyzna bez Boga, i sama za sobą roznosi, najlepiej o niej świadczy. Weźcie z historyi jakikolwiek naród i jego ojczyznę, z tych co to były biczem Bożym, różgą karzącą, takie, gdy się pojawiły, strach je poprzedzał a śmierć szła za nimi. W nieczystości poczęte, krew ofiar od dziecka ssaly, i krwią się pasły: w rozpuście i we krwi wzrosły, i czem wzrosły, w tem się zestarzały: kłamstwo ich zakonem, zdrada ich mądrością, rozbój ich wielkością, rozpusta ich cnotą. I tym bogom swoim chcą coraz więcej ofiar przynosić, i co jedno w rękę na około im wpadnie, na ołtarzu im palić. O Chrystusie mało co słyszeli: albo, jeżeli słyszeli, to jedynie dlatego, by go hisurmańskim zadławić stryczkiem lub na żydowskim przybić krzyżu! Alboż nie było takich narodów i ojczyzn? Ach bogdajby ich i dziś jeszcze nie było! Wzdy tedy jeśli się między nimi urodzi jaka dusza poczciwa, albo tam się zabłąka jaki syn Boży, czyż może taką kochać ojczyznę, taką, mówię, taką? A toć raczej będzie jej życzył śmierci dobrej: śmierci, mówię, dla takiego życia, aby znalazła inne życie w takiej dobrej śmierci. Ale kochać jej, taką jaką jest, nie, na Boga! nie może. A więc ojczyzna bez Boga, bez Chrystusa, nie warta kochania. Czyż tego trzeba było dowodzić?

Ale teraz może to będzie bardziej dowodzenia potrzebowало, że jakkolwiek jest ojczyzna, nawet kiedy dobra, jednakże dusza bez Chrystusa, bez łaski Jego, kochać jej nie zdolna? Tak: co się to może niejednemu wydawać będzie rzeczą mniej pewną. Jakto? Ten różnowierca, ten filozof, ten filantrop, ten mistrz jakiej loży świętojańskiej, zawołany patriota, co wszystko złożył, jak to mówią, na ołtarzu ojczyzny, co wszystko straciwszy za ojczyznę, i dla jej miłości, z kosztorem tułaczym poszedł żebrac chleba po świecie, ten, że bez Chrystusa w duszy, już ojczyzny nie kocha? Darujcie, moi mili; ale wam wręcz powiem: nie kocha! Twierdzenie moje stanowcze i całkowite, może za śmiałe na tego, który nie ma czasu go dowieść, ale niemniej jednak pewne siebie. A mam sposób, za

którym musicie je przyjąć: oto odwołam się do was naprzód, odwołam się potem do tych samych, o których mowa, do tych bohaterów, ale bez Boga.

Powiedzcie wy mnie naprzód, czy człowiek nie ma przede wszystkim siebie samego w sobie samym, i czyście już sami nie doszli do tej psychologicznej przenikliwości, że badając o pierwszy powód i ostatni cel czynności naszych, jeśli bez Boga czynimy, znajdujemy na końcu że nim jesteśmy my sami? Samocześć i samolubstwo, te najprawdopodobniej, te są bogi i ołtarze, którym i na które niesiemy nasze ofiary, i wszystkie nasze czynności są podobno ich wyłączną własnością. A wtedy, gdzie miłość, kiedy jej kat, samolubstwo, jest najwyższym w duszy naszej kapłanem? Odpowiedzcie: czyż nie tak?

A teraz wy mi odpowiedzcie, wy wielcy u ludzi mężowie! ale w których duszy Chrystusa niema, którzy bez Niego żyjecie, z siebie i dla siebie! Co w waszej duszy było, kiedyście to, lub tamto czynili co ci chwałą i podziwiają? Czy nie była czasem ta sama chwała i podziw, jakie sprawicie? Czy nie był czasem daleko niższy взгляд ludzki: Co, jeśli nie zrobię, ludzie powiedzą? albo odwrotna próżność: Niechże mówią, i jak najwięcej mówią! W każdym razie, czyście nie mówili sami sobie, że pięknie i dobrze robicie? O wierzącym: jeśli Chrystusa w was nie było, choć w okruszynie jakiej, tedy jedno z tych było; a to wszystko, drodzy moi, samocześć i samolubstwo, nie miłość, nie, nie miłość. Pomówcie o tem z waszem sumieniem, przyjaciele! z niem was zostawiam; jeśli ono prawdę lubi, powie wam to samo, co ja wam mówię; i im więcej ją lubi, tem prędzej wam powie.

A więc bez Chrystusa nie jesteśmy zdolni miłości. Nie chciałem dowodzić, a jednak rzecz dowiedziona.

Lecz to wszystko zostawiam, i do głównej teraz rzeczy przychodzę. Odetchnijmy proszę, bo rzecz najważniejszą mam tutaj powiedzieć. Zapomnijmy nawet o tem, com dotychczas powiedział, owszem dajmy na to, że co innego się święci. Dajmy na to, że ojczyzna, tak sama z siebie, warta kochania; dajmy na to, że my także, sami z siebie zdolniśmy kochać. Wszystko w porządku: ale brakuje jeszcze jednej rzeczy, brakuje samego środka, a przeto życia; brakuje właśnie tego, o czem mówiliśmy, brakuje czem mamy kochać: brakuje podarunku ślub-

nego, brakuje posagu, brakuje wieńca na te gody, bo brakuje datku, ofiary, czynu. Cóż ja miłośnik dam tej ojczyźnie, oblubienicy, co jej dam, co przyniosę, czem będę karmił, czem życie utrzymywał? Czyż, miłośnik nieszczęśliwy! będę patrzył jak w moich oczach będzie musiała z głodu umierać? Cóż jej tedy dam? To pytanie, to węzeł do rozwiązania, to zadanie do spełnienia. Pytanie nad wszelkie pytania, zadanie nad wszelkie a wszelkie zadania. Jeśli ono niepodobne, i miłość niepodobna.

Co dam ojczyźnie? woła młody marzyciel i dziwi się jeszcze, że się go o to pytają. Co jej dam? powiada, nic łatwiejszego: dam wszystko co mam, a wzwyz tego dam samego siebie. Niech każdy to uczyni: będzie ojczyzna bogata! O młody niedoświadczeńcze! przebaczam małości twojej. Powiadasz, że dasz ojczyźnie siebie samego? Ach, biadaż! tego właśnie potrzeba, aby ojczyznę złożyć w grobie. Co? dasz jej siebie samego? A wiesz czem ty jesteś, i co ty masz, i co następnie dać możesz? Bądź cierpliwy przez chwilę: ja ci powiem. W twojej głowie ani światła, ani prawdy, ani celu życia, ani drogi jasnej, ani środków pewnych; zasad żadnych, rady żadnej! cóż ty dasz ojczyźnie, gdy jej dasz twą głowę? W twojem sercu trzeźwości nie wiele, fermentacyi i waru dużo, dużo; różne a pełne życia namiętności, bogdajby jeszcze pocziwe jakie, co powoli ciągną do błota, a to może dzikie i rozhukane, co w mgnieniu oka pchają do przepaści. I cóż dasz ojczyźnie, kiedy te jej oddasz? A twoja dusza i twoja wola, twoja osoba i twoje ja? Czy i te ojczyźnie oddasz? O nie, tych nie oddasz. Gadał sobie zdrów i przysięgał jak chcesz; zaprawdę powiadam ci, wszystko inne oddasz, ale tych nie oddasz; a ja ci powiem: że raczej im na ofiarę samą ojczyznę przyniesiesz. Młodzieńcze, młodzieńcze! jeszcze nie wiele wiosen rachujesz, i nie wieleś na świecie widział; mimo to jednak spojrzysz po tych polach, które twe oczy już przebiegły, i zajrzyj jak możesz daleko: znajdziesz tam zasiane mnóstwo ofiar, majątki, imiona, tytuły, urzędy, godności, żywoty same; ale nie wiem, czy tam znajdziesz jaką osobistość uronioną, choćby jedno ja zabite pomiędzy tyłu trupami! Owszem, otwórz lepiej oczy, i patrz razem ze mną: ja tam widzę jeszcze teraz te osobistości nie umarłe, choć śmiercią tylko żyjące: to one te pola tru-



pami zasłały, i jeszcze jak upiory tłuką się po nich, i nieboszczykom odpoczynku nie dają!

Oto co dają i co dać mogą ojczyźnie ci, co jej wszystko dają i samych siebie dają, ale bez Chrystusa. Czy tego jej potrzeba? Czy tem ona żyć może? Czy taki datek ma wystarczyć miłości prawdziwej?

O nie, nie, nie! Takie dary może tylko przynosić miłość fałszywa i ci, co nią są zaślepieni, co niby kochając, szarpią dzielnymi rękoma to właśnie, co tak kochają. Nie, miłość prawdziwa ma inne dary, bo ona inaczej kocha. Ona prawdziwie kocha, a miłość prawdziwa ma oczy, nie ślepa: ma głowę, ma serce, ma duszę: a tam wszystko pełne, bo tam we wszystkim Chrystus. Więc ma co dać, i daje. Daje dary prawdziwe, jak ona sama prawdziwa, i w tej doskonałości darów leży doskonałość prawdziwej miłości.

O Bracia moi, spojrzjmy razem na to, co daje miłość prawdziwa, na ten wspaniały obraz: on będzie koroną i wieńcem tego mego dowodzenia. Słuchajcie, słuchajcie, proszę: bo to chciałbym, żeby wam zostało w głowie i w sercu, i w głębi duszy.

Miłości treścią, istotą, potrzebą, koniecznością jest dawać. Im większą jest miłością, tem więcej chce dawać i daje, i im więcej daje, tem większą jest miłością. Ale żeby dać, trzeba mieć. Cóż tedy ma dusza ludzka, czemże jest? Niestety! sama z siebie jest nicestwem, i nie ma nic. A więc jakże kiedykolwiek będzie mogła kochać, kiedy będąc nicestwem, nie nigdy dać nie będzie mogła? Nie lękajmy się: Jest miłośnik który właśnie nicestwa szuka, chce żeby mu dano nicestwo właśnie, i za nicestwo da siebie samego i swoją pełnię: tym miłośnikiem jest Bóg. Więc pierwsza i prawdziwa miłość może być tylko między Bogiem a duszą. Ta jest miłość bezwzględna. Ale kiedy dusza jest już w miłości z Bogiem wtedy ma wszystko: prawdę, dobro, życie: i nad to wszystko Boga samego: On się jej oddał. Wtedy ma także co dawać. A więc wtedy, ale wtedy tylko, może prawdziwie kochać. Wtedy tylko może być ona druga miłość, względna, która co innego kocha niż Boga, ale kocha Bogiem: ona miłość, o której mówimy, bliźniego i ojczyzny.

Co za przedziwna w miłości mądrość i harmonia. Człowiek dlatego właśnie, że nie ma, ale że jest panem swego ni-



cestwa, tem samem ma ten dar nieskończony, który dać może Bogu, i tak może Go kochać i być od Niego kochanym; a raz posiadłszy przez miłość Boga, jest panem Boga samego, i znowu może dawać, a więc i kochać. Lecz wtedy daje nie siebie samego, nie swoje nicestwo, ale Boga! Zrozumiemyż ostatecznie i zapiszmy w sercu ten zakon miłości: kocha się Boga, kiedy Mu się oddaje siebie samego; kocha się innych, kiedy się im daje Boga. Ten jest zakon i ta tajemnica prawdziwej miłości.

O najdrożsi, nauczmyż się teraz jak mamy kochać ojczyznę. Nauczmy się od tych mędrców, których dziś święto święcimy. Oni właśnie dopełnili tego podwójnego zakonu miłości. Naprzód przybiegli do Boga, aby Mu oddać siebie samych; a potem, w zamian za siebie Boga dostawszy, pobiegli napowrót do ojczyzny, aby jej dać Boga i Bogiem ją uszczęśliwić. Bracia moi! nauczmyż się raz kochać ojczyznę. Mówimy, że ją kochamy. Niechże się miłość nasza okaże w tych darach, jakie jej niesiemy. Bóg, Bóg jeden ma być tym nieocenionym darem, który powinniśmy jej przynieść w upominku miłości. A Bóg w Chrystusie, a Chrystus w Kościele. Więc chodzić nam powinno o Boga w naszej ojczyźnie, o Chrystusa w naszej ojczyźnie, o Kościół w ojczyźnie naszej! Ach na Boga! przestańmy ją karmić naszym głupstwem, szaleństwem, nicestwem, nie dawajmy jej siebie samych po naszemu, bo ją wtedy zabijamy rękoma własnymi: dajmy jej Boga, Boga, Boga! a żyć będzie. O Boże, daj nam ten rozum, to serce, tę miłość Twoją, daj nam Siebie samego z tą Twoją miłością; a pełni Ciebie, Ciebie poniesiemy. Ciebie damy, Ciebie w nią wlejemy, w tę biedną ojczyznę naszą. A wtedy, choćby już ona i dni cztery, jak Łazarz, w grobie leżała, obudzi się, jak Ty jej się dotkniesz, i zmartwychwstanie! -

## II.

Lecz nie, Bracia moi! ja się myślę. Ojczyzna, którą kochacie, nie umarła. W niej jeszcze jest Chrystus, i ona żyje. Kto o tem zaręcza? Sam Bóg, bo Jego Zastępca na ziemi, Ojciec święty, nasz Ojciec kazał się modlić za Polskę, i to rozkazując nazwał ją po własnem imieniu. Na to imię swoje przez ten głos wyrażone, gdyby już nawet była nieboszczką, byłaby się ocu-

ciła i z grobu powstała: ale on o niej mówił jako o żyjącej: „Woła jest Ojca świętego, tak mówi, aby czyniono szczególne modlitwy za nieszczęśliwą Polską”.— Czy słyszeliście? za Polską! Więc Polska żyje.

Ale czy i to słyszeliście, że ją nazwał nieszczęśliwą?— Nieszczęśliwa! Tak, to dzisiaj drugie imię Polski, ale zarazem i drugie świadectwo, że żyje. Tak! ona dwakroć żyje, i jako Polska i jako nieszczęśliwa. O! jak w tym jednym wyrazie dodanym wylało się całe serce kochające prawdziwego ojca. On czuje we wnętrzościach nieszczęście dziecka i nie może o niem zamileć, i woła: nieszczęśliwe!

Tak tedy Ojciec święty każe się modlić za nieszczęśliwą Polskę, którą, mówi dalej, z boleścią widzi, że się stała w tej chwili bojowiskiem rzezi i krwi. Ach! rzną ją, krew się leje: ale ona żyje, i to właśnie trzykroć świadczy, że żyje: ta krew, te rzezie. Więc żyje, żyje, żyje.

Ale teraz zrozumiemy jakie jest to życie. To nie byle jakie życie, to nie jest życie tego ciała i tej krwi, które rzną i którą leją. O nie! jej życie nie jest z ziemi, jej życie jest z nieba, w Chrystusie i przez Chrystusa, w Kościele i przez Kościół: jej życie jest zatem prawdziwe, niezwiędłe, nieśmiertelne.

I to widzi Ojciec prawdziwy, i z tego się cieszy: cieszy się miłość jego, i budzi się cała, i silnym głosem woła na cały świat chrześcijański, świadectwo dobre dobremu dziecku. Naród polski, woła, czy słyszycie, to o waszej ojczyźnie mowa, nie o umarłej, nie o pogrzebanej, nie o znikłej z tego świata, naród polski, woła, był zawsze katolickim, oto jego ono życie prawdziwe: lecz nie dosyć: on nie tylko sam żył tem prawdziwem życiem, ale, mówi dalej, był jakoby przedmurzem przeciwko najazdowi fałszu: tak, on zasłaniał swą piersią życie całego Kościoła, całe Królestwo Chrystusa na ziemi: a więc, powiada, za prawdę zasługuje, aby się modlono za niego. Patrzcie! do miłości przyłącza wdzięczność, pamięć odebranego dobrodziejstwa. Jak miłość o niczem nie zapomina i jak umie podwoić się czułością i serdeczną odpłatą!

Ale teraz, o najmiłsi, słuchajmy co dalej mówi: bo teraz mówić będzie, o co się ma modlić świat chrześcijański, jaki

dar od Boga wymodlić dla Polski. O darze dla nas będzie teraz mowa; a dar w miłości już wiecie co znaczy; to sama miłość: ona się poznaje po darze, który niesie. Słuchajmyż, słuchajmy jaki to dar nam przynosi prawdziwa, boża, najwyższa miłość na ziemi: miłość Ojca miłości i wiary chrześcijańskiej? Słuchajmy: bo ten sam dar, który on nam niesie w życzeniu i modlitwie, ten sam my powinniśmy przynieść ojczyźnie naszej w czynie i w życiu, jeśli ją naprawdę kochamy; jeśli ją kochamy jak prawdziwa, boża, najwyższa miłość kochać nam ją każe. A więc słuchajmy!

Aby naród polski, prawi, był uwolniony od bied, które go przygniatają. A od jakich bied? Zaiste, naprzód od tych rzezi, od tych spustoszeń, od tego krwi przelewu; ale nie tu koniec; aby, powiada dalej, nie stracił nigdy swego charakteru. O najdrożsi! tu, tu leży cała treść tego głosu, tej modlitwy, tej miłości, tego jej życzenia i tego jej daru. Aby nie stracił nigdy swego charakteru! Toby dopiero była bieda, toby było nieszczęście, wcale inne od tego, które nas teraz gniecie, bo za nim tuż wtropy przyszlaby śmierć i zaguba ostatnia. Od tego nieszczęścia broń nas wielki Boże! Abyśmy nie stracili nigdy naszego charakteru. I dla tego to pierwsza prośba, ten pierwszy ratunek, ten pierwszy dar, jaki nam od Boga chce wyżebrać miłość prawdziwa. Więc to samo, też, o najmilsi, powinno być pierwszą pracą naszą, pierwszym czynem, pierwszym darem w życiu i w spełnieniu, który powinniśmy przynieść ojczyźnie naszej. Ach pilnujmy się, strzeżmy, czuwajmy, aby się nie wkradło jakie lichy do naszego łona: nowe wiary, nowe zasady, nowy obyczaj, nowy zakon: — cierpmy co cierpieć można, ale cierpmy tylko, — a sami siebie strzeżmy, abyśmy nie stracili charakteru naszego, abyśmy nie przestali być chrześcijanami, katolikami, synami Kościoła, abyśmy nie przestali być przedmurzem i przedpiersiem chrześcijaństwa przeciwko wszelkiemu błędowi, wszelkiej schizmie, wszelkiej herezyi, wszelkiemu bisurmanstwu, — abyśmy, na Boga! nie stracili charakteru naszego; bo wtedy biada, biada, biada! to byłby dzień ostatni, to byłaby godzina śmierci!

Oto pierwsza rzecz, którą mamy przynieść w darze ojczyźnie naszej, jeśli ją kochamy. A teraz co więcej?

Aby naród polski, mówi dalej Ojciec święty, zachował się zawsze wierny temu posłannictwu, jakie Bóg mu powierzył! — Czy słyszycie? To Bóg nam powierzył to posłannictwo! I kto to nam mówi? to od Boga głos, więc to Bóg nam mówi! I czy na ten głos już każdemu nie zatętnią oba jego uszy? I czy po tym głosie jeszcze kto będzie mógł głuchym pozostać?

O narodzie polski! ty masz posłannictwo od Boga samego, i Bóg sam ci to mówi. Nie lękaj się: Ty żyjesz! I możeż nie żyć kto ma posłannictwo od Boga? I w tym samym czasie, kiedy mu On mówi: Idź i zachowaj się wiernym posłannictwu, jakie ci powierzyłem? Narodzie polski! tylko bądź wiernym, a żyć będziesz. Sobie samemu nie wierz, kiedy ci się będzie zdawało, że umierasz; ty żyjesz, i żyć będziesz, i żyć musisz. Tyś nieśmiertelny: bo masz posłannictwo od Boga. Tylko zachowaj się wierny; a im bardziej będziesz wiernym, tem prędzej i tem pełniej wszystko się ziści, co ci jest powiedziane. I dla tego to drugi dar, który ci miłość prawdziwa przynosi, to to życzenie abyś się zachował wierny posłannictwu twemu, a tem samem żył i żył stokrotnie. — O jaki dar! i jaka miłość!

Ale teraz zrozumiej, ty synu tej ojczyzny, że to drugi twój obowiązek: zrozumiej i pracuj nad tem, o co ci się modlą; pracuj i nieustawaj; tylko tak się staniesz synem kochającym! tylko tak dasz życie twojej matce!

Lecz teraz to posłannictwo od Boga narodu polskiego, jakie jest? Oto, kończy, Ojciec święty, aby nie tylko strzegł jakokolwiek, lecz aby zachował nietykalny i niepokalany, i to za jednomyślną zgodą wszystkich synów tego narodu, sztandar wiary katolickiej i religji swoich ojców!

Co za słowa! Nie darmo Pasterz i Wódz najwyższy mówi o sztandarze, nie darmo mówi o ojcach. Sztandar, to znak wyprawy, pochodu, wspólnej pracy lub wspólnej wojny. Ojcowie to właśnie ci rycerze, lub ci pracownicy, co za wiarę walczyli, lub ją naokoło miłością rozszerzali; i póki to czynili, żyli życiem wielkiem, godnem takiego sztandaru; i sławne było imię Polski i Polaków po całym obszarze ziemi. Niestety! pierwszy zapal ostygł, nogi im się zachwiały, usiedli w próżnowaniu,



lub położyli się i zasnęli w letargu. Jednakże sztandaru nie odbiegli, zostali jakoś koło niego i strzegli go jakokolwiek. — Lecz nie tak ma być, nie tak! woła Ojciec najwyższy: posłannictwo narodu polskiego nie ma się rozplynać w bezwładności i utonąć we śnie; nie, nie jakokolwiek ma strzedz sztandaru wiary ten naród od Boga posłany; ale ma go podnieść wysoko: ten sztandar ma w jego ręku stać na znak narodom, a nietykalny i niepokalany, czysty, jasny, świeży, promieniący — i pod nim i z niego ma się krzewić nowe pełne życie, pod tym sztandarem wiary: bo życie chrześcijańskie z wiary. I niech ten naród żyje wtedy życiem pełniejszym niż kiedy, niech wielcy synowie przerosną wielkich ojców, niech ten naród z upadłego stanie się potężnym, z chwiejnego stanie się mocnym, z nieszczęśliwego stanie się szczęśliwym, z posłanego stanie się całym wybranym i błogosławionym: niech będzie pociechą dla Boga, szczęściem i błogosławieństwem dla ziemi, a dla Kościoła tarczą i bezpieczeństwem, chlubą i koroną.

O Boże wielki! prosimy Cię o to! woła Ojciec święty. O Boże prosimy Cię o to! woła świat chrześcijański; o to, o to Cię prosimy! głosem wielkim ziemia cała woła do nieba, niebo całe woła do Boga: o to, o to, dla Narodu polskiego!

Czy ty to słyszysz, mój drogi? Czy rozumiesz? Staje ci jeszcze tchu i serca? Upadnij na oblicze, i dziękuj, a nie dziw się: to głos miłości, to życzenie miłości, to dar miłości! To wszystko Ojciec święty znalazł w swem sercu i dał dla dziecka swego, dla ojczyzny twojej!

A ty teraz, synu tej ojczyzny, ale dziecko także i przede wszystkim tego samego Ojca, czy zarazem i to rozumiałeś, coś ty sam powinien uczynić? Rozumiałeś dzięki Bogu! głos miłości, ale czy zarazem rozumiesz twój własny obowiązek i czyn do spełnienia, który za nim idzie? — Ach! wiedz, że o co tak się modli i Ojciec święty i Kościół i ziemia i niebo, to ty uczynić powinienes, ty spełnić i żyścić. Wiedz, że to ty masz pracować nad tem posłannictwem, ty być tym dobrym katolikiem, tym zasłużonym synem Kościoła, ty strzedz tego charakteru narodowego opartego na zakonie Bożym, ty być tem przedpiersiem Chrześcijaństwa w twojej własnej piersi Chrystusa nosząc, ty trzymać ten sztandar wiary, i, broń Boże! go nieskałać, ty rozkrzewiać to życie odrodzone i ten zakon ja-

koby nowy, tak, niestety! zaniedbany, życie i zakon wiary katolickiej i miłości Chrystusowej! Synu tej ojczyzny, to twój obowiązek, to twój czyn do spełnienia, i tak święty, tak niezbędny, tak konieczny, że jeżeli go nie uczynisz, twoja matka żyć nie będzie.

O dziecko tej matki! O synu nieszczęśliwej Polski! w twojem ręku jej życie, w twojem ręku jej szczęście. Czyż jeszcze będziesz czekał? Jeszcze długo dasz matce umierać? — Idź, i czyń tak, jak ci powiedziano: jak ci mówi ten głos od Boga. Idź, spiesz się i czyń tak! A ten sam Bóg, który ci to każe, On sam i prędko, i długo, i bez końca, błogostawić będzie, i tobie, i ojczyźnie twojej. Amen.

## KAZANIE XXIX.

### O miłości Ojczyzny.

Nauka druga miana w Rzymie w poniedziałek wielkanocny 24 marca 1864 r.

#### Najmilsi Bracia!

Kiedym do was po raz pierwszy w tym roku mówił, patrząc na was, patrzyłem na przedstawicieli nieszczęśliwego narodu naszego, i, mówiąc do was, miałem zamiar mówienia i mówiłem do całego narodu. A mówiłem słowami Ojca świętego, najwyższego i najprawdziwszego ojca tegoż naszego narodu, ojca wszystkich narodów, bo zastępcy tu na ziemi stwórcy i Boga, króla i rządcy ich wszystkich. I słowa te Ojca świętego nie były to słowa ogólne jakie, powiedziane na wszelki przypadek, i odnieść się mogące do wszystkich bez różnicy. Były to owszem słowa szczególne i bardzo szczególne, powiedziane do nas, powiedziane do narodu polskiego; żywe jego imieniem, jego cierpieniami, jego nieszczęściem. Były to słowa pociechy i nadziei, otuchy i mocy. Mówił nam, żeśmy synami matce naszej, Kościołowi, dobrze zasłużonymi, i w tem słowie była zaiste pociecha; mówił, że nam Bóg najwyższy dał posłannictwo do spełnienia, i w tem słowie była nadzieja; mówił nam, żebyśmy nie ustawiali, i owszem coraz silniej trzymali sztandar wiary, tego posłannictwa naszego, i w tem słowie była otucha; mówił i rozkazywał, aby świat cały chrześcijański modlił się za nas, i w tem słowie była moc, pociecha, nadzieja,

otucha, moc najczystsza, najwyższa, niezmierzona. Świat nam nie podobnego dać nie mógł. Ten głos modlitwy, który z milionów i milionów piersi podniósł się z ziemi do tronu Bożego, a któremu tam przed nim wtórowało niebo całe, ten mówię taki głos, wołający o pomoc do Boga, to dopiero siła, to potęga, której wielkość mierzyć się może jedną tylko wszechmocnością Bożą.

Atoli mimo to ten Bóg wszechmocny a dobry a miłosierny, zdaje się jednak, że ręki dotąd nie wyciągnął jeszcze na ocalenie nasze. Klęski się pomnożyły, cierpienia z dnia na dzień boleśniejsze, skruszenie większe i coraz większe, nieszczęście granice i miarę przerasta, a Bóg zdaje się głuchy na wołanie nie już nasze, ale świata całego! Cóż to? Czy już twarz Swą odwrócił i rękę usunął, i kazał, aby rzeczy szły ślepym, przyrodzonym swym torem i toczyły się same do koniecznych następstw i do ostatnich przepaści? I czy nas czeka nieuchronna ostatnia zagłada?

Niech komu drży serce, kto niema wiary w Boga; niech sobie dłonie załamuje, kto nie wierzy w słowo i w modlitwę Kościoła. Ja powtórzę, com pierwszym razem powiedział: Narodzie polski! nie lękaj się: ty żyjesz i żyć będziesz; sobie samemu nie wierz, kiedy ci się będzie zdawało, że umierasz; tyś nieśmiertelny, bo ty masz posłannictwo od Boga, i to ci mówi Kościół, i to ci mówi Bóg sam. Więc nie lękaj się i dzisiaj, i nie wierz, aby to już była chwila ostatnia twoja. Ale i dzisiaj dodam, com wtenczas dodał: Tylko na miłość Boga, o narodzie polski! bądź wierny temu właśnie posłannictwu twemu, o którym ci Bóg i Kościół mówi, temu posłannictwu, w którym leżą wszystkie warunki twego życia i rękojmie twojej tu na ziemi nieśmiertelności. Ach, narodzie polski! bądź wierny posłannictwu twemu.

A czyś doprawdy wierny? ja cię nawet o co mniejszego zapytam: czy rozumiesz przynajmniej, czy wiesz dobrze, jaki jest ten charakter, jakie jest to posłannictwo Boże, o którym Ojciec święty mówił i mówi do ciebie? Narodzie polski! Stał się do ciebie głos Boży; uderzyła w twe uszy trąba jego archanioła na ziemi: czy ty to wołanie rozumiesz? czy głos tej trąby umiesz rozpoznać? Bóg do ciebie przemówił, Swoje słowo do ciebie przysłał. Czy wiesz, że teraz inne twoje sumienie.

niż było przed chwilą? inaksza i nieskończona przed Bogiem odpowiedzialność? Ty musisz poznać ten głos Boży, ty musisz iście zrozumieć to Jego słowo do ciebie; Bóg darmo nie przemawia, i twoim najświętszym dzisiaj obowiązkiem zrozumieć, co On Tobie mówi, zrozumieć, jaki twój charakter i jakie posłannictwo od Boga ci dane. Ta jest, mówię, dzisiaj twoja pierwsza, najświętsza powinność, tak jak drugą będzie, abyś wypełnił to, co poznasz i zrozumiesz, to właśnie słowo Boże i to dzieło Boże.

A więc pytam się o to właśnie, nie już czyś wierny? czyś się wziął do dzieła? czy je spełniasz jak należy? ale pytam się o to naprzód i przedewszystkiem: czy wiesz? czy rozumiesz? czy czujesz? czy masz oczy otwarte? rozum jasny? serce obudzone? i czyś już przynajmniej gotów do dzieła?

I to jest, o czem właśnie przychodzę dzisiaj mówić do was. Powiem wszystko, co w sobie zamyka głos Ojca świętego o nas i do nas powiedziany, a jak oddam wiernie i jasno za łaską Bożą wszystko, co w sobie zamyka, dopełnię i ja posłannictwa mego, i tylko jedno wtedy nam pozostanie, prosić Boga, aby dał błogosławieństwo temu słowu Swojemu, i aby ono przyniosło zbawienie, które się w niem jednym zamyka. Prośmy Boga wszyscy o tę łaskę!

## I.

Nim do samej rzeczy przystąpimy, powtórzmy raz jeszcze proszę to słowo, które mamy tłómaczyć, to mówię słowo Ojca świętego, które dzisiaj już tylko jedno nam pozostało, powtórzmy je z uszanowaniem i ze czcią religijną.

„Wola jest Ojca św., tak mówi, aby czyniono szczególne modlitwy za nieszczęśliwą Polskę, którą z boleścią widzi, że się stała w tej chwili bojowiskiem rzezi i krwi. Naród polski był zawsze katolickim, i był jakoby przedmurzem przeciwko najazdowi fałszu, a więc zasługuje, aby się modlono za niego, żeby był uwolniony od bied, które go przygniatają, żeby nie stracił nigdy swego charakteru, ale żeby się zachował zawsze wierny temu posłannictwu, które mu Bóg powierzył, i żeby nie tylko strzegł (jakokolwiek), lecz aby zachował nietykalny i niepokalany, i to za jednomyślną zgodą wszystkich synów tego narodu, sztandar wiary katolickiej i religji swoich ojców.“



Najmilsi! Oto posłyszeliście na nowo głos Ojca świętego, poznaliście go na nowo, i po samym dźwięku zrozumieliście go lepiej niż kiedy. Nie będę wam powtarzał objaśnienia, z jakim się do was wtedy odzywałem, dziś nie o nie mi chodzi. Zresztą ono całe w tem się zamykało, że według Ojca świętego naród polski był katolickim, w tem cała jego chluba i wielkość, zachwiał się, w tem całe jego nieszczęście i przyczyna nieszczęść, ale na nim spoczywa jednak ten charakter i to postanowienie, być katolickim i żyć i czynić po katolicku, i w tem cała jego nadzieja, a w tem znowu cały obowiązek aby nie stracić tego charakteru, i aby postanowienie to odzyskać: w tem nareszcie cała moc i całe życie na przyszłość, aby ten święty sztandar swych ojców, sztandar wiary i religii katolickiej czysty i niepokalany podnieść wysoko, i bronić go dzielnie i jednomyślnie. Narodzie polski! być katolickim, to wszystko dla ciebie! Oto słowo które słyszałeś.

Ale teraz: co to jest być katolickim? Oto słowo, które masz posłyszeć.

---

Co to jest być katolickim? To pytanie w innych czasach mogłoby się może wydać zbytecznem, może nawet krzywdzącem; ale dziś nie tak. W tem zamąceniu wszystkich wyobrażeń w jakim żyjemy, jest to pytanie nawet potrzebne, nawet konieczne. Ach! bo nam się mylić nie można. Nam nie można byle jak być katolikami; — właśnie w tem bieda nasza i nieszczęście, żeśmy byli byle jakimi. Nam potrzeba być istotnie, prawdziwie, gruntownie katolickim narodem.

Cóż to jest tedy być katolickim? Nim wam na to pytanie w szczególności odpowiem, muszę wam wprzód wielką rzecz wypowiedzieć, wielki czyn zatwierdzić i wykazać: rzecz i czyn, które stanowią treść historyi dzisiejszego czasu, treść obecnej chwili, tej w której żyjemy; a więc rzecz i czyn niesłychanej wagi; a które jednak niejednemu na myśl się nie nasuną, niejednemu może samo ich przypuszczenie dziwnem się wyda. A ta rzecz i ten czyn są następne: że dziś na świecie i od dawna, a jeżeli chcecie od samego początku, tylko dwie są sprawy, które między sobą istotny i wierutny, to jest nigdy nieprzejednany bój wiodą, tylko dwa obozy, do jednego z których wszyscy wojujący nareszcie przejść muszą, i tu lub tam

ostatecznie zatknąć namioty; dwie mówię sprawy i dwa obozy: katolicki i przeciw katolicki.

Wojna, jest na porządku dziennym naszego czasu; gdzie się jeno w przestrzeni dzisiaj obrócisz wojna i wojna, i gdzie znowu w czasie myśłą zasiągniesz i tuż za nami z tyłu, i przed nami na przyszłość także wojna, i końca jej nie widać, tak jak nie widać granic. Nawet tam, gdzie jej niby niema, tam nawet huczy i szczeka; tyle wszędzie zbroi i zbrojnych; jak gdyby chciała mówić: Nie jestem, lecz będę! Ale czy wiedzą ci wszyscy, czy wie ta wojna sama, o co się ona toczy lub toczyć będzie? Nie sądzę, a przynajmniej nie wie tego jasno i na czyste. Bo gdyby wiedziała każda ze stron wojujących na co się obróci ostateczny wojny wypadek, możeby nie było tyle krwi nadaremnie przelanej. Ale i to należy do prób i klęsk i kar i oczyszczeń biednej ludzkości, że się myli i w wojnach i w przyczynach wojen, jak się myli w czem innem. Opatrzność atoli nad wszystkim czuwa i nie daje zbaczać ostatecznym następstwom. Te następstwa zawsze do swego celu trafiają prowadzone przez nieomylną tej Opatrzności rękę; a te końcowe cele wszystkich wojen na tem świecie dwa tylko; te o których mówiłem, upadek lub podniesienie, podniesienie lub upadek, według tego jak to wchodzi do najwyższych zamiarów, jednej lub drugiej z onych spraw naczelných jednego lub drugiego z owych obozów, to jest katolickiego lub przeciw katolickiego; lecz tak postawione i tak prowadzone oną najwyższą ręką te zmienne koleje tej wojny, że wszystko nareszcie skończy się zupełnym tryumfem jednego, a zupełną drugiego zagładą: tryumfem Bożego dzieła, a zagładą dzieła przeniewierstwa i bezbożności. I ten będzie ostatni koniec. Ale tymczasem wojna, i w tej wojnie, jak powiedziałem, tylko dwie sprawy, i tylko dwa obozy.

Z tej wysokości patrząc na biedne ludzkie waśnie, i na ich krwawe a żalosne swary, na ich zajażdże boje, na ich wiekowe nienawiście i bezlitościwe wytępianie się, jakieś smutne uczucie opanowyywa duszę. To co powiedział Chrystus na krzyżu o Swoich nieprzyjaciółach w chwili kiedy oni nad Nim swój krwawy odprowadzali tryumf: Ojciez odpuść, bo nie wiedzą co czynią! jakże o wielu możnaby i trzebaby powtórzyć, o tych często co najzajaździej się srożą w tych naszych codziennych

wojnach. Pod pozorem rozmaitych, jakoby słusznych i świętych powodów i przyczyn, podnoszą rękę świętokradczą na to co jedynie jest słusznego i świętego na ziemi. Raz w imię jakiejś świeckiej i ludzkiej sprawiedliwości, w imię krzywdy lub prawa, w imię sławy, honoru, racji stanu, politycznej konieczności, w imię nawet handlu, lub interesu czysto ładajackiego, ale zawsze w imię czegoś, co jeszcze uszy ludzkie nie razi ostatecznie, co ma jakiś pozór słuszności, rzucają się na to, co bliżej lub dalej do Chrystusa, i do Boga się odnosi, i nie wiedząc co czynią, sprawiają dzieło zatracenia. Inny raz znowu w imię praw ludu, w imię narodowości, na to samo się rzucają, rozumiejąc, że wszystko co od ludu wychodzi, co się narodowości tyczy, już tem samem jest święte, i choćby tam sam Bóg był z drugiej strony, ustąpić musi. Niebaczni! zapomnieli, że i Hunny były narodowością i Tatarzy narodowością, i Kurdy czciciele szatana są niemniej narodowością, i Żydzi zabójcy Boga są narodowością także, i jeszcze jaką narodowością! jak drugiej nie było i nie będzie. Zapomnieli lub niewiedzieli, że nie narodowość uświęca sprawę, ale sprawa uświęca narodowość. Zapomnieli lub nie wiedzieli i dlatego zamiast uświęcić narodowość oddając ją świętej sprawie, na świętą sprawę biją w imię narodowości, gotowi dla niej samego zastępcę Bożego na ziemi przybić do krzyża, i jeszcze się cieszyć z dokonanego dzieła. Nieszczęśliwi! wielu z nich wie co czyni, o tych nie mówię; ale większa część nie wie, i gdyby się im kiedy powiódł ich zamiar ojcobójczy, i udało się im czego chcą: ukrzyżować mówię Ojca świętego, i wtedy jeszcze zastępcą Chrystusowy mógłby jak sam Chrystus ze swego krzyża zawołać do Boga: Ojcze odpuść im, boć nie wiedzą co czynią!

Boże wielki, co za chaos, co za zamieszanie! Jaka to nowa wieża Babel! Tylko niestety nie języki się tu mieszają, ale miecze i ciosy; i nie w powietrzu ta wrzawa się odbija, ale w sercach i duszach, w społeczeństwie całem wzburzonym i rozsrożonym na siebie; i nie ulata z wiatrem, ale spływa ze krwią do ziemi, i sieje po niej trupami. Boże wielki co za okropny widok! I nie w tem jeszcze jego okropność, że tu śmierć i trupy i mogiły; ale w tem zaiste, że tu takie zamieszanie, takie przewrócenie wyobrażeń, sądów, zasad, że tu

tak machają ciosami na ślepo, biją nie wiedząc za co i na co, wrzeszczą, aby tylko zakrzyczeć, pienia się, aby tylko zaplwać, szarpią aby tylko podrzeć i zniszczyć! Ach Panie! nie wiedzą, nie wiedzą co czynią! Ale Panie to najsmutniejsze, iż mówią, że wiedzą. Kiedy to słyszę, tedy mi już nadzieja odbiega. Być w takim zaślepieniu i w takim odmęcie, i mówić, że się widzi jasno i że się czyni dobrze, to już chyba ostatnie zatracenie, i ostatnia rozpacz! Ten widok iście smutek, i smutek smutków!

Czy to ja do nas samych mówię, czy do innych! I do innych i do nas. Dzięki Bogu! Do tej ostatniej rozpacz i do tego ostatniego smutku może u nas jeszcze nie doszło. Dzięki Bogu! Ale nas jednak te klęski naokoło otoczyły, i grożą nam, i trzeba dobrze rozpoznać skąd to złe pochodzi, i na czym się ono właściwie zasadza. To złe całe w tem leży, że się nie wie i nie zważa na to, iż tylko dwie sprawy są na tym świecie: sprawa Boża, którą jest sprawa Kościoła katolickiego, i sprawa szatańska, którą jest wszystko co tamtej przeciwne. I znowu to złe w tem leży, że się nie uważa iż każdy musi, chce czy niechce, do jednej z tych spraw należeć, a zatem że powinien należeć do sprawy Bożej, czyli do sprawy katolickiej. I następnie w tem złe leży, że się nie rozciąga tego tem bardziej do narodów; że się raczej uważa naród za coś, co samo w sobie sprawę jakąś stanowi; a tu niema spraw dziesięciu lub dwudziestu na tym świecie, tylko dwie, i tak jak każdy człowiek, tak i każdy naród, musi do jednej z tych spraw należeć; a powinien należeć do Bożej sprawy, i być katolickim. Więc złe w tem leży, iż się przypuszcza, że sprawa narodowa jest sama w sobie świętą; kiedy ona tylko wtedy jest świętą gdy jest katolicką. Nie trzeba się mylić! sprawy narodów wobec prawdy, wobec sprawiedliwości, wobec Boga, tym samym podlegają warunkom i temu samemu zakonowi co i sprawy pojedynczych ludzi. Jak człowiek pojedynczy staje się prze-niewiercą przeciw Bogu naprzód umysłowo, kiedy się staje here-tyckim, potem w sercu gdy zostanie wszetecznikiem, nare-szcie w życiu całym gdy się stanie zbrodniarzem i łotrem, jed-nem słowem gdy we wszystkich dziedzinach życia przestanie być chrześcijaninem, a kiedy mówię chrześcijaninem, jednego



tylko rozumiem katolika; tak naród każdy jest przeniewiercą przeciw Bogu gdy to samo uczyni: gdy nie strzeże zakonu Bożego w każdej z tych dziedzin życia społecznego; i jak człowiek pojedynczy traci prawo do życia, gdy jego zbrodnie dojdą do pewnej miary, tak i naród. Dla pojedynczego człowieka jest sprawiedliwość ludzka; narodów sprawy idą przed trybunał Boży, i tam Opatrzność pisze dla nich sama wyroki.

Otóż złe w tem siedzi, że się tej najgłośniejszej prawdy nie uznaje, i że się bez niej żyje, działa, postępuje, a co gorzej, walczy się i wojuje. I to jest przyczyną owego zamięszania i owej ostatecznej nieszczęśliwej doli ludzi i narodów, która na około nas się rozgospodarowała i już do nas kołace. Już i u nas mieszą się wyobrażenia i sądy, uczucia i zamyśły: już i u nas chcą wojować na ślepo, w imię swoje własne, na rzecz praw człowieka tylko, na korzyść materyjalnego jakiegos narodu, złożonego choćby z pogan, choćby z przeniewierców: już i u nas rozdzielają sprawę narodową od sprawy religij, naród od Boga, Polaka od katolika. Wołają, niemądrzy! przed ludami odchrześcijanionej Europy, przed wyobrazicielami i narzędziami tej samej sprawy antichrześcijańskiej, przeciwkatolickiej, z którąby powinni byli wieczny rozbrat uczynić już dla tego samego, że Polacy; ale oni wołają przed tymiż samymi nieprzyjaciółmi i Boga i swymi, wołają, że nie są Ultramontanami, to jest, że nie są katolikami! I udają jeszcze, że nie wiedzą iż to, to samo znaczy, że w języku tych ludzi, do których mówili właśnie, Ultramontaninem nazywa się katolik. Myślą że zmieniając słówka uratują językiem, to co ciężką ręką do przepaści wrzucili. Ale czyn czynem, a słowo słowem. Więc są między nami, co się katolicyzmu w imieniu narodu wyrzekli i wyrzekają, są co nie chcą aby sprawa polska była sprawą katolicką. Nie wiem czy wiedzą co czynią, ale czynią, więc niechże to co czynią, już raz wiedzą. Oto chcą wtracić biedny ten nasz naród jeszcze do cięższego nieszczęścia; odebrać mu jego ostatnią, jego jedyną nadzieję i siłę, i tak bez tarczy, bez zbroi, bez miecza, bez podpory, bez siły, nawet bez przytomności, chcą zdradzonego chaniebnie Samsona oddać w ręce tych samych Filistynów, z którymi całe życie wojował.

Nie, na Boga, tak być nie powinno, tak zaiste nie będzie! To dopiero byłoby nieszczęście, to dopiero śmierć! nie ta, choć

okrutna, ale pozorna, pod którą dziś jęczymy; ale śmierć prawdziwa i ostateczna, z której niema zmartwychwstania. Nie, na Boga! tak nigdy nie będzie; i właśnie aby nie było, modli się świat katolicki na głos Ojca świętego; i dlatego że się modli, dlatego właśnie nie będzie tego nigdy. Żyje Bóg, który karci, ale i zbawia, sprowadza do piekieł, ale i wyprowadza (Tob. 18). Żyje Bóg, Zbawiciel nasz i pocieszyciel, ratunek nasz i nadzieja nasza, On nas nie opuści, i nie da na pożarcie dusz wyznawających Jemu (Psalm). Żyje Bóg, ucieczka nasza i moc, i my nie zginiemy i my będziemy żyli! A ci co się dzisiaj przed narodami obcymi, i przed nieprzyjaciółmi Boga i Kościoła wyrzekają tegoż Kościoła, a więc i tegoż Boga, w imieniu Polski; mamy nadzieję że się wtedy w piersi uderzą, kiedy mimo nich i przeciwko nim, Bóg ich naród uratuje; mamy nadzieję, iż wtenczas powiedzą że są katolikami, katolikami prawdziwymi, to jest rzymskimi, to jest ultramontańskimi. Lecz nim to uczynią pojmujecie, najmilsi, dlaczego za nich my to już dzisiaj uczynić powinniśmy, i też choć bez gniewu i bez wyrzutu, ale ze smutkiem i z bólem duszy już dziś przeciwko nim występując czynimy. Pojmujecie najmilsi! Bo wszelkie zgorszenie musi być naprawionem, i za głośnie wyparcie się sprawy Bożej przez tych z synów narodu, którzy nie wiedzą co czynią, musi nastąpić głośnie oddanie czci Bogu i świadectwa prawdzie ze strony tych, którzy wiedzą o co idzie i co się święci. I cała moja mowa dzisiejsza dla tego jest tak stanowcza i tak jasna, żeć już raz przecie trzeba wiedzieć co się święci, raz wiedzieć o co idzie.

A więc teraz dobrze o wszystkim wiecie i nie ma dwuznaczności. Idzie o to, o to właśnie co nam wypowiedział zastępca Boży na ziemi. Idzie o to, aby Polska była jak zawsze katolicką, i lepiej niż kiedy, aby była wierna temu charakterowi swemu, aby spełniła posłannictwo dane jej od Boga, aby chwyciła potężniejszą niż kiedy prawicą sztandar wiary i religii katolickiej, i jako przedmurze nieprzełomne Kościoła broniła go a tem samem sprawy Bożej na ziemi przeciw wszystkim bramom piekielnym. Niech to czyni, a żyć będzie. Niech to czyni, a sprawę Bożą podeprze i siebie samą ocali choćby ze śmierci i z grobu. Niech to czyni, a już nie będzie się lękała drugi raz umierać.

Oto, o co tu idzie! Powiedziałem: wylałem moją duszę, i teraz mi lżej na sumieniu, swobodniej na piersi; mogę wolno odetchnąć. Ach, oby tylko ten głos w tych murach się nie zamknął, oby szczególnie nie odbił się marnie o uszy! Niech idzie, niech idzie tam gdzie go posyłam, niech idzie do serca narodu! Panie, Ty mu błogosław na drogę! Ty mu wstęp utóruj, Ty go sam wprowadź do umysłów, i Ty sam o Panie idź za nim i kończ go w duszach Twoją mocą i Twojem uderzeniem, Ty temu głosowi daj skuteczność i owoc stokrotny. Wszakże to Twój głos, iście Twój. Nicem nie zmienił ze słów namiestnika Twego. Twojemu słowu błogosław Panie! Niech rozproszy owe ciemności, zamęty, niepewności sobie przeciwnie, które się tam już wkradły, niechaj rozpędzi może jeszcze gorsze burze, zwątpienia, rozpacz, niedowierzania Tobie o Panie i słowu Twojemu i rozkazowi Twemu, które może tam już się srożą. Niech ratuje, o już czas Panie! niechaj ratuje! Wszakżeś Ty sam powiedział: słowo moje nie wróci do mnie próżne. A więc o Panie niech to Twoje słowo do narodu polskiego poniesie mu doprawdy pociechę i zbawienie, a wróci do Ciebie pełne jego szczęścia i pełne jego wdzięczności. Panie Panie, to godne Ciebie dzieło i godne słowa Twojego!

Proszę jeszcze o uwagę. Zostaje mi odpowiedzieć wam teraz na to drugie pytanie: Co to jest być narodem katolickim.

## II.

Zaprawdę nieby nam nie pomogło wiedzieć o co idzie, wiedzieć, że trzeba być narodem katolickim, gdybyśmy nie wiedzieli co to znaczy: być narodem katolickim? I to najmilsi jest właściwie zadaniem dzisiejszej mojej mowy do was. Potrzeba było pierwaj poruszyć duszę do sprawy Bożej; ale raz to uczyniwszy, pozostaje rzecz główna: pokazać na czem się zasadza ta sprawa Boża. I do tego przystępuję.

Lecz jakże? czy w dwóch lub trzech słowach będę mógł całą tę rzecz tak naprędce odprawić? A jednak o to będę się kusił, bo mi właśnie o to idzie abym jak najkrócej, i jak najzrozumialej całą tę rzecz wystawił. Wszakże mówię do wszystkich, i tego pragnę aby ta mowa mogła zostać we wszystkich umysłach i sercach, na codzienny, że tak powiem użytek. Owszem dalej idę; i chciałbym nie tylko w jak najkrótszej

mojcie całą rzecz zamknąć; ale pragnąłbym ją uwydatnić we dwóch lub trzech wyrazach; tak, że powiedziawszy te trzy wyrazy wszechmocne, jużby tem samem ten co je wyrzekł, powiedział: i co katolik, i że on sam katolik.

I mam, mam te trzy wyrazy; dość mi będzie je powiedzieć abym wszystko co zamierzam już tem samem powiedział. Proszę o baczność! Oto wypowiadam te wyrazy: Bóg, Chrystus, Kościół! W tych trzech imionach cała rzecz katolicka, i zarazem cała różnica od tego co nie jest katolickie, od tego co jest przeciw katolickie.

Widzieliśmy owe dwie sprawy i dwa obozy, które świat rozdzielają. Teraz możemy na nie spojrzeć daleko jaśniejszym wzrokiem. Pospieszmyż i spojrzjmy. Czy widzicie ten widok? Tu po prawej stronie obóz Boży, wojsko wybranych, zastęp święty! Nie wielki wprowadzie, jeśli go z przeciwnym porównamy; ale jaki wspaniały, jaki cudowny, jaki niezrównany! Dostyc z tego widoku tylko jedną rzecz wam pokazać. Patrzcie na chorągiew: Biała jak śnieg, a jedna, jedna! Na niej złotemi, owszem słonecznemi głoskami wypisane właśnie owe trzy słowa święte: Bóg, Chrystus, Kościół. Dość spojrzeć na te słowa, na tę chorągiew, na to wojsko; aby zobaczyć, że w tem godle jego siła i zwycięstwo. *In hoc signo vinces.* W tym znaku zwyciężysz!

Ale teraz patrzmy na ten inny przeciwny widok. Z góry świętej, zstąpmy w te doły, jaskinie, błota i trzęsawiska. Jaka niesforna tłuszcza! A chorągwi? ile tu chorągwi! Czy podobamy je przeliczyć? Lecz zaczekaj, jest sposób. Nie łudźmy się liczbą, barwą, postacią tych nieprzerachowanych chorągwi i chorągiewek: przypatrzmy się a zobaczymy, że cała ta nieogarniona tłuszcza dzieli się na trzy mniejsze, choć także nieprzerachowane kupy. Najpierwsza, najliczniejsza, wszystkie inne na około otacza; to szermierze na pierwsze spotkanie, prostaczkowie, famulusy dobrej woli. Nad temi legionami legionów pierwszego rzędu jest jedna wielka chorągiew, spólna wszystkim pierwsza z tej strony; możemy czytać. Czytajmyż: Bóg, Chrystus, ale nie Kościół. Czy słyszałeś: nie Kościół? Wszak rozumiesz? Wszak rozumiemy dobrze? To jedno słowo wszystko mówi, i już znamy doskonale pierwsze szeregi naszych nieprzyjaciół. Idźmyż dalej.



Patrz, to hufce drugiego rzędu, mniejsze wprowadzie co do liczby, ale jeszcze masa straszliwa; nad wszystkimi proporcami tych drugich legionów znowu jedna wielka chorągiew; ale już różna od pierwszej, chorągiew druga. Czytajmy, co na niej: Bóg, prawi, ale nie Chrystus, ale nie Kościół. Rozumiem, idźmy do końca. Tu już owi Tryarjusze dawnych legionów rzymskich, trzeciacy, wojownicy trzykroć potężni, sami śmiertelni zapaśnicy, wodzowie, co śmierci rozkazy dają. Oni już nie mają kilku chorągwi; tylko jedna nad nimi powiewa; chorągiew trzecia; najczerwieńsza, a na niej napis czarny, wzrok do ostatniej przepaści wtajemniczający. Jużemy przeczytali: Nie Kościół, nie Chrystus, nie Bóg! A czyśmy już zarazem nie zrozumieli wszystkiego? Zdaje mi się, że tylko spojrzeć na ten obóz i na te jego chorągwie, a już widać całą treść złego, całą tajemnicę nieprawości, całe ono mysterium iniquitatis. Widzimy, gdzie się złe poczyną, jak rośnie i gdzie jego dno ostatnie. I znowu, przez oddziaływanie ku stronie przeciwnej, jeszcze lepiej rozumiemy teraz tajemnicę dobrej strony i dlaczego na jej sztandarze koniecznie jest napisany: Bóg, Chrystus i Kościół. Ja od tego widoku jeszcze oczu moich odwrócić nie mogę, patrzyłbym i patrzył, tak mi patrząc, wszystko wydaje się jasnem, rozumiałem, przytem gwałtownem, koniecznem, a nareszcie i nad wszystko uroczystem i straszliwem. I pierś mi się wzdyma i wstaję stokrotnie z coraz nową siłą i wołam głosem coraz pełniejszym przekonania i prawdy: Ach biada! biada tym, co walczą pod chorągwami przeciwników Bożych: O najmiłsi! chodźcie wszyscy tu, gdzie Bóg i gdzie sztandar Jego!

Więc wróćmy do tego sztandaru i już tylko na ten jeden patrzmy, i zrozumiemy ostatecznie to hasło, które on nam podaje: Bóg, Chrystus, Kościół.

Najprzód Bóg! Najmiłsi moi, żeby być katolikiem, trzeba naprzód wierzyć w Boga. I naród, aby był katolickim, trzeba naprzód, aby wierzył w Boga. Już słyszę, jak mi wołają: Któż w Boga nie wierzy? A szczególnie nasz naród, nasz? Zgoda, najmiłsi! wiem o tem, i Bogu dziękuję! Ale czegoś jednak nie dostaje jeszcze, aby ten Bóg tak ogólnie wzięty był katolickim

Bogiem, i wiara w Niego aby już była katolicką. Patrzcie na chorągiew: tam nie jeden tylko jest wypisany Bóg, ale tuż za nim idzie Chrystus i Kościół. Więc to Bóg, jakiego nam Chrystus opowiedział, Bóg, o jakim nas Kościół naucza. Ten jeden jest Bóg katolicki, i w takiego trzeba wierzyć, aby być człowiekiem, aby być narodem katolickim.

To nie Bóg niedowiarków i tu słuchajcie mię dobrze: będę wam powiadał, jaki to nie jest Bóg, abyśmy potem zrozumieli, jakim jest doprawdy.

To nie Bóg niedowiarków, powiadam, nie Bóg filozofów, nie jakaś istota najwyższa, jak to mówią, lub siła najwyższa; istota i siła, choć najwyższa, lecz martwa i ślepa, konieczna i fatalna, bez wolnej woli i bez osobistego istnienia i działania; to nie taki Bóg bezosobisty, — precz z Bogiem filozofów!

To nie Bóg tych innych niedowiarków, odrzucających Chrystusa, nie Bóg deistów, nie Bóg nie będący Ojcem, nie będący Synem, nie będący Duchem Świętym: nie, to nie taki Bóg jednoosobowy, Bóg Żydów i półmędrków!

To nie Bóg heretyków, dodających mu co lub odejmujących, robiących go albo swawolnym albo niewolnikiem albo niedołągą pobłażliwym albo mścicielem nienasyconym albo chamratem, albo katem i oprawcą; nie, to nie Bóg o ludzkim zakroju; precz z Bogiem heretyków! Precz nawet z Bogiem tak nazwanych pocziwych ludzi! Nie, nie taki Bóg katolicki!

Nie, zaiste, nie taki Bóg nasz! I nie w takiego naród ma wierzyć. Tylko jeden jest Bóg prawdziwy, ten, którego daje Chrystus i Kościół.

Lecz za Bogiem idzie koniecznie wiara. Nie dosyć mieć Boga prawdziwego, trzeba mieć wiarę prawdziwą. Jedno bez drugiego życia duszy nie da. I dlatego na tym sztandarze, gdzie napisano Bóg, domyśla się podpisana wiara. Więc wiara, wiara prawdziwa! A co to wiara prawdziwa? Mówię o wierze narodu. Więc co to wiara prawdziwa narodu? To trzeba zrozumieć.

Rzecz prosta: trzeba, aby naród wierzył, że tylko Bóg katolicki jest Bogiem prawdziwym. Tylko wtenczas będzie narodem katolickim, tylko wtedy znajdzie się w obozie Bożym, tylko wtedy będzie stawał za sprawą Bożą. Trzeba jednem słowem, aby wiara narodu była katolicka.

Ale zarazem potrzeba, aby ta wiara była rzeczywistą wiarą. Nie trzeba ją tylko w głowie nosić, ani gdzieś w sercu głęboko z uszanowaniem chować; trzeba ją mieć wypisaną na czole, trzeba ją mieć jasną i promieniejącą w ustach i w słowie, trzeba ją mieć żywą i gorącą w ręku i uczynkach. Tylko wiara w życiu i w czynie jest prawdziwą i rzeczywistą wiarą.

A więc wiara narodu katolickiego powinna być wiara życia i uczynków.

A więc naród katolicki powinien być tej wiary swojej żywym i ustawicznym świadectwem, jej wyznawcą, jej obrońcą, jej mścicielem, jej zapaśnikiem, jej rozszerzycielem.

A więc naród katolicki dwóch rzeczy względem swej wiary powinien zawsze przestrzegać: nie dopuszczać, aby była bluźnioną; to czynić, aby była sławioną i wyznawaną.

A więc precz z bluźnierstwami i bluźniercami! Precz z Bogiem filozofów! Precz z Bogiem Żydów i półmędrków! Precz z Bogiem heretyków! Precz z fałszywymi Bogami! Precz z fałszywymi wiarami i naukami! Precz! Wśród narodu katolickiego mieszkąć powinien tylko Bóg katolicki i wiara katolicka.

Lecz jak to? Więc już prześladować?

O broń Boże! Osoby choćby tych samych bluźnierców, a tem bardziej zwiedzionych i obłąkanych, godne są politowania. Więc dla osób miłość i przebaczenie. Ale dla ich nauki, odrzucenie i wywołanie. A to bardzo prostym sposobem, nie krwawym, nie groźnym, nie przymusowym. Niech się jedno oburzy sumienie całego narodu. Kiedy kto wśród narodu o takim niekatolickim, o potwornym Bogu mówi, niech nikt nie słucha, i owszem niech się każdy gorąco ujmie i surowo skarci. Niech to samo cały naród czyni, a doprawdy nie będzie w nim ani bluźnierstw ani bluźnierców.

Czemu tego u nas nie czynią? Bo wiary nie ma; mówię owej prawdziwej i rzeczywistej, gorącej i żywej wiary. Człowieku! Ty się mienisz katolikiem; a kiedy przed tobą na Boga katolickiego wygadują, ty milczysz, często może się uśmiesz. O Boże, co się to dzieje! Katoliku mniemany! Ja ciebie samego biorę na sędzie, przed tobą twą sprawę wytoczę i wezwę cię do wydania sądu na siebie samego. Posłuchaj, oto twoja sprawa. Jesteś synem, albo bratem, albo mężem. Niechże stanie przed tobą jaki ulicznik bez czoła, a choćby najdworniej

przystrojony, i niechaj choćby z uśmiechem dobrego towarzystwa, zacznie ci prawić, że twój ojciec łotr, że twoja matka złośliwa wiedźma, że twoja żona nierządnica! ach! miałbym cię za ostatniego z ostatnich, gdybyś się nie porwał z miejsca gdzie siedzisz, i brzydkiego łżyciela za kark i za drzwi nie wypchnął. A kiedy o Bogu, o twoim Bogu, o Bogu katolickim, albo o wierze Jego świętej i przykazaniach, takie same lub może gorsze mowy przed tobą się toczą, ty milczysz? Milczysz! I to katolik z ciebie? Osądź siebie sam, ja nie potrzebuję cię sądzić. Mówi Ewangelja: kto nie wierzy już jest potępiony. Katoliku udany! Jeżeli ty sam nie masz ani wiary ani serca, nie chceś przynajmniej aby naród był takim jak ty niedołągą lub takim jak ty winowajcą. Naród nie może cierpieć aby przed nim, w jego łonie bluźniono Boga, aby przed nim do jego uszu gadano, że jego Bóg do Boga nie podobny; że jego Bóg inny jakiś, a nie katolicki; albo nawet że go wcale nie ma. Tego naród ścierpieć nie może i nie powinien, naród mówię który jest i ma być katolickim. Pozwalam niech się nie sroży, nie katuje, nie prześladuje, niech nawet za kark nie bierze i za drzwi nie wypędza, i na to pozwalam; ale jeśli chce jedno zostać katolickim, naród musi przecie ujmować się za katolickiego Boga i przynajmniej usta zamknąć bluźniercom. Niechaj nie bluźnią! Oh! potrafi to uczynić jeśli jest doprawdy i z duszy katolickim; potrafi to samą zgrozą swoją i publicznem potępieniem. Lecz jeśli tego nie czyni, jeszcze nie jest katolickim narodem, albo już nim być przestał. Ach! niechże się opamięta i zacznie być tem czem być zawsze powinien. To pierwszy warunek, aby był katolickim: Bóg katolicki i wiara katolicka.

O narodzie mój! Czy taki twój Bóg? A jeśli Bóg taki, czy taka wiara twoja?

A teraz na drugim miejscu Chrystus. Chrystus to pośrednik, między Bogiem i nami, to droga i przewodnik; to nauka i nauczyciel, to zbawienie i Zbawiciel. On łączy Boga z człowiekiem, i człowieka z Bogiem. I jak Bóg prawdziwy, jedyny, tak i pośrednik prawdziwy jedyny i Chrystus jedyny. To już znaczy, że jak Bóg katolicki, tak i Chrystus katolicki. Więc powtóre aby być katolikiem trzeba wierzyć w Chrystusa, i to



w Chrystusa katolickiego. I naród aby był takim, musi wierzyć w samego Chrystusa.

Tu znowu słyszę: któż nie wierzy w Chrystusa? Przecież my wszyscy chrześcijanie; a Polska przedewszystkiem chrześcijańska, i arcychrześcijańska! Zgoda. Ale jednak czegoś niedostaje jeszcze. Patrzenie znowu na chorągiew: tam po Chrystusie idzie Kościół. Więc to Chrystus jakiego nam Kościół opowiada. Nie każdy Chrystus jest prawdziwy, to jest nie każdy jest katolicki, kto się takim tylko mianuje: ale jeden tylko jest i katolicki, i prawdziwy, ten jeden którego opowiada Kościół. W tego wierzyć, w tego jednego, obowiązek i człowieka i narodu.

To nie Chrystus filozofów. To nie Chrystus naprzykład jakiego nam jakiś Strauss wyroił, albo jakiego nam jakiś Renan mniemany żywot napisał, którego cała historia odbywa się w ciemnej i oświecanej fantazyi takiego jak pierwszy marzyciela albo w tępem i zwietrzałym sercu takiego jak drugi sofisty; nie, to nie taki Chrystus, klecionka myśli ludzkiej, widmo lub naśmiewisko rzeczywistości, i prawdy, i rozumu samego, nie taki jest prawdziwym, jest katolickim Chrystusem, któremu razem z katolicką wiarą oddają cześć i rozum, i prawda, i rzeczywistość, tylą wiekami bogate!

To nie Chrystus Żydów, nie Chrystus polityków, bankierów, demokratów lub socjalistów, Mesjasz jakiś przynoszący wiek złoty, czyli raczej złoto wieku tego, dobry byt i używanie, szczęście, gody, raj na tej ziemi, królestwo Boże zbyt podobne do królestwa tego świata. Nie, to nie taki Chrystus, nie Chrystus świata tego, lepidło rąk jego i brudnych i krwawych, nie taki jest prawdziwym, jest katolickim Chrystusem, któremu ma się kłaniać naród katolicki i świat mający kiedyś być równie katolickim.

To nie Chrystus heretyków mówiący każdemu do ucha co się jego sercu już wprzód podobało, to nie ten anioł ciemności co się przemienia w anioła światłości ile razy znajdzie jakich Mahometów chcących religję stwarzać, lub jakich reformatorów chcących je naprawiać, lub jakich ciemnych sekciarzy chcących je zniszczyć. Nie, to nie taki Chrystus, nie Chrystus szatana, mara wychodząca z piekła, nie taki jest prawdziwym, jest katolickim Chrystusem, na którego imię drżą i kolana

zginają, i niebios a i ziemia, i to samo piekło, które chciałoby Go zniszczyć; tem wścieklej, im bardziej nadaremno.

To nie Chrystus Towiańskiego, zdradliwy utwór i szkodliwsza mara niż wszystkie Chrystusy i heretyków i Żydów i niedowiarków. Nie! to nie taki Chrystus, ale prawdziwy, ale katolicki. Ten którego opowiada Kościół.

A teraz za Chrystusem idzie nadzieja, nadzieja katolicka. Na owej chorągwi jak pod wyrazem Bóg domyśla się wiara, tak pod wyrazem Chrystus domyśla się podpisana nadzieja. A co to jest nadzieja chrześcijańska, nadzieja katolicka? Jest to pragnienie, oczekiwanie, spodziewanie się jedynego prawdziwego dobra, jak tam wiara była poznaniem, wierzeniem jedynej istotnej prawdy. Jest to nadzieja żywota wiecznego, dóbr nieskazitelných.

Ale ta nadzieja nietylko mieszka w głębi duszy, ona się rozlewa po całym obliczu życia na zewnątrz. Ona wchodzi we wszystkie czynności, i każdej daje inne znaczenie i inną wartość. I tak nadzieja chrześcijańska nie tylko jest podstawą wewnętrzną i źródłem żywotnem w życiu Chrześcijanina, ona jeszcze jest prawidłem zewnętrznem i zakonem życia publicznego, tak każdego pojedynczego katolika, jak każdego katolickiego narodu. Ma więc swoją postać publiczną i społeczną, warunki, godło, przepisy, akty. To wszystko Kościół nam podaje w Sakramentach świętych i w obrzędku publicznym. W obrzędku i Sakramentach znajduje się ten właśnie i taki Chrystus, jakiego nam daje Kościół, Chrystus prawdziwy, jedyna nadzieja nasza, bo jedyny środek, sposób, droga do zbawienia i jedyny Zbawiciel.

Więc naród katolicki tak powinien swe życie publiczne urządzić, aby cześć ta Chrystusa w Sakramentach i w obrzędku kościelnym była jego zakonem i jego życiem publicznem. Powinien przyznać się publicznie do tej nadziei swojej, w niej położyć, że tak powiem, całą swą chwałę i szczęście, i tak się cieszyć i szczerzyć wykonaniem publicznem jej aktów, jak każdy żołnierz swoim sztandarem i swoim wodzem. Powinien na sobie nosić znamię Chrystusowe. Tylko tak naród może być i będzie katolickim.

Jakże? Więc nie cierpieć i nie znosić innych wyznań i różnowierczych obrzędów? Nie, tego nie twierdząc; i tu znowu

powiadam: trzeba znosić co znosić można, co ma pewne prawa nabyte, co z drugiej strony nie jest prostem bluźnierstwem i urąganiem się z owej katolickiej nadziei i jej wyznawania: znosić mówię z cierpliwością i z miłością: to każe rozsądek i miłość chrześcijańska. Ale to nie pozwala jeszcze otwierać wolnych szranków wszystkim nieprzyjaciołom Chrystusowym: nie pozwala zaprowadzać wolności szalonej i nieznającej hamulca żadnego, gotowej bić w policzek Chrystusa i plwać na Jego święte oblicze. Nie, tego naród katolicki zniesć nie może i nie powinien. Ach jakbym wołał, żeby i nie potrzeba było najmniejszej grozy i odwetu! żeby naród tak był mocny w swym katolickim zakonie, tak katolicki w swym publicznym życiu, żeby żaden niedowierca albo przeniewierca, z chcących szerzyć swe błędy, nie śmiał nawet stopy postawić na jego gruncie, z obawy aby wszyscy od niego nie uciekli, i jako trędowatemu i zapowietrzonemu nie pozwolili nawet zbliżyć się do siebie.

I oto drugi warunek aby naród był katolickim: Chrystus, mówię, katolicki, i cześć religijna publiczna: katolicka: obrządek kościelny katolicki. O narodzie mój! Czy taki twój Chrystus? A jeśli taki Chrystus, czy taka cześć religijna? takie święcenie obrządku kościelnego? Czy uczęszczasz do Sakramentów? Czy gorąco się garniesz do tych źródeł żywota? Czy z Chrystusem wchodzisz w przymierze codzienne i zaczynasz z Nim ten wspólny żywot, który ma być wiecznym? O narodzie mój? gdzie twój Chrystus? Gdzie twoja nadzieja?

Po Bogu, po Chrystusie przychodzi Kościół. Żeby być katolikiem, potrzeba wierzyć w Kościół tego jedynego na ziemi wyobraziciela i zastępcy i Chrystusa i Boga. I naród równie tylko wtedy jest katolickim, kiedy wierzy w Kościół, kiedy jest jego dzieckiem wiernem i posłusznem, czci go i kocha, i słucha jak dziecko.

Tu się warunki zmieniają i rzecz się inaczej przedstawia. Gdy o Boga chodziło, wszyscy wołali: Wierzmy w Boga! Gdy chodziło o Chrystusa, może nie tak jednomyślnie, ale i wtedy jeszcze niemal wszyscy wołali: I w Chrystusa wierzmy! Lecz teraz, gdy o Kościół chodzi, wielu zapewne będzie milczało, nie mało zapewne podniosą się naprzeciw: mimo to jednak,

i tu jeszcze, a szczególnie u nas, wielu wołać będzie: I w Kościół wierzymy! Któż w Polsce nie jest katolikiem? Któż nie jest w Kościele? A jeśli i nie jest, któż przynajmniej nie stoi obok Kościoła? I czyż jest ktokolwiek, coby był przeciwny? Przyjmujemy i wyznawamy Kościół!

Chwalebna zgoda! Ale czy my wiemy też wszyscy, jaki to jest ten Kościół? I czy kiedy mówimy katolicki, wiemy też, co to jest prawdziwy katolicki Kościół? Bo tu właśnie o prawdziwy katolicki Kościół idzie i iść powinno. Jakimże on jest, ten jedyny?

Najdrożsi moi! Już nie będę wam mówił, że to nie jakieś zborzyszcze niedowiarków, nie jakaś utopja nowowiercza, nie jakiś falanster niby chrześcijański, nie jakieś miasto świętych, raj wybranych na ziemi; chociaż, ktoby wierzył? i takie dziwactwa weszły do niejedynej głowy niby chrześcijańskiej i niby katolickiej. chcącej pogodzić światło z ciemnością i Chrystusa z Belialem!

Nie będę wam mówił, że ten Kościół prawdziwy to nie one, złe pomyslane, koszlawe, przestrelone, walące się budynki, bez podwalin i bez dachu, stawiane nieraz przez samychże synów Kościoła, przez złych katolików, bez przybytku, bez ołtarza, bez Świętego świętych, bez Boga i bez kapłana; istne szopy zajezdne na użytek wszystkich włóczęgów, wszystkich samozwańców, bez prawa, bez posłannictwa, bez charakteru, nieraz bez nazwiska.

Nie! Kościół prawdziwy, to ten jedynie katolicki Kościół, który Bóg i Chrystus ustanowił, i który dowodzi siebie, przynosi listy wierzytelne od Chrystusa i od Boga.

To ten jedyny Kościół, na którego czele jest Papież. Tak jak Boga objawił nam i dowiódł Chrystus, jak Chrystusa objawia i dowodzi Kościół, tak Kościoła prawdziwość objawia i dowodzi Papież. A Papieża już nic innego nie potrzebuje dowodzić. On tylko jeden na świecie. Dość oczy podnieść i spojrzeć. Tak jak w królestwie jakim jest, który się nazywa królem, nikt go się nie pyta o dowody, tak i w świecie chrześcijańskim jest, kto się nazywa i twierdzi jego głową, jest, do którego Chrystus powiedział: Tyś opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój; jest, mówię, w świecie chrześcijańskim Papież, i nikt go o dowody nie pyta. Rzecz tak jasna, jak słońce, ani potrzeba



jej dowodzić. A zresztą sam Bóg od lat blisko 2000 pisze jej i pisze dowody, co dzień nowe i co dzień liczniejsze: chce je zliczyć, to byłoby chce zbierać promienie słoneczne w dzień biały.

**Oto jest Kościół katolicki!**

A teraz jak za Bogiem i Chrystusem Kościół, tak za wiarą i nadzieją przychodzi miłość. Na onej chorągwi, o której była mowa, tam gdzie napisany Kościół, domyśla się podpisana pod nim miłość. I jest to miłość wzajemna, społeczna, miłość katolicka. Jest to ona miłość, o której mówi Chrystus: Po tem poznają, żeście uczniowie moi, jeśli miłość mieć będziecie wzajemną ku sobie. Miłość, powtarzam, wzajemna, miłość społeczna, miłość katolicka.

Tu wchodzi cały ustrój towarzystwa, całe urządzenie społeczne, całe oparte na miłości. Kościół to doprawdy zgromadzenie świętych, to społeczeństwo synów Bożych, kochających się jak bracia i nie znających innego zakonu prócz miłości. Bo kto brata nie kocha, ten nie kocha Boga, powiada Apostoł miłości. Więc tam tylko, bracia, i tam miłość tylko. A nad braćmi jest Ojciec, i ten jest tej miłości środkiem, i całego tego życia ogniskiem.

Więc i miłość ma swój znak w tym kraju miłości, i jak prawdziwego Kościoła znakiem prawdziwym jest Papież, tak prawdziwej onej miłości prawdziwym znakiem jest miłość dla Papieża, miłość dla tego wspólnego Ojca miłości.

A więc i naród katolicki, aby był prawdziwie katolickim, powinien tem samem znamieniem być naznaczonym, powinien być w tym Kościele, i w tej miłości. Owszem tu jest dopiero ostatnie i niemyślne znamię katolickiego narodu.

Tylko ten naród jest prawdziwie katolickim, który kocha Papieża i staje za Papieżem.

Tylko ten jest katolickim, który, broń Boże! nie wierzy baśniom, potwarzom, złośliwym gadkom i ohydnyim kłamstwom, jakimi na niego miotają nieuczciwe usta brzydkich wyrodków: ale raczej powstaje na taką sprośność!

Tylko ten jest katolickim, który się oburza na niesprawiedliwość, kradzieże, grabieże, jakie wspólnemu Ojcu wyrządzają ci sami źli synowie, nie mając dosyć na tem, że oplwali Ojca, ale i to dodając, że go z szat obdarli.

Tylko ten jest katolickim, który do głębi sumienia się wzrusza, patrząc jak niektóre potwory prawdziwe, najgorsi wśród najgorszych, nie tylko plwają i zdzierają szaty, ale już są gotowe pięściami w twarz bić tego Ojca i drzeć go za włosy i deptać nogami, i jeszcze słuchać czy dyszy, i nie odstąpić aż póki ducha nie wyzionie. Ten jest zamiar i to jest dzieło tych bohaterów z podziemnej fabryki, na których imię trzęsą się sprzeniewierzone Włochy, którym tryumfy gotuje Anglia protestancka i antychrystowska; którym i u nas chciano mir zgotować, ale których nazwiska, dla Boga! nie powinny nigdy splamić ust polskich i pióra polskiego, chyba na ich potępienie, jeśli jedno zachować chcemy jakiegokolwiek prawo do imienia narodu katolickiego.

Więc tylko ten naród jest katolickim, który oburza się, odpycha, potępia te zbrodnie dokonane na Papieżu, na tym Ojcu miłości swojej i miłości całego świata chrześcijańskiego, i który przy nim stoi sercem całym i umysłem i wolą; i przynajmniej głosem wielkim świadczy przed niebem i ziemią o tem co się dzieje w jego duszy, jeśli ręką i czynem nie może naprawić tego co się dzieje na tym świecie.

Ach tak! tylko ten naród jest prawdziwie katolickim. Szczęśliwy naród! gdzie go będę szukał dzisiaj? Bo czyż mogę powiedzieć, że nasz naród jest tym szczęśliwym narodem? Gdzież go będę szukał, tego wybranego narodu, żeby mu powiedzieć, iż on doprawdy jest szczęśliwym narodem, najszcześniejszym z narodów wszystkich, największym, najzacniejszym, najmocniejszym? Albowiem zaprawdę, tak jest jak mówię. Gdziekolwiek ten naród się znajduje, on, on doprawdy, jest najmocniejszym, najzacniejszym, największym a razem i najszcześniejszym z narodów; bo od niego, i do niego jednego należy przyszłość. Bóg, bracia moi, będzie na końcu panował nad ziemią całą przez miłość; przyjdzie na końcu królestwo miłości, i da chwałę Bogu! Ale przez kogo przyjdzie? Właśnie przez ten naród szczęśliwy, przez to dziecko miłości, które było zawsze u boku swojego ojca, które szczególnie było u jego boku i nieodstąpiło od niego w dniach próby, w dniach poniżenia, i krzyża, i konania, i śmierci, — ach ono, to dziecko, ten naród szczęśliwy będzie dziedzicem zmartwychstania i panem przyszłości!

O narodzie mój! jakżebyś pragnął abyś ty był tym narodem szczęśliwym! A czy chcesz być nim? Oto ci dałem klucz do tego szczęścia i tajemnicę tej wspaniałej przyszłości. Bądź narodem katolickim i stój przy Papieżu!

A teraz najdrożsi, widzicie co to jest być narodem katolickim, to właśnie co wam chciałem od początku pokazać.

I to właśnie, czego żąda od nas Papież w tych słowach serdecznych, które do nas obraca, albo które wyrzekł za nami.

To właśnie o co się modlił i modli świat katolicki.

To właśnie co mamy sami uczynić. Ten jest nasz obowiązek, a zarazem ta nasza pociecha i ta nasza nadzieja!

Bracia moi! Przyznaję, że obecna chwila jest ciężka. Tylko ostateczna lekkomyślność może jeszcze z głową podniesioną kroczyć. Kto uczciwy i rozumnego serca, ten zgina czoło, i niemal upada na duchu. Tak złe urosło, tak nadzieja dobrego zginęła lub ginie.

Ale dlaczego taki upadek?

Śmiem odkryć tajemnicę Bożą; w jej świetle stanie nam przed oczyma prawdziwa przyczyna upadku, ale zarazem i prawdziwy sposób powstania.

Wszystko złe i przyczyna złego w tem leży, żeśmy nierozsądni! porzuciwszy ramię Boże, chcieli się oprzeć i oparli, niestety, na ramieniu ludzkim.

Pókiśmy występowali w imię Boże, nieprzyjacieli drżał i truchlał, miecz mu z rąk sam wypadał, i siły nie miał przeciwko nam wystąpić: bośmy z Bogiem byli i tylko z Bogiem.

Ale kiedyśmy sami za miecz porwali, rachując na nasze ramię cielesne, i rachując na książęta i narody, na ich wozy i konie i zbroje, na mocarze ziemskie i na bogi ziemskie; Bóg nasz jedyny, któremuśmy ufać przestali, puścił nas na los przemyślu naszego i siły naszej, i zostawił nas w opiece tych bogów z krwi i ciała, którymśmy zawierzyli: niechże nam pomogą po swojemu, i niech tak przynajmniej, oszukując nas po swojemu, i okrutnie, rozumu nas nauczą!

I stało się tak iście, bo inaczej stać się nie mogło. I taka jest przyczyna prawdziwa naszego dzisiejszego upadku i nie-szczęścia.

Tak, mówię, stać się musiało. Albowiem inne są warunki naszego narodu i różne od innych niekatolickich narodów. My jesteśmy narodem katolickim, i publicznie, czynnie, stanowczo a wyłącznie mamy być, jako naród, narodem katolickim. Bóg nas na to wybrał, namaścił, dał posłannictwo i przykazanie. To nam jeszcze dzisiaj Kościół święty, to zastępca Boży, to Bóg sam powiada. Więc my tak mamy być narodem katolickim, tak być tym narodem Bożym, że jeśli nim nie będziemy doprawdy, a czynnie, stanowczo, wyłącznie, nie będziemy wcale narodem.

Być albo nie być! mówi sławne hasło. Narodzie polski! albo będziesz katolickim i Bożym narodem, albo nie będziesz wcale. To miej sobie raz za powiedziane. I to ci śmiało i z pewnością dziś od Boga mówię, owszem nie ja mówię, ale ten, który w Jego imieniu tu na ziemi przemawia: i którego głos jest głosem Bożym. Albo będziesz katolickim narodem, albo wcale narodem nie będziesz.

Ale ja wiem, że ty będziesz i będziesz katolickim. Wątpliwości być nie może i ten upadek twój dzisiejszy to tylko chwila próby.

Przedłuża się, niestety! Ale co najsmutniejsza, tedy to, że ty sam, narodzie mój, ty sam przedłużasz tę chwilę nieszczęsną. Ach! czemuż nie rozumiesz albo nie chcesz rozumieć? Zaiste, trzebaby płakać nad tobą łzami Zbawiciela, patrzącego na Jeruzalem i wołającego żałośnie: Ach! gdybyś poznało i ty, i to w tym dniu twoim, co ku pokojowi twemu! ale teraz to zakryte przed oczami twemi! (Łuk. 19, 42.)

Czyż długo jeszcze będzie tak zakryte? Czyż długo jeszcze nie poznasz i nie zrozumiesz? O! zrozumiej już raz, i stań tam, gdzie Bóg chce cię mieć, stań tam moeno i stanowczo, stań sercem, duszą, siłą całą: stań, a wszystko się przemieni, i złe się skończy.

Narodzie nieszczęśliwy! nie, nie rozpaczaj, Bóg cię nie opuścił: owszem, Bóg teraz bliżej ciebie, teraz, kiedyś skruszony, aniżeli przed chwilą, kiedyś o swojej sile powstawał, Bóg teraz bliżej ciebie i blisko bardzo, tak blisko, że jak ty ze swej strony krok uczynisz, już go będziesz mógł ująć za rękę. Bóg czeka na ciebie, i przyzywa, i woła:



„O narodzie mój wybrany! Tyś o mnie zapomniął, i o mnie nie myślisz, ale ja o tobie pamiętam i mam cię ciągle na myśli. Ty do kogo innego się uciekasz i mnie nie chcesz, ale ja chcę ciebie i chcę koniecznie: jam cię wybrał dla siebie i do kogo innego nie puszcę. Ty szukasz innego oparcia, i tem samem mnie się opierasz; idziesz, gdzie sam chcesz, a nie idziesz, gdzie ja chcę; lecz ja ciebie sprostuję i mimo ciebie ocalę: choćby cię trzeba było przełamać, ja cię przełamię, choćby o ziemię obalić, ja cię o ziemię obalę, jak Pawła, wybrane naczynie moje: ja cię skruszę do ostatka, i z ostatniego skruszenia ja cię podniosę innym zupełnie: będziesz świętym, będziesz moim. Ja, Pan! postanowiłem, i uczynię; rzekłem i spełnię. Ale ty, narodzie mój, pocóż jesteś tak głuchym, tak twardym, tak bez rozumu i bez serca? Poco się opierasz tak długo, narodzie mój wybrany? Próżno tobie przeciw ościeniowi wierzcąc? Sobie tylko przyczyniasz męki, a mnie bólu i smutku. Czas już, czas obaczyć się, narodzie mój! Już miej rozum, miej serce, miej miłość i miłością zrozumiej, czego chce od ciebie moja miłość nieskończona. A jak porzucisz wszystko inne, a mnie się miłością oddasz, jak nie będziesz iść za mądrością świata tego, ani za jej zasadami, ale ukochasz mój zakon i ten jeden spełniać będziesz, jak moją sprawę za swoją poczytasz i moją siłę za swoją, — i raz przestaniesz szukać pomocy u ludzi, wyciągać ku nim rękę żebraczą, a rzucisz się w moje objęcia, i mnie jednemu oddasz się w ręce, wtedy zobaczysz, co z tobą uczynię, ja, Pan twój i Bóg; jakim ty będziesz mi dzieckiem, a ja ojcem; jakim ty ulubieńcem, a ja miłośnikiem. Wtedy pokażę, w tobie i na tobie, cuda mojej dobroci i wszechmocności i wszechmiłości; i świat zdziwiony z uwielbieniem patrzeć będzie na to dzieło miłości mojej; i narody i pokolenia przychodzić będą i wołać w zachwyceniu: Oto naród ukochany od Boga! Oto dziecko jego ulubione! Pójdźmy i patrzmy, co Bóg uczynił; pochwalmy Go, błogosławieństwo i dzięki oddajmy: albowiem dobry, albowiem na wieki miłosierdzie Jego! Albowiem bez dna i bez liczby i bez miary jest miłość Jego nieskończona!”

O narodzie mój! Usłysz nareszcie i zrozumiej ten głos Boga twego, otrząśnij się i zrzuć nędzę i śmierć przeszłą, a rozpocznij to życie, to szczęście, tę chwałę, które ci zgotował twój Ojciec prawdziwy i jedyny, twój Pan i twój Bóg! Amen.

## KAZANIE XXX.

## O miłości Ojczyzny.

(Miane na Trzech Króli 1866 w Rzymie.)

Uroczystość dzisiejsza zgromadza nas w dniu tym i na tem miejscu corocznie. Tu właśnie, w Rzymie, w tem środowisku świata chrześcijańskiego, w tym kościele poświęconym jednemu z apostołów narodów, i tego właśnie dnia, który powtarza się przez tę oktawę kilkakroć po sobie: za każdym nowym wschodem słońca nowe przychodzą narody i odprawiają każdy swoje święto u stóp Swojego Pana. Każdy ranek jest jakby nową kościelną, ale zarazem i narodową uroczystością. I nasz naród ma swój dzień i swoje święto. Dobry Pan! Przyjmuje i nasze hołdy. Niech nas ludzie wyrzucą, pognebiają, zapomną, my dla Boga zawsze żyjemy: On zawsze Ojcem naszym i Panem, a my zawsze Jego dzieckiem, Jego narodem i sługą. Żyje On i żyjemy my dla Niego. *Deum cui omnia vivunt venite adoremus!* Bogu, któremu wszystko żyje, pójdźmy, oddajmy pokłon!

I otoście przyszli. I my do was przychodzimy w imieniu Pańskim. Jak pastuszkom anioła, jak mędrcom posłał gwiazdę, zwiastunów, tak i tym, którzy tu przychodzą, posyła Bóg posłanniki swoje, aby im także Jego Boże słowo przynieśli, aby im na nowo zwiastowali i wytłómaczyli tę wielką, świętą, uroczystą tajemnicę, która pobożnie ich tu sprowadziła. A że wszyscy tu w tych dniach przychodzą jako osobne narody, słuszną przeto i godziwą, że i ci posłańcy Boży narodowym do nich przemawiają językiem, i ogólne, wiekuiste Boże słowo, wykładają we właściwej, odpowiedniej czasowi i miejscu ojezystej mowie.

Otóż, pozwólcie mi, że dalej pójdę i że z tego zbiegu rzeczy i okoliczności ostateczny niejako wyprowadzę wniosek. Wśród tego zbiegowiska narodów mam mówić do was w naszej ojezystej mowie, czyż nie słuszną i nie godziwą, że będę mówił o naszych narodowych potrzebach i o ojezystych społecznych obowiązkach, że będę mówił o tem, czego Bóg żąda od nas, jako od narodu, i co my jako naród dać winniśmy Bogu. Wtedy się dopełni wszystko co dzisiejsza tajemnica

i dzisiejsza nroczystość w sobie zamyka, i my już nie tylko jako ludzie i chrześcijanie, ale jako naród będziemy wiedzieli jak chwalić Boga i jak Mu służyć mamy. Bo powiedziano jest: *Omnes gentes servient ei*. Wszystkie narody służyć mu mają!

W ten sam dzień, dwa lata temu, mówiłem wam o miłości Ojczyzny. Była to także nauka temu dniowi odpowiedna. I uczylem was, że jest prawdziwa i święta, ale jest i fałszywa a zgubna miłość Ojczyzny; i napiętnowałem wam tę ostatnią jej własnością piętnami, pokazałem wam przeciwnie ona pierwszą w całym jej promiennym blasku. I idąc dalej, pokazywałem wam jak prawdziwa miłość kocha: jaki upominek daje ukochanej swojej, jaką ofiarę, nie inną jedno Boga i Chrystusa; a w tym darze i w tym upominku jest cała ta miłość prawdziwa, innej miłości niema: wszelka inna nazywa się miłością, ale ona jest Ojco-bóstwem i Matkobóstwem. Tylko jedna jest miłość prawdziwa, ta, która Ojczyźnie daje Boga i Chrystusa, tego prawdziwego jaki jedynie jest w Kościele katolickim. Tylko katolicka dusza ma tę miłość, i tylko ta katolicka miłość jest miłością prawdziwą. I wystawiłem wam potem wielki i wspaniały obraz jak żyje, jak poczyną, jak działa ta prawdziwa, ta katolicka miłość Ojczyzny.

Ach, jakbym chciał dzisiaj powtórzyć wam wszystkie one słowa moje, całą onę naukę. Proszę was przynajmniej: odświeżcie ją w sobie w pamięci i patrzcie czy te dwa lata upłynione, z każdym dniem nie dodały nowej wagi onym słowom, czy każdy nowy wypadek, każde nowe nieszczęście, które spadło na nas, nie sprawdziło, aż nadto niestety! całej prawdziwości owej jedynej prawdy jaką wam wtedy wyłożył.

Dzisiaj mam inny dalszy obowiązek do spełnienia. Właśnie ten smutny stan dzisiejszy, właśnie ta ciężka ręka Boża, która nad nami zawisa, każe mi wam przynieść słowo objaśnienia, pocieszenia, pokrzepienia, otuchy, nadziei. Zrozumiemy przyczyny boże tych wypadków, zrozumiemy drogi boże, zrozumiemy boże cele i widoki, a zrozumiemy znaczenie bied i kłopotów naszych, zobaczymy nasze obowiązki, zobaczymy wymagania boże, a w nich zobaczymy środki ratunku i przyzłe niechybne zbawienie nasze. Czyż może być to ważulejszego, potrzebniejszego, zbawienniejszego jak to słowo od Boga z którym tu do

was przychodzę? Przetóż najmilsi moi, otwórzcie serca wasze i nie zatwardzajcie ich więcej. *Hodie si vocem Domini audieritis, nolite obdurare corda vestra!*

Prośmy Boga o łaskę. Zdrowaś Maryo.

# I.

Mówiłem wam ongi, najmilsi moi, kiedym o miłości ojczyzny wam powiedział, że prawdziwy syn ojczyzny czyni to, co uczynili ci mędrcomie ze wschodu: porzucili ojczyznę, w której Chrystusa nie było, i biegli szukać Chrystusa aż do kończyn ziemi, aż do krainy żydowskiej, a tam Go znalazłszy, dopiero z Chrystusem w duszy, wrócili do ojczyzny swojej, i tego Chrystusa tej ojczyźnie dali. Tak prawdziwy syn ojczyzny tylko o jedno się troska, o to jak swojej ojczyźnie dać Boga, dać Chrystusa, dać Kościół święty. Albowiem to troje, pokazałem wam wtedy, jest nierozdzielne: Bóg, Chrystus, Kościół katolicki. I tak ten prawdziwy ojczyzny syn, kiedy ojczyźnie daje to troje: ten skarb, to życie, to szczęście, znowu o to się troska, aby ta ojczyzna, aby naród jego przyjął to wszystko całymi siłami swemi, i wszystko w swoim życiu ziszcł, o to się troska, aby jego naród był prawdziwie katolickim, i dał Bogu, Chrystusowi, w Kościele, całą swą wiarę, całą nadzieję, i całą miłość, tak jak ci mędrcomie: kadzidło, myrrę i złoto.

To wam pokazałem. A dzisiaj mówię: że w tem kadzidle, w tej myrrze, w tem złocie; w tej wierze, w tej nadziei, w tej miłości; w tych ofiarach, które naród ciągle składa u stóp Pana i Boga swego, mieszczą się wszystkie warunki jego życia, jego siły, jego pomyślności. Albowiem za te ofiary Bóg daje w zamian wierze naszej swoją prawdę i światło; nadziei naszej i pragnieniu swoje dobro i szczęście; miłości naszej swoją miłość i siebie samego. A tak wtedy naród jest z Bogiem, a Bóg z narodem. A kiedy Bóg jest z nami, któż przeciwko nam? *Si Deus pro nobis, quis contra nos?*

Dzisiaj wam mówię: że naród chrześcijański, katolicki, raz powołany do służby swojej przez Boga, jeżeli Mu tego nieda, albo Mu kiedy dać odmówi, musi koniecznie doświadczyć karzącej i karzącej ręki Bożej. Chłoszcze ojciec dziecko kłnąbrne, strofuje syna nieposłusznego i rozgniewany nareszcie Pan bić każe sługę ladaco. I jeśli ten mu się do nóg nie



rzuci i nie zawoła ze sługą owym: Panie odpuść, a dam ci się należy; albo, jeszcze lepiej, z synem marnotrawnym: Ojcie, zgrzeszyłem przeciwko niebu i przeciwko tobie, uczyni mię jako jednego z najemników twoich: — jeśli ten naród podobnie tego nie uczyni, cóż dziwnego, że chłosta nie ustaje, że kara się przeciąga, że cierpienie rośnie, a pomsta srożeje? Tego sprawiedliwość wymaga, tego wymaga sama miłość ojcowska, bo inaczej dziecko się nie poprawi, bo inaczej naród się nie upamięta, i nie zacznie na nowo być tem czem być zawsze powinien: narodem katolickim! Więc cóż dziwnego, że kara i nieszczęścia trwają i trwają, rosną i rosną?

To się z nami dzisiaj dzieje, najmilsi moi! dla tych przyczyn, ale zarazem i w tych celach. Tak: dla tego i ku temu. I któż będzie śmiał powiedzieć że inaczej? Że to trafem jakimś się stało, losem ślepym, bez przyczyny i bez celu? Kto będzie śmiał powiedzieć, że to wszystko nie Bóg na nas zesłał, nie jego prawica wszechmocna? A któż pomyśleć nawet odważy się, że to niesprawiedliwie, a zarazem i niemilosierdzie?

Najdrożsi moi, ukorzymy czoła i uderzmy się w piersi: zgrzeszyliśmy, nieprawnie postąpiliśmy.

**„Peccavimus, inique egimus!”**

Uroniliśmy i zmarnowaliśmy wiarę naszą, nadzieje niebieskie przetargowaliśmy na ziemskie, miłość Bożą wymieniali na miłość stworzen i na miłość własną. Bez wiary, bez nadziei, bez miłości, bez szat godowych byliśmy jednak jeszcze w godowym przybytku, w Kościele Bożym, jeszcześmy z niego jakoś nie uciekli: ale jakież tam przemieszkowanie nasze, bez wszystkiego co tam mieć potrzeba, bez szaty onej weselnej, bez kadzidła, bez myrry, bez złota? Czyż za każdym razem nie mógł tam wejść Pan godów i zawołać na nas jak na owego ulicznika w Ewanglii: Przyjacielu, jakieś wszedł tu nie mając nic z tego co trzeba? i skinąć na sługi swoje: Wyrzucie go w ciemność zewnętrzne, tam będzie płacz i zgrzytanie zębów? Pan tego nie uczynił jeszcze: ale jakież rozum i serce, że nie myślimy o tej nędzy naszej, i że coprędzej nie sporządzimy sobie tego właśnie czego tam potrzebujemy, czego On wymaga? Toć rzecz tak łatwa: tylko pójść do skarbnicy tegoż samego Pana; tam wszystko darmo dają. W kościele są wszystkie skarby Boże, a ta matka troskliwa wprzód we

wszystko swe dzieci zaprzystroi nim je przyprowadzi przed oblicze Pana godów, swego Niebieskiego Oblubieńca. A wtedy ten Pan i Oblubieniec poznaje swe dzieci i z weselem wita. Czegóż nie mamy tego rozumu? Czemu nie mamy tego serca?

I dlatego coraz dłużej i dłużej cierpimy. Pan nas wprowadzie nie kazał za drzwi wyrzucić, ale choć jeszcze w swym domu, każe nas jednak chłostać i rozumu uczyć. A my, czyż nie raczej jesteśmy podobni do niemych bydłał, które chłosty nie rozumieją? Czyż nie są czasem i tacy między nami, co raczej na miejscu zabić się dadzą, a uporu nie porzuca?

O Boże wielki! Ojczy miłosierny! Zlituj się nad nami! Daj nam rozum i daj nam serce! Rozprósz ciemności i skrusz nasz upór! Wyznajemy, że złość nasza równie wielka jak nasza głupota. I jednej i drugiej niema liczby ni końca. Ale, o Panie, czyż nie masz sposobu wyleczyć nas z jednej, wyprowadzić z drugiej? Czyż nie potrafi Twa łaska wynaleźć lekarstwa a Twoja prawica środka ocalenia? O Panie, Panie! zlituj się choć w nadzwyczajny, nadludzki, cudowny sposób! Ulituj się Panie, bo zginiemy!

Atoli, Panie najlepszy i Boże wszelkiego zmiłowania, dziękuję Ci zarazem i składam u stóp Twoich całą wdzięczność moją. Wołałem o litość i ratunek, a teraz dziękuję. Bo też, Panie, Ty się już zacząłeś litować. Jużes spuścił z nieba twej łaski iskiereki na ziemię naszą, jużes zaświecił światelka, jużes zapalił płomyki. Tu i ówdzie już świecą, już goreją. Zesłałeś i pomnożyłeś dusze pobożne, dusze Tobie oddane; pomnożyłeś dzieła miłosierdzia, wskrzesiłeś święte dziewice, poświęciłeś dobrych kapłanów, namaściłeś do świętego boju nieustraszonych wyznawców; nawet wieniec chwały męczeńskiej spuściłeś z nieba na czoło wybrane. Panie, Ty iście zacząłeś się nad nami litować. Przetoż kiedy dałeś początki, dasz i dalsze wzrosty i ostatnie skutki; są ziarna, będą i owoce. Panie, tylko racz błogosławić dziełu swemu!

A tymczasem cieszę się i dziękuję Tobie, Panie miłosierdzia, Boże wszelkiej dobroci! I witam was, i obracam się do was, wy dusze wybrane, w których spostrzegam te szczątki święte łask dawnych, lub te zarody błogosławione łask nowych: u których spotrzegam te skarby Boże, które nas od naszej nędzy uratują: to kadzidło, tę myrrę, to złoto; tę wiarę, tę

nadzieję, tę miłość: wy dusze błogosławione, w których już jest to życie nowe, z których wypłynie cały i pełny prąd tego życia, „ten święty źródło wody tryskający ku żywotowi wiecznemu”, fons aquae salientis in vitam aeternam! i daj Boże, wzmoże się w potop i obleje ze wszech stron spragnioną ziemię naszą i uczyni z niej raj Boży.

Do was tedy, dusze kochające Boga i od Boga ukochane, do was uposażonych i trzymających już te boże skarby, teraz szczególnie mowę moją obracam. Od was zależy tego narodu przyszłość i zbawienie, ono w waszym ręku: z wami tedy chcę się naradzić nad tem samem zbawieniem i nad tą przyszłością, jak ją sprowadzić, jak ją zabezpieczyć.

O dusze nie zrównane! Pospiesznie przystąpmy tu do kolebki tego dzieciątka Bożego, razem z tymi mędrcami. Daleko, daleko zostawmy za sobą wszelką mądrość ludzką i wszelką robotę światową. Niech tam sobie w Jerozolimie, w Babilonie tego świata, wszyscy piśmiennicy układają systemata swojej mądrości i ludzkich ratunków, niech tam faryzeusze i wszyscy sekciarze knują sobie spiski i sekty, aby się zbawić po swojemu, niech tam Herodowie wszyscy dzień i noc przemyślują jaką najlepszą zdradą pojmać to dzieciątko i jakim najostrzejszym nożem je zakłóć, chcę powiedzieć, jak Kościół święty w dniach naszych, to dziecię Boże na ziemi, na dobre podejść, związać i wytępić; niech oni o tem myślą, to ich rzecz, ich okrutny a daremny trud; nam się dostał lepszy udział, praca szczęśliwsza. Nam trzeba myśleć, jak tę prawdę, to dobro, to zbawienie, które nam Bóg powierzył, podnieść, rozszerzyć, ustalić, jak mu zapewnić zwycięstwo. A ponieważ to mówię do dusz wybranych, nie skądkolwiek, ale z naszego narodu, w tej oto godzinie i w tych okolicznościach, więc nam trzeba myśleć nie tylko, aby to wszystko po prostu uczynić, ale, aby to uczynić w tych właśnie ciężkich okolicznościach, w jakich się znajdujemy, w obec tych przeciwników, pod ciężarem tego prześladowania, w ogniu tego męczeństwa. Zaiste, nie tylko lepszy udział i praca szczęśliwsza, ale los wspaniały, ale zaiste zadanie godne tej wielkiej łaski i powołania jakie Bóg na nas wkłada.

A więc pospieszmy się i przystąpmy do kolebki tego dzieciątka. To wszystko tu znajdziemy. To samo dzieciątko jest

tem wszystkim. W tej naszej pracy będzie jego zwycięstwo i jego tryumf. Bo o co tu idzie? o to, aby uratować to czem naród żyje, a co Bóg już wszczepił do tych pierwszych dusz wybranych. O co idzie? O to, aby uratować wiarę, nadzieję, i miłość. Jak to w narodzie zachowamy, jak to w naród wszczepimy, dopiero wtenczas, będzie życie i zbawienie. Ale o jaką wiarę idzie? o jaką nadzieję? o jaką miłość? O tę jedną, która się tu poczęła dzisiaj, ze złóbka tego dzieciątka, wraz z Jęgo na świat przyjsiem, z którą tu przybyli pastuszkowie z Judei, którą z sobą tu przynieśli ei mędracy ze Wschodu, o tę, a nie o żadną inną: o wiarę chrześcijańską i katolicką i o taką nadzieję, i o taką miłość. Ta jedna naród zbawi, ta jedna da mu życie, ta jedna zwycięstwo. Więc słuszna i konieczna, aby się pospieszyć i już przystąpić do tego dzieciątka kolebki. Dusze wybrane, oto już tu z wami jesteśmy: a Ty dziecię miłe, Ty dziecino Boża, na którego czole majestat, a na ramieniu siła i potęga, w rękę berło panowania i władzy. Ty spojrz na nas łaskawie i uśmiechnij się wdzięcznie i błogosław nam! Albo raczej, Ty sam nas naucz jak mamy rozpocząć twe dzieło, jak je prowadzić, jak go dokonać? Tylko nas naucz i błogosław. A wtedy niech tam za nami trzęsie się Jerozolima cała, niech zlorzeczą Faryzeusze, niech się srożą Herody: Ty nam zesłesz twoje anioły, oni nas innej nauczą drogi, i bezpieczeń, spokoju, weseli, tą inną świętą drogą znajdziemy ojczyznę naszą, i tam w niej już nigdy noga nie postanie ani Żydów, ani Faryzeuszów, ani Herodów. Tam jeden tylko prawdziwy Koseiół panować będzie, a w nim Ty Panie, któryś jest ten Chrystus, któregośmy tak szczęśliwie znaleźli, zyskali, zdobyli. O Panie, a więc nas naucz!

Bracia Najdrożsi, dusze wybrane, już słuchajmy: On nas niezawodnie nauczy. Proszę o uwagę.

## II.

Dusze wybrane! Pierwsza rzecz nad którą nam się trzeba zastanowić, pierwsza rada, pierwsze przedsięwzięcie, pierwsze dzieło, jest koniecznie wiara. Jak ją uratować jeśli gdzie jest jeszcze? Jak wszczepić, gdzie jej już niema? Jak wzrost dać, jak obronić, jak rozszerzyć, jak ustalić? Ta jest pierwsza rzecz, i to pierwsze dzieło.



Tego nas uczy to dzieciątko i ci mędracy. Trzeba nam przynieść kadzidło temu dzieciątku, bo ono jest Bogiem; i odtąd to wonne kadzenie wciąż i wciąż ma się wznosić do Niego; przez to uznawać, że On Bóg nasz. Wiara nasza ma być tym ciągłym, a czystym, a wonnym hołdem naszego umysłu i ducha. A wtedy On będzie Bogiem naszym i pokaże się Bogiem, i w czynie zatwierdzi się Bogiem, da nam swoje światło, swoją mądrość, swoje tajemnice, swoje przykazania, i nauczy nas swojej drogi: nie będziemy błędną owieczką, nie będziemy opuszczoną sierotą, nie będziemy chodzili w ciemności, po manowcach, bez dachu, bez celu, bez drogi: będziemy szli za Nim, w pełni światła i bezpieczeństwa i mocy. On bowiem światło świata. *Qui sequitur me non ambulat in tenebris: Ego sum lux mundi!*

Dusze wybrane, spójrzmy naokoło siebie: jak stoi u nas wiara? Jakie naród nasz przynosi kadzidło Chrystusowi Panu? To rachunek sumienia, jaki między sobą czynimy, najmiłsi moi! Ale jużemy go uczynili, i wiemy, jaki tego rachunku smutny iloczyn. A co smutniejsze; bo tu między sobą prawdę możemy i musimy powiedzieć; co smutniejsze, to, że ciężkość złego nie w tem leży, iż wiara u nas prześladowana, boć są okolice, gdzie nie jest prześladowana, a złe nie mniejsze. Prześladowanie wprowadzie do złego wewnętrznego dodaje zewnętrzne, i złe jest iście ciężkie, klęska sroga. Już Grzegorz XVI, ćwierć wieku przeszło temu, opłakiwał miliony dusz dla Kościoła i dla Chrystusa straconych, a Pius IX niejednem gorzkim, i żalosnem, i potężnem słowem jęczał nad wielkością codzien wzrastającą klęski i zniszczenia. Prawda, że jeśli tym torem rzeczy pójdą, wyrachować można i rok i dzień i godzinę, w której ostatni ślad wiary się zatrze na miejscach, gdzie przedtem wyłącznie panowała. Żalosne przewidzenie, okrutna wróżba! Ale nie mniej wobec tego zrozumieście, com powiedział: nie w tem jest wielkość złego i sama treść naszego nieszczęścia. Ona w tem, że w nas samych wiary nie było, i niestety jeszcze niema. Bo ja tu nie mówię o wierze jakiejś powierzchownej, którąśmy się odziewali, o wierze zwyczajowej, nałogowej, powtarzającej pacierz za panią matką, i chodzącej do kościoła dlatego, że wszyscy tam zawsze chodzili. Mówię o wierze żywej, prawdziwej, rzeczywistej, o wierze, która z siebie rodzi prawdę i prawo,

sprawiedliwość i obowiązki, obyczaj i uczynki; mówię o wierze gorącej, działającej, zatwierdzającej się w każdym uczynku, w każdym słowie, w każdej myśli. Nie było takiej wiary, ach, na końcu i cienia jej nie było! I coś dziwnego, że potem przyszli nam i z zewnątrz, to, cośmy jeszcze mieli, odbierać? Wszakże sam Bóg wydał ten wyrok: kto ma, mówi, temu będzie dano, a kto nie ma, temu i to, co ma, będzie odjęte! Zrozumiejmy tę tajemnicę Opatrzności Bożej. Taki bowiem jest zakon zepsutej natury naszej: póki mamy zdrowie, ani je ceniśmy, ani nawet myślimy, jak jest drogocenne; ale kiedy choroba przyjdzie je wydzierać, wtedy budzi się uczucie rozumniejsze i przychodzimy do lepszego ocenienia rzeczy. Wiara jest zdrowiem ducha naszego, jego życiem. Trwoniliśmy je w niezdrowej rozpuście, ani się spostrzegając na złem; spuścił Bóg z zewnątrz klęskę i plagę; a nuż oenei się ten duch nasz ospały i pozna się na skarbie, który już niemal cały roztrwonił. Czyż w tem nie wyraźne miłosierdzie Boże? Ale, niestety! myśmy się i na tem niewiele poznali: i w tem bieda, w tem złe, w tem ból srogi, że ten heroiczny, że tak powiem, środek lekarza boskiego choroby naszej nie uleczył! Czy teraz widzimy całą wielkość złego? Całą ciężkość naszego upadku?

Lecz ja do was mówię, dusze wybrane, których liezba, mam w Bogu nadzieję, już dużo urosła i codzień rośnie: wy rozumiecie wszystko i czujecie głęboko. Z wami żale me dzielę, z wami ratunku szukam, z wami chcę rękę do dzieła przyłożyć. Cóż więc czynić mamy?

Mamy, najdrożsi, mamy, i wiele mamy do czynienia i możemy czynić, tylko w imię Boże weźmy się do rzeczy.

Jesteś ojcem? Czuwajże nad twemi dziećmi, czuwaj i wszechpiał wiarę i wprawiaj ich do służby Bożej — i nie daj im rość jak płonkom dzikim w lesie. Szezep w nich dobre, i obcinaj złe, a zrobisz wiele, wiele.

Jesteś panem w domu? Czuwajże nad twoją czeladzią, niechaj w nich będzie wiara Boża. Sam ich ucz, sam napominaj, sam prowadź. Nie czyń jak ci inni panowie domu, co wiary nie mają, nie puszczaj samopas czeladkę swoją jak bydłęta jakie, a zbawisz ich dusze, a uczynisz wiele.

Jestes matką rodziny? O jak wiele, jak wiele uczynić możesz! Mówię do ciebie duszo dobra, wybrana, pełna wiary!

Ty w domu twoim, rzekłbym, wszystko możesz, jesteś wszechmocna! Twoja wiara wszystkiego dokona, a jeśli potrzeba, i pokona wszystko. Ty dzieciom twoim bez żadnej pracy, już z mlekiem mateczynem i wiarę wpoisz, a jeśli dalej czuwać będziesz, tedy i utwierdzisz; ty uśmiechem twoim i dobrocią, i rozumną łaskawością, wszystkim domownikom słodką ją uczynisz i każdy na końcu ci się podda, a gdyby sam pan domu jeszcze się na ostatku stawiał oporny, ty łzami twemi i modlitwą, miłością swoją i ofiarą, i jego zwyciężysz. Nic ci się nie oprze, o matko rodziny, kiedy będziesz z Bogiem i z jego łaską oparta na owej mocnej wierze. Tylko miej wiarę, a tyś wszechmocna! I jakże wiele, jak wiele dla wiary uczynić możesz!

Jesteś przyjacielem i masz przyjaciół, wnieśże wiarę do twojej przyjaźni. Twoja wiara uczyni twoją przyjaźń nie tylko świętą, ale żywą i płodną. Przez wiarę staniesz się w duchu ojcem i matką twego przyjaciela; tylko czuwać, tylko działać, tylko poczynaj w imię tejże wiary, a i ty uczynisz wiele!

Jesteś młodzieńcem? Ach, młodzieńcze pełen wiary i wśród wiosny życia pełen kwiatów i owoców z tej rosy, i z tych soków z nieba, jakież to zachwycający twój widok! Młodzieńcze! który należysz do tych dusz wybranych, do których mówię; młodzieńcze z wiarą żywą, śmiało naprzód! Ty nie wiesz ile ty masz siły, jak się tobie ludzie dziwią, ile twój przykład przekonywa i porywa za sobą. A więc naprzód śmiało, czyni uczynki wiary i dzieła wiary. Powiadam ci, że choćbyś był niemym, będziesz wymownym i nieskończenie wiele uczynisz.

Jesteś uczonym, a przynajmniej człowiekiem pióra? Witam cię w tem gronie dusz wybranych i z zadowoleniem podaję ci rękę. Gdzieindziej twoja w tem gronie obecność nie byłaby takim dziwem; u nas jest się z czego cieszyć. Witajże miły gościu! A czy nie widzisz ile ty masz do czynienia, ile uczynić możesz? Całe nasze piśmiennictwo to wielka wieża Babel, albo raczej owa z baśnictwa stajnia Augiasza! Kto ją zrozumie? a raczej kto ją oczyści? Tu nie dosyć jednego Herkulesa. Ale tymczasem witaj choć jeden i bądź dobrą zapowiedzią. Jak was Bóg da z dziesięciu przynajmniej z dobrem piórem i z lepszą jeszcze wiarą, cudów dokażecie! Ale i ty już zaczynaj, mężu wiary, jeden i drugi, którzy tu stanęliście, Bóg pobłogosławi i uczynicie wiele.

Jesteś sędzią, urzędnikiem, piastujesz władzę? Jesteś obywatелеm, panem włości, masz całą jaką ludność pod sobą? I ciebie tu mile witam w tem gronie dusz wybranych. Bóg ci dał wiarę, wiarę żywą i działającą? Podziękuj Mu, bo i twój przykład nie tak gęsty na tym świecie. Nie wielu możnych, nie wielu bogatych, nie wielu potężnych według świata w tem gronie dusz wybranych. Są jednak, a u nas może jednym lub drugim więcej niż gdzieindziej. Masz tedy wiarę! Weźże się szczerze do jej szczepienia, rozszerzania, utwierdzania. Ach ile od ciebie zależy! Bo twoje słowo potężne, twój przykład przeważny, twoja wola i praca nie może nie mieć skutku. W imię Boże weź się do dzieła, a przyprowadź nam więcej podobnych do siebie: bo powiadam ci, że wiele, wiele uczynić będziecie mogli!

Jesteś kapłanem Bożym! Ach! tutaj głos tłumię. Azaliż bowiem mam się pytać kapłana czy ma wiarę Bożą, wiarę, mówię, żywą, gorącą, poświęcającą się i wiarę żyjącą modlitwą, czynem, ofiarą? Mamże, mówię, o to się pytać, i wystawić się na to żeby nie znaleźć? A znalazłszy będę mógł chwalić się i cieszyć, jakby z czego osobliwego, to co pospolicie u kapłanów bożych powinno być wszystkich? Nie, nie będę się pytał: nawet oczu nie otworzę, aby nie widzieć czy wielu czy niewielu znajduje się ich w tem gronie dusz wybranych. Wiem, że są, i dość mi tego. I wołam do nich i do każdego z nich: Kapłanie Boży, kapłanie z wiarą, tyś więcej niż matka rodziny: a jeśli ona wszechmocna w domu swoim tyś wszechmocnym w domu Boga twojego. To wszystko co Chrystus czynił, to wszystko i ty czynić możesz: nawet za mało mówię, Chrystus więcej powiedział: Qui credit in me, opera quae ego facio et ipse facit, et majora his faciet. „Kto wierzy we mnie, uczynki, które ja czynię i on czyni, i większe od tych uczyni.” Kapłanie z wiarą! czyś nie wiedział dotąd co czynić możesz? albo też czyś nie dosyć wierzył słowom Chrystusa i lękałeś się do tych wielkich uczynków ręki twojej sięgnąć? Czemuś zwątpił, człeku małej wiary? Lecz precz z wyrzutami, opodał narzekania! I w jednych i w drugich, patrząc na to co się u nas dzieje, za dalekobym poszedł. A ja tylko tu mówię do tych ludzi dobrej woli, do tych dusz wybranych, do tych kapłanów między nimi, którzy pełni wiary i tej samej



dobrej woli, chcą zaradzić złemu. Bo tu o ratunek idzie, o ocalenie, o zbawienie! Cóż tedy masz czynić kapłanie z wiarą i z dobrą wolą? Ach! ja cię tego uczyć nie będę, wždy ty sam wiesz lepiej co masz, co możesz, coś powinien czynić. Niech cię zresztą sam Chrystus nauczyc. Ale to pewno, że jak się weźmiesz do dzieła, tedy ten kątek ziemi do którego twa ręka święty pług zapuści, stanie się niezadługo cały zielony zasiana przez ciebie wiarą, stanie się wkrótce potem cały zło-cisty dojrzałym ziarnem i owocem, i na końcu nieodzownie zbierasz i odłożysz bogaty plon do gumien wieczności. Kapłanie żywej wiary a dobrej woli! Przyszłość świata w twojem ręku, zbawienie ludzi, pełność wieczności, chwała Boga samego w twojem ręku! A jeżeli inni mogą wiele i wiele uczynić, ty możesz wszystko. Owszem, wszyscy inni bez ciebie mało co albo nic nie mogą, ty ich wszystkich w twem ręku trzymasz, ty nimi kierujesz, ty im sił dodajesz, ty ich mnożysz, ty utwierdzasz, ty doprowadzasz do celu. Dopiero z tobą oni wszyscy silni, tak jak na odwrót ty jesteś silny nimi wszystkimi: chociaż twoja siła jeszcze wyższa i głębsza, ty jesteś silny Chrystusem samym, ty drugi Chrystus, i jak Chrystus świat przemienił, tak i ty go ciągle przemieniać możesz. O kapłanie Boży, weźże się do dzieła! W twojem ręku ratunek i zbawienie świata!

Oto co mamy naprzód czynić. To wiara,

Mówiliśmy o wierze. Ale my temuż samemu Panu Bogu naszemu mamy przynieść nadzieję i miłość. Znowu z wami wchodzę w radę, dusze wybrane, chcące ratować. Co tu czynić? A naprzód, jaka to bieda i jaka klęska, z jakiej to ruiny ma być to powstanie?

Bracia najmilsi! Kiedyśmy mówili o wierze, była mowa o poddaniu rozumu i ducha naszego temu Bogu i Panu. Była to ofiara kadzidła.

Kiedy teraz mówić mamy o nadziei, będzie mowa o poddaniu uczucia naszego i serca temuż Panu i Bogu. Ale jak wiara jest wyrzeczeniem się własnego fałszywego światła rozumu, tak nadzieja jest wyrzeczeniem się własnej, fałszywej pociechy serca, własnej przyjemności, własnej rozkoszy, dla

owej wyższej, ale tu niewidomej, niedoznanej szczęśliwości tamtego świata. Jest to tedy wyrzeczenie się pociechy, a tem samem gorycz, a tem samem myrra. Nadzieja jest to ofiara myrry.

A innem słowem i w praktycznem życiu nadzieja chrześcijańska jest to danie odprawy wolnym obyczajom, i rozuzdaniu tego świata, a wprowadzenie trzeźwego zmysłu i surowego obyczaju zakonu chrześcijańskiego.

Tam chodziło o wiarę, tu chodzi o obyczaj.

Obyczaj chrześcijański! O dusze wybrane, cóż uczynimy? Czyż on jest u nas? Nie pytajmy się o to tych, co żyją na świecie, wielu z nich już zmysł straciło chrześcijański, a wielu innym serce się zamąciło i głuszą to, co się jeszcze z tego zmysłu na dnie odzywa. Nie pytajmy się ich. Spójrzmy sami naokoło. Obyczaj chrześcijański, czysty, niepokalany, choć surowy, ale uroczy, choć poważny, ale wdzięczny, trzeźwy, jasny, wonny, ten święty obyczaj, jest rzadkim pono gościem, najczęściej tułaczem od strzechy gdzieś do strzechy, a często i wygnańcem na zawsze z wielu rodzinnych progów.

Czy za wiele twierdzę? Bogdajby tak było! Ale ja do was mówię, dusze wybrane, i wy wiecie, że tak jest, jak mówię. Dość nam jedną uczynić uwagę, jedno położyć zapytanie sobie samym: Czy wiele znajdziemy młodzieńców z sercem niepokalanem, coby nie wypili z brudnej czary tego świata? Czy wiele nawet znajdziemy dziewic z trzeźwą, niepokalaną wyobraźnią, a nie rozmarzoną, coby nie goniło za snami, nie zrywało jadowitych kwiatów na odurzających błoniach tej czarodziejki? — wyobraźni, mówię? A gdzie tu obyczaj, gdzie tu prosty zmysł chrześcijański?

To druga przepaść, z której się trzeba ratować. Cóż uczynimy, wy dusze dobrej woli?

O, nie traćmy odwagi. Złe wielkie! Ale są oni mężowie wiary do których mówiliśmy, są ci młodzieńce dobrej woli, są szczególnie święte matki rodzin, są przedewszystkiem kapłani Boży i dziewice święte. Tych ostatnich Bóg nam w tych dniach przymnaża. To dobry znak. O miejmy nadzieję! Tu o nadzieję chodzi, ale aby otrzymać nadzieję już trzeba mieć nadzieję. Miejmyż nadzieję! Miejmy ją jako ziarnko gorczyczne, a otrzymamy całe jej drzewo, i z nim pełno owoców. Miejmyż tedy

nadzieję, a z tą nadzieją weźmy się do dzieła. Wy szczególniej matki rodzin i wy także, dziewice święte, szczepcie obyczaj chrześcijański; to wasze przedewszystkiem dzieło. Pod względem obyczaju społeczeństwo takie zwykłe, jakie jego niewiasty. Do ciebie tedy mówię u nas, niewiasto, zrozumiej, czego chce Bóg od ciebie, strzeż tego ognia świętego, na którego strażę cię postawił; jeżeli zgaś przypadkiem, co rychlej go roznieć i pilnuj święcie i zgasnąć już nie dopuszczaj! To ogień, od którego zależy zbawienie narodu; ten ogień czystości chrześcijańskiej to światło chrześcijańskiego obyczaju. Niewiasto! on w twojej pieczy! Czy rozumiesz myśl Bożą nad tobą i dzieło Boże przez ciebie? Czy rozumiesz? Więc spełniaj, co spełniać do ciebie należy!

---

#### Ostatnie słowo, o miłości.

Miłość, to ofiara woli naszej i osoby całej, jak wiara rozum, jak nadzieja serca. W tej ofierze przynosimy całe bogactwo tej naszej osoby, bo przynosimy zamiary, chęci i uczynki. To wszystko złoto nasze. Miłość jest ofiarą złota!

Jak z wiary był rozum i prawidło życia chrześcijańskie, jak z nadziei był zmysł i obyczaj chrześcijański, tak z miłości jest żywot społeczny chrześcijański. Tu przychodzi cel tego życia, wszystkie stosunki społeczne, wszystkie obowiązki wzajemne, jednym słowem: całe prawo i zakon społeczny. A tym zakonom społecznym chrześcijańskim jest miłość: Miłość Boga i miłość bliźniego.

Ach, coby to było za społeczeństwo, któregoby całym zakonom, wyłącznem prawodawstwem, jedynym kodeksem była miłość Boga i miłość bliźniego!

Lecz o ten ideał ja tu trącać nie chcę. Ach, gdzie mi tu myśleć o ideałach? Tu nam się dźwigać trzeba z ruin, z błota, nawet i z gnoju. A tem błotem, tą zgnilizną na polu miłości jest samolubstwo, i jego rodzona siostra, czyli raczej odwrotna strona: nienawiść, z całym orszakiem: zazdrości, gniewów, zdrad, niesprawiedliwości.

Dusze dobrej woli, oto stoimy na tem nowem polu; cóż pocniemy? Złe wielkie okraża nas dokoła, porywa, pochłania. Już to dziś na całym tym Bożym świecie samolubstwo ze swoim dworem panuje szeroko i niemal wyłącznie. Nic dziwnego, że

i u nas. Ale my jesteśmy narodem katolickim i mamy takim pozostać. Mamy tedy Bogu naszemu i tę przynieść ofiarę, ofiarę naszej miłości. Zaczniemyż od tego, aby znieść wszystkie niesprawiedliwości, zdrady, zazdrości, gniewy, nienawiszcze: może się dobierzemy do samolubstwa i tym sposobem może potrafiemy oczyścić pole dla świętej miłości. O, daj to Boże!

O, wy wszyscy, którym Bóg darował miłość swoją i miłość bliźniego, weźcie się naprzód do tego dzieła. Pracujmy i pracujmy, aby zaprowadzić naprzód sprawiedliwość. Ach, ja wam więcej powiem, dusze wybrane! Jeszcze coś uprzedniego, coś bardziej pierwszego trzeba nam wprowadzić w imię Boże. Oto sumienie chrześcijańskie i uczucie obowiązku. Na miłość Boga nad tem pracujmy, od tego zaczniemy. Bo tego pierwsza i ach, jak gwałtowna potrzeba!

Rzecz dziwna! Cóż się stało z narodem chrześcijańskim? z ludem Bożym, wychowanym na łonie Kościoła? Ze społeczeństwem, w którym kiedyś Bóg panował i zakon jego święty? I to między sobą to mówimy, więc powiedzmy całą prawdę: Czystego, jasnego sumienia niema: niema uczucia obowiązku. Nie mówię, byśmy byli gorsi od innych, tu nie idzie o porównanie z nikim: tu idzie o to, co jest, o porównanie z tem, co być powinno. Gdzież sumienie? gdzie święte jarzmo obowiązku? Daj mi człowieka, któryby ze świętem, jasnym, bezpiecznym sumieniem stał przy Bogu, przy kościele, przy tem, co święte, co słusne, co sprawiedliwe. Któryby głośno wyznawał wiarę, potępiał błąd, nauczał prawdy bożej i prawa bożego, zbijał i wywracał opinie ludzkie i zamiary bezbożników. Daj człowieka, któryby miał sumienie ugruntowane na tem, co wiecznie prawdziwe i sprawiedliwe, sumienie niezależne od tak nazwanej opinii publicznej, którą jeden dzień przynosi, a drugi precz zmiata, sumienie niezależne od tych dzienniczeków, pisanych przez ręce niechrześcijańskie, co to iste kuznie kłamstw i fałszów wierutnych, rozmyślnych, często cuchnących złą wiarą i byzwyndem, nie znają nietylko nie bożego, ale ani nawet nie ludzkiego, co przechodzi ich ciasne serca i umysł tępy, a przewrotny. Daj człowieka, coby się nie kłaniał tym fetyszmom albo temu innemu widmu, sławie jakiejś publicznej, aurze popularnej swojego miasteczka albo swojej okolicy, a często czemuś gorszemu jeszcze i najgorszemu, tym słowom, tym szeptom,



tym rozkazom, wyszłym skądś z pod ziemi: na których same szeptanie i sykanie węzowe już sumienie wzdrygnąćby się było powinno. Ach, daj człowieka, któryby miał sumienie iście wolne i święcie niepodległe! To jest prawdziwa wolność, to prawdziwa niepodległość! A przy tem sumieniu wolnem daj człowieka, co by miał święte uczucie obowiązku! Uczucie obowiązku, któreby nie miało żadnych względów, żadnych strachów, nie wchodziło w żadne kompromisy, nie targowało się z fałszem, nie układało ze zbrodnią, nie ustępowało przed prośbą, przed namową, przed groźbami, nie drżało choćby przed gniewem i potępieniem publicznem: ale śmiało, odważnie, bezpiecznie spełniało ten swój obowiązek, który raz w sumieniu uczuło! Daj człowieka, co by tak czynił swoje, czyli raczej boże, że choćby cały świat na niego się spiknął, cały świat na niego się srożył, onby stanął mocniejszy, niż świat i mocą swego sumienia, mocą swojej duszy na obowiązek przysięgłej, całyby świat pokonał! O, daj mi takie sumienie, daj takie uczucie obowiązku, a ja ci przyrzekam ratunek, zbawienie, zwycięstwo — wszystkie błogosławieństwa niebieskie i wszystkie pomyślności ziemskie!

Dusze wybrane, to do was należy pracować nad tem. Same już macie, siejcież to ziarno święte, szczepcie ten Boży szczep. To wasze zadanie. Ach jakie wielkie i jakie zbawienne! **To czyńcie między innymi ludźmi.**

A między sobą wy czegoś wyższego jeszcze zdolne. I to moje ostatnie słowo do was, słowo ostatniej już i czystej miłości. Dusze święte, tu chcę żeby was było jaknajwięcej i żebyście tego głosu Bożego słuchały jak najpilniej, a wykonały je jaknajwierniej.

Kochajcie tych bliźnich waszych, jakimikolwiek oni są.

**Żyćcie ofiarą.**

A w tej miłości i w tej ofierze bądźcie niezmordowani, **niezwyciężeni.**

Kochajcie nieprzyjaciół waszych takich jacy są.

Przebaczcie wszystko. Dajcie w zamian wszystko.

Dajcie im Boga i Chrystusa, przynajmniej w duszy.

**A wtedy Bóg zlituje się nad nami.**

Spójrzy z wysokości i powie: Oto syn mój ulubiony, w którym mi się dobrze upodobało.

**Dla Niego wszystkim przebaczy.**

O jakie wtedy będzie zbawienie nasze. Nie tylko dla siebie zyskamy. Zyskamy dla innych.

To do was mówię, dusze wybrane!

A więc do dzieła. Na świecie ciemno, zimno, ciasno, duszno, pusto. I u nas to samo.

Dajcie Mu wiarę, nadzieję, miłość, a będzie jasno, a będzie ciepło i błogo, a będzie pełno, a zarazem wolno i swobodnie.

I po dokonaniem dzieła spójrzy Bóg na was z podwójnem upodobaniem i rzeknie: Oto moi synowie, oto ich dzieło, w którem mi się dobrze upodobało.

## KAZANIE XXXI.

### O św. Stanisławie Kostce.

(Miane we Lwowie u OO. Jezuitów, 13 listopada 1864)

*Haec est voluntas Dei, sanctificatio vestra.*

Każde społeczeństwo ma swoich bohaterów, ma ich każda wiara, każdy zakon, każdy obyczaj, każda religja. Mamy tedy swoich bohaterów i my chrześcijanie, a naszymi bohaterami są święci. Jednym z nich właśnie jest ten, którego dzień uroczysty zgromadził tu nas wszystkich u stóp jego ołtarza.

Lecz czemu są bohaterowie dla tych, którzy ich czczą za takich? Krótko powiem: To są owe dusze przebrane, owe pełne osobistoście, w których to lub owo społeczeństwo, wiara, zakon, obyczaj, święcą najwyższy ideał urzeczywistniony najpełniejszym czynem. Ideał ludzki i czyn ludzki w zupełnej z sobą harmonii, a jeszcze podniesione walką, to jest ścieraniem się z przeciwnościami i uwieńczone zwycięstwem, to stanowiło i zawsze stanowić będzie to, co nazywamy bohaterstwem. Bohaterstwo jest to więc najwyższe objawienie wszystkich sił żywotnych, złożonych w jakim społeczeństwie; i jak żadna istota bez swej woni i blasku, żadna roślina bez swojego kwiatu, żadne życie bez swojego serca istnieć i trwać nie mogą, tak też ani bez bohaterstwa żadna wiara, zakon, obyczaj, żadne społeczeństwo ostać się nie może.

A więc słusznie ludzie święcą bohaterstwo, słusznie podwyższają i czeją bohaterów. Zaiste, że słusznie wieńczą laurem ich skronie, biegną na ich spotkanie, stawiają na ich przechodzie łuki tryumfalne, ścielą pod ich stopy kobierce i szaty, kwiaty i palmy, i tę drogę szczęśliwą, którą ich ślady naznaczyły, nazywają odtąd drogą świętą, *via sacra*. Zaiste, że słusznie. I biada społeczeństwu, które niema bohaterów, albo ich nie czei, albo ich nawet nie poznaje! Biada mu! bo tam nie tylko już życia niema, tam już niema życia najzacniejszych zarodów i najkonieczniejszych przyczyn.

Atoli niemniej biada temu także społeczeństwu, które czei fałszywych bohaterów: które owe honory i zaszczyty, niemal że Boskie, rzuca pod stopy pierwszych lepszych awanturników, często sprośnych wieprzów lub wilków drapieżnych! Biada mu i daleko większa biada! bo tam już nie tylko niema onych zacnych życia zarodów, tam już życie w śmierć się obróciło i zdrowie przeszło w zgniliznę.

A przetoż, jeśli w każdym społeczeństwie mają być bohaterstwo i bohaterowie, tedy o to przedewszystkiem idzie, aby to było prawdziwe bohaterstwo i bohaterowie prawdziwi.

Jakież więc, pytam, jest prawdziwe bohaterstwo, o bracia najmilsi? Czyż wątpić możemy? Chrześcijanie jesteśmy i dla nas prawdziwe bohaterstwo jest tylko ten ideał połączony z tym czynem, który nam chrześcijańska nauka i chrześcijański Kościół katolicki podaje za najwyższy ideał w zamierzeniu i za najdoskonalszy czyn w spełnieniu. Dla nas prawdziwem bohaterstwem jest świętość, a prawdziwymi bohaterami są święci. Oto są ojcowie twoi, o Izraelu, oto są twoi rycerze i twoi wodzowie, ludzie chrześcijański, to twoje wzory, to twoje światła, to twoje chluby i twoje wielkości, to twoje twierdze i twoje siły, to twoi prawdziwi bohaterowie. W nich ty święcisz najwyższy objaw twojego życia nie pogańskiego, nie ludzkiego, nie tego ziemskiego, niskiego, znikomego, na śmierć skazanego, ale najwyższy objaw twego istotnego, na wieki trwającego, Bożego życia, objaw życia, w którym się doprawdy spotykają najwyższy ideał i najdoskonalszy czyn.

Ach, iście najwyższy, iście najdoskonalszy! Przedstawię wam dzisiaj jeden przykład jego w tym naszym najmilszym Świętym, który się nazywał tu na ziemi Stanisław Kostka.

O najdrożsi moi, jak mi miło dać zabłysnąć przed wami temu pięknemu światłu! Dziś, kiedy tyle fałszywych ideałów wynurzyło się z przepaści i kręci głowami i sercami ludzkimi, dziś, kiedy tyle niegodnych czynów urodziło się z tych głów i z tych serc zakręconych, i sprzedaje się za czystą monetę cnoty i bohaterstwa, dziś o najmils, jakże błogo spojrzeć ku tym wyższym przestrzeniom, ku tej stronie niebieskiej, gdzie już burz niema i wiecznie świeci pogodne słońce; o, jakże błogo widzieć w tem czystem świetle uroczą, zachwycającą postać chrześcijańskiego, niebieskiego bohatera, jak miło i szczęśliwie popatrzeć mu w oczy i zająrzeć do jego duszy, być owianym tą słodką atmosferą, która go otacza, kąpać się w tej jasności, oddychać tem powietrzem, i wciągać z niem razem w siebie nowe życie i nowe siły. O najmils zapomnijmy na chwilę o nędzach, które nas otaczają i przez tę chwilę pożyjmy w szczęśliwościach, w których żył, i tem bardziej dziś żyje nasz Święty; a wždy, jak raz zakosztujęm tego życia, może doprawdy już się z niem nie rozstaniemy. W imię Boże! Przez przyczynę Najśw. Panny!

## I.

*Haec est voluntas Dei, sanctificatio vestra.*

Uświęcenie się, świętość jest tedy jedynem prawdziwem bohaterstwem.

Ale cóż jest świętość i co uświęcenie? I co to jest zostać świętym i być świętym? Jednem słowem, co to jest święty?

Dziwne zaiste mają ludzie o tem wyobrażenie. Zdaje im się, że święty to jakiś człowiek do człowieka niepodobny, że święty musi albo po wodzie chodzić, albo po powietrzu latać, albo koniecznie cuda jakie czynić, lub też, przynajmniej, że musi zapamiętałe pościć, jakieś srogie pokuty odprawiać, a pacierze wciąż mówić; i są takie duszyczki, które myślą, że im więcej pościć będą nic nie jedząc, i im więcej pacierzy mówić, nic nie przerywając, już niezadługo same świętymi zostaną. Nie naśmiewam się tu z tych dusz krótko widzących, lituję się nad niemi, ale wytykam błąd, błąd, niestety, o ile zgubny, o tyle jednak powszechny; błąd stary jak świat; ten sam błąd, którym grzeszyli Faryzeusze, i których tak za to karci Chry-



stus. I oni modlili się, i oni pościli, modlili się więcej niż zwykłymi modlitwami, pościli więcej niż zwykłymi nakazanymi postami; a łupili wdowy i sieroty, a kładli na ramiona innych brzemia nieznośne, których sami palcem tknąć nie chcieli, niecierpliwi, gniewliwi, ofukliwi, zjadliwi, dumni, zarozumiali, pychą nadziani, zdradą podszyci, istne syny Belzebuba, na których Chrystus wciąż wołał: Biada wam, biada wam! A oni myśleli o sobie, że święci! I są jeszcze tacy ludzie, których Chrystus nie wyleczył z tego błędu, którzy myślą jeszcze, że to świętość? Jakże ten błąd ma strasznie głębokie korzenie, jak one ciągle te same i ciągle odrastają! O duszo nierozumna! modlić się potrzeba i pościć potrzeba; ale nie to jeszcze świętość. Jeszcze ci więcej powiem. Możesz i cuda czynić, możesz i po wodzie chodzić i po powietrzu latać, i jeszcze nie być świętą. Owszem, możesz to wszystko czynić i być przekłątą. Alboś nie słyszała, co mówi Chrystus, że w owym dniu ostatecznego sądu, wielu rzeknie do Niego: „Albośmy w imieniu Twojem tego i tego nie czynili?“ A On im odrzeknie: „Nie znam was! Idźcie precz, przekłęci, w ogień wieczny, zgotowany djabłu i aniołom jego“. A więc to wszystko nie świętość. Cóż tedy jest świętość?

W jednym słowie wam powiem, najmilsi moi! Ale, że to słowo jest nieskończonej wagi, więc proszę was o całą baczość. Świętość, drodzy moi, nic innego nie jest, jedno spełnienie woli Bożej. Spełnienie, mówię, woli Bożej, ale całej woli Bożej; a więc spełnić (słuchajcie) to, czego Bóg chce, i gdzie i kiedy On chce, i tak jak On chce, dlatego, że On chce. Kto tak w życiu wolę Bożą spełni i całą spełni, ten dopiero jest święty, doprawdy święty.

Mówiłem wam od początku: To jest wola Boża uświęcenie się wasze. Ale teraz odwracam i powiadam: Uświęcenie się wasze, świętość wasza jest to spełnienie przez was woli Bożej. Jedno idzie za drugim, jedno odpowiada drugiemu. Wolą Bożą, ogólną, pierwszą i ostatnią, jedyną i całą, na całe życie nasze jest to, abyśmy się uświęcili, jest uświęcenie nasze; ale z drugiej strony uświęceniem się naszym jest spełnienie woli Bożej szczególnej, woli Bożej zastosowanej do każdego przypadku życia, do każdej chwili, do każdej czynności, a szczególnie spełnienie woli Bożej co do głównego, nam właściwego, szczegól-

nego dla nas samych zadania naszego życia. I tu przystępuję bliżej do samego przedmiotu.

Jest wola, szczególna, Boża, nad każdym człowiekiem z osobna. Ma swoje przeznaczenie każda istota, przez Boga stworzona, ma swoje przeznaczenie człowiek, król i pan tego świata! Ale mówię o każdym człowieku w szczególności. Każdego człowieka Bóg przeznacza do spełnienia jakiegoś zadania w tym wielkim świecie moralnym, który się nazywa ludzkością; czyli raczej, ponieważ dwie są ludzkości: zła i dobra; więc Bóg przeznacza każdego do spełnienia odpowiedniego mu zadania w onej dobrej ludzkości, w tej, która nazywa się Kościołem Bożym, Obcowaniem Świętych, ludem wybranym, miastem świętem. Królestwem niebieskiem, górnem Jeruzalem. Każdy, każdy człowiek, a mówię szczególnie o chrześcijanach, każdy jest do niej powołany i jeśli do niej nie dojdzie, to dlatego, że nie chciał. Ale kiedy tak z własnej winy od niej odstąpi i zapisze się do synagogi szatańskiej, do obcowania przeklętych, do miasta bluźnierczego, do królestwa ciemności, do owego Babilonu wiecznej zgrozy, wtedy natychmiast miejsce jego zajmuje kto inny, i owo zadanie, które on miał spełnić w Królestwie Bożem, spełnia za niego kto inny. Bo myśl Boża i wola Boża spełnić się musi. Musi, musi ziścić się owo dzieło Boże, które będzie wieczną jego koroną i wieczną jego chwałą; musi stać się bez zmazy, bez szczyrby, bez niedostatku żadnego, całe, piękne, wspaniałe to królestwo Boże, ten przybytek, ta świątynia, w której ma mieszkać na wieki ten Król, ten Pan Panów i ten Bóg Bogów, a mieszkanie to musi stać się ze wszech miar godne tego, który w niem będzie mieszkał. Więc się spełni Jego dzieło. Więc się spełni każda myśl, którą On zamierzył, każda wola, którą On postanowił, i myśl i wola nad każdym człowiekiem, w szczególności powołanym do onego dzieła Bożego, spełni się! Nie spełni jej jeden, spełni ją drugi. I na końcu, w owym dniu ostatecznym, wszystko stanie na swoim miejscu i będzie się cieszył Bóg w dziele swoim.

O, jaka to będzie pociecha tych, którzy odpowiedzieli myśli Bożej i spełnili wolę Bożą i tak weszli do tej całości szczęścia i chwały! O, jaki będzie płacz i zgrzytanie zębów tych, którzy myśli Bożej nie poznali, bo nie szukali jej poznać, którzy woli Bożej nie spełnili, dlatego właśnie, że nie poznali, nie

chcieli spełnić, i tak zostali precz odrzuceni w ciemności zewnętrzne, gdzie ogień ich nie gaśnie, gdzie robak ich nie umiera!

A więc, ty człowieku, który żyjesz z dnia na dzień, bieżysz po tym świecie, nie wiadomo skąd urwawszy się i pędzisz, nie wiesz sam do jakiej przepaści; człowieku bez myśli, czy sądzisz, że to tak można samopas bujać po tym Bożym świecie, bez celu, bez drogi, bez hamulca, bez wodza, bez obowiązku i bez odpowiedzialności? Czy sądzisz, że to tak Pan Bóg ciebie stworzył na darmo, i rzucił cię na ten świat jak do jakiego domu podrzutek, i już o tobie nie myśli, jak zły ojciec albo zła matka? Czy sądzisz, że już i tobie dlatego wolno nie myśleć o Bogu, i ponieważś osądził, żeś człowiek bez nazwiska i bez urodzenia, sądzisz także, że ci wolno przybrać nazwisko, charakter jaki ci się podoba, mówię o wierze, zakonie, obyczaju, obowiązkach; lub też nawet nie przybierać żadnego? I raz żyć zaczawszy, jakbyś żył bez ojca i bez matki, bez Boga, mówię, i bez Kościoła, choć może czasem i mówisz o nich, czy sądzisz, że ci wolno wszystko czynić na własną rękę, być stwórcą własnej fortuny, kawalerem przemysłowym własnego życia, którego jedynym zakonem ten jego własny przemysł, jedynym rozumem własne widzimisię, jedynym celem i zamiarem własny interes? I sądzisz, że już nic innego niema nad tobą? I ani pomyślisz, że nad tobą także jest wola Boża, owa wola Jego, o której mówiłem, owa wola Boża, która jest nad każdym człowiekiem na ten świat przychodzącym, i która od ciebie, od ciebie, człowieku, chce spełnienia tego lub tego zadania; nie tylko chce, abys był chrześcijaninem, ale chce, abys był takim i takim chrześcijaninem, takim i takim sługą Bożym? O człowieku zaślepiony! O zaślepienie tyłu i tyłu ludzi! Jakżeś ty smutne i jak żałosne! Tu przed tobą, najważniejsza sprawa, tu, przed tobą, zagadka życia, która jak Sfinks starożytny w drogę ci już zaszła a pożera wszystkich, co jej nie rozwiążą, tu, przed tobą, wola Boża, cały zakon twego istnienia; a ty, człowieku zaślepiony, ani się domyślasz, z kim i z czem masz do czynienia! I cóż dziwnego, że tak często pożerany bywasz! Cóż dziwnego, że szeroka droga i przestronna brama, która wiedzie na stracenie, i wielu, wielu ich nią idzie! A ciasna brama i droga wązka, która wiedzie do

zbawienia, i mało ich, którzy ją znajdują! Słowo Boże to wyrzekło, i iść się to codzień przed oczyma naszymi! Ach, na prawdę: przenajżałośniejszy widok!

O człowieku dobrej woli, wzdy ocuć się ty przynajmniej! i jeśliś o tem dotąd nie myślił, oto chwila, w której do ciebie woła głos Boży: Człowieku słuchaj! Ta jest wola Boża, uświęcenie się twoje! A to jest uświęcenie się twoje spełnić wolę Bożą szczególną nad tobą, tę wolę, którą Bóg miał, kiedy cię z niczego stwarzał, kiedy cię przez ręce Swoje z nicstwa do tego życia przepuszczał, do tego dzieła przeznaczał, i kiedy cię na tę drogę opatrywał błogosławieństwem Swojem, ale zarazem i tą wolą Swoją świętą. Słyszysz, co mówi Chrystus? „Ja na ten świat przyszedłem, abym spełnił wolę tego, który mię posłał”. Ten głos i do ciebie. Idź tedy, o człowieku, i nie zwlekaj, i czyn, co ci Chrystus, co ci Bóg każe!

Ale jakąż wola Boża nademną? Jak człowiek każdy ma poznać, że Bóg takie a takie zadanie położył jego życiu, tego i tego od niego żąda, tego właśnie a nie czego innego? Słuszne pytanie, i właśnie tu na miejscu, a od odpowiedzi na nie zależy, jak cały los sprawy człowieka, tak cała ważność tej dzisiejszej nauki.

Aliści, tu mi dopomoże właśnie ten Święty, którego dziś czcimy. On odpowie na to pytanie i rozwiąże tę zagadkę. I tak przychodzę do naszego świętego. Tak, przychodzę już do Ciebie o najmilszy nasz święty. Przebac, że tyle mówił wprzód, nim o Tobie wspomniałem; ale Ty wiesz, dlaczego. Teraz Twój przykład będzie wymowniejszy. Twoja nauka zrozumialsza, skuteczniejsza będzie moc tego dwojga, i Ty, doprawdy, Twym czynem, przykładem, życiem, przez moje usta w słowo odzianem, poruszysz, nauczysz, wmówisz, przekonasz, a co? a o czym? Że ta jest wola Boża, uświęcenie się człowieka; i że to jest uświęcenie się człowieka: spełnienie woli Bożej. A przedewszystkiem, jak przyjsć do tego, to jest, jak poznać wolę Bożą i jak ją wykonać?

O święty nasz, którego tak czcimy i tak kochamy Ty tu z nami bądź! z nimi i ze mną! Nawiedz ich i zajrzyj im do duszy. Ale i mnie nie opuszczaj; owszem weź za towarzysza, i Ty mię sam wśród nich prowadź, i tak czyn, kiedy będę za Ciebie mówił, by wkrótce wszyscy o towarzyszu zapomnieli.



a Ciebie jednego mieli przed oczyma. Tak uczyni, o święty najmilszy, to będzie dla Ciebie chwalebnie a dla nas wszystkich szczęśliwie, bo wtenczas Ty jeden odniesiesz tryumf, któryś jeden wart tego, a przez Ciebie Ten, co ci to dał, Bóg.

Jak poznać wolę Bożą, ową wolę, od której zależy wszystko? Trzeba być przede wszystkim czystym, odpowiada nasz święty. Bo Duch Boży nie mieszka w ciele poddanem grzechowi. Trzeba być czystym. Powiedźże nam, jaka była Twoja czystość, Stanisławie? Powiadają nam, że dzieckiem jeszcze będąc, kiedy, przy stole ojca swego, słowo jakie wymówione było, cuchnące choć z daleka owem ścierwem zmysłowości, które niestety tak świat zajada przy stołach swoich, czy przy nich zasiadą nędzniczki, czy wojewodowie i książęta, wtedy, mówię, to słowo niepiękne, takie wrażenie na twoich zmysłach, zmysłach duchowych, czyniło owym swym niezdrowym zapachem, żeś omal nieżywy tuż padał na ziemię, tracąc i cielesne zmysły. Szczęśliwa dziecińo! Szczęśliwy potem młodzianie, w Tobie dziewictwo obrało swoje siedlisko i swoją łożnicę, i tak się rozgościło tak rozrosło, rozpromieniło, rozmało w Twem sercu, w Twej duszy, że ona odtąd kwiatem precudownym, równianką kwiatów nad śnieg bielszych, nad biały dzień jaśniejszych, a tak woniejących prawdziwą rajską wonią, że niebo całe pełne ich zapachów. Spojrzał Bóg na ten kwiat niebieski, tak przepięknie rozkoszujący się tu na ziemi, i zachwycony wonią jego i krasą, nie czekał póki dojrzeje w owoce pełne, uszczknął go kwiatem i kwiatem przesadził do nieba. Alboż niebo nie jest ojczyzną i kwiatów? I alboż tam kwiaty nie mają całej rzeczywistości owoców, a owoce całej krasy i ozdoby kwiatów? Wie Bóg, co czyni: a do pełności onej Jego chwały niebieskiej potrzebne są takie kwiaty na wieki żywe, i takie na wieki żywe owoce.

Czystość tedy, czystość anielska, oto pierwszy przymiot a potem cnota, tak iście jak Matki Przenajświętszej, tego naszego Stanisława. Ale ta czystość, czystość wszelaka. Czystość naprzód zmysłów, uczuć, serca: ale następnie: czystość myślenia, wiary, rozumu: czystość na koniec woli, celów, zamiarów, środków: ta najwyższa czystość, czystość, mówię, intencji i zamiarów, o której Chrystus powiada: „Jeśli oko ciała twego będzie jasne, całe ciało twoje światłe będzie“. A więc

czystość wszelaka. I nie tylko bogaty nasz Stanisław, nie tylko świetny i jasny, ale jeszcze silny i potężny tą samą czystością. Patrzcie jak go ciągną do uciech światowych; on serce zamyka, zamyka oczy, zmysł wszelki. Patrzcie, jak go namawiają do zdań wolnych i swawolnych, jak mu szepcą do ucha nowowierne wynysły, ciekawe jakieś dowcipy, czarujące baśnie, on uszy ma głuche, słuch tępy, rozum na wrzeczadze zawarty, zawarty, mówię, przed temi zradami szatana, kiedy cały jest otwarty dla prawdy Bożej. Patrzcie, jak mu świecą przed oczyma wielkością świata, godnością rodu, świetnością przyszłości, jak dmuchają w próżność serca, jak nadymają dumę żywota: on nieprzystępny; i jak pierwaj serca i rozumu, tak teraz woli i intencji czystości strzeże; trzyma je wszystkie czyste przed Bogiem. Próżno się sierdzą brat i towarzysze, próżno zeń szyszczą, próżno mu łają; a gdy to wszystko niepomaga, próżno go biją, depcą prześladowają, jego czystość tylko więkzego blasku nabiera przed niebem i ziemią, a wewnątrz, przed Bogiem stoi równie niewzruszona i cała, owszem przybyło jej siły i mocy. O przezacne widowisko! Dziecko roztropniejsze niż starzy, niewiniątko mędrsze niż zrodniarze, słaby mocniejszy niż mocni, bezbronny lepiej uzbrojony niż zbójcy. Tak zawsze w tej walce bywa, gdzie z jednej strony potęga, przemoc i gwałt człowieka, ale mocnego, samym sobą tylko, z drugiej strony słabość i niemoc, ale mocna Bogiem.

Zwyciężył w tej walce Stanisław. Jego czystość, ona wszelaka czystość, wyszła zbrojną ręką i z tryumfem z tej walki; teraz może już z niej urodzić to, co wtedy, ale wtedy tylko, z niej się poczyną i rodzi: poznanie woli Bożej. O to nam chodziło, bracia moi. Zaraz zobaczymy, jak się to dzieje; ale teraz już widzimy konieczny warunek i konieczną drogę, która jedna prowadzi do poznania woli Bożej, a tą jest czystość, ona wszelaka, a święta i cała czystość.

A do ciebie już nic nie potrzebuję mówić, człowieku, którego serce, rozum, dusza nieczyste. Ty sam już rozumiesz, że, póki siedzisz w tej ciemnicy, w tej jaskini, w tym grobie, woli Bożej nie możesz poznać; nie dla ciebie jej światło, nie dla ciebie jej oblicze. Chociaż zawsze dla ciebie jej głos i wymagania, zawsze nad tobą jej sądy, a jeśli jej nie poznasz, zawsze pójdą za tobą jej pomsty i jej gromy. Od tych nigdy nie ucie-

kniesz, od tych się nigdy i nigdzie nie skryjesz, bo zawsze i zawsze ta jest wola Boża nad tobą: uświęcenie się twoje.

Lecz już bliżej przystąpmy do tej woli Bożej. Czy jeszcze potrzeba czego, oprócz czystości, aby dojść do jej poznania? Iście, że potrzeba. A czego? Potrzeba pragnąć jej poznania. Potrzeba łaknąć i pragnąć sprawiedliwości, abyśmy byli nasyчени, inaczej nasyчени nie będziem, nie poznamy onej szczególnej woli Bożej nad sobą. O Stanisławie, jakieś Ty pragnął poznać i spełnić tę szczególną wolę Bożą nad sobą? Pragnąłeś, więc szukałeś, więc prosiłeś, więc kołatałeś. Kto prawdziwie łaknie i pragnie, ten tak czyni, ten sobie za zakon bierze owo przykazanie Chrystusowe: „Proście a będzie wam dano, szukajcie a znajdziecie, kołaczcie a będzie wam otworzono“. O, jak Stanisław prosi Boga! Czy widzicie, jak się długo a jak gorąco modli, jak do modlitwy przydaje wszystkie inne środki wyżebrania łaski u Boga; czy widzicie, jak się radzi, jak szuka światła; czy widzicie, jak stoi u wrót i kołacze, u wrót Bożych, i u wrót ludzkich także, ludzi, mówię, Bożych, zastępców Bożych na ziemi? Prosi, szuka, kołacze, aby poznać wolę Bożą, tę szczególną wolę Bożą, od której spełnienia zależy całe życie jego i wieczność.

I już ją poznał. Właśnie wtedy, w Wiedniu, założone było kolegium OO. Towarzystwa Jezusowego. On tam nauki pobierał. Owszem, dlatego tam był przysłany aż z dalekiej Polski: bo dobra sława i dobre imię tego nowego zakonu aż do Polski było już zaszło, do tej Polski, w której potem miał tak szeroko i tak świetnie się rozgałęzić, ale której wtedy ledwie że się był dotknął. Wyjeżdżano więc z Polski szukać gdzieindziej szkół jego, i to sprowadziło naszego Stanisława do szkoły wiedeńskiej. Była to szkoła, gdzie obok studyów humanitarnych uczono czystej wiary i dobrego obyczaju, a gdzie przedewszystkiem przykładem swoim świecili przezacni mistrzowie i żywym chrześcijańskim słowem dopełniali martwej litery klasycznej. To Towarzystwo Jezusowe było tylko co przedtem zakwitło w tym ogrodzie Bożym, którym jest Kościół, bo się wtenczas rozpoczynała doprawdy jakoby wiosna w tym Boskim, rajskim ogrodzie. Wiek XIV zima ostra, XV wiek odwilż niezdrowa, szaruga, zawiej, błoto pogańskie, pod pozorem cywilizacyi, odrodzenia

jakiegoś sztuk i nauk, mogło było odjąć nadzieję ludziom małej wiary, że już kiedy pogoda i chrześcijańskie słońce zabłyśnie nad przewróconym światem. Ale Bóg jest Panem żywiołów, kazał wiać wiatrom od południa i zachodu, i rozpoczęła się wiosna. I wtedy strzeliły z ziemi do góry te szczepy, te kwiaty, te ciężkie owocami drzewa: Teatyni, Jezuici, Barnabici, Pijarzy, Filipini, Somaski i tyle, tyle innych, którzy zdziwionemu oku, jakby na słowo zaklęcia, dały widzieć raj rozkoszny, tam, gdzie przed chwilą widziało pustynię. I oto jesteśmy ze Stanisławem w tej chwili cudownej, i spotykamy się z Towarzystwem Jezusowem. Ono jeszcze nie prześcignęło innych swoich równowieśników, ale już rozlewa jakąś woń szczególną, która doń ciągnie zewsząd dokoła najróżnorodniejszych zacieężników, i już daje w tej chwili przeczuwać, jakim się ono stanie kiedyś.

Stanisław patrzył na swoich mistrzów i ojców duchownych, widział zewnątrz ich żywot, a Bóg mu dał wewnątrz zrozumienie, jak taki żywot jest w sobie piękny, do jakiego stopnia może i powinien być cały na Jego chwałę. I dwie rzeczy, obie od Boga mu dane, mądry młodzieniaszek łączył i wiązał w swem sercu: jedną, że najszcześniejszą rzeczą jest świat porzucić i Bogu się oddać na służbę; a drugą, że najpiękniejszy wzór tej służby miał właśnie przed oczyma swemi. I popęd w sercu, w duszy był gorący, wielki, niezmierny. Było to łaknienie i pragnienie tej sprawiedliwości, tej świętości, którą tak jasno widział przed sobą. Ale czy Bóg tego, tego właśnie żąda od niego? Tu młodzian udaje się do Boga, tu się modli, tu się radzi, tu szuka, i nareszcie nie wątpi. Tak, czuje, że w głębi duszy mówi doń głos dobitny: Ta jest droga twoja, o synu, ta wola Boża nad tobą, to, to jest uświęcenie się twoje.

I zadrżała dusza jego ze szczęścia, i rozradował się duch jego w Bogu, Zbawicielu swoim. I wnet, nie mieszkając, — ach, bo nie zna późnych przyborów Ducha Świętego łaska, mówi jeden Ojciec stary (św. Grzegorz W.), nie mieszkając tedy, pada na kolana, dziękuje i wiąże się uroczystą obietnicą, ślubuje Bogu, że pójdzie za tym głosem Jego. I słyszało niebo, słyszeli aniołowie, słyszał Bóg sam te śluby. Lecz czyż już przez to rzecz cała skończona?

Stanisławie, Tyś jeszcze nie widział wtenczas, przynajmniej nie doświadczyłeś, że to pierwsze Twoje zobowiązanie się nie



było jeszcze doskonałem i godnem Boga. I rzecz prosta, bo jeszcze ono nie przeszło przez próbę. To był tylko pierwszy popęd z łaski, to nie była jeszcze cnota z pracy. Więc teraz musi przyjść praca, musi przyjść doświadczenie. I oto się zaczyna. Teraz zaczynasz, Stanisławie, szukać, jak śluby wykonać, i nie znajdujesz, prosisz i nikt Ci nie daje, kołaczysz i kołaczysz, żeby Cię przyjęto, a tu Tobie nie tylko nie otwierają, jeszcze od wrót odmiatają precz. I to się długo ciągnie, bo Bóg Cię chce doświadczyć. Powiedz, młody bohaterze, czy Ci zwątpienie ani na chwilę do duszy się nie wkradło? O pewno, że jako pokusa do drzwi zakolało; ale ta pokusa potrzebna była do Twego oczyszczenia; Tyś musiał przejść przez to, bo bez tego nie byłbyś został bohaterem, a na bohatera Bóg Cię od urodzenia pasował i Ty, szczęśliwy, musiałeś nim zostać. Prawda, żeś już przechodził przez walkę, ale przez oną pierwszą walkę zostałeś wprowadzić bohaterem czystości, przez tę drugą walkę masz zostać teraz bohaterem woli Bożej, bohaterem powołania świętego i pójścia, gdzie ta święta wola Boża Cię woła. Ciągnie się tedy długo ta walka i to doświadczenie, i Ty niejako pod jego ciężarem upadasz; ale to nie na duchu jedno na ciele; i kładziesz się na łożu boleści: już myślą, że umrzesz. Bohaterze Boży! tu dopiero plac znamienity, od Boga przejrzany, Twej ostatniej walnej duchowej potyczki. Bo właśnie tu na Cię uderza nieprzyjaciół myśląc, żeś bezbronny, żeś mdły i znękany; a Ty silniej, niż kiedy, trzymasz w obojem rękę tarczę czystości i miecz woli Bożej; on jak pies wściekły, z łańcucha rozwiązany, miota się na Ciebie, miota się raz, drugi i trzeci, miota się na Twój rozum i na jego wiarę, miota się na Twoje serce i na jego nadzieję, miota się na Twoją wolę i na jej miłość woli Bożej, onej woli Bożej, dla której ten bój staczasz, — ale za każdym uderzeniem on sam się coraz twardziej uderza, sam się coraz śmiertelniej rani, i porażony od Ciebie na głowę, ucieka sromotnie, aby nigdy się już więcej nie potykać z takim rycerzem. Zwyciężyłeś Stanisławie! Twoja próba skończona!

Wtedy jako nagroda zwycięstwa, aby uwieńczyć rycerza swego, spływa z Niebios, Niebios Królowa i stając nad łożem synaczka bohatera: „Synu“, — mu prawi — „próba skończona, teraz wstań z łoża i wiedz już iście, że wolą jest Bożą,

abyś wstąpił do Towarzystwa Syna mojego. Idź, ja Ci błogosławię!”

O Stanisławie, teraz się dowiedziałeś, że Twój pierwszy popęd i ślub złożony Bogu był początkiem Twego powołania; ale dopiero ten głos, to objawienie jest jego końcem i zatwierdzeniem. Wtedy porwałeś się być iść w górę do Boga i szedłeś z trudem, a może z obawą, teraz Bóg Cię wziął na Swe ręce i sam Cię poniesie; nie uczujesz trudu i będziesz bezpieczny! Terażes szczęśliwy, o synu woli Bożej, już znasz, już wiesz, już trzymasz, już posiadasz od Samego wziętą Jego wolę przeniąższą. Czegoż już potrzeba do Twego szczęścia? Chyba tej ostatniej chwili, która Cię pewno nie minie, tej chwili, gdzie tę wolę spełnisz do ostatka.

Bracia nasi, to była chwila stanowcza w życiu Stanisława, to jest chwila stanowcza w życiu każdego człowieka. Do niej przyjść trudno i nader trudno: jeżeli naszemu miłemu Stanisławowi nie było tak łatwo, jakże daleko więcej nam, cośmy nie Stanisławy! A więc przyjść do niej trudno i potrzeba pracy. Ale, jak się raz do niej przyjdzie, o, wtedy zmienia się szyk rzeczy i innym torem iść wszystko zaczyna. Podróżnik wtedy już się wdrapał na szczyt góry, spojrzał naokoło, i najprostszą drogą spuszcza się na dół snadnie. Patrzcie na Stanisława, jak on teraz bieży olbrzymiemi kroki po tej drodze woli Bożej. Aniołowie Boży towarzyszą mu i prowadzą; oni, gdy go nieprzyjaciele gonią, okrążają go skrzydły swemi, i zasłaniają od ich wejrzenia; gdy droga nieznana, oni sami przewodniczą; gdy mu sił zabraknie, oni go karmią anielskim chlebem, i w samych snach, przy jego boku czuwają nad braciszkiem ulubionym, by o niczem innem nie marzył, jeno o wspólnej ojczyźnie, o niebie. Wielcy Święci i męże Boże: Kanizyusze, Borgiasze, Aquavivy nie mogą się dość nacieszyć tym aniołem Bożym na ziemi i za szczęście mają prowadzić go lub mu towarzyszyć na tej drodze, przez Boga mu naznaczonej; a on z dnia na dzień, krokami swymi ją mierząc, nic na niej nie spotyka, jedno zadowolenie, pociechy i szczęścia, jedno lilie, narcyzy i róże. Wieczna pogoda na jego czole, wieczny uśmiech na jego wargach, wieczne niebo w jego oczach, woń jakaś rajska w każdym jego słowie; aureola niebieska naokoło całej istoty.

Kto się zbliży do niego, oddycha innem powietrzem, kto na niego spojrzy, zachwycony, kto do niego przemówi, zbudowany, kto się go dotknie, czuje się lepszym i świętszym. A on jedno o swym Bogu myśli, myśli jedno o spełnieniu Jego woli. Ta wola stała się dla niego pokarmem i napojem, oddycha ją długimi oddechami, napawa się nią całą piersią, dno samo życia swego trzyma wciąż dla niej otworem, nią tylko żywy, nią silny, nią szczęśliwy, nią piękny, promieniejący, ognisty, już stopami ziemi nie tyka, już okiem zabiegł do wieczności i już policzył dnie i godziny, które mu zostają do spełnienia całkowitego tej woli Bożej nad sobą, do ostatniego aktu, na który już z góry się zgodził, którym będzie zabranie jego z tej ziemi. I już oto ta chwila błogosławiona: to dziecię-Anioł, ale zarazem to dziecię-bohater czeka z upragnieniem ostatniego słowa tej woli Bożej, i patrz, oto ta sama Matka a Królowa Aniołów i bohaterów wszystkich, ta sama, która mu się zjawiała u początku tej drogi, przychodzi teraz u jej kresu; skinęła i młodzieniaszkowi rozpromieniło się więcej niż kiedy oblicze, więcej niż kiedy zajaśniał aniołem w oczach ludzi... ale go już na ziemi nie było. Ta większa jasność, co go zagnała otoczyła, była tylko świadectwem, że on już w niebie.

Tak dokonał Stanisław, tak się spełniła w naszym Stanisławie ta wola Boża raz poznana, przyjęta, umiłowana, raz wzięta za zadanie życia i wykonana wiernie. Ale to już było łatwe, miłe, lube, mimo trudów nie trudne, mimo pracy nie nużące, mimo bólów może nie bolące, szczęśliwe, rozkoszne: bo wola Boża sama niosła tego, który się jej w ręce oddał. Cała rzecz, jak cała praca, w tem była, że ją poznał, że jej się oddał. Więc cała rzecz jest w tem, aby poznać wolę Bożą, przyjąć, umiłować i wziąć się do wykonania. W tem jest całe uświęcenie się nasze, bo ono wtedy samo przyjdzie. Już, już zrozumieliśmy w tym twoim przykładzie, o Święty nasz miły, że jeśli wolą Bożą jest uświęcenie się nasze, tedy uświęceniem się naszym jest poznanie, przyjęcie, umiłowanie woli Bożej, za którem koniecznie idzie spełnienie. A za tem chwała i szczęście.

## II.

Czym już skończył? Z moim Świętym skończyłem, czyli raczej skończyliśmy; ale on z nami nie; boć trzeba przecie, żeby jego tak świetny przykład odbił na nas i zostawił swoje ślady. On chce niejako teraz sam czynić i mówić do każdego z nas, czego mu brakuje do tego, aby spełnić to, co on szczęśliwie spełnił.

Pozwólcie tedy, pozwól Ty, Święty, żebym się postawił w Twojej duszy i nią patrzył na biedne dusze nasze. Mój Boże, co za widok! Czy to ja się mylę? Czy doprawdy nie widzę niemal, nie dostrzegam duszy, będącej prawdziwie na drodze woli Bożej? Nie, ja się nie mylę: W tym wielkim tłumie jest zapewne niejedna taka, jest może ich siła; tylko, że ich nie dostrzegam przez mnogość onych innych, którzy nie są na tej drodze. Cóż, o Święty, ażali ich zaczepimy? I powiemy choć krótkie, ale serdeczne słowo przestrogi?

Człowieku, który swój los przeklinasz: ty nie jesteś na drodze woli Bożej; na niej się nie przeklina. Człowieku, który twój los błogosławisz i używasz szczęścia swego, — ty nie jesteś na drodze woli Bożej! Ona po ziemsku nie tuczy. Niewiasto, która się frasujesz, i zrządzisz, i płaczesz, ty nie jesteś na drodze woli Bożej; tam niema nieszczęśliwych. Niewiasto! która się śmiejesz i skaczesz, ty nie jesteś także na drodze woli Bożej; tam niema pijanych i od zmysłów odeszłych. I ty tam nie jesteś na drodze woli Bożej, który leżysz w beczynności, leniwcze jakiś! Lecz i ty nie jesteś na tej drodze, biegaczu drugi, który od interesów biegasz do interesów! I ty na niej nie jesteś, myślicielu, piśmienniku, wielomówco, który tkanę myśli i słów twoich sam z siebie snujesz, istny pajak! I ty na niej nie jesteś, serce niby czułe, ale które żyjesz uczuciami innych i zjadasz wszystko, co po drodze zielone i życiodajne, wierutna szarańczo! Ach i ty tem bardziej na niej nie jesteś, duszo zarażona, która, gdzie się pokażesz między ludźmi, słowem, dowcipem, oczyma samemi kwasy siejesz i trucizny, gdzie jadowity! A może ty byłbyś na niej, co prócz woli twojej i miłości własnej i własnej korzyści nie masz innego prawa, zakonu i sprawiedliwości i świętości, wszystko sobie na ofiarę przynosisz i pożerasz wszystko, nie wiem już, jaki potworze



i smoku, niestety, nie bajeczny? Ach, wy wszyscy i wielu, wielu innych wam podobnych, wy nie jesteście na drodze woli Bożej, nie odgadliście zagadki waszego życia i tylko czekajcie, jak ona was pożre! Nieszczęśliwi!

Lecz, że te wszystkie potwory i potworki, niestwory i niestworki, nie są na drodze woli Bożej, to może mniej dziwna. Oni wszyscy na owej szerokiej drodze, która wiedzie na zatracenie. Ale i ty, duszo lepsza, duszo dobra, która chcesz twego zbawienia i idziesz w tę stronę, niestety! jak rzadko i ty jesteś na tej prawdziwej drodze woli Bożej. Idziesz w tę stronę, aleś jeszcze woli Bożej nie znalazła. To o tobie myślał Chrystus Pan, gdy mówił: wązka droga, i jak mało ich ją znajduje. Nie powiedział: nią idzie, ale: ją znajduje. Bo rzecz najtrudniejsza to jej znalezienie. Jak się ją znajdzie, to już się nią idzie przewybornie, najpomyślniej. Ale znaleźć, to praca! Duszo dobra, czyś znalazła? Ja ci mówię, że nie jeszcze. Spytasz mię: jak to wiedzieć mogę? Odpowiem ci: bardzo łatwo; bo patrzę na twoje oblicze, a tylko co patrzyłem na oblicze takiego, który znalazł tę wolę Bożą i tę drogę Bożą. Ach, raczej spojrzij ty sama w to cudowne oblicze Stanisława naszego, którem ci tylko co pokazał. Czy na twojem taki sam pokój? Czy ta sama pogoda, błogość, uśmiech spokojny i oddech bezpieczny? Już nic nie pytam: Czy ten sam raj w duszy i to samo niebo rozlane po całej istocie? Duszo dobra! wierzaź mi, ty nie jesteś na prawdziwej drodze Bożej. Jeszcześ nie pracowała, nie szukała, nie zdążała do tej chwili jasnego poznania i jeszcze ta godzina szczęśliwa dla ciebie nie wybiła. To widać na czole twojem. A jeżeli mi powiesz, żeś prosiła, szukała, pracowała: tedy popatrzę ci lepiej w oczy, i niezawodnie dojdę przyczyny i odpowiem ci tak a nie inaczej: O biedna duszo! Wzięłaś się do pracy, aleś nie pomyślała o pozbyciu się ciężarów i przeszkód, nie pomyślałaś o onej świętej a koniecznej czystości, czystości myśli, serca, woli, czystości od siebie samej. Biedna, wzięłaś się do pracy pełna siebie samej, rzekomo szukałaś Boga, ale istotnie szukałaś samej siebie, i cóż dziwnego, że nie Boga, ale samą siebie na końcu znalazłaś? Byłby dziw, gdyby się inaczej stało. A teraz widzisz i gryziesz się sama w sobie. Nauczże się rozumu, o biedna duszo! i nie odkładaj! Wstań, rzuć o ziemię twój ciężar, siebie samą, i weź się

na nowo do pracy; ale czysta i swobodna. Weź się do pracy. Tym razem ujrzysz jej skutek, a ja na ciebie, jak drugi raz spojrzę, powiem, żeś już nie ta sama, żeś doprawdy odmieniona.

A teraz do wszystkich mówię: wola Boża nad nami wszystkimi jedna jest i niezmienna, konieczna i nieodwołalna: a ta jest wola Boża nad nami: uświęcenie się nasze. Nie przyjemności życia, nie uciechy serca, nie dymy próżności, nie sny i marzenia wielkości, nie świat, nie jego interesa, nie jego chwały, nie jego królestwa; — nie to jest przyczyną i celem naszego życia, nie to jest wolą Bożą nad nami; ale uświęcenie się nasze. A uświęcenie się nasze leży w spełnieniu woli Bożej szczególnej nad każdym z nas. Albowiem jest wola Boża szczególna nad każdym z nas osobna, i tej dopiero spełnienie jej uświęceniem się naszym, celem i przyczyną życia. A więc całą oną zagadką straszliwą, ale zarazem i szczęśliwą, ciemną jak piekło i jasną jak niebo, zagadką żywota naszego i zagadką wieczności jest ta właśnie wola Boża szczególna nad nami, jest poznanie tej woli. — A jeśli tak jest, czyż może być co innego pilniejszego, bliższego, naglejszego, jak właśnie rozwiązanie tej zagadki? I czy jest człowiek, byleby miał zmysły zdrowe, miał kęs rozumu i odrobinę serca, byle był człowiekiem, któryby wszystko inne nie porzucił, a o tem naprzód nie myślał? któryby mógł mieć pokój jaki, któryby mógł swobodnie odetchnąć, któryby mógł krok jeden naprzód uczynić, wprzódby nimby się zabezpieczył co do tej jedynej sprawy, która stanowi o tem właśnie życiu, do którego się zabiera, o tej wieczności, która za nim przyjdzie.

O, najmilsi, pokazałem wam życie i zgon takiego szczęśliwego, który to od początku uczynił i wykonał do końca. Nie prawdą, że się zachwyciła dusza wasza? Mógłbym wam teraz pokazać życie i zgon takiego, który tego nie uczynił od początku i oto już się zbliża do końca. Drodzy, to zgroza już patrzeć na tę zgrozę, to okropność już mieć tę okropność przed oczyma. Tam już widać zawczasu ten ogień, który nie gaśnie i tego robaka, który nie umiera. I już nam samym palą się wnętrzności i trawi się przegryziona dusza. Ale mi broni niejako tego nasz dzisiejszy święty i mówi mi niejako: Zaniechaj! a przestań na moim przykładzie: dość, że im wy-

stawieś to, co jasne. Lepiej pociąga światło niebieskie, aniżeli odstrasza ciemność z przepaści. Niechaj im jasność świeci, a zapomną o ciemnościach.

A więc, najdrożsi moi, z tą was jasnością zostawiam, a ta jasność jest w tem: jedna, jedna jest wola Boża nad nami: uświęcenie się nasze — a uświęcenie się nasze jest: spełnić wolę Bożą nad nami. Amen.

## KAZANIE XXXIV.

### O Bogach fałszywych.

(Kazanie miane w Krakowie w maju 1868 r.)

Najmilsi moi!

Kiedy mi Bóg opatrzenie zdarzył sposobność przemówienia do was, nie mało przemyślałem jakie to słowo mam wydożyć ze skarbca Bożego, aby z niem przyjść do was, i podzielić się niem z wami. I podniósłszy wzrok do góry ku Bogu spuściłem go na dół, spojrzałem na świat na około, na ludzi i na rzeczy, aby tam znaleźć co nas najwięcej obchodzić może. I przypomniał mi się widok, na który w myśli niemal zawsze patrzę, o którym niedawno gdzieindziej mówiłem, nad który nie dla nas nie może być bliższego i gwałtowniejszego. Uroczysty to i przeważny widok! To ta wojna, która się tu toczy na tym świecie a która zaczęta u początku tego świata skończy się dopiero u jego końca. Lecz nam idzie przedewszystkiem o chwilę obecną. Na tę chwilę obecną i na ten jej widok zapraszam was, najmils! Patrzcie co się tu dzieje.

Ludzkość cała podzielona na dwa obozy a wszyscy ludzie albo w jednej albo w drugiej ze stron walczących. Środka niema, i niema nigdzie trzecich obozów. Dwa tylko: tu dobre a tam złe, tu światłość a tam ciemność, tu Bóg, a tam jego przeciwnicy; dwa tylko obozy, a kto nie jest w jednym już koniecznie jest w drugim, to jest kto nie w dobrym ten już tem samem jest w złym, bo wciąż sprawdzają się słowa Chrystusa: „kto nie jest ze mną przeciwko mnie jest!“

Patrzcie co się tu dzieje. Oto obóz synów światłości. Cały jednolity; tu strojność, porządek, ład i piękność, tu siła, potęga,

wszechmocność. Tu pasterz zna wszystkie swoje owce i po imieniu je woła, i owce znają głos pasterza i za nim idą. Tu jeden pasterz i jedna owczarnia. A nad nią jedna powiewa chorągiew. Podnoszę oczy i czytam: Bóg! Chrystus! Ach co za widok! Nigdybym oczu nie oderwał od jego piękności i od jego blasku.

Ale patrzcie co się tam dzieje, tam z drugiej strony! To obraz synów ciemności! Tam żadnego porządku, tam wieczna zgroza przemieszkuje. Jeden wprowadzie obóz; ale w tym obozie gromady i gromadki, kupy i kupki, ledwie nie na pojedyncze dzieli się wszystko jednostki; każda zgrała wywiesza swój sztandarek, każdy herszta swoją chorągiewkę, są tacy którzy ich po dwie mają: jedną z przodu a drugą z tyłu, jedną górą a drugą dołem. I tłuką się między sobą, mordują, zabijają. Co to za krzyki, co to za jęki, i co to za wycia. Iście wszyscy by się wybili i wytępilli sami siebie, tylko jedno ich ratuje: jak obróć oczy na obraz święty, wnet podają sobie ręce i już na wspólnego nieprzyjaciela. Nieszczęśliwi nie widzą, że przez to samo oddają świadectwo przeciwnikowi swemu; iż tylko u niego jest żywot, i że oni sami, aby żyć mogli, muszą choćby z nim walcząc u niego pożyczać życia. Ach, jakie to życie w tobie o dzieło żywota, kiedy samo nienawidzenie ciebie dzieło śmierci ratuje od śmierci!

Ale patrzmy lepiej co się tam dzieje. Na tych tysiącach i tysiącach chorągiewkach wszędzie napisano: Nie, nie, nie; samo zaprzeczenie. I już z góry wzrokiem obejmuję wszystko: od północy do południa, od wschodu do zachodu ćmi się ta czerń bez liczby; ale się dzieli na trzy rzesze jedne od drugiej większe, piętrzące się jedna nad drugą. Najliczniejsza skrajna jak morze naokoło wylewa, pośrednia bliżej się środka ściska, a nareszcie sama środkowa sterczy jak dzika skała wulkaniczna nad całym tym oceanem spustoszenia. Nad każdą z tych rzesz jeden spólny, każdej właściwy, sztandar się rozpuszcza. Patrzę i czytam! Na pierwszej: Nie Kościół, ale Chrystus, ale Bóg! Na drugiej: Nie Kościół, nie Chrystus, ale Bóg! Na ostatniej: Nie Kościół, nie Chrystus, nie Bóg! Zwyciężyło nie, owo straszne nie z przepaści na samym początku świata wylazło; zwyciężyło i wszystko pożarło!



Taki jest widok, najmilsii moi, jak nam w tej chwili świat ten przedstawia. Któżby chciał być między synami ciemności? Któżby być nie chciał między synami światłości? A jednak jak wielu, nie chcący nawet, wycieka z tego obozu Bożego! Jak wielu, bez woli nawet i bez wiedzy często, już tem samem, że tam nie jest, błąka się po krainie ciemności, i zagrożeni są być porwanemi do dna przepaści! Czyż tak być powinno? Czyż tak może się ostać?

Nam, postawionym na strażnicy Syona, na czatach u tego obozu Bożego, nam rozkaz od Boga dany, aby trąbić w trąbę postrachu i wołać głosem wielkim. *Clama ne cesses!* Wołaj, prawi, a nie ustawaj! Oto nieprzyjaciele, oto zdrady, oto przepaście! Oto są fałsze i fałszywi nauczyciele, i błędni wodzowie; a oto nauczyciele prawdziwi, oto wierni pasterze; i oto iste prawdy i prawe nauki!

Z tym głosem dziś do was przychodzę, bracia najmilsii! Wypadałoby uderzyć na każdą z tych trzech zgrai o których mówiłem. Może da Bóg kiedy do tego czas i pogodę. Ale dzisiaj dosyć mi będzie zająć na czoło owej naczelnej, tej która wszystko przeczy co chrześcijańskie, i samego Boga przeczy; Boga, mówię, chrześcijańskiego. Z tą nam najważniejsza rozprawa; i niewątpliwa, że jak tę powalim, z resztą łatwiej się będzie uprzątnąć.

Będę wam tedy mówił dzisiaj co to jest Bóg i Bóg chrześcijański. Wiemci ja, że do chrześcijan mówię. Ale Bóg chrześcijański jest tak wielki, tak czysty, tak święty, taki Bóg! a my chrześcijanie tacy mali, tacy poszarzani, pokalani, odświęceni, jednym słowem. tacy ludzie! że nam nieraz oko się ćmi, myśl się mąci, serce rozstraja, i duszy często grozi niebezpieczeństwo jakieś bóstwo nieznanego początku wziąć za Boga chrześcijańskiego. A tyle, tyle ich na świecie! Więc choć do chrześcijan mówię, będę im jednak mówił o Bogu chrześcijańskim. Posłuchajcież mię proszę. A korzyść będzie nam wspólna. Bóg zaświeci jaśniej nad nami swem prawdziwem Obliczem, i my poznamy jaśniej prawdziwego chrześcijańskiego Boga.

## I.

Jest u nas prawdziwe przysłowie: kto z kim przestaje, takim się sam staje. A w innym narodzie i języku ta sama prawda pospolita przybrała postać może jeszcze dobitniejszą: Po-

wiedz mi z kim przestajesz, a ja ci powiem kim jesteś. Jak to dobrze przypada do mojej rzeczy. Albowiem biorąc się do niej mogę i ja zacząć od podobnego pytania: Powiedz mi w jakiego ty Boga wierzysz, jakiego ty sobie Boga wyobrażasz, jednym słowem: Powiedz mi jaki u ciebie Bóg w głowie, a ja ci powiem jaki ty człowiek. Radzę wam, moi najmilszy, korzystać z tej uwagi w ciągu całego waszego życia. Kiedy z kim wejść macie w jaki stosunek, albo już z nim macie do czynienia, starajcie się skrzętnie dowiedzieć, jakie on ma wyobrażenie o Bogu, i bądźcie natychmiast pewni, i stokroć pewni, że takie u niego sumienie, taka moralność, taka poczeiwość, taki honor, takie wszystko. Przewyborna rada, i umiejcie z niej korzystać. Cała zaś zasada się na tym pewniku. Taki człowiek, jaki jego Bóg!

A wždy cóż to ja mówię? Azaliż wiele jest Bogów? że tak każdy może mieć swojego? I czy tak jeden od drugiego różny? I czy każdy niejako utworem człowieka? A toć już wam powiedziałem: Jeden jest Bóg prawdziwy, Bóg chrześcijański. Ale czyście nie słyszeli Apostoła mówiącego: „Jeśli są które się zowią bogi, bądź w niebie, bądź na ziemi (jakóż, prawi, jest wiele bogów i wiele panów), wszakże nam jeden Bóg, i jeden Pan” (I Cor. VIII, 5, 6). Jest tedy jeden Pan i jeden Bóg prawdziwy, ale niemniej przecie jest wiele panów i wiele bogów fałszywych.

Rzecz straszna, a ważna, uroczysta. Albowiem jeśli doprawdy jest wiele bogów na świecie, a jeden tylko prawdziwy, nuż ten którego ja uwielbiam, nie byłby prawdziwym? Co wtedy? I jeżeli to prawda, że taki człowiek jaki jego Bóg, że taka następnie jego wartość, takie i życie, taka i wieczność cała: o Boże! dreszcz mi przechodzi na samą myśl, że mój Bóg, moje wyobrażenie o Bogu, może być fałszywym.

Cóż tu począć? Oczywiście: trzeba umieć rozróżnić fałszywego Boga od prawdziwego, i fałszywe o Bogu wyobrażenie od prawdziwego wyobrażenia. Żeby rozróżnić, trzeba mieć prawidło. Jakież prawidło? Tem pytaniem przystępuję do samej treści rzeczy.

Prawidło, bracia moi, w rzeczy tak trudnej jest właśnie jakiego trzeba było: łatwe, najłatwiejsze, proste i najprostsze. Bóg dał każdemu człowiekowi to prawidło do rozumu, tak jak mu dał to powietrze do oddychania, to światło do widzenia, tę wodę do picia i ten chleb do pożywania. Prawidło zaś jest następne: Ten Bóg jest prawdziwy, który sam siebie objawił, sam siebie zatwierdził, sam siebie pokazał; ale ten Bóg którego człowiek wynalazł, człowiek wymyślił, człowiek ukuł, przeciwny temu który się objawił sam, ten bóg zaiste i jest i musi być fałszywy. Prawidło, które dziecko zrozumie, i każde też je rozumie; a którego żeby nie zrozumieć, trzeba chyba stać się mędrkiem, jakich niestety mamy na tuziny.

A więc trzymajmy mocno: Ten Bóg, który się sam objawił, i sam dał, ten jest Bóg iście prawdziwy i temu trzeba wierzyć; ten, którego jakiś człowiek wymyślił, czy ja czy kto inny, a przeciwny temu, co się objawił sam, ten wierutnie fałszywy, i temu bez wahania się trzeba dać odprawę.

A więc, najmilsii moi, już mamy prawidło; z tem prawidłem mamy narzędzie, mamy siekierę, topór, miecz i ogień; możemy się puścić na wszystkich fałszywych bogów i dokonać dzieła więcej niż herkulesowego: oczyścić świat z bałwanów, dzikszyszy od wszystkich potworów. Mamy siłę i mamy narzędzie. Nuż, w imię Boże!

Lecz kiedy się ja tak do dzieła zabieram, może niejeden już się spytał w sercu swoim: A gdzie to tak spieszysz? Tu między nami bałwochwalców niema: my wszyscy czcimy jednego Boga, chrześcijańskiego Boga. Czy ty wracasz od dzikich ludzi, że już i nas masz za takich?

Ani ja wracam od dzikich, ani was mam za takich. Ale sam człowiek jestem i żyłem między ludźmi, wracam od ludzi i do ludzi przychodzę. Wszędzie widziałem fałszywych bogów i chybabym nie do ludzi przychodził, gdybym fałszywych bogów między nimi nie miał znaleźć.

Czyście nie słyszeli już Apostoła: „Jakoż, prawi, jest wiele bogów i wiele panów?” Czy powiecie, że to o pogaństwie, o bałwochwalstwie mowa? Ach! bałwochwalstwo kwitnie dziś więcej niż kiedy na świecie. Jeśli nie ma bałwanów ze złota i ze srebra, są bałwaniska z myśli i ze słowa, z dymu i z pary,

z wiecznej pożądlivości i z wiecznej mammony. Są, są bałwani, jeszcze przeraźliwsze od starych; i jest bałwochwalstwo, bujniejsze, sowitsze, krzepczejsze od tego, co przed wiekami. „Jakoż, powiada Apostoł, jest wiele bogów i wielu panów“.

Zrozumiemy się, najmilsi moi. W człowieku odpadłym od Boga, odkąd między nim a Bogiem stanął pośrodku grzech pierworodny, przepaść ludzkimi siły nigdy nie przebyta, od tej chwili człowiek już nie chce widzieć oblicza Bożego takiego, pod jakim się w raju pokazywał; a nie patrząc na nie, nie wie jakim Bóg jest. Bóg wprawdzie złemu zarządził, i w czym wzrok nie może pomódz, ma go odtąd wyręczyć słuch. Odtąd bowiem wiara w to, co nam Bóg o sobie objawia, daje nam jedyne poznanie Boga. A cała wiara ze słuchu. *Fides ex auditu*, powiada Apostoł (do Rzym. X, 17). Ale człowiek chce sam sobie lepiej poradzić. Nie chce być słuchającym, posłusznym, sługą, chce być twierdzącym, rozkazującym, panem. Wszakże cały grzech jego na tem się zasadzał, że chciał zostać panem i Bogiem. Więc z popędu już wrodzonego sobie, bo po grzechu stało się to naszym przyrodzeniem; więc z przyrodzonego popędu stanowi sam o Bogu, twierdzi o Nim co mu się podoba, rozkazuje Mu być takim a takim. Jest to zamącenie, gorączka, szal, ale jest nam przyrodzone; z tem zamąceniem i z tym szalem wszyscy się rodzimy, on z nami wzrasta; i jeśli go nie zabijem, on z nami żyje, on z nami starzeje, on z nami dopiero umiera. Jeśli go nie zabijem, poddając się objawieniu i wierze. Ale poddając się im doprawdy z myśli, z serca, z duszy całej, i od nich biorąc prawdziwego Boga. Jeśli go, mówię, nie zabijem, ten szal staje się mądrością naszą i przewodnikiem całego życia, staje się jego treścią i wypełnieniem: my wciąż natenczas stwarzamy Boga na obraz i podobieństwo nasze, według naszych uwidzeń i według naszych pożądań; całe nasze życie jest lepieniem tego bałwana i kłanianiem się mu. I już możemy lepiej osądzić teraz, to com od początku powiedział: Powiedz jakiego Boga masz w głowie, a ja ci powiem jakim jesteś człowiekiem.

A więc zrozumieliśmy się: gdzie tylko są ludzie, tam muszą być i takie bałwani. A więc są, i niestety! gęsto i wszędy są dziś na świecie, jakem powiedział, i bałwani i bałwochwalstwo, stokroć gorsze niż kiedyś. Toczę wzrokiem po wszystkich



stronach, i tyle tego spotykam, że już nie pytam: czy są, i gdzie są; ale pytam: gdzie ich niema?

A kiedy tak jest, czyż mamy ich pominąć? Czy raczej mamy mówić o nich? Czy nie lepiej będzie zajrzeć im wprzód w oczy i zobaczyć co za jedni? Ja myślę, że koniecznie. Może niejedna dusza czego się nauczy i sama na sobie lepiej się pozna; a i rzecz cała na tem pewno zyska. Mamy mówić o Bogu prawdziwym; myślę, że jak pod stopy runą te fałszywe bōżyszcza, wyższy Bogu prawdziwemu wzniesie się podnózek do tronu; i nad temi ciemnościami Jego światłość jaśniej zagoreje.

Bracia moi! co to za dziwny a nauczający widok mam wam przed oczy postawić! Żal mi tylko, że czasu mieć nie będę, by go wam cały ze wszech stron pokazać. Proszę was przynajmniej, byście oczy zwrócili na ogólne rysy.

Wiemy, że w człowieku są trzy główne władze, a w nich trzy dziedziny życia. Uczucie, ze wszystkimi swemi marzeniami wyobraźni i pożądlivościami serca; rozum, ze wszystkimi swemi myślami, i sądami, i wyrokami; wola, ze wszystkimi zamiarami i uczynkami. Trzy tedy władze naczelne, i trzy osobne żywoty. Tym sposobem trzy będą, że tak powiem, warsztaty, na których będzie się kuł ów Bóg człowieczy, trzy też rodzaje Jego oblicza, trzy osobne rodzaje obrządków i religji, któremi czczony będzie. Jednem słowem, trzy rodzaje bałwochwalstwa. Prędko zobaczymy jednych po drugich.

#### 1-e.

Kuje się naprzód Bóg taki człowieczy w sercu ludzkim. Serce ludzkie to wulkan: tam ze dna wciąż buchają ognie, dopominające się wciąż o nową pastwę. Tam wszystkie namiętności i pożądlivości; trzeba im nasycenia, i wielkim też głosem wciąż wołają o nie. Któż im je da, jeśli nie Bóg jaki? więc trzebaż takiego Boga sercu, któryby mu dał to nasycenie pożądane; koniecznie trzeba mu takiego Boga a nie innego. Więc też takiego a nie innego zaczyna sobie lepić i kuć serce ludzkie, z tą miłą nadzieją, że z jego rąk wyjdzie pewno taki Bóg jakiego chce, i pewno nie inny.

Serce ludzkie się nie omyliło; za każdą razą skutek odpowiedział życzeniom. Tylko że to było w różnych czasach

i w różnych okolicznościach, więc i bogi nie były zupełnie podobne do siebie; zachowały wszakże między sobą pewne podobieństwo rodzajowe, takie same rysy familijne. Widać, że wszystkie mają jednego rodzica, że wszystkie wyszły z warsztatu serca ludzkiego.

I jakież to te bogi? Wielka liczba i nieprzerachowana. Znowu je trzeba zebrać do swoich podrodzajów i gatunków. Już to na czele stoją wszystkie bogi pogańskie. Nie dziw że ich wiele, wtedy były pomyślniejsze okoliczności: jeszcze nie było przyszło chrześcijaństwo i w świat nie wmówiło, że Bóg tylko jeden być może. Serce tedy było wolne kuć sobie tyle bogów, ile mu się podobało. Używało tedy swojej wolności, tem szczęśliwsze, że aby dogodzić swojej potrzebie, nie potrzebowało wtedy jak potem rozmijać się z logiką. Jakaż to potrzeba i jaka logika? Otóż oczywista, że szczerłość i zdrada, łagodność i gniew, szlachetność i zemsta, czystość i sprośność, miłość i nienawiść, nie mogą pochodzić z jednego źródła, nie mogą mieć za Ojca jednego Boga. Logika wzdrygała się na takie zabicie rozumu. Szczęśliwe wtedy serce! nie potrzebowało popełniać takiego morderstwa, bo cóż mu wtedy przeszkadzało tyle bogów szukać, ile mu ich potrzeba było? Więc tak się też i stało. Serce poszło za swoją chucią, ale nie obraziło logiki; i wyszedł z jego swobodnego podówczas warsztatu osobny bóg zdrady, a osobny bóg prawdy, inna bogini sprośności, a inna czystości, inny bóg mściciel, a inny bóg łaskawca, tam bogowie czarni, a tu bogowie biali i światli: wszystko się rozdzieliło w świecie bożym tak, jak w samem sercu człowieka wszystko było rozdwojone; i tak się stworzył ów Olymp starożytny, najwierniejszy, bo najswobodniejszy obraz serca ludzkiego i natury ludzkiej po swoim upadku, iście przetrąconej na dwoje: tam, pamięcią swoją, sięgającej raju utraconego, w którym była niegdyś, a tu, rzeczywistością całą konającej na tej pustyni, wiatrami spieklej, po której błaka się dzisiaj.

Taki jest pierwszy rodzaj bogów fałszywych: pierwotne i samorzutne dzieci serca i natury ludzkiej! Gdybyśmy się im lepiej przypatrzeli, znaleźlibyśmy i w nich potem ślady wszystkich stron istoty ludzkiej. Ale my tutaj tylko jeden rzut oka możemy im darować. Spojrzeliśmy i dosyć: Idźmy dalej.

Nadeszło chrześcijaństwo i nałożyło swe błogie jarzmo na ducha ludzkiego. Serce ludzkie długo się trzymało swych dawnych bożyszcz, ale nareszcie pożegnać się z nimi musiało i nie miało mu być już wolno kuć sobie nowych. Lecz gdzie tam! Nie długo potrwało, i znalazł się zuchwalec, który na tym samym warsztacie zaczął kształtować takiego samego jak dawne bogi; jak stanął, w niczem od tamtych nie był różny, tylko tem, że był jeden. Ten Bóg kazał swemu prorokowi, imię mu było Mahomet, zarówno wprowadzić i wykonywać, posty i biesiady, ablucye i sprośności, prawdę i kłamstwa. Przecie ten Bóg sam kłamać uczył, owszem w swym Koranie, czyli Księdze, uroczyście zapisał przywilej, jakim obdarzył proroka, aby kłamał według potrzeby; kazał, mówię, zarówno uświęcić szczodrośliwość i rabunek, wspaniałomyślność i zemstę, gościnność i mordy; przecież sam błogosławił prawicę proroka, kiedy ten własnym mieczem ścinał łby pojmanych zdradą i już bezbronnych wrogów. To dopiero Bóg człowieczy, trzykroć człowieczy. Bóg, jakiego tylko serce ludzkie pożądać może, wolne wodze puszczający wszystkim jego chuciom i choćby one całe sprośnością cuchnęły, choćby całe krwią dyszały, dający im na drogę błogosławieństwo i kładący na ich grzbiecie pieczęć uświęcenia.

Patrzcie! To Bóg muzułmański! Wszystkie bogi pogańskie on jeden w sobie połączył.

Chciałbym zajrzeć do twego serca, o człowieku chrześcijański, który w sobie podobnego Boga nosisz. Jakie twoje modlitwy i o co prosisz twego Boga? Prosisz o zdrowie i pomyślność. To prośba najpospolitsza takich ludzi. Prosisz o zdrowie? A na co ci zdrowie? na co je obracasz? Na jedzenie i na picie, na zbytki i na rozpustę. Więc prosisz twego Boga, aby ci w tem wszystkim dopomagał. O co więcej prosisz? Prosisz o pomyślność, o szczęście, na tem świecie; a czasem jak źle ci idzie, jak ci się zdaje, że to вина twych nieprzyjaciół, prosisz Boga, aby się nad nimi zemścił; czynisz twego Boga — ah, tak, twego Boga — nie prawdziwego — spółnikiem twojej nienawiści; chcesz go uczynić spółnikiem twej zemsty; przeklinasz i wzywasz, aby spuścił swoje pioruny na twoich nieprzyjaciół. Człowieku, człowieku ciała, człowieku zmysłów, czło-

wieku krwi, człowieku, nie widzisz żeś ty bisurman, i twój Bóg, bóg bisurmański?

---

Atoli nie zawsze tak daleko idzie serce ludzkie za swoim bogiem. Są serca niby poczciwsze, a może tylko nie tak śmiałe i nie tak odważne, co się zatrzymują na wpół drogi. Bo to nie każdemu dano być choćby Mahometem, choćby czcicielem bisurmańskiego, ale przecie olbrzymiego bożyszcza. Są ludzie, którym dosyć na tuzinkowych bogach. Jacyż to są ludzie? Są to tak nazwani poczciwi ludzie, a ten bóg o którym mowa, to ów tak nazwany bóg poczciwych ludzi. Ten bóg nigdy się nie gniewa, nie napomina, nie karci, broń Boże, nie karze. Bylebyś nie kradł i nie rozbijał, bo za to śnać mógłby cię skarać na grzywny; ale bylebyś tego nie broił, możesz siedzieć spokojny, możesz używać żywota, możesz hasać i rozlegać się po wszystkich błoniach nasycania i używania, rób co chcesz z tych niewinnych rzeczy, postępuj jak chcesz, żyj jak chcesz, on cię się o nic nie spyta, słówka ci nie powie; owszem, będzie się tobą opiekował i będzie miał zawsze nad tobą ojcowskie oko. A jak z tego świata zejdziesz, zaprowadzi tam gdzieś, niewiadomo gdzie, ale będzie ci tam dobrze. Co mówię? gdybyś tam poszedł nawet złodziejem i rabusiem i zbójcą, to i tak nie bardzo się lękaj tego poczciwego boga poczciwych ludzi: wsadzi cię poprawdzie na czas pewien do więzienia, bo już ci przyzwoiła, abyś więzę odsiedział; ale się nie lękaj, to nie piekło. Niema piekła u tego boga poczciwych ludzi; gdyby było, toby był niepoczciwym, niesprawiedliwym; a on przecie bogiem utworzonym przez poczciwych ludzi. Więc się nie lękaj, odsiedzisz twój czas, przez ten czas spoczciwiejesz, zrobisz się poczciwym jak inni, i potem pójdziesz do grona dzieci bożych, i będziesz bez różnicy tak poczciwy jak inni, ty który gdybyś dotychczas żył na ziemi, byłbyś jeszcze dotychczas rabusiem i łotrem. I w tem jest główny dogmat tej religii poczciwych ludzi i tego ich boga. Tam nie ma piekła. Ich dobre serce nie może znieść tego: mówię dobre: a ono tylko niskie, ułomne, ludzkie, tępe, ograniczone, nierozumiejące istoty Bożej i tajemnic bożych. Nie może znieść piekła; bo wtenczas musiałoby być wielkiem i szlachetnem, i godnem Boga, musiałoby przypuścić, że Bóg jest miłością i miłością nieskończoną, której



odwrotną tylko stroną jest piekło nieskończone. To musiałoby przypuścić; ale to za wielkie dla niego; więc woli pozostać małym, poziomem, nikiemnem, aniżeli wznieść się do prawdziwej wysokości, woli nie mieć nieba, aby nie mieć piekła, i woli kuć Boga na obraz i podobieństwo swoje, aniżeli przyjąć prawdziwego. Woli to wszystko, i tylko tem się pociesza, że jest pocziwe, i że ten którego sobie kuje jest także pocziwy.

O Boże wielki! O Boże prawdziwy! Z jakim politowaniem patrzysz na tę robotę synów ludzkich, na tę niewdzięczną i niezbożną pracę serca ludzkiego! Tyś Pan i Bóg tego serca, Ty je stworzyłeś dla siebie, na obraz i podobieństwo swoje stworzyłeś je, i chcesz aby się rozwijało i rozwinęło całe na ten Twój obraz i podobieństwo. Ty chcesz aby wzięło z Ciebie to, co do niego należy, aby wzięło dobro Twoje; i te mu dajesz obficie. Otworzyłeś wszystkie skarby Twego serca Bożego, otworzyłeś wszystkie źródła wód żywych które z niego płyną, wypuściłeś wszystkie strumienie łask niebieskich, zesłałeś manny z nieba i chleb Aniołów, chciałeś prawdziwie i chcesz karmić człowieka i to jego serce niczem innem, jedno samym sobą, i tym sposobem chcesz się stać Bogiem jego, prawdziwie po bożemu, o Boże prawdziwy! a to serce ludzkie biedne, nieszczęśliwe, cóż czyni? Już ukuło sobie swego boga, już ulepiło swego bałwanka i wychodzi na Twoje spotkanie, bo się gdzieś i kiedyś musi z Tobą spotkać; wychodzi i woła: Precz, zdala odemnie! Ty nie mój Bóg! Ja mam mego Boga, który nie podobny do Ciebie. Oto patrz na mego Boga, to Bóg mych wszystkich życzeń, pragnień, całego upodobania, to Pan i Bóg mego serca. Tego jednego znam; Ciebie nie znam!

To wy tak mówicie, wy wszyscy czciciele pogańskich bogów, czciciele boga bisurmańskiego, czciciele boga pocziwych ludzi, wy to mówicie przeciwko Bogu prawdziwemu.

O Ojcie! przebacz im, bo nie wiedzą co czynią!

To wszystko bogowie serca ludzkiego, pierwszy rodzaj fałszywych bogów.

Czym już z nimi skończył? Prawdziwie, że nie. Ale nie chce już iść dalej: bo bym końca nie znalazł. Jest jeszcze jeden, ostatni, najgorszy gatunek tych bogów, czyli raczej już nie bóg, ale jakieś jego zaprzeczenie, zawsze jednak z serca

wylęgle, o którym jednak, choćby jednym słówkiem wspomnieć muszę. Ci o których dotąd mówiliśmy udawali się przecie za bogów jakichś, każdy z nich zawsze był to ktoś, była osoba; wymarzona, wyrojona, niebywała, ale osoba. Lecz teraz już nie idzie o osobę. Serce ludzkie staje się coraz gorszem w swoim upadku, coraz nikczemniejszym, przychodzi do tego, że nareszcie zaprzecza wszelkiego Boga. Już mu żadnego nie potrzeba. Stało się samo próżnią i nicestwem (bo to tylko wtedy się dzieje) więc i bóg, utwór rąk jego, równego z nim losu doświadczył, i on się stał próżnią i nicestwem. Wtenczas serce powiada, że dla niego tylko jedno jest bóstwo: materya i zmysły; jeśli jaki Bóg to ten: ale to nic osobistego, nic żyjącego; to tylko pastwa do jakiegoś galwanicznego życia. Serce podrga w niem przez chwil kilka, i już go niema.

Taki jest ostatni Bóg wylęgły w sercu ludzkim już umarłym: i on martwy jeszcze przed urodzeniem. Zostawmy umarłych ze swemi trupami, i idźmy dalej gdzie jeszcze życie lub życia ślady.

## 2-e

Drugi rodzaj bogów fałszywych są bogowie wylęgli w duchu, w rozumie ludzkim.

I tych liczna czereda, i tych trzeba rozpisywać według rodzajów i gatunków. A trzy są mianowicie: 1-e. Bóg protestantów, 2-e. Bóg mędrków przypadkowych, pół uczonych, a tak nazwanych rozumnych ludzi, 3-e. Bóg filozofów z rzemiosła, za którymi znowu przyjdzie jak i tam zaprzeczenie, a to będzie zaprzeczenie wszelkiego Boga: będzie to Bóg ateuszów.

Najdrożsi moi: Czyście czytali kiedy mistrza protestantyzmu perorującego o Bogu w całym zapale swojego szału. To dopiero Bóg! Takim go utworzył rozum człowieka. Bo protestantyzm to religja rozumu. Jakimże tedy rozum ludzki w tym swoim zamachu utworzył Boga? Słuchajcie; to Bóg bez prawidła, bez zakonu, bez prawa, rzekłbym bez czci i wiary, gdybym się nie lękał tego strasznego słowa. Ale tam tak jest doprawdy. Ten Bóg z góry bez niczego jednych zbawia, a drugich potępia; owszem, sam pędzi tego do grzechu i piekła, tamtego do cnoty i nieba; wsiądzie, prawi, na wolę ludzką, jak jeździec na konia, i pędzi gdzie chce, czy na prawo czy na lewo. Tam niema wolnej woli, tam niema zasługi, tam niema dobrych uczynków:

tam tylko jedno ślepe przeznaczenie ze strony Boga, ślepy traf ze strony człowieka; gdzie go traf tu postawi, pod jaką wolę Bożą. Ten Bóg tedy nie zna żadnego prawidła, ani racyi, ani powodu, tylko proste upodobanie; jednym słowem u tego Boga kaprys, ślepy kaprys jest najwyższem i jedynem prawem.

Taki jest Bóg protestancki. Taka jest pierwsza próbka, która nam w ręce wpadła Boga utworzonego przez rozum ludzki. Ciekawym co się niepodobało rozumowi ludzkiemu w Bogu prawdziwym, w Bogu chrześcijańskim, że wołał sobie stworzyć takiego dzikiego, okrutnego i w końcu nierozumnego? Chyba to jedno, że tamten był Bóg prawdziwy; więc wołał takiego, nawet nierozumnego, byle swojego. Tak to rozum, kiedy chce być sam rozumem, staje się bezrozumem!

Ale czy to tylko mistrzowie protestanczy takiego Boga wykuli? Ach, kuje go sobie nieraz niejeden rozumak co o Bogu po swojemu myśli. Ty na przykład człowieku, co się lękasz Boga, co masz skrupuły, obawy, niedowierzania; co zawsze wyobrażasz sobie Boga jako wierzyciela i ekonoma, z którym chciałbyś mieć zawsze rachunki czyste, i lękasz się, żeby tam jeszcze nie było czegoś na drugiej karcie schowanego. Człowieku małego serca, małej duszy z Bogiem, to wszystko dla tego, żeś człowiekiem małego rozumu, i twym małym rozumem wyobrażasz sobie małego, niegodnego Boga, kapryśnego, nierozumnego, okrutnego. Tego Boga się lękasz, i nie masz w nim ufności, nie masz wiary i dla tego nie masz swobodnego ducha i bezpiecznego serca, że nie masz wiary i ufności, a nie masz znowu wiary i ufności, bo nie masz prawdziwego wyobrażenia. Człowieku, to nie prawdziwy Bóg, o którym myślisz, to twój Bóg, twojego wyrobu, to Bóg protestancki — nie chrześcijański, nie katolicki. O człowieku, podnieśże się wyżej do prawdziwego Boga! Z tym, bylebyś miał dobrą wolę, możesz być bezpiecznym. Pokój, pokój ludziom dobrej woli. Więc tylko miej dobrą wolę, a wtedy ufaj i wierz! Pokój Boży nad tobą!

Drugi Bóg rozumu ludzkiego to Bóg mędrków i półuczonych, tak nazwanych rozumnych ludzi. Coraz mniej mam czasu na ich opisywanie; ale przynajmniej słów kilka. Ten Bóg półmędrków jest bogiem dziwnego nabożeństwa. Słyszeliście kiedy o jakim kalifie wschodnim, lub o jakim gnuśnym królu sie-

dzącym w głębi pałacu, lub najlepiej o owym Tale Lama tybetańskim, co to siedzi od rana do wieczora na swoim boskim tronie, a interesa ludu, państwa, rządu robi za niego na kogo tam wypadnie; on zaś siedzi tylko i nic a nic nie robi, o niczem nie myśli, nawet się nie rusza; rzekłbyś może, że go niema, ale o nim mówią ludzie, że tam gdzieś jest i że to król, Pan, Bóg. To taki ten Bóg półmędrków. Ów, o którym mówiliśmy, Bóg pocziwych ludzi, przynajmniej pomagał ludziom, patrzył na nich, prowadził, nawet sądził i karał, prawda, że wszystko to pocziwie, jak oni mówią, i bez żadnej szkody człowieka. Ale ten Bóg rozumnych ludzi, to jakiś czysto rozumowy utwór, on się wcale a wcale nie mięsza do spraw ludzkich; siedzi gdzieś za obłokami, używa swego wczasu i dość mu na tem, że Bogiem. Niewiem doprawdy dlaczego go jeszcze wymyślili ci mędrkowie niemądrzy? Chyba dlatego, że za ich czasów niepięknie było nie mieć żadnego Boga; chyba dlatego. To też zwykle ten bóg nie długo popasa w gospodzie rozumowej; wkrótce go stamtąd wypędza inny samowładz. Jednakże póki jest póty jest, i musieliśmy przeto wspomnieć o nim, choćby dlatego, żeby się podziwować, iż między rozmaitymi bogami znalazł się i taki?

Lecz co ja czynię? Jakże się mylę? Sądziłem, że ten bóg jest tak wielką rzadkością, a on jest pospolitością najpospolitszą. Cały świat jest pełen takich półmędrków, a ich głowy takich bogów. Niestety, Niestety! zwykle ludzie takie mają wyobrażenie o Bogu, jakby się on nic do ich spraw nie mięszał, i tak żyją długie lata, całe życie; i ledwie, ledwie, albo i nie ledwie ocykują się przy śmierci. O człowieku, który tak żyjesz i z takim bogiem nosisz się w twoim rozumie, gdybym z tobą chciał się tu rozprawić, dniaby nie wystarczyło. Ty żyjesz, jak gdyby Boga nie było; twój Bóg nie patrzy na wszystkie twoje czynności, on nie jest ich panem, on niczem nie rządzi, on się nie pyta ciebie o powód i cel ich, i ty mu nie zdajesz sprawy; on nie śledzi twoich wnętrzności, on nie widzi twoich myśli, nie przenika uczuć, nie zgłębia zamiarów, nie bada nerek i serca, nie ściga sumienia. Gdzie tam! Ty w tych wszystkich krajach i prowincjach twych własnych siedzisz i królujesz jako pan samowładny, jako bóg swój i ni się troskasz o innego. Więc kto Bogiem? czy ty? czy ten bóg, któregoś ukuł. O, prze-



stań sobie wyobrażać, że to Bóg prawdziwy. Przestań błędzić, tego ci nie wolno. Wolno ci było stworzyć sobie Boga podług twoich myśli, ale nie wolno ci go uważać za prawdziwego Boga. Twój Bóg to Bóg taki jak ty, mędrków i zarozumiałców, rodzony brat boga protestantów. Prawda, że jak Ezaw i Jakób nienawidzą się oni, wzajemną wojnę prowadzą, ale niemniej przeto są bracia. Kuli ich na jednym warsztacie, tylko dwaj różni kowale. I taki Bóg jaki jego kowal!

Przychodzi nareszcie bóg ukuty przez filozofów z rzemiosła. Ciężka machina, zajeżdża na żelaznych kołach, dyle dębowe ledwo się nie ugną pod ciężarem posagu, a on cały ze spiżu surowego, ślepy, głuchy, niemy, ...nieruchomy. Wołaj na niego: oczu nie otworzy; klękaj, błagaj, zaklinaj: nie sły-szy; umieraj przed nim: słowa nie powie; bij na niego i chciej go zdruzgotać: sam się potłuczysz! Taki jest bóg filozofów z rzemiosła. Ta machina, o której mówię to są prawa natury stałe, niewzruszone, konieczne i ciężkie jak konieczność, a ów posąg to jakaś osoba boża, którą jeszcze ci filozofowie przypuszczają, a która nie tylko nie mięsza się i mięszać się nie chce, ale która nie może się mięszać do praw tej natury i całego biegu ich następstw; króluje tylko i panuje, ale nie rządzi. Taki jest bóg filozofów; dłużej o nim nie mam co mówić.

O Boże prawdziwy! Spójrzij na twoich przedrzeźniaczy! Spójrzij na nierozum ludzki, który chcąc być bardzo rozumnym, z Ciebie Boga wszechrozumnego i wszechwiednego i wszech-mądręgo, robi taką bryłę ślepą i nieruchomą, i nierozumną jak on sam. Tyś człowiekowi otworzył wszystkie skarby twojej mądrości, tyś nad jego czołem zawiesił światło twoje, przed jego oczyma zapalił tve słońce; tyś sam chciał być jego nauczycielem i wprowadzając go ze światła do światła, chciałeś go nareszcie wprowadzić na szeroki Ocean twoich boskich, niepojętych światłości; aniołowie się cieszyli, duchy światłości śpiewały Hosanna! niebo całe czekało i już otworem schylało się ku ziemi; a człowiek, ten szczęśliwy przeznaczenie takiej czci i jasności takiej, co uczynił? odwrócił się, wziął bryłę ciemną i zaczął lepić i ciosać swego bałwana, byle tylko swego, i potem zuchwalec wbrew się postawił, i trzyma przed sobą

tego swojego bożka; i już za nim nie widzi i niechce widzieć prawdziwego Boga. To mój Bóg, tego znam, ciebie nie znam!

Takie są bogi rozumu ludzkiego, bogi nierozumne.

Ojeze! odpuść im wszystkim, bo nie wiedzą co czynią!

Czym już skończył z tymi bogami rozumu? Nie, zostaje mi jeszcze całe zaprzeczenie. Tam byli osobiści bogowie, tu przychodzi nieosobiste bóstwo; bóstwo, mówię, nie bóg. Bo jak na dziedzinie serca, tak na dziedzinie rozumu, kiedy w rzeczach bożych człowiek przyjdzie do końca, musi wszystko zaprzeczyć przez ostatecznie nie, — precz z Bogiem! To ostatni krzyk zbuntowanego czy serca czy rozumu. A natomiast człowiek zatwierdza sam siebie, jako coś boskiego; ale tam zatwierdza zmysły dając im za przedmiot materię, i to było tam owo coś boskiego; tu zaś zatwierdza rozum i daje mu za przedmiot ideę, i to znowu tu jest owo coś boskie. Tam tedy materializm, a tu idealizm, albo racjonalizm; oto ostatnie kresy dróg rozstajnych do których dochodzi człowiek, przeskoczywszy przez rów zaprzeczenia, czy to sercem czy rozumem szukając tego co boskie.

Toby mi zostawało do wyjaśnienia. Lecz dosyć tego, żem o tem napomknął. Już rozumiecie, wy szczególnie którym o to chodzi, jaka to mąka i jaki z niej chleb. To pewno nie chleb żywota i nie wino, które daje siłę i zdrowie. Co mówię? wszakże to przepaść. A jeśli które drogi wiodły do tej przepaści były tak niezdrowe, tak zatrute, tak zabójcze, cóż dopiero przepaść sama?

Mijamy tedy i idziemy dalej.

### 3-e.

Trzeci rodzaj bogów ukształconych przez człowieka urodził się na warsztacie woli ludzkiej, stojącym w samym środku duszy i istoty ludzkiej. Ale te cyklopy, które w tej kuźni kuły, to są olbrzymy jakich niewiele między ludźmi; a ich utwory to są straszdyła, już nie dla nich samych szkodliwe, ale dla rodzaju ludzkiego; potwory coby go wnet pożarły, gdyby nie było Boga prawdziwego. Albowiem to jest właściwością i charakterem tych bogów, których sobie tworzy woła ludzka, że ich na to sobie tworzy, nie żeby karmić nimi serce i dawać

mu czego pożąda, nie żeby przystroić rozum, i dać mu prawidło i mądrość, nie; ale na to, aby za pomocą takiego boga innych podbić, panować nad innymi i rozszerzając zabory usiąść na karku ujarzmionego świata. A cóż my nie tytany? czyż nie owe olbrzymy, które Bogu wojnę wypowiedziały o panowanie nad światem. Ale ja do nich z bliska nie przystąpię, dość, że z daleka palcem wam pokażę.

Pierwszym na tym placu bogiem, jest bóg żydowski. Już mię rozumiecie. Żydzi oczekiwali Mesjasza, ażeby za jego pomocą mieli dostatki, chwałę, władzę nad całym światem. I dla tego to pieniądz, jako środek do tego, należy do najpiękniejszych darów takiego boga; owszem on sam jest bogiem. Dość tego jednego. Cóż wam więcej o nim powiem? Znaćcie go. Chyba, że się zakradł i do jakiego chrześcijańskiego serca? Więc do takiego powiem tylko: Cóż to jest? Cóż tobie i bogowi żydowskiemu? Wyrzuć go czempredzej z domu serca twego, jeśli chcesz jeszcze zostać chrześcijaninem.

Drugim takim bogiem jak bóg heretyków, i fanatyków, którzy sami zaślepieni swym fałszywym bogiem, w jego imieniu narzucają prawo i zakon, mordują i prześladowają i on im służy jako narzędzie do panowania nad innymi, a jeśliby być mogło, nad całym światem.

Trzecim takim Bogiem fałszywym jest Bóg złych polityków, którzy dlatego sobie lepią jakiego fałszywego boga, i jakąś po ludzku skleconą religję, aby obojga używać za narzędzie, i za ich pomocą także panować nad światem.

Te są bogi wykute na warsztacie woli ludzkiej. — Stawi je naprzeciw prawdziwemu Bogu. Te znam, Ciebie nie znam!

**Fałsz, zgroza, okropność!**

Ach, Ojcie, odpuść im bo nie wiedzą co czynią. A jeśli wiedzą, trzykroć więcej Cię błagamy, odpuść im.

I tu na końcu przychodzi zaprzeczenie. Te którem wymienił są osobiste bogi; ale zaprzeczenie zmazuje je wszystkie, i zostawia tylko bóstwo jakieś do wzięcia. Ale to bóstwo tutaj zabiera sobie nie już serce, nie już rozum, ale sam człowiek; i człowiek tu sam w woli swojej i w osobie swojej zatwierdza się bogiem. Bierze całe bóstwo i przywłaszcza całemu sobie. Czyni to, co pierwszy uczynił szatan. I jeśli na polu

serca i materializmu pańowało bóstwo bezbożników, na polu rozumu bóstwo ateuszów, tu na polu woli włada bóstwo szatanów. Ostatnim bogiem jakiego tworzy istota rozumna przed Bogiem zbuntowana, czy człowiek, czy duch, ostatnim takim bogiem jest szatan. A ponieważ ich wielu jest, więc tam dopiero prawo mocniejszego jest prawem jedynem, i kto mocniejszy ten wszystkich panem.

Najmilsi moi, otom rzecz skończył. Oto cała genealogja bogów fałszywych. Tyle ich i taki ich porządek.

„Jakoż, mówił nam Apostoł, są co się zowią bogi, bądź na niebie, bądź na ziemi (albowiem wiele jest bogów i wiele jest panów).“ — Jużesmy spojrzeli, jużesmy widzieli, owszem jużesmy ich obalili, już ich nie ma. „Nam wszakże jest jeden Bóg i jeden Pan“. Tak jeden tylko, i tego jednego znać chcemy. To nam jeszcze zostaje do widzenia i da Bóg to zobaczymy.

A tymczasem ostatnie słowo.

## II.

Cała moja dzisiejsza nauka była obrócona do nauczania was; czyż nie w niej nie było do zbudowania? Ja myślę, że wiele i niezmiernie. Co to za widok przesunął się nam przed oczyma! Oto przez tyle wieków, przez tyle pokoleń pracuje człowiek w pocie czoła, w znoju a często i we krwi, nad utwórzaniem sobie swojego Boga! Ciągłe tylko Bogiem zajęty, ciągle koło niego chodzi, musi go mieć, a gdy go nie ma, póty nie spocznie, póki sobie nie dostanie choćby fałszywego. Więc cóż z tego za wniosek? Ten pierwszy: że Bóg i człowiek są od siebie nieoddzielni. Całe istnienie człowieka, całe jego życie przez wszystkie wieki, cała jego historia jest jednym ciągiem świadectwem o istnieniu Boga. Szuka się tego co się straciło, ale co się miało, lub o czem się wiedziało i wie; czego się nigdy nie miało, o czem się nie wie, tego się nie szuka, o tem się nawet nie myśli. Cała historia rodzaju ludzkiego jest ciągiem szukaniem Boga. A więc ciągłym dowodem, zaiste jasnym jak słońce, że Bóg być musi, że jest, że jest niezawodnie.

Ale z tego widoku i druga prawda nie mniej jasno płynie: że ten Bóg jest stracony. Właśnie ta sama praca, to samo szukanie, a szczególnie, to samo nieznajdywanie tego dowodzi;



to nieznajdywanie jednego Boga, a znajdywanie tylu różnorodnych, tak wielu bogów i tak wielu panów.

A teraz szczególna nauka i upomnienie. Między tymi szukającymi, a źle szukającymi, tymi tworzącymi sobie bogów i my jesteśmy. Jakkolwiek sobie pochlebiamy, żeśmy na dobrej drodze, żeśmy wierni, pobożni, Kościołowi posłuszni, mimo to wszystko uderzmy się w piersi: jeżeliśmy nie uklećili zupełnie nowego i innego Boga, tośmy mu coś dodali ze swego, albo coś mu ujęli: i to wyobrażenie o Bogu, jakie my nosimy w rozumie i w sercu, jest albo chrome i ułomne, albo napstrzone i przesadzone. A cóż dopiero gdyby się i tacy znaleźli, co przyszli do wyobrażenia o Bogu podobnego do jednego z tych fałszywych, na któreśmy patrzyli. Uderzmy się w piersi! I rychło, rychło, przejdźmy na drogę prowadzącą do prawdziwego Boga, który nas czeka.

A jaka ta droga? Jaka wskazówka? Jakie prawidło? Słyszeliśmy, wiemy. Wszystko co o Bogu człowiek sam przeciw Bogu wymyślił, wynalazł, ułożył, uklecił, ukuł, to wszystko fałsz i fałsz wierutny. To, co Bóg sam o sobie objawił, to jedno prawdziwe.

Albowiem objawił, objawił Bóg samego siebie. Tak, jak przez całą historię ciągnie się nieprzerwanem pasmem szukanie Boga przez człowieka; tak, chociaż nie tak szerokiem korystem, ale równie nieprzerwanym ciągiem płynie przez historię objawianie się i zatwierdzanie się Boże. Tak, objawił Bóg samego siebie; a to objawienie jest tak stanowcze, tak dowiedzione, tak oczywiste, tak jasne, że kto jedno ma oczy i dobrą wolę do widzenia, widzi koniecznie. I z tego objawienia w historii wypływa równie dokładnie i oczywiście, jaki jest ten Bóg, jaka Jego natura, przymioty, jaka nawet Jego osobistość, i jaka Jego wola i stosunek z człowiekiem. Wszystko to iskrzy się i goreje ognistemi głoskami na tle historii. To da Bóg wam pokaże i razem z wami się nacieszę, w którym cała nasza pociecha, i nadzieja i szczęście na wieki wieków!

A teraz podnieśmy oczy, i serce, i myśl, i duszę do tego Boga prawdziwego i prośmy o światło, o łaskę, o siłę, o opiekę. Idzie nam o rzecz wielką, największą, o Boże nasz jedyny, prawdziwy. Wszakże ty przed wiekami powiedział i dziś do nas mówisz: „Słuchaj Izraelu! Jam jest Bóg twój:

Bóg twój Bóg jeden jest. Nie będziesz miał bogów cudzych przedemną.“ Oto stoimy między tymi cudzymi bogami, nieraz niestety dziełem rąk naszych własnych, a między Tobą, Bogiem prawdziwym. Wiemy, jak się rozpoznać, ale, jeżeli Ty nie dasz wewnętrznego światła, nie skorzystamy z tej wiedzy. Daj, abyśmy poznali to, co w tem wyobrażeniu o Tobie, jakie w sobie mamy jest ludzkiego, od nas lub od innych naleciałego: wszystko co obce, co cudze Tobie: „nie będziesz miał bogów cudzych przedemną“, daj poznać i wyrzucić; a daj jasno, głęboko, gorąco, poznać i przyjąć wszystko, co Ty sam o sobie twierdzisz, co Ty sam jesteś i kto Ty jesteś. O wtedy Ty nas wyprowadzisz z ziemi Egipskiej, z domu niewoli, gdzie było pełno fałszywych bogów: zwierząt i ptactwa, i psów, i kotów, i węzów, i smoków, wylęgłych w głowach i w sercach naszych, a wprowadzisz do ziemi obiecanej, do raju rozkoszy, gdzie Ty jeden będziesz Bogiem, o prawdziwym Bogiem! Bogiem serca naszego, Bogiem rozumu naszego i Bogiem woli naszej, i całego życia i wieczności. Amen.

## KAZANIE XXXV.

### O bogach zmysłowych.

(Kraków, 13 maja 1868 r.)

„A to jest zwycięstwo, które zwycięża świat, wiara nasza“.

„Alan est victoria quae vincit mundum: fides nostra.“ (1 Joan. V. 4.).

Najmilsi bracia!

Witam was. Witam na nowo uprzejmie i serdecznie w Panu. Łaskawy i miłosierny: oto mi zdarza znowu sposobność mówienia do was. Chwile im rzadsze, tem szczęśliwsze! I możecie wierzyć, że to wielka dla mnie pociecha z tego spotkania się i tego mówienia do was.

Lecz o czem mówić będę? Tu już ustaje wzgląd własny. O czem? Ah, zaiste, że o niczem innem, jedno o Nim, tym Panu naszym, o Jego prawdzie, królestwie, o drogach do Niego — o Nim, o Nim jednym!

Mówiłem wam o Nim ostatnią razą. Pamiętacie może. — Przedstawiłem wam z jednej strony obraz fałszywych bogów, bardzo krótko i pobieżnie, z drugiej nieco obszerniej obraz prawdziwego Boga. W tem przeciwieństwie szukałem razem z wami większego światła i lepszego poznania tego Boga naszego.

Mówiłem wam o tem, bo rzecz najważniejsza. To sprawa żywota naszego, to sprawa wieczności.

Jeżeliście pamięcią zatrzymali owe obrazy, najmilsi moi, nie wątpię, że w życiu waszem od onego czasu, co krok znaleźliście ich stwierdzenie w rzeczywistości. Co do mnie, ja nie mogłem ich zapomnieć, nie mogłem też nie patrzeć na ten świat, na ten żywot, na drogi nasze, na drogi ludzkości całej, nie mogłem następnie nie widzieć, jaśniej, coraz jaśniej, jak to, com wam wtedy mówił, stwierdza się i ziszcza w tem naszym życiu na świecie. Widzę, ach widzę, jak Bóg prawdziwy mało co znany, ach rzekłbym nieznany, tak nieznany, że nie dziwiłbym się, jeśliby komu myśl przyszła na wszystkich jego świątyniach wyryć ów napis, który w Atenach widział św. Paweł: *Ignoto Deo! Nieznanemu Bogu!* A natomiast bogowie fałszywi wszędzie oni góraj, ich świat, ich jednych zna, im się kłania, ich chwali, ich zakonem żyje, pod ich zakon chce resztę ludzi podbić, którzy jeszcze pod to jarzmo karku nie nagięli. Nie mogłem nie patrzeć, nie mogłem nie widzieć.

Moi najdrożsi, zacząłem wam wtedy mówić, będę mówił dalej, lecz mówił obszerniej, dokładniej. Czyż mogę znaleźć coś ważniejszego?

Czas mam jednak krótki przed sobą. Przeto nie będę mówił o Bogu prawdziwym, w ten dokładniejszy sposób. Będę wam mówił jedynie o bogach fałszywych. Com wtedy w jednej nauce zamknął, to dzisiaj w tych kilku naukach będę się starał wyłuszczyć. Może, co się wtedy nie zrozumiało, teraz się lepiej zrozumie. Przedmiot bogaty, wystarczyłby na daleko więcej, na bardzo wiele. Będziemy musieli go zamknąć w ciśniejszych rozmiarach. Liczę na waszą uwagę. Jeśliście mię wtedy o tej rzeczy słuchali, dziś trzykroć słuchać będziecie.

Wy mnie szczególniejsz słuhać będziecie synowie tego miasta. Ten gród w kraju naszym był niegdyś grodem świętym. Azaliż nim być przestał? Azaliż to tak łatwo wyrwać korzenie stu-

letnich dębów? Azaliż tak łatwo wysuszyć źródła wód żywych od wieków tryskających? Azaliż to tak łatwo rugować żywe fundamenta, które Bóg i Kościół w duszach ludzkich, a tembardziej w narodach założyli? Grodzie zaeny! tyś był środezy-skiem życia głęboko, wysoko i szeroko chrześcijańskiego, życia iście i rdzennie katolickiego. Zaeny grodzie! jakiegokolwiek tam burze przeszły ponad twoją głowę, mogły ci dachy zerwać, podwalin nie tknęły, stoją niewzruszone nie tylko w kamieniach i w murach, ale w umysłach i duszach, tam przynajmniej na dnie samem. A więc grodzie dawnej wiary i dawnej świętości, ty zawsze rozumiesz i wiarę i świętość, ty chowasz w twem łonie ich ogień życiodawczy. Więc ty mnie tem lepiej zrozumiesz. Przechodzę do ciebie z innego grodu, który jest matką twoją, przechodzę z miasta iście świętego, z Jerozolimy nowego zakonu. Ale po drodze zwiedziłem Babilony i Niniwy i przychodzę ci powiedzieć, co się w nich dzieje. Opowiem ci, opowiem, jakie tam bałwochwalstwo. Jeżeli jego zaraza i do ciebie zaleciała może, to słysząc prędzej się wstrząśniesz; ale w każdym razie dokładnie się dowiesz, jak cię to licho dokoła oblega i jak szturm do bram twoich już, już przypuszcza. Na ten widok przypomnisz dawne lata, dawną chwałę i siłę, dawne przy-czyny życia, i odmłodniejesz w twej wierze, w twej nadzieji i w twej miłości; i staniesz jak bohater, przeciw wszystkim fałszywym bogom a za Bogiem prawdziwym; i niezawodnie, a prawdziwie i święcie zwyciężysz. Ach grodzie przezaeny! to przynajmniej może życzenie dla ciebie, to przynajmniej mój jęk za tobą do Boga: życzenie i jęk za całym tym krajem! O Boże, dajże nam odepchnąć wszystkie bogi fałszywe, daj nam Ciebie poznać i służyć Tobie jednemu Bogu prawdziwemu! Oto zbawienie nasze! Z tem do was przechodzę, o tem chcę do was mówić, najmilsi, najdrożsi bracia moi. Proszę o posłuchanie.

A poprosimy Matki Najświętszej. Zdrowaś Maryo.

---

Bracia najmils! powiedziałem wam: Bałwochwalstwo panuje na całym świecie. Świat już zapomniał o prawdziwym Bogu, a zna ich i czei tysiące. Sprawdziło się i sprawdza co rzekł apostoł: „Albowiem jest wiele bogów i wiele panów”.



Zaiste, drodzy moi, wiele, wiele jest bogów i wiele panów na tym świecie, z natury swojej bałwochwalczym. Niejeden z was o tem może i nie myślał; a ja wam mówię: że to aż strach jak wiele jest na tym świecie bogów fałszywych! Prawda: nie mają ołtarzów, przynajmniej nie po kościołach; nie palą im kadzideł, przynajmniej nie publicznie; nie zabijają ofiar, przynajmniej nie takich bydlęcych, które nożem zabijano; ale mają oni inne ołtarze, mają je w sercach ludzkich; inne kadzidła, w rozumach pojedynczych i w opinii publicznej; inne w ofiary, w uczynkach i w życiu całem dzisiejszych ludzi. Tam ich panowanie, ach, jakże daleko groźniejsze, sromotniejsze, boleśniejsze! I cóż z tego, że nie mają postaci zewnętrznych, nazwisk publicznych, że im ich jeszcze nie nadano? Niema imienia, ale jest rzecz. Znajdzie się imię, oh, znajdzie! I wtedy się pokaże, że bałwochwalstwo nowoczesne nie jest wcale uboższe od onego starożytnego, ani w rodzaju, ani w gatunku, ani w lica. I być nie może inaczej. Wszystko to bowiem i w jednym i drugim razie wylęga się z tej samej natury ludzkiej, jak robactwo z ciała. Proszę je liczyć i tyle go jest, na ile stać każdego ciała takiego. Lecz w naszym przypadku i tu i tam takie same ciało, taka sama natura ludzka, więc i taka sama jego zgnilizna.

Za mało przeto powiedzieliśmy, że się znajdzie imię, że się pokaże wtedy. Już dziś rzecz jasna i my sami możemy imiona nadawać, i ani się lękać będziemy, byśmy się pomylili. Więc już idźmy na spotkanie tych bogów fałszywych, już im zajrzyjmy w ich oblicza, już ich nazwijmy po nazwisku.

Jaka rzecz łatwa! Wiemy zgóry czego gdzie szukać.

Ale tu muszę wam przypomnieć com wam wtedy powiedział, co zresztą jest prawdą pospolitą i co dobrze wiecie: że trzy są składniki i trzy dziedziny natury ludzkiej: serce, rozum i wola. Serce, środek życia uczuciowego, rozum umysłowego, wola moralnego i uczynkowego. Według tego trzy są rodzaje onych bogów fałszywych, trzy lica tych samozwańców. — a one trzy dziedziny natury ludzkiej jakoby trzy świątynie, trzy rodzaje świątyń, w których zamieszkują. Tymi trzema rodzajami bogów są naprzód bogowie zmysłowi i cielesni; są

potem bogowie rozumowi i abstrakcyjni; są nareszcie bogowie osobowi i społeczni. Baczcie ile ich jest! Jedni od drugich sprośniejsi, niedorzeczniejsi, haniebniejsi, jadowitsi, morderczyszy! Zaraz ich poznamy. A jak poznamy, wtedy dopiero pocznie się rachunek sumienia, — i wtedy dopiero sami zobaczymy, czyśmy doprawdy w tego lub tamtego boga świątyni, temu lub tamtemu bałwanowi świętokradczych nie oddawali pokłonów.

Trzy tedy są rodzaje bogów, według tego i nam się trzy przedstawiają widoki. Dzisiaj pierwszy weźmiemy przed oczy.

Oto bogowie zmysłowi i cielesni, bogowie serca ludzkiego. Co za poczwary? Gdzie tam! wołają mi zewsząd ich ślepi czci-ciele; czy nie widzisz co za bóstwa? Co za wdzięki, jaka krasa, jaki urok! I nuż odbudowywać rozwaloną świątynię. Dawne cienie Olympu odżywają na nowo, świecą pięknoscią, mają blaskiem, i nęcą słodyczą! Niemądry, prawią, kto do nich nie biegnie!

To też biegną! Czy widzisz! Czy widzisz ten tłum ludzi? Niemal cały rodzaj ludzki, rzekłbyś, że wszyscy a wszyscy! biegną do wszystkich owych bogów. (Całe wychowanie, cała literatura jest jakoby książką do nabożeństwa na cześć tych bogów.)

Ale muszę się jaśniej tłómaczyć, bliżej się przypatrzeć.

Jak rozpoznać w tym tłumie wszystkie oblicza tych bogów? wszystkie różne rodzaje? tychże samych bogów cielesnych? bo i w nich jeszcze różne rodzaje, podrodzaje, różne gatunki, i w każdym jeszcze gatunku różne a różne lica! Jakże to wszystko rozpoznać?

Kiedy się wejdzie do watykańskich galeryi starożytności, trzeba iść z parę godzin, już nie wiem stać ile pomiędzy marmurowemi cudami sztuki, ale moralnemi potworami ducha, których kiedyś za bogów czczono. Ileż tam lic najrozmaitszych od bożeczka Redicula lub Momusa aż do bożyszcz Mitry lub Jowisza. Lecz trzebaby się w tem rozpatrzeć. Owóż rozumiem, że Panteon dzisiejszy jest w trójnasób, w czwórnasób obfitszy od tamtego, i że ktoby go chciał porządnie przepatrzeć, w drodzeby ustał i dzieła nie dokończył. To darmo, jest postępn! I chociaż z jednej strony nie przeczę dobrego postępu, z drugiej muszę przyznać, że postęp złego jest nierównie bujniejszy, a przedewszystkiem wybitniejszy i jaskrawszy. Więc co tu po-

czyć? Czyż już dla wielkiego głumu nie rozpoznać nie będziemy mogli? I moja praca, nie rozpoczęta jeszcze, już ma być zaniedbana?

Jest sposób; mamy klucz do rozpoznania wszystkiego. Tym kluczem jest jedno pytanie, i jak kto na nie odpowie takim się pokaże. I zobaczymy, że wszystkie te bogi zmysłowe i cielesne, według właściwości i przyrody swoich czcieli, gromadzą się w pewne kupy, z których każda jest jakoby jednym bogiem i może się nazwać jednym nazwiskiem.

Jakież tedy jest to pytanie i odpowiedź? I jakie te szczególne główne bożyszcza?

Najmilsi moi! Rzecz jest prosta, bardzo prosta. Przychodzę do takiego czciela lub kupy czcieli takich swoich bogów i pytam się: Dobrzy ludzie! o co wy waszego Boga prosicie? O co się modlicie? Znałem, prawda, i takich, co się nie modlą. Do takiego powiem: Przyjacielu, czego ty sobie w sercu twem życzysz od twojego Boga?

Na takie pytanie ani trzeba czekać odpowiedzi. Jak w owej komedyi starożytnej, jest gdzieś w Olympie studnia, przez którą wznoszą się wołania śmiertelnych do mniemanego Jowisza: a ten dość, że otworzy wleko tej studni i wszystko słyszy; tak i nam dowęć otworzyć usta na zapytanie a ucho na odpowiedź, a już zewsząd ryczałem się wznosi. Doczesnych, prawią, doczesnych rzeczy! Niech mamy co jeść, niech mamy co pić, niech mamy czem się odziewać, wylegać się wygodnie i używać tego żywota! Są między nimi pocziwe dusze, dobre jak to mówią serca. Nikomu nie złego, broń Boże! Nawet, jeśli bez swego uszczerbku, więc i służyć chętnie innym i co dobrego uczynić. Bo już nie chcę mówić o owych sprośnikach, co innego Boga nie znają prócz swego brzucha i ciała. *Quorum Deus venter est*. Których bogiem brzuch jest! Więc mówię o tych dobrych duszach, o tych pocziwych sercach.

O chrześcijaninie, który się modlisz do Boga, jak ci się zdaje prawdziwego, o rzeczy doczesne, tak na pierwszym miejscu, wyłącznie i bezwarunkowo, albo się nawet i nie modlisz, ale tych tylko życzasz, o nich tylko myślisz, im całe życie oddajesz, o chrześcijaninie z imienia nie z rzeczy, jakież to jest Bóg, do którego tak się modlisz? Jest to bóg pogański, bóg naturalny, bóg czysto ludzki! I ci, co się do niego tak

modłą jeszcze nie są chrześcijanie, jeszcze są poganami. Mówię zaś: bóg pogański, w liczbie pojedynczej, żeby wszystkich tych bogów pod jednym zamknąć nazwiskiem; bo tam ile namiętności, ile chuci tyle bogów.

To pierwsze bożyszczce cielesne, pierwszy rodzaj bogów zmysłowych. A jest jeszcze drugi i trzeci. Jest jeszcze bóg żydowski, jeszcze bóg muzułmański. Słówek o jednym i słówko o drugim.

Już się domyślacie jaki to bóg żydowski. Tylko, że mię tu może kto podchwycić i powie, że nie wolno, a przynajmniej nie wypada używać w znaczeniu pogardliwym imienia żydowskiego. O imię mi nie chodzi, ani też ludźmi nie gardzę bynajmniej, chociaż takie zatrzymanie nas na tem nazwisku wierutnie zdaje się dowodzić, że już świat dzisiejszy z przykra niemal cały wepchnięty jest do służby tego boga, którego chcieliśmy tem nazwiskiem odznaczyć. O nazwisko nam nie chodzi. Nazywał się ten bóg w pogaństwie Plutusem, ale wtedy jeszcze, i u tamtych pocziwych ludzi siedział gdzieś w kącie. Nie jaśniał na czele bogów, na górnym Olympie. Dzisiaj panuje na świecie. Pieniądz! Okrągły, błyszczący, brzęczący pieniądz, to mi bóg! Wszechmocny! Wszystkie drzwi przed nim otwarte, wszystkie twierdze się kruszą, wszystkie wstydy kapitulują, wszelka uczciwość ustępuje z placu, wszystkie sumienia zdają się na wolę, swawolę cudzą. Bóg iście wszechmocny! I co to on jeszcze ze światem uczyni! Więc powiedz duszo: czy ty u twego Boga nie prosisz o to bożyszczce, o pieniądz? Czy go przynajmniej nie życzysz? Mów sobie zdrowa, że ci potrzeba do życia. Jabym ci wtedy tego nie ganił, ale ja ci prawdę powiem: Choćbyś miała co ci potrzeba do życia, będziesz o więcej prosiła, i znowu o więcej, i znowu o więcej, bez końca. Duszo, nie zwódź siebie nadaremnie: Twój bóg niechrześcijański, twój bóg żydowski, i tyś sama taka. — Każda taka dusza musi się z Chrystusem spotkać, bo się kiedyś spotka z obowiązkiem, z długiem względem bliźniego, z prawem, ze sprawiedliwością, z wiarą, z przykazaniem Bożem, a więc z Chrystusem, — spotka się, i jeżeli w tem będzie jej interes, nie wzdygnie się, nie cofnie, nie obejrzy, nie zmarszczy brwi nawet, i jak Judasz sprzeda Chrystusa, choćby na krwawą śmierć, choćby za mniej niż za 30 srebrników.



I świat dziś tak wciąż sprzedaje Chrystusa. Kto ma oczy do widzenia, niechaj patrzy i widzi. Tylko ty duszo miej litość nad sobą samą i jeżeli pieniądzwowi służysz, tego się wždy ulęknij, że kiedyś będziesz musiała w twym gonieniu za pieniądzem spotkać się z Chrystusem, i jeżeli się wprzód nie obaczysz, sprzedasz go haniebnie.

A teraz, bracia moi, bóg muzułmański. Jest bogiem innego nabożeństwa. Znaie jego zakon. Zmysłowość, fantazyja, lenistwo, fatalizm; i znowu: gniew, zemsta, krew i zniszczenie. Oto w czterech słowach cały zakon muzułmański. To zakon ciała. To ciało, to serce ludzkie, ale w swojej przyrodzonej istocie, a więc w swojej dzikości. Z jednej strony rozuzdane na pociechę i na nasycanie się, z drugiej strony na odwet i pastwienie się. I to bożyszcze takie! Cały rodzaj takich bożyszczy! A potem cały tłum ich wyznawców; cała rzesza ludzi. Jacyż są oni? Oto ci wszyscy, którzy proszą Boga o zadowolenie swych namiętności, lub o pomszczenie ich krzywdy i obrazy. Ach nie, nie modlą się oni nigdy: Ojcze, odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom! A tem mniej się modlą: Nie wprowadź nas w pokuszenie, zbaw nas ode złego, ode złego naszych namiętności i naszej zepsutej natury; daj nam czystość, pokorę, wyrzeczenie się! Nie, tak się nie modlą. Bo też ich Bóg nie chrześcijański, i oni nie chrześcijanie, ale wierutne bisurmany.

Takie są rodzaje bogów cielesnych.

Zostają nam inne jeszcze, wiemy jakie, zobaczymy ich. Ale tymczasem widzieliśmy cielesnych, zmysłowych. A co? czy nie słusznie powiedział Paweł święty: „albowiem wiele jest bogów, i wiele panów“. I czy nie słusznie powiedziałem, że świat cały służy fałszywym bogom?

Najmilsi moi! Cóż powiem? Czyż mam wezwać do obejrzania się naokoło? Do przypatrzenia się? Do sprawdzenia? Ach, zdaje mi się, że i tego nie potrzeba. Już z góry wiemy, co się na tym świecie święci.

Ale co raczej? Wejrzyjmy do wnętrza: zaglądniijmy do duszy naszej. To nie tak łatwo, drodzy moi, być chrześcijaninem, prawdziwym chrześcijaninem; i nie tak łatwo przyjść do

poznania prawdziwego Boga, i do stosunków z Nim prawdziwych. Nad tem trzeba pracować, a my nie pracujemy.

Trzeba się podnieść nad naturę.

Trzeba się podnieść nad to życie doczesne, nad jego potrzeby, nad jego wygodę.

Przestać być poganinem.

Trzeba pogardzać mamoną tego świata, jego pychą i wystawą.

Przestać być żydem.

Trzeba poskromić swoje namiętności, okiełzać ciało, uprządkować serce.

Przestać być bisurmanem.

Trzeba zasmakować w rzeczach nadprzyrodzonych. Pragnąć dóbr nadziemskich. Wzdychać sercem do Boga i jego rozkoszy. Ukochać go całym sercem.

A potem kochać bliźniego.

Być chrześcijaninem.

Tak, tak, już czas przestać być poganinem, żydem, bisurmanem; czas zostać chrześcijaninem.

A dla nas tembardziej. Bóg nas ciągnie, woła, ciśnie zewsząd. Dla nas czas, moi najmilsi.

O duszo chrześcijańska! Przypomnij twoje młode lata, przypomnij sobie, żeś ochrzczona, że twoje serce wiecznym ślubem poświęcone Bogu, tyś się wtedy wyrzekła razem z szatanem i ze światem, wyrzekłaś się i ciała twego, ty nie możesz służyć tym bogom cielesnym, nie wolno tobie. Podnieś się mężnie z tych kałuży i grzęsawisk i topieli, niegodnych ciebie, wznies się na czystą, jasną, swobodną górę zakonu Bożego. Odetchnij tam wolną pierśią świeżem powietrzem niebieskiem; uczyni na nowo sojusz z Bogiem chrześcijańskim, poznaj Go lepiej i odtąd już sama chrześcijańska słuź tylko Jemu jednemu, twojemu dawnemu, prawdziwemu, chrześcijańskiemu Bogu.

## KAZANIE XXXVI. O bogach rozumowych.

(W Krakowie 1868.)

„Albowiem choć są które bogi zowią,  
bądź w niebie, bądź na ziemi (jakoż  
jest wiele bogów, i wiele panów),  
wszakże nasz jeden Bóg i jeden Pan“.  
(1 Kor. VIII 5, 6.)

Przeszłego razu widzieliśmy bogów zmysłowych, sercowych, cielesnych.

Tą razą zobaczymy myślnych, rozumowych, duchowych.

Będą i oni na obraz i podobieństwo ludzkie. Bo jak się wyjdzie z pod posłuszeństwa Kościoła, a tem samem Boga, wpada się we własne koło, tam motorem jest własny dowcip, umiejętność, kaprys; narzędziem własne ręce i własna robota; a ostatnim wyrobem karykatura siebie samych. Kto nie bierze Boga od Boga samego, tj. z Objawienia, z Kościoła, ten go sobie zwykle tworzy i wydmuchiwa z szumowin własnego rozczynu i własnej fermentacyi. Z tą tylko różnicą, w tym naszym przypadku dzisiejszym, że już ta fermentacya i rozczyń nie będzie z serca i z uczucia, jak pierwszą razą, ale z myśli i z całej jej fantazyi, z rozumu i z całego jego bezrozumu.

A więc popatrzmy na tych nowych.

Trzy rodzaje były bogów cielesnych: bóg pogański, bóg żydowski, bóg bisurmański.

Trzy zarówno będą rodzaje bogów rozumowych i duchowych: pierwszy rodzaj, a który także bardzo ich wiele liczy, cały można nazwać jednym nazwiskiem, jest to bóg protestantów; drugi podobnież liczny rodzaj będzie bóg filozofów; a trzeci, darujcie, bóg głupców, to jest wszystkich zaprzańców, ateuszów, desperatów; dobrze mówię: bóg głupców! Piękni mi bogowie, a jak mądrzy ich czciciele!

Boże prawdziwy! O czem to mi przychodzi tu mówić? O jakim to Twojem pohańbieniu, zbluźnieniu, zbezczeszczeniu! A jednak będę mówił. Bo ta sama nieczść Twoja posłuży do większej czi Twojej, i z głębi niemądrości ludzkiej i całej jej ciemni na tym wyższym szczycie pokaże się mądrość Twoja

i tem większa jasność będzie Twojego oblicza. Błogosław mię tylko, o Boże prawdziwy, o Ty Chryste Jezu, i samem techniem ust Twoich, zabij tych wszystkich bogów nędzników, marnych samowładców tak daremnie kuszących się urość na przeciwników Twoich. O Chryste Panie, oni niech przepadną, a odczarowani czciciele niech poznają, że niemasz Boga krom Ciebie! żeś ty jeden Bóg prawdziwy.

Już tedy przystąpcie, bogowie ducha ludzkiego; będziemy was oglądali jednego po drugim. A jeno nie myślcie sobie, byście nas mogli oszukać. Tu żadne kuglarstwo nie pomoże: znamy się na waszych sztukach i wiemy wszystkie wasze sekreta.

I tą znajomością chcę się z wami wprzód podzielić, najmilsi. Pamiętacie, przeszłą razą daliśmy wam poznać podobnież ogólne prawidło, służące do poznania bogów cielesnych. Pamiętacie: pytaliśmy każdego z ich czcicieli o co się modli do swojego boga. I było to zupełnie na dobie. Bogowie cielesni mają cielesnych czcicieli; tacy ludzie jacy bogowie. Otóż cielesni ludzie mając żądze, pragnienia; a więc prośby i szukania; a więc modlitwy, jeśli do Boga. Więc dosyć było, ale zarazem i konieczną rzeczą wiedzieć modlitwy ludzkie, aby poznać postacie boskie. Dzisiaj zupełnie co innego. Rozumowi ludzie, o ile rozumowi, nie mają, nie powinni mieć żądz i pragnień; u nich wszystko powinno być ścisłe, logiczne, matematyczne, a więc tacy bogowie i taki z nimi stosunek, niema tem samem tu miejsca dla prośb i modlitwy. Wam się to zdaje dziwaetwem może, ale ja głoszę tylko zakon natury ludzkiej, rozumie się w jej rozdarciu; albowiem poza prawdą katolicką wszystko na końcu jest rozdarciem samejże natury ludzkiej. Więc głoszę zakon natury ludzkiej i śmiało twierdzę, że człowiek stojący z samym tylko rozumem swoim przeciwko objawieniu Bożemu wobec tej zatrważającej zagadki: co to jest Bóg? rozwiąże ją w ten sposób, że dla serea miejsca nie będzie, a tem samem dla modlitwy. Bóg rozumu będzie sam rozumem, będzie ścisłą logiką, nieuchronną koniecznością, matematycznym przeznaczeniem, alboliteż, przez odwrotny skok myśli, nierozumnym przypadkiem, błędnym trafem; w jednym i w drugim razie siedzi na swoim tronie jak ślepe i nieubłagane fatum, i byłby grzech przeciw samemu rozumowi o cokolwiek prosić takiego Boga.



A więc miejcie za pewne, najmilsi moi, czciciele bogów rozumowych nie modlą się do nich. To pewna, że się nie modlą. Różnią się tylko przyczyny dla czego się nie modlą. I właśnie w tej różnicy przyczyn jest różnica samych tych z pojęć ludzkich wyrosłych bogów; tak, że sekret którym się chciałem z wami podzielić jest ten, a nie inny, że jak wprzód pytałyśmy każdego z czcicieli o co się modli? tak teraz trzeba spytać: dlaczego on się nie modli do swego boga? Z odpowiedzi poznamy rodzaje bogów, ale zarazem i to poznamy, że każdy jest bóg fałszywy.

Pójdźże tu sam pierwszy bogu z tej czeredy, ty jakiś boże protestantów, a wy dobrzy ludzie powiedzcie, dlaczego nie modlicie się do waszego boga? Jak to nie modlimy się? wołają do nas oburzeni. W zborach naszych nic innego nie czynimy jeno słuchamy słowa Bożego i modlimy się, modlimy się bez ustanku. O ludzie najlepsi, w tem też największa bieda, że myślicie, że się modlicie, a wy właśnie modląc się przeczycie własnej wierze. Bo poco się modlicie? Albożeście z góry nie powiedzieli, że Bóg robi to, co robi? Co postanowił to uczyni, czy się modlisz, czy się nie modlisz? Wszak sami mówicie, że tylko wierzyć potrzeba: tylko jedna wiara usprawiedliwia, jedna tylko wiara zbawia. Toć wasz prorok powiedział: kradnij, zabijaj, cudzołóż; — ale wierz mocno, a zbawion będziesz. — Toć oni sami powiedzieli, że wolna wola człowieka to koń, którego Bóg dosiada i pędzi go gdzie chce, gdzie przeznaczył. Ślepa wiara i fatalne przeznaczenie, to wasze dogmata, — godne, godne boga rozumowego, którego ojcem był ludzki rozum. Z taką wiarą, z takim dogmatem, co ty czynisz człowiecze, który się modlisz? Chyba śmiesz się z boga twego i z samej wiary twojej, i nie wierzysz w tę samą wiarę twoją, i w tego samego twojego boga. Ach, ja wiem co to znaczy, kiedy się modlisz, to resztki starej, katolickiej prawdy, które jeszcze robią po swojemu; to zarody nieumorzone katolickiego rozumu, dopominające się o swe prawa do życia; to potrzeba natury ludzkiej, odrodzonej we Chrście Świątym; boś przecie ochrzczony i Chrystus wszedł do twej duszy i tam wycisnął swą pieczęć, zaród życia prawdziwego, katolickiego; to się on biedny dopomina o życie, chce odetchnąć. Ale ty człowiecze, jeśli chcesz pozostać protestantem, trzeba, żebyś to wszystko czempredzej

zadławił, i pozostał z twoją samotną wiarą i z twoim protestanckim bogiem, który raz postanowił, a co postanowił, to mimo wszystkie modlitwy niezawodnie uczyni; inaczej nie byłby tym bogiem, którym jest: bogiem rozumu lub kaprysu, ale bez serca i bez miłosierdzia.

Najmilsi moi, nie wchodzę tu w szczegółowy dogmat Lutra lub Kalwina. Co mi do nich dzisiaj? Mówię tu o wszystkich bogach rozumowych, wchodzę w ten zakon rozumu ludzkiego, który się ongi zemścił na Lutrze i Kalwinie, i ninie mści się na wszystkich im podobnych, ten zakon, który kiedy człowiek odrzuci katolicki dogmat, katolickiego Boga, on mu każe szukać i tworzyć fałszywych bogów, i to pod tym fatalnym, jakby szyderczym warunkiem, że kiedy, jak onegdaj widzieliśmy, swoim sercem tych bogów tworzy, czyni ich bez rozumu, a kiedy, jak dzisiaj, tworzy ich rozumem, czyni ich bez serca.

A więc bez serca jest bóg protestancki, bóg wszelki rozumowy, i musi być bez serca. To jego główna cecha, to jego czarne piętno, ale zarazem ten jasny dowód, przyznajcie, że to bóg fałszywy.

Rozprawiliśmy się w dwóch słowach z bogiem protestantów. Jednakże nie tak łatwa z nim sprawa i nie chcemy w tem zwodzić siebie samych. W teorii łatwo wziąć go na widła krytyki, w praktyce acytrudno wykorzenieć go z raz podbitych przekonań. A jest wiele gatunków tego rodzaju bogów, takich ich czcicieli, wiele gatunków protestantów; nie wszyscy nawet noszą imię swego cechu; niemało nosi miano katolików. Protestantem jest każdy, kto sobie tworzy osobistego wprawdzie boga, ale według swego rozumu i wyobraźni. Boga trzeba koniecznie wystawić sobie, wyobrazić i wierzyć weń, w takiego, jaki wiara podaje. Domięszaj cokolwiek swego, a już jest bóg protestancki. Wyobraź sobie np. że Bóg jest tylko łaskawy, pobłażliwy, z którym brat za brat żyć można, albo li też, że jest tylko sprawiedliwy i surowy, a nie zrównoważ. Jego tych przymiotów między sobą, jakto czyni katolickie objawienie, nie zachowaj tej jego świętej miary i harmonii, a już uczyniłeś fałszywego boga, a ten fałszywy bóg jest właśnie w tym rodzaju, jak protestancki. Duszo ludzka, która wszystko sobie pozwalasz i rachujesz na pobłażliwość twojego Boga; ach, jak mi żal ciebie, żeś sobie takiego utworzyła boga, podobnego do

siebie: boga kamrata! A ty druga duszo, pełna obawy, trwożna, niespokojna, skrupułowatą oddana, a może zrozpaczona, — duszo biedna, ty nie znasz prawdziwego Boga, kłaniasz się, a raczej drżysz przed fałszywym bogiem, któregoś sama sobie zrobiła. Biedna duszo! jak mi żal ciebie; żal podwójny: i że sama siebie tak męczysz, i że Boga tak krzywdzisz. To nie nie pomoże, że Boga niby szlachetnie usprawiedliwiasz w jego surowości, a siebie oskarżasz. Właśnie w tem twoje nieszczęście, że nie widzisz twojej prawdziwej winy, a w Bogu fałsz widzisz i z twego własnego fałszu, niby szlachetna, a iście dumna, Boga usprawiedliwiasz. Szukaj lepiej twojej własnej winy, a znajdziesz ją gdzieindziej; a tymczasem módl się, módl się, abyś Boga w prawdzie poznała. To ty także jesteś protestanckim duchem i twój bóg taki samy, ty, który w Boga wszechmocnego wierzysz, a do Boga się nie modlisz. Wierzysz? a nie modlisz się? Dlaczego się nie modlisz? Odpowiem za ciebie i nie omylę się. Albo dlatego, że się nie chcesz modlić o dobre i święte rzeczy, i wtedy mówiłem o tobie już zeszłym razem, kiedy mówiłem o cielesnych bogach; albo jeżeli ci idzie o dobre rzeczy, tedy nie modlisz się dlatego, że nie wierzysz, aby cię Bóg wysłuchał. Nie wierzysz w twego boga, więc wierz mi, to iście bóg protestancki. Ach ilu, ilu katolików takiego tylko znają boga. Wy wszyscy co się nie modlicie — a zrozumiejcie mnie — co się nie modlicie o przebaczenie za grzechy, o wasze zbawienie i o wszystkie doń środki, o dary duchowne, o łaski boże, o cnoty chrześcijańskie, wy wszyscy — darujcie mi — jeśliście nie poganie, żydowie, bisurmanie, tedyście koniecznie protestanci, iści protestanci, i wasz bóg, on bóg protestancki: bez opatrności, bez łaski, bez miłosierdzia i bez wewnętrznosci, bez serca.

Bądź mi zdrowy i idź sobie z pokojem protestancki boże fałszywy; teraz witam innego. Ciebie witam, boże jakiś filozofów! A to znowu co zacz? ten bóg filozofów? Ile to jego postaci i ile nazwisk, ile dziwołagów i ile widm! Lecz my znowu do czcicieli: powiedzcie mądrzy ludzie, czy wy się modlicie do waszych bogów? Odpowiadają jednogłośnie: A kto widział taki nierozum? My na to: Bezrozum? Powiedzcie tedy tej waszej mądrości jaka przyczyna? Dlaczego się nie modlicie? Tu dopiero ucha trza nam nadstawić. Wielkie rzeczy usłyszemy.

Każdy z filozofów odmaluje nam swojego boga, a każdy innego; oto bóg idealizmu, oto panteizmu, oto naturalizmu, oto materyalizmu, oto np. rogaty bóg dualizmu, oto inne i coraz inne bogi kulawe, chrome, ślepe, głuche, trędowate, paraliżem tknięte, wszystko ideały mądrości ludzkiej, wszystko jej niestworzone, czyli raczej stworzone bogi, różnowzore, różnobarwne, różnolice. I czciciele ich tak samo: we wszystkim się różnią podobnie, w jednym się tylko zgadzają, że do tych ich bogów modlić się nie trza! Ale dlaczego? dlaczego? Głęboka, mądra, filozoficzna przyczyna; nie odrazu byśmy ją zgadli. Oto ta, że każdy z tych bogów, w osobności każdy taki bóg filozoficzny, jak się tam nazywa, czy idea, czy natura, czy jedno-wszystko, czy wiele-wszystko, czy to samo, czy co innego, bo to wszystko bogowie, każdy, mówię, nie jest właściwie bogiem, ale jest bóstwem. Zrozumiemy się: nie jest bogiem osobistym, któryby o sobie mówił ja, tak jak Bóg nasz: Ja jestem, który jestem, ale jest bóstwem rodzaju niejakkiego; nie ten, ale to; jest coś, jest jak to o nim mówią najmędrsi z filozofów Braumini: Aum, Aum, Da, Da! Owo, Owo, To, To! Taki jest bóg z filozoficznych najfilozoficzniejszy. To mi bóg! I w tem się różni bóg filozoficzny od boga protestanckiego. Ten ostatni był osobisty, tamten jest nieosobisty. Ta rdzenna różnica, linia demarkacyjna między filozofią a protestantyzmem. A więc nie można się modlić.

Bóg nieosobisty! To mi to bóg! A wiecie co z nim czyni filozof? Dla filozofa jestto bóstwo do wzięcia; rzecz prosta! ono niema pana, samo dla siebie nie jest panem; więc jest do wzięcia. Takie bóstwo filozoficzne maluje się jako istność najwyższa, najwyższy rozum, siła wszechmocna; ale nie Osobą, nie jest Panem niczym ani swym własnym. Więc filozof ma je opanować, wsiąść na nie jak na konia, na tę nową klacz Mahometa, i polecieć na niej do takiego nieba, do jakiego mu się podoba. Szczęśliwej drogi! Być może, że mówię językiem ironicznym, ale kto w nauce filozofii ludzkiej umiał się dobrać aż do jej głębi, ten wie, że ja mu w tych jaskrawych wyrazach dokładnie i bardzo dokładnie i umiejętnie pokazuję samą głęb nauki niekatolickiej filozofii o tem, co bóstwo i co bóg? To nie jest osoba, to nie jest żadna istota ani męskiego ani żeńskiego rodzaju, to jest najzupełniejsza niejako rodzaju nijakosć.



I co za dziw teraz, że się doń nie modli filozof. Przeciwnie, to bóstwo powinno się modlić do filozofa i prosić, aby je z łaski swojej uczynił nareszcie bogiem, rozumie się w osobie samegoż filozofa! I teraz widzicie wszyscy i zapewne dziwujecie się, jaki to bóg filozofów. Ale temsamem widzicie, że fałszywy.

O bracie mój jeden i drugi, który filozofem nie jesteś, a do Boga się nie modlisz, dlaczego się nie modlisz? Czy i twój Bóg byłby także filozoficzny? Ach, żałowałbym cię bardzo i ubolewał nie mało nad tobą; a iście słusznie; bo i filozofem nie jesteś, i masz pretensję do filozoficznego boga. Dość, że się nie modlisz, więc myślisz o twoim bogu tak zupełnie, jak gdybyś był filozofem: myślisz, że nie widzi i nie patrzy na ciebie, myślisz, że nie słyszy i nie może cię wysłuchać, myślisz, że cię nie rozumie i nie myśli o tobie, — i ty tedy o nim nie myślisz, nie udajesz się do niego, nie padasz przed nim i nie modlisz się. Czynisz tak zupełnie, jak gdybyś był filozofem! O mój filozofie niedorostku, przestań tak czynić, to ci nie przystało, i tyś w gruncie lepszy niż się z wierzchu pokazujesz. Zostaw nierozum całym filozofom, to ich własność i prawo; a ty uratuj to półrozumu, które ci zostało, wracając do całego rozumu, tj. do prawdziwego Boga, a tu szczególnie: do modlitwy! Módl się, a zniknie ta czarna z mora, która już zaczęła cię dławić, i ty poznasz, a tobie się pokaże Bóg prawdziwy i jedyny.

A teraz na końcu bóg głupców. Dlaczego bóg głupców? Tak ich nazywa sam Bóg prawdziwy: *Dixit insipiens in corde suo: Non est Deus*. Rzekł bezrozumny w sercu swoim: Nie masz Boga (Psal. XIII, 1.) Nie masz Boga! Co za dziwne słowo! Na jego odgłos już z góry odpowiedziało niebo i zawołało: *Insiapiens* — bezrozumny! Na jego odgłos zadrżał świat i całym swoim rozumem odpowiedział: *Insiapiens* — bezrozumny! Na jego odgłos piekło całe w głębinach swoich zaśmiało się i całą rzeczywistością swojej zgrozy odpowiedziało chórem: *Insiapiens, insiapiens!* Bezrozumny, bezrozumny! Po takim wyroku i nieba, i ziemi, i piekła, już niema co i mówić o tem i dowodzić że to bezrozum nad wszelki bezrozum, że głupstwo nad wszelkie głupstwo. A jednak są tacy, są, mówię, tu na ziemi, bo tylko tu na ziemi przez krótką chwilę może ten bezrozum powtarzać sam do siebie ten swój

bezrozum: są tedy tacy, którzy się odważają na takie szaleństwo. Biedacy! Nieszczęśliwi! Nędzniczki! To jakby mówili: Niema tego, który jest! Nawet tego co jest, niema!

Nie inaczej. Albowiem Bóg albo przynajmniej bóstwo jest ten, który jest, albo przynajmniej jest to, co jest. Kto tedy mówi, że Boga niema ani nawet bóstwa żadnego, ten wietrutnie prawi, że niema tego, który jest, że tego nawet co jest, niema. Ale tem samem twierdzi, że jego rozum nie jest rozumem, tem samem fatalnie swój wyrok ryje na własnem czole: Szaleniec! isty szaleniec! Chciał Boga zadusić, zdławił tylko to, co w nim samym było boskiego: swój rozum. A jak to uczynił, jak tę zbrodnię na samym sobie popełnił, ten samobójca duchowy, co wždy potem czyni? co? To, co głupcy czynią: śmieje się! że się jemu rozum do góry przewrócił, więc mu się zdaje, że wszystko przewrócone do góry, i że ze wszystkiego śmiać się należy. Uzbraja się w dowcip, w dowcip, tę pleśń rozumu, ten kwiatek zgniły, który się z rozumu wylęga, gdy ten jest trupem, — mówię o dowcipie, który jest dowcipem tylko i który wtedy z samego rozumu żarty sobie stroi; uzbraja się w dowcip i tą szabelką krzywą — dziecko szalone! macha na prawo i na lewo krzyżową sztuką, i cieszy się całem sercem, że wszystko kaleczy. Odważył się na Boga samego, więc się puszcza na wszystko inne: na Chrystusa, na Kościół, na świętych bożych, na obrządki kościelne, na księży: oj, biedni oni! na małżeństwo, na obyczaj, na obowiązek, na sumienie. Oh, o to ostatnie najwięcej mu chodzi, bo pono mimo całego śmiechu, nie dał sobie z niem rady, jeszcze go nie zaśmiał, więc się tem więcej śmieje: śmieje się i cicho i głośno, i wesoło i kwaśno, słodko i gorzko, na wszystkie tony i na wszystkie takty, śmieje się i śmieje, całe życie jego stało się dowcipem i śmiechem, i on sam takim dowcipem chodzącym i śmiejącym się. Czy widziałeś kiedy taką machinę do śmiechu, bez rozumu, a z dowcipem? Siada do sądu, do sądu o wszystkim mówię, a szczególnie co święte, o Bogu i o sprawach Jego; siada do sądu, sędzi, krytykuje, drwi i śmieje się! Co za smutny i bolesny, ale zarazem, co za ekliwy widok! Czy widziałeś? Uciekaj! Nie już dlatego, że to zbrodnia i zgroza, ale dlatego, że to bezrozum, i to jeszcze w swojej najobrzydliwszej postaci: z wykrzywionemi ustami do śmiechu! Uciekaj! toć powinienes

ratować godność swego własnego rozumu i z bezrozumem w podłacy dla niego rozhovor nie wchodzić. Zostaw go sobie samemu; zresztą kiedyś on sam zostawi, jak nie będzie miał przed kim śmiać się, nie będzie miał i z czego; zostanie sam dla siebie, — wtedy będzie się śmiał przed sobą, i okrutnie, z siebie samego; wtedy przyjdzie ostatni, śmiertelny śmiech, śmiech rozpaczy, śmiech szatana, i tak jak szatan, śmiawszy się z Boga i z ludzi, będzie musiał tym ostatnim, okrutnym śmiechem, śmiechem rozpaczy śmiać się nad sobą samym przez wieczność całą. Śmiech jest to żądło i jad skorpiona. Kiedy sam jest wzięty w ogniste koło, na siebie je obraca i pod nim ginie.

O wy wszyscy co się z rzeczy świętych śmiejecie, nie wiecie do jakiejście się w dali gry śmiertelnej! nie wiecie jakie karty fatalne wzięliście do rąk! Wam się zdaje, że jeszcze Boga nie przeczycie, że tylko karcicie, co zbyteczne, wam się zdaje, że macie rację, a co większa, że macie rozum, i to jeszcze sławny, wierutny rozum; a ja wam powiadam naprzód, że to nie rozum, ale lichy dowcip, funt kłaków, który się pali, i popiołu po nim nie będzie; a następnie wam powiadam naprzód, że wasz śmiech i Boga dosięga, i owszem wprost Boga i tylko Boga dosięga, bo się śmiejecie ze spraw Jego, z tego co ustanowiła Jego mądrość i Jego rozum. Wara! wasz rozum w tej grze przepadnie, już przepadł i jest bezrozumem; a jeśli niebaczny zechce śmiać się przez życie całe, czeka go na końcu ów śmiech śmiertelny, i wieczny śmiech, o którym mówiłem. To darmo, z Bogiem igrać nie można, ani też Boga prawdziwego nie zastąpi żaden bóg fałszywy; tem mniej tedy bezrozum i śmiech.

Skończyłem o tem. Jeszcze mam słówko jedno, i proszę o chwilę uwagi.

A więc teraz, bracie mój, który się nie modlisz: czy wiesz i widzisz jakie dno tej przepaści w którą się rzucasz odstępując od modlitwy? Ja ci powiem, byś się darmo i długo nie uwodził: będziesz spadał od jednego fałszywego wyobrażenia o Bogu do drugiego jeszcze fałszywszego, aby się usprawiedliwić, że się nie modlisz i tak spadając od jednego do drugiego nie zatrzymasz się aż na tem dnie bez rozumu i szaleństwa, które woła: Niema Boga!

Więc bierz naukę: Tylko ten Bóg, do którego się człowiek modli, tylko ten prawdziwy i święty, do którego się modli o prawdziwe i święte dobre dary, łaski, cnoty. Oto nasz Bóg! On jeden prawdziwy, żyjący, osobisty: ma oczy i widzi, ma serce i słyszy, ma rozum i rozumie, ma wolę i rozkazuje, i czyni. Ale nasz Bóg jest dobry, wyrozumiały, łaskawy, miłosierny, nasz Bóg jest miłością. Co za słowo! Jest miłością nieskończoną, jest Ojcem, matką, bratem, przyjacielem, miłośnikiem, Bogiem miłośnikiem; o, nasz Bóg jest doprawdy Bogiem. Tylko jednego od nas żąda, abyśmy się modlili i czynili wolę Jego. „Trzeba, prawi, zawsze się modlić i nigdy nie ustawać.“ „Proście, a będzie wam dano, szukajcie a znajdziecie, kołaczcie a będzie wam otwórzono.“

A ty, bracie najdroższy, módl się, bo tylko przez modlitwę to poznasz, uwolnisz się od fałszywych bogów i znajdziesz prawdziwego Boga. A jak raz go znajdziesz na dobre, to już Go nigdy nie stracisz. O bracie, módl się, módl się, módl się!

## KAZANIE XXXVII.

### O bogach osobistych.

(W Krakowie, 1868 r.)

„A to jest zwycięstwo, które zwycięża świat: wiara nasza“ (I Jan. V, 4.)

Mówiliśmy o cielesnych bogach. Ich tworzyło serce ludzkie. To też byli wszyscy bez rozumu.

Mówiliśmy o duchowych. Ich tworzył rozum ludzki. To też byli bez serca.

W każdym razie i jedni i drudzy byli nieżywymi bogami, pracą ludzką czynionymi, rękoma ludzkimi.

I klórym człowiek służył.

Niewola człowieka; jak sroga!

Rzecz, bałwan nieżyjący był panem; człowiek żyjący jego sługą, i niewolnikiem.

Ale teraz co innego. Ten trzeci rodzaj bogów (o którym dziś mowa) odmienny zupełnie. Tu nie rzecz, nie bałwan; ale



sam człowiek stanie się bogiem. W ten lub inny sposób, w tej lub innej postaci zatwierdzi się bogiem. Każe innym uznać siebie za Boga, albowiem znajdzie i na to sposób, zacznie jak Bóg jaki panować nad ludźmi.

Pierwszym takim bogiem, przed historią ludzką był szatan. On był pierwszą osobą, która przeciwko Bogu osobistemu postawiła się jako przeciwny samobóg. Ale znaleźli się wreszcie i ludzie, co tak samo stanęli, i o tych chcemy mówić, o tych rodzonych braciach szatana. Trudna z nimi sprawa: bo twardzi i mszczą się, a umieją się mścić. Lecz ich wściekłości nie lękamy się, a na ich upór, mamy obosieczny i ognisty miecz: słowo Boże, on święty miecz Archanioła. I z Archaniołem wołając: Mi-ka-el? Kto jako Bóg? zstępujemy bezpiecznie do rozprawy, do przegnięcia precz z nieba tych ostatnich bogów fałszywych. Bóg prawdziwy z nami: Kto przeciwko nam?

Poprośmy tylko o łaskę przez przyczynę N. Panny. Zdrówas Maryo!

---

W miarę jak w historii, t. j. w życiu rodzaju ludzkiego rozwijały się następstwa grzechu pierworodnego, rosło także fałszywe pojęcie o bóstwie, a wskutek tego w ciągłym postępie mnożyli się fałszywi bogowie. Człowiek nie od razu odważył się na wszystko, nie od razu postawił siebie, osobę swoją, na miejscu Boga; przez długi czas dość mu było, że miał prawo robić bogów, i że bogowie zależeli od jego łaski, i używał szczerze swego przywileju. Ale wszystko ma swoją logikę, i musi na końcu tej logiki posłuchać. Logiką w tym razie było, że kto tworzy bogów, ten daleko słuszniej sam już jest bogiem. Ta prawda logiczna wzięła nareszcie górę nad drżeniem serca i nad głosem sumienia; i pogaństwo starożytne ze swoim bałwochwalstwem przyszło nareszcie do takich bogów osobistych. Powoli ustępować zaczęli Lary i Penaty, bogowie majorum et minorum Gentium, przestano się kłaniać bałwanom nieżywym, zaczęto stawiać świątynie żywym Cezarom, a nawet ich żonom, a nareszcie ich nierządnicom. Tak skończyło starożytne; nowożytne bałwochwalstwo dziś tak samo skończy. Ustąpią nieżywi bogowie serca; materya, pieniądz, ciało; ustąpią nieżywi bogowie rozumu: fortuna, idea, nicestwo; ustąpią i dadzą miejsce onym ostatnim, i wnet

się wciela, — co mówię? — już się dawno wcielają w żywe postacie ludzkie ci bogowie osobiści i ci jedni na końcu panować będą.

Do tego rozwiązywania kroczymy niepowstrzymanym i szybkim pochodem.

To wszystko przepowiedział nam od początku chrześcijaństwa Paweł święty. Już za niego mówiono, że koniec świata się zbliża. On poskramia obawy i pisze wyrocznie tak szczególnie na dzisiejsze czasy przydatną. „Niech was, prawi, nikt nie zwodzi, albowiem póki nie przyjdzie odstępstwo, wprzód (tem odstępstwem jest rozdzielenie się państwa od Kościoła w XVII. wieku) i nie będzie objawiony człowiek grzechu, syn zagubienia, który się sprzeciwia i wynosi nad wszystko, co się nazywa Bóg i co jest czczonem; tak, że w świątyni Bożej usiedzie, okazują się jakoby był Bogiem... wtedy objawi się ów bezbożnik i t. d.“ (2 Tes. II, 3, 4.)

Więc macie całą rzecz przepowiedzianą i opisaną od początku. My na jej rozwijanie się patrzymy już od lat 200 lub 300, od owej chwili w połowie XVII. wieku, kiedy jawnie, stanowczo, i aktem publicznym, dokonany został rozbrat między państwem a Kościołem.

Ale nam się trzeba bliżej w tej całej rzeczy rozpatrzyć i we wszystkich tych bogów utopić wzrok badawczy.

Proszę ze mną na to widowisko. Idźmy z całą powagą ducha, w milczeniu przygotowani na ten widok zgrozy; ale zarazem idźmy z szczerą gorliwością o cześć Boga naszego, z tem przekonaniem, że to o Niego samego idzie i że za Niego czynić będziemy.

Mamy ich przed sobą, tych bogów osobistych. Po czemże ich rozpoznamy jednych od drugich?

Tu już nie będziemy ich pytać, jak pierwiej, o co się modlą? ani też nawet, dlaczego się nie modlą? Bogami są, więc się nie modlą; to do nich mają się modlić ludzie, a nie oni do jakiegoś innego boga. Jakież tedy prawidło, jakie kryterium do ich rozpoznania? A właśnie to, a nie inne: Spytały ich dlaczego chcą, aby się inni ludzie do nich modlili, dlaczego i o co? Alboliteż odwrotnie postawimy pytanie i zagadniemy ich: W imię czego panujecie nad innymi ludźmi, stawiacie się jako ich bogowie?

Sama natura ludzka odpowie wam natychmiast z głębin swoich i powie każdego z tych bogów właściwość i charakter, nazwie każdego po imieniu.

Powie, że jedni panują przez wyobraźnię, przez fantazyę, przez uczucie działając na wolę innych, i podbijając pod swoją niewolę i potem rządząc.

Powie, że drudzy działają na wolę przez rozum, przez racjonalność, i tak narzucają swoje prawo i zakon, i panują i rządzą.

Powie nareszcie, że trzeci działają na wolę przez siłę i narzucają swoją wolę i swoje ja, i jeśli mocniejsi tedy tak panują i tak rządzą.

Otóż mamy i wszystko, i teraz możemy ich nazwać wszystkich po nazwisku. — Straszno na to usta otworzyć; ale uczynię.

Pierwsi są fanatycy i bogowie ludzi sfanatyzowanych.

Drudzy są politycy i bogowie ludzi politykujących.

Trzeci są szatany tutejsi, ziemscy szatani, są szatani i bogowie potępieńców! Słyszeliście?

Ale już mamy serce na to i odwagę. Idziemy oglądać ich jednych po drugich.

1-e. Oto pierwsi. Nazwaliśmy ich fanatykami i fanatyzującymi. Panują przez fantazyę i uczucie, ale nad wolami, nad osobami.

Co do fanatyzowania w tem niema wątpliwości. Czyście nie widzieli takich fanatystów i fanatyków? Porywają wolę za sobą, popychają naprzód, pędzą gdzie się im podoba, strącając choćby do przepaści, jak ów starzec z góry swoich Assasinów. Więc pewno, że fanatyzują. Ale czy sami są podobnie zfanatyzowani? O, zgoła nie! i kiedy ich nazywamy fanatykami, to nie w znaczeniu biernem, jedno w czynnem, powinniśmy raczej zwać fanatystami; to ma znaczyć, że oni innych wprowadzają w fanatyzm, że mają sztukę i w tej sztuce sekret, jak ludzi zfanatyzować, iści magowie, umiejący wpędzić ludzi w swoje zaczarowane koło.

Mieliśmy niedawnemi czasy, ach i mamy jeszcze między nami, smutny tej rzeczy przykład. My sami, choć z innej kazalnicy, zmuszeni byliśmy podnosić głos prawdy, głos prawdziwego Boga przeciwko takim fanatykom i ich fanatyzującemu bożkowi. I przecz nam tu czynić tajemnicę z ich właściwego nazwiska? To są tak nazwani Towiańczycy. Imię ich mistrza

zostało zapisane w katalogu imion potępionych przez Kościół, razem z głównymi dokumentami ich wiary. Nie wnoszę tedy tu na kazalnicę mojego osobistego zdania, ani wyroku z mej własnej powagi; jakkolwiek i sam walczyłem z tym potworem fałszywej nauki; owszem pierwszy akt mego urzędu kapłańskiego było jego potępienie doktrynalne, temu przeszło ćwierć wieku, wtedy, z początku, rozumie się, na własną odpowiedzialność. Lecz rzecz była jasna, a teraz Kościół wszelką wątpliwość usunął. Fałszywą tedy nauka, ale tu jeszcze nie tyle o naukę chodzi, jak o ten fanatyzm, jaką ona dla swego mistrza wpaja. I właśnie dla tego biorę ją za przykład. Tam mistrz jest wprost nazwany, — zgroza powiedzieć, — tem, czem się Chrystus nazwał: prawdą, drogą, żywotem; tam mistrz jest przedstawiony jako posłannik, jako Mesjasz Boży, ale wyższy od Chrystusa, jak Chrystus wyższy od Mojżesza; tam on sam siebie wcale nie dwuznacznie stawia za Słowo Boże, za Boga; i jeśli mu się tak kłaniają, przyjmuje pokłony. I do tego dochodzi przez uczucie. Działa na fantazyę, na ducha, jak on mówi, ale tam ten duch jest tylko jakiś duch nerwowy; działa tedy przeważnie na uczucie; uczucie ślepe, nierozumne, rozlechtane uczucie, to jego droga, on sam ją sławi za jedyną, — on się jej od nas samych domagał i wyrzucał nam, żeśmy nie szli tą drogą uczuciową, rozumie się, abyśmy do niego zaszli, — jednym słowem, przez fantazyę i uczucie chce zaprowadzić do siebie i raz złowionych i temi kajdanami spętanych niewolników swoich, chce pędzić i pędzi koło swego rydwana olimpijskiego, siedząc na nim jako bożek. Oto widzicie, to taki bóg fanatyzujący, i tacy jego czciciele sfanatyzowani! Bożek fałszywy i czciciele obłąkani.

Najdrości moi, z bolem serca mówię o tem, z prawdziwym żalem i smutkiem. Bo mówiąc o tem, nie tylko daję wam przykład rzecz objaśniający, ale maluję smutną rzeczywistość, biedę trwającą od lat tylu, choć nieznacznie, ale szerzącą się po naszym kraju, jak gdyby niedość jeszcze było tylu innych tak srogo go gniotących. W tem właśnie złe i ból, że trwa tak długo! Szerzy się ta zaraza pokątnie, kryjomo i kryjaco się, nie przyznając się do tego czem jest, wnącając się i wkręcając po cichu do domów, i do dusz, i udając, że jest dobrą chrześcijanką, że poczeiwą istotą, przyjaciółką Chrystusa i Kościoła,



tylko, że jednego i drugiego chce lepszym i mędrszym uczynić, chce, jak to mówią, rozumu nauczyć. Duszo biedna! uczyni siebie lepszą i mędrszą; bogdajbyś nią zawsze była była, a nie byłabyś szukała lepszej dobroci i wyższej mądrości gdzieindziej jeno u twego starego, prawdziwego Boga, u twego dawnego, jedyne go Chrystusa i w tym Jego Kościele, matce twojej, który jak On jest jeden dobry i mądry, i jak On jeden jedyny. I byłabyś się nie stała ofiarą, łupem, igrzyskiem, twego z mądrości obranego uczucia, i tego, który je opanował, pierwszego lepszego takiego samowłaza boga!

Ty mi powiesz: że ja bluźnię? A ja cię jednym słowem przekonam, żeś ty rozum straciła, i że ten twój bóg i mistrz nie jest prawdziwym bogiem ani mistrzem, ale iście samowłazem. Czego on chce od ciebie? uczucia, pokłonów, uznania za Mesjasza, za Mistrza, za Słowo Boże, i powiedzmy, za Boga. Otóż tego samego wymaga od ciebie Chrystus. Ty myślisz że dasz i jednemu i drugiemu? Tak nawet twierdzisz i tak ci twój mistrz każe. Otóż w tem straciłaś rozum, a twój mistrz swoje mistrzostwo. Twój mistrz mówi wszędzie nie, gdzie Chrystus mówi tak, a mówi tak, gdzie Chrystus nie. Dowiodłem tego już dawno, i nie na to nie odpowiedział ani on, ani żaden z uczniów. A odgrążali się przez rok cały. Lecz i to opuszczam. Chcesz służyć, powiadasz, i Chrystusowi i temu mistrzowi twemu? Że twój mistrz na to przystaje nie dziwuję się, bo myśli że zyska. Ale ty pewno nie wiesz, że Chrystus na to nie przystaje. Słuchaj tedy i dowiedz się: „Nikt, prawi, nie może dwom panom służyć.“ Czy słyszysz? I znowu: „Nie nazywajcie nikogo na ziemi ojcem waszym, jeden tylko jest Ojciec wasz w niebiesiech, Bóg; i nie nazywajcie nikogo mistrzem, jeden tylko jest mistrz wasz, Chrystus.“ Czy słyszysz duszo? Niema dwóch, Bóg jest tylko jeden, i niema dwóch mistrzów, tylko Chrystus jeden. Głos Chrystusa, a to mi głos Mistrza! Po tym głosie samym poznaję prawdziwego; nie przyjmuje spółki z nikim, bo prawdziwy. Ale twój mistrz — ach! przyjmuje spółkę, powiadasz? z Chrystusem, tak, ale przyjmuje, przyjmuje spółkę? a więc biada jemu! co miało być korzyścią, to mu jest potępieniem. Z ust jego samych sądę mistrza ładaco: Jest was dwóch, powiadasz, a więc jeden fałszywy i to ty, boś nie pierwszy ale drugi, i to ty, powtarzam, bo sam sobie dajesz

towarzysza, któregoś mieć nie powinien. Omyliłeś się, mistrzu nieprawy, złapałeś się we własne siecie: wrzucimy cię do morza w twoim własnym worku, do któregoś kamień, tyś sam, przywiązał.

Więc rozumiemy się jacy to bogowie. Jednem słowem ich orzekę: ci co porywają serca ludzkie i opanowawszy serce przewracają rozum i każą milczeć rozumowi, i wtedy tem łatwiej przekonywają, że są bogami i tem pewniejsi są swego panowania. Ale tem samem dowodzą, że są bogami fałszywymi.

Strasliwi bogowie! ale nie wysokich cen i licha ich wartość. Takim samym bogiem jest wszelka niewiasta zwodzicielka. Umie fanatyzować serca i przewracać, zabijać rozumy. Sama bez serca zna sztukę, wie sekret stać się panią serc innych. Sama bez serca, i im więcej jest bez serca sama, tem więcej przez jakąś fatalność opanowyywa i karmi się sercami cudzemi. One same do niej biegną i same uznają ją za bóstwo! I jest ich bóstwem. Może nie? Patrz na ofiary. Tracą dla niej nie tylko rozum, mienie i zdrowie, i życie samo, ale co więcej: honor, sumienie, i aż do wstydu. Bóstwo, niestety, bo żyje ofiarami i krwią, fatalne, węzowe smocze, ale bóstwo! I codzień jego panowanie się wzmaga. I zobaczymy niezadługo, co zapowiedział Paweł Świąty: ten bóg także na ołtarzu usiedzie i będzie czczony jako bóstwo. Co dziwnego: to fanatyzm!

Więc coraz lepiej się rozumiemy. Ale ja wam pokażę jeszcze jednego takiego boga fanatyka i fanatyzującego, grabiącego serca, ogoławającego z rozumów. To mąż popularny! Rozumiecie to nazwisko. Człowiek potrzebuje Boga i Jego obrazów, którymi są święci; ale odbierz ludowi świętych i Boga, sam ich stworzy i cześć będzie te swoje samodziały. Takimi są mężowie popularni. Panują, królują nad sercami, nad uczuciami wszystkich; a dla czego? niewiadomo. Dla tego samego dla czego owe niewiasty. To fanatyzm. Fanatyzm niema racyi. Jakieś słowo, jakiś uczynek, jakieś wystąpienie, i taki mój Szaweł i Gaweł został bożkiem popularnym. Potrwa to miesiąc, rok, parę lat, trudna dłużej, ale tymczasem króluje i panuje. Lud jemu się kłania i na jego imię przysięga.

Tacy, tacy są bogowie fanatycy i fanatyzujący. Dzisiaj ich dzień i ich godzina. Musimy patrzeć, i jęczyć, i przepraszać Boga prawdziwego.

Tymczasem wyciągnijmy z tego jedną korzyść i naukę. Co ma nas zachwycać, porywać, całych opanować, tedy prawda Boża, wola Boża, prawo Boże, zakon Boży, ten czysty, jedyny jaki nam Kościół daje. Jemu się oddajmy i umiejmy cenić. A strzeżmy się proroków, od siebie i z sobą przychodzących, tych objawicieli samozwańców; strzeżmy się mężów popularnych, tych w imieniu własnem wyroczni a wkrótce igraszek ludowych; strzeżmy się ich, tak jak się strzedz mamy niewiast nieuczciwych, tych węzów sercotrutów, tych jędz krew ssących. Strzeżmy się ich wszyscy. I te, i tamci, oni wszyscy z jednego, gniazda. To fanatyzm! Bogowie spółrodni i współpobratani. Ich tron uluda, ich berło szaleństwo, ich panowanie szkoda ludzka, a ich ostatni koniec taki jaki w bajce Saturna: póki są bogami pożerają swe dzieci, a jak się zestarzeją, ich własne dzieci zrzucają ich z tronu.

2-e. Oto nadchodzą drudzy bogowie. Nazwaliśmy ich politykami i bogami politykujących.

Tamci panowali przez uczucie, przez serca; ci przez rozumy, przez teorye, przez urządzenia społeczne, prawodawstwo, zakon.

Jeżeli na czem się znamy, tedy na tych bogach. W polityce żyjemy, w niej się tarzamy, przez nią brniemy — polityka to niemal całe życie dzisiejsze ludzi myślących. Pacierza nie tylko codzień, ale nigdy nie zmówi, ale dziennik swój przeczyta; do kościoła nie zajdzie, ale jeśli ma klub pod ręką, tedy pewno tam będzie i gotów tam jeszcze zostać kaznodzieją. Takie życie dzisiejsze ludzi. Jakże tedy nie znać bogów ludzi politykujących.

Atoli miałebym tu politykę wnosić na kazalnicę? Zrozumiemy się: co innego polityka w życiu, a co innego polityka w teorii. Czem polityka żyje, czem się zajmuje w chwili obecnej, od tego święcie stronimy każąc i ucząc z tej kazalnicy bożej. Ale czem polityka jest jako nauka, jako teoria, to należy do nas, to należy do Boga. Jest to nauka jak każda inna, musi stanąć z natury rzeczy koło prawdy bożej, koło nauki kościoła, i wyrok swój usłyszeć. To darmo! polityka w sobie wzięta, tak w teorii i w nauce, nie jest żadnem bóstwem nietykalnem, choćby dobrze tego chciała, a jeśliby tak stanęła, byłaby właśnie tem bóstwem fałszywym, o którego poznanie nam tu teraz



idzie. Więc rozprawimy się z polityką, nie na jej własnym gruncie, nie na polu polityki, gdzie ona od rana do wieczora biega, kręci się, czyni i rozczylnia, robi i odrabia; niech tam sama sobie radzi, jak może najlepiej; ale na tym wyższym gruncie daleko spokojniejszym i poważniejszym, na polu bożem, gdzie polityka jako nauka, jako system mierzy się z prawdą bożą i z nauką bożą.

Wicie dobrze, trzy są główne systemata: znamy je ze szkół jeszcze: Demokracja, arystokracja, monarchia absolutna, a z tych trzech głównych inne mieszane, szczególnie dziś prze-magający: Rząd parlamentarny. Czy myślicie, że jakkolwiek potępię? broń Boże. Nawet monarchii absolutnej nie potępię, ale zato na odwet nie potępię ani demokracji. Między temi formami rządu mogą być jedne lepsze od drugich, ale względnie tylko: żadna nie jest złą absolutnie, każda może być dobrą pod pewnym względem. Kościół żadnej nie potępia, jego nauka żadnej wyłącznie nie zaleca, nie nakazuje.

Więc cóż? Gdzie zle? Kiedy się staje fałszywą, zgubną? Kiedy bóstwem fałszywym?

Oto wam pokażę: Biorę jeden przykład: Patrzcie to bóg demokrata. Bóg demokrata to lud, nie wtedy kiedy się rządzi według prawdy i zakonu Bożego, ale wtedy kiedy wolę swoją stawia na miejscu woli Bożej, swój zakon na miejscu zakonu Bożego. Wtedy on staje się bogiem. Kiedy nie spytawszy się Boga i Kościoła, orzeka co dobre a co złe, co prawdziwe a co fałszywe, co cnota, a co zbrodnia, i pisze prawa i zakony, i pisze nagrody i kary, tak w imię własne. A więc wtedy wierutnie sam siebie postawi na miejscu Boga.

Patrzcie na niego. Ażali nie samowład? Ażali nie świętokradca? Preez z tym bogiem fałszywym!

Macie tedy przykład, według tego sądzicie o innych. Takim samym jest bóg arystokrata, to jest wtedy, kiedy część szlachetniejsza narodu, albo kupey, jak tam na Zachodzie, albo szlachta, jak u nas bywało, albo sami uczeni gdzieś tam w Chinach, jednym słowem część jedna, iście zacniejsza narodu, — drierły w ręku władzę. Otóż jeśli i ona orzeka to wszystko, co tam lud, i stawia wolę swoją na miejscu woli Bożej, swój zakon na miejscu Jego.

To samo powiedzmy i o monarchii absolutnej i o wszelkim innym możebnym rządzie. Ach co za szal!



Nie czynię żadnych zastosowań; dalekim od tego. Nie chcę się wdawać w tę grę gorącą, w której się oparzyć można, a bez żadnej korzyści i dla ludzi i dla Boga. Ale niech mi wolno będzie zasady postawić, правило podać, prawdę Bożą zatwierdzić, a co największa bronić prawa Bożego. Bóg ma prawo i do polityki, i w polityce nie powinien panować bóg fałszywy, ani lud cały, ani gromada jakaś, ani jeden w imię własne; ale kto panuje, powinien panować w imię prawdy bożej, w imię dobra bożego, w imię zakonu bożego. Jeśli tak nie czyni, tedy jest bogiem fałszywym.

Jeszcześmy, dzięki Bogu, nie przyszli do czasów Antychrysta, chociaż tam idziemy. Jak ten przyjdzie, to dopiero w imię własne postawi prawdę, dobro, święte, zakon. Tem wszystkim będzie on. Jednak idziemy do tego niestety. W głowie się nam mąci, szal porywa, wiatry jakieś pędzą i młynkiem jakimś z sobą nas unoszą, coraz więcej i więcej na świecie ludziom się zdaje, że oni stanowią co dobre a co złe, i że człowiek sam jest wyrocznią dla człowieka. Jak przyjdzie do tego, że już nietylko zdawać się będzie, ale przysięgać będą na to, wtedy godzina owego syna zatracenia. Ale tymczasem brońmy się, jeszcze się bronić można.

O szczęśliwy naród, szczęśliwy rząd, który najdłużej na ziemi zatwierdzi, że prawda i fałsz, dobre i złe, cnota i zbrodnia, od sądów bożych zależą! Trzykroć, czterekroć szczęśliwy, i daj Boże nam to szczęście, kto nietylko najdłużej zatwierdzi, ale stanie o to do walki z ostatnim nieprzyjacielem bożym, i raczej głowę podłoży, aniżeli by jej miał nagiąć pod haniebne jarzmo tego boga fałszywego.

A więc precz z nim, naprzód, wprzód nim przyjdzie, — i z tem, co już dziś doń podobne! Precz!

Nauka i korzyść. Nie przeczę, że we wszystkich tych systematach mogą być rzeczy prawdziwe. Ale jak tylko w imieniu własnem, stają się jak gdyby były fałszywe.

Każdy z tych systematów jest dobry albo zły, według tego, jak staje z Bogiem i z Jego wolą i zakonem, ale wyrażonym przez Kościół. Jeżeli zgodnie, tedy dobrze; jeżeli sprzecznie, tedy złe i fatalnie.

Co za nieszczęśny widok! Bóg demokrata bije się z bogiem arystokratą, arystokrata z demokratą, i znów obaj z bo-

giem monarchą, a ten z obumą. A dlaczego? Dlatego, że są w niezgodzie z Bogiem prawdziwym. Bo gdyby wszyscy z Nim byli w zgodzie, byłiby i między sobą w zgodzie. Lecz to właśnie, że są w niezgodzie z Bogiem prawdziwym, to ich czyni podobnymi do siebie w najważniejszej rzeczy i daje im wszystkim spólny i stanowiący charakter. Wszyscy noszą na sobie jedno i to samo piętno na czole, mogą bezpiecznie podać sobie przyjazne dłonie i uściśnąć się jak bracia rodzeni.

A tymczasem biją się. To jedno dwojga dowodzi. Naprzód, że są w niezgodzie z Bogiem prawdziwym, a następnie, że są fałszywymi bogami. O bijcież się, bijcie zdrowi i wyniszczenie się ze szczętem, aby czempredzej zostawić wolne miejsce prawdziwemu Bogu.

3-e. Nareszcie, nareszcie, wychodzi z przepaści ostatni bóg fałszywy: imię mu szatan. Mówię o prawdziwym szatanie, o tym, który mieszka w piekle, a który rządzi tym światem, wtedy, kiedy nim Chrystus nie rządzi, kiedy świat nie słucha Chrystusa. To on, książę tego świata. Niedawno śmieli się z niego, i powiadali, że go nigdy nie było, że go nie ma. Są i dziś tacy. A dlaczego tak powiadacie? Najmędrsza odpowiedź, jeśli powie: Nigdy go nie widział! A małoś rzeczy nie widział, miły bracie, a które jednak są? Ale go nikt nie widział, odrzekniesz. O, co w tem, to mi daruj, mylisz się niepospolicie. Ja ci dam świadka i posłuchaj jakiego. „Widziałem go — mówi Chrystus, — widziałem go jako błyskawica spadającego z nieba”. — „Widziałem go: on był kłamcą i mężobójcą od początku!” Co ty na to? Powiesz jeszcze, że go nikt nie widział?

Przypatrzmyż mu się nieco. Szatan to pierwsze ja, zbuntowane przeciw Bogu.

Najokropniejszy przeniwierca, bluźnierca, świętokradca. Co powiedział o nim Chrystus: „kłamca i mężobójca od początku.”

Ustaje mi język, jeszcze przed nim ustało mi serce.

W dwóch słowach przynajmniej, z obowiązku opowiadacza, nacechuję jego charakter, albo raczej w jednym słowie. Tem słowem jest: nienawiść.

Ale na dwie strony:

a) Ku Bogu — dlatego że jest.

Że to nie on.

Trzeba, żeby nie był.

b) Ku człowiekowi i całemu stworzeniu: że nie jest jego. Żeby było jego.

Albo nie było.

Czy pojmujecie teraz tę wściekłość w szatanie: rozzdzierania i niszczenia?

Zniszczenie na obie strony.

Nienawiść i zniszczenie.

Rodzime i prawowite skutki zatwierdzenia swego Ja.

Zniszczyć, zniszczyć, zniszczyć wszystko. Niech tylko ja jeden będę.

1-e. Zniszczyć prawdę.

A natomiast moje widzi mi się.

2-e. Zniszczyć dobro.

A natomiast moje upodobanie.

3-e. Zniszczyć sprawiedliwe i święte.

A natomiast moja wola, samowola i swawola.

Taki jest bóg szatana.

I taka jego trójca.

Zgroza zgrozy! okropność okropności!

Jest jego wcielenie między ludźmi.

Naprzód każde ja zbuntowane i buntujące się przeciw Bogu i dlatego, że to Bóg, i aby nie był Bogiem.

Tem wcieleniem jest rewolucja. Ten jest bóg szatan ludzki (nie Bóg, nie Kościół).

Nie będę wam odsłaniał jego ciemnej jaskini. Nikt tu pewno z nas tam w niej samej nie był, może niejedyn przypadkiem kręcił się w jej pobliżu i zastukał może do tej bramy piekielnej, tedy pewno jak samo echo posłyszał, odskoczył ze strachu. Dajmy na dzisiaj pokój tej tajemnicy nieprawości, — temu ostatniemu dnu złego. Poznajmy tylko, że ono jest nienawiścią i zniszczeniem. Zaprzysięgnijmy nawzajem zgrozę i nienawiść. Tylko jedna rzecz zasługuje na nienawiść, a tą jest nienawiść sama. Zaprzysięgnijmyż nienawiść królestwu nienawiści, nienawiść bogowi nienawiści. Ta święta nienawiść fałszywym bogom będzie pieczęcią miłości Boga prawdziwego.

I wtedy dopiero dokona się w nas dzieło: bóg wszelki fałszywy precz pójdzie i pozostanie jeden prawdziwy.

Najdrożsi, kończę.

Musimy jednak wynieść korzyść i naukę.

Tą będzie rachunek sumienia szczególnego rodzaju, porachowanie się z mojem własnem ja.

W nim jest zaród na szatana. Przestrzegam cię bracie, w łonie twojem nosisz fatalny zaród na szatana całego, więc nie tylko na wszystkie fałszywe bogi, ale na tego ostatniego, najokropniejszego. Tym zarodem jest twoje własne ja.

Jeśli oddane, poświęcone, zaprzysiężone Bogu prawdziwemu, stanie się jakoby bogiem prawdziwym, to jest Jego obrazem i podobieństwem.

Ale jeśli przeciwnie, stanie się szatanem.

Powiedz: czy znasz i czy kłaniasz się Bogu.

Zróbże ten rachunek. A ja ci dam i wskażę punkta.

1-e. Czy chcesz, aby prawdą było twoje własne uwidzenie?

Trzeba kochać prawdę bożą jako prawdę bożą. Ale ty...

2-e. Czy chcesz, aby dobrem było twoje własne upodobanie?

Trzeba... Ale ty...

3-e. Czy chcesz aby było uczciwem, sprawiedliwem, świętem, twoja własna wola, i co chcesz sam z siebie i dla siebie uczynić?

Trzeba... Ale ty...

Rachuj się dobrze. W jakiej mierze coś się z tego znajduje w tobie, w takiej mierze już urosłeś na małego szatanka; a od małego do wielkiego, to tylko kwestya czasu. Rachujże się dobrze i czyni co potrzeba. Albowiem nie tylko potrzeba, aby w tobie nie rósł szatan, ale trzeba aby w tobie rósł Bóg; aby ginął w tobie jeden po drugim wszelki bóg fałszywy, a na ich miejscu zaczął się wzmacniać w tobie i stanął cały, cały Bóg prawdziwy.

Ach co to wtedy będzie za szczęście kiedy zaczniesz w tobie rosnać Bóg prawdziwy! bo jak złe raz wszechzepsione rośnie i rośnie fatalnie, tak i dobre skoro raz zaczniesz, bylebyś sam nie przeszkodził, już będzie i będzie rosło i nie zaprzestanie, aż całe się ziści. Ach co za szczęście! Czyż się by nie miało ziścić? Alboż to będzie mocniejszy szatan niżli Bóg! Nie, tego nie będzie. Niech tedy żyje Bóg prawdziwy i niech żyje w nas: jego prawda, jego dobro, jego wola, On sam!

Niech żyje Bóg prawdziwy, jeden jedyny, i tu w nas, na wieki. Amen.



## KAZANIE XXXVIII.

## O Papieżu.

(Nauka miana w Krakowie 17 Maja 1868.)

Najmilsi bracia!

Będę dziś do was mówił o rzeczy jedynej na świecie, o papieństwie i Papieżu. To mało twierdzić i sądzić, że to rzecz wspaniała, przeważna, wielka. Jest ona tem wszystkiem zaiste; ale na świecie, w historii, jest i było nie mało wspaniałości, nie mało wielkości; więc to za mało twierdzić. Za mało nawet kiedy powiem, że to rzecz najważniejsza i najzbawienniejsza na świecie. Tego wszystkiego za mało. Trzeba koniecznie, bym dalej poszedł i powiedział to ostatnie twierdzenie, za którem już niema dalszego, że papieństwo i Papież to rzecz jedyna na świecie, jedyna pod każdym względem na świecie, w historii, we wszystkich czasach, dla wszystkich ludzi, narodów, całego rodzaju ludzkiego; że jak Bóg jest jedyny na niebie, z którym nic równać się nie może, tak i na ziemi papieństwo jest jedyne, z którem nic także nie może się zrównać, i że jak niebo ostać się nie może bez Boga, tak i ziemia, tak i ród ludzki w swoim powołaniu i przeznaczeniu bez Papieża. Śmiałe twierdzenie może nie dla jednego co mię słucha! Nie dziwię się, wiem owszem, że znajdują się na świecie tacy ludzie, co je nazwą szalonem, i nedorzecznem. A mnie co do nich? Znaleźli się tacy, co powiedzieli, że niema Boga, widzieliśmy ongi, coś dziwnego, że i tacy się znajdują, co Papieża za nic mieć będą. Wolno im choćby z motyką porywać się na słońce, mnie nie do nich. Moim obowiązkiem jest czynić to, co czynię: zatwierdziłem i zatwierdzam Boga, zatwierdzę i zatwierdzam Papieża. To co jest, jest, by się dobrze sierdzili wszyscy niezadowoleny; tedy jest i być musi i nie być nie może. Ja nie do nich mówię. Mówię do was, ludzie dobrej woli, którzy chcecie słuchać. Większa nawet część wasza myśli razem ze mną. Z tymi razem będę się cieszył tą prawdą. Ale są tacy może, którzy jeszcze kiwają głową i którym się jeszcze dusza nie otworzyła na jasno i na ciepło tej prawdy, którym w duszy co do niej jeszcze ciemno i zimno. To nic, byleby byli dobrej woli, tedy tuszę

sobie, że przynajmniej na jasno dusza się im otworzy, choć pod kąciakiem jakim. Cierpliwości a ufności w Panu! Może tam i ciepło kiedyś zawita, a ze światłem i ciepłem nareszcie i życie. A więc ludzie dobrej woli! Zwołuję was koło tego przystola prawdy, mam wam przedstawić przed oczy i odmalować obraz najcudowniejszej rzeczy, najwspanialszej, najwyższej, najpiękniejszej a zarazem najprawdziwszej na świecie: co Papież, a co papieństwo. A choć przedmiot ogromem mię swoim przywala, prawda jego i żywotność dodaje mi siły. Dodaje mi siły sam sprawca i stwórca tych cudów. W Nim moja ufność — prosimy o łaskę. Zdrowaś Maryo.

Trzema rzeczami żyje człowiek. Jego umysł żyje prawdą, jego serce żyje dobrem, jego wola żyje prawem, zacnem i świętem. Życie podobne umysłu z prawdy jest wiedzą, życie serca z dobra jest używaniem, życie woli jest czynem. Tak rzecz stoi w ogólności mówiąc. A jeśli się wzniesiemy nad życie ziemskie i czysto ludzkie i podniesiemy się do stosunku człowieka z Bogiem, to życie człowieka z Bogiem tak się nam stawi, że umysł jego żyje wiarą, serce nadzieją a wola miłością. Boga tu na ziemi jeszcze nie posiadamy twarzą w twarz, jak to nam przyrzeczono; więc wiedza w tę stronę ku Niemu na pół drogi ustaje i dopełnia się wiarą, poczucia serca w pierwszych przedsmakach swoich już omdlewają i muszą kończyć na nadziei i na pragnieniu, a czyny woli nie mogą się zdobyć na czyn ostatni, którym jest zjednoczenie, i muszą się ograniczyć na prostem, choć nieograniczonym, ofiarowaniu się i oddaniu się przez miłość i na miłość i woli na wolę. Tak tedy życie człowieka z Bogiem tu na ziemi tryska z tych trzech cudownych źródeł i płynie w tych trzech prądach: nazywają się: wiara, nadzieja i miłość. Tu na ziemi, powiada Apostoł, mamy te trzy rzeczy: wiarę, nadzieję, miłość. I dodaje przedziwnie: ale największa miłość. Takie życie nasze z Bogiem! Czy słyszeliście dobrze, z Bogiem? A więc ta wiara jest w Bogu, tę prawdę daje Bóg; ta nadzieja jest do Boga, to dobro udziela Bóg; ta miłość jest z Bogiem, ten zakon stanowi Bóg. A więc to wszystko nie jest wynalazkiem naszego własnego umysłu z jego przewidywań, naszego serca z jego zachceń, naszej woli i naszego prawa. Bóg! Bóg jeden jest ich celem, przedmiotem

i końcem, ale zarazem ich początkiem, ich ustawodawcą, ich rządcą, ich uścicielem. On sam daje przedmiot w co wierzyć, czego się spodziewać, co kochać, co czynić, ale zarazem prawo czyli zakon podług którego żywot i drogę, On nareszcie siłą naszą. Taki jest dogmat katolicki. Kto tego nie trzyma nie jest katolikiem, nie jest chrześcijaninem. Ale tenże dogmat dodaje, że to my w Chrystusie Panu i przez Chrystusa Pana. I to jest co Chrystus sam o sobie mówi: „Ja jestem prawda, droga i żywot.” Czy uważacie: prawda, droga i żywot? Prawda, którą trzyma wiara; droga, którą idzie nadzieja; żywot, który chce osiąść i już zaczyna posiadać miłość. To wszystko w Chrystusie; tem wszystkim Chrystus. Jaka to była uroczysta chwila. Oto stoją naokoło Chrystusa Apostołowie wybrani; tam dalej za nimi uczniowie, rzesze liczne, pośrodku Chrystus. Oczy wszystkich na Niego zwrócone, drżą usta, zatrzymują oddech, serca w piersiach biją, patrzą jeszcze wszyscy pod wrażeniem poprzedniej mowy, a On ją kończy i powiada: Ja, ja jestem prawda, ja żywot, ja droga. Co za słowo, co za rzeczy! Jaka chwila! Wyobrażam, że w niej jestem i że szczęśliwie z łaski Boga mam wiarę. W mgnieniu oka już czuję jak całe moje wnętrze się porusza i z Szymonem wołam: „Teraz weź mię Panie! oczy moje widziały zbawienie Twoje!” Szczęśliwy widzę. Stoi przedemną sama prawda, sama droga do żywota, sam żywot wieczny! Mogę się Go dotknąć, mogę objąć, mogę nie puścić od siebie. Nareszcie, nareszcie! Co za szczęście! „Teraz weź mię Panie!” Nie puszcze Ciebie, już się nigdy nie rozłączym! Z zachwycenia przenoszę się w chwilę obecną. Obudzony słucham, co ludzie dzisiejsi mówią. Dolatują mię pierwsze słuchy. „Był, był, — prawią — ale już Go niema. Odszedł!” powiadają. Odszedł? powtarzam, cała dusza się ścisła. Odszedł? Nie, to być nie może; a pocóżby przychodził? Po co? Na to jedno, aby się pokazał i znowu odchodził? Gdzież teraz prawda, gdzie droga, gdzie żywot? Widziałem! już ich widzieć nie mam? Już nie będę słyszał żywego, płomienistej prawdy, nie będę mógł iść krok w krok za tą drogą żywą, nie będę mógł dotykać się i obejmować tego źródła żywota? Co wy ludzie mówicie? Nie, to być nie może! I jeśliby tak uczynił, to chyba że On nie był ani prawdą, ani drogą, ani żywotem naszym. Boć przecie — ach pomyślcie ludzie! —

wszystko to nie na jeden dzień, to na całe życie. Nie, to być nie może. Szukajmy dalej. I oto nie trzeba mi długo szukać! Już, już zewsząd dolatują mię inne głosy: „Wždy jest, prawią, jest, nie odszedł, znów, nie jak tamci mówią, nie zostawił nas sierotami, jest chociaż pod inną postacią: Patrzaj na te przy-padłości chleba i wina, to Jego ciało i krew, a teraz patrz na tę osobę Piotra, to Jego słowo. Chociaż pod inną postacią ze-wnętrzną ale jest, i jest On sam, tenże sam, prawdziwy i nie-śmiertelny.” Słyszę, rozumiem, i przysięgam z góry i odrazu, że to jest prawda, a nie tamto. To prawda, że jest, a nie tamto: że Go niema. I mam dwie przyczyny, dwa dowody, je-den silniejszy od drugiego. Naprzód, że tak być musiało, że wszystko we mnie: rozum, serce, dusza cała wołają razem, że prawda nie byłaby prawdą, gdyby tak nie uczyniła. A drugi powód i dowód jest jeszcze krótszy i dobitniejszy: oto z tego dwojga o czem słyszę, jedno jest zatwierdzenie, a drugie za-przeczenie. Tylko zatwierdzenie jest prawdą, a zaprzeczenie, dla tego samego że zaprzeczenie, jest i musi być fałszem. Wiem tedy i twierdzę, że zstąpiła na ziemię prawda nasza i droga i żywot. Wiem następnie i twierdzę, że prawda jest na ziemi i żyje ta sama choć pod inną postacią, a tą postacią jest Piotr, jest Papież.

Odetchnijmy nieco i porozumiejmy się przez tę chwilę od-poczynku nad tym dowodem, który za tak stanowczy poda-jemy: że twierdzenie jest prawdą, a przeczenie fałszem. Albo-wiem niejednemu może przyjdzie myśl pokątna mniej więcej tak nas pytająca: Azaliż i kiedy Mahomet zatwierdził, że jest prorokiem Allacha, nie uczynił tego samego? nie postawił prawdziwego zatwierdzenia? A więc według ciebie i to jest prawdą, bo i to jest zatwierdzeniem? Jakże tedy zatwierdzenie jest jedno i toż samo co prawda? Odpowiadam, że nie wszystko co ma formę zatwierdzenia, już jest zatwierdzeniem. Trzeba rozróżnić twierdzenie i przeczenie w naukach, i twierdzenie i zaprzeczenie w faktach. Kiedy Kalwin mówi, że jest prze-znaczenie, które zmusza wolę człowieka, tedy zdaje się twier-dzić jakąś naukę, lecz on iście przeczy nauce prawdziwej, on tą mową swoją nie przeznaczenie zatwierdza, ale wolność woli ludzkiej niszczy. Bo może być przeznaczenie bez zniszczenia



wolności woli ludzkiej, jak tego uczy dogmat nasz. Kiedy Luter nauczał, że sama wiara zbawia, wcale przez to nie twierdził, że wiara zbawia, bo to twierdził i dogmat katolicki, ale przez dodanie tego słowa sama (wiara) przeczył, i wierutnie przeczył, aby uczynki były potrzebne do zbawienia. A więc pod owczą skórą twierdzenia, może siedzieć wilk zaprzeczenia, tylko że to nie tak łatwo dostrzedz, pomimo skóry owczej, jego wilezego pysku i zębów. Odpowiadał powtórę, że kiedy są dwa twierdzenia co do faktu jakiego, jak np. z jednej strony, że Chrystus jest Bogiem prawdziwym wcielonym, z drugiej np. że Mahomet jest jakimś prorokiem jakiegoś Adacha, wtedy rzecz jest nieco inna. Ale i wtedy jest rzeczą oczywistą, że te dwa twierdzenia są takie, iż jedno drugie wyklucza, a więc zawsze jedno z nich jest zaprzeczeniem, pod postacią twierdzenia czegoś drugiego, które jest prawdziwem zatwierdzeniem. Tylko, że wtedy trzeba rozpoznawać, a do rozpoznawania tego już duży prawdziw, choć i to jeszcze jasne i nieomyślne. Takie zatwierdzenie, o jakim tu mowa, jest zatwierdzenie historyczne, więc pytańce sprowadza się do tego, jak Bóg, t. j. jak prawda odwieczna zatwierdziła się w historii? Jak się zatwierdza? Tu rzeczę, że każdy z was, każdy maż dobrej woli i doświadczonego sądu odpowie mi odrazu: że jeśli Bóg objawia się w historii, tedy 1-e objawia się pierwszy, nikt przed Nim; Jemu należy się cześć w wszystkiego; 2-e, że objawia się wciąż, zawsze we wszystkim trzymając ten porządek pierwszeństwa; 3-e, że we wszystkich Jego objawach niema kontradycyji. A to w oczy bije. Jeśli Bóg, tedy nie inaczej. W kilku słowach, najdrożsi moi, dodam wam fundamentalny dowód całej religii naszej i z jednej i z drugiej strony. Już widzicie, jak nie tylko w pierwszym, ale i w drugim przypadku zatwierdzenie jedynie jest prawdą, a zaprzeczenie, choćby pod postacią zatwierdzenia, jest fałszem. Mówiliście mi o Mahometcie? Jego twierdzenie jest fałszem, bo jest zaprzeczeniem Chrystusowemu, Chrystusowe zaś jest prawdziwem zatwierdzeniem, bo jest naprzód pierwsze, bo następnie jest w ciągu całego zatwierdzenia się Bożego w historii; bo nareszcie, nie jest w sprzeczności z poprzednim, owzem wcale przeciwnie; a Mahometowe żadne, inne je poprzednio, przyszło na końcu, wyrwało się gozić w pośrodku, z jakichś manowców i pustyni historii, samo sa-

motne. Ponure zjawisko wśród ciemności, wydaje się jak luna odrazu z ziemi buchającego wulkanu, kiedy twierdzenie Chrystusowe jest słońcem, owszem jest południem tego słońca, które od wschodu do zachodu toczy się po jasnym niebie historii ludzkiej. Nieprawdaż, najdrożsi moi? Zatwierdzenie, kiedy jest rzeczywiście zatwierdzeniem, jest tem samem prawdą i największym jej dowodem; zaprzeczenie choćby pod szatą zatwierdzenia jest wierutnym fałszem i samo z siebie nieomylnem tego fałszu piętnem. Więc zrozumieliśmy się!

---

Teraz, teraz, najdrożsi moi, już czas, abym wam ostatecznie pokazał to największe zatwierdzenie Boże w historii, które jest w papieństwie, i z którym do was przyszedłem. Spieszę razem z wami na jego widowisko. Jużemy słyszeli, jak się sam Chrystus zatwierdził: „Jam prawda, jam droga, jam żywot wieczny“, jak ten głos Jego jest tylko ostatnim dźwiękiem wszystkich dawnych twierdzeń, jest sam najwyższem zatwierdzeniem, wszystkie inne w niem się mieszczą, on je trzyma w sobie i nad nie się wznosi; już powiedziałem: to słońce w swoim zenicie. Tak! i stokroć tak! Chrystus jest prawdą, jest światłością świata; Chrystus jest drogą, jest oswobodzeniem i zbawieniem naszym; Chrystus jest żywotem, jest wieczną naszą nagrodą i szczęściem. Jednem słowem jest Chrystus Bogiem, Zbawicielem. On sam tak zatwierdził i tak jest. To, co jest, jest! Ale teraz posłuchajmy co dalej zatwierdza. Słyszeliśmy, co twierdzi o sobie samym, posłuchajmy, co twierdzi o Piotrze: „Szymonie, Synu Jony. Ty jesteś Piotr, opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój.“ Cóż to? Nie na sobie samym, jedno na Piotrze? I na sobie samym i na Piotrze. Piotra przypuszcza do tego, aby i on był opoką, ale siebie nie wyklucza, bo już siebie wprzód położył, wprzód zatwierdził. Ale Piotr potrzebny, Piotr mający żyć w swoich następcach aż do końca świata; potrzebny na to, ażeby aż do końca świata była na opoce niewidzialnej Chrystusie, opoka widzialna Papież. A więc Piotr, a więc Papież położony przez Chrystusa na opokę Kościołowi. Stało zatwierdzenie i prawda oczywista: Piotr jest opoką, Papież jest fundamentem Kościoła. Wołaj sobie zdrów rozumie protestancki, że ta opoka nie jest Piotr; ale wyznanie wiary Piotrowej. Pierwszy lepszy z naszych odpowie ci teraz

za mnie: Mylisz się przyjacielu, tak ci rzeknie, co ty mówisz jest zaprzeczenie, nie jedno zaprzeczenie tego co Chrystus o Piotrze zatwierdził; zaprzeczenie, więc fałsz. Precz, precz z zaprzeczeniami. Niech sobie jak koźły ofiarne żydowskie biegną obarczone grzechami na pustynię i nigdy stamtąd nie wracają. Tu między nami miejsca dla nich niema. Precz z zaprzeczeniami, a słuchajmy zatwierdzenia, oto tego zatwierdzenia Chrystusowego: „Ty jesteś Piotrem — opoką.“ Ty, ty! Szymonie Bar-Jona! Czy słyszysz dobrze twoje nazwisko i czy poznajesz pod niem twoją osobę? Ty, ty, Szymonie jesteś Piotrem, jesteś opoka, na której zbuduję Kościół mój, a „bramy piekielne nie przemogą go.“ A czy na długo o Zbawicielu? „Oto będę z wami aż do skończenia świata!“ Słyszę, rozumiem. Szymon może umrzeć i umrze, ale Piotr zostanie, zostanie opoka i zostanie aż do skończenia świata. Ten Piotr, ta opoka, jest nieśmiertelna, tak jak Chrystus jest nieśmiertelny, który to zatwierdził i dlatego tem jest, że to On zatwierdził. I czy doprawdy jest? Dość podnieść oczy i widzieć. Jest jak zawsze, żyje jak zawsze i świeci jak może nigdy. To Papież, to ta opoka nieporuszona, to ten Piotr nieśmiertelny. O Chryste Panie! rzekłeś i stało się; rozkazałeś i jest: niebo i ziemia przemina, ale słowa twoje nie przemina!

Odetchnijmy znowu. Zostaje nam teraz wysłuchać dalsze, wszystkie twierdzenia Chrystusa o Piotrze. Zatwierdził rzecz główną, że jest opoką, teraz przypuści Chrystus Piotra do wszystkich innych swoich przymiotów, uczyni go swoim wyobraźcą, swoim drugim Ja mającem Go zastąpić po Jego odejściu do Ojca. Czyni to przez coraz to nowe i nowsze zatwierdzenia, przez zatwierdzenie trzykrotne. W każdym z nich nowa prawda, nowa rzeczywistość, nowy czyn, a wszystkie razem stanowią jedno wielkie zatwierdzenie, w którym jest cały Piotr, wszystko czem Chrystus Piotra uczynił. I tego wszystkiego nie potrzebujemy już teraz dowodzić. To wszystko jest zatwierdzeniem i zatwierdzeniem Chrystusowem. Tem samem to wszystko jest prawdą noszącą w samej sobie dowód swój. Więc już teraz nie dowodzić, jedno słuchać nam trzeba. Słuchajmy tedy, słuchajmy! — Pierwsze twierdzenie Chrystusa: „Piotrze, Piotrze, modliłem się za ciebie, aby nie ustała wiara

twoja. A ty raz nawrócony potwierdzisz braci swoich“. To znaczy: Nie lękaj się, twoja wiara nie ustanie: braci twoich ustać może i ustawać będzie, ale nie twoja. Więc będą potrzebowali, aby ich w wierze utwierdzić. To twój urząd. Sam moený wiara, będziesz wszystkich wiary uczył i we wierze utwierdzał. To znaczy: będziesz posiadał prawdę moją i jej rozumienie nie ustanie w tobie, żaden błąd się nie wkradnie, będziesz nieomylny: wiara wszystkich będzie od ciebie zależała i twoje słowo będzie dla wszystkich jej prawidłem i pieczęcią. Nie, nie ustanie wiara twoja: ja się modliłem umyślnie o to. Wiedz tedy Piotrze i czyni coć mówię: potwierdzaj braci twoich, potwierdzaj wszystkich. Drugie twierdzenie Chrystusa: „Piotrze, tobie dam klucze królestwa niebieskiego: cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane na niebie, a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane w niebie“. To znaczy: związani iść nie mogą i trzeba ich rozwiązać: jak znowu tych co nieporządnie idą, związać potrzeba. Ty, ty to masz czynić. Wiąż i rozwiązuji. Ale tem samem i prowadź i pilnuj, i karm po drodze i lecz i strofuj i karć, a jak przyjdą szczęśliwie do kresu, tedy im wrota otwieraj. Oto masz klucze, klucze królestwa niebieskiego, w którem są wszystkie skarby moje, wszystkie nadzieje wasze. Byłeś podstawą i rzadcą ich wiary i jesteś podstawą i narzędziem ich nadziei, ich, wszystkich przyszłych mieszkańców królestwa niebieskiego. Trzecie twierdzenie Chrystusa: „Piotrze, kochasz mnie? — Ty wiesz, że kocham. — Paś baranki moje, paś owieczki moje“. To znaczy: Trzoda kocha pasterza, bo jej życie daje i koło niego się kupi, i między sobą trzoda się kocha jedynie wtedy, kiedy razem się trzyma. Trzoda w zjednoczeniu chodzi, a to znowu wtedy, kiedy się pasterza trzyma i koło niego kupi. Więc pasterz jest źródłem życia i środkiem jedności i miłości trzody. A więc to znaczy, że kiedy Chrystus miał ostatecznie na miejscu swoim Piotra uczynić takim dusz pasterzem, wprzódy go pyta, czy go sam kocha? A jak w nim miłość już doskonałą przez samo zapytanie w duszy założył, wtedy mu powierza urząd miłości i „paś baranki, paś owieczki“. Paś: t. j. bądź tym środkiem zjednoczenia, około którego niech się kupią wszyscy miłośnicy moi, wszysej wyznawcy, bądź tem ogniskiem miłości, do którego kto nie przyjdzie nie będzie barankiem moim, nie będzie



moją owieczką. Paś, paś! t. j. jak byłeś fundamentem wiary, jak byłeś fundamentem nadziei, tak teraz i ostatecznie bądź fundamentem miłości. Piotrze, Piotrze! Odechodzę do Ojca, ciebie zostawiam na mojem miejscu; i ja niewidomie zostaję z tobą. Tyś drugi Chrystus; ja na niebie, a ty na ziemi. Jak ja żyję, tak i ty żyć będziesz; jak ja nieśmiertelny, tak i ty nieśmiertelny. Jak ja prawda, droga i żywot, tak i tobie daję w ręce i prawdę, i drogę, i żywot. Jak ja jestem początkiem i końcem wiary, nadziei i miłości, tak i tobie daję być fundamentem i narzędziem i ogniskiem wiary, nadziei i miłości, i jak do Ojca nikt nie może przyjść bezemnie, tak i do mnie nikt nie będzie mógł przyjść bez ciebie. Piotrze, utwierdź się i bądź tym mężem, którym ci być każę. To moje słowo, to moje zatwierdzenie. Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, niebo i ziemia przeminą, ale ani jota jedna, ani kropła jedna nie przepadnie z tego co mówię, aż wszystko się spełni! I spełniło się i oto stoi przed nami cudo Boże, największe zatwierdzenie Jego, najwszechmocniejsze słowo obleczone w ciało żywe i nieśmiertelne. Oto stoi Papież i papieństwo. I jak Chrystus tak i ono twierdzi o sobie. Co za twierdzenie! Bezemnie niema zbawienia. U mnie prawda, u mnie droga, u mnie żywot. I to twierdzi ono pierwsze na świecie, i to twierdzi wciąż od wieków ośmnastu; i to twierdzi bez zastawienia się, bez przeciwrzeczenia sobie. Cudo! Ale zatwierdzenie, więc prawda. Widzę to i słyszę. Znowu wpadam w moje pierwsze zachwycenie i z głębi duszy wołać muszę i wołam: a więc tak jest, a więc miałem słusność. Prawda ze zbawieniem, ze żywotem zstąpiła z nieba na ziemię i na ziemi została. I jest i żyje! Boże! tyś wielki i twoje dzieło wielkie — wszystko przeminie, ale ono stać będzie aż wszystko się spełni.

---

Takie jest zatwierdzenie Chrystusowe, takim jest Piotr święty, takim jest Papież. Azaliż nie właśnie od początku rzekłem, że będę wam mówił o rzeczy nie tylko najpiękniejszej, najważniejszej, ale o rzeczy jedynej na świecie, jedynej pod każdym względem do tego stopnia, że jak Bóg jedyny na niebie, na Nim całe niebo stoi, tak jedynym na ziemi jest Papież, i na nim stoi cała ziemia, cały rodzaj ludzki. O Chryste Panie, Ty Alfa i Omega, początku i końcu, pierwszy i ostatni tego

świata całego! cóżeś uczynił? To coś zapowiedział: „Kto wierzy we mnie, dzieła które ja czynię i sam czynić będzie i większe od nich (na pozór) czynić będzie.“ Piotr uwierzył Tobie i słowu Twojemu i Tyś go uczynił jakoby drugim Alfą i Omegą, początkiem i końcem, pierwszym i ostatnim całego świata. Błogosławiona wiara Piotrowa i możemy odezwać się do niego: „Błogosławionyś, trzykroć błogosławiony, boś z góry uwierzył. A my z dołu patrzymy, widzimy jak się wszystko spełniło, jak się codzień spełnia i nie wierzymy!“ Przynajmniej są tacy co nie wierzą. O pójdz tu do mnie, pójdz ty, który nie wierzysz temu wszystkiemu co o Piotrze, co o Papieżu nie ja powiedziałem, ale Chrystus zatwierdził swem wiekuistym słowem. Zaiste, to słowo małe z początku jak ziarno gorczyczne, najmniejsze ze wszystkich nasion. Bo i czymże innem był Piotr Galilejczyk, kiedy w przetartej odzieży, bosonóż, wracał do grodu Cezarów, do dumnej Romy? To ziarno, mówię, zaiste rośło i urosło w to wielkie drzewo, które okrywa świat cały, a ptacy niebiescy mieszkają w niem. A ile ono burz przetrwało? Ile piorunów po niem prześlizgnęło się bez śladu? Ile trzęsień ziemi nie trząsnęło jego korzeni? Ile nawałnic i potopów, unoszących zda się świat cały, odskoczyło od niego lub u jego stóp skonało? Toć wszystkie bramy piekielne szturmowały, szturmują od wieków, a podołać nie mogą. Lecz o tem wszystkim gdzież mi tu mówić? Ty to wiesz wszystko mniej lub więcej i nie wierzysz? Oczy masz a nie widzisz, uszy i nie słyszysz, rozum a niepojmujesz! A jednak chciałbym trafić do twoich oczu, do uszu, do rozumu. Powiem ci com sam widział niedawno temu, i roku niema.

Byłem tam w mieście świętem, w mieście wiekuistym, u stóp tego Piotra nieśmiertelnego, siedzącego na swojej stolicy już ośmnaście kroć wiekowej, Widziałem go. Żyje, silny, patrzy mu z oczu że nigdy nie umrze. Onej chwili odstała go wszelka ludzka pomoc, mocarzy, mówię, tego świata. On też nie rachował na nich i chyba tylko nad tem ubolewał że oni myśleli, że on ich potrzebował, a nie wiedzieli, że to oni przeciwnie potrzebują jego. To mu jedno boleść sprawiało, bo im wszystkim życzy miłosiernie i miłośnie, i radby im dać tę wiarę, i tę nadzieję, i tę miłość, o którą go nie proszą, a która im tak potrzebna. Wtedy przysłała mu myśl godna jego serca,

chciał pokazać tym swoim odstępcom, czem on jest, żeby ich nieco rozumu nauczyć, a może i upamiętać. Rzekł tedy słowo, a na to słowo wschód i zachód, północ i południe poruszyły się i widziałem, te moje oczy widziały, jak świat cały koło niego stawał, książęta, duchowni wszystkich narodów, wszystkich mówię, gdzie słońce wschodzi i gdzie zachodzi, czyli raczej gdzie wschodu i zachodu niema, jak kula ziemiska okrągła, ze wszystkich jej punktów, tak że żadnego nie było, z którego nie przybieżono; widziałem jak wszyscy razem w długiej procesyi nieśli w tryumfie, w jakim jeszcze nigdy nie był niesiony, tego Piotra, tego Chrystusa żyjącego na ziemi; a nieśli spólną, niewymowną, jasną, żywą, gorejącą wiarą tego głosiciela wiary, tego mocarza nadziei, tego Pasterza i Ojca miłości. O Piotrze nieśmiertelny! Widziałem ciebie w tym twoim tryumfie, wielkiego jak nigdy, jasnego jak nigdy, boskiego jak nigdy! I rzekłem: to zatwierdzenie! I obejrzałem się: zaprzeczenia nie było, być nie mogło, byłoby było szaleństwem! Szczęśliwy! Skłoniłem korne czoło pod twą prawicą błogosławiającą i otoczyłem cię i objąłem w duchu i moją też wiarą, i moją nadzieją, i moją miłością, i zaprzysiągłem ci je w duszy mojej trzykroć silniej niż w dniach twego bezpieczeństwa i pokoju. A gdyś już przedemną minął i za tobą patrzyłem, myśl ciesząca, myśl cichego zadowolenia, podniosła się w głębi duszy i mówiła: „O mocarze świata! Czy nie widzicie kto jest prawdziwym tego świata królem? Kto nim rządzi jednym słowem? jednym zatwierdzeniem? Któryż z was, choćby najpojętniejszy, coś takiego uczynić zdoła? Nauczcież się z tego. Wy panujecie nad krajami, a ten panuje nad światem, wy nad ciałami, ten jest król duchów, wy siłą, a ten miłością; wam dają cześć ze strachu, konieczności, a jemu cześć z tego co najszlachetniejsze jest w duszach ludzkich i z pełnią dobrej woli. Ale co największa, co nad wszelkie porównanie tedy to, że was kochają póki macie na wasze rozkazy miecz, ogień, pieniądz i potęgę; onego dnia którego to straciecie, wszyscy was odstąpią i nikt o was nie dba; a tu jakże co innego! Właśnie kiedy największa bieda, ogołocenie, opuszczenie, wtedy największa miłość, wtedy troska synowska, wtedy cześć i przywiązanie ogniste, płomienne. Tego jednego dosyć.“ Na zatwierdzenie z góry, odpowiedziało tą razą zatwierdzenie z dołu,

i jakie zatwierdzenie! Moi najdrożsi, kto tak siebie zatwierdza ten jest tem czem jest, i czem być twierdzi. Moczarze tego świata poznajcie naręszcie, że jeśli wy królujecie jako ludzie, on króluje jak Bóg. O Chryste Panie, to Ty uczyniłeś, to Ty czynisz! Twoje to dzieło. Niechże Ciebie chwali!

A ty bracie, czyś zrozumiał? trafiłoż to do twego serca? Posłuchaj głosu z samego serca. Ja wierzę w Boga. I ty wierzysz? Wierzę w Chrystusa. Wszakże i ty to czynisz. Oddałem Mu całą wiarę, nadzieję i miłość. Czyżbyś ty tego nie uczynił? Uczyniłeś. Ale teraz, wiesz jakem ja to uczynił? Przez Piotra, przez tego Piotra nieśmiertelnego, który żyje w Papieżu. Czyż nie widzisz, że inaczej czyniąc nicbym nie był uczynił? Więc i ty to uczyni. Idźmy w duchu do jego stóp błogosławionych i ucałujmy je w duchu miłości i powiedzmy do niego: Ojcie, Królu, Pasterzu wiary, nadziei i miłości, oddaję pod twoje ręce, pod twoją straż i opiekę moją wiarę, nadzieję i miłość. Tyś odtąd dla mnie tem czem cię Chrystus uczynił, i jak znam jednego Boga, jednego Chrystusa na niebie, tak na ziemi ty jeden jesteś przewodnikiem mego rozumu i wiary; utwierdźcielem mego serca i nadziei; pasterzem mojej duszy i jej ojcem miłości.

## KAZANIE XXXIX.

### Mowa pogrzebowa

PO Ś. P. ONUFRYM JÓZEFIE KORZENIOWSKIM

(miana w Rzymie 27 listopada 1868).

Każdy, choćby pojedynczy człowiek, jest całym światem: a jego choć osobne i krótkie życie, jest całą historią. Przypadek zdaje się nim miotać, ale go prowadzi Bóg, a to co w jego życiu zdaje się być ślepą losów igraszką, jest w istocie mądrą grą Opatrzności. To ona, ta mądrość Wszechmocnego, która igra na tym świata okręgu, *ludens in orbe terrarum* (Prov. VIII), to ona, która przed samem obliczem Bożem, odprawia tę grę swoją każdego czasu: *ludens coram eo omni tempore* (ib.); a Bóg każdego czasu ma w niej swoje niewymowne Boskie upodobanie. A wždy dłaczego? Jaki tej gry Boskiej powód i przyczyna? Jaki cel i koniec? Godzien



pod wszelkim wzgięciem Boskiej tej zabawy. On sam go nam obwieszcza: „*Deliciae meae esse cum filiis hominum*” (ib.). Rozkosz moja być z synami ludzkimi! To jest ostatnie słowo zagadki życia naszego — ta Jego rozkosz z nami, rozkosz Boża ze wszystkimi synami ludzkimi razem, rozkosz z każdym z nich w szczególności.

I dlatego, jak rzekłem z początku, każdy człowiek z osobna jest całym światem, a jego życie, choć zda się szczupłe wiotkie i krótkie, niemniej jednak jest całą i pełną historią. I z nim bowiem igra ten sam Bóg i Jego mądrość, i z nim także tej Bożej zabawy pierwszym powodem i ostatnim końcem, jest ta sama rozkosz Wszechmocnego.

Przełoż uroczyste to widowisko kiedy człowiek umrze, kiedy się skończy jeden taki świat osobny, kiedy się zamknie jedna taka osobna historia. Uroczyste mówię widowisko! Zbiegają się na nie wszystkie inne światy, wszystkie jasne i niebieskie zastępy, wszystkie ciemne i piekielne potęgi, stają dokoła jak widzowie: bo oto Najwyższy zstępuje, aby zobaczyć i przekonać się jak się ta jedna gra Jego skończyła; jak jej odpowiedziały: ten człowiek, ten świat, ta historia jedna cała.

Lecz i my także, najmilsi, coś podobnego tu na ziemi czynimy. Niewytłumaczonem może pocuciem, mimowolnie nas może pędzającem, i my pospieszamy ile razy wypadek podobny się zdarzy, na to samo widowisko, i patrzymy na nie choć z daleka, choć przez zastonę, choć jakby w jakimś niewyraźnem zwierciadle, ale na nie jednak patrzymy, i koło nas wtedy rozechodzi się szmer jakiś powszechnego osądzenia, niby echo przytłumione owego pozagrobowego i pozaświatowego wyroku, o którym tu jasno nie wiedzieć nie możemy, a jednakże go przeczuwamy. Widać, że wszystkimi światami rządzi taki sam zakon; i że co się dzieje w jednym, to się odlecia w drugim. A tych spólnych zakonów snąć takie jest powiązanie, że nawet milczenie staje się niepodobnem, już głuchego szmeru nie dosyć: znajduje się głośny sędzia, otwiera usta i wydaje sąd, wprawdzie łaskawy, przyjazny, pochwalny nawet, jako przystało między współwinowajcami i współskazanymi, sąd jednak, sąd i wyrok prawdziwy, mimo przemilezanej kary, mimo wygłoszonej nagrody. Co sędzia przemileczy, tego słuchacze dopełnią. A choćby sądzony nie potrzebował takiego milczenia, i ta-

kiego dopełnienia nie doznał, zawsze jednak i tu na ziemi spełni się nad nim ten wyrok Apostoła: „Postanowiono jest ludziom raz umrzeć, a potem sąd“ (Hebr. IX, 27).

Najmilsi moi! spoglądam na was, spoglądam na siebie, spoglądam na ten grobowy przybór, i już wiem, wiemy wszyscy co nas tu sprowadziło. Z pośrodku nas, jeden z synów ludzkich, nasz towarzysz, przyjaciel, brat, porwany z ziemi, przeniósł się do wieczności; z nim skończył się jeden świat, którym był on sam; skończyła się jedna historia, ta jego. I już wiemy co tu czynić mamy. To sądy ludzkie, ślad jakiś i cień sądów Bożych. Jesteśmy na sądach. Wyście mimowolni może, ale konieczni widzowie, słuchacze, świadkowie, zatwierdźciele wyroków; ja także mimowolny, ale w tym razie niemniej konieczny ich woźny i głosiciel. Sądy mówię, ale z pociechą dodam: ani dla was, ani dla mnie nie straszne. Jakkolwiek do nich przystępujemy z miłością, będą takie żeby nas nie przeraziła i sama sprawiedliwość. Na szczęście nie będę ja miał nic do przemilczenia, bo i winy same śmiało objawić można kiedy się przemieniają na większe zasługi; a wy nie z mniejszą pociechą, nie będziecie mieli nic do dopełnienia, bo ten który nam zabraknął, jeszcze za życia swego wszystkie takie pośmiertne możebne dodatki z góry przemazał. A więc z obu stron bezpiecznie i w imię Boże przystępujemy do sprawy; czeka nas wzajemnie nie zgorszenie żadne, ale nauka, pociecha, pokrzepienie, zbudowanie.

Co żeby tak było, a proszę o to Boga, przed zaczęciem jeden wam mój zamiar odsłonię. Wspomniałem wam o grze mądrości i miłości Bożej w tym wielkim świecie i w tych mniejszych światach ludzkich. Zamiarem moim tedy, Boże daj, by nie zuchwałym! zamiarem moim w tej potrzebie będzie odgadnąć myśl Bożą, i tę, jak nazwałem, grę Bożą w tym właśnie człowieku, którego nam Bóg zabrał.

Tylko wtedy gdy się do tego odgadnięcia przybliżę, i wykażę w człowieku nie ludzkie ale Boże sprawy, wtedy tylko odejdę spokojny; albowiem wtedy dopiero i Bogu dam chwałę, i zmarłemu co mu się należy, i wam, najmilsi, to, którem się przyrzec ośmielił, chrześcijańskie zbudowanie.

Onufry Antoni ze chrztu świętego, a Józef z bierzmowania, Nałęcz Korzeniowski, urodził się w czerwcu 1807 r. na Podolu w miasteczku Winnicy, z ojca Dyonizego Korzeniowskiego, sędziego ziemskiego winnickiego, i z matki Tekli, z domu Moczulskiej.

Tu zaraz na wstępie, dla mających opowiadać cały żywot naszego zmarłego, nie są dla nas zgoła obojętne pierwsze wrażenia działające na duszę jego młodocianą, wrażenia od których jak od pierwszego popędu, zwykle cały dalszy ruch i kierunek życia zależy. Wiemy na szczęście że były pomyślne, że dom rodzicielski Onufrego był gruntownie chrześcijański, gdzie do starej polskiej cnoty, przydawano starą żywą wiarę i chrześcijański obyczaj. Wiemy też z drugiej strony, że ta sama Opatrzność, która tak u progu życia zabezpieczała pierwsze kroki naszego młodzianka, czuwała dalej nad jego duszą; i już zawczasu dotknęła jej skąd inąd miłosierną ręką, by w niej zbawienne ziarno na przyszłość złożyć, tę tajemnego przeznaczenia siłę, znowu u wstępu zabezpieczającą nie już tylko pierwsze kroki, ale cały dalszy żywot i jego błogostawiony koniec. Tem opiekuńczem zrządzeniem Opatrzności, było oddanie młodzianka do szkół niedawno założonych w Romanowie przez twórcę tej miejsciny, senatora Ilińskiego, a powierzonych przezeń OO. Jezuitom. Działo się to na kilka miesięcy ledwie przed ciosem, który ostatecznie rugował towarzystwo Jezusowe z krajów pod berłem rosyjskiem zostających; ale te sześć miesięcy przepędzonych pod tych mistrzów pobożnych okiem i wodzą, były iście dla naszego Onufrego jakoby podwaliną, wykopaną na cały dalszy gmach żywota. Może się tam później naproszyć śmiecia, może nasypać niepotrzebnego rumowiska; ale to wszystko uniesie wichry następnych doświadczeń, wymiecie burza ciężkich prób żywota; co naleciało precz pójdzie, a jak plac będzie czysty, pokaże się na nowo dawna podwalina, i rozpocznie się na niej już trwała budowa.

W braku szkół Romanowskich, młody Onufry pobiera dalsze nauki w gimnazyum winnickiem, tem gniazdku umysłowem, z którego wyszło niejedno orle; tam się chował Bohdan Zaleski, Michał Grabowski, Mianowski i inni. Bystrość pojęcia i gorliwość w pracy przesuwają lotem błyskawicy przez sale szkolne naszego ucznia, i już w piętnastym czy szesnastym roku

życia znajduje się w Warszawie, gotów już przekroczyć ten próg, który rozgranicza przysposobienie się do życia od życia samego. Takim krokiem stanowczym jest wybór żywota. Onufry wybiera: będzie żołnierzem.

Co go spowodowało? Patrzcie jakie dojrzałe myśli w tej młodziutkiej głowie. Już mu serce dawno kazało poświęcić się ojczyźnie, ono tem tylko żyje; ale serce choć jest dobrym pobudzicielem, nie przeto jeszcze jest doskonałym doradcą. Święta to rzecz służyć ojczyźnie; ale mądra wtedy dopiero będzie, gdy ją poprowadzi zdrowy rozum i dobra rada; że jeszcze tu nie wspomnę o tej wyższej mądrości, która od Boga pochodzi. Nasz Onufry, choć o tej ostatniej w tej chwili nie pamięta, tedy po ludzku tem więcej zapewne myśli jakby owych najrozsunniejszych środków użyć, by zadość uczynić tym swoim najgorętszym pragnieniom. Ojczyzna musi być swobodną, wielką, szczęśliwą, a on musi być sprawcą, jednym przynajmniej ze sprawców, jej wielkości i szczęścia.

Człowieku! który chcesz jedne góry obalać, a drugie dzwigać, jeżeli nie masz Boga za sobą, jeżeliś bez Chrystusa i bez tej Jego wiary, która góry przenosi, cóż ty masz w tych ludzkich sposobach, czembyś mógł dzieła zamierzonego dokonać? Zaiste ci mówię: nie masz nic z goła! Ale ty mi nie wierzysz; ty mniemasz mimo wszystko, że dziełu podołasz, że masz sposób, masz podporę, masz potęgę; i już z góry patrząc z uśmiechem na przeszkody spotkać cię mające, pokazujesz mi co zacz ona, ta twoja potęga: to siła materyjalna rozumnie użyta.

Tak sądzi niechybnie każdy człowiek na samym sobie oparty. Azaliż dzisiaj nie tak samo sądzi świat cały? I nie według tego-li postępuje? Przebaczmy tedy młodzieniaszkowi, że onego czasu i on tak samo się łudził; raczej to mu poczytajmy jako zastugę, że gdy świat starym będąc w ten błąd wpada, on się go dopuścił, będąc jeszcze młodym.

Rachuba naszego niedoświadczeńca była prędko przeprowadzona. Wojsko jest siłą, a więc trzeba być żołnierzem; lecz wojska samego ostatnią siłą jest ciężka broń działowa, a więc trzeba być artylerzystą. I Onufry zaciągnął się do broni artylerji.

Z całym zapalem gorącego serca, z całą siłą swego niepospolitego talentu, ale co większa, z całą mocą swej niezłomnej



woli, a więc z żelazną wytrwałością, zabiera się do rozpoczętego zawodu. Pierwszy jego okres musiał koniecznie znowu być szkołą. I tego też pragnie nasz młody żołnierz; albowiem już słyszeliśmy, że za siłą i wyżej nad samą siłę stawiał rozumne jej użycie, a więc rozum i umiejętność. Nasz Onufry przez całe lat siedm, które przedzielają tę pierwszą jego chwilę służby wojskowej od powstania 1830 r. można powiedzieć że ciągle się uczył; już powstanie wybuchło, a on jest w szkole bombardyerów. Oficerem jeszcze nie jest: nie dlatego, żeby już dawno na to nie był zasłużył; jest inna przyczyna, a czemuż nie mielibyśmy jej powiedzieć? Naraził sobie całe grono oficerów, kiedy niepomysłnym przypadkiem stracone zapiski kieszonkowe dały im poznać zbyt swobodne, zbyt może dowcipne, a w każdym razie zanadto zdaje się prawdziwe sądy jego o nich. Musiał wždy za to odpokutować; ale dla ludzi jego rodzaju wszystko zamienia się w lepsze. Nasz Onufry okrom większego umiarkowania jakie stąd odnosi w korzyści, uczy się być tem zdolniejszym później oficerem: lepiej zadanie wypełnia, kto się do niego dłużej przygotowuje, tak że nie tylko mógł przez kilka miesięcy naszej wojny dojść do stopnia kapitana i pierś ozdobić krzyżem; ale niechybnie, gdyby wojna była drugie tyle potrwała, byłby jeszcze prędzej doszedł najwyższych w wojsku stopni.

Lecz my wracamy do chwili powstania 1830 roku.



W ilu to ziomków naszych życiu owa epoka 1830 r. jest chwilą stanowczą, chwilą przesilenia: całe niemal jedno pokolenie synów Polski cechuje tą datą swoje istnienie! U naszego Onufrego to się tu jeszcze wzwyż nadto spotyka, że w jego życiu ta chwila zbiega się z chwilą, w której bierze koniec jego wiek młodzieńczy, a rozpoczyna się męzki. Młody on jeszcze wprawdzie, zaledwie dwadzieścia i trzy wiosny widział; ale mu nie czas być dalej młodzieńcem; czeka go więcej niż męzkie zadanie do spełnienia, tu się waga losy narodu: tu trzeba od każdego dzielnej prawicy i doświadczonego rozumu. Trzeba? więc jest. I nasz młodzieniec staje do dzieła dojrzałym mężem.

Idźcie raczej za mną słuchacze! Ja wam pokażę czyny, a wy mi potem powiecie czy to są czyny pospolitego człowieka.

Powstanie 1830 r. uderżyło jak piorun z pogodnego nieba. Zatrzęsły się podwaliny przynajmniej dwóch narodów: naszego chcącego się podnieść do góry; moskiewskiego, już, już przełkniętego, czy nie runie do przepaści? Prawda, nie była to godzina naznaczona przez Boga. To przecież dobrze widzi, kto jeno patrzeć umie i chce, że nam Bóg z początku błogosławił. Dał siły, dał zasoby, dał nawet ludzi; dał krom tego, co daleko cenniejsze, dał zapał, dał wolę, dał pewną zgodę i jedność, pewien nawet rozum; dał wzwyż tego wszystkiego, i postawił na czele męża wiary, który się nie wstydził kłaniać Bogu, i wyznawać publicznie Chrystusa. Bez zwłoki dał i tryumfy: Wawer, Dęby, Iganie, spadały jak gromy jedne po drugich: zdawało się, cios jeden jeszcze, cios ostatni, a zaśpiewamy hymn dziękczynny. Sam nieprzyjaciel głośno wołał uciekając: że z nami Bóg, że nad naszymi zastępami świeci jasna postać Przenajświętszej Panny! Nie masz wątpliwości, Bóg nam błogosławił! Nie moja rzecz odslaniać przed wami drugą stronę karty, i czytać odwrotnie tam zapisane przyczyny naszego dalszego niepowodzenia i niebłogosławieństwa. Komu z nas Bóg otworzył oczy i napełnił światłem wiary, ten dobrze wie o nich; i dawno za nie, tak jak zacny nasz nieboszczyk, przejednywa Boga. Jeśli wspomniałem tu o tej początkowej opiece Bożej nad nami, tedy dlatego, aby z nią powiązać wypadki, o których mam mówić; głównie zaś dlatego aby wystawiwszy to opatrne zdarzenie, że się znaleźli ludzie potrzebni i dorośli do wielkości zadania, okazać właśnie w tem świetle czyny naszego zmarłego, i tem samem dowieść, że on między nimi nie ostatnie zajmuje miejsce.

Jeśli powstanie nasze uderżyło niespodzianie jak grom, ta jego niespodzianość nie tylko nieprzyjaciół, ale i nas samych również podchwyciła. Nic nie było przygotowanego do tak nierównej walki. Szczególniej też nie było dostatecznej artyleryi, a mianowicie ciężkiej, pozycyjnej. Z powiększeniem liczby wojska, potrzeba było koniecznie i tę odpowiednio powiększyć; a taka praca i wymagała wielkiej znajomości ze względu na rzecz, i wielkiej pracy, gorliwości i mocy wytrwania ze względu na okoliczności i na ostateczny brak czasu. Albowiem nieprzyjaciel nie dawał się czekać, i już zalewał granice kraju. Powierzono organizację tej broni pułkownikowi Dobrzańskiemu; ale ten

od lat kilkunastu nie pełniący już służby frontowej, nieobeznany zresztą z obecnymi żywiołami wojska, sam czuł się mniej zdatnym do tak ogromnej pracy, i oglądając się na wsze strony, by znaleźć pomocnika, rychło odkrył naszego Onufrego, świeżo mianowanego oficerem, i przyzwał go do swego boku jako adjutanta brygady. Pięknie i skromnie wspomina o tej ważnej w swem życiu chwili on sam, we wspomnieniach jakie zostawił. „Podjąłem się, prawi, tego obowiązku, bo wymagał nadzwyczajnej pracy, a czułem, że mu odpowiedzieć mogę!” Od tej chwili Korzeniowski jest duszą tej roboty, on myśli o wszystkim, wszystko urządza, wszystko czyni; i nie upłynęło kilka tygodni, a on pięć ciężkich baterii, każda po dział ośm, wyprawiał na Pragę jedną po drugiej; i ta nowa artylerya, kilku tygodni dzieło, nie ustępowała w niczem starej, której utworzenie kosztowało lat kilkanaście. Tak więc, jeśli pod Grochowem przeciw trzystu przeszło działom Dybicza mogliśmy z naszej strony wystawić choć sto dwadzieścia, tedy już widzimy, jak w znacznej części było to zasługą Korzeniowskiego.

Po dokonaniu tego pięknego i nie małego dzieła, Korzeniowski odetchnął, ale ani chwili nie spoczął. Trzeba ratować ojczyznę; nie trza czasu tracić! To mu jedno w głowie, to jedno w sercu. Lecz jeśli ratować, to rozumnie; i jeśli pobić nieprzyjaciół, tedy ostatecznie. A więc na tyły mu się rzucić, koniecznie na tyły! Ta druga myśl teraz równoważy się z pierwszą, i on sam nam powiada: „Zaledwie ostatnią z tych baterij wyprawilem na Pragę, poszedłem do Naczelnego Wodza, z prośbą...” — A jaką? Aby pójść na Wołyń i jako wyjaśnienie niesie z sobą cały plan tej wyprawy. Szczegóły muszę pominąć. Uradzona już była wyprawa Dwernickiego; ale do tego korpusu nie miano zgoda artylerji, a bez niej połowa skutku była zgóry stracona, może wszystko na szwank narażone. Zkąd wziąć artylerję? „Jutro rusza korpus, mówi przychodzącemu Korzeniowskiemu przed wejściem na radę wojenną generał Prądyński, ile ci czasu potrzeba, aby twoje sześć dział zorganizować?” — „Do jutra niepodobna, rzeknie nieustraszony organizator, ale pojutrze wszystko będzie“. A tu tymczasem były tylko działa gołe, reszty nieużytych z parku; lecz przy nich ani ludzi, ani koni, ani co najważniejsza oficerów. — „Zgoda odparł, Prądyński, pisz sobie sam rozkazy, które ci potrzebne!“ W czter-

dziestu osmiu godzinach bateria stanęła, podczas drogi do-  
uuczano się musztry, pod samym Stoczkiem dopędzone Dwer-  
nickiego; i kiedy nazajutrz zrana nasza jazda nie wiedząc  
jeszcze, że ma za sobą własną artylerję, mimo całej walecz-  
ności, wahała się czy ma co poczynić na widok licznej artylerji  
Geismara, zagnęła odzywające się działa z naszej strony, jakby  
elektrycznem uderzeniem obudziły odwagę i zapał. Z wesołymi  
okrzykami idzie pierwsze natarcie, bocznem, bo dogodniejszem  
zajściem, na prawe skrzydło nieprzyjaciela; wtedy pułk jazdy  
przeciwnej, aby natarcie przyjąć, ku nacierającym szeregom  
czołem się obraca, i naszej artylerji bok zdaleka podaje. W tejże  
chwili Korzeniowski, na wszystko bacznym, przestaje odpowia-  
dać artylerji nieprzyjacielskiej, choć trzykroć liczniejszej i sy-  
piącej koło niego kulami jak gradem, a obrociwszy działa ku  
jeździe przeciwnej, najszcześliwiej wymierzonym ogniem wdrł  
linii frontowej szeregi jej ryje. Niebawem wszystko się tam  
miesza; tuż nasi uderzają zwartym zastępem; nieprzyjaciel na  
leń pierzcha i wpada na własną artylerję; ta już i uciekać nie  
wstanie, nasza jazda na kark im wszystkim wsiadła. I koniec  
wnet wszystkiemu: bo tymczasem Dwernicki resztą swej jazdy  
podobnem natarciem sam na lewe skrzydło uderza i podobnie  
przeważnie je łamie, a ono znowu na własną z tej strony arty-  
lerję wpada i z sobą ją porywa. Popłoch powszechnym się  
staje. Plac bitwy, dwanaście dział i innej zdobyczy mnóstwo  
zostają w ręku naszym.

Było to świetne zwycięstwo, to pod Stoczkiem, tem bar-  
dziej, że to była pierwsza bitwa w całej tej wojnie. Część tego  
zwycięstwa przywiązana została, i słusznie, do imienia Dwer-  
nickiego, niech mu się urzędownie należy: azaliż jednak za  
wiele bym powiedział, gdybym... Lecz nie powiem: wam raczej  
samym, lepszym sędziom, zostawiam wyrzec nie tylko w jakim  
stopniu Korzeniowski do tego zwycięstwa się przyczynił, ale  
czy nie jemu się należy sama możebność tej bitwy, a tem  
samem i zwycięstwa.

Lecz chcę cieli lepiej poznać człowieka, i bystrego a traf-  
nego dowódcę? Oto wraca z pogoni generał: oszukany fałszy-  
wemi wieściami, że z tyłu stoi dwudziestotysięczny korpus,  
nie śiega więc dalej i każe trzymać wszystko w porządku do  
odwrotu. Korzeniowski temu nie wierzy, ale co poczyni? Śród



powszechnego tedy wesela, gdy wszyscy się ściskają i winszują sobie, on co czyni? Niech nam sam powie: „Niezmiernie mi się, prawi, serce ścisnęło widząc wypuszczone z ręki owoce pięknego zwycięstwa, i siadłszy na ławeczce działa gorzkimi płakałem łzami!” Ten jeden rys niech starczy za wiele! I powiedziecie mi, najdrożsi! czy nie znamy już teraz naszego człowieka?

Idźmy tedy dalej. Mogę odtąd być krótszym i to mi na rękę, bo krótszym być muszę. Korzeniowski z dział zabranych, jedne odsyła do Warszawy, te które sam kulami poorał i niezdatnymi do boju uczynił; tak się spisywała improwizowana przez niego artylerya! drugie w liczbie sześciu, zdrowe i całe, do służby doraźnej przyrządza, i w mig, z konia, że tak powiem, niezsiadając, nową organizuje baterję, ten niezmordowany, nieustanny rzekłbym, nasz artyleryi organizator. Od tej chwili dalszy zawód Korzeniowskiego połączony jest ściśle z korpusem Dwernickiego i losy ich wspólne.

Ale już nie wolno mi dalej ciągnąć mego opowiadania, noc by mię zaskoczyła i chociaż pewien jestem, żebyście mnie słuchali, są jednak granice, których przekroczyć nie trza. A szkoda, iście szkoda! Wytoczylibyśmy sobie przed oczy, aby z upodobaniem nań patrzeć, szereg cały czynów prawdziwie dzielnych, mądrych, rozumnych, silnych: powiem właściwe słowo, bohaterskich. Jeden atoli lub drugi z tych czynów muszę tu wymienić dla samego powiązania tej mowy z tem co później nastąpi.

Pod Borembiem był dzień stanowczy, jeden z tych dni krytycznych, w których się sprawa przesila, którego wypadek gdyby był inny, szala byłaby się przeważnie na stronę przeciwną nachyliła, na pomyślną dla nas stronę. A tak mało brakowało! Już od rana chodzono z nieprzyjacielem w zapasy z obochwiejnem szczęściem; jazda nasza przypominała sobie swoje świetne chwile, ale i nieprzyjaciel w jazdę także potężny, brał nieraz odwet. Szczególniej pułk księcia Oranii nie tylko odparł, ale nawet przeparł naszych i zwracając się w inną stronę stał się jakoby jądrem siły nacierającej nieprzyjaciela, i już się formował na przeciwległej wyżynie z innemi oddziałami w wielką masę kawaleryi. mającą uczynić stanowczy napad. Korzeniowski swym trafnym poglądem upatruje pomyślną chwilę,

nie mogąc odnieść się do generała, bierze na siebie swój zamach, uprasza podpułkownika Terleckiego, dowodzącego dwoma dywizyonami ułanów przy działach stojącemi, by zasłaniając z przodu działa, uczynił udane natarcie: już jazda posuwa się naprzód, za nią ctery działa i ich rycerski dowódca, już przebywają wyżynę, z tej strony naprzeciwko tamtej leżącą: z wyżyny jazda pędem się puszcza i zatrzymuje się u dołu, gdy tymczasem działa nasze w pędzie na wzgórzu utkwione, już się obróciły ku owej całej masie kawalerji, i ponad głowami naszych ułanów miotają pociski: już śmierć po szeregach nieprzyjacielskich obiega. Rzadkim przykładem, w przeciągu kilkunastu minut wystrzelono siedmdziesiąt dwa nabojuów kartaczych; nieprzyjaciół był tak blisko, że nie już konie, ale każdego człowieka spadającego widać było dokładnie, i było też słyszeć doskonale, po chwili wabania się jednak ze strony nieprzyjaciela: „w tył, galopem!” Uciekli, a jakby śniegiem popruszone zaświeciły wzgórza od białych koni na placu leżących. Można było, trzeba było korzystać. Ale wtedy już niebo same zdawało się przeciw nam oświadczać. Powstaje wieher straszliwy, i nam w oczy; po nim ulewa ogromna, bitwa zostaje przerwana. Kiedy słońce na nowo zajaśniało, nieprzyjaciół, z burzy choć sobie pomyślniej, tyle tylko skorzystał, że stanął skromnie zdaleka: naszemu atoli dowódcy serca zabrakło uderzyć. Nie narzekajmy! Bóg nie chciał, aby je miał wtenczas, inne były Jego wyroki: a naszemu rycerzowi to jedno i teraz pozostało, co po bitwie pod Stoczkiem. Odszedł i gorzko zapłakał.

Wtedy znowu o tym drugim czynie co powiem, który dorównywa pewnie najśmielszym, a zarazem najprzezorniejszym jakim kiedykolwiek w wojnach dokonano. Korpusowi zabrakło amunicji: na to, skąd jej dostać? już i rady nie ma. Ale nie: Korzeniowski ma radę, i nie tylko radę, ale i wszystko czego potrzeba do jej wykonania. Tu wszelako o nic mniejszego nie idzie, jedno o sprowadzenie amunicji z Zamościa, a sprowadzenie jej kędy? najprostsza drogą przez Austryę. Może wam dziś jeszcze ta myśl wydaje się niepodobną? Macie słuszość po-niekąd, ale u Korzeniowskiego choć niepodobna, stała się ona czynem. Przedziera się przez całą przestrzeń, która go od Zamościa rozłącza, stawiając w każdej chwili na sztych osobę swoją i życie, bierze cały potrzebny zapas tak pożądaney amu-

nicyi, organizuje znowu cały tabor przewozowy, z pociągów, koni i ludzi, wchodzi do Austrii i po niesłychanych wysiłkach rozumu, przytomności umysłu, woli i jakiegoś arcyraadkiego hartu moralnego całej istoty, przewozi nareszcie kosztowną zdobycz, całą i bezpieczną, na ten punkt granicy rosyjskiej od strony Austrii, gdzie z drugiej strony miał obozować Dwernicki. Niestety! on już obozował z tej strony, już był złożył broń, a każdy z was niech osądzi co na ten widok działo się w duszy tego człowieka, kiedy za nadludzki swój trud odbierał tak gorzką zapłatę! Tu dopiero nie mu innego nie pozostawało jak ostatecznie załamać ręce i zapłakać, bardziej niż kiedy serdecznemi łzami.

Lecz czy myślicie, że się na łzach skończyło i na załamaniu ręki? Wybaczcie, ale w takim razie jeszcze go nie znacie; nie znacie go jeszcze powtarzam, jeżeliście się odrazu niedomyślili, co on natychmiast bez namysłu uczynił. Oto cały swój tabor ku Polsce ryczałtem zawraca: Zamość daleko, ale myślą on już w nim stoi, droga trudna i niebezpieczna, ale on już ją całą w swej woli przebiegł na nowo; życie można znowu na utratę stokrotnie narazić, ale czyż ono u niego tyle warte co amunicya tak potrzebna ojczyźnie? Więc się ani kęs nie waha, natychmiast prowadzi swój skarb na powrót, los pomysłny jakby się nie chciał dać zwyciężyć takiej szlachetności, prowadzi śmiałka z jego skarbem zdrowo aż do kresu, i pozwala mu go złożyć cało i bezpiecznie na nowo w Zamościu.

Najmilsi moi, wybaczcie! Ludzkie to tylko czyny, i ludzkie cnoty nawet nie ożywione jeszcze wtedy świętem technieniem wiary; a ja jednak kapłan Boży i sędzia uczynków według zakonu Bożego, opowiadam je wam z pewną jakąś pociechą i upodobaniem. Sądzę wszelako, że mię rozumiecie. To tak miło spocząć myślą i sercem na tem co piękne, szlachetne, a zarazem rozumne i silne; a jeśli mam całą myśl powiedzieć, tedy tak trzymam: że i w tych już czynach naszego bohatera była iskra Boża na dnie ukryta; przecież na jego duszy raz już wyciśnięte spoczywało piętno Chrystusowe, i że w każdym razie była to bogata podstawa naturalnych przymiotów, które miała potem łaska uświęcić; a nam przystało byśmy im byli radzi i z serca błogosławili.

Kilka słów już teraz, nie więcej, o dalszych obrotach Korzeniowskiego do końca naszej wojny. Chociaż dowodził tak znaczną artylerją, był on dotychczas porucznikiem tylko; miał już prawda i na piersiach krzyż „virtuti militari”. Przybywa z Zamościa do Warszawy, bo jeszcze ratować można ojczyznę, on tej nadziei nie złoży nawet kiedy już żadnej nadziei nie będzie, przynajmniej na chwilę obecną. Przybywa, stuka, woła, błaga, ofiarując swoje usługi. Te usługi wszyscy już wiedzą, jakiej są ceny. To też go spotyka pierwsze uznanie, zostaje kapitanem. Lecz nasz dwudziesto-cztoroletni kapitan, który przez to pół roku przeżył ówierć wieku, czuje się w całej sile swojej dojrzałości i woła czynu. Znaleziono rychło dla niego czyn odpowiedni. Wojna przybierała rozpaczliwą cechę, postanowiono ogłosić pospolite ruszenie. Powierzają mu tedy, jemu doświadczonemu organizatorowi, organizację powszechnego ruszenia w województwie sandomierskiem. Rusza w stopniu wprawdzie kapitana, ale z daleko obszerniejszymi władzami, i znowu ze zwykłą energią i pośpiechem stawia w krótkim czasie pierwszy batalion nowo zaciężnych. Tymczasem już nadchodziły ostatnie chwile. Po wzięciu Warszawy korpus Różyckiego udawał się w Krakowskie, tam Korzeniowski przyprowadził mu ów batalion, ostatni wysilek swojej nadzwyczajnej czynności. Ale już nie nie pozostało do przedsięwzięcia, już wszystko było stracone. Wkrótce Różycki na granicy austriackiej broń złożył, wszedł do Galicji a z nim i luźny przy jego sztabie Korzeniowski. Dziwne zrządzenie! On, który nieustannie koło siebie tylu ludzi poruszał, tylu ich, że tak powiem do życia powoływał, on, który nigdy nie zwątpił, i czuł zapewne jeszcze onej chwili silniej niż kiedy, że mógłby nie wiem co podzignąć i w ruch wprowadzić; kiedy jednak dla sprawy, której służył, ostatnia godzina wybiła, on także widział sobie wszystko odjęte; i sam bez nikogo, bez przewódcy nad sobą, sam jeden na końcu się zobaczył, jeszcze przed wyjściem z tej ojczyzny, do której już nigdy nie miał powrócić.

\* \* \*

Zatrzymajmy się... Teraz przed nami przepaść. Mamy cały ocean do przebycia, cały chaos do przeskoczenia. Mamy się przenieść z życia w ojczyźnie, do życia na tułactwie. Dzięki Bogu, że biednym wygnańcom miłosierdzie Najwyższe zasłone



wtedy na oczy spuściło, może inaczej byliby się wzdrygnęli na widok tego, co ich czekało. Tej ślepej a opatrnej odwadze winno swój początek tułactwo.

Już się niestety! zaczęło. Czy pójdziemy i tam za naszym nieboszczykiem? Ale tu właśnie czekała na niego Opatrzność, tu i nas ona woła na zbawienne widowisko, i na owe którem wam przyrzekł, chrześcijańskie zbudowanie. Miejcie cierpliwość. Dotychczas mówiłem o mnóstwie rzeczy, dlatego byłem przydłuższy; teraz tylko o jednej mam mówić.

Ażali słyszycie, najmilsi, ten wrzask niesforny, który nas dzisiaj jeszcze dolatuje z onych pierwszych lat tułactwa? Nie wiem, lepiej-li tam dzisiaj lub gorzej? lecz ja o tamtych czasach mówię. Ażali tedy słyszycie to przenajróżnorodniejsze wołanie? Słuchajcie uważnie, nieprawda-li to kiedy wam powiem: to wieża Babel! Synowie polscy, jak ongi synowie Noego, nie poradziwszy się Boga, zabierają się do odbudowania niebotycznego gmachu swojej ojczyzny; ale się im niestety pomieszały języki, i sąsiad nie rozumie już sąsiada, brat brata nie rozumie; oni jednak na przekór chcą wciąż budować, więc cóż odnoszą w korzyści? Coraz większe niepodobieństwo porozumienia się, coraz większe zamięszanie; i cała robota na tem się kończy, że już się między sobą i kłócą, i biją, a niedługo będą się między sobą i rznąć i zabijać. Nieszczęśliwy, kto w tym tłumie się uwija! Błogosławiony kto z niego zawczasu się wyrwał, lub nigdy doń nie należał! Kto do Boga wrócił, i pod skrzydłami jego przybytków kryje swoje nadzieje i uczy się mądrości.

Tym szczęśliwym był Korzeniowski. Jego zdrowy rozum wolność pojmował tylko pod władzą, i tylko przy porządku. Wszelkie stawianie pod kwestyę zasad samych, i wszelkie nad niemi sejmikowanie bez końca, było dla niego wstrętne i nieznośne, jak szal i obłąkanie. W demagogicznych zasadach widział czysty nierozum; a nie dla tej jasnej głowy nad nierozum nie było wstrętniejszego. Dał im przeto zawczasu odprawę, a zarazem uczynił rozbrat z wszelkiem nieplodnym i jałowem rozprawianiem. Natomiast jął się pracy. Uczęszczać nawet zaczął do szkoły min, aby uzupełnić teoretyczne swoje wiadomości: niezadługo mógł się umieścić jako dyrektor przy zakładzie wydobywania kruszcu miedzi, potem, korzystniej jeszcze,

na dyrektora przy wielkiej hucie żelaza w Landach, niedaleko Bordeaux. Ale w tem wszystkiem zawsze mu chodziło o wyższe cele, zawsze na dnie wszystkiego było tymczasem doczesne dobro ojczyzny, aż póki nie nadeszła błoga chwila, gdzie nad ojczyzną samą zajaśniał Bóg, a on w Bogu dopiero umieścić jak na dnie i samą ojczyznę.

Ta uroczysta chwila przyszła niebawem; bo jego wyższy umysł w szczęśliwym skojarzeniu ze szlachetnem sercem nie mógł długo pozostawać bez swego rodzinnego światła, bez Boga, dla którego nareszcie musiał przypomnieć sobie, i uczuć się raz przecie że jest stworzonym. Sześć lub siedm lat jednak upłynęło nim ta chwila nadeszła. Było to około roku 1838; Korzeniowski wtedy miał pełnych lat 30. Łaska Boża nawiedziła już była od pewnego czasu tułactwo polskie, na parę lat przedtem stało się kilka głośniejszych nawróceń; już się nawet zawiązało było gronko wspólnie żyjące tych nowo nawróconych, a do tego grona świeżo się przyłączył serdeczny przyjaciel naszego zmarłego, kapitan jak i on artylerji i od wstąpienia do służby druż nieodstępny <sup>1)</sup>. Coraz więcej tedy budziła się w tę stronę uwaga Korzeniowskiego, coraz bardziej zaostrzał się wzrok; a doznane z tych wypadków wrażenia dopominały się w głębi duszy o odpowiedź! Korzeniowski przed żadnem pytaniem nie cofał się dla tylnych jakichś powodów; w każdej odpowiedzi szedł naprzód bez trwogi aż do końca, i nie oglądał się na następstwa choćby też niewygodne, jeśli słuszne i konieczne. Kiedy kwestya religijna postawiła się przed jego duszą, przyjął ją szczerze, i dał szczerą odpowiedź! Został chrześcijaninem.

Alboż nim nie był? Zawołają zgodnym chórem ci wszyscy niby chrześcijanie, tacy właśnie jakim on był dotychczas, a niestety zbyt liczni; alboż nim nie był? Łatwa odpowiedź: Był takim jak i wy; tego dosyć: był chrześcijaninem z imienia, ale nie w rzeczy i istocie. Może tak jak i wy chodził do kościoła; może się nawet modlił, ale nie chodził do spowiedzi i do komunii świętej, nie miał ani życia chrześcijańskiego które daje pierwsza, ani zdrowia i siły które daje druga. O takim to mówi

<sup>1)</sup> Karol Kaczanowski, później kapłan i członek Zgromadzenia Zmarłychwstania Pańskiego, które z owych wyszło początków.

Chrystus w Objawieniu św. Jana, „Imię masz że żyjesz, aleś umarł.“

Błogosławmyż Boga na tym grobie brata naszego. I on kiedyś miał imię że żył, ale był umarły. Bóg spojrzał na niego, tchnął nań swą łaską, przemówił do serca, podał rękę, i żywego na nogi postawił. I odtąd on chodził po drogach Jego, a Bóg go karmił swą własną istotą, i stawał się coraz silniejszy, coraz więcej czerpiący ze źródła żywota, coraz pełniejszy światła, ognia, mocy; aż póki go Bóg poraz drugi i ostatni nawiedzając, kiedy już przyszedł do dojrzałości swego przeznaczenia, nie podał mu znowu swej ręki i nie przeniósł do innego żywota, z tego, mówię, ledwie rozpoczętego na ziemi, do owego skończonego już w niebie, choć nie kończącego się nigdy. I tak spełnił w nim co sam przyrzekł: „Kto wierzy we mnie, choćby umarł żyć będzie!“ Patrzcie na ten los szczęśliwy tego brata naszego. Niechże się wam nie zdaje, że umarł. On teraz przeciwnie ma się lepiej, niż wprzód z nim było: wprzód miał imię tylko że żył, ale teraz ma imię tylko że umarł: on wtedy był umarły, ale dzisiaj on żyje i żyje na wieki! Błogosławiony Bóg, który to dziwo uczynił!

\* \* \*

Ale się zapominam. Muszę przecież choć w kilku słowach wystawić obraz jakikolwiek dzieła Bożego w tym bracie naszym, dzieła dopełniającego się stanowczo w dalszym żywocie, odkąd prawdziwie żyć zaczął.

Moi najdrożsi! Czy chcecie wiedzieć w czym to zaszła główna zmiana w duszy naszego nieboszczyka, odkąd Bogu tę duszę oddał? i jaki stąd na zewnątrz okazał się znak oczywisty tej cudownej przemiany? Jużci najgłębsza zmiana w tem była, że tam stanęła miłość Boża, jako pierwszy i najwyższy zakon żywota, że tam stanął Chrystus, jako początek i koniec, Alfa i Omega, pierwszy i ostatni całego istnienia i życia. Ale znak, znak na zewnątrz tej cudownej zmiany? Proszę o baczność, najmilsi! wielką wam rzecz wygłoszę. Tym znakiem jest prawdziwa, wielka, głęboka miłość Kościoła.

Czyście słyszeli? Miłość Kościoła! A że Kościół znowu koniecznie jednoczy się w swojej głowie, więc miłość tej głowy Kościoła, miłość Papieża! Czyście słyszeli! Kto tej miłości niema, kto niema w sercu miłości zastępcy Chrystusa na ziemi,

kto tego znaku na czole, na ustach, na rękę nie nosi, ten niech sobie daremnie nie tuszy, że ma miłość Boga w sercu, że jest chrześcijaninem. Próżno się łudzisz mój bracie! Nie widzisz, że nie masz znaku na sobie! Wszedłeś, to prawda, do izby godowej, ale szaty godowej na siebie nie wzięłeś. Uciekaj czempredzej, bo król idzie; wrzuci cię w ciemności zewnętrzne. Albo raczej wdziej na siebie godową szatę, tę miłość świętą, o której ci mówię, wdziej ją na siebie póki czas, a zasiądziemy razem do uczty weselnej i będziemy biesiadowali z Bogiem samym na ziemi całe życie nasze.

Tak uczynił nasz miły nieboszczyk, i ta już jest ta jedna rzecz, o której mi mówić zostaje: ta jego miłość przedziwna dla Kościoła i dla Papieża, znak nieomylny i owoc najwdzięczniejszy jego miłości dla Boga, piętno pierwsze i ostatnie prawdziwego chrześcijanina. O tem jednym już mowa.

Zaczekaj! nagle się odezwie ten, i tamten. Więc nam nie już nie powiesz o tej przedziwnej miłości bliźniego? tak obfitej, tak przemyślnej, tak bogatej, tak wytrwałej?

Czy nie wiesz jak on we Francyi jeszcze będąc, dzielił się wszystkim z potrzebującemi? Jak wspierał uczących się? Jak opatrzenie zajmował się nie mającymi przytułku, schronienia, zarobku? Jak opiekował się wszelką biedą i nędzą?

Czy nie wiesz jak on w Rzymie podwoił to wszystko? Jak płacił swoją osobą? Jak chodził do biednych, do chorych, do więźniów? Jak miłośnie zajmował się pielgrzymami? Jak tych pielgrzymów sam oprowadzał, sam wszystkiego uczył? Jak dom jego był dla nich wszystkim: wypoczynkiem, przytułkiem, gospodą, jeśli potrzeba było, szpitalem nawet, a jeśli inaczej Bóg zdarzył i salą godową? A on tego wszystkiego duszą i życiem? Jak płacąc osobą swoją, płacił zarazem i mieniem? Jak skromnie, jeśli nie ubogo, sam się nosił, choć mógł inaczej, byle tylko mieć więcej dla bliźniego?

Czy nie wiesz, że to nie było chwilowe, przypadkowe, od humoru zależne; ale stałe, rozmyślnie, i z przyjętego obowiązku, i jako cel wyraźny przedsiębrane, a tem samem, że to było cnotą prawdziwą i coraz wyżej rosnącą? a więc i powodem słusznym wielbienia i powodem zbudowania?

Czy o tem wszystkim nie wiesz? alboliteż wolisz milczeniem pominąć? Wiemci dobrze o tem wszystkim, ale i to



wiem również, że aby o tem mówić jak rzecz na to zasługuje, tedy nie wolno by mi poprzestać na tej pobieżnej wzmiance. Łączyłem się więc dotknąć tego przedmiotu, a teraz dość mi na tem, że o nim sami wiecie. To jedno za wami z obowiązku powtórzę: tak jest iście jak wasz głos twierdził: to wszystko nie było przechodnem tylko jakimś zachcieniem, potrzebą jakąś ślepa, choćby często wracającą, dobrego jak to mówią serca, nie, to była prawdziwa cnota, równa sobie samej i niezachwiana, cnota, której Bóg był początkiem, Bóg był końcem, a wola Boża stała się i zawsze żywym prawdem. Ona jedna była zdolna poświęcić całe życie. Jaki piękny owoc duszy oddanej Bogu! Jaki wspaniały dar Boży i z jego strony nagroda. Niechaj przynajmniej tej wzmianka pozostanie na tym nagrobku wyrzyta!

\*     \*     \*

Ale mię teraz tem bardziej czeka po pobieżnem powitaniu tej miłości bliźniego w nieboszczyku naszym, ona pierwsza miłość, miłość o której mówiłem: miłość Kościoła, miłość jego głowy widomej, Papieża, zastępcy Chrystusa Pana na ziemi. Cóż powiem? Chciałbym w jednym rysie, a przynajmniej w jednym obrazie skreślić cały ten przedmiot, który teraz tak posiadał duszę naszego Korzeniowskiego, i tak ją posiada. Cóż tedy rzeknę? Może to jedno słowo. Już widzieliśmy Korzeniowskiego miłość dla ojczyzny przypomniemy tak on o samem życiu nie myślał, owszem szczerze je na ofiarę dawał, gdzie choćby najmniej dla ojczyzny upatrywał pożytek. A jeżeli pamiętamy, powiedzmy teraz, że w tej wielkiej przemianie, która zaszła w jego duszy, miejsce ojczyzny zastąpił Kościół: nie zent ojczyzna co na tem straciła, lub tem mniej z duszy była rugowana, ale że ojczyzna weszła do Kościoła, a Kościół objął ojczyznę i przytulił do łona, że jedna i druga skleiły się z sobą nierozłącznym sojuszem, i że odtąd dla tej chrześcijańskiej duszy ojczyzny bez Kościoła nie ma. A wszystko stoi na swoim miejscu: Kościół jest pierwszym, Kościół jest wszystkim, bez Kościoła ojczyzny nie ma; ale jest i ojczyzna, i tem bardziej jest, że Kościół stał się jej nieśmiertelną matką. Tym sposobem Kościół cnotę ojczyzny nie rugował, chociaż ją owszem namiętnie, poświęcił i uczynił godną wyższej miłości, ale tem samem, że na niej swe piętno położył, bez którego ona już nie ma znaczy, tem samem ją zastąpił, stanął na miejscu.

które ona jedna zajmowała w duszy, i tak wszystko doprowadził do Bożego porządku. I oto już rozumiemy co się stało w duszy Korzeniowskiego, i co to znaczy ta miłość Kościoła i ta miłość Papieża, która w nim odtąd panuje.

A jeżeliśmy to zrozumieli, wždy i to już pojmiemy jakim teraz nowym ogniem pała ta dusza, i jak się znowu chce poświęcić, chce się dać na żertwę; tylko teraz o ile święciej, o ile głębiej i wyżej. Mówię wam zaiste, najdrożsi, bom czytał w tej duszy, mówię wam zaiste, że ją pożerała chęć ofiary dla Kościoła. Rozwijała się ona stopniowo. Z zajęciem przez Piusa IX stolicy Piotrowej wyszła na jaw, i wtedy chrześcijańskie ziarno żywota nie dawno zasiane, było już dojrzewało w tej duszy. Onego czasu razem z rozgłosem imienia Piusa IX przebiegła po całym chrześcijańskim świecie świetna lepszych czasów zapowiedź, zajaśniały jakieś błogie i wielkie nadzieje. Odbiło się to i w emigracyi naszej, a Korzeniowski jał się do tem czynniejszego jeszcze rozszerzania prawdy i królestwa Chrystusowego, któremu dotąd już jednak nie mało był trudów poświęcił. Zabłysły wnet i dla Polski niejaki widoki; rok 1848, poruszając Francję, zdawał się i gdzie indziej zapowiadać nowy porządek rzeczy. Nasi rzucili się ślepo w ten prąd, i już się im zdawało, że są na drugim brzegu. Dziwne to ułudy uniesienia! Czyliż nam dzisiaj z właściwego oddalenia na ową chwilę patrząc, nie wydaje się niewymownie dziwnem owo zjawisko, które podówczas każdemu z naszych zdawało się jak najprostszem; to mówię zjawisko, że wnet po rewolucyi lutowej w Paryżu wychodźcy polscy tworzą jedną wielką kolumnę, i bez innych podobieństw okrom ślepej wiary: że się stanie! bez innych zapasów krom chleba powszedniego na dni kilka, ruszają w drogę; gdzie? do Polski, kędy? przez środek Europy; z czem? z samem tylko jednym prawem swoim i z gołą nadzieją. Szaleni, prawda! Ale jakaż inna sprawa z pomiędzy spraw ludzkich taki dziwny szał obudza? I jakaż inną ojczyznę prócz Polski jej synowie tak szalenie kochają? Niestety, że i tą razą także nie pamiętali o Bogu, nie mieli Go z sobą, i bez Boga nierozumnie w drogę się puścili! Więc też nie doszli, dojść niestety nie mogli!

Bóg atoli nie zapomniat o swych zabłąkanych dzieciach, nie zapomniat i przysłał im posła od siebie, przysłał prawdziwego Apostoła. Był nim Korzeniowski.

Trudno opisać z jakim wiary zapalem, ale zarazem z jaką cierpliwością miłości, Korzeniowski spełniał swój urząd misyjonarza i Apostoła. Dawał braciom co miał najlepszego, dawał im duszę swoją. Chciał ze swej duszy w nich przelać Boga, Chrystusa, i ona, która wszystkiemu pieczęć daje, miłość Kościoła. Nie wiedział co go miało spotkać, a choć może i przewidywał, to go pewno nie wstrzymało. To nie jeszcze, że go z początku przyjmowano śmiechami i pomiataniem, krzycząc na Jezuitę, na papieżnika, jak zwykle bezrozum podobny czyni; przyszło do tego, że się rzucano na niego z gniewem i z wściekłością jak na jakiego nienawistnego wroga. Rzecz niepojęta! Czyż losem prawdy ma już być zawsze, że choć cicha i jasna, i miłości pełna, spotkać musi na końcu zajadłe krzyki na jej zagłuszenie, i rozwarte paszczęki na jej pożarcie? I czy to, co się stało z pierwszym jej mistrzem, najśłodszym Zbawicielem naszym, ma być zawsze udziałem i wszystkich uczniów jego? To przynajmniej spotkało naszego Korzeniowskiego, i gdyby nie dowódzca kolumny, zacny podpułkownik Borzęcki, niewiadomo jakich ostateczności nie dopuściliby się byli na tym pośle Bożym do siebie owi nieszczęśliwi Boga odtrąciciele. Stało się czego chcieli, a nasz Korzeniowski wyrzucony z ich obozu opuszczał ich bez goryczy w duszy, powtarzając niezawodnie swego mistrza słowa: „Panie przebacz im, bo nie wiedzą co czynią!“

Wypadki tymczasem kroczyły naprzód. Rozpoczyna się ruch we Włoszech. Korzeniowski cały szczęśliwy, że może coś czynić z Kościołem i dla Kościoła, a gdzie następnie może coś zyska i Polska, opuszcza Francję. Stara się naprzód coś dla Włoch uczynić, gdzie sam Papież prowadził ruch przeciwko Austrii podniesiony; z Maninem, dyktatorem Wenecyi, wchodzi w bliższe stosunki, zgoda przyjazne, które i dłużej przetrwają; daje Wenecyanom nacechowane trafnym sądem rady, a mianowicie, żeby się z Piemontem nie łączyli, chyba przyjaźnią tylko i sojuszem; atoli wkrótce pośpiesza do Rzymu i tu już ostatecznie dostaje się na miejsce, przeznaczone mu oddawna przez Opatrzność. Z tem przeniesieniem się Korzeniowskiego do Rzymu kończy się drugi, a zaczyna trzeci i ostatni okres jego żywota; i tym sposobem życie jego rozdziela się na trzy niemal równe części, których pierwszej była

świadkiem Polska, drugiej Francya, a tej trzeciej będzie miasto wiekuiste.

\* \* \*

Korzeniowski raz w Rzymie, znalazł się jakoby w rodzinnym swoim środku, jakby w ojczyźnie, jakby w domu. Jakże teraz ten ogień święty, o którym mówiłem, tu w ognisku samem Kościoła, u stóp Najwyższego Pasterza, na miejscach poświęconych krwią tylu ofiar tegoż ognia Bożego, jakże tu koniecznie tem więcej i już na dobre się zapala, i wszystko inne przetrawia i samowładnie duszę owładowywa! Mogę raz jeszcze zatwierdzić, że Korzeniowski odtąd jeden miał tylko przed sobą cel, jedno szczęście, jedno marzenie: jak niegdyś dla ojczyzny, tak teraz dać swoje życie, swój czas, swoje siły, a choćby i żywot sam dla Kościoła. Pospieszył za Papieżem do Gaety i tam miał szczęście więcej się przybliżyć do jego osoby; to też bez zwłoki ofiaruje się na służbę. Płodny swój umysł już obraca ku wynalezieniu sposobów przywrócenia Papieża i zabezpieczenia go na przyszłość; już mu się snuje przed myślą wielkie wojsko zakonnych rycerzy chrześcijańskich, już całe swe życie widzi poświęcone na bronienie noszącego osobę Chrystusa na ziemi. Dusza jego opływa w radość, bo mu sam Papież przyrzekł, że za powrotem do Rzymu będzie do służby wziętym. Piękne znowu nadzieje, jak na początku powstania, piękne na przyszłość zapowiedzie! Mimo ośmnastu lat ubiegłych od tamtej chwili, Korzeniowski uczuwa się równie młodym jak wtedy i by Bogu odplacić za tyle szczęścia, jakiego doświadcza, a razem pokutą przyspieszyć tę pożądaną chwilę powrotu do Rzymu, ślubuje Bogu, że jak żołnierz na wojnie, nie położy się do łóżka, aż póki razem z Papieżem do Rzymu nie wróci. Nie potrzebuję dodawać, że ślubu święcie dopełnił.

Niestety! za powrotem przemogły w radach Papieża przedstawienia niektórych ostrożniejszych dostojników, ażeby nie przyjmować oficera źle widzianego u rządu, który wszelako chciano oszczędzać. Rada zapewne była słuszna, ale złote nadzieje naszego zmarłego rozwiały się na długo. Nie wiem, czy i tu, również jak niegdyś, głowy przynajmniej nie spuścił i jeżeli nie zapłakał, tedy przynajmniej nad swoim losem gorzko nie westchnął.



Atoli nie dała się odstraszyć nieprzełomna dusza, w niej samej tlejący ów ogień nie pozwalał wyrzekać się myśli przynajmniej oddania się na ofiarę. Tymczasem służył jak mógł, dziwne nawet wynajdywał sposoby, o których nie mam czasu wspominać. A to czyniąc, czekał cierpliwie. Czyliż być może, aby nareszcie nie nadarzyła się okoliczność?

I zjawiła się. Nadszedł rok 1860; przybył generał Lamoricière, już nadchodziła burza, już w powietrzu wisiały Castelfidardo i Ankona. Było, było wiele do czynienia; pole wyborne i szerokie do ofiary. Płomień w duszy Korzeniowskiego znowu buchnął, nadzieja znowu zajaśniała jakimś jesiennym, ale tym miłszym brzaskiem; bieży, zgłasza się, ofiaruje się, błaga. Czyż go i teraz zawiedzie nadzieja? Jak tonący, i on też ostatniej deski się chwyta. Ale cóż? Prześladuje go iście jakby los jakiś zawistny, chociaż my wiemy, że to zrządzenie Boże; jakaś drobna okoliczność, jakieś więzienie w Ankonie, chociaż dla niego i dla jego miłości raczej chwalebne, ale to samo więzienie, ale skutki jego stają mu jakby umyślnie na zawadzie, i znowu okrutnie złamana nadzieja. I znowu trzeba głowę zwiesić i znowu gorzko westchnąć!

Ach, już teraz pewno inna nadzieja nie zawita. Już życie ku wieczorowi się schyla, i jeśli duch skory jeszcze, ale już ciało mdłe. Lecz nie! Oto się jeszcze śmieje stara a zawsze młoda łudzicielka, jakby chciała jakąś tajemniczą liczbę zawodów do końca odrachować. Tym razem błyska ze wzgórzów Mentany, a nasz rycerz ofiary, choć już nadłamany wiekiem i tyle razy odczarowany, choć mający nowe obowiązki, bo mu Bóg zesłał towarzyszkę życia, godną cnót jego i nowy przedmiot jego miłości i opieki, mimo to jednak nie umie odepchnąć tego nowego nadziei uśmiechu i bieży i prosi usilnie, gorąco, zupełnie naprawdę, prosi o tę ostatnią dla siebie łaskę, o tę możliwość ofiary, o to stwierdzenie czynem swojej miłości dla Chrystusa, dla Kościoła, dla Papieża. Wszystko nadarmo! I tym razem tylko zawód!

Ach, tym razem, już doprawdy ostatnim przed swoim własnym sądem, na widok tak ostatecznie zawiedzionej nadziei lat przeszło dwudziestu, nadziei całego tego, mówię, swego lepszego i prawdziwego żywota, ach! już nie wiem, czy nasz Korzeniowski zwiesił również głowę i gorzko zapłakał, jak

dawniej bywało, czy też raczej nie uśmiechnął się słodko i pogodnie, wiedząc, że już tu na ziemi więcej dla niego nie będzie zawodów, a pocieszając się tą już niemyślną nadzieją, że jeśli w swych niezbadanych wyrokaech Bóg mu nie dopuścił na ziemi tej tak pożądanej ofiary w czynie, przyjął jednak tem miłosierniej ofiarę w duchu i w woli, i że czyn niedokonany w tem życiu, ale okupiony tylu pragnieniami i tylu zawodami, ciąglą może boleścią, że ten czyn tu chybiony, tam się już cały ziścił, już żyje i świecić będzie na wieki. Wszakże ta jego ciąglą ofiara była ofiarą miłości, a miłość sama szczególnie w najwyższej swej sile, w ofierze, miłość sama jest czynem i jest nieśmiertelna!

\* \* \*

Słowo jedno, ostatnie, o jego zgonie. Umarł jak żył, w służbie miłości, na wyłomie poświęcenia. Ojciec święty robił wycieczkę do opactwa Trapistów, świeżo założonego przy dawnym, za miastem położonym kościele Trzech Fontan. Na bojuwisku, które dach tego kościoła przykrywa, ścięty był apostoł Paweł, a jego święta głowa trzy razy od ziemi odskakując, kazała trysnąć trzem źródłom z ziemi. Jak zwykle, za Papieżem pobięła pobożna drużyna przywiązanych dzieci: było między niemi kilka polskich rodzin. Jesteśmy w środku listopada, nie dziw, że wycieczce towarzyszył dzień wilgotny, słotny i wietrzny. Korzeniowski rzadko kiedy nie znajdował się w podobnych zdarzeniach, gdzie można było pozdrowić Papieża, który go zawsze bardzo łaskawie witał, a razem usłużyć swoim rodakom, przedstawiając ich Jego Świątobliwości, i przyczyniając się do obudzenia w ich duszach uczuć szacunku, miłości, podziwienia, jakimi jego dusza była przejęta dla Ojca wszystkich wiernych. To on sobie poczytywał za obowiązek miłości, należący do jego służby, i święcie go spełniał. Tak było i tym razem, i w tem pełnieniu przezeń swego urzędu, zachwycił go posel śmierci, śmiertelne przeziębienie. W dni siedm potem, już go nie było.

Ojciec św., skoro się tylko dowiedział o chorobie Korzeniowskiego, troskliwie się wypytywał o stan jego zdrowia, jakby on sam był przyczyną jego choroby. Na drugi czy trzeci dzień przysłał swojego lekarza, i odtąd Dr Viale Prelà nie odstępo-

wał naszego chorego aż do jego zgonu. A kiedy już wszelka nadzieja znikła, Ojciec święty przysłał swoje błogosławieństwo i odpust zupełny na godzinę śmierci. Była to rzecz rozrzewniająca. Nasz umierający zachowując do ostatniej chwili całą przytomność, nie mógł bez też wspomnieć o tej dobroci Ojca św. dla siebie podczas całej swojej choroby. Czuł się głęboko pocieszonym, sowicie wynagrodzonym. Miłość została wynagrodzoną przez miłość: miłość dziecka, ofiarującego się przez całe lepsze swe życie, została wynagrodzoną przez miłość ojca, płacącego w ostatniej chwili pocałunkiem odwzajemienia i koroną błogosławieństwa.

Szczęśliwys! Z tą koroną na czole, o bracie! wysłużoną u Ojca naszego spólnego na ziemi, poszedłeś do Ojca naszego spólnego w niebie; i już ani wątpić możemy, że nie z trwogą ale z bezpieczeństwem, nie na sądy ale na gody, nie jako obcy i nieznany, ale jako syn najmilszy, prosto na łono Ojca najlepszego. Szczęśliwys o bracie! i już to szczęście twoje nie spotka walki, nie dozna zawodów, nie uрони łyż żadnej. Przeszła burza i nawałnica tego żywota, już tobie jasny i szczęśliwy świeci dzień wieczności.



A teraz już nam żegnaj drogi nasz Onufry! A jeśliś już doszedł przed samo oblicze Boże i w Jego świetle czytasz tajemnice twego własnego żywota, powiedz nam, azaliś przez łaskę Bożą i ty nie należał do liczby tych dusz wybranych, które nietylko za swoje własne odpłacają przewinienia, lecz i za grzechy bliźnich swoich, za grzechy całego narodu, dają godną Bogu odpłatę? Powiedz, czyś swoją wiarą nie odpłacił za wielu z nas niewiarę? Twoją nadzieją za odstąpienie wielu z nas od nadziei niebieskich? Twoją skromnością i pokorą, za wielu butę i pychę nieznośną? Twoją trzeźwością, za wielu rozuzdanie? Twoją szczodrobliwością, za wielu łakomstwo? Twojem miłosierdziem, za wielu obojętność i zimno? Twoją cierpliwością i przebaczeniem, za wielu gniewy i bluźnierstwa? Twoją miłością, za wielu z nas egoizm, złość, nienawiść? Ale przedewszystkiem to nam powiedz, czy ta twoja miłość Kościoła i Papieża, nie odpłaciła choć w części jakiej za tę smutną, okropną, bolesną, a tak nierozumną, niewdzięczną, nieszlachetną obojętność i niemiłość znacznej części naszego narodu

ku Kościołowi, ku Ojcu św.? Powiedz, czy Bóg dobry tak pięknej łaski miłości ku swej oblubienicy na ziemi, ku swemu zastępcy a głowie tegoż Kościoła, nie dał tobie na to, aby między nami, choć w jednej duszy więcej, widział to, co Mu się najbardziej podoba, co Go najwięcej cieszy, czego najwięcej pragnie dzisiaj szczególnie: i tą miłością twoją nie zrownoważył jakkolwiek naszych rachunków, ze swoją sprawiedliwością? Powiedz, czy nie w tem leży tajemnica, dlaczego cię nie dopuścił do ofiary w czynie: azali nie w tem mówię, abys ty się za cały naród upokarzał żeś niegodzien tej ofiary, niegodzien tego czynu? I nie dlatego-li to pragnienie w tobie się wzmacniało, aby to odtrącenie Boże tem było bolesniejsze, a ty bolał za cały naród; i to upokorzenie było tem głębsze, a ty się wstydził za naród cały? Powiedz, prosimy cię! Bo jeśli tak jest, a my to zrozumiemy, tedy za łaską Bożą skruszymy się serdecznie, skruszymy się razem z tobą, z tobą się zawstydzimy, i nasze żale do twoich przyłączym, czekając aż nam Bóg da taką jak i twoja miłość, i będziemy mogli naszą miłość do twojej przyłączyć miłości, a szczęśliwsi od ciebie, któryś do czynu nie doszedł, może to zyskamy, że nam będzie dano samą ofiarę złożyć i spełnić sam czyn. A wtedy będziemy wiedzieli, żeś ty go nam wysłuchał.

Więc już nam żegnaj, drogi bracie! Albo-li też do widzenia! A nim się zerwie ta wąta powłoka która nas przedziela, i w istocie zobaczycie się napowrót daniem nam będzie, my tu przynajmniej bliżsi twoi, koło twego grobowca zgromadzeni, pamiętni na przykład jakiś nam zostawił, podnosim ręce i święcie świadczymy się: że kochamy i będziemy kochali Chrystusa, kochali Kościół, kochali zastępcę Chrystusowego na ziemi. Ta miłość będzie życiem naszym, ta miłość także będzie naszym znakiem, po niej będziemy się poznawali żeśmy bracia, po niej, żeśmy synowie jednego Ojca, żeśmy dzieci jednej Matki. Tą Matką naszą jest Kościół święty. Świat cały, świat ten ziemski, ludzki, ciemny, piekielny, świat sroży się na nią, na tę Matkę naszą, zaprzysiągł się że ją zabije, i nie chce spocząc aż nie dokona. Ale my jej dzieci, z tem większą otaczamy ją miłością, tem bliżej skupiamy się koło niej, tem mocniej jej się trzymamy, tem czulej ją pieścimy. O Matko! tys Matką naszą! Przysięgamy ci razem z tym synem twoim a naszym bratem,



przysięgamy ci na twoje wnętrzności męczyne, w których Bóg złożył sam siebie i wszystkie skarby swoje dla nas, przysięgamy że cię nie odstąpić, nigdy nie odstąpić! i albo ty żyć będziesz, albo my razem z tobą pomrzemy: rozumie się: aby razem z tobą zmartwychwstać! — Amen.

## KAZANIE XL.

### O Papieżu.

O Papieżu w ogólności jako podwalinie Kościoła.

(Miana w Rzymie 6 marca 1870.)

A ja tobie mówię: że Ty jesteś Piotr (to jest opoka), a na tej opoce zbuduję Kościół mój. (Mat. XVI, 18).

Nie ma ważniejszego na świecie pod żadnym względem, czy historycznym, czy umysłowym, czy moralnym, czy religijnym; nie, we wszystkich czasach: czy na przeszłość, czy na wieki przyszłe wzrok obróćmy: nie ma, co by mogło i powinno w podobny sposób każdego człowieka obchodzić, jak rzecz o Papieżu. Nikt z synów ludzkich, czy prawego zakonu wyznawca, czy starych lub obcych zakonów medobitek, czy nowych i nieznanych poszukiwacz, czy wszystkich wróg, nikt nie może być obojętnym na imię Papieża: nikt, jeśli mu jeszcze zostało sumienie, nie może, własnego sumienia nie gwałcąc, nie zastanowić się głęboko, nie zbadać pilnie i nie odpowiedzieć, stanowczo a świadomie, na to poważne i wielkie pytanie: co to jest Papież, i czy to wszystko prawda lub fałsz, co on o sobie twierdzi?

Przychodzę dzisiaj poruszyć przed wami, pod wszelkim względem, i stawiając się w obec wszelkich rodzajów umysłów i sumień, przychodzę mówić, poruszyć to pytanie i dać na nie wszechstronną o ile być może odpowiedź. I zety wnet na wstępie oświadczyć gdzie stoję, o co mi idzie, jak daleko sięga założenie, i jakie rozmiary odpowiedź ma przybrać, pozostawia natychmiast pierwsze i ogólne twierdzenie: i w jednym całą rzecz wykazującem słowie posiem odrzuć: co to jest Papież, i co jest Papiestwo?

Zaiste, to za mało twierdzić, że to rzecz wspaniała, wielka, potężna; jest ona tem w istocie; ale jest wszakże i było na świecie i w historyi nie mało wspaniałości, wielkości i potęg. Nie dosyć nawet powiedzieć, że to rzecz największa, najwspanialsza, najpotężniejsza; a nawet dodać, że najpotrzebniejsza i najzbawienniejsza; tego wszystkiego nie dosyć. Muszę pójść jeszcze dalej, i to zatwierdzić, za czem już nie masz dalszego twierdzenia: że Papieństwo i Papież to rzecz na świecie jedyna; że jak Bóg jest jedyny na niebie, i nic się z Nim nie równa, tak i na ziemi Papież jest jedyny, i nic się z nim zrównać nie może: — że jak niebo bez Boga przestałoby być niebem, tak i ziemia, tak i ród ludzki bez Papieża nie miałby przyczyny bytu i powodu istnienia.

Śmiało zaiste twierdzenie; ale ono jedno dorównywa prawdzie. Wiem, że znajdzie się zaraz tu na wstępie nie jeden, co je ogłosi przesadzonem, dziwnem, nawet niedorzecznem; niech sobie tymczasem zdrów głosi; to nas nie zadziwi. Są ludzie co powiedzieli: że Boga niema; cóż dziwnego, że znajdują się i tacy co powiadają: nie chcemy znać Papieża!

Przywykliśmy do tego, a zważywszy na czasy, nie dziwi to nas i nie gniewa, raczej żal wzbudza. O jedno tylko przeciwnika każdego pytamy: czy ma sumienie? A jeśli pomyślną usłyszymy odpowiedź, o jedno następnie prosimy: aby nas słuchał.

Albowiem co do tych innych, którzy już z sumieniem zerwali, i już ani słuchać nie mają woli, na tych nam zważać niepodobna. Niech się sobie sierzgą ile chcą wszyscy niezadowolony z prawdy, wszyscy przeciwnicy istoty rzeczy, nieprzyjaciele tego co jest: wolno im choćby z motyką porywać się na słońce, z gołą pięścią na podwaliny nieba i ziemi. Nam nic do nich. To co jest, jest, i być musi, i nie być nie może; a naszym obowiązkiem jest to zatwierdzać wbrew wszystkim przeciwnikom prawdy. Więc twierdzimy to co jest, na nich nie zważając: twierdzimy Boga, twierdzimy Papieża.

Dlatego też z naszym dowodzeniem do was raczej przychodzimy ludzie dobrej woli; do was, którzy w duszy waszej chcecie szczerze znać prawdę, chcecie wiedzieć, wierzyć, kochać. Między wami choćby i był jeszcze taki, który niezupełnie rozumie, a szczególnie na to dzisiejsze twierdzenie chwieje

jeszcze głową i waha się w sercu: nie mam mu tego za złe, i nie mam przyczyny powątpiewać o nim. Kiedy dobra wola drzwi strzeże, nie nie szkodzi, że wewnątrz komnaty pusto jeszcze i ciemno: niech jeno światło przyjdzie, zacna ta pani domu chętnie mu podwoje otworzy, a za światłem wejdzie tam ciepło, a za ciepłem życie. Do was tedy, o ludzie dobrej woli, tem bardziej też do was, ludzie wiary i świętej pewności, do was ta cała mowa: będziemy razem patrzyli na obraz najcudowniejszy, na ową rzecz wielką a raczej jedyną, na Papieństwo i na Papieża. A jakkolwiek przedmiot ogromem nas swoim przywala, sił nam jednak nie zabraknie, bo siłą naszą będzie sama prawda tej rzeczy, siłą naszą będzie sam sprawca i stwórca tych cudów.

## I.

Jedna, jedyna rzecz ktorej pożąda człowiek, jest ta aby żył, i żył szczęśliwy. Życie w wiecznem szczęściu i szczęście w wiecznem życiu, to pierwsza i ostatnia zagadka samego wnętrza istoty ludzkiej. Lecz gdzież jej rozwiązanie? Oczywiście, że w Bogu jedynie. Tylko Bóg, nieskończone źródło i życia i szczęścia, może wystarczyć człowiekowi; on jeden może dać mu tę rzecz nieskończoną i jedyną, ktorej pożąda istota człowieka, i ona także w swym stopniu nieskończona.

Ale do Boga jak trafić? I tu znowu jedna i jedyna droga jest ta, którą wskazuje Apostoł narodów: Jest bowiem Bóg, powiada, jeden i pośrednik Boga i ludzi, człowiek Chrystus Jezus (I Tim. II, 5).

Lecz znowu, gdzie szukać Chrystusa i jak Go znaleźć? Jakim sposobem to ostatnie ogniwo zawiązać i zespoić cały łańcuch łączący człowieka z Bogiem? Tym łańcuchem wiążącym człowieka z Chrystusem zaiste jest Kościół przez Chrystusa ustanowiony; ale tego jeszcze nie dosyć: ostatniem ogniwem łączącym sam Kościół z Chrystusem, i trzymającym cały łańcuch w spójni — a tu proszę mię słuchać, przystępuję do rzeczy — tem ogniwem jest Papież. Cały Kościół o niego się opiera, a Papież dopiero łączy Kościół z Chrystusem, a tem samem człowieka z Bogiem. A więc, jak życie i szczęście człowieka jest jedno tylko, jak Bóg jeden jest jego końcem i treścią, jak Chrystus jeden środkiem i drogą, jak Kościół jest jedynem na-

rzędziem, tak Papież ostatecznie, na swoim miejscu, jest jeden tylko, który wszystkiego dokonywa, który daje przystęp, wrota otwiera, i na drogę i do żywota wprowadza. — I teraz rozumiemy dlaczego Papiestwo i Papież jest jedyną rzeczą na świecie: podwaliną ziemi żyjących i podnóżkiem nieba błogosławionych.

Ta jest ostatnia i cała prawda, której nam teraz dowodzić potrzeba.

---

Trzema rzeczami żyje człowiek. Jego umysł żyje prawdą, jego serce dobrem, jego wola zakonem, opartym na prawie i sprawiedliwości. Życie umysłu z prawdy jest wiedzą, życie serca z dobra jest używaniem i rozkoszą, życie nareszcie woli według zakonu jest czynem i samą pełnią żywota. Tak się rzecz ma biorąc ją samą w ogólności, a człowieka w każdym jego stanie. Atoli jeśli się podniesiemy nad życie ziemskie i czysto ludzkie, i wzniesiemy się do onego, o którym mówiliśmy, stosunku człowieka z Bogiem, wtedy rzecz tak się obraca: że umysł człowieka żyje wiarą, serce nadzieją, a wola miłością. Albowiem w tym stosunku, tu jeszcze na ziemi przebywając, człowiek nie widzi Boga twarzą w twarz, jak nam to tam przyrzeczono, w krainie doskonałego szczęścia; na ziemi wiedza umysłu w tę stronę wybiegająca na pół drogi ustaje, i dopełnia się wiarą; tu na ziemi i pocucia serca w pierwszych przedsmakach już omdlewają, i muszą kończyć na pragnieniu i na nadziei; a czyny woli nie mogą się także zdobyć na czyn ostatni, którym jest zjednoczenie z Bogiem, i muszą się ograniczyć na prostem, choć nieograniczonym ofiarowaniu się i oddaniu przez miłość na miłość, i woli na wolę. Tak tedy życie człowieka z Bogiem tu na ziemi tryska choć z jednego z wewnątrz, ale na zewnątrz z tych trzech cudownych źródeł, i płynie temi trzema prądami: nazywają się wiara, nadzieja i miłość. „Tu, na ziemi, powiada Apostoł, pozostają te trzy rzeczy: wiara, nadzieja, miłość; a z nich, dodaje przedziwnie, największa miłość“ (I Kor. 13, 13). Takie tu życie nasze z Bogiem.

Bóg jako prawda jest przedmiotem, ale zarazem sprawcą i dokonawcą naszej wiary; Bóg jako dobro jest żywiołem, ale zarazem i karmicielem naszej nadziei; Bóg jako świętość i mi-



łość jest końcem ale zarazem i ogniem, i podlegaczem naszej miłości. Taka jest prawda chrześcijańska, i żaden chrześcijanin nie wątpi o niej.

Ale i o tem również nie wątpi, że w tem wszystkim pośrednikiem jest Chrystus. To wszystko przez Niego, i z Nim, i w Nim: *per ipsum, et cum ipso, et in ipso*. On nas sam tego naucza i o sobie to zatwierdza: owszem, całe Jego życie i nauczanie jest jednym wielkiem tej prawdy zatwierdzeniem: że On jest jedynym a koniecznym pośrednikiem między Bogiem a ludźmi. Śród tylu innych twierdzeń Jego, i jako wzór wszystkich, biorę jedno które mi wystarczy: ono uroczyste zatwierdzenie, w którym o sobie mówi: Jam jest prawda i droga, i żywot (Jan. XIV 6). To znaczy: Jam prawda, którą trzyma wiara; jam droga, którą idzie nadzieja; jam żywot, do którego wyciąga ramiona i już go zaczyna posiadać miłość. To wszystko w Chrystusie, tem wszystkiem Chrystus. On sam nam to powiada, i jeszcze wyraźniej dodaje to, co to właśnie twierdzimy: Nikt do Ojca nie przychodzi, jedno przezemnie (tamże). A więc niezbędny i jedyny pośrednik Boga i ludzi.

Jaka to była uroczysta chwila. Zdaje się że Go widzę: było to podczas ostatniej Jego wieczerzy z uczniami, właśnie kiedy miał odejść, a jednak zostawić siebie śród nas na zawsze. Siedzą naokoło Apostołowie, pośrodku Chrystus. Już długo nauczał. Oczy wszystkich w Nim utkwione, drżą im usta, wstrzymują oddech, serca silniej biją; a On mowę swoją kończy i powiada: Jam jest prawda, jam droga, jam żywot, nikt nie przychodzi do Ojca, jeno przezemnie! Błogosławione uszy, które to nareszcie usłyszały. Ale i ja w duchu jestem tam w tej chwili z innymi: słyszę jak i oni to słowo, a w duszy mojej, z bożej łaski, w tejże chwili odpowiada na nie nieprzeparta wiara. Jakby iskra przenika całe wnętrze moje, i duch mój drży z radości w Bogu, zbawicielu moim. *Exultavit spiritus meus in Deo, salutari meo*. A więc to Ty, Ty sam przedemną, Ty który jesteś prawdą istotną, żywą, wieczną? A więc to prawda sama która jest Tobą; ma ciało, ma oblicze, usta, słowo? A więc prawda to Ty, a Ty to prawda? I Ty także droga, i Ty żywot? I ja Cię widzę? Mogę się Cię dotknąć? Mogę ramioną wyciągnąć

i objąć Ciebie? O życie moje! *Nunc dimittis servum tuum, Domine!* Teraz puść sługę Twego, Panie, albowiem oglądałyć oczy moje! Albo raczej, ja Ciebie nie puszcę, i jak raz Cię obejmę, już się nigdy nie rozłączym! O dusze wierzące! przybywajcie wszystkie na to miejsce i na tę chwilę; dobrze nam tu być: *bonum est nos hic esse!* i tak nierozłączni od naszej prawdy, naszego przewodnika, naszego życia, zostańmy tu zawsze w zachwyceniu naszym. Za chwilę będziemy w wiekuistej rzeczywistości: u Ojca!

Lecz zachwycenie nie trwa długo. Budzę się i ja z mojego, i znajduję się w obecnej chwili, między dzisiejszymi ludźmi. Obzieram się; a pierwsze moje słowo: gdzie On? A oni mi odpowiadają: był kiedyś, był, prawią, ale odszedł. Już wiemy kto tak mówi: to protestanci. — Co? Odszedł? Nie, to być nie może. A pocóżby był przychodził? Czyż na to jedno, aby się pokazał, i znowu Go nie było? A gdzież teraz prawda, gdzie droga, gdzie żywot? Tylko garstka wybranych, i ja w duchu z nimi widziałem Go ongi żywego, i już nigdy widzieć i słyszeć nie będę? i nikt nie będzie mógł więcej widzieć i słyszeć tej prawdy żywej, iść krok w krok za tą żywą drogą, dotknąć się i objąć tego żywego życia? Ludzie, co wy mówicie? To być nie może. Bo, powiadam wam, pocóżby był przychodził? I znowu powiadam wam, że jeśli by tak tylko przyszedł był i poszedł, i nie umiał, i nie mógł, i nie chciał był zostać między nami i żyć między nami, tedy zaprawdę nie byłby i nie jest ani prawdą, ani drogą, ani żywotem naszym. Boć to wszystko nie na jeden dzień; i wy ludzie biedni, co tak mówicie, pomyślcie przecie! to wszystko na całe życie i na całą wieczność.

Więc chrześcijaninem nie jest, kto coś podobnego twierdzi, i ja to nie od prawdziwych chrześcijan słyszałem. Odpowiedzcież mi tedy wy, którzy nie wątpicie o tem, o czem chrześcijaninowi nie godzi się wątpić. Czy pozostał między nami Chrystus, i czy jest zawsze żywy między nami? Ledwie że zapytałem, aż ci zewsząd jednym chórem odpowiadają mi prawdziwi wierni, odpowiada mi Kościół Boży: Wždy jest, prawi; nie odszedł zgoła, jak tamci mówią, nie zostawił nas sierotami! Pozostał żywy, i dwakroć pozostał, chociaż pod odmienną postacią. Patrz naprzód na ten Sakrament, na te przypadłości chleba

i wina: to Jego ciało i Jego krew przenaświętsza razem z Jego duszą i z Jego osobą boską. To On, cały i żywy. Wprawdzie pod tą postacią nic do nas nie przemawia; ale patrz dalej na tę drugą postać, patrz na osobę Piotra, na osobę Papieża. To Jego słowo i narzędzie mocy zewnętrznej na wszystkie przypadki życia. Tam, na tej samej wieczerzy ostatniej, na której ustanowił swój Sakrament, rzekł także do Piotra: Potwierdzaj braci twoich (Łuk. XXII, 32). Więc naprzód Piotr, to Jego słowo. Kto to słowo słyszy, Jego samego słyszy. Ale przedtem już był do niego powiedział: Ty jesteś opoką, a na tej opoce zbuduję Kościół mój (Mat. XVI, 18). Więc podobnież Piotr, to narzędzie Jego mocy zewnętrznej; kto na nim się w życiu opiera, ten się na Chrystusie opiera. A więc Chrystus pozostał i jest z nami, jak raz był tak i jest zawsze: pod jedną i pod drugą postacią żyje wciąż wśród nas, i żyć będzie aż do skończenia świata, On, prawda nasza, droga nasza, żywot nasz prawdziwy a nieśmiertelny!

Dzięki Bogu! Ten głos, ten dopiero rozumiem, i całe wnętrze moje odpowiada natychmiast zatwierdzeniem że tak być było powinno, tak być musi, i tak jest. Owszem, gotowem przysiądz z góry i odrazu: że to ostatnie jest prawdą, a tamto pierwsze było kłamstwem; kłamstwem jest, że Chrystus nie pozostał z nami, prawdą, że jest z nami i wśród nas żyje. W najświętszym Sakramencie Chrystus Pan jest na wewnątrz dla duszy mojej prawdą i podstawą pierwszą i najgłębszą mojego istnienia, drogą najpewniejszą, prowadzącą mnie do celu, żywotem i źródłem żywota wciąż mi dającym życie: to na wewnątrz w duszy; a na zewnątrz jest dla mnie tem wszystkiem w osobie Papieża. A tu nam idzie najbardziej o to drugie, od którego zresztą i tamto pierwsze zależy; idzie właśnie o Papieża, bez którego i Sakramentu być nie może. Więc to szczególnież w osobie Papieża Chrystus Pan na ziemi pozostał; w tej osobie On pozostaje wśród nas tu na zawsze, pozostaje jako prawda nasza, jako droga, jako żywot.

Taka jest prawda. Zatwierdziliśmy ją i z góry zaprzysięgli; ale jeśli się nie mylimy, tedyśmy jej i dowiedli zarazem; a nawet najmocniejszym dowodem, bo wewnętrznym, i wydobywającym się z samego łona i istoty rzeczy.



Może nie każdy spostrzeżę się na tem i nie uchwycił od razu tego dowodu; chcielibyśmy jednak aby każdy dobrze go widział i przekonał się o nim dokładnie. Ten dowód na tem się zasadza, że Chrystus nie byłby Chrystusem, to jest tem, czem się zatwierdził; nie byłby prawdą istą, drogą jedyną, żywotem prawdziwym; nie byłby owym pośrednikiem i zbawicielem naszym, gdyby po odejściu z ziemi nie był zostawił na niej zastępcy swego w osobie ludzkiej, wciąż odnawianej i wciąż obecnej aż do skonczenia świata. Ten dowód i to twierdzenie możemy poprzeć i jasne i uczynić innem twierdzeniem i innym dowodem. Idzie bowiem, w ten sam sposób, Stworzyciel świata, Bóg, nie byłby Bogiem ani Stworzycielem, gdyby po skończeniu swego dzieła stworzenia nie był zostawił na świecie po wszystkie czasy tego cudownego czynnika, który na nim jest Jego prawdziwym zastępcą, a którym jest to co my nazywamy światłem. Nie bez przyczyny Ewangelja przyrównywa Chrystusa do światła, i On sam nazywa światłem siebie. Tak jak Chrystus dla świata moralnego, tak światło dla fizycznego świata jest tem trojgiem tak koniecznem, to jest prawdą, drogą i żywotem. Światło bowiem ten świat oświeca, a tem samem przyprowadza go do wiedzy o sobie, i jest przez to jego naturalną odpowiednią prawdą świata; ono dalej ogrzewa go, a tem samem w ruch wprowadza, i jest jego drogą; ono nareszcie, jeśli do tych głębin tego czynnika zagłębimy, do których za dni naszych już się zagłębiła umiejętność ludzka, ono ten świat w spójni trzyma i przy bycie utrzymuje, a tem samem jest jego żywotem. Światło przeto jest prawdą, drogą i żywotem tego świata natury, tak jak Chrystus jest tem samem dla świata umysłów i duchów. Cożby się wiały ze światłem stało, gdyby Bóg używszy światła przy stworzeniu wszech rzeczy, był natychmiast, dzieło swe skonczywszy, i światło zarazem z pośrednika usunął, a nie zostawił je w słońcu, stworzywszy je umyślnie na to? Cożby się również stało z odkupieniem świata i z religją chrześcijańską, gdyby Słowo Boże, raz w swoim człowieczeństwie to inne światło dla ludzi zapaliwszy, wnet po dokonaniu dzieła, już w żadnem człowieczeństwie dalszego żywego światła ludziom nie było zostawiło? Taiste, jak w pierwszym razie Bóg nie byłby pozostał Bogiem, tak w tym drugim Chrystus nie pozostałby był Chrystusem; i jak tam świat stwo-



rzony byłby się w mig rozpadł, tak tu chrześcijaństwo tym pędem byłoby runęło. Kto się nad tem zastanowi, ten ma dowód jakiego tylko sobie życzyć może; tem mocniej przekonujący, im silniej wypływa z konieczności rzeczy, i im nieprzecież sam się z góry narzuca.

Atoli nie jest on jeden, i temu dowodowi z góry odpowiada stanowczo drugi dowód z dołu; tak, że kogoby tamten jeszcze nie przekonał, tego ten drugi zwyciężyć musi. Tym drugim stanowczym dowodem, jest ustanowienie Chrystusa, to jest dzieło przez Niego założone; tak, że jeżeli on pierwszy dowód był racją rzeczy i jakoby jej duszą, ten drugi jest faktem widowym i jakoby jej ciałem; jeżeli pierwszy dowodził jakim sposobem Chrystus Pan powinien był postąpić, drugi daje nam potwierdzenie, że tak rzeczywiście uczynił.

Chrystus doprawdy uczynił tak, jak powiedzieliśmy, że powinien był uczynić; i On, który o sobie wyrzekł że jest prawdą, drogą i żywotem, przelał to wszystko na Piotra i Papieża, i o nim to samo zatwierdził, i jego też postawił w tym charakterze na swoim miejscu; wskutek czego Piotr, a następnie Papież, jest tem wszystkiem dla nas aż do skończenia świata na zewnątrz, czem Chrystus jest wewnątrz. Chwilę uwagi, a obaczymy i dotkniemy się tej prawdy w jej zewnętrznem i faktycznem zjawieniu się wśród świata.

Idzie tu o coś co się stało, o zatwierdzenie rzeczy przez fakt, o czyn Chrystusowy. Trzeba nam tedy otworzyć Ewangelię, zapytać tych co widzieli i co słyszeli, abyśmy sami słyszeli i widzieli ustanowienie Chrystusowe, zatwierdzenie Jego myśli i woli w rzeczy i w czynie.

Ponieważ jednak w tym dowodzie idzie o zatwierdzenie; chciałbym, abyśmy przedewszystkiem dobrze się porozumieli, co w podobnych razach zatwierdzenie znaczy. Albowiem w każdym takim zatwierdzeniu, które jest faktem, nim do faktu przystąpimy, wiele na tem zależy, by wiedzieć, jaka jest siła w zatwierdzeniu leżąca. Powiem tedy, że we wszystkich sprawach nic niema nad zatwierdzenie, ani też nic przeciwko zatwierdzeniu niema i być nie może; zwłaszcza, kiedy to zatwierdzenie jest Boże, kiedy jest Chrystusowe. Na takim zatwierdzeniu wszystko stoi; niech sobie potem przychodzi jakiegobądź

zaprzeczenie: nic nie podoła i nic nie sprawi. Wogóle zaprzeczenie nie ma żadnej wartości: na zaprzeczeniu nie stać nie może, zaprzeczenie też nie obalić nie zdolne, kiedy coś raz postawione i kiedy stoi siłą swego pierwszego prawdziwego zatwierdzenia. Dla czego to mówię? Bo wielu nie dobrze rozumie i nie dość silnie czuje całą siłę faktu postawionego przez zatwierdzenie, jak też całą siłę zatwierdzenia w fakcie ustanowionym przez Boga. Wiele ludziom miesza się w głowie, kiedy posłyszają zaprzeczenie, chociażby przeciwko najpewniejszemu zatwierdzeniu; i gotowi, jak ona biedna Ewa, która jednak wiedziała, że Bóg zatwierdził: skoro pożyjesz, śmiercią umrzesz! gotowi jak ona, uwierzyć pierwszemu lepszemu wężowi, skoro śmiało i stanowczo do ich ucha szepnie: Nie, nijak nie pomrzecie! skoro im zaczną wmawiać: Nie, to nie tak jest, jak Bóg postanowił! Miesza się im w głowie: i ich wyobrażenia mącąc i przewracając ich rozum, każe się im domyślać czegoś, i przypuszczać jakąś rację, tam gdzie nie może być racji. Iście, w zaprzeczeniu nigdy niema i nie może być racji.

Inną razą, i to już nie raz, wystawiałem wam był to ważne prawo rozumu i prawdy, i wykazywałem, że to jest nawet najgłębszy, najogólniejszy i najsilniejszy dowód prawdziwej, to jest chrześcijańskiej religii. Mogłem wtedy z zadowoleniem, i starałem się wam był pokazać, jak religja chrześcijańska, od początku do końca, nawet tam, gdzie się zdaje zaprzeczać, jest zatwierdzeniem, i czystem zatwierdzeniem; jak z drugiej strony wszystkie nauki, które się jej przeciwia, nawet tam gdzie się zdają zatwierdzać, są wierutnem zaprzeczeniem. To wtedy. Ale dziś o czem innem mówię; więc się w to dalej nie zapuszczam, i tylko rad jestem, że choć pobieżnie mogę to prawo przypomnieć, abyśmy tem bezpieczniejszą stopą stanęli na gruncie niezachwianym zatwierdzenia Chrystusowego.

A więc zatwierdzenie! Słyszeliśmy co Chrystus był zatwierdził o sobie: teraz mamy słyszeć, co twierdzi o Piotrze, a tem samem i o Papieżu. Od tego zatwierdzenia będzie wszystko zależało. Owóż, jak nie jedno o sobie zatwierdził, tak nie jedno Chrystus twierdzi i o Piotrze. Nam trzeba wszystko wysłuchać, wszystko zrozumieć, i wszystko rozumem i wiarą przyjąć.

Miedzy wielą twierdzeniami Chrystusa o Piotrze jest jedno, które naprzód trzeba usłyszeć, twierdzenie główne i naczelne.

Tak zwykle rozumny miernik zaczyna od tego, że cyrklem zatyka środek, a następnie koło niego kreśli obwód koła; tak roztropny budowniczy przedewszystkiem zakłada podwalinę i waży środek ciężkości, a dopiero na tym wznosić gmach zaczyna; tak mądry prawodawca i założyciel społeczeństwa wprzód naznacza, gdzie leży wszechwładztwo, a potem według niego urządza stosunki społeczne; a więc tak samo, owszem daleko bardziej, i słuszniej, i mędrzej Chrystus, chcąc zostawić po sobie nie tylko budowanie swoje, ale siebie samego w swoim zastępcy, przedewszystkiem i na samem rozpoczęciu, taką kładzie podwalinę i środek, taki w nim stwarza przymiot, i taką mu daje władzę, żeby bezpiecznie i na zawsze odpowiedział temu, czem być ma i czem go On stanowi. I dla tego mówi do niego pierwsze słowo, ono jak powiedziałem naczelne i zasadnicze. To słowo, że tak powiem, stwarza w Piotrze Piotra samego.

Jakież tedy jest ono? Znamy je dobrze; raz je powiedział Chrystus, ale od onej chwili wiek po wieku, lata po latach, dzień po dniu, godzina nawet po godzinie, powtarzają to słowo, brzmi ono ciągle, i przebrzmieć nie może; a dzisiaj też szczególnie, w tej uroczystej chwili, tu w tem mieście świętem, brzmi jak nigdy.

„Szymonie, synu Jony“ — tak mówi Chrystus do Piotra, a ten początek znaczy: Byłeś dotąd takim, jak inni człowiekiem. Szymonem, Jony synem; ale mówi dalej: „szczęśliwy jesteś... A ja mówię tobie: że ty jesteś Piotrem (to jest opoką), a na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie przemogą przeciwko niemu“.

Takie jest to słowo.

Wiemy, że potem przyjdą dołączyć się do niego trzy inne słowa, i rozwinąć, rozpromienić, uzupełnić to, co w tem słowie jest zawarte. Ale wszystkie tamte będą słowa szczegółowe, że tak powiem, będą one wyrażały różne względy jednej i tej samej rzeczy, która tu w tem słowie zawiera się w swojej całości. To zaś słowo jest bezwzględne, ogólne, całkowite; w niem jest cały Piotr, w niem spoczywa całe Papiestwo i Papież. Czyśmy je dobrze słyszeli, chrześcijanie? A wy szczególnie czyście je dobrze słyszeli, wy, którzy się w waszych pojęciach

macie, i słuchając węzów pokusy przeciwnej, niezdolni jesteście słyszeć dobrze i rozumieć dokładnie twierdzenia Chrystusowego? Czyście zważyli to słowo, cały jego ciężar i siłę, i pojęli wszystko, co się w niem zawiera? Albowiem powiadam wam, że się w niem wszystko zawiera. Tak jak w onem słowie wiekuistem, które mówi Ojciec do Syna: *Dominus dixit ad me: Filius meus es tu, ego hodie genui te* (Ps. v. 2, 7); „Pan rzekł do mnie: Syn mój jesteś Ty, Ja dzisiaj zrodziłem Ciebie!“ — to jest w tem dzisiaj wieczności, które ani początku ani końca, ani świtu ani zmroku nie zna; jak, mówię, w tem słowie zawarte jest wszystko, czem tylko jest Syn, w niem są wszystkie inne przymioty, blaski, namaszczenia i korony Syna; tak i w tem drugim słowie, które Syn rzekł do Piotra: „Ja mówię tobie: Ty jesteś Piotr, a Ja na tym Piotrze zbuduję Kościół mój!“ zamyka się również wszystko, czem tylko jest Piotr i Papież; i jego także wszystkie przymioty, blaski, namaszczenia i korony.

I dla tego trzeba się nam nad niem głęboko zastanowić. To nam zostaje do uczynienia.

## II.

Mówiliśmy o wyższem, nadprzyrodzonym życiu. Wydobywa się ono, rzekliśmy, z jednego wewnątrz, ale na zewnątrz potrójnie rozdzielającego się źródła, i płynie trzema cudownymi prądami: nazywają się wiara, nadzieja i miłość. Lecz jakież jest ono najgłębsze wewnętrzne źródło, z którego wypływają te boże strumienia? Jest niem, drodzy moi! łaska Boga samego, siła Boża wlana na samo dno duszy naszej, i stamtąd jako źródło żywe wciąż buchająca; jest niem Duch święty, a za Duchem świętym jest samże Chrystus, pierwszy sprawca i ostatni dokonawca naszej wiary, *auctor fidei et consummator* (do Żyd. XI, 2), i tego, co z wiarą ma związek. To z Chrystusa w nas mieszkającego, a za Jego siłą i łaską z wnętrza naszego, zapłodnionego przezeń, tryska wciąż promień wiary, gorąco nadziei i ogień miłości; ta zaś wiara, nadzieja i miłość są tam na dnie jedną i tą samą rzeczą, są życiem Chrystusa w głąb naszej istoty wszczepionem. Tym sposobem, choć trzy są na zewnątrz życia wylewy, ale wewnątrz jedno jest jego tajne i święte źródło.



Tak samo ma się rzecz z życiem zewnętrznem Kościoła; bo i tu chodzi, jakkolwiek z zewnętrznej strony, ale o to samo nadprzyrodzone życie. Właśnie Kościół jest przybytkiem tego życia i mieszkaniem żyjących. Kiedy przeto Chrystus mówi o budowaniu Kościoła, i że go zbuduje na Piotrze, mówi o warunkach zewnętrznych onego wewnętrznego życia, jakie dał Kościołowi i zapowiada, że ostatniem dnem, na którym On te wszystkie warunki oprze i gdzie zawsze będzie łaska Boża i Duch święty, tem dnem będzie Piotr.

Tak tedy Kościół jest budynkiem i mieszkaniem życia, ale Piotr jest tego budynku fundamentem; i jak życie ono wewnętrzne, które po Kościele się rozlewa, ma swoje źródło w Chrystusie; tak zewnętrzne budowanie tego Kościoła ma w Piotrze swoje oparcie i podstawę. I tem samem nie jest ta podstawa pojedyncza, ale tak jak ono życie potrójna. Wewnątrz z Chrystusa wypływają one trzy prądy żywota: wiara, nadzieja i miłość; ale oneby się bezskutecznie na wszystkie strony rozlały, lub powsiąkałyby marnie po wszystkich piaskach pustyni, gdyby Piotr nie był tą studnią skalistą, która im wyjście daje, tem równem korytem, po którym płyną, tem łóżyskiem o brzegach kamiennych, które im daje bezpieczne i pełne ujście. Więc każdemu z tych strumieni żywota, jak Chrystus służy za źródło wewnętrzne, tak Piotr za zewnętrzną podstawę. Jak Chrystus na wewnątrz, tak on na zewnątrz jest żywą podwaliną całego i pełnego życia Kościoła: życia rozumu przez wiarę, serca przez nadzieję, woli i czynu przez miłość; a to sprawia, że nie jest on pojedynczą opoką, prostą jakąś i martwą bryłą; ale że się urozmaica, jak to życie jest rozmaite, któremu służy za podstawę, do którego się on odnosi tak jak ono do niego; i że jest tak jak to życie samo, tak jak Chrystus sam, w gruncie wprawdzie swoim jednolitą, ale w odnoszeniach się swoich, w następstwach i kierunkach, troistą opoką i podwaliną Kościoła. Piotr nie jest Piotrem raz jeden tylko; jest Piotrem po trzykroć.

Teraz jak to zrozumieliśmy, rozumiemy dopiero co znaczy całkowicie ono główne i naczelne twierdzenie i słowo Chrystusa do Piotra: Ty jesteś opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój!

A nie jest to nasze jakieś dowolne tłumaczenie. Jest to tłumaczenie i ustanowienie samegoż Chrystusa Pana. Albowiem

po onem pierwszym, przychodzi dalsze trzykrotne zatwierdzenie, przychodzą trzy inne słowa Chrystusa do Piotra, które rozwijają, rozpromieniają, uzupełniają, to co już w jednym ogólnem i bezwarunkowem znaczeniu zawiera pierwsze naczelne twierdzenie Chrystusa. Dopiero kiedy te dalsze twierdzenia przebieżymy i zrozumiemy je wszystkie, wtedy dopiero samo się nam przedstawi ono, o którym tylko co mówiliśmy, wielkie znaczenie dzieła i ustanowienia Chrystusowego w całej swojej rozciągłości, w pełnym swoim, że tak powiem, majestacie.

To będzie przedmiotem nauk następnych. Dziś jednak niech nam dozwolonem będzie wstąpić duchem na pewne jakoby wzgórze myślnie, i tak z wysoka obejrzeć wszystkie razem te siły i warownie władzy Piotrowej, założone przez Boga Zbawiciela; a szczególnie tym się widokiem nacieszyć: jak wszystkie w jednym i tym samym środku się skupiają i na jednej leżą podwalinie, na tem jednym słowie i twierdzeniu, będącem zaiste prawdziwą podwaliną nowej ziemi i nowego nieba: Ja tobie mówię, ty jesteś Opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój.

---

Pierwsze słowo, z którym się spotykamy, jest to, które później Chrystus rzecze do Piotra: „Szymonie, Szymonie (oto znowu zaczyna mówić jak do człowieka)! Szatan domagał się, aby was przesiał jako zboże; ja jednak prosiłem za tobą, by nie ustała wiara twoja; a ty raz nawróciwszy się, potwierdzaj braci twoich. (Łuk. XXII, 31, 32.)

Słowo jasne, i które od razu widzimy, że się odnosi do wiary i czyni Piotra jej niewzruszoną podstawą. Chrystus Pan zatwierdził był wprzód o sobie, jak to już słyszeliśmy, że jest prawdą. Prawda, jak to znowu zrozumieliśmy, jest przedmiotem wiary; a przez wiarę przedmiotem życia. Więc kto ma wiarę, trzyma prawdę i ma życie. Atoli biada, jeśli wiarę straci! Na to są wszyscy wystawieni; na to są wystawieni sami Apostołowie: Szatan przesiewać ich będzie jak zboże. Maż tedy wiara być rzuconą na los zguby? Temu chce Chrystus zaradzić. Trzeba żeby w Jego Kościele było źródło wiary, w którym ona nie wyschnie, z którego nigdy na zewnątrz płynąć nie ustanie,

w którym zawsze będzie żywa i zamknięta jakoby w twierdzy przez nikogo nie mogącej być zdobytą. Któż tedy będzie tem źródłem wiary i tą jej twierdzą, jeśli nie ten, który jest już podwaliną Kościoła? Tak, Piotrze, za ciebie modlił się Chrystus; twojej wiary szatan się nie dotknie, twoja wiara nigdy nie ustanie, i ty na zawsze w Kościele będziesz podwaliną Jego wiary i prawdy. I jeśli Chrystus jest prawdą istną, ty jesteś tym gruntem, na którym prawda rodzi się i żyje, — tyś jej opoką. Tu es Petrus! Tyś Piotr! Raz jeden!

Drugie słowo, podobnież uroczyste, mówi Chrystus do Piotra: „Tobie dam klucze od królestwa niebieskiego, i cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane i w niebie, a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane i na niebie“ (Mat. XVI, 19).

Słowo również jasne a silne; odnosi się do nadziei, i czyni Piotra jej utwierdzeniem. Chrystus Pan zatwierdził był o sobie że jest drogą; tą drogą oczywiście, którą idziemy do żywota wiecznego. Ale iśćiem po drodze jest nadzieją, a tą nadzieją samą i jej przedmiotem jest Chrystus. On tedy jak droga, tak i nadzieja nasza. Jednakże iść nie możemy, pókiśmy związani. A cóż nas wiąże? Nieprawości nasze i grzechy. Lecz sami bezsilni, my siebie nie możemy rozwiązać. Któż to uczyni? Piotrze, ty jesteś tym wybranym. Wprawdzie i inni Apostołowie będą mogli wiązać i rozwiązywać, wszelako oni sami potrzebować będą, abyś ty ich rozwiązywał, i dawał im władzę rozwiązywania. Ciebie jednego nikt nie wiąże, i nikt nie rozwiązuje. Bo też tobie jednemu Chrystus dał ostatnie klucze królestwa niebieskiego, w których jest pierwsza i ostatnia racja zamykania i odmykania, wiązania i rozwiązywania, tych wszystkich, którzy do tego niebieskiego królestwa pospieszają. A jeśli to królestwo i dojście do niego jest celem naszej drogi i końcem nadziei; tedy Chrystus wprawdzie jest treścią żywą i drogi i nadziei naszej; ale ty, Piotrze, jesteś podwaliną ziemską, ty z twemi kluczami wszechwładnemi opoką jesteś tej nadziei i przewodnikiem tej drogi. Tu es Petrus. Tyś Piotr, i już po dwakroć Piotr!

A teraz ostatnie słowo, jakże znowu pełne i potrzebne: „Piotrze, kochasz mię, pyta Chrystus, i znowu: czy kochasz? i poraz trzeci: czy kochasz mię?“ Trzy razy

Chrystus pyta. A jak trzy razy Piotr odpowiedział, że kocha. Chrystus mu znowu trzykroć mówi: „Paś baranki moje, paś owieczki moje!” (Jan XXI, 15, 16, 17). W tych słowach ostatnie światło i ostatnia siła zatwierdzenia, a już widzimy, że się całe odnosi do miłości. .

Chrystus o sobie powiedział, że jest żywotem. A wiemy, co to jest żywot, i że jest tylko w miłości. Miłość znowu cała jest tylko w zjednoczeniu. I dlatego przed śmiercią swoją tak się bardzo modlił za nami Chrystus do Ojca: *Ut unum sint!* Abyśmy jedno byli! Jedno przez miłość i miłość wzajemną! A On jej środkiem. „Aby byli jedno, prawi, jako i my jedno jesteśmy. Ja w nich, a Ty we mnie: aby byli dokonani w jedno!” (Jan XXI, 22, 23). Ja w nich, ja środek; a oni we mnie, i przezemnie, zjednoczeni wszyscy między sobą. Lecz teraz kiedy Chrystus odchodzi, kto zostanie tym środkiem skupiającym wszystkich w jedno, i dającym miłości wzajemnej siłę bytu, pokarm i paszę? Kto na Jego miejscu przyjmie wszystkich do swego łona, i nawzajem otworzy wnętrzości swoje, i całe wylewać będzie na drugich? Ten, który kocha. Piotrze, kochasz mię? paś baranki moje, paś owieczki moje! Ty mnie kochasz, zapewniłem się: więc i ich kochaj, i paś! I tak jeśli Chrystus jest ostatnim przedmiotem naszej miłości i życia i wewnątrz nas żywotem samym: ty Piotrze, tyś na zewnątrz podwaliną konieczną, tyś opoką tej miłości i warunkiem środkowym tego życia. Tu es Petrus! Tyś Piotr i teraz po trzykroć i zupełnie Piotr!

O Piotrze! więc nareszcie wiem co to znaczy: A ja tobie mówię, że ty jesteś Piotr, ty opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój! Tak iście, cały Kościół na tobie zbudowany: całe życie jego na tobie się opiera: i jak Chrystus jest jego szczytem na niebie, tak ty jego podwaliną na ziemi: — On z góry i wewnątrz prawda, droga i żywot; a ty tego trojga niewzruszona u dołu i na zewnątrz podstawa, opoka naszej wiary, naszej nadziei, naszej miłości. Jeśli mamy Chrystusa, mamy Go tylko przez ciebie; a komu ty zabrakniesz, ten Chrystusa nie ma! Tak iście, ty jesteś Piotr, i na tobie Piotrze, ach, jakże wspaniale, bogato i potężnie Chrystus zbudował swój Kościół. Tu es Petrus, et super hanc Petram aedificabo Ecclesiam meam!



A teraz cóż dodam? „A bramy piekielne nie przemogą przeciwko niemu!“ I cóż dziwnego. Kiedy na takiej stoi podwalinie? kiedyś ty, Piotrze, taka jego, przez Chrystusa położona opoka?

Nie przemogą! Non praevalent! Dziewiętnaście już wieków mamy za rękojemców, wszystkie już narody mamy za świadków, same bramy piekielne mamy dotąd za kornych choć wściekłych wyznawców. Nie przemogły! Nie przemogą!

A dlaczego? Bo to Chrystus tę opokę postawił, a postawiwszy, włożył w nią środek ciężkości i siły, na której świat stoi, i zapieczętował swoim słowem, tem właśnie: „Nie przemogą! Non praevalent! Niebo i ziemia przemina, ale słowa moje nie przemina!“

Pójdźcie tu, ludzie małej wiary, lub trwożliwego serca! którzy na widok tak dzisiaj wzburzonego świata zaczęliście się lękać o Boże budowanie, i nadrabiając własnym rozumem, chcielibyście usunąć nieco, lub inaczej postawić tę jego opokę niewzruszoną. Z samego wnętrza Kościoła, w łonie świątyni wykoło niej dłubiecie, żeby jej coś dodać, lub z niej coś ująć. Zdaje się wam, że to nic nie szkodzi tak ją przeinaczać, że będzie mogła mimo to stać wasza wiara, nadzieja i miłość; że się nie zachwieje podstawa życia. Co czynicie? Wiem, że wasza praca wierzutnie daremna: śmieje się z niej Bóg, płacze nad nią Chrystus; ale ani szatan się nie spodziewa, pomimo własnej korzyści, by się wam udała ta robota niepoczciwa. Jednakże co czynicie? Chciałbym wiedzieć jakieby było to budowanie i jaki ten Kościół, gdyby podwalina była po waszemu obciosana i położona: gdyby ją kuli mędrcy tego świata, przywierzali prawodawcy, a kładli politycy? Gdybyście podług prawideł rzekomego postępu, i przy poklaskach wirującego dzisiaj ducha czasu, patrzyli na wasze dzieło już niemal gotowe, i już widzieli jak nowe ma zastąpić miejsce starego. Coby to było? Mogę wam z góry powiedzieć. Chrystus, Pan jedyny i król, pogromca świata a stróż swojego dzieła, gdyby już na to zezwolił, przetrzymałby was do końca; ale w chwili ostatniej spuściłby na was jak grom, on los, który spotkał dawnych Żydów, kiedy się jęli odbudowywać świątynię Jerozolimską. Póki rugowali fundamenta, robota szła łatwo, już ostatni stary kamień wywalili; aliści kiedy pierwszy nowy mają położyć,

bucha z głębi ogień zewsząd, niszczy robotę i pożera nieszczęśliwych budowniczych. I tak chcąc nową świątynię budować, szaleni! rozrzućili ostatnie szczątki starej, aby się spełniło wyroczne słowo: nie zostanie kamień na kamieniu! Toby zaiste i was spotkało. Otworzylibyście bezdenne przepaście, wywołali zaklęte ognie, was samych by one pierwszych pochłonęły: i zostałyby po was sama tylko ruina. Iżaliż myślicie, że to można igrać ze słowem Chrystusa? Że wasza ręka naprawi, co Jego mniej dobrze miała postawić? Chyba że wiary nie macie, i nie sądzicie, że to Boże dzieło! A jeśli wierzycie, że Boże, przecz się na nie targacie? Jaki szal opłakany, tak was dalece zaślepił i zagłuszył, że podnosicie rękę na nie, i już wam w uszach nie brzmi ono słowo: *Non praevalerunt!* Nie przemogą!

Niestety, najdrożsi moi! rozmogła się nieprawość na świecie i dlatego oziębla miłość wielu. *Et quia abundavit iniquitas, refrigescet charitas multorum* (Mat. XXIV, 12). A za miłością ostygła zaćmiła się i wiara na ziemi. *Filius hominis veniens, putas, inveniet fidem in terra?* (Łuk. XXVIII, 8.) Co sądzisz? pyta sam Pan, ażali Syn człowieczy, przychodząc, znajdzie wiarę na ziemi? To się dziś dzieje na świecie: niema na nim miłości i niema wiary. I dlatego ci sami, co się wiernymi być mienia, co się zowią synami Kościoła, nie domyślając się, być może, nawet tego co czynią, podnoszą ręce więcej niż na wiarę, bo na samą podstawę wiary: chcą założyć inną podwalinę i przebudować całą budowę.

Ale żyje Bóg i stać będzie to które On zbudował dzieło zbawienia na swojej nietykalnej i świętej podwalinie. Fundamentu bowiem innego nikt położyć nie zdoła krom tego który położon jest, którym jest Jezus Chrystus (1 Kor. 3, 11). I jak w wewnętrznym zbawieniu, tak i w zewnętrznym jego przybytku i narzędziu, to jest w Kościele, fundamentu innego nikt nie zdoła położyć krom tego, który jest położon, a którym jest Piotr i Papież. Ta jest bowiem, — niech co chcą mówią i czynią — ta istic opoka, na której zbudował Chrystus swój Kościół, i bramy piekielne przeciwko niej nie przemogą.

O Chryste Panie! Ty jesteś początkiem i końcem, Alfa i Omega, pierwszym i ostatnim (Apokal. XXII,

13) na niebie i na ziemi, i na czas i na wieczność. Ale z twej myśli odwiecznej, z Twojego słowa, z Twojej ręki postawiłeś zastępcę doczesnego na ziemi, aby i on na Twojem miejscu był także po wszelki czas dla nas taką samą na zewnątrz Alfą i Omegą, pierwszym i ostatnim, początkiem i końcem przez ciąg tej naszej pielgrzymki do Ciebie. On ma słowo prawdy, które życie zaczyna, on klucze przewodne, któremi drogę i przystęp odmyka, on łaskę pasterską, którą do żywota prowadzi; on pierwsza podwalina i ostatnie narzędzie na którym się opiera i którym się utrzymuje całe tu życie boże nasze: nasza wiara, nadzieja i miłość. O Chryste Panie, to Ty raz na zawsze tak ustanowiłeś słowem Twojem; a dzisiaj wśród tej powszechnej niemiłości i niewiary Ty przed światem na tym soborze powszechnym <sup>1)</sup> Twojego Kościoła powtóre to słowo Twoje objawiasz i zatwierdzasz, dając mu nowy blask prawdy i świeży promień życia. Ażaliż tedy w tej chwili miłosiernego odnowienia naśladować mam owe niewdzięczne dzieci starej synagogi, lub też tych przestarzałych synów nowego Kościoła, co z dziełem miłosierdzia Twego tak nie po synowsku obeszli się lub obchodzą? Broń mię od tego Ty sam, Chryste Panie! a ja za łaską Twoją nie pójde się błąkać wśród synów zatracenia, nie będę wraz z nimi szukał innego mieszkania, ani Twego burzącą ręką poprawiał, nie będę myślał o zakładaniu nowych fundamentów; przeciwnie, wdzięczne dziecko Twojego miłosierdzia i miłości, bogaty dziedzic Twoich obietnic zbawienia, szczęśliwy mieszkaniec Twojego przybytku prawdy i światłości, całą moją miłością, nadzieją i wiarą, a tu przede wszystkim wiarą, stać będę równymi i mocnymi stopami na podwalinie, którą położyło ono słowo Twoje: Ty jesteś Piotr (opoka); a na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie przemogą przeciw niemu!

I będę bezpiecznie oczekiwał ostatniego zwycięstwa nad piekłem, i ostatniego tryumfu w przybytkach wiekuistych.

<sup>1)</sup> W Rzymie, w tym roku, zebrany był sobór powszechny.

## KAZANIE XLI.

## O Papieżu

jako podwalinie wiary, to jest o jego nieomyślności.

(Miana w Rzymie 20 Marca 1870.)

A Ja tobie mówię: że Ty jesteś  
Piotr (to jest opoka), a na tej opoce  
zbuduję Kościół mój (Mat. XVI, 18).

Widzieliśmy z łaski Bożej jednym ogólnym rzutem oka. co to jest Piotr w Kościele: że jest w nim podwaliną wszystkiego; a mianowicie tego potrójnego życia, z którego się składa cały Kościół żywy: podwaliną wiary, podwaliną nadziei, podwaliną miłości.

Lecz nie dość ogólnego takiego obrazu. I wiara, i nadzieja, i miłość, pragną, że tak rzekę, każda z osobna, oprzeć się jak można najlepiej na tem dnie swoim, by tam były bezpieczniejsze o swój byt i siłę; i póty spocząć nie mogą, aż póki się rzeczywiście o to dno swoje nie oprą. Idźmyż za nimi, albowiem i nam o to chodzić powinno, byśmy się razem z nimi oparli o ostatnią podstawę życia, już niewzruszoną i na zawsze nietykalną.

Pójdziemy dzisiaj za wiarą. Całe nasze życie duchowe opiera się na wierze: ona jest wewnętrzną podstawą ludzkiego życia. Ale ona sama oprzeć się musi na innej podstawie, bez której byłaby zawieszoną w powietrzu: więc się opiera na Piotrze. Zda się, że mówi do niego, powtarzając za Chrystusem: Tu es Petrus! Ty jesteś Piotr, opoka, fundament: ale przede wszystkim mój fundament, fundament wiary!

Tym tylko sposobem żyć może wiara, stojąc na swym gruncie prawdziwym, na pewności i nieomyślności gruncie. Kiedy raz to się z wiarą stanie, wtedy pospiesza tam za nią i wiedza. Ta ostatnia zbyt często w rozłące z pierwszą, błąka się samotnie, a zwykle dla tego, że i wiara zbyt często nie stoi na swej prawdziwej podwalinie. Dopiero, kiedy u stóp Piotrowych wiara usiądzie i raz mu rzeknie: Tyś nieomyślny! wtedy dopiero i wiedza usiąść może u stóp wiary i rzec do niej bezpiecznie: Terażes i ty nieomyślna! Teraz i ja nią być mogę!



Szczęśliwa chwila! Szczęśliwy grunt życia w niej znaleziony! Szczęśliwa ta nieomyślność, na której jednej umysł ludzki może oprzeć swoje bezpieczeństwo i życie. Umysł bowiem żyje prawdą, a prawdę daje mu wiedza lub wiara; lecz odejmij nieomyślność jednej lub drugiej, a wnet to, co one dają, już prawdą nie będzie, choćby to nawet i było prawdą, i umysł już żyć tem nie może. Takąto konieczną dla prawdy jest rzeczą: być nieomylną!

Lecz skądże jej nieomyślność! Ani wiedza, ani wiara same ze siebie dać jej prawdzie nie mogą, a przynajmniej dać nie mogą jej ostatniej podstawy w rzeczach nadprzyrodzonych. Wiedza jasno zrazu w zewnętrznych pojawach widząca, coraz mniej widzi, im głębiej w dno się rzeczy zacieka; nareszcie nic nie widzi. Lecz wiara ze swej strony nie ma jej także w sobie. Błąka się i ona po wszystkich rozdrożach sama sobie zostawiona, i dlatego to widzimy na świecie tyle wiar rozmaitych. Dopiero kiedy stanie na tym gruncie Bożym, dopiero kiedy się oprze na podwalinie Piotrowej, wtedy dopiero wiara zyskuje nieomyślność. Więc tu ją chcemy widzieć. Tu dopiero wszystko się stanie nieomylnem, i wiara ze swej strony i za nią ze swej strony i po swojemu wiedza. Tu u stóp Piotrowych dzieje się to чудо!

Na to widowisko, da Bóg, będziemy dzisiaj razem patrzyli.

## I.

Prawda, powiedziałem, z jednej strony, z drugiej strony wiara i wiedza: oto całe jedno życie człowieka.

Prawda, Prawda! A gdzie ona? co ona? kto ona? To pytanie rodzaju ludzkiego! Jeżeli na co, tedy na nie trzeba odpowiedzi. Odpowiada Chrystus Pan: Ja jestem prawda. (Jan XIV, 6.)

Jużeśmy przeszłą razą słyszeli to zatwierdzenie Chrystusa, aleśmy je słyszeli w połączeniu z innymi, kiedy o sobie zarazem twierdził: Ja jestem droga, ja żywot. Widzieliśmy i rozumieli w tem potrójnem twierdzeniu podstawę całego, jednolitego zarazem i troistego życia człowieka. Dzisiaj mamy się zastanowić nad pierwszym z tego trojga życiem ludzkim, nad życiem rozumu. Więc się w szczególności zastanowimy

nad tem pierwszym twierdzeniem Chrystusa, które jest jego podstawą osobną: *Ja jestem prawda!*

Tylko jedne usta ten głos wydały, jeden tylko człowiek to powiedział. Nikt przed nim nigdy nic podobnego nie wyrzekł; nikt zarówno ani po nim, co daleko dziwniejsza, nie wyrzekł nic podobnego. Jedyne jest człowiek i jedyny głos taki w historyi. Wiemy, że kiedyś na końcu przyjdzie inny człowiek, przeciwny temu: człowiek grzechu, *homo peccati* (II. Tessal. II. 3), ostatni zaprzeczyciel i bluźnierca Boga. Ten zapewne to samo o sobie powie; ale to już nikogo nie zdziwi. Czemu się owszem dziwić wypadnie, tedy temu, że tak długich wieków potrzeba było, i że musiały przyjść aż końcowe czasy, by się grzech mógł zdobyć na odwagę ostatniego szaleństwa i najwyższego bluźnierstwa. Dotychczas atoli nie zdobył się. Uszanujmy rozum ludzki: to jego zasługa, że duma człowieka chociaż szalona, jeszcze się lęka sądów rozumu, i cofa się przed jego śmiechem lub politowaniem.

Rzecz godna zastanowienia: sama ona stara pierwsza pokusa, która rzekła: *Słuchaj człowieku: Bogiem będziesz!* nie powiedziała mu jednak: *będziesz tem, czem jest Bóg, będziesz dobrem, będziesz prawdą!* Owszem, dosyć rozsądna, kiedy zuchwałością przekraczała granice sumienia, ostateczną przesadą nie przekroczyła granic rozumu. Rzekłszy dumnie: *będziecie jako Bogowie!* dodała dość skromnie: *wiedzący, wiedzący tylko dobre i złe, prawdę i fałsz.* Ach, czemuż złościca nie powiedziała wszystkiego? miasto usłuchać, wždy człowiek byłby może wtedy zaśmiał się nad nią i odprawił z politowaniem. A teraz musi odpłacać karę za jej podstęp zdradziecki i za złowioną przezeń przynajmniej połowę swojego rozumu!

I to także rzecz godna zastanowienia, że ta połowa ocalała rozumu wystarczyła, aby dotąd bronić rodzaj ludzki od ostatecznych szaleństw. Bogiem człowiek często się nazywał: ale prawdą i tem wszystkim czem jest Bóg nie nazywał się nigdy. Tu, w tym Rzymie, w którym wszystkie stare błędy runęły o ziemię i położyły się w prochu, aby służyć za podnóżek prawdzie; wśród tych zwalisk wywróconego bezrozumu, możemy spotkać jeszcze tu i ówdzie jego pomników sterczące czoła, i czytać na nich godne jego szaleństwa głoski: *Divo* albo *Deo Augusto*; *Divae* albo *Deae Faustinae*; ale

nigdzie Augusto Summo Bono! Faustinae primae Veritati! Rzecz jasna. Owa połowa ocalonego rozumu u samego takiego Augusta albo u takiej Augusty, w głos-by zawołała: To chyba się śmieją z ciebie!

Przetoż nikomu do głowy to nie przyszło. Przeciwnie, wszystko zupełnie miało się inaczej. Taki Cezar na swojej stolicy wierzył wprawdzie, bo mu kazali lub pozwolili wierzyć; wierzył, że jest bogiem, i następnie bogiem się mianował; ale by miał być sam prawdą, zaiste, w to nie wierzył; owszem, on w samą prawdę nie wierzył, wątpił nawet, żeby gdziekolwiek była na świecie, przy nadanej sposobności śmiał się z niej misternie; a kiedy mu się raz zdarzyło, że się spotkał z nią, spotkał twarz w twarz, oko w oko, — było to w Jerozolimie, kiedy się Piłat spotkał z Jezusem, — i kiedy sama prawda powiedziała, że ona jest prawdą, spojrział jej w oczy z politowaniem, wzruszył ramionami i rzekł uśmiechając się: A co to jest prawda? I odwrócił się i precz odszedł. — Cezarze! dobrześ zrobił: pokazałeś doskonale jakim ty jesteś bogiem! Tyś nawet wtedy coś lepszego zrobił: pokazałeś zarazem jakim Bogiem jest Chrystus.

Ha, co za różnica! Chrystus nie wzrusza ramionami, nie śmieje się z prawdy; Chrystus na świadectwo prawdy krew swoją przelewa: „Ja na to przyszedłem, abym świadectwo złożył prawdzie” (Jan XVIII, 37). A tą prawdą, której na świadectwo krew swoją daje, jest Onże sam: Ja jestem prawda! A to Ja, które o sobie mówi, że jest prawdą, jakże przez to samo twierdzi o sobie najwymowniej, że jest Bogiem, i dowodzi zarazem, że Nim jest. Gdyby się był wprost zatwierdził Bogiem, uczyniłby to co i Cezar, a wtedy tyleby Mu to pomogło, co i tamtemu. O Chryste Panie, Ty inaczej czynisz. Ty ludziom zostawiasz nazywać się w szale swoim bogami, zostawiasz im cześć imię; sobie zostawiasz rzecz samą bóstwa, i imię rzeczy. Jak się spotkacie, człowiek i Ty, Panie! powiecie tylko sobie swoje imiona; a wnet człowiek choćby się odział we wszystkie szaty bóstwa, musi zstąpić do nicestwa, a Ty choćbyś nosił na sobie wszystkie pozory nicestwa, musisz być uznany i uczczony za Boga!

Ja jestem prawda! Coraz lepiej rozumiem co ten głos znaczy. W nim całe źródło życia i całe życie człowieka, ta

strona przynajmniej, którą rozum żyje, a która jest życia całego koniecznym warunkiem i niezbędną podstawą. Bez prawdy niema ani wiary ani wiedzy: bez wiedzy i wiary niema życia rozumu; więc życia całego niema, gdzie niema prawdy. Więc życie, więc rozum wyciąga oba swoje ramiona, stąd wiedzę, stamtąd wiarę; wyciąga jak najszerzej, by powitać i objąć prawdę jak najpełniej, by Ciebie powitać i uścisnąć, o Chryste Panie!

Nie byle też jaka prawda może być objęta temi silnemi ramionami. One zanadto rzeczywiste, zanadto potężne, by w ich uściskach mógł się ostać cień jaki lub widmo rzeczy. Nie, nie ostoi się. Każdego takiego widziadła prawdy ledwie się dotknie wiara lub wiedza i zacznie je macać, już ono znika i śladu nie zostawia. A jak zniknie, i wiara i wiedza mówią do siebie: Czyż to była prawda? I im więcej takich widziadeł z ręki im pierzeha, tem pilniej się pytają: A gdzież prawda? I jak ostatnie ich zawiedzie, coś dziwnego, że im przychodzi wreszcie na usta uśmiech rozpaczy i ten głos jej niepokiesny: A co to jest prawda?

W takim, niestety, rozpaczliwym stanie znalazła się mądrość starożytna, w takim się spostrzegł onego czasu stargany rozum ludzki wiekowymi zawodami. Nie pomógł mu w tej ciężkiej potrzebie ani sam zdrowy rozsądek. Na zdrowy rozsądek znalaziono tarany, które na końcu potłukły wszystkie jego warowne mury. Przypominamy one dobrze: nazywały się akademie. W nich od rana do wieczora dysputowano za i przeciw. Biedny zdrowy rozsądek schronił się jeszcze na czas jakiś do Rzymu i tu długo się bronił, w tej swojej ostatniej twierdzy. Lecz w końcu i tu uległ: sofisci Rzym zalali, a za nim cały świat; i sofizmata akademickie, jak owe chude krowy Faraona zjadły na końcu ostatnie tłuste cielece zdrowego rozsądku i prostego zmysłu, i zostawiły po sobie swój własny szkielet za cały dobytek. Był to głód śmierci, i rozpacz rozumu, rozpacz na około, wciąż wołająca: niema, niema prawdy! A nadzieja wśród tej ciemnej nocy tylko gdzieś niegdzie przedzierała się promykiem, i przypominając sny Sokratesa, z nim jedno i to samo mówiła: Tu niema ratunku: trzeba, żeby Bóg zstąpił z nieba, i nauczył nas prawdy!

I oto właśnie, w tej najcięższej chwili, kiedy słońce było najdalej, kiedy zimno było najsroższe, kiedy noc była najgrub-



sza, zstępuje ta gwiazda na ziemię, i wśród wesela Aniołów, wśród radości ludzi, staje i mówi do nich: Oto jestem: Ja, prawda! I do tego Tomasza niewiernego, do tego ludzkiego rodzaju, który już był zwątpił o prawdzie, woła litościwie: Chodźcie wszyscy, patrzcie, jam nie cień i mara, widmo niema ciała i kości jak ja je mam. Dotykajcie się i patrzcie dobrze: Ja jestem prawda.

Teraz rozumiem co ten głos znaczy: Ja jestem prawda. To ten Bóg, który zstąpił z nieba, to prawda sama, odwieczna, wiekuista, istotna, żywa, osobista. Poznaje ją po jej głosie: Ja jestem prawda! Ona jedna mogła to była powiedzieć. Po co mi innych dowodów, ten mi starczy za wszystkie. Albowiem jeśli tylko Bóg doprawdy zstąpił na ziemię, tak się powinien był zatwierdzić; z drugiej strony nikt się tak nie zatwierdził, krom tego jednego. Tego mi dosyć. Piłacie! po co się odwracasz tak prędko i odchodzisz tak niebacznie! Gdybyś był został chwilkę jeszcze, spojrzał lepiej, dotknął się palcem jednym, a z Tomaszem byłbyś do nóg upadł Temu, który się tak zatwierdził i zawołałbyś szczęśliwy: Tyś Bóg mój i Pan mój! Tak, Tyś prawda! Niema innej.

Teraz, nim dalej pójde, proszę was, drodzy moi, wybaczyć mi, że tu się znowu na wstępie zatrzymał nad tem zatwierdzeniem. Atoli to zatwierdzenie się Chrystusa Pana jest podstawą wszystkiego, a nie dosyć jest cenione, jak i inne podobne jemu. Przywykliśmy do nich, i one nam spowszedniały. Wybaczcie mi tedy, że je odświeżył; tu zaś tem słuszniej, że ono jest konieczną podstawą dalszego naszego rozumowania. Idźmyż tedy dalej.

Ja jestem prawda. Więc już ją mamy. Ale czem ona jest? o tem długa byłaby mowa; nie tu miejsce na to, ani czas po temu. Zresztą, każdy z nas stworzony dla prawdy i nosi w głębi istoty swojej wszystkie potrzeby i warunki, którym prawda ma odpowiedzieć; każdy tem samem wie z góry czem musi być prawda. Krótko tedy odpowiem z Chrystusem samym, kiedy na innem miejscu podobnie o sobie powiedział: Ego sum lux mundi (Joan. VIII, 12, IX, 5). Ja jestem światło świata! a Faryzeusze wołali: Ty sam o sobie świadectwo dajesz? więc krótko odpowiem, co On sam wtedy odpowiedział: Ja wiem, prawi, skąd przychodzę, i wiem dokąd

idę (Jan VIII, 14), i kto idzie za mną, nie idzie w ciemnościach (Jan VIII, 12). Oto czem jest prawda: potrzeba tych trzech rzeczy, aby była cała. Naprzód powinniśmy wiedzieć nasz początek i cały powód istnienia naszego: Wiem skąd przychodzę! — następnie cel i ostatnie przeznaczenie: wiem dokąd idę; — a nareszcie drogę i jej środki i warunki: kto idzie za mną, nie idzie w ciemnościach. Ta jest prawda cała i to wszystko daje nam Chrystus, i dlatego tą prawdą jest Chrystus. Ja jestem prawda.

A więc już ją mamy, już mieszka pośrodku nas. Wyciągnijmyż do niej ramiona i naszej wiary i naszej wiedzy, obejmijmy ją uburącz, i przytuliwszy ją do łona rozumu, powiedzmy serdecznie: *Mane nobiscum* (Łuk. XXIV, 29). Pozostań z nami! To głos wnętrza naszego, to głos całej naszej istoty: *Mane nobiscum!* Pozostań! Ale tu także jest węzeł całej naszej mowy i rozumowania.

Pozostań! Czyż nie pozostanie? Albo!i też raczej: czy prawdy, którą raz dostali, ludzie nie tracą? Czy winą własną nie opuszczają jej, nie odpędzą, nie zabijają nawet i ani szczątków nie pozostawiają? I czy znowu to samo się nie stanie, co się przed jej przyjściem było stało: że jej napowrót między ludźmi nie będzie?

Niestety! ta możebność zawieszona jak chmura nad głowami ludzkiemi. Wisi nad niemi piorun, który może ten skarb ich znowu obrócić w perzynę; pod ich stopami trzęsie się wulkan, który go za lada chwilą może pochłonać. Strach i niebezpieczeństwo grozi bez ustanku, a tą grozą niebezpieczeństwa jest wolność ludzka. Tak niestety, wolność: ten dar Boży, który nas podnosi do niebios, ten sam nas strąca do piekieł.

Chrystus odejdzie, musi odejść. Oto, powiada, odchodzę do Ojca, który posłał mnie, a i dla was pożyteczną jest rzeczą, abym odszedł. *Expedit vobis* (Jan XVI, 5, 7). Chrystus tedy odejdzie. A cóż się natenczas stanie? Na tę chwilę czekają szatani, czekają faryzeusze, sofiści, Herodowie i Piłaci, czekają wszystkie namiętności serca i wszystkie szaleństwa rozumu, i wszystkie zuchwalstwa woli ludzkiej. Biedna wolność człowieka, cóż ona wtedy pocnie, jak się utrzyma przy prawdzie, z którą ledwie że się spotkała, ledwie, że ją powitała, nie

miała nawet czasu dobrze się z nią rozmówić. Cóż się z prawdą stanie w rękach tej biednej wolności?

Lecz bądźmy spokojni. On sam o tem myśli, On, który rzekł o sobie: *Ja jestem prawda*. Owszem, On od wieków umyślił i uradził, co ma uczynić, i to tylko wykona teraz. On prawda, który wiedział, jak się miał sam objawić, wie również, jaką ma po sobie dać tej prawdzie postać, jakie usta, jaki głos, aby nie był czczem słowem, przebrzmiewającym w powietrzu, ani sennem widziadłem znikającym w ciemnościach; lecz aby była żywą prawdą, taką jak On sam, i mogła wciąż mówić, tak jak i On, do wszystkich niewiernych Tomaszów: *Chodźcie, patrzcie i dotykajcie się!* Jam zawsze ta sama prawda! Niech się człowiek obraca jak mu się podoba, niech jego wolność jak chce się szamota, niech sobie otwiera wszystkie upusty, któremi błęd znowu lunie nawałnicą; nie lękajcie się: dawny jego potop na ziemię nie wróci; ta tęcza promienna i żywa, którą jestem *Ja prawda* wcielona, i którą odtąd na zawsze pozostaje, jasno rozpostarta nad obliczem ziemi, ta zachowa świat i prawdę Bożą nad nim od zguby na zawsze.

Umyślił, uradził, uczynił tak Chrystus. I stoi Jego dzieło, tak jak stanęło Słowo.

Stoi! gdzie ono? — Nie trzeba nam długo szukać. Wiemy gdzie i wiemy drogę do niego. *Et quo ego vado scitis, et viam scitis* (Jan XIV, 4). I gdzie *Ja jestem* wiecie i drogę wiecie!

Zaiste, gdybym jeszcze żył za onych dawnych czasów, kiedy prawda miała dopiero zstąpić na ziemię, i gdybym szukał jej samej, czyli raczej Jego samego, szukałbym Go z takim Sokratesem i z nim razem pytał: gdzie jest Bóg w ludzkiej postaci, nie ten, który się byle jako nazywa Bogiem, ale który prawdy zaiste naucza? ten co się śmie nazywać prawdą? I nie potrzebowałbym długo szukać; w onych czasach już wiemy, że tylko jeden był taki, ten sam, z którego ust słyszeliśmy: *Ja jestem prawda!* Ale ponieważ żyję w czasach dzisiejszych, kiedy ten jedyny już raz się zjawiwszy, odszedł z pośród nas, a ja wiem o tem, że był i że odszedł, więc szukam tego samego, ale inaczej; i pytam, gdzie jest ten mąż, nie taki, co się nazywa lada jak Chrystusem, co powiada, że on Bóg jakiś lub Messyas; ale który mówi o sobie, że zastępuje Chrystusa, że

zastępuje na ziemi ona prawdę żywą, która już do nieba odeszła i że jest tak jak ona i jak On nieomylny; jednym słowem, gdzie jest prawdziwy zastępca prawdy, dający z góry wszelkiej żywej duszy dowód swojej prawdziwości, tem samem, że twierdzi, iż jest nieomylny. O to się pytam, i o to jedno pytać się powinienem, tego jednego szukać, jeśli istotnie chcę w końcu coś znaleźć. Bo zaiste, jeśli tego na świecie nie było, jeśli nie było nikogo, eoby się twierdził nieomylnym, tedy daremnie wszelkie szukanie prawdy, i lepiejby było o niczem już nie myśleć. Więc szukam takiego zastępcy prawdy, tego nieomylnego na ziemi. I czy myślicie, że go nam długo szukać wypadnie? A toć mi sami odpowiadacie: Dość wyjść na ulicę i spytać pierwszego człowieka, którego napotkasz. I to bynajmniej nie tu w Rzymie: uczyni to w Chinach lub Australii, pod północnym albo południowym biegunem, czy na ulicach stolicy, czy na wydmuchach pustyni, spytaj kogo chcesz: Gdzie jest ten, który naucza prawdy, który zastępuje Chrystusa i powiada o sobie, że jest nieomylny? Wszelka żywa dusza jedno i to samo ci odpowie: Idź do Rzymu, tam znajdziesz Piotra. On jeden tylko na świecie to o sobie twierdzi.

W tem jest znamię, w tem piętno nieomylnie prawdy nieomylniej. Ona naprzód sama o sobie twierdzi i to twierdzi, czego nikt inny o sobie nie twierdzi; a potem, — co lepsza dla niej, gorsza dla innych, — tego nikt inny nie może o sobie twierdzić.

Chrystus jeden o sobie zatwierdził: Ja jestem prawda!

Papież twierdzi jeden o sobie: Ja jestem nieomylny!

Jużeśmy widzieli: nikt o sobie nigdy nie powiedział co Chrystus: że jest prawdą! Teraz pytajmy siebie i szukajmy przed sobą i za sobą: gdzie jest ten człowiek, lub kiedy był taki, któryby o sobie twierdził to co Papież: że jest nieomylny? Ha! spotkaliśmy już w starych czasach wielu Faraonów, wielu Nabuchodonozorów, wielu Cezarów, głoszących, że są bogami: prawdą nikt się był nie ogłosił. I dzisiaj spotkaliśmy już wielu Mahometów, wielu Lutrow, wielu choćby takich Towiańskich, którzy mówią o sobie, że są Chrystusami, Messyasami, a niechby i na nowo bogami: ale że są nieomylni, tegośmy nie słyszeli, takiegosmy nie spotkali, tego o sobie nikt z nich ani mówił, ani mówi. Kiedym ostatniemu z nich w oczy wyrzucił, że jest



takim jak Luter, głowę schylił i w tej lepszej chwili zawołał: Księżu, jeśli tak jest jak mówisz, módl się za mną! Innym pono co innego mówi, zawsze pono to, że jest Messyaszem; — nigdy jednak, że jest nieomylnym.

Gdybyż to który z tych filozofów, z tych nauczycieli i zbawców, z tych nowych Chrystusów, nazwał się nieomylnym! Ci sami, co ich za takich przyjmują, odskoczyliby od razu. Albowiem serce i wyobraźnia mogą się dać odurzyć czczem imieniem; lecz kiedy idzie o prawdę istą i zamiast imienia wystąpi rzecz i jej treść naga, wtedy odzywa się rozum, ona jego ocalała połowa, i upomina się o swoje prawa. Podobnie jak ongi pozwalano Cezarom nazywać się bogami i kłaniano się im; lecz gdyby który nazwał był siebie prawdą, śmianoby mu się wbrew; i cała historia skończyłaby się była śmiechem. Tem się nie ludźmy, że ich tak łatwo przyjmują za posłańców Bożych i za Chrystusów, i że tem samem zdawałoby się, że ich przyjmują za nieomylnych. To tylko szaf serca bierze za bóstwo to, czego pożąda swą chucią, a za posłańca Bożego tego, który mu to przynosi: i jeśli go przez chwilę ma za nieomylnego, tedy dopóty tylko, dopóki on przemawia w imieniu tego bóstwa, tej chuci jego serca. Niechże się tylko ogłosi doprawdy nieomylnym, to jest we wszystkim i przeciwko wszystkiemu, przeciwko temu sercu zwłaszcza, wtedy koniecznie budzi się rozum; i o tej to chwili bezpiecznie twierdzę, że rozum protestuje przeciwko takiemu targnięciu się na prawdziwą nieomylność, i śmieje się z takiej nieomylności.

Dzięki Bogu, jeszcze żyje rozum ludzki, tak jak żył w onych dawnych podobnych naszym czasach, żyje przynajmniej ona jego ocalała połowa. Jeszcze ostatnie szaleństwo nie podobne, i samym szaleńcom na myśl nie przychodzi, choć się Chrystusami nazywają, nazwać się w ten ostatni prawdziwy sposób: nieomylnymi! Jeszcze się lękają rozumu.

Lecz teraz tem bardziej głos podnoszę i wobec tego rozumu, jak i wobec tego bezrozmumu, tem śmieiej i tem głośnieij wołam: A wždy jednak oto jest taki, który się nazywa nieomylnym we wszystkim i przeciwko wszystkiemu, i ludzie nie śmieją się z niego! Jest ten jeden i żyje. Co innych zabija, to jemu życie daje. I im dłużej twierdzi, tem lepiej żyje i tem głośnieij ludzie świadectwo mu oddają. Wściekają się jedni,

kiedy drudzy błogosławią; nikt się nie śmieje. I tak wszyscy jednozgodnie, choć każdy po swojemu, oddają mu świadectwo, i mówią: Ty jeden tylko, któremu to wolno twierdzić, żeś nieomylny i żyć. Rozum ludzki przed tobą z osłupieniem broń składa, kiedy widzi, że tem żyjesz, co innych zabija. Żyj tedy i twierdź to samo: ty iście musisz być nieomylnym! —

Więc wkońcu cóż dodam? Tak jak Chrystusowi na Jego twierdzenie odpowiedziałem rozumem całym i duszą całą: Ty jesteś prawda! tak samo i Jego zastępcy rozumem i duszą całą odpowiedzieć muszą: Piotrze, co Ty twierdzisz, to prawda zbyt jasna: Ty jesteś nieomylny!

Odetchnijmy! znaleźliśmy czegośmy szukali. Teraz nam zostaje zobaczyć: dla czego i w czym i jakim sposobem nieomylny.

## II.

Widzieliśmy czyn sam w sobie. On jeden już wystarczył, aby nas przekonać, że Papież jest nieomylny.

Teraz trzeba nam widzieć wewnętrzną czynu zewnętrznego stronę i tam w głębi tkwiącą samą rację i powód nieomylności. Dostąpimy tego, odpowiadając na to proste pytanie: **Dla czego Papież jest nieomylny?**

Dla czego? krótka na to odpowiedź: dla tego, że Chrystus tak ustanowił.

Ustanowienie Chrystusa jest z jednej strony powodem, a z drugiej strony dowodem wewnętrznym, istotnym, a niezbitym nieomylności Papieża. Chrystus Pan chciał, aby Papież był nieomylny, bo miał swoje przyczyny do tego, i oto powód; następnie postanowił i uczynił, że jest nieomylny, i oto dowód. **To nam trzeba obaczyć.**

A naprzód, że od ostatniego zaczniemy, postanowił i to uczynił nasz Pan i Zbawiciel. Tę Jego wolę i ustanowienie objawiają jasno słowa, od których naszą mowę zaczęliśmy: Szymonie, Szymonie, szatan domagał się, aby was przesiał jako zboże; Ja zaś prosiłem za tobą, aby nie ustawała wiara twoja, a ty raz nawrócony, potwierdzaj braci twoich. (Łuk. XXII, 32).

Zaiste, jasne i wyraźne słowa. To też są one niewygodne dla wielu, i w tej chwili jeszcze, a nawet w tej chwili najbar-

dziej wystąpili nowi faryzeusze i nowi uczeni w piśmie, aby je sprzątnąć z pobożowiska, i tam gdzieś w kąt wrzucić między zbutwiałe śmiecie. Mówimy tu o Gallikanach i innych niby katolikach, którzy chcieliby te słowa koniecznie jako nie nie znaczące z kodeksu ustaw kościelnych wyrzucić. Zdobyli się na nielada dowód: powiadają, że to prywatne słowa, do św. Piotra osobiście powiedziane, i nie sięgające poza jego żywot śmiertelny; a więc do Papieży nie odnoszące się wcale.

Atoli ci, co tak twierdzą, zapomnieli niebaczni o jednej rzeczy: że za swego życia Piotr tych słów nie potrzebował, bo nie był w tym przypadku, aby kogo ze swych braci Apostołów potrzebował był potwierdzać; Judasza pomiędzy nimi już wtedy nie było, a każdy inny Apostół miał nadzwyczajnie sobie dany dar nieomyślności, i żaden nie mógł być i nie był przesiany jako zboże przez kusiciela szatana. Nie do Piotra tedy ostatecznie, ani do Apostołów te się słowa odnosiły, ale do ich następców, do Papieży i Biskupów. Zgoła tedy niebacznie twierdzą, że tak długo tylko te słowa trwać miały, jak życie Piotrowe.

Ale następnie zapomnieli, już trzykroć niebaczni, o daleko większej rzeczy: że Duch święty w Ewangelii nie zapisywał przykazań Chrystusa Pana (boć to przecie przykazanie: Potwierdź!) mających trwać lat dwadzieścia lub trzydzieści; ale że te, które zapisał, trwać miały na zawsze. Chrystus o tych przykazaniach swoich sam przecie powiedział: „Niebo i ziemia przemina, ale słowa moje nie przemina“. Jakto? Piotr w Kościele, to jest Papież, ma trwać na zawsze; wy to sami powiadacie; powiadacie następnie, że ono przesiewanie jak zboże przez szatana braci Piotrowych, to jest Biskupów, będzie trwało zawsze; a potem mówicie, że słowa Chrystusa Pana do Piotra powiedziane o jego nieupadnięciu w wierze, potwierdzaniu braci, powiedziane mu są tylko na dni niewiele? Lecz wtedy jakimże sposobem Piotr będzie zawsze Piotrem? Albo jak znowu owo przesiewanie po tych dniach niewielu, to jest po ustąpieniu Piotra, nie będzie bez ratunku i bez naprawy? Jakimże sposobem wtedy, nietylko te słowa, ale i wszystkie inne obietnice, przykazania, zapowiedzie, uczynione bądź Piotrowi, bądź Apostołom, bądź Kościołowi całemu będą mogły być trwalsze i przeciągnąć się poza życie tych pierwszych, do których były po-

wiedziane? Jeśli jedne mają się rozwiać jak mgła poranna po upłynieniu pierwszej dnia godziny, dla czegoż drugie trwać będą miały aż do południa i do zachodu? Kto tę różnicę wprowadził? Kto jej was nauczył? A wkońcu, co wtenczas znaczy ono pierwsze uroczyste twierdzenie: Niebo i ziemia przemina, ale słowa moje nie przemina? Raczej uderzcie się w piersi i przyznajcie, że tłumacząc owe słowa do Piotra powiedziane, jak wy je tłumaczycie, nie trafiliście w prawdę, aleście się wietrutnie omylili.

Podobne niedorzeczności zwykle się trafiają podobnym ludziom. Faryzeusze zawsze są faryzeuszami, i tacy uczeni w piśmie, takimi uczonymi po swojemu.

Mimo ich wykładów i przekładów słowo Chrystusowe, a w tem słowie wola Jego i ustanowienie, stoi raz i dobrze na zawsze; i raz na zawsze Piotr ma obowiązek i urząd potwierdzania wszystkich braci swoich: Papież potwierdzania Biskupów.

To słowo zaś i ustanowienie potwierdzania nic innego nie znaczą, jedno, że biskupi mogą się mylić, Papież zaś mylić się nie może. Do tamtych bowiem szatan otrzymał prawo, aby ich przesiewał jak zboże przez przetak; z pomiędzy nich tedy plewy i śmiecie będą odpadały i samo tylko dobre ziarno pozostać będzie mogło; ale do Piotra, to jest do Papieża, tego prawa szatan nie otrzymał. Prawda, że tu potrzeba było aż osobnej modlitwy Chrystusa Pana, takiej to wagi i tak trudna była ta sprawa; lecz się nie lękajmy: Chrystus się modlił o to, i On, którego Ojciec zawsze wysłuchiwa (Jan XI, 42), otrzymał, o co się modlił: Ja zaś, prawi, modliłem się za tobą, aby nie ustawała wiara twoja. Nie lękajmy się tedy: Piotr przez przetak złowrogi nigdy przesianym nie będzie, jego wiara nigdy nie ustanie, on w wierze zawsze będzie nieomylny. A tuż za tą prawdą i pewnością idzie następstwo i obowiązek dla Piotra, dla Kościoła, dla innych pasterzy, dla nas wszystkich, następstwo również przez samego Chrystusa postawione: A ty, powiada, raz nawrócony, to jest, kiedy po zaparciu, jakiego się dopuścisz, ja ciebie na dobre nawrócę, i ty już będziesz raz na zawsze utwierdzony; wtedy więc, raz nawrócony, potwierdzaj braci twoich. To znaczy: Nie dość, że ty sam w wierze nie upadniesz, ale kiedy bracia twoi w wierze upadać będą, ty im twej wiary podawaj rękę; kto jej się chwyci,



stać będzie, kto ją odepchnie, nędznie upadnie. Pamiętajże Piotrze: Tyś nie tylko dla siebie nieomylny, tyś nieomylnym i dla nich; i cała nieomyślność Kościoła we wierze na tobie jednym spoczywa.

Pewne tedy i jasne jest ustanowienie Chrystusa, i to ustanowienie jest dowodem rzeczy. Na nim oparta wiara nasza wyzywa wszystkich przeciwników na rękę i nie lęka się żadnych ich napadów. Mocniejszym od nich wszystkich jest to słowo i to ustanowienie Chrystusa.

Lecz my możemy jeszcze pójść dalej, i w tych samych słowach Pana naszego i Zbawiciela możemy przeniknąć i odkryć rację i powód dla czego tak ustanowił, dla czego Piotr jeden jest osobiście nieomylny. Jeżeli fakt ustanowienia, tylko co przytoczony, kazał nam przystać wiarą naszą na nieomyślność Głowy Kościoła, tedy powód tego ustanowienia raz przez nas pojęty każe się nam przychylić do niej całym rozumem i sądem naszym.

---

Cóż tedy było dla Chrystusa Pana powodem zniewalającym do dania nieomyślności Piotrowi i jego następcom? On sam to tłumaczy: powodem było niebezpieczeństwo, jakie groziło wierze ze strony pokusy przeciwnej, była wolność ludzka, o której mówiliśmy. Pokusa z tej strony przyjść musiała koniecznie. *Necesse est, ut veniant scandala*. Konieczna jest, aby przyszły zgorszenia (Mat. XVIII 7) i ta konieczność jest taka wielka, że niepodobna jest, aby zgorszenia nie przyszły! *Impossibile est, ut non veniant* (Łuk. XVII, 1). Tu idzie na prawdę o wolność człowieka, bez której niema uczynku ludzkiego. Wolność woli, aby się pokazała prawdziwą wolnością, musi przejść przez doznanie, czyli próbę. Pokusa, szatan mogą się domagać u Boga o to prawo doznania wolności woli ludzkiej; a Bóg według pewnej sprawiedliwości odpowiedniej naturze rzeczy, nie może, że tak powiem, odmówić szatanowi skutku jego domagania się, ani też chce go mu odmówić. Zaiste, gdyby chciał, nieby Mu niepodobnego nie było; ależ On, najmędrszy i najświętszy, działa zawsze według praw i prawideł mądrości i słuszności z Niegoż samego wypływających. Nie odmawia tedy szatanowi tego domagania się i choć następstwami kieruje i ostatni skutek sobie zostawia, puszcza jednak wolność człowieka na wszystkie doznania szatańskie.

Przetoż Chrystus musiał obmyślić, i Kościołowi swemu zostawić taki środek i sposób, któryby zapewnił ten podwójny skutek: jeden, aby wola ludzka mogła być na losy takiej wolności i na wszystkie jej koleje wolno puszczona; drugi zaś, aby prawda Boża nie zginęła jednak w tak ciężkiem woli ludzkiej doznaniu. Mówię: aby nie zginęła: to jest, aby ona, która jest życiem umysłu i ducha ludzkiego przez wiarę, aby, mówię, ta prawda Boża zachowała się z całą pewnością nieomyślności: ona, która tylko wtedy nie ginie, kiedy nieomyślną pozostaje.

Cóż przeto miał uczynić Chrystus? A nawet, ponieważ tu o rzecz konieczną idzie, co powinien był uczynić, chcąc te dwie rzeczy pogodzić? Musiał niezawodnie wziąć się do zdziałania cudu: wprowadzić tylko cudu łaski i Opatrzności, ale zawsze w swoim rodzaju pewnego cudu; boć to cud istny, aby prawda w sposób nieomyślny ciągle i przez tak długie wieki, mimo niepewnej wolności ludzkiej, przetrwała z pewnością w umyśle człowieka.

Tym cudem jest ten właśnie, który mamy przed oczyma: nieomyślność Papieża. Aż tego potrzeba było; ale z drugiej strony to jedno wystarczyło. Uczynił tedy Chrystus ten cud, dał osobistą nieomyślność Papieżowi; uczynił, bo był potrzebny; ale ten jeden tylko uczynił, bo tylko tego jednego potrzeba było, i ten jeden cud wystarczał.

Złymają się na ten widok przeciwnicy nasi: taki dar Boży zdaje się im przekraczać wszelkie granice i nie chcą go przyznać. Za wiele dla nich, aby Papież był nieomyślnym, a tymczasem sami targają się na nieskończenie więcej, i chcąc nieomyślność papieską czem innem zastąpić, zamiast jednego bożego cudu, mnożą swe ludzkie cudziska bez liku i szyku. Przyjrzyjmy się bliżej tej ich robocie: ona nas dokładnie nauczy, jak błąd przeciwników nie ma za sobą racyi żadnej, i jak nasza prawda ma za sobą wszystkie racye.

Tu nam trzeba postawić prawidło, którego tylko cośmy dotknęli, a które samo z siebie jest niezaprzeczone. Bóg cudami ani świata, ani ludzi nie rządzi, a jeśli Mu kiedy do tych rządów potrzebne cuda, cudów jednak bez potrzeby nie mnoży. Wszchemocny a mądry, jednym słowem stwarzał rzecz każdą;

rzekł: Stań się światło! i stało się światło. Jednego słowa dość było: i jedno też wyrzekł; drugie byłoby było zanadto. Więc gdzie jednego cudu dosyć, dwóch, a tem bardziej sta i tysiąca nie czyni.

Chrystus przeciwko wolności ludzkiej i wszystkim jej pokusom miał prawdę swoją i jej w przekazywaniu takim, o jakim mówiliśmy, moralnym i opatrzynym cudem. Mógł był i On niezawodnie rozmnożyć takie cuda bez liczby i końca. Ale, czyliby to odpowiadało temu sposobowi, jakim Bóg świat i ludzi rządzi? jakim Jego działa wszechmocność? jakim Jego wszystko kieruje mądrość?

Tegoby chcieli przeciwnicy nieomylności papieskiej, i tu nam podają te, o których wspomnieliśmy, swoje ludzkie sposoby, wrzekomo mędrsze i mocniejsze niż Boże, i wmawiają w nas jeszcze, że Chrystus tak niezawodnie uczynił. Nie, tak Chrystus nie uczynił. Ale weźmy przed oczy te ich wynalazki, choćby dlatego, by się właśnie przekonać, jak nie mają żadnej racji, a zarazem, że Chrystus tak nie mógł uczynić; nie mógł żadną miarą stać się do nich podobnym.

Pierwszy sposób jest protestancki. Ten sobie wszystkiego pozwala, i przed niczem się nie cofa. Jeżeli nieomylność, tedy już dla wszystkich. Wszyscy wierni spolem, i każdy jedynaczek, nieomylni. i nieomylny. Czyta Pismo, a Duch święty szepce mu do rozumu: co z tego wyniknie, to wierutna prawda i najprawdziwsza wiara. Któżby miał stawać pośrodku między Bogiem a sumieniem? Byłoby to ubliżać Bogu. a człowieka sumienie pętać w kajdany! Precz z pośrednikami! Sumienie wolne i Bogu tylko wolny do niego przystęp. On omylić się nie może i nie omyli. Więc nieomylność w bezpośredniem działaniu Boga; a każda żywa dusza tylko tym sposobem, a tym niezawodnie, staje się w wierze nieomylna!

Tym sposobem? Nieomylna? A ja wam powiadam, że ani tym sposobem, ani nieomylna.

A najprzód nie tym sposobem. Już zgola nie patrzę na to co się dzieje, i widzieć jeszcze nie chcę, jakie skutki z tego waszego sposobu po całym świecie już dawno wynikły; sam ten wasz sposób dojścia do nieomylności w wierze biorę pod roz sądzenie. Żeby każdy tym sposobem do niej doszedł, tyle trzeba

cudów, ile będzie ludzi. Boć każdy przecie ma wolność w wyborze swego rozumienia prawdy, i żeby tę wolność zawsze i wszędzie i to każdego wiernego zabezpieczyć od upadku, to jest od omyłki, trzeba takiego samego moralnego i opatrznego cudu dla każdego z osobna, i dla niego jeszcze zawsze i wszędzie. jakim nauka katolicka jednego tylko Papieża obdarza. Czyż nie widzicie, że wtedy dopiero byłyby cuda, cuda, cuda; i Bóg samemiby cudami świat rządził; albo inaczej nie byłoby nieomylności. tem samem ani wiary prawdziwej? Cóż tedy czynicie? Jednego cudu wam za wiele, czyż więc dlatego potrzeba wam ich było émy całej? Za wiele wam jednego Papieża, czyż dlatego robicie ich sobie tysiące i miliony? Lecz ja was rozumiem: tak byłoby milej dla waszej zarozumiałości, która nie chce być uczniem, ale woli być nauczycielem; tak byłoby dogodniej dla waszego pysznego karku, który nie chce się ugiąć nawet przed Namieśnikiem Chrystusa, przed Zastępcą Boga; i woli nim być sam dla siebie. Lecz wybaczcie. Nie patrzy Bóg na taką naszą wygodę. A więc nie tym sposobem.

Lecz następnie ani nieomylna wiara! Ba! gdyby w tem wszystkim co mówicie była za wami prawda, odpowiedziałyby jej natychmiast rzecz sama i jej oczywisty skutek; to jest: że gdyby w ten sposób, o jakim prawicie, Chrystus zabezpieczył był nieomylnie przekazywanie swej prawdy i wiary, byłyby przecie między wami za dowód tej rzeczy, jedność jakaś, a przynajmniej jedności pozór. Bo to sobie dobrze powiedzmy: wiara nieomylna jest wiara prawdziwa, a wiar prawdziwych niema dwóch, a tem mniej dwudziestu lub dwustu; jest ona jedna tylko, jak prawda jedna. Więc jeśli jest u was prawdziwa i nieomylna, musi być jedna także i jedna koniecznie. Atoli patrzcie na skutek: tu i pozoru jedności między wami niema; u was ile głów, tyle zdań: a jeśli chcąc zaradzić złemu, głów kilka zgodzi się niby na jedno zdanie, tedy jeszcze to jedno zdanie w każdej z tych głów rozpadnie się na inne znaczenie i inne rozumienie. Więc niema jedności, więc wasza wiara nie jest nieomylna, i sami nam dajecie tej rzeczy nieomylny dowód: właśnie ten brak jedności. Śnać, że tam wewnątrz w was nie mieszka Duch święty, który jeśli na zewnątrz mówi wszystkimi językami, we wszystkich jednakże mówi tylko jedną i tę samą prawdę. Dajcież nam tedy pokój i nie mówcie nam o wierze



nieomyłnej: wy nie tylko nieomyłnej, wy żadnej nie macie; bo kto nieomyłnej nie ma, ten żadnej nie ma. Wiare albo wewnątrz ożywia Duch święty i wtedy żyje jedna i cała na zewnątrz; albo tam Ducha św. niema, i wtedy nie żyje, i jak każdy trup, rozkłada się i rozprasza na wszystkie strony. I tak jest u was. Na co to wam wyszło: nie chcieć mieć pośredników między sobą a Bogiem? Macie natomiast częgoście chcieli, ale nieomyłności nie macie, ale wiary nie macie.

Możemy tedy skończyć sprawę z protestantami. Niech sobie dowodzą ile jedno chcą, że tym sposobem jakim oni prawią, Chrystus w swoim Kościele ustanowił nieomyłne przekazywanie swojej prawdy nieomyłnej. Wszystkie przyczyny z góry i wszystkie skutki z dołu wielkim głosem im odpowiadają: Nie prawda, tak nie jest, i tak być nie mogło.

Zostaje drugi sposób, który nam jako przez Chrystusa obrany zachwalają inni, nieco roztrośniejsi naukotwórcy. Nazwijmy go jak się podoba: biskupowym, gallikańskim, albo po prawdziwym jego nazwisku: schyzmatyckim. Zasadza się na tem, że biskupi wszyscy razem wzięci, przechowują w swoim gronie dar nieomyłności. Należy do tego: Papież, i to jako głowa na pierwszym miejscu, jeśli tylko z biskupami się zgadza: ale broń Boże, gdyby się nie zgodził, rzesza biskupów może go wtedy pominąć, a wždy jeśli potrzeba, i z urzędu złożyć. Albowiem ciało biskupów ma to w swojej mocy, własną głowę może sobie uciąć i inną na miejscu pierwszej na swój tułów postawić. Bo tu w tym drugim sposobie taki jest dogmat: że Sobór biskupów jest wyższy od Papieża, i jeśli mu się tak zdawać będzie, może ze swoją głową czynić co mu się podoba. Nie wypowiada wprawdzie tego następstwa niniejsza nauka w taki jaskrawy sposób; ale logika na jej miejscu z tem lepszym prawem wyjmuje jej to z zanadru. A są na potwierdzenie i fakta, to jest pokuszenia się na podobne zamachy.

Nieomyłność tedy, powiadają, jest w rzeszy całej biskupów. Lecz gdzież będzie nieomyłność, jeśli się to ciało biskupie na dwoje lub na kilkorgo rozdzieli? Tu się też dzielą i zdania. Jedni powiadają, że gdy równe będą części, jedna z Papieżem, a druga przeciw, tembardziej, jeśli większa część biskupów

będzie z Papieżem, nieomyślność tam będzie gdzie Papież. Drudzy twierdzą, że tego nie dosyć, ale że choćby nie tylko równa, lecz mniejsza część pasterzy Kościoła była przeciwną, już wystarcza, aby nieomyślność nie była po stronie większości nawet z Papieżem. Pod tym względem mamy w tej chwili przed oczyma dziwne zjawisko. Słyszymy u wrót niniejszego Soboru <sup>1)</sup> tak zaciętych zwolenników mniemanych praw mniejszości, że nie wahają się twierdzić, iż najmniejsza mniejszość może przeszkodzić, by zapadły uchwały większości, choćby największej, i jednoznacznie z Papieżem wyrokującej. Głośno wołają, że na Soborach potrzeba jednomyślności, przynajmniej moralnej. Mój Boże, kto by się tego spodziewał! Wszyscy ludzie rozsądni, a tem bardziej duchowni i po bożemu o rzeczach ludzkich sądzący, potępili dawno ono nasze nieszczęśliwe polskie: *Liberalum veto*. Trzebaż tedy było tego się nam doczekać, że ludzie, którzy właśnie powinni byli być po bożemu rozsądni, to jest, że biskupi niektórzy do tego stopnia się zapomnieli, iż z zaciętością podobną do naszej dawnej szlacheckiej wprowadzają to samo iste nasze *liberalum veto*, nie już do polityki, ale do Kościoła, nie już do sejmu, ale do Soboru, i chcą nim drogę zagrozić nie już ludzkiemu rozsądkowi i prawu, ale Duchowi świętemu. Bo czyż nie widzą, o jakże dziwnie zaślepieni! że jeśli przy tem obstaniemy, wtedy dość będzie takiego jednego: Nie pozwalam! aby po wszystkie razy Duchowi świętemu w Kościele usta ciągle i zawsze zamykać. Zaprawdę, niepojęte zaślepienie!

Lecz jakież dalsze następstwo tego niesłychanego twierdzenia, że byle jaka mniejszość może przeszkodzić uchwałom choćby najliczniejszej większości? Czyż tu na dnie nie siedzi to oczywiste przypuszczenie, że mniejszość w każdym razie może mieć rację i prawdę za sobą, owszem, że ją ma w rzeczy samej? Gdyby prawda nie była z jej strony, toć oczywista, że sprzeciwienie się mniejszości nie mogłoby w niczem przeszkodzić temu co większość postanowić zamierza. Więc prawda jest po stronie mniejszości, a przynajmniej być może. A jeśli tak, coż ma wtedy pohamować tę mniejszość, aby się nie posunęła do ostatniego kroku i głośno nie miała oświadczyć, że istotnie

<sup>1)</sup> Przypominamy okoliczności, w których miana była ta mowa.

to jedno jest prawdą i dogmatem kościelnym, co ona twierdzi? Czy ją wstyd zatrzyma, czy bojaźń, czy szlachetniejsza miłość pokoju i zgody? Słabe to szranki, i mamy sto przykładów, że powstrzymać nie były zdolne. Lecz tu zresztą nie o to idzie, czy się mniejszość powstrzyma, lecz o to, czy to jest jej obowiązkiem: idzie o logiczną rację takiego obowiązku. Otóż tej racji niema, i następnie raz przypuściwszy owe prawa mniejszości, niema dla niej zgoda obowiązku powstrzymania się. Raz, mówię, przypuściwszy, że mniejszość może mieć rację przeciwko większości, tem samem daje się jej pełne prawo uchwalania, jako dogmatu wiary, tego co się jej będzie podobało. I takie jest ostatnie i prawdziwe następstwo owego niesłychanego twierdzenia: że Sobór nie postanowić nie może bez jednomyślności, jak ją nazywają, moralnej; takie, mówię, następstwo: że wtedy mniejszość ma prawo do nieomyślności w wierze.

Aliści w te tropy i z tego samego powodu, większość ma również, co najmniej prawo do tej nieomyślności, boć i ona również dobra jak mniejszość. Nie dosyć; lecz jeśli się ta większość znowu na kilka obozów rozejdzie, każdy z nich będzie miał takie samo prawo, boć każdy jest równie ważną mniejszością. Tym sposobem coraz dalej i coraz bliżej idziemy do tego samego kresu, do którego już zaszli protestanci, z tą jedną różnicą, że u tych ostatnich każdy pojedynczy wierny jest takim najwyższym nieomyślnym sędzią, a w tem schizmatyckiem przypuszczeniu urząd ten piastują tylko pojedynczy biskupi, lub kupki ich mniej lub więcej liczne. Ta jedna tylko zachodzi różnica, a z resztą wszystko jest to samo. A więc i te same przyczyny i dowody, które protestanckie przypuszczenie obaliły, obalają i niniejsze. Tak Chrystus nie mógł ustanowić, bo tym sposobem nie byłby zabezpieczył swej prawdy świętej, ani jej uratował od wszystkich pokus i przepraw wolności ludzkiej. Niechże tedy już raz precz odejdzie błąd ludzki, i niech nam jedna pozostanie jasna prawda Boża.

Może tu nam kto zarzuci, że tylko o mniejszościach mówimy, że podejmujemy wyprawę naprzeciw pojedynczym kupkom biskupów, a tu idzie o większość całego Episkopatu, który niewątpliwie do nieomyślności prawo posiada. A więc dobrze, mówmy o większości, i zobaczymy czy i do niej nie stosuje się to samo. Tylko tymczasem niech nam dadzą za wygraną

i przyznają, że mniejszość nie ma żadnego osobnego prawa do utrzymania swego zdania przeciwko większości, kiedy się ta raz oświadczy; niech nam to dadzą, że jeśliby jaka mniejszość mogła mieć rację przeciwko większości, tedy i druga przyjąć może z taką racją, i dziesiąta, i setna mniejszość taka, a wtedy idziemy koniecznie do tego ostatniego następstwa, że każdy zbór ma równe prawo do nieomyślności, owszem, jeszcze więcej: że wtedy każda głowa biskupia jest równie nieomyślną jak wszystkie inne; przypuszczenie, które z konieczności pociąga za sobą, że się wtenczas dźwiga przed nami nowego rodzaju protestantyzm z samych biskupów złożony, jeśli nie tak gęsty co do liczby, pewnie nie mniej gruby co do niedorzeczności, i pod tymi samymi co i zwykły protestantyzm pociskami upadający. Niech to przyznają, a sprawa z mniejszością skończona, i możemy przejść do większości.

Twierdzi tedy nauka katolicka, że ani większość biskupów, ani nawet co najważniejsza, ani całe ich świętobliwe grono nie ma w sobie nieomyślności, jeśli jest osobno od Papieża uważane. Czynimy tu przypuszczenie tak osobno od Papieża uważanego całego Episkopatu, bo jesteśmy zmuszeni takowe uczynić. Dzięki Bogu! w rzeczywistości nigdy nie zdarzyło się, by Episkopat w swej większości postawił się osobno od Papieża; a już to z wszelką pewnością nie zdarzyło się nigdy, aby Papież nie miał z sobą w najgorszym razie jeśli nie większości liczebnej, tedy znacznego jednak poczetu biskupów, który to poczet stanowi w takim razie całkowity prawdziwy Episkopat <sup>1)</sup>. Więc nigdy w rzeczy i w istocie Papież nie był bez Episkopatu, ani Episkopat bez Papieża, i zdawałoby się niepotrzebnem przypuszczać, chociażby myślą tylko podobną niebywałość. Przypuszczenie to jednak tysiącokrotnie było przez przeciwników przyjęte i postawione, i dlatego, byśmy dobrze chcieli, tedy nie możemy go pominąć. Twierdzimy przeto, co w logicznym następstwie twierdzić nauka katolicka musi, że gdyby cały Episkopat, co nie daj Boże! osobno się postawił, i gdyby większość jego coś przeciwnego ogłosiła temu co twierdzi Papież, nie przy nim byłaby prawda, ale przy Papieżu. Dowód jest prosty i ja-

<sup>1)</sup> Lepsze wystawienie i rozjaśnienie tej kwestyi odsyłamy do rozprawy od początku zapowiedzianej, o stosunku biskupów do Papieża, a którą damy poniżej.



sny: bo nie przy Episkopacie, ale przy Papieżu jest nieomylność, czyli że ściślej i dokładniej powiem: przy Papieżu jest racya nieomylności.

Mówimy, że przy Papieżu. I tu się znowu opieramy na tym fakcie, że tak Chrystus ustanowił. Zbyt jasno patrzyliśmy przed chwilą na fakt ten uroczysty ustanowienia Chrystusowego i słyszeliśmy w całej ich doniosłości owe słowa Zbawiciela. wyrzeczone na wszystkie wieki przyszłe aż do skończenia świata, któremi nie Apostołom każe potwierdzać Piotra, ale Piotrowi mówi: Utwierdźaj twych braci; któremi nie Episkopatowi przyrzeka, że będzie miał kiedykolwiek rację przeciw Papieżowi, ale Papieżowi przyrzeka i rozkazuje, aby zawsze miał rację przeciwko Episkopatowi, ile ten razy dobrowolnie wpadnie na przetak szatański i z dopuszczenia Bożego widzieć będzie musiał przesiewane przezeń swe plewy, nawet tego nie wiedząc dobrze, czy więcej tam będzie śmieci czy zboża, skoro mu nic o tem nie powiedział Chrystus. To widzieliśmy i to słyszeliśmy, więc na tem się opieramy: dla nas zakonem i podstawą wiary nie jest ono jakieś słowo Chrystusa, które przeciwnicy źle dosłyszeli, kiedy myślą, że powiedział do Apostołów: Bracia, potwierdzajcie Szymona! ale jest niem koniecznie to inne prawdziwe słowo Chrystusa: Szymonie, potwierdźaj braci twoich! Więc nieomylność, więc sama racya nieomylności jest przy Papieżu, nawet przeciwko większości biskupów, jeśli już koniecznie mamy wywoływać tę większość, i tak jak przeciwnicy czynią, stawić ją w wymyślonem przeciwieństwie z Papieżem.

---

Atoli my i drugą rzecz zaczęliśmy oglądać i głębiej pojmować, to jest, jaki był powód tego ustanowienia Chrystusowego, i jakie prawidło; i ten nam widok w tej chwili wraca tu z całą siłą. Powodem pierwszym dla Chrystusa było niebezpieczeństwo grożące wierze ludzkiej i prawdzie Bożej ze strony wolności człowieka; powodem znowu najbliższym i ostatnim była chęć zabezpieczenia tej prawdy i tej wiary od owego zagrożenia przez wolność; skutkiem zaś jednego i drugiego był cud Opatrzności Bożej, owa udzielona Kościołowi nieomylność. Zaś tym powodem i tym skutkiem kierowało prawidło godne zaiste Boga, a którego Bóg zawsze w swych dziełach

się trzyma: prawidło w tem leżące, że jeśli niekiedy Bóg cudów do swoich rządów używa, czyni to wtenczas tylko, kiedy są potrzebne; bez potrzeby Bóg się do cudów nie ucieka i nie mnoży ich bez liczby i miary.

Co gdy tak jest koniecznie, cała ta sprawa najjaśniej nam przed oczyma się roztacza. Oczywista bowiem, że dla utrzymania prawdy i wiary w całej ich nieomyślności w Kościele, dosyć i najzupełniej dosyć, aby jeden Papież miał sobie zapewnioną nieomyślność w sposób konieczny i który nigdy chybić nie może. Wtedy wcale nie jest rzeczą potrzebną, aby biskupi mieli sobie zapewnioną nieomyślność w taki sam sposób niechybny i konieczny. Mogą oni ją mieć zapewnioną sobie w sposób moralny, to jest, że będąc wierni łasce, nie ulegną pokusom szatańskim, i wtedy idąc za natchnieniem tego samego Ducha świętego, który Papieża trzyma z konieczności w obowiązku, mogą i oni, to jest biskupi, chociaż wystawieni na niebezpieczeństwo, wyjść jednak z niego zwycięsko i być w ten sposób moralnie, a zarazem faktycznie nieomylnymi<sup>1)</sup>. I to tem bardziej będą to mogli, że mają skałę niewzruszoną, której żadna pokusa nie tknie, a o którą łatwo się im zawsze opierać. Mogą tedy biskupi, chociaż nie w cudowny, a tylko moralny, zawsze jednak w prawdziwy sposób, mogą i będą zawsze mogli, jeśli tylko zechcą, być prawdziwie nieomylnymi bez żadnego cudu. Lecz dla tego samego nie potrzebują zgoda w taki niechybny i konieczny i cudowny sposób w jaki Papież, być i oni nieomylnymi, i dla tego też nie są nimi zaiste.

Ażaliż bowiem nie widzimy, że inaczej wpadamy w niedorzeczność, iż musiałby ten cud niepotrzebny, tylekroć razy być pomnożonym, ileby w Episkopacie znajdowało się głów biskupich? W rzeczy samej, aby jakieś ciało moralne przez ciąg długich wieków utrzymało się zawsze i we wszystkich przypadkach, we wszystkich sprawach i zadaniach nie tylko przy jednym i tem samem zdaniu, ale jeszcze przy prawdziwym, temu potrzeba bez żadnej wątpliwości czegoś więcej, niż zwykłych warunków natury ludzkiej, zostawionej na całą grę wolności swojej, i rzecz ta tak dalece w przyrodzony sposób jest niemożliwa, że nawet przypadkiem stać się nie może, że

<sup>1)</sup> Odsyłamy tu do rozprawy o stosunku Episkopatu do Papieża

tu iście potrzebny jest cud. Lecz ten cud nie będzie pojedynczy wcale; on musi być pomnożony tyle razy, ile będzie głów koniecznie potrzebnych do otrzymania takiego nieomylnego skutku, a zatem przynajmniej tyle, ile ich każdą razą będzie potrzeba do utworzenia większości. Dla tej liczby przynajmniej Duch święty musi powtarzać za każdym razem i we wszystkim ten sam cud, którego działanie nauka katolicka przypisuje mu jedynie na korzyść jednego Papieża. Ile tu cudów, ale zarazem ilu Papieży! Zwolennicy tej zamąconej nauki, biedni zbiegowie od prawdy, sami nie wiedzą jak się łapią we własne samotraski. Jednego im Papieża nieomylnego za wiele było; aż tu tym samym zamachem, którym tamtego nieomyślność odrzucają, wводят do Kościoła ze wszystkich zaścianków Papieży nieomylnych bez liku i chcą jeszcze, aby Pan Bóg dla wszystkich te same cuda sprawiał, jaki czyni dla tamtego jednego, chociaż nie ma do tego żadnej przyczyny i potrzeby, chyba ta tylko, że tamten Boży papież dla ich niesforności i dumy zbyt czyny jest i nieznośny. Lecz darmo; Bóg nie patrzy na to, co im się chce lub nie chce; patrzy na to co potrzebne, co mądre, co Jego godne. Wszechmocność Jego nie bawi się w cuda; nie chce ubliżyć sobie samej: nie chce następnie ubliżyć i dziełu swojemu, nie chce stworzenia swego i jego natury gwałcić cudami, jak gdyby nierozumnie dawała mu była kiedyś własne jego prawo i zakon; nie chce szczególnie tego, co jest najwyższem w stworzeniu, to jest wolności ludzkiej, krępować albo ścieśniać tam, gdzie tego nie potrzeba. Jak morskiej topieli pozwala raz lśnić się lazurem, a drugi raz mącić się po całym swoim obszarze i pienić się i szumieć; tak i wolności ludzkiej Bóg tego samego dozwala; dość Mu, że temu morzu postawił brzeg jeden, skałę nieprzepartą, o którą muszą się roztrącić wszystkie jego wały nadęte. Tą skałą jest Papież w swej nieomyślności, tem morzem są biskupi i wszystko co za nimi: pogodnem, jeśli z tamtą na równi, wzburzonem i rozhukanem, jeśli się przeciwko niej miota. Przetoż wolno tym wałom miotać się i ze wszystkimi wichrami ubiegać się o lepsze, Bóg im tego dozwala; już bowiem zrobił swój cud, już uprzednio postanowił skałę, która przeciwko nim wystarczy; one wszystkie nad nią się nie wzniosą, choć ona jedna ich trzyma, i ziemi świętej nie zaleją potopem.



A więc Chrystus dawszy nieomylność Piotrowi i Papieżom, nie potrzebował jej dawać biskupom, nie miał do tego powodu ani przyczyny; owszem, jeśli miał jakie, miał przeciwne przyczyny i powody. A więc jeśli fakt sam ustanowienia już nam raz dowiódł i zaświadczył, że nieomylność nie była dana biskupom osobno od Papieża, teraz racya tego faktu głębiej nas wtajemnicza do całej rzeczy i zda się głośno do nas mówić: że tak Chrystus nie powinien był uczynić; że dobrze, słusznie, mądrze i jak na Boga przystoi uczynił, iż tak nie ustanowił. Iście najlepiej i najmądrzej, i z większą chwałą Bożą, i z naszym własnym większym pożytkiem, a nawet chwałą, ustanowił Chrystus co innego; to jest, że Papież jeden posiada nieomylność w sposób wyjątkowy i konieczny, wszyscy zaś inni biskupi mogą ją posiadać i posiadają w sposób zwyczajny i od ich wolności zależący. I chociaż to prawda, że przy takim ustanowieniu mogłoby się w końcu zdarzyć, że większość biskupów odpaśćby mogła od prawdy; ale nikt nie zaręcza przeciwników, że się coś podobnego stać musi koniecznie. Gdyby się to nawet stało, prawda i wiara, a z nimi Kościół przez toby nie runął, lecz tego nie należy niepotrzebnie przypuszczać. My owszem twierdzimy, że prostym, moralnym sposobem, używając z jednej strony swej zwykłej łaski, a z drugiej kierując wolę ludzką, bez wysiłku i cudu, Chrystus jest zdolny to sprawić, że większa liczba biskupów będzie w danym razie przy prawdzie i przy Papieżu, raz to sprawiwszy, że już jest w Kościele Papież, ten konieczny punkt podpory. Gdyby Papieża w kościele nie było, rzecz byłaby moralnie niepodobna i wróciłyby wszystkie racye wyżej dotknięte, a o cuda wołające; i wtedybyśmy czego podobnego twierdzić nie mogli. Lecz skoro raz jest Papież, niema żadnego moralnego niepodobieństwa, aby większość biskupów w każdym danym razie z nim wiernie trzymała. Historia sama dostatecznie nam to zatwierdza. Więc tembardziej odpychamy ono widmo większości biskupów przeciwnej Papieżowi; chociaż zarazem z drugiej strony tem konieczniej twierdzimy, że Chrystus Pan żadnej większości owej nieomylności nie dał o jakiej mowa, a która w tej chwili pokazuje się dwakroć i trzykroć niepotrzebną.

Niech się raz obaczą przeciwnicy i niechaj uczczą to dwoje: naprzód sam fakt ustanowienia w całej prostocie i znaczeniu



swojem; następnie najgłębszą a Boga godną przyczynę tego faktu. A gdyby nawet stać się mogło, co oni zbyt niebacznie, a tak upornie utrzymują, a co my moralnem niepodobieństwem być mienimy, gdyby, mówię, większość biskupów mogła co innego w wierze nauczać, aniżeli Papież, niechajże na taki przypadek już raz mają niechybne prawidło i sąd, że wtedy nieomylność byłaby zawsze tam, gdzie ją Chrystus Pan złożył, a nie gdzieindziej, jedno w Papieżu.

Rozprawa z racyami skończona; niech nam wolno będzie teraz powołać się na świadectwo historyi, która jak wprzód protestanckim podobnym kościelnym kleciom, tak teraz temu schyzmatyckiemu budowaniu jawny fałsz zadaje. Dowód to nie byle jaki i który przez to, co się stało, to jest faktami spełnionymi równie dokładnie wykazuje z dołu to, co już z góry wykazała nam ona głębsza racya rzeczy, dzięki której wiemy, jak się wszystko stać było powinno.

Gdyby Chrystus Pan powierzył był nieomylność w przekazywaniu wiary całemu a jednemu tylko gronu biskupów, i gdyby skutek tego Duch Święty ożywiał je i prowadził niechybnie do uiszczenia tego celu, wtedy z pewnością byłaby zawsze była jedność między biskupami: to ciało nieomylnie nie mogłoby się było rozbić na coraz liczniejsze kawałki i gromadki, każda co innego nauczające, a wyklinające siebie nawzajem; szczególnie zaś nie mogłoby żadną miarą nastąpić, aby te kupy i gromady dotyla się pomnożyły, by żadna z nich nie stanowiła większości w stosunku do całkowitej liczby wszystkich biskupów. Otóż jeśli dzisiaj z łaski Bożej tego niema, i porachowawszy wszystkich biskupów na świecie, liczebna ich większość znajduje się w Kościele, który się nazywa rzymskim katolickim; były jednak takie chwile w historyi, i nie raz, i przez czas nie krótki, gdzie większa część całkowitej liczby biskupów nie stała po żadnej stronie, tak iż nie można było powiedzieć, że jest w chrześcijaństwie jakaś nauka, jakaś dogmatyczna całość, która ma za sobą większość liczebną biskupów. Otóż toby żadną miarą stać się nie było mogło, gdyby Chrystus powierzył był nieomylność w wierze ciału biskupów, a przynajmniej jego większości. Pominę tu arykańskie czasy, o których coś

gorszego jeszcze o większości biskupów możnaby twierdzić, i przypomniawszy sobie, jak spółcześnie w Rimini i w Seleucyi biskupi Zachodu i Wschodu na jeden i ten sam błąd zezwolili, możnaby ze świętym Hieronimem zawołać: Zajęczał świat ze zdziwieniem, zobaczywszy, że jest aryańskim! Przeciwno nam toby niczego nie dowodziło, właśnie dlatego, że podług nas nieomylność w wierze nie leży w gronie biskupów, o ile to grono samo w sobie i bez Papieża uważanem będzie. Owszem, toby nam było tem bardziej na rękę i taki przykład z historii wykazujący, że większość biskupów nawet tych, co nie byli odszczepieni od Kościoła i powszechnie miani byli za prawowiernych, jednakże oświadczyła się raz była za niewątpliwym błędem, taki przykład, powtarzam, odrazu i stanowczo by dowiódł, że nieomylność nijak nie mieszka w gronie biskupów w sobie samem osobno uważanem. Ale nam nie o to idzie: przeciwnie, chcielibyśmy ocalić nietykalność w wierze większości prawowitych biskupów. Zamykamy tedy oczy na ów wypadek w Rimini i w Seleucyi, i pozwalamy teologom i historykom kościelnym na lepsze go tłumaczyć i jeśli można zupełnie go nawet usprawiedliwić. Więć o tem nie mówimy.

Owszem, sami chętnie utrzymujemy, że większość biskupów jest nieomylną, i tylko ten jeden kładziemy niezbędny a oczywisty warunek, żeby nie wszystkich a wszystkich biskupów na świecie uważać za prawowitych, nie wszystkich a wszystkich za składających prawowite biskupie ciało i prawdziwy Episkopat. Tylko ci biskupi, co w danym razie i w danej chwili są w jedności z Papieżem, którzy są miani za prawowiernych i z Kościoła nie są wyklęci, ci jedni do tego ciała należą o którego większość tu idzie; i ci, kiedy się na sobór zjadą, najprawdopodobniej a nawet za łaską Bożą z pewnością w większej liczbie staną za prawdą i będą razem z Papieżem, i tym sposobem większość tych biskupów będzie nieomylna. Po zapadłej uchwale ci biskupi co byli w mniejszości do tamtych się przyłączą i razem z nimi dostąpią nieomylności: a jeżeli tego nie uczynią, już tem samem od Kościoła odpadną i będą wyklęci i pomnożą o jedną więcej owe gromady biskupów, żyjące poza prawdziwem ciałem biskupiem, zawsze prawdziwem choćby było najmniejsze. O tem tedy ciele i o jego większości utrzymujemy, że są nieomylnne.

Lecz w obecnej rozprawie z przeciwnikami naszymi, obrońcami systemu episkopalnego, nie o to idzie, ani o to iść może lub powinno. Nie trzeba bowiem zapominać, że prócz tych prawowitych są inni biskupi, przedtem już z Kościoła wyklęci, ale którzy nie dlatego przestali być biskupami; owszem, są nimi zawsze. Kiedy przeto sprawa się toczy czy nieomylność mieszka w ciele biskupów osobno uważanem, wtedy oczywista, że ono jeśli doprawdy ma być nieomylnem, powinno być nieomylnem dla tej jednej przyczyny, że biskupi są biskupami i że ich Duch święty postanowił, by zarządzili Kościołem Bożym. (Act. ap. XX, 28); wtedy oczywiście nie idzie tylko o tych biskupów, którzy trzymają z Papieżem, ale o wszystkich, i nasi przeciwnicy (o Gallikanach mówimy) nie wiadomo, jakim prawem wszystkich innych z ciała biskupów wykluczają i tylko o tych jednych myślą i mówią, o których i my mówimy. Nam to wolno, ale im nie wolno. Nam wolno, bo w naszym utrzymywaniu biskupi nie tylko dla tego są nieomylni, że są biskupami. U nich Papież nie jest nieomylny sam z siebie, i tylko wtedy staje się nieomylnym, kiedy trzyma z większością biskupów. Więc u nich biskupi sami przez się są nieomylni, a więc dla tego jedynie, że są biskupami. Otóż, ponieważ biskupi chociaż jedni przez drugich wyklęci, biskupami jednak być nie przestają, więc jeśli idzie o większość całego ciała biskupów, wtedy według tego episkopalnego systemu, trzeba wszystkich a wszystkich biskupów rachować, a nie tych tylko, którzy z Papieżem trzymają.

Tak postawiona sprawa ta cała koniecznie sprowadzi się do tego ostatniego pytania: Czy ciało wszystkich a wszystkich biskupów może się rozdzielić i czy się kiedy rozdzieliło na tyle osobnych gromad, że żadna z nich liczbą nie była przeważająca nad inne razem wzięte, to jest że żadna nie miała, jak ją nazywają, absolutnej większości? Albowiem jeśli kiedy tak było, skończyło się raz na zawsze z nieomylnością Episkopatu.

Odpowiedź na to pytanie żadną miarą wątpliwą być nie może; historia zbyt stanowcze zapisała świadectwa. Omijam tu wszystkie inne, by mowy mojej nie zamieniać na rozprawę historyczną, a biorę jeden tylko przykład schizmatu greckiego, który mi za wszystkie obficie wystarczy. Kiedy Focysz lub Cerularyusz zrywali z Kościołem rzymskim, biskupi, którzy do

ich odszczepieństwa należeli, byli przynajmniej równi co do liczby biskupom zachodnim, a jeśli do nich dodamy wszystkich dawniej odszczepionych, Nestoryanów, Eutychanów i innych, liczba owych rozlicznych gromad i wyznań biskupów przeniosła niezawodnie liczbę tych, którzy zostawali wierni Kościołowi, nazywanemu przez nas katolickim. Przynajmniej na pierwszy rzut oka ta rzecz nie mogła się wydawać wątpliwą, a choćby się i wątpliwą wydawała, ta wątpliwość sama sprawiała równy kłopot i nie mniejszą klęskę. Biada natenczas prostej a prawdę szukającej duszy, gdyby jej przed sumieniem nie nasza zasada, ale zasada przeciwników naszych miała fatalny spór rozstrzygać: gdzie i po której stronie jest w tej chwili nieomylność w wierze? Jeśli bowiem nieomylność nie jest z konieczności i nieochybnie tam, gdzie jest Papież, i jeśli tego jednego nie dosyć; ale jeśli koniecznie nieomylność jest przywiązana do całkowitego ciała biskupów, a w ostatnim razie do jego większości; któraż taka prawdolubna dusza mogła sobie, w onej nieszczęsnej chwili, w której niewiadomo po której stronie była większość biskupów, w sumieniu powiedzieć, że idzie za nieomylnym sędzią, dającym jej z pewnością wiarę prawdziwą? Gdzie był wtedy ten sędzia nieomylny, i kto mógł z pewnością powiedzieć, że to nie ten, ale tamten, nie tamten, ale ten?

Nie idźmy dalej, rzecz jest zbyt jasna. Ciało biskupów i może się rozbić i rozbiło się nieraz i w tej chwili nawet jest rozbite na wiele gromad, z których każda co innego naucza. Prócz tego był w historyi nieraz ten wypadek i mógłby się lada dzień powtórzyć, a nawet, do czego ze drżeniem myśl naszą zwracamy, kiedyś w ostatnich czasach prawdopodobnie się ziścił: był tedy ten wypadek, że większość wszystkich a wszystkich biskupów nie była za prawdą i wiarą nieomylną. Więc nieomylność nie jest przywilejem tego ciała lub tej większości biskupów, i ono nie mieszka u nich jedynie. Stoї wniosek, a tem samem upada zasada schyzmatycka. Ten sam cios, który wyrócił protestancką zasadę, i tę obala jak tamta tak i ta, nie mogąc naprzód dotrzymać placu przed jasnym sądem rozumu, wyrokującym z góry, nie może następnie obronić swej sprawy przed świadectwem historyi potępiającem z dołu. Jedną i drugą słusznie ten sam los spotyka, bo każda z nich tyle zgola warta jedna co i druga.



I w rzeczy samej jest to jedna i ta sama zasada, jeśli się im obojgu bliżej przypatrzymy; tylko raz jest ona połowicznie, drugi raz całkowicie wygłoszona. Zasada jest ta, że nieomylność Kościoła nie w głowie jego mieszka, ale się rozlała po ciele i członkach; że prawda nie z góry się objawia, ale z dołu jest sklecona; że wiara jest nauczana nie przez jedną powagę i władzę, ale przez tysiące głów i głosów, które wprzód wypadają przerachować. Taka jest zasada spólna i protestantów i różnego miana schizmatyków; oni sami zaprzeczyć temu nie mogą. Lecz zarazem i temu zaprzeczyć nie będą mogli, że to jest ludzka zasada, a nie boska; że tym sposobem tylko ludzie biorą się do zatwierdzenia swojej prawdy, a Bóg jako żywo nigdy tak swojej prawdy nie zatwierdza; że następnie w Kościele swoim Bóg bez żadnego wątpienia inaczej postąpił: nie zaprowadził tam w dochodzeniu do nieomylności w prawdzie takiego sposobu, któryby się przydał co najwięcej dla sejmów i akademii i dla ich ludzkich wróżb i domysłów o prawie i prawdzie; ale że w Kościele swoim Bóg zaiste po swojemu ustanowił nieomylny urząd nauczania: o jednej głowie, o jednym głosie, i o jednej z góry powadze; urząd, nie wróżbę jakąś i proste zdanie, ale samą istą i nieomylną prawdę głosić wszem ludziom mający.

Przewracają tedy dnem do góry rzeczy boże i kościelne ci wszyscy, z którymi mamy rozprawę, a którzy razem ze schizmatykami, nieco bliżej nieco dalej, to co oni rozumiejąc, to co oni twierdzą: że nieomylność w Kościele mieszka w gronie biskupów osobno od Papieża uważanem, lub mogącym być z nim w przeciwieństwie.

Lecz nie tylko ani schizmatycy, ani protestanci, nie trafili w prawdę, i nie wynaleźli sposobu jakimby objawienie Boże zachować przy nieomylności i zabezpieczyć przeciwko wolności człowieka; oni owszem, swoim smutnym przykładem jawnie dali poznać, że gdyby kto tak jak oni uczynił, gdyby tak był uczynił Chrystus, wszystkie skarby prawdy Bożej byłyby były prędko a nędznie zmarnowane. Schizmatyckim sposobem prawda Boża poszłaby była, tak jak codzień ze schizmatykami idzie, na łup okropny polityków i kościołów narodowych, albo raczej państwowych, zborzyszez czysto ludzkich, więc na końcu pogańskich; sposobem protestanckim poszłaby była, jak też do-

prawdy z protestantami idzie, na smutną pastwę wolnodumców, niedowiarków i podziemnych nareszcie szatanskich synagog. To widowisko przedstawia nam bistorya, i zaiste nie na darmo: potrzebni byli doprawdy w dziejach schizmatycey i protestanci: rzekłbym, że ich Bog umyślnie zostawił na to, czego nas uczą. Albowiem uczą nas jak prawda Boża i wiara ludzka nigdyby się nie były utrzymały, gdyby nie był razem z niemi na świecie ostatni ich stróż nieomylny; gdyby nieomylnym przez Boga nie był uczyniony Papież. Podziękujmy Bogu za rzecz, którą uczynił, ale podziękujmy Mu także i za naukę. Była nam potrzebną.

Tej nauki nie potrzebował Chrystus. On wszystko przewidywał, czyli raczej wszystko widział z góry: On widział jakie zamachy koniecznie wolność ludzka podniesie, widział jakie losy spotkają prawdę i wiarę, jeśli ją samą na ręce ludzkie puści, widział i ów widok cobyto było, gdyby każdy pojedynczy wierny nie innego nie miał dla swego rozumu w tem zetknięciu się jego wiary z prawdą Bożą, procz wolności i łaski: i ów widok drugi, cobyto było, gdyby biskupi dla swego rozumu nie także innego nie mieli; owszem, patrzył i na widok ostatni co sam Papież, chociaż pomocą całego Kościoła otoczony, byłby podobnie uczynił rozumem swoim, gdyby przeciwko własnej wolności miał tylko zwykłą łaskę za odsiecz i narządzie. Następnie Chrystus nie tylko widział wolności samej koleje i hazardy: On widział jeszcze za nią jej kusiciela szatana, patrzył z góry na wszystkie jego zasadzki i wściekłe wysilenia, a z drugiej strony na prawo tegoż szatana do upadłej ludzkiej natury, i jejże samej obowiązek, że tak rzekę, i konieczność, aby na szatana pokusę była wystawiona; patrzył nareszcie na całą straszliwą przewagę kusiciela w tem spotkaniu, i jak w tej pokusie fatalnej człowieka choć uświęconego, choć najwyższym, a nawet Apostolskim odzianego charakterem, nie ocali na długo, a przynajmniej nie każdego i nie w każdym razie, sama łaska Chrystusa, Jego odkupienie i uświęcenie; jak nawet wybrany z pomiędzy samych Apostołów, najgorętszy, najwierniejszy, najmocniejszy, jak nawet Piotr, i cały szereg następców najbardziej do niego podobnych, jesliby w zwykłych warunkach pozostawieni być mieli, nie będą mogli na długo w walce z sza-

tanem kusicielem dotrzymać kroku. To wszystko widział i przewidział Chrystus, to wszystko przeliczył, przemierzył, przewążył; i na ten widok cofnął się do wnętrza, aby się tam porozumieć z Ojcem swoim Wszechmocnym, a potem wynosząc stamtąd to co przed wiekami w radzie Bożej uchwalonem było, spojrzął na swych wybranych Apostołów i zwracając się do Piotra, mówi do niego owo słowo, które w tej chwili dopiero rozumiemy całkowicie: „Szymonie, Szymonie, oto szatan domagał się o was, aby przesiał jako zboże; ja wszakże prosiłem za tobą, aby nie ustawała wiara twoja, a ty kiedyś nawrócony potwierdzaj braci twoich!“ — „Szymonie, potwierdzaj!“ Teraz zaiste rozumiemy co to znaczy, kiedyśmy zrozumieli wszystkie racye które to słowo poprzedziły i spowodowały.

Ale nam już i racyi nie potrzeba; to słowo jedno wystarcza, takie uroczyste i takie stworzycielskie! Słyszysz je Piotr i Apostołowie, słyszą je zarazem i ziemia, i niebo, i piekło. Te same usta które rzekły: Stań się światło! a natychmiast stało się światło (Gen. I, 3), te same rzekły teraz: Piotrze, potwierdzaj! i natychmiast Piotr potwierdza, i będzie potwierdzał do skończenia świata. Piotrze potwierdzaj! to twój urząd. — Bracia twój świat potwierdzają, ale ty potwierdzaj samych braci twoich. Na nich uderzy wiatr pokusy, i poruszy głębiny ich wolnej woli, i chwiać, i miotać nimi będzie; ciebie nie poruszy, bom ja ciebie utwierdził. A więc Piotrze, potwierdzaj braci twoich. Oni raz puszczeni na morze świata, tonąć mogą i będą; ciebie ta fala nie pochłonie, ja ciebie trzymam za rękę: Piotrze potwierdzaj! Ich szatan przesiewać będzie i łowić w swoje sieć i sidła; ciebie się nie dotknie i nigdy nie złowi, ja się modliłem za ciebie: Piotrze, potwierdzaj! Przeciw nim się otworzą bramy piekielne, a przez nie runą potęgi podziemne i wielu z nich przemogą; wszystkichby przemogły, gdybyś ty Piotrze nie stał jak skała; ale one wszystkie o ciebie się roztrąca, bo to ja ciebie uczyniłem tą opoką niezłomną: Piotrze, potwierdzaj! Niebo i ziemia poruszają się i przemina, ale to słowo moje ani przeminie, ani się poruszy: Piotrze, potwierdzaj!

Więc teraz uspokój się ziemio, ciesz się niebo, a ty piekło drżij! Stanęła na opoce prawdy stolica wiary, i usiadł na niej mąż z ramienia Bożego, otoczony tęczą nieomyłności: już odtąd



ziemia chociaż się na powierzchni zatrząszie, w podwalinach się nie poruszy; już niebo nie zasłoni chmurami swego oblicza, i będzie mogło nad ziemią świecić coraz większym blaskiem aż do dnia wieczności: a piekło teraz już jej potopem ciemności nie zaleje, chociażby ze swoich czeluści wypadało co chwila przeciwko temu światłu: nie, bramy piekielne nie przemogą przeciw niemu. Dzięki Bogu! dzieło Boże stoi bezpiecznie: bo jest na ziemi Kościół nieomylny, i jest w Kościele Piotr, który potwierdza: ostatnia racya prawdy i nieomylności w Kościele i na świecie!

---

Naprzód widzieliśmy, że Papież jest nieomylnym, następnie zobaczyliśmy dlaczego jest nieomylnym, i tem więcej przekonaliśmy się, że jest doprawdy nieomylnym i że nim być powinien: teraz zostaje nam na końcu do widzenia: W czym jest nieomylny i jakim sposobem? jaka tej nieomylności dziedzina? jakie jej obszary i ostatnie krańce? jakie sposoby, i siły, i skutki? Jednem słowem, jaka jest istota nieomylności?

Na to pytanie odpowiada nam sam cel, dla dostąpienia którego Kościół i Papież obdarzeni są przez Boga nieomylnością.

Tym celem było z jednej strony owarować prawdę Bożą w jej nietykalności, a z drugiej zabezpieczyć wiarę ludzką w jej czystości i pewności. Nieomylność w Kościele to oboje sprawia: raz, że prawda Boża przechowuje się w nim nienaruszona, drugi raz, że wiara ludzka ma w Kościele i przedmiot wiary czysty, i zarazem pewny, najpewniejszy punkt oparcia.

Co jeśli tak jest, nieomylność Kościoła sięga niezawodnie tak daleko, jak daleko rozciąga się z jednej strony obszar prawdy Bożej i jej nauczanie, jak wszechstronna z drugiej strony jest potrzeba wiary ludzkiej mienia tego zewnętrznego przedmiotu i swej wewnętrznej podstawy oparcia. W tem wszystkim przeto, w tych granicach i rozmiarach, Papież jest koniecznie nieomylnym. A więc z jednej strony tak daleko, i szeroko, i wysoko, jak prawda: a z drugiej strony tak głęboko jak wiara.

Otóż prawda i wiara, jakieśmy o tem na początku napomknęli, rozciągają się głównie i istotowo do tych trzech kresów: naprzód, jaki jest początek wszystkich rzeczy i człowieka, następnie jaki jest ich koniec, a nareszcie jaki jest, że tak po-



wiem, środek, to jest jaka droga prowadzi od tamtego początku do owego końca. I widzieliśmy, że tem wszystkim jest Chrystus.

Ja wiem, prawi, skąd przychodzę, i wiem dokąd idę, a ten kto idzie za mną, nie chodzi w ciemnościach. Ja jestem prawda, i droga, i żywot. Otóż na miejscu Chrystusa to wszystko nam daje Kościół, a w samym Kościele ostatecznie Papież. To wszystko tedy wchodzi pod jego nieomylność.

A naprzód początek wszech rzeczy i człowieka, to jest prawdziwa o tym początku nauka. Tu przychodzi wszystko co mamy wiedzieć o Bogu, o stworzeniu, o upadku naszym, o odkupieniu, o warunkach zbawienia naszego; a co stanowi prawdę samą w sobie, właściwy przedmiot naszej wiary. Więc naprzód przychodzi przedmiot wiary, Bóg jako prawda; i Papież jest nieomylny we wszystkich, które nam do wierzenia podaje, wiary tajemnicach (mysteria fidei). To pierwsze.

Na drugim miejscu staje koniec człowieka, to jest to wszystko co nas czeka; naprzód cała poważna tajemnica wieczności, i w niej ukryte dobro nasze prawdziwe i szczęście ostatnie; a potem środki, które nam to zapewniają, i to zaś znowu stanowi przedmiot naszej nadziei. Więc na drugim miejscu Papież równie jest nieomylny w tem co naucza o Bogu jako o dobru i przedmiocie nadziei, a zarazem w nauczaniu o środkach to dobro zapewniających, któremi są Sakramenta (media salutis). To drugie.

Na końcu przedstawia się środek jednego i drugiego: to co łączy początek z końcem, to co łączy Boga z człowiekiem już tu na ziemi, a co Go z nim połączy tam w niebie na wieki; przedstawia się prawo i zakon żywota, a w nim Bóg jako świętość i przykazanie, a więc ostatecznie jako przedmiot naszej miłości; boć miłość także ostatecznie niczem innem nie jest, jedno czynem spełniającym święcie przykazanie boże i tem samem łączącym człowieka z Bogiem. Więc na ostatku Papież jest nieomylny w tem wszystkim co naucza o Bogu, jako o chcącym miłośnie i miłośnie przykazującym, to jest o Bogu jako o przedmiocie miłości; a więc we wszystkim co naucza o przykazaniach tego zakonu miłości (praecepta legis). To trzecie i ostatnie.

W tem wszystkim Papież koniecznie jest nieomylnym. Jest przeto nieomylnym, kiedy nam tłómaczy Boga jako prawdę, jako dobro, jako święte; kiedy nam daje przedmiot wiary, nadziei, miłości; kiedy nas naucza o tajemnicach wiary, o śródkach zbawienia, o przykazaniach zakonu. W tem wszystkim Papież jest nieomylnym, i to w Kościele wyraża się zwykle używaną formułą mówiąc o Papieżu, że jest nieomylnym we wszystkim, co się tyczy nauki o wierze i o obyczajach.

Pociągniemy okiem po całej tej dziedzinie nieomylności Papieża, a zobaczymy, że ona jest tak wielką, jak podobnaż dziedzina, którą samże Chrystus objął i zapełnił, że wszystko w sobie zamyka i niczego niema, coby do niej nie należało; tak długa i szeroka jak prawda sama, tak wysoka jak Bóg, tej prawdy szczyt, tak głęboka jak istota ludzka, tej prawdy podścielisko.

---

A jednak niechaj nas swym ogromem nie przeraża a szczególnie niech nas nie prowadzi do następstw fałszywych i z mądrością Bożą niezgodnych. Przeciwnicy, którzyby chcieli wszystko zamącić, straszą mniej baczących a prostodusznych wiernych jakimiś wnioskami dziworodnemi. Wtedy, prawią, jeżeli tak jest że Papież o wszystkim nieomylnie wyrzeka, przepada wiedza, nauka, umiejętność ludzka. Tak, jakgdyby wzrok miał przepaść i nie widzieć, dlatego że słońce jaśniej zaświeci! On przeciwnie, tem lepiej natenczas widzi. — I znowu powiadają, że wtedy przepada wolność człowieka, a co gorsza, wolność społeczeństwa całego, przy tak ściśle a tak niezmiennie uświęconych zakonach. Jak gdyby podróżnik już wolno iść nie mógł, dlatego, że ma drogę równą, i tęgie mosty, i bezpieczne poręcze. On przeciwnie, i prędzej, i swobodniej wtedy drogę odbywa. I jeszcze wołają, że wtedy dla Papieża wprowadzamy cześć bałwochwalczą, bo go stawiamy jako bóstwo jakie pobił i zgrzeszyć nie mogące. Jak gdybyśmy mieszały rzeczy boże i ludzkie, i podnosząc znaczenie urzędu, zapominali o właściwości osoby. Jak gdyby nieomylność urzędu bożego nie była zupełnie czem innem od możebnego błędu i grzechu osoby w jej stosunkach ludzkich, po za tym bożym urzędem. Już stokroć przed nami odpowiedziano, że nieomylność i niegrzeszność nie są bynajmniej jedną i tą samą ani myślą ani rzeczą,

i my za innymi po raz tysięczny powtarzamy, że Papież może błądzić w osobistych swoich zdaniach i sądach, i wyrokach co do rzeczy i co do ludzi, ilekroć nie idzie o urząd boży; i że tem bardziej grzeszyć może, i prywatnie i publicznie, co już z urzędem nauczania nawet wspólności nie ma. Papież jest takim samym człowiekiem jak i każdy inny, i zaprawdę nie czynimy go bóstwem żadnem, kiedy tak głośno świadczymy, że jest człowiekiem i że może błądzić i grzeszyć jak każdy śmiertelnik. Cóż tedy twierdzimy? To zaiste, że nie przestając być człowiekiem, jest zarazem urzędnikiem, jest posłem od Boga do ludzi. jest zastępcą Chrystusa na ziemi, i że w tych razach, kiedy naucza w imieniu Boga i na miejscu Chrystusa <sup>1)</sup>, nie naucza jako człowiek i nie mówi sam z siebie; ani nauczać jako człowiek w tych razach nie może i nie zdoła. Bóg tego nigdy nie dopuści. Choćby nawet Papież wewnętrznie chciał pójść kiedy przeciw Bogu i Jego prawdzie (co jednak niepożądane i nieprawdopodobnie niektórzy przypuszczają), tedy zewnętrznie uczynić tego nie będzie mógł; ma już raz opatrzenie przez Boga związane ręce i odjętą sobie wolność takiego zewnętrznego postawienia się w przeciwieństwie z prawdą i nauką bożą. Do tego ogranicza się nieomyślność, jeśli na nią patrzymy w samej osobie Papieża.

Podziwiamy mądrość Bożą i jej przedziwne sposoby i drogi. Ta sama nieomyślność, która tak daleko sięga i żadnych granic nie zna, kiedy na nią patrzymy, o ile się ona poza osobą Papieża z jednej strony do swego przedmiotu to jest do Boga i jego prawdy odnosi; a z drugiej obraca się na korzyść Kościoła i zabezpieczenie dzieła Bożego na świecie; ona, która wtedy Kościół i rodzaj ludzki nad ludzką naturę wynosi i oblewając jego czoło światłem niebieskim, czyni go uczestnikiem wiedzy i prawdy Bożej; ta sama nieomyślność, kiedy na nią w jej stosunku do osoby Papieża spojrzemy, już nie wybiega jak tam poza wszelkie granice, owszem trzyma tę osobę Papieża w tych samych szrankach co i wszystkie inne, i z tą jedną różnicą, że w Papieżu ta nieomyślność jest w sposób czynny, kiedy innym udziela się w bierny

<sup>1)</sup> W jakich to razach się dzieje, czyli jakie są warunki nauczania urzędowego Papieża, które zwykle nazywają *ex cathedra*, o tem umyślnie osobno mowa będzie w zapowiedzianej rozprawie.

sposób, osobę tę jednak Papieża nie wyżej od innych wynosi nad naturę ludzką, i jakkolwiek pierwszym, nie czyni jednak Papieża ani pełniejszym, ani szczęśliwszym od innych uczestnikiem tej wiedzy i prawdy Bożej, której on tą swoją nieomylnością innym udziela. Co za porządek w sprawach Bożych, jaki ład i mądrość we wszystkim! Oszczercy nieomylności papieskiej powinnyby już raz poznać, czym jest doprawdy i przestać ją osławiać, jeśli jeno serce mają i wolę szczerą pozostać chrześcijanami!

---

Tym sposobem odpowiedzieliśmy na ono pytanie: W czym leży nieomylność papieska? przynajmniej odpowiedzieliśmy na nie z jednej strony, to jest ze strony zewnętrznej, i pokazaliśmy, jaki jest przedmiot, jaki cały ten skarb prawdy, w którym Papież jest nieomylnym. Teraz, jeśli chcemy dopełnić odpowiedzi na to pytanie, w czym leży nieomylność papieska, trzeba nam jeszcze zwrócić uwagę na stronę wewnętrzną, i tam wysledzić, w czym leży tajemny sposób tej nieomylności i wewnętrzna istota tego cudu moralnego i opatrzego, którym Bóg sprawia, że Papież jest nieomylny? Albowiem nie dosyć jest poznać jak daleko się rozciąga i gdzie się kończy, albo raczej jak nigdzie się nie kończy ten Zastępcy Bożego nieomylności przymiot, trzeba jeszcze poznać i wiedzieć, gdzie się on zaczyna, poznać siłę, jaka leży w przyczynie nieomylności, w jej źródle i na dnie samem.

Rzekliśmy, że nieomylność papieska jest cudem moralnym i historycznym. Nie jest ona cudem w zwykłym znaczeniu tego wyrazu, bo nie jest nadzwyczajnem zawieszeniem zakonu natury, ani się dzieje na polu fizycznym. Jest ona jednak chociaż przeciągającym się i jakoby już po swojemu zwyczajnem, ale zawsze przeciwnem i ponad zakon natury sięgającym zjawiskiem, jest tedy zawsze swojego rodzaju prawdziwym cudem; tylko że jest takim przeciągłym, więc jest historycznym albo opatrzynym; że zaś na polu wolnej woli, więc cudem moralnym. Bóg albowiem tak czuwa pod tym względem nad wolnem użyciem umysłu i zatwierdzeniem się woli każdej osoby, noszącej urząd Papieża, że ona nigdy na błąd nie da publicznego zezwolenia i nie dopuści się publicznego zatwierdzenia fałszu: rzecz można, że każda taka osoba jest w niemożności



popelnienia czegoś podobnego; co wyraźnie jest cudem. Zamyka się ta racja rzeczy w samychże onych słowach Chrystusa: Szymonie, modliłem się za ciebie, aby nie ustała wiara twoja. Bez tej modlitwy byłaby ustała; ale jej skutkiem, a następnie skutkiem osobnego moralnego i opatrzego działania bożego, ta wiara czyli ta nieomyślność ustać nie może i nigdy nie ustanie. I ta jest tego moralnego i historycznego cudu ostatnia racja, której szukamy, jest nią osobne moralne i opatrzne działanie Boże w umyśle, w woli osoby okrytej godnością papieską.

Zobaczmy teraz, na czym się to działanie Boże właściwie zasadza. Zaiste, wiara wtedy ustaje, kiedy się rozum rozdziela, albo się nie łączy z prawdą Bożą. Ustanie jest to ten rozdział, to niepołączenie. Tak jak na polu poznawania przyrodzonego, to jest na polu wiedzy, podobny rozdział, albo niepołączenie rozumu z prawdą jest ustaniem wiedzy, a przeto niewiedzą; tak samo na polu nadprzyrodzonym i gdzie idzie o nadprzyrodzoną prawdę, podobnyż rozdział sprawia ustanie wiary, to jest niewiarę. Jakże mu tedy zapobiedz? Tym jednym sposobem, aby światło i siła łącząca rozum z oną prawdą działała w takim natężeniu i z taką skutecznością, by niepodobną było dla tego rozumu co innego rozumieć i twierdzić. Nikt nigdy nie twierdził, że dwa naprzykład i dwa nie są cztery; w połączeniu bowiem rozumu z tym pewnikiem przyrodzonym, światło i siła łącząca oboje z takim natężeniem i skutecznością działają, że to połączenie dokonywa się koniecznie. Inaczej się rzecz kiedyś miała z tą inną prawdą, że się ziemia, dajmy na to, obraca około słońca; bo owo światło i siła nie w tym samym stopniu działały na umysły. Tak samo i w prawdach nadprzyrodzonych, wiara zależy od mniejszej lub większej skuteczności siły łączącej z prawdą nadprzyrodzoną, a którą siłą tu na tem polu jest sam Duch św., z tym dodatkiem, że tu i wolność się miesza, ale o niej teraz nie mówimy. Idzie tedy o to, aby Duch święty tak swoim światłem i siłą ośwładnął umysł osoby Papieża, i tak go trzymał w swej mocy, by połączenie jego rozumu z prawdą nadprzyrodzoną działo się zawsze w sposób konieczny. I to się właśnie dzieje wskutek onej modlitwy Chrystusowej, aby nie ustawała wiara Piotrowa. Albo ta modlitwa nie zgoła nie znaczy, albo jej skutkiem to się koniecznie dzieje, to, a nie

co innego. I ta jest odpowiedź, którejśmy szukali, tłumacząca nam, jaki jest wewnętrzny tajemny sposób i przyczyna nieomylności Papieża.

Wprawdzie pozostaje mimo to jeszcze pytanie co do wolnej woli tejże osoby Papieża, i przypuściwszy, że jego umysł nigdy nie może być pozbawionym prawdziwej wiary, pytać się można czy jego wola zgodzi się zawsze na jej głośne objawienie; czy nie będą mogły wydarzyć się wypadki, w których dla bocznych lub tylnych jakich powodów, Papież zachowując we wnętrzu prawdziwą swoją wiarę dla siebie, ogłosi jednak, a wtenczas rozmyślnie i trzykroć winowajczo, błąd wierutny za istną prawdę Bożą? Można się pytać, powiadam; albowiem co innego jest wiara, a co innego jej ogłoszenie; pierwszy akt jest aktem rozumu, drugi zaś jest aktem woli: a nie jest wcale rzeczą konieczną, aby ten drugi szedł za pierwszym. Jeżeli się zaś obrócimy do onej modlitwy Chrystusowej, wskutek której zapewnioną została Piotrowi wiara nieustająca, tem bardziej mogłoby się wydawać, że upoważnieni jesteśmy do postawienia tego pytania; Chrystus bowiem zdaje się to jedno tylko uprosił i zapewnił: że wiara Piotra samego nie ustanie nigdy; nam przeto mogłaby słuszną pozostawać troska, czy Piotr zarazem dopełniać będzie zawsze swego obowiązku?

Atoli niema żadnej trudności w odpowiedzeniu na to pytanie, i choćbyśmy tylko zważali na ono zaręczenie Chrystusowe, pewni być możemy, że i w publicznem nauczaniu swojej nieomylnej wewnętrznej wiary Piotr i Papież nigdy nie ustaną; owszem, że zawsze z taką samą siłą zatwierdzać będą na zewnątrz prawdę Bożą przed wiarą innych ludzi, z jaką ją w ich własnej wierze Duch święty wewnątrz zatwierdza. W onej bowiem mowie Chrystusa Pana: Szymonie, wiara twoja nie ustanie... a ty potwierdzaj braci twoich, to ostatnie jest połączone nierozłącznie z tamtem pierwszym: dla tego on ma potwierdzać, że wiara jego nie ustanie; a wiara jego nie ustanie właśnie dlatego, że ma ten urząd potwierdzania. Nie o osobistej tedy wierze i nie dla pożytku Piotra jednego ma się rozumieć ono słowo: nie ustanie! bowiem wtedy i modlić się nie było warto o co; ale się koniecznie rozumie o nieustaniu wiary w jej głoszeniu i nauczaniu; w onem ciągłem przez nią i w niej potwierdzaniu braci wszystkich. Pewną

tedy jest rzeczą, że wiara Piotra nie ustanie nigdy nie tylko jako akt rozumu i jego osobisty, ale i jako akt jego woli, w całym jego społecznym znaczeniu i następstwach.

---

Jakże tedy? Zdawałoby się bowiem, że w takim razie siła, ona pierwsza, nie wystarcza; że nie dosyć jest onej siły łączącej rozum z prawdą, i że nie ta jedna jest przyczyna wewnętrzna i rdzenna nieomyślności papieskiej. Zdawałoby się bowiem, że tu innej jeszcze siły koniecznie potrzeba, to jest tej, która łączy wolę z wolnym uczynkiem; tak, że Papież musiałby pod tym najbardziej względem być pozbawiony wolnej woli, ilekroć chodzić będzie o nauczanie prawdy i wiary, że musiałby wtedy robić ślepo i z konieczności pod naciskiem onej siły do tego go zmuszającej. To zaś byłoby dosyć smutnym warunkiem: albowiem co najmniej samą osobę Papieża pozbawiłoby wszelkiej w tej mierze zasługi.

Atoli tak nie jest i czego podobnego wcale nie potrzeba. Już wiemy, że Bóg przemocą światem nie rządzi, i nie mnoży bez potrzeby cudów swojej wszechmocności. Więc i w podobnym razie Bóg nie potrzebuje przemocą cudu gwałcić wolnej woli osoby papieskiej. Gdyby się istotnie wydarzył przypadek, w którym ktoś z Papieży zdradzałby swój urząd (przypadek iście nieprawdopodobny i moralnie niemal że niemożliwy), i chciał za prawdę ogłosić to, co nią nie jest, i co on sam, według tego cośmy powiedzieli, za nieprawdę koniecznie by w duszy uważał, Bóg miałby wtedy daleko prostszy sposób przeszkodzenia złemu i dojścia do swego celu; potrzebowałby tylko użyć tego, co się może nazwać Jego prawem miecza, i wymazać oną osobę z księgi żyjących. A i prócz tego ileż innych sposobów nie ma Bóg na swoje zawołanie, by wolnej woli nie gwałcić i złemu jej skutkowi zapobiedz?

Zgoła tedy nie jest konieczną przywoływać tu na pomoc drugą siłę działającą na wolę osoby, aby wytłumaczyć jak się zaczyna i ziszcza wewnętrznie przyczyna i sposób nieomyślności papieskiej; pierwsza ona przyczyna działająca w umyśle samym jest dostateczna, i w dorównany sposób skutkom odpowiadająca, z drugiej wszelako strony, jeśli ona jest dostateczna, jest zarazem niezbędną, bez niej nic wytłumaczyć nie można; i dla

tego w zrozumieniu tej siły i jej działania leży zrozumienie tego, co wewnątrznie i na dnie samem i w źródle stanowi papieską nieomyślność. Możemy to teraz ostatecznie wypowiedzieć i dać w jednym słowie całą rację rzeczy: Papieża nieomyślność opiera się w gruncie swoim na tem, że ile razy idzie o za-  
twierdzenie prawdy Bożej i o potwierdzenie braci w wierze prawdziwej, Duch święty siłą swoją i drogami sobie wiadomemi, sprawia w umyśle osoby papieskiej wewnętrzne połączenie rozumu z prawdą w inny sposób, niż w drugich ludziach, to jest nie tylko w sposób nieomyślny (bo Duch święty, jeśli kto za nim idzie, nikogo nigdy nie myli i każdego wiernego nieomyślnie prowadzi), ale jeszcze w sposób zawsze skuteczny i nigdy niechybny <sup>1)</sup>. Sama tedy nieomyślna siła Ducha świętego,

---

<sup>1)</sup> Tu się nasuwa pytanie: czy osoba papieska nie może mieć swoich własnych zdań, zupełnie osobistych i mogących być z prawdą Bożą w niezgodzie, a których w takim razie nie dosięga ono działanie Ducha świętego. Wszyscy teologowie na to się zgadzają i rozróżniają między zdaniem Papieża, z których jedne są zdaniem prostego człowieka, albo też prywatnego doktora, drugie dopiero są zdaniem czyli raczej wyroczniami papieskiemi. Przyczyna tego rozróżnienia jest oczywista: albowiem ta osoba ludzka, która została Papieżem nie przestała być człowiekiem, i o wiele nie wszystkie czynności lub słowa człowieka są Papieża czynnościami lub słowami. Urząd Papieża ma swoje koło ściśle odmierzone, wszystko co poza nim się dzieje, już do Papieża nie należy, a jest własnością człowieka tylko. Takie uważanie rzeczy wypływa z tego cośmy wyżej powiedzieli o rozmiarach i granicach nieomyślności papieskiej w odniesieniu do jego osoby.

Przykładem możemy rzecz objaśnić. Wiadomo, że Jan XXII miał swoje zdania osobiste, a między niemi jedno, które onego czasu nie było jeszcze wyraźną herezyą, ale dzisiaj jest jako taka przez Kościół potępione. Jest to nauka, twierdząca, że dusze wiernych zbawionych przed sądem ostatecznym nie używają zupełnego posiadania Boga, czyli tak nazywanego przez teologię widzenia Boga błogotwórczego (*visio Dei beatifica*). Jan XXII wykladał to swoje zdanie jako naukę katolicką w kazaniach publicznych, które sprawiły popłoch między teologami onego czasu, i odrzucone zostały przez Uniwersytet paryski, pierwszeństwo wtedy między szkołami trzymający w chrześcijaństwie. Wskutek tego Jan XXII oświadczył, że to było tylko jego osobiste zdanie i że go wcale nie miał zamiaru orzekać, jakoby było dogmatem wiary. Ten przykład pokazuje, że ile razy Papież nie występuje w swym urzędzie nauczyciela całego Kościoła i potwierdziciela braci swoich, spólna-  
uczycieli kościelnych, tyle razy Duch święty zostawia go jego zwykłym ludzkim siłom, i nie sprawia swoją siłą nadludzką owego nieomyślnego, a w skutku swym niechybnego połączenia jego rozumu z prawdą Bożą, w którym jak widzieliśmy, leży racya wewnętrzna i podstawa nieomyślności



a w działaniu zawsze skutecznem nigdy niechybnem, jest racya i przyczyną nieomylności papieskiej.

Zaiste, mocny to grunt i niewzruszona podstawa. Jest nią sam Duch święty, sam Bóg w środku tam na dnie mieszkający i działający. Ta jest tajemnica nieomylności Piotrowej. *Deus in medio ejus, non commovebitur*, Bóg w środku jego, więc nie będzie poruszony (Ps. 45,7). Twardą przeto opoką jest ten Piotr; opoką najprawdziwszą Kościoła i jego życia; ale w ten sposób na pierwszym miejscu opoką jego wiary, zanim będzie opoką jego nadziei i jego miłości. *Tu es Petrus, tu petra fidei*. Tyś Piotr, tyś opoka wiary! I jak Bóg niewzruszony, tak i ty niewzruszony, jak prawda Boża nieomylna, tak i słowo twojej wiary nieomylnie. Więc jak ty sam stoisz twardo na Bogu i na Jego prawdzie, i Bóg i Jego prawda bez zawodu cię w wierze potwierdzają, tak samo i wszyscy inni na tobie opierać wiarę swoją muszą, a ty ich wszystkich w wierze potwierdzaj. Jak bez Boga, tak bez ciebie prawda i wiara chwiać się muszą i chwiać się będą na świecie, i jeśli Bogiem mocny ty ich nie podźwigniesz, prawda i wiara niechybnie upadną. A więc, Piotrze, potwierdzaj! potwierdzaj Kościół, potwierdzaj rozum ludzki, potwierdzaj świat cały w prawdzie i wierze. *Simon, Simon, confirma fratres tuos*.

Tu się zatrzymajmy, bom rzecz moją skończył: dotarliśmy do dna samego, i bezpiecznie możemy już na niem spocząć. To jedno chyba może nam jeszcze zostawać, abyśmy się obrócili w stronę przeciwną i przerażeni widokiem tego, co by to było na świecie bez Piotra i bez tej nieomylności Papieża, abyśmy się tem gwałtowniej cofnęli i tem skwapliwiej przybiegli do tej jedynej opoki bezpieczeństwa.

---

Coby to było na świecie? Raczej pytajmy: co już jest? i co się dzieje tam, gdzie nie przyjmują Piotra lub gdzie się już pozbyli wiary w nieomylnność Papieża? Albowiem są całe strony świata, jakoby światy osobne, gdzie nie słyszano o Chry-

---

papieskiej. I tu znowu odsyłamy do objaśnienia dać się mającego w następnej rozprawie, kiedy tam mówić będziemy o warunkach potrzebnych do takiego prawdziwie papieskiego aktu nauczycielstwa, czyli do wyrokowania *ex cathedra*.

stusie, ani o Piotrze; i są inne, gdzie jednego i drugiego precz wymieciono, lub ich codzien bardziej precz wymiatają z wiary i ze społecznego życia. Co się tam dzieje? I jedna i druga kraina jest iście ona, którą nam pisarz święty maluje: „ziemia ciemnista i pokryta śmierci mrokiem, ziemia nędzy i ciemności, w której cień śmierci i ład żaden, ale wieczna przemieszkiwa zgroza“. (Hiob, 10, 21.)

Lecz to zanadto dalekie i zbyt obszerne widoki, objąć ich jednym spojrzeniem niepodobna. Coś przecie dla nauki naszej zobaczyć nam jednak wypada, i jeśli już nam wybierać, wezmę chwilę obecną i to, co się wokoło nas dzieje<sup>1)</sup>.

Mój Boże! że też na to ludzie nie patrzą, albo, co żałośniejsza, że patrząc nie widzą! A mieli jednak czas i sposób po temu. Zbyt często, niestety, sprawdza się to na synach ciemności, że patrząc nie widzą, i słuchając nie słyszą, i mając rozum i serce, ani rozumieją, ani czują.

Naprzód: nie widzą i nie rozumieją, że bez nieomyślności Bożej uobecnionej we władzy jakiejś i w osobie, niema na ziemi żadnego pewnego gruntu dla wiary. To bez żadnego sporu jest oczywistą rzeczą, że wiara Boża powinna mieć grunt Boży, inaczej nie będzie jasna, pewna, nieomylna. I znowu oczywista, że ten grunt Boży musi być przecie złożony w jakimś umyśle ludzkim w sposób nieomylny; inaczej, jeśli w żadnym nie będzie, a każdy puszczonej zostanie na wszystkie próby i losy wolności, tem samem żaden nie ma nijakiego pewności gruntu, i mieć go nigdy nie może. Jakże tego nie widzą ci, co jeszcze mówią o wierze na ziemi? Niechże dadzą pokój; wiary nie ma na ziemi bez nieomyślności i nieomyślnej jakiejś władzy i osoby; a ci którzy tego nie widzą, którzy przeciwnie rozumieją i co przeciwnego twierdzą, wprowadzają na ten świat nie już tylko owe straszne cienie, o których mówi prorok, ale samą ich przyczynę, ale ostatnie, a wieczne źródło ciemności; bo czyniąc tak jak czynią, nie dają temu światu żadnej ostatniej

---

<sup>1)</sup> Ciąg ten naszych nauk zamierzamy zakończyć porównaniem cywilizacji chrześcijańskiej, której sprawcą i ostatnią podstawą jest niezawodnie Papiestwo, z innemi wielkimi poza-chrześcijańskimi cywilizacyami, a mianowicie: amerykańską, indyjską i chińską. To nam da obraz, a spodziewamy się, że nauczający, tego co się działo i dzieje tam, gdzie nie było Chrystusa i Papiestwa. Będzie to uzupełnienie napomkniętych tu widoków.

a zarazem i pierwszej iskiej, z którejby mogły promienie trysnąć i światło się zapalić.

To jedno. Ale ci sami co nie widzą racji rzeczy, nie widzą następnie ani rzeczy samej; nie widzą a przynajmniej zgoła nie rozumieją tego ogólnego faktu, podnoszącego się przed ich wzrokiem jak widmo olbrzymie, faktu, że bez owej nieomyślności i bez owego jej gruntu, wszędzie na świecie nie światło się wzmaga, ale ciemność się rozszerza; nie prawda i wiara rosną, ale błąd i niewiara pochłaniają wszystko. Fakt ten straszny dźwignął się z przepaści i panuje nad światem. Co znaczy ten, który na czele idzie, Luter, i jego nauki? Przedewszystkiem i po wierchu znaczy, że nie ma kościoła; aże tam na dnie znaczy, że nie ma władzy w kościele, a na końcu znaczy właściwie, że niema w kościele Głowy nieomyślnej. Od tego się zaczęło wszystko, od wywrócenia nieomyślności. Aliści za tą pierwszą podstawą usuniętą, wszystko się inne wywraca. Co znaczą Socynianie i sekty późniejsze? Że Chrystus nie jest Bogiem, a tem samem, że niema Chrystusa. Ale dlaczego? Dlatego, że już niema kościoła, jego nieomyślności. Co znaczy Wolter i jego wszechdrwiny? że niema Boga na niebie. A dlaczego? Bo już niema Chrystusa. Co znaczy rewolucya francuska? Że i na ziemi Boga niema. A dlaczego? Bo Go już niema na niebie. Co znaczy filozofia dziewiętnastego wieku? Że niema nareszcie ani prawdy ani samego rozumu. A dlaczego? Bo już niema Boga ani na niebie ani na ziemi. Do tego aż zaszliśmy niedawno temu. Ale dlaczego ten ostatni koniec? Dlatego, że mu dano jego pierwszy konieczny początek. I jakże bowiem ma być prawda i rozum na świecie, kiedy już na świecie, tam przynajmniej gdzie ją zaprzeczono, niema nieomyślności, tej rozumu i prawdy pierwszej podstawy i ostatniego ratunku.

Lecz ani tu jeszcze nie koniec. A byssus abyssum invocat (Ps. 41, 8). Za przepaścią jeszcze jest przepaść, ostatnia i bezdenna. Ta się nam dzisiaj odchyła. Zeszły z pola dawna reformacya, ośmnastego wieku rewolucya, filozofia tegowieczna, pokonane w boju z rzeczywistością; a zrozpaczeni tych upadłych mocarstw niedobitkowie, błakają się już bez celu po straconem boju. Jużby się zdawało, że niema miejsca dla innych, aliści oto nadeciągają zwartym hufcem i z zapalem wście-

kłości. Kto oni? Bez nazwiska, bez godła, bez chorągwi, bez oblicza nawet; nicestwo i śmierć powtórzyły nam tylko do ucha ich imię: to nihiliści! nicestnicy!

Witam was ostatni i niezbędni przybysze. Przychodzicie w sam czas i porę. Wyście jedni w prawdzie między wszystkimi odstępcami od prawdy, wy jedni rozumni w bezrozumie, szczerzy w fałszu, konsekwentni w niekonsekwencyi, nieomylni w zaprzeczeniu. Wszyscy inni przed wami zatrzymywali się na pół drogi, na jej ćwierci, na jej kąsku; wy równemi nogami stanęliście na przeciwnym biegunie, i zapieczętowaliście odstępstwo rozumu ludzkiego jego własną i należytą pieczęcią: nicością. Boć zaiste, jeśli niema na świecie początku dla rozumu, to jest nieomylności Bożej uobecnionej w osobie ludzkiej, wtedy bez wątpienia niema i następstw żadnych i żadnego końca; wtedy niema nie tylko Papieża, Kościoła, Chrystusa, Boga, prawdy, rozumu i co tam jeszcze być może: sumienia, prawa, obowiązku; ale wtedy w ścisłej logice i przed rozumem niema zgoda rzeczywistości żadnej. Wszystko jest bez początku, bez końca, i bez środka, to jest bez czegokolwiek, wszystko jest jednym nic. Przecież! znaleźli się ludzie co się zdobyli na tę ostatnią odwagę w tej logice zniszczenia. Jakżeście byli potrzebni, i jak za długo, niestety, świat na was czekał! Witam was tedy aniołowie pomsty, którzyście nareszeie zatrąbili w tę trąbę zwiastunkę sądu ostatecznego na rozum w odstępstwie! Przybywajcie co rychlej i odzywajcie się jak najgłośniej, póki jeszcze czas, póki jeszcze innym ludziom został kęs rozumu. Wy ostatnią nadzieją ocalenia; i kiedy już, już świat niemal cały puścił się na bezrozumu drogi, nie wiedząc, że leci tam gdzieście zaszli, wy jedni z tamtej strony w porę nadciągając, nauczycie nas jeszcze, da Bóg, rozumu!

Boże wielki! dziękuję Ci za te obie pieczęcie, któremiś napiętnował prawdę i nieprawdę, rozum i bezrozum: dając ostatecznie nieomylność dla rozumu i prawdy, a dla nieprawdy i bezrozumu dając nicestwo. Dziękuję Ci, Panie, za to światło, które nam dajesz, a w tych ostatnich czasach obficiej niż kiedy, dziękuję za naukę, że między jednym z tego dwojga a drugim, jak nie może być sojuszu, tak niema środka. Albo rozum albo bezrozum, albo nieprawda albo prawda, albo nicestwo albo wiara całkowita, albo nihiliści, niszczyciele i nicestniki,



albo wyznawcy nieomyślności Kościoła i Papieża: tak, iście, między tem dwojgiem środka niema. To nareszcie wszyscy widzimy jasno, i raz jeszcze, Boże prawdy wszelkiej, dziękujemy Ci za to!

Ach, jakże teraz niema się nam serce śmazać, kiedy na świat spojrzymy, tej naszej biednej Polski nie wyłączając, i kiedy spostrzegamy, jak wielom się zdaje, że jest ten jakiś środek, ten jakiś rozum inny między prawdziwym rozumem a bezrozumem, jakaś prawda inna między prawdą a nieprawdą, jakaś pewność między nicstwem a nieomyślnością; i kiedy widzimy, jak tyle nawet zacnych umysłów marnie pracują nad znalezieniem tego niemożliwego środka, ba nawet mylą, że go znaleźli. Ludzie, co wy czynicie? Czy nie widzicie, że kto w tym środku chce zostawać, teraz zwłazcza, po takiej nauce, po tylu przykładach, po tylu zawodach, w takim świetle jasnego dnia ostatnich doświadczeń, ten samocheąc w samą głąb bezrozumu nurza się na przepaść, tem gorzej że przestrzeżony; ten gasi ostatnie światło, które mu sama ciemność z swej bezdni podawała; ten sobie, muszę powiedzieć, sam wyłupia oczy, jak gdyby przez niepojęty zawrót światłość nieznośną mu się stawała, i on z nią nie wspólnego mieć nie chciał! Niezaczęśliwy! dla niego nie nie pozostaje jedno ciemność; tem okropniejsza, że dobrowolna.

Ale tak być nie może: coś podobnego nie powinno pozostać. Minęły czasy półśrodków, półświatła, półprawdy, półrozumu. Fałsz nareszcie zmuszony zdjąć maskę, odsłonił jawne swoje ciemne i ohydne oblicze; a prawda wbrew jemu podniosła dobrowolnie zasłonę, i blaskami strzeliła twarz jej promienna. W tem przedsięwziętem przez Sobór poważeczny, a raczej przez samego Ducha świętego, zatwierdzeniu dogmatu nieomyślności papieskiej, dokonywa się to dziwo: co było dawniej złożone w głębi podwalin, dziś jakby na wierzch wychodząc, wystawione jest na widok publiczny; Bóg się zniża do słabości ludzkiej i do tępości ich wzroku: na końcu czasów zapala nową pochodnię jaśniejszą, całkowitszą od dawnej; wyłącza przed oczyma wszystkich osnowę najgłębszą swej prawdy, odsłania jej fundament, i wszystkich przypuszcza do tajemnic, którei dotąd trzymała się w nieprzełomny sposób, i stała tak długo i tak mocno jego święta prawda. Odtąd już ciemność całkowita ciemnością, światło światłem całkowitem; a jego jedyne na ziemi ognisko i źródło: Papież w Kościele i jego nieomyślność.

I ten tylko, który u tego źródła czerpać będzie, ten jeden będzie miał prawdziwe i całkowite światło żywota. Habebit lumen vitae (Jan 8, 12).

Panie i Boże nasz! Ojeze światłości i prawdy! przyjmij ostatnie nasze i najgłębsze podzięk za to ostatnie i najwyższe światło. Odtąd ono nam świecić będzie jak żadne inne, i ciemności już teraz tem bardziej nigdy nas nie ogarną. Et lux in tenebris lucet, et tenebrae eam non comprehenderunt (Jan 1). Teraz choćby cały rodzaj ludzki tracił prawdę i rozum, choćby nawet wybranym Bożym śmiło się w oczach, choćby wszystkie ciemne potęgi powynurzały się z przepaści, choćby do niej spadać z góry poczęły, tracąc swój blask, gwiazdy niebieskie, nie już nas nie zatrwoży, nie a nie nie poruszy, nie zaćmi, nie zbłąka: Twoje Panie. Twoje przeznajdziwniejsze świeci nam światło, ani gasnące, ani zagasnąć mogące: lumen indeficiens (Eceli 24, 6), lumen inextinguibile (Sap. 7, 10). Tem światłem nie kto inny, jedno Ty sam, już ostatecznie objawiony, o Chryste Panie; nie kto inny, jedno ten, któregoś na to objawienie na miejscu swoim zostawił, i do któregoś raz na zawsze powiedział: Piotrze, potwierdzaj braci twoich.

## KAZANIE XL<sup>1)</sup>.

### O Papieżu

jako podwalinie nadziei, to jest o jego sądownictwie  
(jurysdykcji).

(Miana w Rzymie 3 kwietnia 1870 r)

Tobie dam klucze królestwa niebieskiego, i cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związanem i w niebie, a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązanem i w niebie. (Mat. XVI, 19.)

Jeżeli wiara człowieka, podnosząc się z padołu ludzkiego do wysokości Bożych, potrzebowała tu na ziemi nieomyłnej podstawy, tedy równem prawem i nie mniej koniecznie nadzieja

<sup>1)</sup> Powraca liczba należyta.

też ludzka, w podnoszeniu się swoim z ziemi do nieba, potrzebuje tu w tem życiu podstawy niezawodnej. A jak tamta z ustanowienia bożego znalazła swoją w Piotrze jednym, tak i ta w nim jednym tylko będzie mogła znaleźć, i z ustanowienia Bożego w nim jednym tylko znajduje swoją podstawę. Owóż ten jest przedmiot, nad którym się w tej chwili mamy zastanowić.

Nadzieja, nadzieja! A toć rzec można, że ona całym życiem naszym. Cóż bardziej człowieczego od nadziei? Ona w człowieku rodzi się pierwsza, umiera ostatnia. Póki tli się w sereu, póki błyszczy w oku, dopóty mówić można, że człowiek żyje; kiedy zczęźnie, żyć przestał; albo raczej, przestał być człowiekiem. Qui enim desperat, non est homo, mówi stary Filon żydowin; kto, prawi, już nie ma nadziei, nie jest człowiekiem. Ale ja go próżno przytaczam; daleko lepiej niż jakikolwiek mędrzec to mi mówi samoż serce ludzkie.

A więc jeśli tak jest, cóż wždy jest nadzieja? I czy przynajmniej potrzebuję się pytać mędrców? Może i wiem co mi odrzekną. Z jednej strony odpowiada mi Platon, a za nim wszystkie Akademie: Nadzieja, to oczekiwanie dobra. Z drugiej strony sprawia mi Augustyn, Tomasz, a za nimi wszyscy doktorowie i wszystkie szkoły nauki Bożej, i również mówią: Jest to oczekiwanie dobra. Chociaż ja i tu ciebie wolę zapytać o serce ludzkie! Ale już słyszę jak mi odpowiadasz: Tak iście: nadzieja, to oczekiwanie dobra.

Więc znowu pytam: cóż wždy jest dobro? Czyż i tu podobnie z serc i z ust wszystkich usłyszę głos jeden? Bogdajby tak było; ale niestety! już tu tak nie jest. Tu się już rozdwarzają głosy, jak się rozdwoiły serca; tu się rozchodzą drogi, jak się rozminęły kresy; i co innego z jednej, co innego z drugiej już słyszę strony. Ze strony tamtej, ze strony mędrców ludzkich, po długim, sprzecznym i pomięszanym gwarze, słyszę jedno wyraźne i ostatnie słowo: Dobro? Ono tu; tu go szukaj! Ale gdzież tu, proszę, powiedźcie? Tu, prawią, dość tego; nie szukaj gdzieindziej! Tymczasem z onej drugiej strony, od nauczycieli bożych, co innego mię dochodzi. Dobro? mówią, ono nie tutaj; nie szukaj go na ziemi; ono tam! Tu tylko droga do niego, droga nadziei; tu tylko nadzieja: nadzieja długa, ale pewna; trwożna o koleje i przejścia drogi, ale bezpieczna o jej koniec. Tu tylko nadzieja i tylko droga!

Więc dalej znowu cóż wždy pocznie serce ludzkie? Ach, ono chętnie wyrzywa się ku tamtej pierwszej stronie, skwapliwie bieży tam gdzie tak wesoło wołają, gdzie tak prędko obiecują; lecz, — jeśli wprzód nie rozplynie się śród drogi, lub nie pęknie marnie przed dojściem do niedoścignionego kresu i jeśli go zawody przed czasem nie strawią, — tedy kończy na tem, że się od tamtej odwraca, i tutaj, w tę przeciwną stronę, obraca się nareszcie. A wtenczas, choć smutne, ale spokojne, swoim własnym wyrokiem zatwierdza oną nie własną prawdę: Nie, nie tutaj dobro; ono tam; tu tylko nadzieja dobra, tu tylko droga, po której ta nadzieja do dobra nas wiedzie. Tak iście, tu dla nas tylko nadzieja i tylko droga!

Więc na końcu tuż w ślad przychodzi ostatnie pytanie: któraż to, i gdzie ona?

Aliści zarazem przychodzi Chrystus i odpowiada: Ja jestem droga. Ego sum via (Jan XIV, 6).

Zrozumieże serce ludzkie, mówi dalej do niego Chrystus: Jam droga, bom ja twoja nadzieja, bom ja na końcu twoje dobro. Tam, u mnie, w żywocie wiecznym, jam twoje dobro iste; tu, w jego oczekiwaniu, jam twoja nadzieja; w dążeniu, twoja droga; podstawa oczekiwania i drogi bezpieczny tór. Ja jestem droga!

Tak mówi Chrystus. Atoli mówi to tajemnie i w ukryciu do duszy; a potem jawnie wskazuje na postać widomą, i prawi: Oto Piotr, oto mój zastępca; ten jest na mojem miejscu podstawa całej nadziei, przednia straż oczekiwania, rękojnia moich obietnic, i przewodnik drogi. Jemu powierzyłem, i on ma klucze od wszystkich wrót i przejść i kolei, i do przejścia ostatniego. On wiąże i rozwiązuje, strzeże, nawraca, prowadzi. Idź za nim: on cię jeden doprowadzi do kresu, do dobra ostatniego. A wtedy, twoja nadzieja, po długim i wiernem oczekiwaniu znajdzie czego pragnęła i czego szukała; zmieni szaty podrózne, a oblecze godowe; nie będzie się już nazywała nadzieją: jej imię wtedy: posiadanie i szczęście. Ale tymczasem, o serce ludzkie! miej cierpliwość i idź za moim przewodnikiem!

To mam dzisiaj przed wami wystawić i to mamy spólnie zrozumieć, najmiłsi! to właśnie, że z ustanowienia Chrystusa, podczas tej drogi naszej na ziemi, dum peregrinamur a Domino (II Kor. 5, 6), kiedy od Pana daleko, pielgrzymu-



jem do Pana: Piotr jest dla nas pierwszym i najwyższym przewodnikiem tej drogi, i wśród niej, podstawą zewnętrzną całej tu na ziemi nadziei naszej.

## I.

Dobro, rzekliśmy, z jednej strony, a z drugiej pragnienie i oczekiwanie: oto znowu jedno całe życie człowieka. Pierwsze, o którym mówiliśmy, było życie umysłu, to drugie jest życiem serca; tamto życie wiary, to życie nadziei; tamtego żywiołem prawda, a tego dobro.

Pytaliśmy tam zaraz na wstępie, co to jest prawda, i tu zacząć musimy od tego: co to jest dobro? Wiemy już wprawdzie, że ono nie tutaj, ale tam; lecz co ono jest samo w sobie, a przynajmniej czem być powinno, i jeśli go od razu dotknąć się nie możemy, czem będzie kiedyś; oto rzecz główna i istotna, o którą nam chodzi.

Słyszeliśmy, że Chrystus powiedział: Jam droga, rozumię się, do Niego, to jest do dobra; więc Chrystus nam jeden powiedzieć może, czem jest i dobro samo. A więc do Niego idziemy pytać się go o to.

Onego czasu, takiej samej świętej ciekawości pełni, uczniowie Chrystusa Pana, widząc, że się modli, i tak często modli, a wtedy zapewne widząc, że się dłużej jeszcze modlił niż zwykle; — a o cóż się tak modlił? o dobro, zaiste! — otaczają Go ze czcią i proszą pokornie: Panie! naucz nas modlić się! (Łuk. XI, 1.) To jest, naucz nas czego mamy pragnąć, czego żądać, o co prosić? To jest, naucz nas jakie jest dobro nasze, i jakie ma być nasze pragnienie jego i oczekiwanie? Jaka nasza nadzieja?

A Chrystus wtenczas tak ich odprawia: Wy, kiedy się modlicie nie bądźcie jako Faryzeusze: *non eritis sicut hypocritae* (Mat. VI, 9), nie bądźcie jako poganie, *sicut ethnici!* (ib. 7.)

Nie myślcie z pierwszymi, że dobroć i sprawiedliwość wewnętrzną sami sobie dać możecie, albo że je w sobie już macie, żeście już dobrzy i sprawiedliwi, i tylko tego jednego potrzeba, aby inni ludzie o tem wiedzieli. Baczcież tedy, byście sprawiedliwości waszej nie czynili sami, i przed ludźmi. (Mat. VI, 1).

Ani też myślcie z poganami, że dobro leży w rzeczach zewnętrznych, doczesnych, zmysłowych; i że im większe tych rzeczy mnóstwo, tem większe dobro ludzkie, a im więcej w modlitwie słów mówić będziecie, tem więcej będziecie mieli tych rzeczy.

Modląc się tedy nie mówcie wiele. *Orantes, nolite multum loqui* (Mat. VI, 7).

Tak czynią Faryzeusze, tak czynią poganie. Nie bądźcież tedy do nich podobni. *Nolite ergo assimilari eis* (ib. 8).

Wy przeto tak się modlić będziecie. *Sic ergo vos orabit* (Mat. IV, 9).

Słuchamy Cię, Panie!

Ojcie Nasz! któryś jest w niebiesiech!

Panie, zaczekaj! Mistrz jakżeś od razu zaświecił słowem twojem i od razu odkryłeś ostatnie dobro nasze. A Ty Boże, wielki i wszechmogący Stwórco, Ty zarazem Ojcie nasz pierwszy i prawdziwy, jakież na nas w tem jednem imieniu twem: Ojcie! spuszczasz źródło światła i strumień pociechy. Iście w tem świetle ujrzelśmy ostatnie światło, *in lumine tuo videbimus lumen* (Ps. 35, 10), w świetle prawdy, światło dobra, w świetle Syna światło Ojca; i już wiemy i widzimy jakie jest ostatnie dobro nasze. To Ty niem jesteś, Ojcie przenajlepszy! Tyś Ojciec, a my dzieci: czyż być może większe szczęście, dobro większe? I czy pomyśleć co można, coby się z tem równało? Mądrości ludzka, uciekaj, i skryj się gdzie możesz! Serec ludzkie, przybywaj, i tylko nie drżij z przerażenia na nadmiar szczęścia, nie cofaj się nie wierząc, i w sobie się zamykając; nuż, naprzód, śmiej tylko, a podnosząc się nad wszystko inne i nad siebie samo, już leć, leć w górę nad wszelkie wysokości, i nad wszelkie dobra; a tam na końcu za wszelkiem dobrem jest ostatnie prawdziwe dobro twoje: Ojciec twój!

A teraz, gdy to już raz wiemy, cóż teraz, Ty, Ojcie! dasz nam dzieciom twoim? Ty dobro najwyższe, dobro iste, żywe, osobiste, Ty, od którego wszelki inny datek najlepszy, i wszelki dar najdoskonalszy, z góry zstępujący od Ciebie, Ojca światłości, od Ciebie, któryś nas dobrowolnie zrodził Twojem słowem prawdy (Jakób 1, 17 i nast.), cóż nam dasz tedy, tym któryeś zrodził tu w tym czasie do nadziei, a masz zrodzić na wieki do jej

ziszczenia? Wprawdzie mamy mieć Ciebie, ale jeszcze nie mamy. Jeszcze przez różne pośrednie dobra, które będą łaskami twojemi, dochodzić będziemy musieli do tego ostatniego, którem Ty jesteś. Jakżeś przeto usposobił nam te dobra i te łaski, warunki tymczasowej nadziei, i przedmioty naszej ciągłej modlitwy?

Panie i Mistrzu, słuchamy Ciebie, nauczającego dalej.

— **Święć się Imię Twoje!**

Najwyższy tedy przedmiot naszego pragnienia, pierwszy naszej modlitwy jest, aby się święciło imię Ojca naszego. To Jego dobro zewnętrzne. Jeżeli Mu wewnątrz niczego nie brakuje, i On jest dla siebie pełnią dobra jak jest pełnią bytu; na zewnątrz wszelako może zyskać inne dobro, które w pewien sposób nie od Niego zależy, a które my tylko dać Jemu możemy. Tem dobrem, które Bóg odbiera od stworzenia swego, i tem większem, im je od bardziej wdzięcznych i miłszych sobie odbiera dzieci, tem dobrem jest chwała, szczęście, przyjemność, hołdy i panowanie, które Mu z siebie, w sobie i nad sobą oddaje, sprawia i przyznaje, to Jego stworzenie — dziecko: i tym sposobem święci imię Ojca. To dobro Ojca naszego, które my Jemu dać możemy i powinni. Jeżeliśmy prawdziwie dzieci, tedy rozumiemy od razu, że ono powinno być najwyższem w pragnieniu naszym, i pierwszym w modlitwie. Sama myśl, że to dobro Ojca naszego i Jego szczęście, każe nam zapomnieć o wszystkim innem, i we wszystkim innem to jedno widzieć, to położyć na czele wszystkiego. Więc o Mistrzu, razem z Tobą kładziemy tę prośbę na czele naszej modlitwy, i ile razy usta otwierać będziemy do Ojca głos podnosząc, tyle razy pierwszym słowem naszym będzie: Ojcze, święć się imię Twoje!

A teraz o cóż nam dalej prosić, Panie i Mistrzu?

— **Przyjdź królestwo Twoje!**

Królestwo Ojca! W tem królestwie kiedyś na wieki spotkają się Ojciec i dzieci, dzieci i Ojciec; dzieci wyrosłe na synów królewskich i na królów, Ojciec ukoronowany na wieczność jako tych królów król i tego królestwa boski Samodzierzca. Tamto pierwsze najwyższe dobro: Święć się imię Twoje, było wyłącznem Ojca naszego, to drugie: Przyjdź królestwo Twoje, jest dobrem spólnem i Ojcu i nam; i między spólnemi, dobrem najwyższem. Takim dobrem jest to wieczne

królestwo Ojca: królestwo chwały Jego, ale zarazem i chwały naszej, królestwo prawdy, dobra i świętości: królestwo światła, piękności i doskonałości, królestwo ognia, rozkoszy i szczęścia, królestwo siły, wszechmocności i pokoju, królestwo, przede-wszystkiem i nad wszystko, miłości. Co za dobro! Jakie dobro nad dobrami! Dobro Twoje, Ojczy! ale jeszcze bardziej, by być mogło, dobro nasze, nasze najwyższe dobro. O Ojczy! Przyjdź królestwo Twoje!

Po takiej prośbie, Mistrzu, o cóż dalej prosić mamy?

— Bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi!

Przed dobrem ostatniem powinno się ziszczyć przedostatnie dobro; przed najwyższem w wieczności, najwyższe w czasie; przed niebem w niebie, niechże się niebo i na ziemi zjawi, i służy tamtemu za podnózek i szczebel ostatni; niech się rozedrą niebiosy i zleje sprawiedliwość, niech się roztworzy łono ziemi i porodzi zbawienie. To już jest, i coraz więcej się ziszcza w duszach kochających i spełniających wolę Ojca na ziemi, jak się ona w niebie spełnia; o, niechże to rośnie, i na końcu całą ziemię obejmie, i niechaj, jeśli podobna, nie będzie różnicy między niebem a ziemią. Ojczy, co to będzie za chwala dla Ciebie, jakie twoje dobro; ale jakie znowu i nasze dobro, i nasze szczęście, iście tu na ziemi największe! Wtedy powróci na tę spłakaną ziemię, stracony raj; i w nim Ty, a my z Tobą święcie cieszyć się będziemy. A więc wdychamy, prosimy i z głębi duszy błagamy: Ojczy! Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi!

Lecz teraz, aby dojść do tego, czego nam każesz pragnąć, i o co się modlić, o Mistrzu nasz?

— Chleba naszego powszedniego (nadistotnego) daj nam dzisiaj!

Daj nam Panie zrozumieć to dobrze. Dotąd kazałeś się nam modlić o dobra Ojca naszego, lub o dobra wspólne; odtąd mamy się modlić o dobra nasze; dotąd o wieczne lub przyszłe, odtąd o doczesne i codzienne; mamy się obrócić od Ojca do siebie; od dnia wiekuistego, do dnia dzisiejszego i wołać: Daj nam! Daj nam dzisiaj! Aleć potrzebne nam jest to wołanie, i bez tych dóbr naszych do tamtych ojcowskich dostać się nie będziemy mogli. Więc wołamy; a naprzód o ten chleb powsze-



dny, panem quotidianum (Łuk. XI, 3), o ten chleb nadistotny panem supersubstantialiem (Mat. VI, 11), którego nam potrzeba, na to całe długie dzisiaj, ciągnące się dla każdego z nas od świeżych pieluch chrztu świętego, do poważnego całunu ostatniego pomazania, ciągnące się dla całego rodzaju ludzkiego od pierwszych zapowiedzi Ewangelji do ostatniej trąby Archaniola. To nasze całe i długie dzisiaj pielgrzymką jest i bojem. Ojciec jesteśmy w drodze, a przytem w pracy i walce, potrzebujemy coraz nowych sił i świętego pokarmu; nie dojdziemy do kresu, do dóbr dalszych, i ostatnich, jeśli tego dobra mieć nie będziemy; a więc Ojciec! daj nam chleba, tego twojego nadistotnego chleba: chleba, światła i nauki dla umysłu; chleba łaski i natchnień dla serca; chleba, siły i sakramentów dla duszy, Ojciec! daj nam! dzisiaj nam daj! Chleba naszego powszedniego nadistotnego daj nam dzisiaj!

I o cóż jeszcze, Panie i Mistrzu, każesz nam prosić Ojca?

— I odpuść nam dług i nasze, jako i my odpuszczamy dłużnikom naszym! Tu się zaczynają nasze biedy, zła jakie nas cisną. Dotąd prosiliśmy o dobra prawdziwe, rzeczywiste, i o ich nabycie; teraz musimy prosić o dobra względne, warunkowe, ale nie mniej potrzebne; boć i uwolnienie od złego jest takim dobrem, chociaż tylko względnem, nie mniej jednak niezbędnie potrzebnem; więc prosić mamy o takie nasze pozbycie się złego. Albowiem jeśli od złego wolni nie będziemy, żadną miarą dobrego nie będziemy mogli dostąpić, i marnemiby pozostały wszystkie dotychczasowe prośby nasze do Ojca. Owóż zła są potrójne: przeszłe, przyszłe i terażniejsze; a naprzód, zło przeszłe. Wszystkie nasze dawne winy, to jest grzechy, pozostawiły po sobie dług, pozostawiły kary do odpłacenia sprawiedliwości Bożej. Póki długów nie spłacimy, nie spodziewajmy się żadnych korzyści, a zwłaszcza, że te dług są tak liczne, i ciężkie, i ogromne. Ojciec! już wždy Odpuść nam dług i nasze! Tylko jakim sposobem my Ci je spłacić będziemy mogli? Ojciec najlepszy, dzięki Ci za to, że nam sam dajesz sposób godny Ciebie i godny tych, którycheś przeznaczył na dzieci twoje; dzięki Ci za to, że ten sposób tak prędk, tak łatwy, a tak skuteczny: powinniśmy tylko to samo z innymi zrobić, o co prosimy, abyś Ty dla nas zrobił: powinniśmy od-

puścić; chcąc Cię mieć dobrym i prawdziwym Ojcem, mamy pokazać, że chcemy być dobrimi i prawdziwymi twojemi dziećmi; a więc prawdziwy i najlepszy Ojcze! odpuść nam długi nasze, jako i my odpuszczamy dłużnikom naszym!

Tym sposobem jużemy wolni od zła przeszłego; ale, Mistrzu, jaką modlitwą uchronimy się zła wszelkiego i na przyszłość także?

— Ojcze, i nie wwóđź nas w pokuszenie!

To znaczy; tak nas prowadź, byśmy nie weszli w pokusę, i pod pokusą nie upadli. Pokusa to nasze złe przyszłe. Kto z dzieci Adama może spojrzeć bezpiecznie w oczy pokusie, kto z nich dotrzymać w spotkaniu? A wždy ona po ich drodze rozłożyła się czatami, na każdym kroku czyha, na każdym przejściu napada, każdego czasu może o szkodę przyprowadzić, co chwila może zgubić. Któż z synów ludzkich tego złego aż do końca się ustrzeże? Ojcze, Ty jeden możesz sprawić to dobro, Ty jeden dać to ocalenie. A więc Ojcze: I nie wwóđź nas w pokuszenie!

A teraz Panie i Mistrzu nasz, słyszymy ostatni głos prośby i modlitwy, której nas uczysz i powtarzamy za Tobą:

— Ale nas zbaw ode złego!

I już rozumiemy co ten głos znaczy i to słowo: ode złego! To już nie przeszłe, ani przyszłe zło, to już ani ślad wyciśnięty szkody minionej, ani widmo groźne szkody nadchodzącej; to sama wierutna szkoda w tej chwili zniszczenie sprawiająca, to samo rdzenie zła, terazniejsze, obecne, w swych kleszczach nas trzymające; to grzech, nie co innego jedno grzech. Grzech, to nasze jedyne złe, jedyna szkoda, jedyna śmierć i zarazem przyczyna śmierci i zniszczenia. On i przeszłego złego był jedyną przyczyną, i przyszłego także jedyną jest grozą i strachem, on wszelkiego a wszelkiego złego jest jedyną treścią i istotą, on on jeden, grzech! To złe nasze; a takie jest to złe, że póki ono nas trzyma, póty od żadnego innego zbawieni być nie możemy, póty tem bardziej dobra żadnego nie możemy dostać. Na nic wszystkie nasze dawne prośby i modlitwy, na nic obietnice Boże, Jego dary i dobra, na nic nadzieje nasze, potrzeby i oczekiwania, wszystko na nic; póki grzech w domu naszym siedzi i drzwi strzeże, póty z tego grobu wyjść nie możemy, ani doń zawitać mogą jasne dobra żywota. A więc

Ojcze, Ty to złe oddal od nas, mocą twoją ocal nas od niego; Ojcze, Ojcze! Ale nas zbaw ode złego!

Ach Ojcze, Ty nas tem bardziej zbaw od tego złego, i przede wszystkim od niego nas zbaw, że jak raz odeń zbawieni będziemy, jedno za drugim nam przyjdzie, i ziści się cała modlitwa nasza. Wtenczas tem łatwiej nie wpadniemy w pokuszenie, wtenczas my tem skorzej odpuścimy naszym dłużnikom, gdy nam nasze odpuścisz długi; wtenczas z tem większą rozkoszą i pożytkiem będziemy umieli pożywać chleba naszego powszedniego nadistotnego; wtenczas tem wierniej będziemy spełniali wolę twoją, i bliżej a bliżej tego, jak się ona w niebie spełnia; wtenczas tem bezpieczniej i goręcej będziemy oczekiwali, aż przyjdzie królestwo twoje; a w tem wszystkim i nad to wszystko, tem świętszą i tem szczęśliwszą będzie dla nas ona pierwsza modlitwa, ona prośba nad prośbami, w której się wszystko zamyka, Ojcze! Święć się imię twoje! Ach Ojcze! Zbaw nas ode złego! To będzie pierwszy z dołu początek. Ach Ojcze! Święć się imię twoje! To będzie ostatni u szczytu koniec. Ach Ojcze! ta będzie w ziszczeniu, tak, jak jest w założeniu, ta będzie w życiu, tak jak jest w myśli i pragnieniu, ta będzie w czynie, tak jak jest w zamiarze i obowiązku, ta będzie i ta jest przenajcudowniejsza, przenajświętsza, cała modlitwa nasza! A zarazem całe dobro nasze!

O Chryste Panie, jedyny Mistrzu nasz! teraz zrozumieliśmy co jest, i jakie jest nasze dobro; albowiem zrozumieliśmy twoje słowo: Wy przeto tak się modlić będziecie! I jak Ty jesteś niezrównanym Mistrzem naszym, tak i ta, której nas nauczyłeś, jest jedyna nasza modlitwa, i to, nareszcie, jakie ona daje, jedyne nasze dobro.

---

Mamy tedy przed sobą dobro, przedmiot naszej nadziei i koniec naszej drogi; mamy modlitwę, która nam ciągle je przypomina, i żywiąc w duszy ogień święty, prowadzi do niego po drodze żywota. Lecz czy modlitwa, choć najdoskonalsza, wystarcza tu sama jedna?

Człowiek jest stworzony do modlitwy: i tak jak człowiekiem być przestaje kto stracił nadzieję, tak również przestaje być człowiekiem ten, który się już nie modli; a przynajmniej

wkrótce przestanie nim być zupełnie. Pomijając wyjątki, dotąd nie liczne, chociaż niestety z dniem każdym mnożą się one, w miarę jak wskutek postradanej wiary giną i wyższe nadzieje, pomijając, mówię, te smutne i niczego nie dowodzące wyjątki, człowiek modlił się zawsze i modli się wszędzie. Potrzebuje dobra, pragnie go, chce je osiąść: więc się modli. Ażali jednak zawsze i wszędzie modlitwa człowieka otrzymuje swój skutek?

Niestety, między modlitwą a jej skutkiem stoi pośrodku niezwyciężona przeszkoda: stoi grzech. Żeby modlitwa skutek otrzymała, trzeba koniecznie, aby ją Bóg wysłuchał; lecz my wiemy, że grzeszników nie słucha Bóg: *Scimus autem quia peccatores Deus non audit* (Jan IX, 31).

W jednej rzeczy Bóg wysłuchiwa grzeszników, wtedy ma się rozumieć, kiedy się modlą o nawrócenie, kiedy wołają: *Ale nas zbaw ode złego!* Tej pierwszej prośby, tego początku modlitwy naszej Bóg zawsze jest gotów wysłuchać. Lecz i tu jeszcze skutku nie zapewnia modlitwa sama jedna, i tu jeszcze trzeba pewnych warunków: trzeba, aby dopełniły, czego modlitwa nie daje, i aby w nas dokonały zniszczenia grzechu te środki zbawienia, które nam przyniósł Zbawiciel, i które zostawił w Kościele swoim pod strażą i pod kluczami Piotra. Bez nich modlitwa najgorętsza nie znajdzie żadnej rady, i zbawienia ode złego niema bez tych środków, i bez tych warunków.

Mój Boże, trzeba nam przypomnieć sobie co to było na świecie przed Zbawicielem, trzeba choć okiem rzucić, choć myślą przebiec, co się dzieje tam, gdzie nie dosięgła jeszcze, lub skąd się usunęła Jego ręka, od grzechu zbawiająca i dopełniająca w skutku i czynie pragnienia i modlitwy człowieka. Tam wszędzie stał, lub stoi ten okrutny zawadziiciel, grzech: jako zaporą niezwyciężona, brama nieprzebyta, istic żelazne wrota o wrzeczadkach ze stali, do których pomimo modlitwy człowieka niema klucza, na które znikąd niema obucha, ani tarana, by je otworzyć lub skruszyć. A jednak, dla Boga, póki tego progu człowiek nie przestąpi, między nim a dobrem prawdziwym, a każdym onem dalszem i nareszcie ostatecznem dobrem, niema żadnego możebnego spotkania: nadzieja człowieka nigdy dobra nie ujrzy, ręka się go nie dotknie, serce nie imie, owszem zgaśnie w sercu ostatnia nadziei iskierka, i pozostanie



mu jeden tylko rozpaczy grób. *Solum mihi superest sepulchrum* (Hiob. XVII, 1).

Chciałbym cię widzieć człowieku, co sobie poczynasz, kiedy sam przez siebie kusząc się pozbyć grzechu, i przestąpić własnymi siłami ów próg zaklęty, wciąż sobie tłuczesz głowę o ten mur żelazny u wejścia? Lecz już widzę, co ludzie wtenczas czynią. Jedni na sam widok się cofają, tłumią w duszy ostatnie westchnienie ku prawdziwemu dobru, obracają się w tył, i nareszcie, o dobrem zrozpaczywszy, w samym grzechu szukają dobra pozorów niby, i jakoby wynagrodzenia za prawdziwe dobro. Drudzy szlachetniejsi, raz pokusiwszy się o przystęp, kuszą się i kuszą jeszcze, same zawody zdają się im dodawać otuchy, natężają siłę ostatnich; ale niestety i ci przychodzą na koniec, choć do szlachetniejszego, do nie mniej jednak okrutnego zrozpaczenia. Tu szczególnie, tu chciałbym cię widzieć, serce ludzkie, co sobie wtedy poczynasz?

Albowiem o pierwszych nie warto może i mówić. Ludzie bez serca, a często bez rozumu, bez uczucia szlachetniejszego i bez wznioślejszej myśli, śmiecie rodzaju ludzkiego, lub jego szumowiny, jedną tylko znają, i jednym żyją: materyą. — Już złe dla nich złem być przestało, i grzech nie jest grzechem; owszem, to jedyne ich dobro. Niechże tedy idą za nim; nam już nic do nich, to już nie ludzie. Chyba tylko dla nauki moglibyśmy jeszcze czas jaki spoglądać za nimi: rychłoli i w jakiej mierze zostaną zwierzętami? W tę stronę szedł coraz przędszym krokiem świat rzymski, w tę samą stronę biegły zapomniane, lub nieznane, przez stary świat nasz, inne społeczeństwa ludzkie, i kiedy pierwszemu na tej drodze nadarzyło się szczęście bycia ocalonym przez chrześcijaństwo, drugie nieszczęśliwsze dobiegły do samego kresu, i znalazły się na dnie przepaści. W pewnej chwili w dziejach, Opatrzność odchyliła zasłonę, i pokazała widok przez długie wieki zgotowany, a niewidziany dotąd; stary świat przez chrześcijaństwo ocalony ujrzał naraz inne światy, ujrzał na przykład świat amerykański, lub środkowy afrykański, i zadrżał; bo zobaczył w rzeczy i w prawdzie jak człowiek przemienił się w zwierza. Zobaczył, coby inaczej zdawało się niemożliwym, że ostatniem dobrem takiego zwierza ludzkiego, jego najpożądalszym celem życia tu na ziemi, najsmaczniejszą ucztą, jest mięso ludzkie, i jeszcze

surowe. Nie trzeba się nam mylić: ludożerstwo nie jest wyjątkiem, jest ono ogólnym a fatalnym i ściśle logicznym kresem drogi, do którego człowiek i społeczeństwo prędzej lub później, ale koniecznie dobiega, skoro raz od dobra prawdziwego, to jest od chrześcijańskiego, odwrócone, obróci się do materii, i w niej swoje dobro umieściwszy, w niej go szukać będzie. Jeżeli tu nie doszedł był jeszcze świat ów stary rzymski, jeżeli jaki inny z poza chrześcijańskich okrom tych, które wymieniliśmy, dziś nie doszedł tu jeszcze, to tylko kwestya czasu, ale nie kwestya natury ludzkiej; i przypuściwszy, że chrześcijaństwo nie pośpieszy na czas ocalić inne światy, tak jak rzymski ocaliła: więcej nawet, przypuszczając, że sam ten świat z rzymskiego chrześcijański swojego Zbawiciela odepchnie, natenczas i ten i tamte, cały jednem słowem rodzaj ludzki tą śmiercią będzie musiał umrzeć: skończy na czem i zwierzęta nie kończą: na samopojariu. Tu dopiero otwierają się nam ostatecznie oczy, i wiemy nareszcie co to znaczy: Ojciec: zbaw nas ode złego!

Oddałyśmy się z przerażeniem od tego widoku, jakkolwiek był potrzebnym i zbawiennym, a zwróćmy się do serca ludzkiego, kiedy ono na prawdę chce się przedrzeć do dobra, chce go osiągnąć, i kiedy z całą potrzebą tego dobra w łonie, stanie u onego progu, przed oną bramą nieprzebytą, dzielącą je od dobra prawdziwego, a której imię grzech. Co tu widać pocznie biedne serce ludzkie? Co tu sobie poczynają oni inni ludzie, o których zaczęliśmy mówić, a którzy niepodobni do tłumu co nas przed chwilą zajmował, kuszą się owszem o przebycie złowrogiej zapory? Ci, może jeszcze nieszczęśliwsi! nie kończą wprawdzie na samobójstwie z szalu zmysłów i rozpusty, atoli kończą zwykli na samobójstwie z szalu myśli i zwątpienia. Dość spojrzeć na oszezutki dzisiejsze jeszcze starodawnej Indyi. Ta Indya, to inny świat, który nam Opatrzność na naukę zgótowała, jak zarazem na świadectwo swojego dzieła zbawienia i jego konieczności. Czego tam ludzie nie czynili i nie czynią, aby się pozbyć grzechu! Cześć im za to przynajmniej, iż nie zapomnieli, iż całym złem człowieka jest grzech. Otóż, czego oni nie czynią? Żał mi istotnie, że te przykłady tak mało są znane w naszym świecie, i że wiadomości o tem ogromnem społeczeństwie indyjskiem, tak skąpo albo i zgoła nie

wchodzą do przedmiotów uczenia, iż chcąc o nich mówić, naraża się na niedogodność rozprawiania o krainie nieznaney i niesłyszanej. Zbyt atoli te przykłady wchodzą do niniejszego przedmiotu, bym o nich na los wszelki wspomnieć jednak nie miał. Czegoż tedy tam ludzie nie czynią, by się od złego, by się od grzechu uwolnić? Wszystkie ogołocenia świętych zaprzańców duchownych, wszystkie dobrowolne kary i cierpienia pokutników chrześcijańskich, wszystkie nawet najsroższe męczarnie pierwszych męczenników Kościoła, ledwie, że mogą iść w porównanie z tem, co czynią owi brahmańscy nie mniej dobrowolni zaprzańcy i pokutnicy. Biedni ludzie! jakże gorąco chcą się pozbyć złego, jak koniecznie dostać się do dobrego! Istne wielkoludy ludzkiej moralnej siły, nowe Tytany, w wysiłku nadludzkim chcą koniecznie wyjść z piekła, i już raz je porzucić; chcą już raz przecie zdobyć niebo, i osiąść zbawienie. Tylko biadaż im, że to czynić muszą własną pięścią, i kruchą siłą ludzką! Wszystkie ich olbrzymie wysiłki roztrzacają się o ten sam mur nieprzełomny, a po długoletnich, po wiekowych wysileniach skutek zawsze tenże sam: żaden! Owszem, myślę się mówiąc, że żaden: skutek daleko okropniejszy: jakkolwiek nie kończą oni na samopożarciu, kończą jednak na samozniszczeniu. Dali za wygrane złemu: nie mogąc złego zniszczyć, niszczą siebie samych; i zamieniwszy nadzieję oczekiwania na nadzieję rozpacz, rzekli: że ostatniem celem człowieka i ostatniem zbawieniem, jest zstąpienie istoty jego do nicestwa; i to rozmyślne, dobrowolne, własnoczynne zstąpienie do nicestwa; — prawdziwe samozniszczenie <sup>1)</sup>).

<sup>1)</sup> Nirwana h jest imię tego samozniszczenia. Wprawdzie jest to dogmat buddyzmu, a nie brahmanizmu, ale to wszystko jedno: mianowicie zaś dla dwóch powodów: naprzód że buddyzm jest logicznem i prawowitem zakończeniem brahmanizmu, a następnie, że cała zasada nauki i cały układ praktyk co do złego, pokuty i zbawienia, rdzennie ten sam jest w brahmanizmie co i w buddyzmie; powody jeno i cele się różnią; i to jeszcze powierzchownie tylko.

Otóż naprzód buddyzm jest dokończeniem brahmanizmu. Można doskonale porównać, jeżeli nie rzecz do rzeczy, tedy stosunek, jaki zachodzi między brahmanizmem a buddyzmem, do stosunku, jaki ma miejsce w prawdziwej religii między starym zakonem, to jest żydowskim, a nowym to jest chrześcijańskim. Tylko rozumie się, że ten ostatni stosunek jest dodatny, kiedy ów pierwszy jest ujemny: stosunek żydostwa do chrześcijaństwa, ma się, jak zapowiedź prawdy, albo jak półprawdy do prawdy całej; zaś



Okrutny koniec drogi! I czy już nie widzimy, w tym drugim przypadku jeszcze lepiej, niż w pierwszym, że nie człowiek złe pokonał, ale złe pokonało człowieka? I czy teraz nie tem bardziej uciec się nam wypada do jedynej modlitwy, i jeszcze z głębszej niejako głębi zawołać: Ojcze, zbaw nas ode złego! Zbawicielu od Ojca zesłany, Jezus, Panie nasz, przyjdźże i daj nam środki, i w rzeczy samej zbaw nas ode złego! Bez Ciebie, Ojcze, i bez Ciebie, Panie, niema zbawienia: bez Ciebie tylko grzech, tylko złe; na około nas wszędzie: i przed nami, i pod nami, i nad nami grzech, i złe tylko! Dziecko ludzkie próżno się szamota, i walczy z niepodobieństwem, i, by dobrze chciał człowiek, tedy straszliwemu zadaniu podołać sam nie może. Ojcze, Panie! Ty przeto zbaw nas ode złego! A Ty Chryste Zbawicielu, daj nam środki do zbawienia!

odwrotnie stosunek brahmanizmu do buddyzmu, ma się jak resztki prawdy, albo znówu jak pół prawdy do całej nieprawdy. Są którzy porównują Buddyzm do protestantyzmu, a brahmanizm do katolicyzmu; jest i w tem niejaka odpowiedność dość prawdziwa, pod tym mianowicie względem, że Buddyzm niszczy oną pozostałą jakąkolwiek prawdę, która się w Brahmanizmie zamykała, tak jak protestantyzm zaprzecza z początku, a w rozwijaniu kolejnem zaprzeczenia, niszczy w końcu całkowicie tę inaczej pełną, i owszem całkowitą prawdę, jaka się zamyka w katolicyzmie. Jest w tem przeto dostateczne podobieństwo, i podstawa porównania. Jednakże daleko jest stosowniejsze porównanie i podstawa jego rzeczywistsza, kiedy kresy porównania tak postawimy, jeżeliśmy to wyżej uczynili. Żydostwo jest przesłaniem chrześcijaństwa i brahmanizm jest poprzednikiem buddyzmu. I żydostwo i brahmanizm mają tylko półprawdy: atoli ta półprawda w żydostwie jest żywa i rosnąca i tylko we śnie jakoby leżąca coraz złejszym, by się nareszcie w chrześcijaństwie przebudzić; kiedy podobna półprawda w brahmanizmie jest chora i coraz więcej omdlewająca, i jakoby w letargu konania czekająca tylko na buddyzm aby w nim umrzeć. Żydostwo jest mrokiem kończącej się nocy, wyglądającym wschodu słońca chrześcijaństwa, który przyniesie dzień biały i jasny katolicyzmu; kiedy brahmanizm jest zmierzchem zapadającego wieczora, po którym niezawodnie nadchodzi północ buddyzmu, mogącego się śmiało nazwać ciemnym i czarnym katolicyzmem. Ostatecznie najlepiej stykają się z sobą logicznie, i buddyzm nie z protestantyzmem, ale z katolicyzmem, jako ostateczne przeciwieństwa stoją obok siebie w najlogiczniejszym, a pod tym względem w najprawdziwszym porównaniu.

Druga przyczyna, dla której owe samozniszczenie, czyli Nirwanah, właściwe buddyzmowi odnosi się równie dobrem prawem i do brahmanizmu, jest spójność i tożsamość, że tak powiem, praktyk moralnych i pokutniczych obaj systematów religijnych, jako też ich powody i przyczyny. Przyczyną



## II.

Wiemy co się stało. Widzieliśmy, jak prawda i światło stanęły ongi osobiście na ziemi, by zbawić człowieka od błędu; aliści w tejże samej osobie zjawiło się na świecie dobro nasze i Zbawiciel, aby nas oswobodzić od grzechu; i jak pierwszy promień prawdy żywej, rozpędził wiekową ciemność, tak pierwsze dotknięcie ręki Zbawiciela skruszyło grzechowe jarzmo. Czego dokazać nie mogły wszystkie potęgi człowiecze, czego żadne olbrzymy ducha ludzkiego, żadne by najzuchwalsze zapasniki woli, o włos jeden nie mogły poruszyć, to On w prochu położył jednem ściągnięciem palca. Eh! i tyle Go nie kosztowało: Słowem jednym stworzył Bóg niebo i ziemię, i On jednem

i powodem tych praktyk, jest w jednym i drugim, potrzeba i chęć pozbycia się złego; a ponieważ złem nareszcie jest jak u jednych tak u drugich, życie samo, to życie, które pedzimy w dziedzicach Mai, urody, to jest na tym świecie zwodniczym, przemijającym, sennym i wiecznie niezręcznym; więc powodem i przyczyną, tak u jednych jak u drugich, jest pozbycie się nareszcie życia samego. Praktyki zaś służą jako środki do tego celu, i jak powiedziałem: są wspólne obu naukom aszajitrym. Wprawdzie brahmanizm wyobraża sobie ten cel jako powrót do Bógwa (Brahma), i zanurzenie się w niem, a buddyzm go bierze jako proste zapamiętanie do nicestwa; ponieważ jednak owo zanurzenie się w ośstatec brahmanów jest zupełnem w niem zgięciem i zatają wszelkiego osobnego i osobnego istnienia, więc i co do tego celu, jeśli idealnie się różnią, faktycznie wszakże zgadzają się na jedno owo systemata. Zresztą ów Brahma brahmanów, czemże jest innem, w rzeczy i w istocie, jeśli nie taką samą przepaścią nicestwa, jaką i owa druga przepaść, owo Nirwana buddystów? Więc kres tej drogi jaki tu jest, taki i tam, i jak u buddystów tak i u brahmanów, w rzeczy i w istocie, ostatnim kresem olbrzymiej całego żywota pracy, w pozbyciu się złego, nie innego nie jest jedno samożnaczenie.

Przepraszamy czytelników, żeśmy o rzecz tak ważną tręgli tak potężnem dotknięciem. Sądzimy wszelako, że to kilka rysów wyraża dostatecznie ogólny charakter rzeczy, o ile nam jest potrzebny, do naszego zaszewienia się. Chodziło nam o to, aby owo prawdziwe, katolickie, nauki, o środku jedynym pozbycia się złego to jest grzechu, postać najczystsza, a zarazem najłagodniejsza, i najczłowieczsza naukę ludzką, o tym samym przedmiocie. Tylko przez odciąganie, sprawdza się dodawanie, przez wyłączenie zaprzeczenia, stwierdza się zatwierdzenie, jak mogło tylko wycienienie cieniów uwydatnia się światło, a im cień mocniejszy, tem światło wyświejniejsze. Mamy nadzieję, że cień tu położony jest dosyć wyraźnym, tak jak jest w sobie prawdziwym; i że może w odpowiednej mierze podzielić do uwydatnienia przedwonne światła, zawartego w naszym zamierzeniu.

słowem przetrącił wszystkie zapory, zdruzgotał pęta, zniweczył grzech; — na to jedno słowo obaliły się, samopadły, bramy żelazne przystęp tamujące; za niemi do dóbr wiekuistych swobodny i jasny odsłonił się tór, a zwycięzca złego, książę wiecznego pokoju, Zbawiciel, stanął na wolnym progu, i rzekł wszystkim (pierwsze słowo, dopełniając drugim): Jam jest droga. *Ego sum via!* (Jan XIV, 6). *Pójdźcie do mnie wszyscy; Venite ad me omnes!* (Math. XI, 28)! Tyle uczynił, i jednym słowem.

Że rzekł to drugie słowo: Ja jestem droga, tem samem dał się poznać, iż jest Zbawicielem, że nas już zbawił od złego, i że już otworzył do dóbr wszystkich drogę. Ale jakież było ono pierwsze słowo, którem nas od samego złego wyba-wił, i boską jego siłą dokonał, czego żadne ludzkie siły doko-nać nigdy nie zdołały?

Niechże ciębie usłyszę, o słowo cudowne! „Ufaj synu, powiada, odpuszczają się ci grzechy twoje“! *Confide, Fili, remittuntur tibi peccata tua* (Math. IX, 2. Mar. II, 5). „Niewiasto! Odpuszczają się tobie grzechy, idź w pokój“. *Mulier, remittuntur tibi peccata... vade in pace!* (Łuk. VII, 48, 50). „Już więcej nie grzesz“. *Et jam amplius noli peccare!* (Jan VIII, 11).

Takiego słowa jeszcze nigdy do tego czasu i chwili, nikt z ludzi nie był wyrzekł, i nikt nie był słyszał. To też ci, co je pierwsi posłyszeli, zdjęci podziwieniem i jakoby zagrożą, szepeą między sobą: „Co to On mówi? Błuzni! któż może odpuszczać grzechy, jeśli nie sam Bóg“? *Quid hic sic loquitur? Blasphemat. Quis potest remittere peccata nisi solus Deus?* (Mar. II, 7). Ludzie, macie słuszość, i dobrze mówicie, że nikt grzechów odpuszczać nie może, jeno sam Bóg; tylko dlaczego dodajecie, mieszczęśni! że on błuzni? Słuchajcie przynajmniej co wam odpowiada: „A co to tam myślicie, prawi, w sercach waszych? Co jest łatwiejszego: stałi powiedzieć powietrzem ruszonemu: odpuszczają ci się grzechy twoje? czy też: Wstań, podnieś łóżę twoje, i chodź? Byscie przeto wiedzieli, że Syn człowieczy ma władzę na ziemi odpuszczania grzechów (obróciwszy się do powietrzem ruszonego): Tobie mówię: Wstań, podnieś łóżę twoje, i idź do domu twego? (Mar. II, 8—11). — I dodaje święty Życiopisiec: „A on natychmiast wstał, i po-

chwyciwszy łożę, odszedł w obec wszystkich, tak, że dziwowali się wszyscy“; — i kończy o tych innych, mędrszych i szczęśliwszych, aniżeli tamci pierwsi sędziowie pośpieszni i zaślepieni, powiadając o nich: „że dali chwałę Bogu i mówili: Jeszcześmy tego nie widzieli!“ Quia nunquam sic vidimus! (Mar. II, 12).

Tak, zaiste: jeszcze tego świat był nigdy nie widział, nigdy nie słyszał, nigdy nie doświadczył. Jeszcze aż do onej doby nikt do rodzaju ludzkiego, złożonego na barłogu złego i grzechu, i niemogącego się podźwignąć z rozpaczyny niemocy, nikt nie był się zbliżył i rzekł mu: odpuszczają się tobie grzechy twoje, wstań i chodź! Chrystus Pan pierwszy, i jedyny to mu powiedział; a natychmiast, na dowód prawdy jego słowa, rodzaj ludzki porwał się ze swego łoża zdrowy i rączy, i jął chodźć swobodny, i błogosławić Zbawicielowi swojemu.

Niechże cię przeto wciąż słyszę, i brzmij mi w uszach bezustannie, słowo cudowne: Odpuszczają się tobie grzechy twoje! W tobie znajduję czego świat tak długo nadaremnie szukał, zaspokojenie najgwałtowniejszej potrzeby duszy, spełnienie najpierwszego pragnienia serca, zadowolenie jego wszechczasowego jęku, i tej modlitwy, tak długo głęboko przytłumionej, na końcu tak głośno wydobytej z piersi: Ojcie! zbaw nas ode złego! I niechaj patrzę na cudowny skutek tego słowa w Zbawicielu moim; wciąż przed duszą i przed sercem, niech mam tego Zbawiciela, i to, które On mi przynosi zbawienie: On wrota moje do tego zbawienia. Ego sum ostium (Jan X, 9), On moja droga. Ego sum via. On niszczy rozpacz grzechu, on wznieca otuchę nadziei, On ją prowadzi bezpiecznym szlakiem, On ją z dobra do dobra, z życia do życia wprowadza, On ją doprowadza nareszcie do kresu, do żywota wiecznego. Ale kamieniem węgielnym, pierwszą podstawą, początkiem, przyczyną, sprawcą całego zbawienia jest ono jedno cudowne słowo: Synu! odpuszczają się tobie grzechy twoje! Bez tego pierwszego nie byłoby dalszego, nie byłoby było żadnego zbawienia.

Bogu chwała! dzięki Bogu! Lecz Chrystus odszedł z tej ziemi: czyliż z nim razem, nasze zbawienie ziemię opuściło? Czy nas opuściła ta podstawa zbawienia: to słowo i ta moc Jego?



Tu się nam ukazuje dalsze widowisko, podobne do tego, któreśmy przeszłą razą oglądali. Chrystus odszedł, to prawda, ale z nim razem żadną miarą nie mogło nas porzucić dane nam przezeń zbawienie, ani jego podstawa. Bo i pocóżby przychodził?

Wszystkie powody już dwakroć przytoczone na wykazanie tej prawdy, że lubo odszedł Chrystus, ale nas jednak nie opuścił; i że jakkolwiek w inny sposób, ale pozostał z nami, przychodzą tu na nowo z całą swoją siłą. Tak, zaprawdę; wiemy dobrze i ani wątpimy, że Chrystus nie tylko jako prawda, ale i jako dobro, to jest jako zbawienie pozostał, i jest zawsze tu, z nami, chociaż pod inną postacią. A nawet wnioskując z tego, co wiemy na to co nam tu wiedzieć potrzeba; możemy osądzić, że na ostatniem i najwyższem miejscu, tą postacią, pod którą Chrystus pozostał jako dobro nasze i droga do dobra, jest ta sama, pod którą się nam zostawił jako prawda i wyrażenie prawdy; że tą postacią jest Papież.

Lecz czyliż się w tym sądzie nie mylimy? Czyliż możemy i teraz rozpoznać, kto tu jest na miejscu Chrystusa z taką samą pewnością, z jaką i wtedy tam rozpoznaliśmy? Precz od nas trwoga wszelka; albowiem Bóg nie czyni dzieł swoich po połowie. Kiedy swe dzieło wśród ludzi postawi, niech jeno będą dobrej woli, a ono sprawi wśród nich koniecznie to, co sprawiło samo przyjście Chrystusa na świat: chwałę na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli. Więc tylko z dobrą wolą ruszmy na szukanie tego dzieła po Chrystusie, które zniknąć z ziemi nie mogło, a wnet nie tylko pragnienia serca spotkają je wesoło, same oczy rozumu i przekonania będą je widziały najwyraźniej.

Dwie są drogi, które nas do tego kresu prowadzą; jedna z wierzchu, że tak powiem, a druga z wnętrza: zaczę od pierwszej: krótszej i prędzej.

---

Znamy ją poniekąd i przypominamy. Ma swój drogowskaz: nazywa się on zatwierdzenie. Jak gdy pobożny pątnik, zdążający do miasta świętego, chociaż drogi nie zna, a może nawet nie wie w którą się stronę świata obrócić, dość że wie, do jakiego kresu zmierza, wtedy po drodze pytającemu: Roma, Roma! kędy ona, i gdzie? każdy ręką wskazuje i z zapewnienie-



niem odpowiada: Tędy i tam! a dlaczego? bo tylko jedno miasto na świecie tem imieniem siebie nazywa; — tak samo i w naszym szukaniu, jeśli się tylko dobrze pytać będziemy o kres naszej drogi, tenże sam jej kres święty a żywy, z za gór i z za dolów, z za mórz i z za przepaści, sam nam odpowie przez usta tysięcy po drodze stojących: Oto tu, i oto tędy! i tem bezpieczniej nam odpowie, że jeden jest na świecie, który się tem właśnie być mieni, o czem my z góry wiemy, że to musi być, i musi być jedno na świecie.

A więc gdybym żył jeszcze za czasów Chrystusa, i był takim szukającym dobra, człowiekiem dobrej woli, jak wprzód ogarnięty ciemnotą umysłu, i szukając światła, pytałem się gdzie jest ten, który się prawdą i światłem nazywa, i posłyszawszy biegłem do niego; tak teraz obarczony ciężarem grzechu, udręczony rozpaczą serca, szukając uwolnienia od złego i drogi do szczęścia: ach, pytałbym się czy jest gdzie taki, który grzechy odpuszcza, który od złego uwalnia, i gdzie on? czy jest taki i gdzie on, który do dobra, do szczęścia wie, i sam jest tą drogą do niego? Wždy tylko co mówiliśmy o tem, że onego czasu stanął był właśnie Syn Boży jako taki Zbawiciel i że to mówił o sobie, on pierwszy, on jedyny. Więc myślicie żeby go długo szukał? żeby go nie znalazł, żeby go od razu nie poznał? Świadcę się Bogiem i nędzą moją ludzką, i przysięgam: że jak Bóg iście żyje na niebie, jak człowiek wierutnie kona na ziemi; jak jedyna tylko nadzieja z góry, i jak bez niej okropna rozpacz na tym padole; tak i to prawda: że skoro raz z sobą twarz się w twarz spotkają, tedy od razu się poznawają, i lecą sobie w objęcia. O ludzie dobrej woli, którzyście onej szczęśliwej godziny tego Boga Zbawiciela w ten sposób poznali, wy mi bądźcie świadkami!

Co tu dłużej rozprawiać? Iżaliż nie wiecie co takiego najpotężniej, a może jedynie się przyczyniło do tego, że się onego czasu świat rzymski nawrócił, i że się za nim następnie inne światy nawróciły, lub od dnia do dnia nawracają? Iżaliż wątpić można, że tą wszechmocną przyczyną był z pewnością ten mały artykuł w Składzie Wiary Apostolskim, przynoszący właśnie tę rzecz tak wielką: *Credo in remissionem peccatorum*; Wierzę w grzechów odpuszczenie? Mój Boże! Tak długo jęczało o to biedne serce ludzkie! Więc kiedy to naresz-

cie przyszło, cóż za dziwo, że dziecko poznało Matkę, bieda ludzka dobro Boże, nędza zmiłowanie, rozpacz nadzieję, i że za dotknięciem, serce ludzkie przekonało się odrazu, że to nie cień żaden i mara, ale istna prawda? I uwierzyło? I przyjęło? I samo się oddało?

Mamy wytłumaczoną tajemnicę chrześcijańskiego zbawienia, i drugą tajemnicę nawrócenia się świata; ale zarazem i to mamy we wniosku, że skoro się raz rzecz zjawiała, nie było ją trudno i znaleźć i rozpoznać.

---

Tak samo ma się sprawa z tem drugim, czego szukamy: Gdzie po odejściu Chrystusa zbawienie jego pozostało? Każdy człowiek dobrej woli, w tych późniejszych czasach żyjący, nie ma tu nic innego do czynienia, jedno to co dodrej woli człowiek powinien był czynić, i czynił za czasów Chrystusa Pana. Powinien pytać, czy jest taki, który zastępuje Chrystusa? Czy jest iście taki, który o sobie twierdzi, że ma od Chrystusa władzę odpuszczania grzechów; że co rozwiąże na ziemi, będzie rozwiązaniem i na niebie, a co tu zwiąże, i tam związanem będzie; że pod jego strażą jest rozdawnictwo wszystkich dóbr prawdziwych i wiekuistych, że to on trzyma wszechwładne klucze nieba i ziemi?

Darmoby pytającemu odpowiadano, że takiego niema; raz w Chrystusa Zbawiciela uwierzywszy, on, człowiek dobrej woli nie może wątpić o dobrej woli i o łasce Zbawiciela swego; i ani na chwilę przypuścić nie może, by Chrystus nikogo po sobie na ziemi nie pozostawił. Więc się koniecznie pyta, i mimo wszelkich zaprzeczeń, z tem większą pewnością się pyta. A gdyby natenczas pytającemu pokazano jednego i drugiego, i sto, i tysiąc takich, czyż go wnet i rozum, i serce, i sama natura rzeczy nie nauczą, jak to ma osądzić i przyjąć, czy natychmiast nie zawoła: Nie tego szukam! Dzieło zbawienia nie mogło być tak rozbite na kawałki, na okruszyny, na mialki proch; ani Chrystus mógł być je tak nędznie poniechać; ja nie stu zastępców Zbawiciela szukam, którzy się mogą wadzić między sobą i tyrać nędznie dzieło zbawienia; ja szukam jednego, tak, jak jeden był Zbawiciel, był prawdziwy Chrystus. A jeśli, jak powiadacie, są inni, ja tylko mogę przypuścić, że

są wszyscy podrzędni, i zawsze pytam: Czy jest jeden taki, który o sobie twierdzi, że jest w całej pełni wyłącznie na miejscu Chrystusa, i że wszyscy a wszyscy inni od niego zależą? Bez tego jednego, i tamtych mnożstwa rozpoznać nie mogę; bo jak się zaczęła między sobą awary, a te ich awary słyszę przecie, i zbyt dobrze słyszę, kto mi wtedy powie i zapewni jacy wśród nich są prawowici, a jacy znowu samozwańcy tylko i samowłazy? Nie, tak Chrystus zgoła nie mógł być postąpić; to mi rozum mówi, to sumienie zaświadczają, a serce drży na myśl taką, na samo czegoś podobnego przypuszczenie. Albowiem ktoby był podobnie postąpił, ten wlasnie Zbawicielem by nie był. Precz z bluźnierstwem: Chrystus był i jest Zbawicielem.

A więc precz z wszelkiem innem przypuszczeniem, to jedno jest pewne, że musi być taki, który z całą pełnością wлады stoi nad całą pełnością dobra Bożego i drogi do niego, jeden na miejscu Chrystusa. Tego szukam i o tego się pytam: i każdy człowiek dobrej woli, jeśli jeszcze nie wie kto on, i gdzie on, to jednak wiedzieć koniecznie powinien, że być musi i że jest; i jego szukać i o niego się pytać.

Więc co myślicie i co powiemy? Na pierwszy słuch o tem: gdzie on i kto on? toć przecie temu człowiekowi dobrej woli cały świat i cała historia odpowiada: Idź do Rzymu, tam jest Piotr! — na pierwszy słuch, mówię, stałe temu człowiekowi przed oczyma prawda od razu jasna jak słońce, i bieży tam gdzie mu mówią, i przypada do stóp tego, który twierdzeniem tyłowiecznem i jedynem w historii i na świecie twierdzi się podobnym zastępcą jedynym Chrystusa, i całym ezcześnie serca, jak całą mocą przekonania, odpowiada mu i woła: Tak, ty nim jesteś! Mam, czego szukałem. Nie potrzeba mi innych dowodów, ten jeden starczy za wszystkie inne, jakie są i jakie być mogą. Bogu niech będą dzięki! Mam, czego szukałem! A wtedy niech temu szczęśliwemu dowodzą, że tak nie jest: śmieje się zdrów i bezpiecznie z bezserca i z bezrozumu. O cudowna prawdy! O szczęście zazdrości godne prostego zmysłu i dobrej woli! Wy się zawsze spotykacie i wzajemnie poznajecie!

Nie, drodzy moi, w tej sprawie niema żadnej trudności, rzecz jest zbyt prosta. Całe zadanie i jego sprawozdanie ogra-



nicza się do kwestyi prostego zatwierdzenia. Tem zatwierdzeniem jest głos Papieża świadczącego o sobie samym: Mnie dał Chrystus klucze królestwa niebieskiego; u mnie jest odpuszczenie grzechów, zbawienie od złego i droga do wszelkiego dobra; co ja rozwiążę na ziemi, to będzie rozwiązaniem i na niebie, a co ja na ziemi zwiążę, to będzie i na niebie związanem; ja jeden mam tę władzę, a mam ją przez wszystkie i po wszystkie czasy, na wszystkie i po wszystkich miejscach, nad wszystkimi ludźmi, do wszystkich rzeczy, na wszystkie przypadki. I ja jeden twierdziłem to o sobie zawsze, i twierdząc, i twierdzić nie przestanę. Cóż, że tylu zbuntowanych wbrew przeczy, i rękę na mnie podnosi, i chciałoby mnie samego związać? Ja ich pierwej związałem, i tem właśnie mojem zatwierdzeniem związałem: że raz rzekłem, czem jestem. Wszelki bunt ich jest tylko zaprzeczeniem: kto przeczy, nie nie zatwierdza, i niczego nie dowodzi, więc zatwierdzenia nie wywraça; przeciwko raz stojącemu: Tak, nie pomoże żadne nie; jak przeciw będącemu żadne nico nie podola: Co jest, jest. Lecz moje zatwierdzenie jeszcze więcej znaczy: ono zatwierdza co być musiało, a więc co raz się stawszy, już jest koniecznie. A więc trzykroć nie podola zaprzeczenie żadne. Chybaby który z zaprzeczycieli powstał, i rzekł, że to nie ja, ale on jest tem wszystkiem. Lecz żaden z nich nie zatwierdził tego, ani twierdzi o sobie; nie śmiał i śmieć nie może. A chociażby się nareszcie odważył, choć się na to odważy on ostatni złoczyńca, ja mu przez tyle wieków już z góry klam zadałem. Związałem i tu ich wszystkich, jak w zaprzeczeniach tak w zatwierdzeniach, mojem uprzedniem zatwierdzeniem. Będzie zbrodnia, nie będzie dowodu i usprawiedliwienia. — Prawda tylko raz mówi i mówi zawsze pierwsza, a przeciwko prawdzie niema innej prawdy, jak być nie może innego zatwierdzenia. Związałem tedy zewsząd ich wszystkich, a zaprawdę, co ja związałem na ziemi, to jest związanem i na niebie; i pozostanie wszędzie i zawsze, na ziemi i na niebie związanem niepowrotnie. I jedno tylko jest i pozostaje prawdą zewsząd rozwiązaną i oczywistą, że jak jeden jest Chrystus Zbawiciel, tak w tem zbawieniu ja jeden Jego zastępcą, i na Jego miejscu dierżący w mym ręku i strażący klucze wszystkich obietnic Bożych, tor całej drogi nadziei i podwoje przybytku wiecznego dobra i szczęścia.



Szukaliśmy zastępcy Chrystusa Pana i znaleźliśmy Jego postać jasną i promieniejącą swoim własnem zatwierdzeniem. Ta była pierwsza droga, na której ją mogliśmy byli znaleźć, a jak pewna i krótka, pokazał to skutek. Nazwaliśmy ją byli drogą zewnętrzną.

Atoli przestrzegliśmy zarazem, że mamy inną drogę z wnętrza jakoby, i z głębi rzeczy prowadzącą nas do tego samego kresu. Tę nam w tej chwili przebieść potrzeba.

Ta droga ma inny sobie właściwy drogowskaz, który odpowiada nie już jak tam na pytanie: gdzie i kto? ale na to inne: dlaczego? Jak zasię usłyszemy całkowitą odpowiedź na to nowe dociekanie: dlaczego Piotr, dlaczego Papież jest tem czem się być mieni? wtedy staniemy zarówno i z nieodmienną pewnością u tego samego co i tam kresu szukania i drogi.

Dlaczego? I tu krótka odpowiedź: dlatego, że tak Chrystus ustanowił. I tu znowu moglibyśmy słowa tego ustanowienia w całej ich okazałości wytoczyć: Piotrze! Tobie dam klucze królestwa niebieskiego: Co zwiążesz, będzie związanem, co rozwiążesz, będzie rozwiązane. I to nietylko słowa przytoczyć; moglibyśmy jeszcze i powinniśmy całe ich znaczenie rozwinąć, i dokładnie wykazać jak ono w sobie zamyka cały ten, o którym mówimy, urząd zastępcy Chrystusa w dziele Bożem zbawienia ode złego i prowadzenia do wszystkiego co jest dalszem i ostatniem dobrem.

Lecz to już uczyniliśmy poniekąd, i już z tego cośmy dotąd powiedzieli, ta prawda dostatecznie zajaśniała; a jeśli jej jeszcze czego brakuje, natychmiast i z okładem mieć to będziemy, skoro uczynimy wprzód cośmy uczynili w naszym przeszłym zastanawianiu się nad nieomyślnością Papieża. Tam zapuściliśmy się byli do dna tej głębi rzeczy, i szukaliśmy i znaleźliśmy sam powód ustanowienia Chrystusowego: skąd nareszcie wynieśliśmy moralne przekonanie, że Chrystus nie mógł być inaczej ustanowić, i że tak powinien być ustanowić. Więc i w obecnym przypadku nie może nam być bardziej, jak to na rękę, i tego samego szukać powinniśmy.

Zabierając się do podobnego dochodzenia musimy i tu to samo co i tam postawić na czele węgielne prawidło, że Bóg cudami świata nie rządzi, i bez potrzeby cudów nie mnoży;

że nie mówi słów dziesięciu lub stu, tam gdzie jednego dosyć; że Chrystus nie wcielił się sto razy po wszystkich kątach ziemi, skoro raz na jednym miejscu dość było; i że zapewne, owszem, bez żadnej wątpliwości, nie zostawił po swoim odejściu tysięcy zastępców, skoro jeden wystarczał. A tu w obecnym przypadku tem bardziej i tem konieczniej nic podobnego nie uczynił, że coś takiego, jak się zaraz pokaże, byłoby wierutnem niepodobieństwem. Przypatrzmy się tej rzeczy już z bliska i dokładnie.

Cóżby w istocie Chrystus, z tej ziemi odchodząc, mógł być zostawić po sobie, coby go odpowiednio zastępowało w dziele zbawienia? Jak w onym pierwszym razie, tak i w tym, dwa są sposoby pośrodku między dwoma kresami skrajnymi; jak tam między nieomylnością wiary a bezdnią nihilizmu, tak tu między pewnością nadziei całkowitej zbawienia a rozpaczą zatrąty niepowrotnej, między Bżem ustanowieniem a szatańskim zniszczeniem, są dwa ludzkie środki, niemożebne wprawdzie, ale dźwigające się pozornie i trzymające przez chwilę: protestancki i schizmatycki.

Weźmy naprzód pod uwagę protestancki sposób: całkowitszy, logicznieszy, skrajnieszy, stojący tuż u wrót samej zaguby, Cóż wymyślił i co postanowił na miejscu Papieży? Kto w protestanckim sposobie miasto Chrystusa wybawia od złego, to jest kto odpuszcza grzechy? Kto z Jego ramienia rozdaje łaski? Przed rozumem śmiech powiedzieć, przed duszą wstyd i smutek wyznać: każdy człowiek sam sobie. Prawda, że protestantyzm odnosi się jeszcze z tą sprawą do Boga, ale do Boga odwołuje się bezpośrednio, i jak powiada, wiarą: każdy chrześcijanin powinien tam mocną wiarą w głębi duszy wierzyć, że mu Bóg grzechy jego odpuszcza; a tą wiarą sam przez się dostępuje odpuszczenia grzechów. Wždy jednak kto człowiekowi tę wiarę daje? Także sam sobie. Jak wiarę zewnętrzną, to jest przedmiot wiary człowiek sam sobie tam stwarza; tak i wewnętrzną, nie kto inny mu daje. Lecz pytam: czyliż to zaiste wiara, a nie raczej jej widmo urojone? Albowiem jeżeli przedmiot wiary zależy od sądu rozumu ludzkiego i wszystkich jego widzimi się, uczucie wiary zależeć również musi od własnego serca człowieka, i od wszystkich jego podobami się i jakichś tam czujemi się. Coś podobnego nie jest zgoła

podstawą rzeczywistą, na której człowiek oparty mógłby w imieniu Boga odpuszczać sobie grzechy i w Jego imieniu dawać sobie łaski. To śmiech przed rozumem, boleść i smutek przed duszą.

A naprzód jest to iście niedorzecznością i śmiechem przed rozumem. Komuż kiedy przy zdrowych zmysłach do głowy przyjść mogło, aby w imieniu Bożem mógł sam sobie odpuszczać grzechy? Przed przyjściem Chrystusa nikomu; a jednak po jego przyjściu Protestantom do głowy to przyszło, i taki postavili samoprawny dogmat. Juźciż nie mogli inaczej; albowiem odrzuciwszy Papieża będącego w tej potrzebie źródłem władzy i zbawienia, gwoli onych kluczków, które w ręku dzierży on jeden, musieli koniecznem następstwem odrzucić i wszystkich innych sprawowników tej władzy, i nikogo nie przypuścić między sobą a Bogiem; odrzuciwszy zaś pośredników wszystkich, nie nie pozostawało innego, jedno aby ta sprawa odpuszczenia grzechów toczyła się bezpośrednio między człowiekiem a Bogiem. Więc człowiek, powiadacie, sam sobie w imieniu Boga grzechy odpuszcza? Izaliż nie widzicie odrazu jaka to sroga niedorzeczność? Tu bowiem i wzmiankować nie potrzebuję cudów, lub odwoływać się do onego prawidła, że Bóg bez potrzeby cudów nie mnoży, a to byłoby ich pomnożeniem bez miary i wagi, bez szysku i bez liku. Tu wasza niedorzeczność sam cud wyklucza i czyni go grubem niepodobieństwem, bo robi przypuszczenie i stawia zatwierdzenie być nie mogące, bo sobie samemu przeciwne, i którego obie dane nawzajem się niszczą. Jakto? Człowiek miałby sam sobie grzechy odpuszczać? A toć w takim razie jedna i ta sama osoba byłaby zarazem i sędzią i winowajcą, i wyrokującym i oskarżonym, i łaskawcą i ułaskawionym, i dobroczyńcą i dobrobiercą. Lecz z tego się rozum śmieje, bo to iście być nie może; tak jak nie może być żadną miarą rzecz jakaś zarazem i czynna i bierna pod tym samym względem, tak jak w fizyce lub chemii nie może być proces o jednym czynniku, jak w matematyce nie może być linia lub jakkolwiek rozmiar matematyczny o jednym punkcie. Z tego się rozum śmieje; tu i cud nie pomoże, i sam Bóg Wszechmogący nie może uczynić takiego czegoś nie dorzeczy.

Tylko znowu nie mówcie, dla Boga! że u was nie człowiek sobie, ale Bóg w duszy grzechy mu odpuszcza wewnątrz, i że



wtedy nie jest to niedorzeczy. Odpuszczenie jest wyrokiem: czy kto z was słyszał w duszy swojej ten wyrok Boży, odpuszczający mu grzechy? Powiecie mi może, że wasza wiara ma swoje wewnętrzne uszy, któremi go słyszy. A toć właśnie w tem bieda, że wszystko zależy od tych uszu wiary, bo w tem właśnie leży samo dno tej waszej niedorzeczności. Czyście się jeszcze nie poznali na tych wewnętrznych uszach wiary? Pierwsza właściwość ich natury jest ta, że słyszą, to jest zdaje im się, że słyszą, to co się im podoba; druga, gorsza, jest ta, że choć nic nie słyszą, wmawiają w siebie, że słyszą jednak; trzecia, najgorsza i najsmutniejsza, jest ta, że choćby nawet, co niepodobna, słyszały cokolwiek, nie mają nic w sobie co by im dawało rozpoznać prawdziwy głos od fałszywego! i muszą się chyba uciekać do jeszcze głębszej wiary, już zupełnie wewnętrznej, dowolnej i ślepej, która jest ostatnią podstawą pewności bez żadnej rękoi z zewnętrznej, a choćby i w duszy samej, od Boga jednak, a nie z niej pochodzącej; ostatnią podstawą jest koniecznie i wyłącznie wyrok własny, jest zdecydowanie się wiary bez żadnej rękoi, bądź zuchwałe z zarozumiałości, bądź z rozpachy zuchwałe, a zawsze dowolne i ślepe, zdecydowanie się na ten sąd i przekonanie, że mi Bóg grzechy odpuszcza. A więc jednym słowem: Kto naprzód ręczy za rzecz samą, którą niby uszy wiary słyszały? Kto potem za te uszy ręczy, to jest, że ich słuch dobry, i że wiara słusznie uszom swym zawierzyła? Kto nareszcie za nią samą jej samej ręczy? Któż inny jeśli nie znowu ta sama wiara? A jużci nie kto inny. Okrutna niedorzeczność!

---

Więc już dla tego samego, że to taka niedorzeczność i taka rdzenna, że tak powiem, niemożebność, nie trzeba było odwoływać się do cudów, i pokazywać jakie tu samego cudu niepodobieństwo. A on przecie bije każdemu w oczy, i warto się jednak przez chwilkę mu przypatrzeć. Systematu protestantów nieunikłem następstwem jest to zaiste: iż władzę, jaką według nauki katolickiej ma Papież, a z nim razem, choć zależnie od niego, mają biskupi, tę władzę odpuszczania grzechów, posiada każdy u nich wierny, nic nie mówiąc o tym dodatku, na który tu już oczy i uszy zamykamy, że ją posiada dla siebie sa-



mego; czego w nauce katolickiej, w której niedorzeczności być nie może, sam Papież dla siebie samego nie posiada, tylko jej komu innemu w imieniu Bożem udziela jako Papież, dla swojej osoby, jako grzesznika. Z tego się pokazuje, że jeśli jest cud w nauce katolickiej, cud łaski i miłosierdzia, to jest ta władza najwyższa odpuszczania grzechów w Papieżu złożona, ten cud wszelako granic rozumu nie przekracza bynajmniej! i samego Papieża nie sadza w jednej chwili i w jednym czynie już na ławie winowajcy, już na przystolu sędziego.

Lecz dajmy pokój tej niedorzeczności, o której już dosyć mówiliśmy: mówmy teraz o jednym tylko cudzie odpuszczania grzechów, i w tem jednym się porachujmy z nauką protestantów. Więc jednego cudu dla was za wiele i jest rzeczą dla was nieznośną, aby Bóg przez Papieża grzechy odpuszczał, i aby ten jeden miał w tem władzę najwyższą; a z drugiej strony wcale wam tego nie za wiele, aby każdy a każdy wierzący miał tę władzę najwyższą od nikogo niezależną wprost od Boga, i aby Bóg grzechy każdemu odpuszczał przez niego samego, jemu samemu, w jego własnym trybunale? Cudu jednego nie chcecie; więc dlategoż to na nic nie zważając, nawet na nierozum, sypiecie z rękawa cudów miliony? Skądże, proszę, ta sprzeczność? Lecz my ją zbyt dobrze rozumiemy, i już nie zbaczając ni na prawo ni na lewo, bez obawy zaprzeczenia, powiemy wam prawdę wprost w oczy. Wam się nie podoba, że Chrystus do odpuszczenia grzechów ustanowił człowieka na swem miejscu, i że wskutek tego musielibyście kark twardy uginać przed następcą Bożym, i stawać jako winowajca chociaż przed Bogiem, jednak sądzącym i wyrokującym w osobie człowieka. Oburzają się na to wnętrzności duszy waszej, i dlatego ręka odpycha miłosierdzie, samodzielnie poprawia ustanowienie Chrystusowe, to jest wywraca je i niszczy, i na jego miejscu stawia swoje budowanie, nierozum zarazem i niepodobieństwo. Darujcie, ale na to Chrystus nie mógł zważać, i żadną miarą dla jednego podobania się waszej dumie nie mógł niepodobieństwa i nierozumu zostawiać na swoim miejscu odchodząc z ziemi do nieba. Więc ustanowił, to co ustanowił, i co już wiemy, i czego przyczynę tem lepiej rozumiemy teraz.

---

Atoli idźmy dalej; bo warto się przekonać jak ten sposób protestancki, niedorzeczność przed rozumem, jest jeszcze dla serca bolem i smutkiem, a dla duszy rozpaczą. Tam z korzenia wycięta usycha nadzieja i umierają wszystkie jej jasne pociechy; tylko czarna rozpacz żyje i nareszcie wszystko pochłania.

System protestancki w swem wyobrażeniu o naturze ludzkiej myli się z gruntu; nie zna jej naprzód, a potem ją przewraca, nareszcie zaprzecza i zabija. Żyje Bóg! On jeden zna dokładnie tę, którą stworzył, naturę człowieka, zna jego serce, i wie czego mu trzeba; to też Chrystus wiedział co miał ustanowić. Ale protestantyzm tem, że się targnął na ustanowienie Chrystusowe, tem samem rękę podniósł na ludzką naturę także, na wszystkie jej warunki i potrzeby, i wszystko zburzył. Warunkiem życia i potrzebą nieodzowną serca ludzkiego jest pewność. Bez pewności niema posiadania dobra obecnego, nie ma nadziei przyszłego dobra; bez pewności i posiadanie i nadzieja przestają być nadzieją i posiadaniem. Więc ono dobro obecne, którem jest odpuszczenie grzechów, jakże będę posiadał, kiedy tego posiadania nie mam żadnej pewności? Już nie mówię o nadziei dóbr przyszłych i o ich pewności; tu o niej ani mowy, ani myśli być nie może, bez tamtej pierwszej pewności, która tej drugiej jest podstawą i warunkiem. Cóż tedy? Skąd wezmę oną pewność odpuszczenia grzechów bez kluczy Piotrowych, które jedne mi ją dają w imieniu Chrystusa? Czy mi ją da ona wiara ślepa i na bądź co bądź się puszczająca, jedyne narzędzie tej pewności u protestantów? Ona, bez rękojmi przed sobą, bez gruntu w sobie samej, biedna istota bez głowy, bez nóg, i z wnętrznościami pustemi, miałaby mi dać tę pewność? Niech to zdrów mówi kto nie zna serca ludzkiego, lub go znać nie chce; serce ludzkie z góry odpycha taką pewność bez żadnej pewności.

Lecz to co tak z góry serce ludzkie uważa za wierutny zawód, to samo z dołu potwierdza żalosnem doświadczeniem, skoro raz nieostrożnie za uludą poszedłszy, uwierzy temu niepewnemu dobru, temu mniemanemu odpuszczeniu, i puści się ciemnym szlakiem w tę krainę zawodów. Mamy przecie żywe przykłady przed oczyma, mamy historię przeszłą i obecną protestantów. Żyją dotąd; jeszcze wszyscy nie wymarli; mogą być dla nas żywą nauką. Otóż przedewszystkiem tego pierw-

szego nas uczą, że jeśli tak wymierają, jeśli ich tylu już wymarło, chcę powiedzieć jeśli protestantyzm wiary tak bardzo się zmniejszył, tedy nie dla czego innego, jedno że nie wierzy i zdobyć się nie może na wiarę w odpuszczenie grzechów. Owa wiara ślepa i bez podstawy o której mówiliśmy, darmo się sili na wiarę; skazana jest z góry na to, aby zawsze pozostawała rozpaczliwym wysiłkiem, nigdy nie wchodzącym do pewności. Niech nam powiedzą szczerzy protestanci, czy się inaczej dzieje w ich duszy, i czy ich wiara w odpuszczenie grzechów była kiedykolwiek czem innym niżeli rozpaczliwym wysiłkiem? Jeżeli szczerzy, szczerze odpowiedzą: że pewności prawdziwej nigdy nie mieli, i że na dnie duszy było zawsze coś na kształt rozpacz, jakieś zło jej wciąż odrastające z głębi. A więc ból dla serca, rozpacz dla duszy.

Toć zaiste nie dla czego innego protestantyzm się rozpada, i widzimy jak się rozchodzi w dwie przeciwne strony. Spytajmy i jednych i drugich, dlaczego to czynią? Ci, co wrócili do katolickiej prawdy, odpowiedzą niemal wszyscy, iż ten mieli powód, że szukali pogodzenia się z Bogiem, pozbycia się złego, odpuszczenia grzechów; a pewność tego znaleźli, dopiero wtedy szczęśliwi! w jednym tylko Kościele. Ci znowu co się w odwrotną stronę udali, i skończyli na mniejszem lub większem niedowiarstwie, czekając aż póki na zupełnem nie skończą, ci z wyjątkiem nie wielu, co złe dla złego wybierają, po większej części ten drugi mieli powód, przeciwny, mianowicie, że nie mogąc mieć wiary, stracili pewność, a w ślad za nią, nadzieję wszelką odpuszczenia grzechów; więc woleli z grzechem się pogodzić, nadać inną postać złemu i dobremu, i w tym nowym świecie moralnym, własnego utworu, znaleźć nareszcie pewność i pociechę, że nie są w grzechu, że są wolni od złego. Taki mieli powód ci drudzy. O człowieku! cokolwiek czynisz, naturę twoją można zawsze złapać na uczynku, i twoje serce poznać po jego robocie; bo ty i ono zawszeście wierni temu czem jesteście. Byle tylko znać tę naturę ludzką! Więc oczywista, że protestantyzm jej nie znał i że jej gwałt zadał swą lichą nauką. To tylko dobre, że co ludzie mieszają i psują, to czas naprawia i sama natura do porządku przyprowadza; i to się też sprawdza na protestantyzmie. Gwałt trwać nie może, jego chwile z góry policzone; dlatego też protestantyzm

nie trwa, i z góry obrachować można oszczędki czasu, które mu jeszcze pozostają do życia, to jest do dokończenia onej swej drogi do podwójnego kresu, lub na prawo, lub na lewo. A co go zabije, ocalając jednych, dobijając drugich, tedy ten sam gwałt, ten sam ból, które on zadał sercu i duszy człowieka.

Ale stąd wniosek ostatni, że Chrystus Zbawiciel nie mógł sam zabijać swego dzieła zbawienia, a więc odchodząc z tego świata nie urządził swego dzieła w sposób protestancki. Stoi prawda wniosku wyraźna i konieczna.

Czyż je mógł być urządzić w sposób schizmatyczny? Bo jeszcze ten jeden zostaje.

Zasadza się sposób schizmatyczny na tem, że władza odpuszczenia grzechów, i dalsza władza szafowania łaskami i dobrami Bożemi, spoczywa w ręku biskupów, i że nie jest konieczną rzeczą, aby był jakiś środek tej władzy, jakaś ostatnia jej podwalina, to jest, że nie jest koniecznym Papież. Pytanie tedy zachodzi teraz: ażali mógł w ten sposób Chrystus odchodząc pozostawić swoje dzieło zbawienia?

Byli i są ludzie, którym się to zdaje podobnem, byli bowiem i są na świecie schizmatycy. Taki niejeden od Papieża w historyi odszczepiony kościół trwa dotąd jeszcze, i ma swoich biskupów i rozdaje u siebie odpuszczenie grzechów. Więc idzie o to: czy jest taki sposób usprawiedliwionym i możebnym.

Tu z góry i wręcz odpowiedzieć możemy i powinniśmy: że i on jest taką samą nedorzecznoscą, i takimże bolesnem i rozpaczliwem zniszczeniem dzieła Chrystusowego, jak i sam protestantyzm. Wprawdzie nieco dłużej trwać może niż tamten; ale to tylko tem smutniejsza dla ofiar tego dzieła zniszczenia; bo zawsze na końcu musi do tego samego co i tamten przyjść kresu; a tymczasem nim tam zajdzie, dłużej i w większej liczbie, a niemniej okrutną śmiercią, zabija dusze, drogie kupno krwi Chrystusowej.

A naprzód jest taką samą, jeśli nie większą nedorzecznoscą. Protestantyzm nie przypuszczał władzy zewnętrznej, schizma ją przypuszcza. Lecz ta władza, jeśli nie ma ostatniej tu na ziemi podwaliny, samego Chrystusa zastępującej, na czemże, proszę, spoczywa? Zewnętrznie i widzialnie nie spoczywa na niczem; chyba, że niewidzialnie i zupełnie wewnętrznie spoczywa na Chrystusie samym i na Bogu, wprost i bezpo-



średnio, i niezależnie od nikogo. To nauka katolicka powiada o jednym tylko Papieżu, schizmatycka twierdzi o każdym biskupie. Więc od razu na to jedno już się musimy odezwać: i to, i tamto, to jest i przypuszczenie katolickie i przypuszczenie schizmatyckie nie może się obejść bez cudu łaski Bożej. Bóg cudów tysiąca nie czyni, gdzie jeden wystarcza, a Papież tu jeden wystarcza jak najzupełniej. Mogę bez niedorzeczności i muszę przypuścić taki jeden cud oparcia się niewidzialnego, bezpośredniego i niezależnego Papieża na Chrystusie, bo to jest potrzebne, bo bez tego Kościół stać nie może, cała jego władza nie miałaby ostatniej racyi istnienia. Ale jak to jedno przypuszczę, niczego innego przypuszczać nie potrzebuję, co mówię? już nie mogę przypuszczać nic innego, bo to inne byłoby dalszym pomnożonym cudem, a co gorsza cudem niepotrzebnym; owszem więcej śmiem twierdzić: cudem nedorzecznym; jeszcze więcej: cudem zabójczym. Bo jaki tego niepotrzebnego cudu dalszy skutek nieunikły? A juźci ta sama schizma, która Kościół rozdziera i niszczy. Bowiem nie skąd inąd wszelka schizma powstała jedno z tego, że każdy z odszczepionych biskupów sądził, iż jego władza niezależna od Papieża, że On ją ma bezpośrednio od Chrystusa, a tem samem, że może się bez Papieża obejść i stać, i działać osobno. Cała schizma, powtarzam, z tej zasady powstała. Więc Bóg cuda by czynił, nie już bez potrzeby i jakby dla czczej zabawki, ale iście na własną szkodę, i aby samochcąc, co z takim trudem zakładał, sam wywracał, niszczył? Ludzie! zastanówcie się przecie nad tem co mówicie i czynicie; a ja przed wami Bogiem się świadczę i Jego mądrością, że wasz sposób schizmatycki trzykroć nedorzeczniejszy niżli protestancki. Więc nie ma nic wspólnego z Chrystusem.

Lecz jest druga nedorzecznosc w przypuszczeniu schizmatykiem, nie mniej wybitna od tej pierwszej, a mianowicie ta, że sądownictwo o którym mowa, jest tam zgoła niemożliwem, i samo siebie niszczy. Niech nam wolno będzie spojrzeć przez chwilę na ten nauczający widok i zobaczyć jak prawda sama mści się za gwałt zadany sobie. W prawdzie bowiem katolickiej taki jest dogmat: że sądownictwo kościelne co do swej istoty (*quantum ad essentiam*) dane jest bezpośrednio przez Chrystusa i Apostołom i Piotrowi; ale w taki sposób, że w wy-

konaniu tej władzy (*in exercitio*) znajduje się ona w Piotrze i Papieżu jako w podwalinie i źródle, w Apostołach i biskupach jako w dalszym kresie tej władzy i jej promieniu na zewnątrz, wciąż zależnem od onego środka. Bez tej zależności każdego z punktów kresowych władzy od środka, żaden z nich nie może władzy wykonywać; wychodząc z zależności, każdy z nich traci natychmiast i ono władzy sprawowanie (*exercitium*), albowiem raz od środka odcięty, już przez to jedno traci samą rację sprawowania tej władzy<sup>1)</sup>. To rzecz jasna i prosta. W przypuszczeniu schizmatyckiem staje na to miejsce ta druga rzecz ciemna i krzywa: że w sądownictwie kościelnem niema żadnego środka, któryby był koniecznym i ostatnim; a jeśli jest taki, tedy dowolny i zmienić się mogący; biskupi nie są od żadnego środka rdzennie zależni; lecz przeciwnie mają sądownictwo bezpośrednio i we wszystkim wprost od Chrystusa. Co jeśli tak jest, proszę się teraz zastanowić jakie ztąd natychmiast wypływa niesłychane, a jednak konieczne następstwo.

Tem następstwem nie co innego być może i musi jedno ten dogmat: że każdy biskup ma samowładztwo nad całym kościołem. Nie co innego, zaiste; albowiem Chrystus nie oznaczył żadnemu z Apostołów granic żadnych, nie podzielił świata na dyecezye, ani je rozdał pomiędzy biskupów; przeciwnie, wszystkim razem wziętym a więc i każdemu dał władzę najogólniejszą, i słyszymy dobrze jeszcze bezwarunkowe słowa Zbawiciela: Komukolwiek odpuscicie, będzie odpuszczono, komukolwiek zatrzymacie będzie zatrzymano. Więc wszyscy a wszyscy wierni, więc świat wszystek jest z jednej strony pełną owieczarnią; więc każdy biskup jest z drugiej strony pełnym pasterzem. A jednakże są dyecezye w Kościele, i sami je uznawają ci, których nazywamy schizmatykami. Skądże się te dyecezye wzięły? A następnie, przypuszczając ze schizmatykami, że one nie mają swego prawomocnego źródła i racji bytu we władzy środkowej papieskiej, tylko, że z jakiegokolwiek innej przyczyny powstały; pytamy, czy faktyczna obecność przeszkadza onemu logicznemu wnioskowi, że każdy biskup ma władzę nad całym kościołem, czy też pozostawia go nietkniętym,

---

<sup>1)</sup> Odsyłamy tu znowu do rozprawy o stosunku biskupów do Papieża.

i każdy biskup pomimo podziału na dyecezye, jest sądowniczą władzą całego?

Odpowiadając na to, nie potrzebujemy wchodzić w historyczny początek utworzenia się dyecezyi kościelnych; nam idzie tu o prawomocną podstawę ich bytu; to jest o zbadanie, na mocy jakiego prawa i jakiej władzy każda dyecezya zamknięta jest, i stoi w tych a nie innych granicach. Historycznie mógł fakt wyprzedzić prawo, i dyecezya mogła sama z siebie że tak powiem, naturalnym wpływem w istocie rzeczy zawartych warunków, utworzyć się wprzód, nim powaga władzy oznaczyła jej wyraźnie lub zatwierdziła jej przybrane granice. Ale takie faktyczne tworzenie się nie przesądza w niczem prawa władzy: ani go tworzy, ani go znosi; przeciwnie, gdyby tego ostatniego, to jest prawa, nie było, fakt sam pozostałby faktem tylko, i jako taki materialny i ślepy fakt nie miałby żadnej podstawy istnienia; mógłby się rozszerzać lub ścieśniać, rosnąć lub upadać, i mógłby nareszcie zginąć zupełnie, tak samo bez racji jak bez racji powstał. Oczywiście tedy, że trzeba tej ostatniej racji szukać, i pytać się o prawo i o władzę, w moc której dyecezye w kościele mają swoje istnienie.

Nauka katolicka tę podstawę umieszcza we władzy środkowej Papieża i twierdzi, że Chrystus dał Piotrowi jednemu sądownictwo rdzenne, a zarazem powszechne, nad całym Kościołem; innych zaś Apostołów i biskupów przypuścił do uczestnictwa w tej władzy; twierdzi, że od Papieża zależy oznaczenie dla każdego granic tego uczestnictwa. Ten układ nauki i rzeczy jest prosty i jasny, i tłumaczy początek logiczny jak zarazem daje podstawę prawną bytowi dyecezyi w Kościele. Lecz poza tą nauką jakież inny być może logiczny początek i prawna podstawa tego podziału Kościoła na dyecezye?

Owoż w takim stanie kwestyi schizmatycy nie mogą nam innej dać racji krom Soborów powszechnych czyli innemi słowy, krom porozumienia się między sobą bądź Apostołów, bądź następujących po nich biskupów, gdzie za spólną zgodą piastunowie władzy sądowniczej podzielili między siebie Kościół, i każdy zgodził się na to, że owo należne mu sądownictwo, z istoty rzeczy na cały rozciągające się Kościół, będzie sprawował w pewnych tylko granicach. Lecz z tego natychmiast wypływa, że to porozumienie się i zgoda jest ustępstwem, jest



tem co w prawnym języku nazywają kompromisem: w całej tej sprawie niema nad nie żadnego wyższego prawa i władzy, któreby o wypadku stanowiły, tem mniej niema nie Bożego: wszystko jest ludzkie, a cały wypadek opiera się na dowolnej i od upodobania zmiennej podstawie. Wypływa dalej, — i tu już idzie o ostatni grunt rzeczy, — że przez taki kompromis nie zostało bynajmniej zniesione owo rdzenne prawo, z jakim każdy biskup do tego kompromisu przystępował, to prawo mówię, że jego władza rozciąga się na cały Kościół; owszem, jeśli się bliżej przypatrzymy, to prawo potwierdzonem zostało. Dowód jest prosty. Albowiem przed tą zgodą i przed oznaczeniem granic dyecezyi, o których mowa, żaden z biskupów (nie faktycznie, jurydycznie czyli praworzecznie o tej sprawie mówiąc) nie posiadał właściwej sobie dyecezyi, skoro jeszcze nie miał sobie żadnej prawnym wyrokiem wyznaczonej; więc albo nie nie posiadał, co nie prawda: albo koniecznie posiadał owo prawo ogólne władzy na cały Kościół. Gdyby tego ostatniego każdy biskup w myśl schizmatyckiej zasady nie był wprzód posiadał, przed przystąpieniem do kompromisu i zgody, tedy i ten sam kompromis byłby niemożliwym: wszyscy biskupi, razem zebrani, nie mieliby razem czego wprzód z osobna nie mieli, i nie mogliby przystępować do ustępstw, kompromisu i zgody, ani wogóle do rozdzielania dyecezyi. Oczywiście tedy, że w myśl schizmatyckiej zasady biskup każdy ma z prawa Bożego sądowładztwo nad całym Kościołem, a tylko z prawa ludzkiego ograniczone jest ono do pewnej dyecezyi; oczywiście, że to samo ograniczenie pozornie tylko ogranicza, a rdzennie i zasadniczo wcale nie niszczy onego prawa, owszem, ono je potwierdza: więcej nawet, ono same oparte jest na niem, i bez niego być by nie mogło. Trzykroć tedy oczywiście, iż prawdziwą a nawet jedyną podstawą schizmatyckiej nauki, jest ta zasada: że każdy biskup ma z prawa Bożego sądowładztwo nad całym Kościołem.

Co gdy tak jest, już widzimy, jakie z tej zasady wychodzą następstwa potworne. Dość nam na jednem, które jest ostatniem: że każdy biskup może zrywać ugodę, albo ją inaczej tłumaczyć, przemieniać ją, i tak rzeczami i osobami, faktami i sumieniami mącić i frymarczyć, żeby mógł nareszcie na swoim postawić, to jest mieć sam jeden sądowładztwo nad całym



Kościółem. A dlaczegożby czynić tego nie miał, jeśli ma prawo a może mieć środki po temu? Każdy biskup podług tej zasady może próbować szczęścia, każdy ma prawo do tego, to jest pierwszy, lepszy, choćby taki naprzykład konstantynopolitański, który miał najmniej do tego prawa. Oparty na ślepym trafunku i na materyalnym fakcie, że był biskupem stolicy cesarstwa, nie mając z ustanowienia Bożego, ani cienia powodu usprawiedliwiającego, ogłosił się, wbrew wszystkim, i ani się wahał, patryarchą ekumenicznym; ni mniej, ni więcej: to jest sądownictwem całego świata. Logicznie w myśl zasady schizmatyckiej, miał wszelkie prawo do tego, i patryarchat carogrodzki, ten fakt ponury i tylą srogiemi klęskami w historyi ciężarny, niczem nie jest innem jedno tą zasadą schizmatycką z pomyślnym skutkiem w życie wprowadzoną: że każdy biskup ma sądownictwo nad całym Kościołem.

Wyciągnijmyż wniosek. Co ten szczęśliwy zuchwalec uczynił, to każdy a każdy biskup uczynić mógł i ma prawo. Lecz gdyby każdy w tak brutalny sposób zatwierdzał swe osobne sądownictwo nad całym Kościołem, wśród tego tysiąca sądowników wszech światowych, gdzieżby nareszcie podzieliło się samo sądownictwo? Jużby go dawno nie było, i ta jest ona wierutna niedorzeczność, której chcieliśmy tu dowieść, że w przypuszczeniu schizmatykiem sądownictwo w Kościele jest niemożliwem i samo siebie niszczy. A więc sposób schizmatycki jest iście śmiechem przed rozumem, i raz jeszcze: z ustanowieniem Chrystusa nic wspólnego nie ma.

---

Atoli jest on zarazem równie bolesny dla serca, a dla duszy równie jak sposób protestancki pełen rozpacz. Albowiem biskupi odszczepieni nie mają władzy odpuszczania grzechów, więc też ich nie odpuszczają, i biedne dusze pod ich mniemaną władzą zostające, na odpuszczenie rachować nie mogą. Póki są w dobrej wierze, Bóg ma wzgląd na nie, i w inny sposób zastąpić im to może; ale ten inny sposób jakże trudny i jak w swoich skutkach niepewny. Zresztą ten nadzwyczajny sposób i to skryte działanie Boże nie jest prawidłem żadnem; i jeżeli w duszach zastępuje niekiedy ominione inaczej skutki zbawienia, w biskupach jednak nie zastępuje stra-

conej władzy, i oni jej zgola nie mają. A więc niema tam dla dusz prawdziwego porządnego uczestnictwa w odpuszczeniu grzechów i w dalszych łaskach zbawienia. To też mimo ich wiedzy, jakby bez powodu i przyczyny, znika nadzieja w tych duszach, i rozlewa się na dnie ich tajemny jad niepewności i zwątpienia, wystudzający tam wewnątrz wszelkie ciepło życia. W takim odszczepionym kawaiku Kościoła wieje z wnętrza chłód śmierci, a za nim rozpościera się po ciele coś z przykra martwego; toż dalej mnożą się, albo raczej powtarzają się bezustannie te same wciąż praktyki, obrzędy, modłebnie, pokłony, bez uczucia i bez ducha, jakby podrygi życia w konaniu. Wszystko staje się zewnętrznem, mechanicznem lub skostniałem; a szlachetniejsze dusze mimo to wszystko bez gruntu nadziei, guano jej potrzebą, ehcąc pewniej pewność zdobyć, puszczają się na najmepewniejsze środki, na umartwienia, na długie i srogie pokuty, na okrutne samokaleczenia, i co tylko wira-stająca niepewność w duszy rozpaczliwego wynaleźć może. Wraca, wraca nam Indya przed oczy. To wyraźnie coś podobnego, a zupełnie co innego od protestantyzmu. W tym ostatnim nieszczęśliwi zwątpiały, odbiegając niemożliwej wiary protestantyzmu, zapuszczali się w starożytny sceptycyzm i materializm, tu w schizmie szaleni zapalency niemożliwej nadziei, pędząc za nią daleko od niej, zabiegają do brahmanickich i buddhowskich ostateczności. Ale tam ich też czekają ostatnie, jeśli po drodze środ gorączki nie skonają, i już doprawdy ostatnie zawody i rozpacz. Taki koniec dla serca i duszy schizmatycznego sposobu uwolnienia od złego i dojścia do dobrego: wprzód był niedorzecznością, a teraz jest rozpaczą i zniszczeniem, nie mniej wielkiem jak i protestancki.

W więc żadną miarą Chrystus nie mógł takiego sposobu wybrać i dać go za zakon istnienia i życia swojemu dziełu zbawienia.

Coż więc zostaje? Pora schizmatyckim i protestanckim nie znajduje się żaden inny pomysł się mogący ludzki sposób do zabezpieczenia bytu i życia dziełu zbawienia, które Chrystus z sobą na ziemię przynosi. Jedna tylko rzecz ludzka pomysł się może pora temi granicami, i pomysł się musi; że jedna co w historyjowych dziejach z konieczności się stała:

zaprzeczenie zbawienia, i albo pogodzenie się ze złem, albo zniszczenie się z rozpaczą. Przecież tylko cośmy widzieli gdzie zaszedł protestantyzm, gdzie zachodzi schizma; ale one tam zaszły, bo innego kresu nie było i niema. A więc poza protestanckim i schizmatyckim sposobem niema żadnego innego ludzkiego sposobu, któryby można wybrać i ustanowić choćby bez Chrystusa, na korzyść Jego dzieła zbawienia.

Lecz to co my widzimy z dołu, to Chrystus widział z góry. On wszystko z góry przewidywał, wszystko zmierzył, zważył, przeliczył, zanim wyciągnął swą rękę, by złożyć klucze zbawienia tam gdzie miały być złożone. Wiedział, że jeśli odda te klucze do rąk każdemu wiernemu, wszystkie skarby swoje wystawia na zuchwałą dowolność, na igraszkę namiętności, na śmiech lub na pohybel temu samemu, któremu w ten sposób dałby przystęp do nich. Atoli wiedział równie dobrze, że jeśli te klucze zostawi samym biskupom bez najwyższego ich samodziścy, równy pohybel, albo gorszą jeszcze igraszkę, gotuje dla samego dzieła zbawienia, dla Kościoła swego. Albowiem wiedział na ten raz, że każdy biskup będzie się czuł niezależnym od nikogo, i będzie nim nawet istotnie; że wtedy każdy będzie działał na własną rękę, i jeżeli jeszcze będzie ladażako kupy się trzymał, to chyba z interesu lub musu, albo li też dla tego, by w tej kupie rej wodzić. Widział w duchu wszystkie Carogrody możebne, podnoszące się przeciwko Rzymowi, albo raczej jedne przeciw drugim, aż póki nie byłoby ich tyle, ile głów w podobnych infułach nad tłum wyniesionych. I dalej jeszcze, i dalej, widział jak jedni drugim w zagrody wążą, owszem, jak te zagrody same żadnych pewnych granic nie mają; widział koniecznie, jak wtedy każdy biskup siłą tylko lub kunsztem, najpodobniej świeckiem ramieniem, swojej władzy granice będzie rozszerzał lub będzie widział ścieśnione, i jak nareszcie tego wszystkiego następstwem jest ciągły stan wojny, a ostatnim końcem ostateczna ruina. To co słowo Boże od wieczności przewidywało, to Chrystus Słowo Boże wcielone w onej uroczystej chwili w czasie przed sobą widział; i to co od wieczności w radzie Bożej uradzonem było, to On wtedy w swoim czasie w dzieło wprowadza i wykonywa. Woła przed siebie wszystkich Apostołów i wszystkim daje władzę odpuszczania grzechów i szafowanie łaskami zbawienia: „Cokolwiek



zwiążecie, będzie związane, cokolwiek rozwiążecie, będzie rozwiązane". Ale natychmiast przywołuje Piotra i mówi: A tobie, tobie jednemu daję tej władzy klucze; co oni wszyscy razem mają, to ty masz sam jeden, odemnie wprost, i bez żadnej od nikogo zależności dla tego samego, że sam jeden masz wszystko. Co ty jeden zwiążesz, to będzie związane; co ty jeden rozwiążesz, to będzie rozwiązane. I żadnego w tem nie czynię wyjątku, nawet tych twoich braci i uczestników władzy nie wyjmuję: temi kluczami i wśród nich cokolwiek zwiążesz i cokolwiek rozwiążesz, będzie związanem i będzie rozwiązaniem. Albowiem to Ja, najwyższy dzierżyciel tych kluczów zbawienia, to Ja mówię tobie, że, ty jesteś Piotr (na mojem miejscu)... i tobie daję te same klucze królestwa niebieskiego, które sam dzierżę. Et ego dico tibi quia tu es Petrus... et tibi dabo claves regni coelorum (Mat. XVI).

Tak ustanowił Chrystus; i teraz tem głębiej w wierze naszej stoi utwierdzone to słowo ustanowienia Jego, im bardziej w myśli stoją obecne w całym swym świetle przyczyny tego ustanowienia. A chociaż same to słowo wystarcza, gdyby nawet pozostało było w świętej ciemności wiary; teraz jednak tembardziej świecić nam powinno wśród drogi, im jaśniejszem przed samym umysłem oblane jest światłem.

A więc Piotrze, trzymaj w twym ręku jeden te najwyższe klucze, zamykaj i odmykaj, wiąż, rozwiązuj wszystko i wszystkich. Twoi bracia także mają udział w tych kluczach, wiążą i rozwiązują; ale ty wiążesz i rozwiązujesz ich samych. Jeżeli im Chrystus dał władzę, tedy pod tym warunkiem, abyś ty jeden tę ich władzę w nichże samych odmykał lub zamykał, wiązał lub rozwiązywał. Tym tylko jednym sposobem ta władza nie obróci się przeciwko sobie samej i sama siebie nie zniszczy: bramy piekielne wtedy doprawdy przeciwko niej nie przemogą, bo ona, oparta na tobie, mocnej jak Chrystus sam i nie wzruszonej, jak On podwalinie, bezpiecznie wtedy stać będzie, a z nią razem na niej oparta nadzieja nasza i całe zbawienie. A więc Piotrze, dzierż klucze, i wiąż i rozwiązuj!

Rzecz skończona. Nie miałbym nie tylko dobrej woli, ale sumienia, gdybym przeczył tak jasno objawiającej się prawdzie; nie miałbym rozumu i serca, gdybym sam sobie wydzierał podstawę jedyną tak szczęśliwie pozyskaną całej mojej nadziei; —



i jeżeli prawda, że człowiekiem być przestaje kto już stracił nadzieję, jakże daleko więcej nie już nadzieję, ale ostatnią jej podstawę samowrogo sobie odbierając, trzykroćby i czterokroć przestawał być człowiekiem.

Stoi przeto z ramienia Chrystusowego Piotr na ziemi nie tylko jako podwalina nadziei. Świeci jak gwiazda nad jego czołem słowo Chrystusowe: Oto masz klucze królestwa niebieskiego; wiąż i rozwiąż! A my biedni pielgrzymi, na tym padole zawodów i smutków i płaczu, tą jedną koimy się pociechą, że mamy tego szczęśliwego kluczwładcę: strażnika, pokrzepiciela, karmiciela, lekarza, sternika, przywódcę: za którym idąc nie zbłądzimy, ani ustaniemy w drodze, i jako żywo nie padniemy ofiarą rozpaczey; lecz pełni coraz lepszej nadziei z pewnością dojdziemy do jej jasnego kresu. Tam będziemy mogli wesoło zawołać: Dzięki Tobie, Panie! szczęśliwie odbyliśmy drogę, albowiem Piotr nas prowadził, a w nim Ty sam nas prowadziłeś. I teraz poznaliśmy, i dziękując wyznajemy, jak prawdziwie rzekłeś o sobie: Ja jestem droga.

### III.

Zostaje nam druga strona sprawy obecnej do roztrząśnienia. Dotychczas mówiliśmy o sądownictwie Papieża pod względem jego istnienia, i dowodziliśmy, że jest i dla czego jest. Teraz będziemy o niem mówili pod względem jego istoty wewnętrznej, będziemy dochodzili, i spodziewamy się zobaczyć w czem leży ta istota sądownictwa papieskiego, i jakim sposobem trzyma się, żyje i działa. Dotąd odpowiadaliśmy na pytanie: Czy? i Dla czego? teraz odpowiedzieć mamy na te dwa drugie: W czem? i Jak?

Zaczynamy przeto od pytania: w czem leży sądownictwo Kościoła w ogólności, a w szczególności Papieża? Jaka natura jego? jaki przedmiot? Jaka tej władzy dziedzina i rozmiary tak z jednej jak z drugiej strony: to jest naprzód nad kim się ono rozciąga, a następnie co ono jest i co przynosi i sprawuje wśród ludzi?

Na to pytanie odpowiada cel dla którego sądownictwo dane jest Kościołowi i Papieżowi. Tym celem naprzód jest zbawienie wiernych, każdego w jego duszy i w jego osobie; jest nim następnie to co zbawienie sprawia, to jest środki doj-

ścia do niego i ono samo wzięte zewnątrz. A więc sądownictwo kościelne z jednej strony sięga tak daleko i głęboko jak nadzieja ludzka, i potrzeby serca człowieczego; z drugiej strony tak wysoko i szeroko jak dobro najwyższe, tej nadziei jedyny i konieczny żywioł; jak wszystkie dobra w tem najwyższem zawarte, a wszystkim potrzebom serca odpowiadające.

Od razu tedy spostrzegamy i okiem niejako zmierzyć możemy te skądinąd niezmierzone i nieprzejrane obszary. Z jednej strony wszyscy a wszyscy chrześcijanie, owszem: wszyscy a wszyscy ludzie, o ile chrześcijaninami być mogą i powinni, są tego sądownictwa dziedziną prawowitą i świętem lub uświęcić się mającym królestwem; z drugiej strony, wszystkie a wszystkie dobra, zaczawszy od oswobodzenia od złego i grzechów i wyprowadzania na wolność duchowną aż do szafowania łaskami, pomocami, skarbami, i doprowadzenia nareszcie wiernych do coraz większych bogactw, zacności, godności, potęgi i pełności zbawienia. Ta jest z tej drugiej strony bożego tego sądownictwa podstawa prawomocna, stolica rządów i siła wykonawcza. Konstytucją zaś i zasadniczym jakoby kodeksem jest ona cudowna modlitwa Pańska, która nam na początku tych poszukiwań naszych zaświeciła jako najwyższe dobro boże, a zarazem jako droga do niego i kres naszego zbawienia.

To nam daje sądownictwo kościelne oparte na swej ostatniej podwalinie, Papieżu, i nie inaczej jedno za jego wodzą i za jego sprawą; za pomocą jego kluczy wszechwładnych.

Przedewszystkiem ta władza sądomocna i łaskodawcza odmyka ludziom pierwsze wrota, odpuszczając grzechy i oswobadzając ich ode złego. Nad tym pierwszym czynem władzy jej i rządów jużśmy się dostatecznie zastanowili, i z pociechą niewymowną nasze serce zyskało już pewność, przez rozum i wiarę wszechstronnie stwierdzoną, że za pomocą tych kluczy, najgwałtowniejsza jego potrzeba zaspokojoną została i ziściła się najpierwsza i najgorętsza jego modlitwa: Ale nas zbaw ode złego!

Następnie serce i dusza ludzka widzi spełnioną swoją drugą potrzebę pozbycia się strachów na przyszłość i zabezpieczenia się od wiszącej nad nią grozy pokus i upadków. Albowiem ta sama władza, która ją oswobodziła od złego terazniejszego, teraz czuwa nad duszą ludzką, by jej nie zadało szkody złe

nadchodzące. Cała nauka obyczajowa, przez władzę kościelną zatwierdzona i obwarowana, jest w ogóle, a w szczególe i w zastosowaniu jest każde pojedyncze do osoby wymierzone słowo Kościoła, każda rada, przestroga, rozkaz, napomnienie, kara nawet, jest, mówię, narzędziem strzegącym od pokusy i upadku. Była dobra wola w duszy panowała, może żyć próżna obawy i być bezpieczna o skutek swej modlitwy, tej drugiej równie potrzebnej i niemniej gorącej modlitwy: **I nie wwódtz nas w pokuszenie!**

Lecz i złe przeszłe, to jest, wszelkie następstwa złego odjętego już od duszy co do szkody i złości wewnętrznej, ale pozostającego w niej co do skutków i szkód zewnętrznych niejako i ciągnących się za nią jako ślady dotąd niezatarte, i to złe przeszłe ta sama władza naprawia i niszczy. Tem złem są długi nasze, są kary winne sprawiedliwości Bożej po odpuszczeniu już winy, jako zadośćuczynienie i naprawienie szkody Bogu i sobie samym przez nas wyrządzonej. Któż za nas te długi zapłaci? O dziwne sądy tego trybunału miłosierdzia! Ta sama władza płaci i długi. Wprawdzie jest jeden warunek od nas wyłącznie zależny, abyśmy sami z serca odpuścili dłużnikom naszym; ale skoro tylko tego warunku, a on dla nas tak łatwym być powinien, skwapliwie dopełnimy, natychmiast otwiera się przed nami skarbnica kościelna pod strażą i kluczami Piotra zostająca, i z jej bogactw nieprzebranych płyną potrzebne odpłaty. Tą skarbnicą są zasługi samegoż Zbawiciela i Jego Matki Najświętszej i koło nich kupiące się wszystkie inne zasługi świętych, a temi odpłatami są odpusty.

Miłosierne a wielkie znaczenie odpustów ten tylko zrozumie, kto rozumie prawodawstwo sądów Bożych, kto wie, że po odpuszczeniu grzechów i ich win, zostają jeszcze do odpłacenia kary i długi przez grzechy zaciągnięte, kto zarazem czuje głęboko jak jest rzeczywisty obowiązek tej długów odpłaty. Tego Protestantyzm nie rozumie, nie wie, nie czuje; i dlatego pierwsze na co się targnął w ślepej zarozumiałości było to właśnie naszych długów odpłacenie. Tego dość było, by całe dzieło zbawienia od jednego zamachu w niwecz obrócić. I Protestantyzm to uczynił. Katolicka nauka, pilnie strzegąca całej spójni łańcucha zbawienia, jak zawsze przedtem twierdziła, tak wtedy zatwierdziła tem mocniej i wciąż odtąd

równie mocno naucza i zatwierdza łaskę i pożytek odpustów: i jak dawniej rozdawała te skarby, tak dzisiaj przy pomnożonych nędzach i potrzebach, pomnaża miłosierdzie i łaskę, i tem hojniej je rozdaje. A biedne serce ludzkie, prawdą Bożą mądre a nadzieją Jego dobra gorące, które to wszystko rozumie, i wie, i czuje, jakże jest szczęśliwe, że takiego dobra może być uczestnikiem, dzięki tej władzy kościelnej, i że za spełnionym warunkiem bożym, by innym odpuścić długi, które oni nam winni, ono samo z łaski kluczków Piotrowych może tak szczerze dostąpić własnych długów wypłacenia: jakie, mówię wtedy szczęśliwe, kiedy widzi w pełni ziszczoną swoją modlitwę: I odpuść nam nasze długi jako i my odpuszczamy dłużnikom naszym!

Raz człowieka od złego uwolniwszy, obecnego, przyszłego i przeszłego, sądowładztwo kościelne daje mu dobra i łaski, dalsze i istotne warunki i żywioły życia: ocaliwszy od śmierci, karmi pełnością żywota. Z rąk tej władzy każdy wierny otrzymuje Sakramenta, które są tymi warunkami i żywiołami, tym chlebem powszednim, na każdą chwilę i na każdy krok mu potrzebnym: a szczególnie otrzymuje Sakrament Ciała Pańskiego i drugi jakoby Sakrament słowa Pańskiego: jeden chleb dla serca, drugi chleb dla umysłu, a razem chleb cały, prawdziwy, nadistotny dla duszy ludzkiej. Albowiem ten tylko zdrowo i zbawiennie pożywa pierwszego Sakramentu Ciała Pańskiego, kto go otrzymuje z rąk Piotra, i kogo Piotr, albo z jego ramienia ustanowieni łaskodawcy do jego pożywiania przypuszczają: i znowu ten tylko otrzymuje zdrowy i zbawienny drugi jakoby Sakrament Słowa Pańskiego, kto to słowo słyszy z ust Piotra i jego wyręczycieli. Jest bowiem, okrom słowa publicznego nauki kościelnej, jeszcze słowo osobne, jakoby tajemne i zgoła mistyczne, jakoby Sakrament prawdziwy, które Kościół mówi do duszy każdej z osobna. Tam jej otwiera drogę bardziej tajemniczą, nie już ze złem się mijającą, ale którą ona ma iść z enoty do enoty, z łaski do łaski, z dobra do dobra, po której jakoby po prawdziwej drabinie Jakóbowej, w towarzystwie Aniołów, ma wstępować z ziemi do nieba, i zostawiając na dole swą nędzę, wznosić się do szczytu doskonałości, świętości i łaski. To przedziwne słowo i tajemnica świętego obcowania i wspólnego życia z Bogiem, ten chleb świętych, jest



bardziej niż cokolwiek innego pod zazdrośną strażą i kluczami Piotra, i on jeden wszystkim łaknącym, przez dobranych szafarzy, ten chleb hojnie rozdawa. Tym tedy i jednym i drugim sposobem sądownictwo kościelne w ręku najwyższemu Głowy Kościoła ma czem zaspokoić potrzeby, nadzieje, łaknienia i pragnienia duszy wiernej; a dusza tym tylko sposobem dochodzi do zaspokojenia swojej coraz gorętszej modlitwy: Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj!

A kiedy człowiek wierny już zacznie żyć tą tylko łaską Bożą, wnet zaczyna się i musi się w nim ziszczać warunek konieczny i ustawiczny tego życia, który jest zarazem tego życia ciągłym świętym czynszem; całe to życie musi się natenczas w ten jeden czyn zamienić, którym jest spełnianie najdoskonalsze woli Bożej. Chrześcijanin wstąpiwszy po owej drabinie razem z Aniołami do nieba, musi po niej razem z nimi zstąpić na ziemię, i spełniać wolę Bożą na ziemi tak jak się ona tam w niebie spełnia. Lecz i tu jeszcze potrzebne mu jest sądownictwo kościelne, wprowadźcie dobrzy i święci nie potrzebują władzy dla grozy i karni, atoli mogą jej potrzebować dla światła, i pocieszenia, i bezpieczeństwa: aby tem jaśniej znać wolę Bożą, tem odważniej ją spełniać, tem bezpieczniej i silniej na niej się oprzeć, i być święcie pewnymi, że ją spełniają na ziemi jak się w niebie spełnia. Więc im dalej chrześcijanin na tej drodze wewnątrz zachodzi, tem bliżej na zewnątrz z władzą się kościelną spotyka, silniej się z nią jednoczy i lepiej się na niej opiera, tembardziej mu święta ta ostatnia jej podwalina, te klucze Piotrowe, tem bezpieczniejszy o ono wysokie i coraz wyższe dobro, o które się modli jak i o skutek tej swojej o nie modlitwy: Bądź wola twoja jako w niebie tak i na ziemi!

Wtedy ubezpieczony zewsząd o wszystkie dobra Boże tu na ziemi, czasowe i przechodne; otrzymawszy już pełen tu na tym świecie skutek wszystkich prośb i całej modlitwy swojej, dzięki tej władzy i tym jej kluczom, wierny syn Kościoła tembardziej na niej się opiera i po niej się spodziewa ostatniego zaprowadzenia do kresu, otworzenia bram wieczności i wprowadzenia do Królestwa Ojca Niebieskiego; a Kościół i jego władza najwyższa wiernie odpowiada tej jego ostatniej nadziei. Staje ona ze swymi kluczami przy łożu śmiertelnem każdego

wiernego, tak jak kiedyś stać będzie przy łożu śmiertelnem całego rodzaju ludzkiego w jego ostatniej godzinie, i jak wtedy, zamykając dzieje i czas, odemknie wieczność i ono wiekuiste bez rewolucyi i bez przemiannych ludzkich dziejów Królestwo boże, i tam wprowadzi rodzaj ludzki odkupiony; tak i teraz w godzinę śmierci każdego wiernego zawiera szczęśliwie jego życie doczesne, i otwiera mu żywot wieczny, i na ostatnim progu pomaga mu dokończyć modlitwy, którą w tej nadziei całe życie powtarzał: *Przyjdź królestwo Twoje!*

## KAZANIE XLI.

### O Papieżu jako podwalinie miłości to jest o jego jednowładztwie.

(Miane w Rzymie 17 kwietnia 1870.)

„Szymonie Jana kochasz mnie?... Paś  
baranki moje... paś owieczki moje.”

(Jan XXI.)

Już nasza wiara i nadzieja, te do Boga obrócone i Bogiem żyjące, znalazły tu na ziemi swój punkt podpory, jedyną i niewzruszoną podwalinę, i tą jest Piotr. Lecz i miłość nasza Boga szukająca i chcąca się z Bogiem zjednoczyć, musi tu także się oprzeć na jakiejś podwalinie na ziemi, by mogła aż tam do nieba dosięgnąć, i znowu nie kto inny być nią może i będzie jedno ten sam Piotr. To nam dziś zostaje do zobaczenia.

Jeżeli takiej podpory potrzebowały i wiara i nadzieja, tedy najbardziej potrzebuje jej miłość. Albowiem jeśli wiara była jednym życiem człowieka, a nadzieja drugim, tedy miłość nie jest już ani pierwszym ani drugim człowieka życiem, ale jest jego życiem ostatniem, chcę powiedzieć całym i całkowitem jego życiem.

Życie nasze, jeśli się nie mylę, zależy na wypełnieniu obfitem a ciągłym wszystkich władz naszych, czyli innemi słowy, na połączeniu początku z końcem naszego istnienia. Cóż atoli więcej łączy? Cóż jedynie łączy, jeśli nie miłość?

Zaiste i wiara łączyła: łączyła rozum z prawdą; i dlatego była życiem. Łączyła i nadzieja: serce z dobrem łączyła, dla-

tego to i ona była także życiem. Ale dopiero miłość jest prawdziwym połączeniem, albowiem ona łączy nie już rozum i serce, ale samą duszę a z nią osobę naszą całą; i łączy nie już z prawdą i dobrem tylko, ale z osobą tego, który istotnie i rzeczywiście jest dobrem i prawdą, z Bogiem jedynym a trójosobistym. I dlatego ona jest ostatniem a całkowitem życiem, za którem niema innego, bez którego innychby nie było, z którem dopiero i którem inne być mogą, i są, i cieszą się całą życia pełnią.

Święta miłości! tak, ty jesteś tem zjednoczeniem do którego kiedy wejdzie istota nasza, całe jej istnienie przemienia się w ogień życia. Cóż jest miłość? pyta doktor nad doktorami, doktor łaski i miłości Augustyn święty: „coż jest miłość jeśli nie życie, które między sobą coś dwoje kojarzy: i kochającego i co kochane?” To samo na to pytanie odpowiada i doktor anielski, ś. Tomasz: „Miłość jestto zjednoczenie kochającego z ukochanym”. „Miłość jestto węzeł kochających się”. I doktor seraficki, Bonawentura święty nie co innego głosi: „Miłość jest siłą łącząca kochającego z ukochanym”. „Miłość jest spleciony węzeł, który niewymowną przyjaźnią i nierozzerwalnem kojarzy zjednoczeniem”. To samo wszyscy inni nam mówią; ale nad wszystkich innych i najlepiej i najgłośniej miłość sama to samo nam mówi. Tak, miłość to zjednoczenie i w zjednoczenie życie: zjednoczenie Boga z człowiekiem, i człowieka z Bogiem!

A przeciwnie, rozłączenie, rozdwojenie to śmierć. Ono zaś tam gdzie niema miłości, tam też i śmierć ostatnia i całkowita. Wprawdzie już bez wiary jest rozdwojenie w umyśle, a więc i śmierć umysłu; już bez nadziei jest rozdwojenie w sercu, a następnie śmierć serca, ale dopiero bez miłości jest rozdwojenie w samej duszy człowieka, w całej jego istocie, i dlatego tu dopiero śmierć całkowita człowieka. Takiego jest znaczenia obecność miłości, takie ma znaczenie jej nieobecność. Jestto zagadka życia lub śmierci.

A więc chodzi nam tu o życie lub śmierć, kiedy nam idzie o miłość między człowiekiem a Bogiem; tę zagadkę mamy tu dziś przed sobą. A jeśli prawda, że miłość jest zjednoczeniem, tedy i to prawda, że miłość Boga i człowieka wiecznieby dla nas została zagadką, gdybyśmy nie wiedzieli środka i sposobu tego zjednoczenia, nie znali tej podwaliny na której się ma

ono opierać. Tą podwaliną jest Piotr. Jakąż tedy konieczną jest rzeczą poznać wszystkie powody i dowody tego, wszystkie warunki i następstwa: by śmierci uniknąć, by do życia trafić. Ach zaiste, jeśli nam o życie chodzi, będzie nam też przedewszystkiem chodziło o poznanie tej jego tu na ziemi podwaliny ostatniej.

O to będziemy się starali dzisiaj w tej naszej nauce. Poprośmy Boga o łaskę przez przyczynę Najświętszej Panny. Zdrowaś Marjo.

## I.

Życie można nazwać miłością, a miłość nazywa się i jest doprawdy życiem. Szukając tedy miłości i jej ostatniej podwaliny, szukamy rzeczywiście życia i jego gruntu ostatniego. Gdzież on jest? Gdzież w końcu i cóż nareszcie jest życiem?

Jam jest żywot, odpowiada Chrystus.

I ten głos wyszedł z tych jednych piersi tylko, z jednego Chrystusa wnętrza wypłynęło to zatwierdzenie, bo tam jedynie mieszka życie i przedmiot życia. I czy potrzebuję dodawać, że nikt nigdy takiego słowa nie powiedział, nikt nic podobnego o sobie nie zatwierdził? Czyż jeszcze potrzebuję razem z wami zwiedzać wszystkie kąty świata, przebiegać wszystkie chwile historii, i szukać czy gdziekolwiek i kiedykolwiek inne jakie usta ludzkie coś takiego nie powiedziały? Już z góry wiemy równie dobrze, i wy i ja, że praca byłaby daremna. Lepiej nam usiąść u stóp tego jedyne go, i słyszeć raz jeszcze, i słyszeć zawsze jak On o sobie mówi: Jam jest żywot, Ego sum vita (Jan XVI, 6). Kto pragnie (życia) niech przychodzi do mnie i niechaj pije... strumienie z wnętrza jego popłyną wody żywota (Jan VII, 37, 38), i stanie się w nim źródło wody tryskającej do żywota wiecznego (Jan IV, 14). Słyszając to zawołamy wraz z oną szczęśliwą niewiastą, która to usłyszeć była godną, zawołamy z ludzkością całą, której ona postać na sobie nosiła: O Panie, daj nam tej wody, byśmy już nie pragnęli i nie szli tam czerpać (Jan IV, 15) tam, w źródłach mętnych i zatrutych (w których niestety dotąd czerpaliliśmy!) świata, ciała, natury; a w których nie życie, jedno śmierć mieszka.



Panie! daj nam tej wody! daj nam tego życia!

A na ten głos nasz Chrystus dalej i głębiej otwiera swoje wnętrze żywota, i z głębi już samej wychodzącym głosem dalej mówi do nas; ach, mówi czego żaden doprawdy człowiek nigdy nie powiedział i ani słyszał ani słyszeć się spodziewał. Tym głosem pociąga nas Chrystus do swego błogosławionego wnętrza i aż tam nas wprowadza. Przebywajcie we mnie — powiada — a ja w was... Ja jestem winna macica a wy latorośle, kto przebywa we mnie a ja w nim ten wydaje owoc mnogi, albowiem bezemnie nic nie możecie uczynić (Jan XV, 4, 5). Boże wielki! Jakież to słowa, i czyżże to głos jeśli nie samegoż żywota żyjącego w sobie i z siebie? I mówi dalej: Ojcze! Ja w nich a ty we mnie (Jan XVII, 13), i kończy: Jako umiłował mnie Ojciec i ja umiłowalem was. Przebywajcież w miłości mojej. I natychmiast daje nam sposób tego: Jeżeli przykazania moje zachowacie, przebywać będziecie w miłości mojej, jako i ja Ojca mego przykazania zachowałem i przebywam w Jego miłości. (Jan XV, 9, 10.)

O Panie żywota, o żywocie mój! Po tych słowach Cię już zupełnie poznaję, i już wszystko rozumiem; sam żywot i grunt jego już rozumiem do dna. Ojciec twój jest źródłem życia boskiego, i Ty Syn Jego, i naturą i miłością z Nim połączony w tem zjednoczeniu masz twoje życie. Tak samo Ty Panie, raz wcielony i człowiekiem się stawszy, jesteś źródłem życia ludzkiego; i my spółnością natury i miłością z Tobą połączeni, w tem zjednoczeniu znajdujemy życie nasze. W zjednoczeniu tedy miłości jest i nasze i twoje życie: twoje w zjednoczeniu z Ojcem, nasze w zjednoczeniu z Tobą. Teraz już wszystko rozumiem.

Atoli w tem, co dotychczas usłyszałem, jest tajemnicą i przyczyna życia mego własnego jako człowieka, w swojej jednoscie osobnej. Są jednak inni ludzie i ja z nimi żyć także powinienem w pewnem zjednoczeniu miłości, by i tu było prawdziwe życie. Prawda, że każdy z tych osobnych ludzi, jeżeli będzie sam w zjednoczeniu z Chrystusem, będzie miał także podobne jak i ja życie, i będziemy wtedy z sobą zaiste nie w rozdwojeniu, jedno w przyjaźni i zgodzie; ale czyżż to

wszystko? Czyliż życie społeczne, które z Chrystusa pochodzić będzie, nie będzie także nosiło na sobie jakiego szczególnego piętna tego pochodzenia swego z samegoż boskiego źródła żywota?

Iście, tak będzie, i tu właśnie, w tem życiu społecznem okaże się ostatni skutek i owoc tego źródła żywota, który razem będzie ostatnią jego pieczęcią. Po niem poznają wszyscy, że to dzieło żywota jest boże i trzykroć boże: a nie ludzkie, żadną miarą nie ludzkie.

Przed samem pójściem na mękę i śmierć, Chrystus Pan miał w wieczniku przy uczeie ostatniej oną mowę, która w całym znaczeniu jest Jego testamentem: w tej zaś mowie ostatniem słowem, przykazaniem, ustanowieniem jest właśnie życie społeczne tej rodziny wybranych, którą po sobie na ziemi zostawiał. Przykazanie nowe daję wam — powiada, — abyście się wzajemnie miłowali, jako ja umiłowałem was, abyście się i wy miłowali wzajemnie. Po tem poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość będziecie mieli wzajemną. (Jan XIII. 34, 35). To przykazanie: a teraz modlitwa do Ojca, która się spełnić musi i zawsze się spełnia: Ojcze święty, zachowaj ich w imieniu mojem, którychęś mi dał, aby byli jedno jako i my (Jan. XVII, 10). Aby wszyscy jedno byli, jako Ty, Ojcze we mnie, a Ja w Tobie, aby i oni w Nas jedno byli... A ja jasność, tę jasność miłości i życia, którą dałeś mi, dałem im: aby byli jedno, jako i my jedno jesteśmy. Ja w nich, a oni we mnie, aby byli dokonani w jedno i poznał świat, żeś Ty mię posłał, i żeś umiłował ich, jakoś i mnie umiłował... Aby, i to ostatnie słowo, aby miłość, którąś umiłował mnie, w nich była, a ja w nich. (Jan. XVII, 21, 22, 23, 26.)

Najdrożsi moi, to ostatnie słowo Tego, który jest żywotem i dawką żywota. W tem słowie zostawił nam żywot. Je wyrzekłszy, poszedł na krzyż i na nim krwią swoją i duszą przypieczętował ten testament żywota.

I niechaj mi teraz świat mówi, że to nie Bóg, który to mówił, i że to nie prawdziwy i jedyny żywot ten, który nam darował!

Lecz dajmy pokój światu w tej uroczystej chwili, kiedy tak jeszcze żywo nas przenika ten głos samego serca bożego. Starajmy się raczej dobrze zrozumieć, na czym zasadza się jego treść i istota.

Aby byli jedno! Oto słowo, w którym się zamyka wszystko. A jedno przez miłość. Naprzód jedno z Chrystusem, a przez Chrystusa z Bogiem, to wewnętrzna i rdzenna strona tego jedna przez miłość; a potem strona zewnętrzna w skutku i w owocu: jedno między sobą przez miłość wzajemną. A tu i tam jedna i ta sama miłość. Jako Chrystusa ukochał Ojciec, a Chrystus ukochał Ojca, tak i my Go kochać mamy. I znowu jako Chrystus ukochał nas i my kochać mamy jedni drugich. Tym tylko sposobem miłość Ojca będzie w nas, i Chrystus w nas, a my w Chrystusie i w Ojcu. Jedno, jedno doskonałe: ut sint consummati in unum: aby byli dokonani w jedno!

Ach, gdyby każdy z nas ukochał drugiego jak Chrystus go ukochał, a ten znowu kochał tamtego jak go kocha Chrystus — o najdrożsi! czyż wam już serce nie drży na samą myśl i poczucie, jakieby to były wtenczas, tu jeszcze na ziemi, gody życia już prawdziwie niebieskie!

Uśmierzmy jednakowoż porywy serca, zwłaszcza, że kres ich to samo serce swoją nędzą oddała; a spojrzymy jeszcze tu na końcu na punkt środkowy całej tej cudownej rzeczy, która się nazywa chrześcijańskim życiem miłości i jedności.

Ten punkt środkowy jest Chrystus. Chrystus w Bogu i Bóg w Chrystusie, Chrystus w nas i w Chrystusie my: Tu in me, et ego in eis; Chrystus i Chrystus wszędzie; On środkiem wszystkiego, jak jest początkiem i końcem. Oto, najmiłsi moi, jaki jest środek tej rzeczy; środek, grunt, podwalina całego życia.

O Chryste Panie! Tyś to zatwierdził o sobie, bo tem jesteś! Tego jednego mi dosyć, i wierzę, wyznaję, świadectwo Ci składam, że tak jest koniecznie, żeś Ty jest żywot; a jeśli w życie moje nie wprowadziłem tego twojego życia, Panie! tem jaśniejsze świadectwo Ci składam, wołając: Com ja uczynił to moja wina, moja największa wina! Ale Tyś uczynił coś miał uczynić, dałeś rzecz, i sposób rzeczy, i środki wykonania, dałeś wszystko: to twoja zasługa i chwała, twoja nieskończona chwała!

A teraz, najdrożsi moi, już się oglądamy naokoło i pytamy o to wykonanie rzeczy. Gdzież ono? Gdzie jest przynajmniej

ten środek mocny i skuteczny do wprowadzenia w wykonanie tego życia, o którym już z zachwyceniem wiemy jakie ma być nareszcie: A by jedno byli? Gdzie jest to jedno szczęśliwe? A przynajmniej gdzie jego możebność, grunt i podwalina?

Zaprawdę Chrystus nie mógł od nas odejść nie zabezpieczając tego warunku bytu dla swego dzieła: nie mógł nas opuścić sierotami po żywocie jaki nam przyniósł, by zostawić. Nie, nie mógł; więc zabezpieczył, więc zostawił. Co takiego? Ten właśnie warunek, ten sposób, środek, abysmy jedno byli. Boć już wiemy, że tylko w jedności życie. Więc ten środek jedności zostawił.

Nie, nie zostawił, powiadają mi stąd i z owąd: nie potrzeba było. Dostyć było na jedności wewnętrznej, z niej już zewnętrzna sama się zrodzi. Ach, niebaczni, pomówimy z wami za chwilę. Tymczasem to jedno wam teraz powiem: podobniście do tych doktorów co przy łożu konającego człowieka mówią do stroskanych: Nie lękajcie się: puls mu bije, kiedy niekiedy oddycha, nie, że na zewnątrz wygląda jak umarły, on wewnątrz żyje. Tak, żyje; ale za chwilę już żyć nie będzie. O doktorzy zapomnieliście, że życie nie tylko we wnętrzu tli się, ono i na zewnątrz bucha, i wtedy tylko jest doprawdy życiem. Wiedzieć tedy, że kiedy nam idzie o życie społeczne chrześcijańskie, o ono jedno konieczne w którym leży to życie, tedy idzie nam wprawdzie i o jedno wewnętrzne, ale my pytamy przedewszystkiem o znak zewnętrzny prawdziwości tegoż, pytamy o jedno zewnętrzne: bo wtedy tylko będziemy mogli powiedzieć z radością: znaleźliśmy doprawdy życie.

Darujcież, ale Chrystus nie mógł tak myśleć, jak wy myślicie. On zostawił niezawodnie środek zewnętrzny jedności, a jeśli go jeszcze nie znamy, tedy nam tylko szukać potrzeba. Pojdźcież razem z nami na to szukanie: trzech kroków nie uczynimy, a już go spotkamy niezawodnie.

Na szczęście mamy pierwszą wskazówkę i nieomylnie prawidło. Prawidło i wskazówka są isticie te same, co i w przeszłych naszych szukaniach, co i w szukaniach samegoż Chrystusa: a taka jest ta wskazówka i takie prawidło, że się stają natychmiast dowodem rzeczy. Są one w tem całe: z naszej strony pytanie: Czy jest, i gdzie jest ten, co się twierdzi tym środkiem? Z tamtej strony zatwierdzenie: Oto tu ten środek!



To ja jestem tym środkiem! Nie lękajmy się: tylko jeden znajdziemy taki głos na świecie. Już ten samem nie będziemy się mogli omylić; a tu tembardziej nie omylimy się, że to już nie raz pierwszy i drugi ten głos sam jeden coś podobnego o sobie zatwierdzi; będzie to, dzięki Bogu, już po raz trzeci: i dzięki Bogu! trzykroć będziemy mogli być pewni, żeśmy się nie omylili!

I już widzimy, że tym jedynym jest Piotr, jest Papież.

Naprzód nikogo innego niema. Niechaj odstępcy od katolickiego rzymskiego Kościoła zapalą wszystkie swoje pochodnie i szukają po wszystkich ciemnych kątach swoich cerkwi i zborów, ażali znajdą tam takiego nosiciela jedności, któryby się mianował środkiem żywym całego Kościoła Chrystusowego? całego chrześcijańskiego świata? Znajdą tam może jakich Patriarchów ekumenicznych, znajdą zapewne carów prawosławnych; ale to też i wszystko, co mogą znaleźć; a na nich właśnie najdowodniej się przekonają, że to nie to, czego szukamy: że i tych pretendentów najdalej idących, jeszcze cała przepaść rozdziela od zatwierdzenia się, że są środkami jedności żywej całego Kościoła i całego rodzaju ludzkiego, o ile do Boga i do Chrystusa należy. Chęci możeby im nie brakło, ale im braknie gruntu pod nogami, i sami pierwsi wiedzą o tem najlepiej. Więc milczeli i milczą.

Ale następnie posłuchajmy co Papież twierdzi, i zrozumiejmy jak przy tem jego twierdzeniu nierównie wymowniejшем się staje milczenie tamtych. Papież to samo o sobie twierdzi co i Chrystus: twierdzi, że jak Chrystus jest środkiem wewnętrznym, tak on zewnętrznym środkiem tej jedności Kościoła, świata, rodzaju ludzkiego odkupionego. I on jak Chrystus twierdzi: Kto ze mną nie jest, przeciwko mnie jest, a kto nie zbiera ze mną rozprasza (Łuk. XI, 23. Mat. XII, 30). Do mnie, powiada, rzekł Chrystus: Umiłowałem ciebie i tyś mię umiłował, paśże baranki moje, paś owieczki moje: więc ja jeden jestem najwyższy Pasterz miłości trzody Chrystusowej; i ten w tej trzodzie nie jest, kto mnie nie uznaje za Pasterza miłości. Lecz w tej trzodzie tylko, tą miłością związanej, jest życie i zbawienie wieczne: poza nią, poza Kościołem zbawienia niema. *Extra Ecclesiam non est salus!* Więc kto bezmiłośnie ze mną nie jest, dlatego

niema ani życia ani zbawienia. Bezemnie niema miłości wzajemnej, bo ci tylko są uczniami Chrystusa, którzy są moimi barankami i owieczkami, ci braćmi między sobą, którzy moimi dziećmi. Bezemnie niema tego o co Chrystus tak błagał Ojca: aby byli jedno, bo to ja czynię, to jedno. Wszystko co Chrystus iści wewnątrz, to ja dopełniam zewnątrz, i co ja zewnątrz memi rękoma przytulę, to Chrystus wewnątrz przyciska do swego łona. Tak, ja w mojem miejscu to wszystko twierdzę o sobie, co Chrystus w swoim o sobie twierdził, i jak Chrystus do Ojca się modlił: Ojciecze święty zachowaj ich w imieniu mojem, tak i ja do Chrystusa się modłę: Chryste najświętszy zachowaj ich w imieniu mojem, to jest, we władzy, którą mi powierzyłeś, wszystkich którychś mi dał, aby byli jedno jako my... Aby wszyscy jedno byli: jako Ty, Chryste ze mną a ja z Tobą, aby i oni z nami jedno byli. A ja jasność, którą mi dałeś, daję im, aby byli jedno jako i my jedno jesteśmy. Ja z nimi a oni ze mną, aby byli dokonani w jedno, i poznał świat, żeś Ty mię posłał, i żeś umiłował ich jakoś mnie umiłował. I tak miłość, którąś mnie umiłował z nimi będzie, bo ja będę z nimi!

Skończyło się; słyszeliśmy: tak Papież mówi.

O ludzie dobrej wiary i dobrej woli, którzy poza Kościołem jesteście: już wiem, dlaczego tam dotąd bawicie. Niedo-słyszeliście jeszcze tego głosu, jeszczeście się nad nim nie zastanowili dotąd. Albowiem za to ręczę, że skoro on się prze-drze do waszej duszy, uczynicie to, co i my czynimy i zawo-lacie: Jakież to twierdzenie! Jakież jedyne! I jaki w niem dowód prawdy! Niech sobie inni szukają lub nie szukają, my ludzie dobrej wiary i dobrej woli, znaleźliśmy, czegośmy szu-kali, a nawet czegośmy nie szukali: znaleźliśmy środek i pod-walinę jedności, miłości, życia: znaleźliśmy Piotra, a w Piotrze Chrystusa, a w Chrystusie Boga. I dlatego znaleźliśmy Boga, żeśmy znaleźli Piotra.

Więc i my, najdrożsi, powtórzmy tembardziej z tymi lu-dźmi dobrej wiary i woli, powtórzmy z głębi duszy: Piotrze, który żyjesz zawsze ten sam we wszystkich następcach two-ich, tak, Piotrze, to prawda, co ty twierdzisz o sobie, co twier-dzisz od samego początku, przez wszystkie czasy, przed wszyst-kimi narodami, wobec nieba i ziemi, a na co ci zgodnie odpo-

wiadają od samego początku i czasy wszystkie, i narody, i ziemia, i niebo; to prawda: ty jesteś środkiem i podwaliną miłości, a przez nią jedności i życia, wszystkich wiernych i wybranych Chrystusa i Boga! Na tobie stoi miłość i jedność i życie rodzaju ludzkiego; i jeżeli dotąd jeszcze cała ziemia nie jest jedną owczarnią pod jednym Pasterzem, tedy dlatego jedynie, że się około ciebie nie skupiła. Ale żyje Bóg, i żyje Bóg, i żyje słowo Chrystusa, i przyjdzie dzień, w którym świat ujrzy to cudo.

A teraz zostaje nam do uważenia, dlaczego i w czym, w jaki sposób Piotr jest tym środkiem i podwaliną miłości, jedności i życia.

## II.

Dlaczego Piotr jest tem wszystkiem?

Już wiemy poniekąd i dostatecznie. Otóż dlatego, że tak Chrystus ustanowił.

Rzecz stoi, bo i słowo Chrystusa stoi, nieprzemienne i raz na zawsze powiedziane, to słowo: Paś baranki moje, paś owieczki moje. Niebo i ziemia przeminą, ale te słowa nie przeminą!

Raczej zastanówmy się nad przyczyną, jaką miał Chrystus, aby i to słowo powiedział i tę rzecz ustanowił.

Owóż, kiedy Chrystus opuszczał ziemię i zostawiał na niej swe dzieło, rozmaite przed Nim stawały warunki i sposoby, w których mógł był je zostawić.

Pierwszy był ten, któremu już wyżej daliśmy krótką odpowiedź. Mógł był zostawić bez żadnego środka jedności zewnętrznej. Jestto ten sposób i stan, który w braku lepszego wymyślają sobie oni wierni, co odstąpili jedności zewnętrznej nie tylko w miłości, ale i w wierze, i jak przeciwko wierze, tak też zaprotestowali i przeciwko miłości. Jest to sposób protestancki.

Atoli potrzeba jedności, tak mocno zatwierdzonej przez Chrystusa, nagli ich i dusi, że tak powiem. Postanowili tedy, nie mając nic lepszego, jakąś jedność niewidomą, niedotykálną, nieodgadnioną nawet, jakąś jedność wewnątrz. Iście to protestanci.

Lecz pokażcież nam przecie, gdzie ta wasza jedność? Jest, jest, wołają, tego dosyć. Ale gdzież ona? Kto ją widział, lub

widzi? Chrystus widzi, odpowiadają, i tego dosyć. Chrystus widzi? O ludzie krótkiej pamięci! Toż nie pamiętacie, coście tylko co od Chrystusa słyszeli, kiedy tę jedność zapowiadał: Po tem poznają wszyscy, żeście uczniami moimi? Kiedy tak Ojca swojego modlił o to doskonałe jedno: aby poznał świat, żeś Ty mnie posłał, i żeś umiłował ich, jakieś i mnie umiłował? Niechajże teraz tę jedność taką waszą poznaje świat! Niechajże ją poznawają wszyscy! Chrystus, mówicie, widzi? Ależ to nie o to chodziło. Tu trzeba, żebyśmy i my widzieli. Mamy prawo do tego, i owszem rozkaz i obowiązek. A więc sami zważcie, przyjaciele, czy wam nie wstyd przychodzić z taką jednością wewnętrzną, której nikt widzieć nie może? Dajcież jej raz już miły pokój, i raz przecie coś lepszego nam przynieście.

Ale to my wam raczej to coś lepszego przyniesiemy. Oto wam otworzymy oczy i pokażemy tę waszą jedność. Mówicie, że niewidoma i wewnętrzna. Ona aż nadto zewnętrzna i widoma. Bo kiedy wy swoje mówicie, natura ludzka swoje wypowiada. Ona milczeć nie umie, a że się nie zna na waszych teoriach, więc u niej zawsze z obfitości serca i usta mówią. Mówią, niestety, aż nadto głośno. Wiemy tedy, jaka wasza jedność: to rozdwojenie na wszystkie strony. Jak wasze wnętrza są w rozdwojeniu z prawdą, z dobrem, z życiem, tak i wasze języki poplątały się na wszystkie możebne sposoby, i z waszego Babelu w językach, wiemy aż nadto dobrze, jaka tam Babel we wnętrzach waszych. Co nam mówić o waszej jedności wewnętrznej? Albo raczej, jak możecie sami sobie mówić o jakiejś wewnętrznej jedności? Boga nie oszukacie, nas nie omamiecie; przeczcie jeszcze siebie samych chcecie tak daremnie uwodzić? Pokój więc, pokój tym waszym niepotrzebnym mowom o jedności wewnętrznej.

A teraz nie dziwcie się, że Chrystus inaczej myślał i powiedział i ustanowił. Wy sami dowiedliście i codziennie dowodzicie jak słusznie postąpił. To przynajmniej mamy od was w zysku.

A więc Chrystus żadną miarą nie mógł zostawić swego dzieła w takich warunkach, urządzić w niem miłość i jedność i życie na sposób protestancki.

Zostaje drugi sposób, już wiemy jaki, schizmatyczny. W nim każdy Kościół szczególny niech ma swój środek jedności, ale



między tymi wszystkim i niech będzie połączenie moralne tylko, zależne od dobrej, ale temsamem i od złej woli.

Lecz my zarazem i to już wiemy, że się ten drugi sposób tak tylko różni od pierwszego, jak mniej od więcej. Jedności w nim żadną miarą być nie może na długo, ale nawet ani na krótko. Naprzód się rozpadną one szczególne kościoły jedne od drugich; czyż się nie rozpadły i to raz na zawsze? A następnie w szczególnych kościołach ta sama przyczyna te same skutki sprawi: będą się i one rozpadały bez liczby i bez końca. A w jednym i drugim razie, gdzie się zjawi i gdzie się ostoi ono jedno, ono doskonałe jedno, *consummati in unum*, o które tak koniecznie chodziło Chrystusowi, o które tak On błagał, które miało być znakiem posłannictwa Jego, znakiem, że Go Ojciec umiłował, że On nas umiłował, i że Ojciec w Nim jest a On w nas? A toć przecie otwórzmy oczy, i wy, którzyście w schizmie, oczy otwórzcie! Toć przecie tylko doskonała jedność może być tym znakiem, tym skutkiem, tem dziełem bożem, chrystusowem: im to jedno doskonalsze tem prawdziwiej w niem Bóg i Chrystus, i tylko najdoskonalsze odpowiada w pełni owej jedności, miłości i życia jakie jest w Bogu. Tylko jedno zupełnie jedno odpowiada onemu jednu w Bogu, które Chrystus miał i musiał mieć przed oczyma kiedy jedno swoje na ziemi ustanawiał. A wy z tego jedno robicie czwórki i piątki na początek, potem będziecie musieli robić dziesiątki i setki, a potem same was nalazą tysiące i tysiące tysięcy? Czyż nie widziecie co czynicie, nie pomni, że co Bóg połączył niech nie rozłącza człowiek? Pokój, pokój tedy waszej nie-szczęsnej robocie; ona tak samo daremna i tak samo przeciw Bogu jak i ona pierwsza.

Ale mamy od was to samo w zysku co i od tamtych. Dowiedliście i dowodzicie, że tak Chrystus nie mógł postąpić i dajecie przyczynę dlaczego inaczej postąpił. Tak, postąpił inaczej: bo z góry i po bożemu wiedział, co to jest jedność prawdziwa, co to jest jedność w miłości i w tej miłości życie.

Ostatni tedy pozostaje i jedyny sposób tej świętej jedności, osadzić ją na jednym środku i na jednej podwalinie. I dlatego Chrystus tak uczynił; i dlatego Jego dzieło stać mogło i stoi. Wy ludzie niebaczni stawcie sobie wasze budynki na piasku, i nie kładcie pod nie podwalin; luną deszcze i uderzą wiatry

i będziecie sami patrzyli jak się wasze lepianki obalą. Ale człowiek mądry, ale człowiek Bóg inaczej czyni: stawia swój zamek na skale, a wtedy niech się puszczały nawałnice, niech się srożą wichry: dom nie runie i żadne oko ludzkie nie obaczy, żeby się choć zatrzęsł. Tam wy ludzie, a tu Chrystus.

Wiemy dlaczego. A teraz zobaczmy w czym Piotr i Papież jest środkiem tej jedności.

Wiemy, że ta jedność jest miłością. Otóż jak wiara zasadza się na połączeniu rozumu z prawdą bożą, jak nadzieja na połączeniu serca z bożem dobrem, tak miłość na połączeniu woli z bożem przykazaniem.

Miłość jest zjednoczeniem, ale tu woli z wolą, aby było osoby z osobą. Więc czyn miłości oddanie się, poddanie się, posłuszeństwo.

I dlatego Chrystus: „Jeśli mię miłujecie, słowa moje zachowacie”. Oto akt miłości.

A następstwo: „Kto... we mnie przebywa a ja w nim”. To jej owoc, to ona sama.

Papież to żywe przykazanie.

Za nim wprowadzie przykazanie Boże, przykazanie Chrystusa. Ale on je zatwierdza, tłumaczy, zastosowuje, wykonywa.

To władza.

Co innego jurysdykcya, a co innego władza.

Tam łaski rozdawał, szafował dobra, sypał dobrodziejstwa. Kiedy nawet kary wymierzał tedy jeszcze łaskę czynił. Bo to warunek do łaski: poprawa.

A tu rządzi: przeznacza miejsca, szykuje porządek, rozkazuje, kieruje, prowadzi. — jednym słowem pasie trzodę i łaską pasterską w niej rządzi.

On rozkazuje z miłością, a ona z miłości słucha.

I tak Chrystus w jego osobie zawsze pośredku swej trzody ukochanej.

I dlatego jednowładztwo. Czyż Chrystus być może niejednowładcą? Albo, że to samo innemi słowy powiem: czyż miłość być może czym innym a nie jednowładztwem?

Mój Boże! sni się niektórym i już chcieliby widzieć w kościele rządy parlamentarne. Czyż jeszcze nie nauczyli się i nie

dowiedzieli się czem są te parlamentarne rządy? W takich warunkach w jakich dziś stanęły, jeśli prawdziwe, tedy są to rządy z dołu, a raczej rządy dołu nad górą, tego co niższe społecznie nad tem co społecznie było wyższe, pospółstwa nad głowami, mnóstwa nad jednością. Jeżeli to się światu podoba niech sobie zdrów doświadcza. Ale w Kościele z tem wara! Tam Chrystus panuje i rządzi, i ten którego na swoim miejscu postawił. A Chrystus z góry rządzi, jako głowa rządzi, jako jeden nad mnóstwem rządzi. Gdzie Chrystus, tam jednowładztwo. Ma wprowadzić spółników, sam ich przybiera, daje im prawdziwą władzę i prawdziwe królowanie, ale sam nie przestaje być jednowładcą. Miłość dzieli rządy, ale nie rozrywa jedności, nie niszczy źródła przedewszystkiem jedności. Dzieli rządy, ale je dzieli z góry i nie przewraca hierarchii góry i dołu, nie wali o ziemię porządku, nie stawia wszystkiego do góry nogami. A więc jednowładztwo.

Ach ci wznowiciele kościołni ze swoim parlamentem kościelnym <sup>1)</sup> nie wiedzą istotnie nawet, co na końcu ich pokusy. Chcieliby cały dół parlamentarzy na biskupach ograniczyć, i tylko jego rządy do równej spółki kazać przypuścić z głową. A nie wiedzą, że jeszcze inny jest dół za tym, księży wszystkich, a za tym jeszcze inny ludu wiernego. Czy myślą, że jak oni pierwszy krok uczynią, tedy inni za nimi nie uczynią drugiego, trzeciego i ostatniego? Zaiste przecie tak, a nie inaczej się stało w społeczeństwie niekościelnem, i ze szczybla na szczybel nie oparło się tam aż na samym dole, a i ten już dół się trzęsie i sam się w sobie rozpada. Czy myślą, że w Kościele inaczej by się stało? Ha! Może myślą, że będzie czas odwołać się do Chrystusa na pół drogi? Ale niech się nie myślą: już będzie za późno. Pierwszy krok już był bez Chrystusa i przeciwko Chrystusowi; jeśliby Chrystus na pierwszy pozwolił, choć przypuszczam rzecz niepodobną, tedy niezawodnie pozwoli i na następne i na ostatni; owszem sam wtedy popchnie: za karę i dla nauki, a nawet dla prędszego ocalenia. Tego nigdy nie będzie, ale toby się stało bez pochyby,

---

<sup>1)</sup> W czasie kiedy X. Semenenko to mówił, z okazji Soboru Watykańskiego, który obradował właśnie, bardzo wiele mówiono i pisano o tych projektach.

gdyby takie świeckie, ludzkie, jednym słowem parlamentarne rządy zaprowadzono do Kościoła.

Wierutna pokusa! i zaprawdę widzę, że przez wszystkie pokusy musi przechodzić Kościół. Ale się lękać nie mamy czego: obroni Chrystus swój Kościół i od parlamentarnych rządów; owszem, jednowładztwo i Jego i Piotra w kościele tem mocniej się ustali, tem wspanialej zatryumfuje<sup>1)</sup>. A nie straci na tem miłość: owszem, właśnie miłość na tem zyska: bo się ukrzepi jej podwalina, a ono wtedy tem szlachetniej i tem bezpieczniej będzie się dzieliło swoją władzą, i królestwem, i panowaniem.

Zostaje nam jeszcze to ostatnie: jakim sposobem Piotr i Papież staje się tym środkiem jedności, a w nim władzy i rządów?

Jest to zamknięte w odpowiedzi na pytanie: Jakim sposobem przychodzi do skutku owo poddanie woli pod przykazanie?

Oczywista, że przez miłość. Ale jakim sposobem miłość sama w człowieku początek bierze i dzieło swe spełnia?

Przez łaskę.

Trzeba tedy prosić o łaskę miłości.

A tu mianowicie o miłość dla Papieża.

Miłość dla Papieża to znak prawdziwego chrześcijanina. Jak uczniem Chrystusa nie był, kto za Jego życia Jego samego nie kochał; nie był zaiste, choćby tak jak Judasz za Chrystusem chodził i do Jego stołu razem z Nim zasiadał; tak i dzisiaj chrześcijaninem nie jest, katolikiem nie jest, kto Papieża nie kocha, a choćby się też mianował i katolikiem, i Papieża nazywał Papieżem, i zasiadał w kościele u samego jego podnóża. Nie, nie wszyscy, którzy do jednego i do drugiego wołają: Panie, Panie, nie wszyscy wejdą do tego królestwa niebieskiego.

Biedna moja Polsko! leż i w tobie takich katolików! A i ty sama, coś lepszego czynisz? Złego serca nie masz, ale jakieś ono niemądre! Więcej ci powiem: jakie ono niewdzię-

<sup>1)</sup> I rzeczywiście, w niespełna pół roku, Sobór Watykański ogłosił jako dogmat nieomylność papieską.



czne! Darujcie mi, wy prawi synowie i Polski i Kościoła, których sobie wystawiam u nas rad jak najwięcej, darujcie, że ten żal rozwodzę. Ale wy sami, — nie, nie myślę się — wy sami ze mną będziecie się boleśnie skarżyli: Gdzie u nas ogólna, powszechna, gorąca miłość dla Papieża? A gdzie czyn miłości? Już nie mówię wcale o niesieniu datków; niech będzie, żeśmy sami ubodzy. Nie mówię nawet o ofierze krwi<sup>1)</sup>, chociaż tu i nie widzę wymówki. My tak skorzy do szlachetnego, a nawet nierozważnego krwi przelewania, dla tej sprawy najświętszej, jak gdybyśmy się wstydzili tę krew ofiarować, jak gdybyśmy marnować się jej lekali. Ale już o tem nie mówię. Pytam tylko o czyn jakikolwiek miłości, choćby ten, żeby o Papieżu mówić z miłością, żeby go bronić przeciwko fałszom i nienawiści, żeby przynajmniej, jeśli to za wiele, choć dobrze o nim mówić, choćby też nareszcie już nie czernić i nie szkalować. Na tyle się już nie zdobędzie miłość nasza dla Papieża? Dla Papieża, mówię, jako dla Papieża. Bo tam jakieś błahe dobre słówko o Piusie IX. nie rozweseli samego Piusa IX., jeśli nie będzie odniesione w nim samym do Papieża. Gdzież tedy, o Polsko! twoja miłość dla Papieża? Godziłoby się łyżę przelewać nad tą twoją niedobrocią, nad tem bezsercem twojem: ja wolę płakać nad twojem zaślepieniem, nad twoją grubą nieświadomością. To mi ból koi i daje nadzieję: Chrystus ci przebaczy, bo nie wiesz, co czynisz, i spuści łaski promień, ten ci oczy otworzy: i dostaniesz nowe serce: i będziesz kochała!

A teraz kończę.

Całe boże na ziemi królestwo miłości stoi na Piotrze. A ludzkie królestwo na kim też stoi? Gdzie w niem miłość, w kim jedność, jakie życie?

Miłość? Alboż jest miłość w królestwie ludzkim? Jest, niestety! nazywa się miłość własna. Pierwsza biada światu!

Jedność? Czy jest i jedność? Jest także: nazywa się przemoc. Druga światu biada!

---

<sup>1)</sup> Mówi tu X. Semenenko o tem, że prawie nie było Polaków w szereгах żołnierzy papieskich, którzy zbierali się z całego świata na obronę Papieża.

A kiedy pierwsza biada przeszła i druga przeszła, przychodzi trzecia. Ma to być życie. Czy jest życie na świecie? — Jest: nazywa się wojna. Iście biada, trzecia i ostatnia biada świata!

Miłość własna, przemoc, wojna, oto tego świata trzykroć nieszczęsnego miłość, jedność i życie.

Ach, jak Bóg szydzi z szydzących siebie. Bez Boga chcieli mieć wszystko z siebie samych: chcieli miłości i mają nienawiść, chcieli jedności i mają niewolę, chcieli życia i mają śmierć.

A dlaczego? Bo odrzucili podwalinę, na której Bóg to wszystko zbudował: Chrystusa i Piotra; i chcieli wszystko oprzeć na sobie samych. Środkiem wszystkiego dla nich stała się osoba ludzka, każdego dla każdego, podwaliną ostatnią też sama wola każdego. Więc jeden drugiego nienawidzi, jeden z drugim wojuje, kto mocniejszy słabszego gniecie. Więc czy z góry taka jednostka Cezar skrępuje wszystkich u dołu, czy taki tłum z dołu runie nawałem na każdą jednostkę u góry, w ostatniej wynikłości zawsze to samo: nienawiść, wojna, przemoc. Toż przecie sami postawili prawo: siła przed prawem; cóż dopiero przed miłością?

Mówią, rozprawiają, trąbią o wolności! A zgotowali niewolę jakiej jeszcze nigdy ten boży świat nie widział. Jeszcze dzień lub dwa, a zamknie wszystkich w swym grobie.

Wolność to obywatelka nieba, która jeśli zstąpi w gościnę na ziemię, mieszka tylko w tych duszach, które wiara oswobodzi z ciemności przesądów, nadzieja z kajdan namiętności, a miłość z pod grobowca egoizmu; a ona, ta święta wolność, je wtedy sadza na tej podwalinie Chrystusowej i Piotrowej, podwalinie prawdy, dobra i woli bożej. Tam dopiero swobodnie w tych duszach oddycha, tam wolności jedyne prawdziwe mieszkanie.

Ale oni natomiast zaklęli z piekieł inną wolność, brzydkie tamtej przedrażnienie. Ta czarna i krwawa wolność tylko burzyć umie, dyszy grozą, wszystko druzgoce i kruszy, i im więcej niszczy tem się czuje większą wolnością. A jak wszystko w gruzy obróci, siada na ruinach, i sama siebie zabija swoim własnym oddechem.

Mamy teraz do wyboru. Środka niema. Albo podwalina Piotrowa, albo ta przepaść bezedna ludzkiej swawoli.

O Chryste Panie, Ty nas ratuj. Podaj Twą rękę Piotrowi, a on nam niech swoją poda. Wszak jeszcze ostatnia chwila nie przysła. Więc ratuj nas, a będziemy ocaleni, tam z nieba przez Ciebie, tu na ziemi przez Piotra.

## O stosunku Episkopatu do Papieża.

(Dodatek do Nauki o Nieomyślności.)

Mógłby kto powiedzieć, że tu nie chodzi o pojedynczych biskupów, ani o podobne cuda dla każdego z nich z osobna, lecz że tu głównie chodzi o Sobór, o większość biskupów na Soborze, i że nie jest wcale od rzeczy przypuścić na korzyść większości biskupów na Soborach taki cud moralny i opatrzny a zarazem historyczny, jaki my uznajemy za potrzebny i przez Boga zrzadzony na korzyść Papieża jednego.

Na to opowiadamy, że takie postawienie kwestyi zmienia wprawdzie jej wyrażenie, ale nie zmienia jej istoty, a tem samem nie nadweręża w niczem wagi tych powodów i racyi, jakie tu, w ciągu mowy, wykładamy. Jeżeli nie daliśmy miejsca w samej mowie naszej podobnemu obrotowi i postawieniu kwestyi, uczyniliśmy to dlatego, że nie wypada dawać kazaniu ściśle polemicznego toku, wchodzącego we wszystkie możebne szczegóły rozprawy; tem bardziej, że mieliśmy prawo i obowiązek rachowania na przenikliwość słuchaczy, którzy byli w stanie ogólną rację, wszystko obejmującą i z góry odpowiadającą na wszystkie przypuszczenia, zastosować także i do tych szczegółów, które wypadło nam pominąć. Teraz jednak drukując tę mowę musimy się rachować z całym ogółem czytelników, a tem samem przypuścić, że może się znaleźć nie jeden między nimi, który da tej kwestyi ów szczególny obrót, to jest zapyta się w myśli, czemu by nie można przypuścić, że Bóg prowadzi większość biskupów na Soborze i do nieomyślności doprowadza takim cudem moralnym i opatrzny, krępującym zewnątrznie skutki wolności ludzkiej, jakim my powiadamy, że Papieża kieruje; i dlatego sądzymy, że może nie od rzeczy będzie, byśmy na to wprost odpowiedzieli i ten osobny szczegół koniecznym logicznym nawrotem podciągnęli

pod ogół sprawy, przez nas w ciągu tej mowy osądzonej i odrzuconej przez te racje jakieśmy tam wytoczyli.

I w rzeczy samej, racje powyższe odnoszą się również pełnem prawem i z tą samą siłą do większości biskupów na Soborach, z jaką się stosują do pojedynczo wziętych i do każdego z osobna. A naprzód ona racja z dołu, że od tej zaczniemy; która twierdzi, iż Chrystus tak nie ustanowił. W istocie, tu nad wszystkim góruje ten fakt, że Chrystus zostawił biskupów w możności upadku, że ich wolność nie zabezpieczył od pokus i od wpadnięcia do nich, owszem zapowiedział, wtedy właśnie, kiedy mówił, jak będą przesiewani przez pokusy szatańskie, jasno i wyraźnie zapowiedział, że będą ostatecznie kuszeni, i że upadać będą, dlatego im zostawił Piotra czyli Papieża, aby ich utwierdzał. Jeżeli gdzieindziej polecił biskupom, aby nauczali wszystkie narody, a On będzie z nimi; jeśli zapewnił ich, że ich posyła, jak Go posłał Ojciec, i że kto ich słucha, Jego samego słucha; tedy to wszystko koniecznie musi być rozumiane według całego rzeczy porządku, jaki ustanowił Chrystus, to jest rozumiane o biskupach wziętych razem z tym, który ich utwierdza, Piotrem, i z tą możebnością upadku, bez takiego utwierdzania. Ale jeśli ich osobno weźmiemy, tedy się to drugie do nich stosuje, że oni w wierze upadać mogą, i aby nie upadli, potrzebują być potwierdzani przez Piotra. Ten fakt i ów tekst z Ewangelji, na którym się ten fakt opiera, jest tak niewygodny nie tylko wszystkim protestantom i jawnym schyzmatykom, ale Gallikanom także i wogóle wszystkim zwolennikom nieomylności bezwzględnej biskupów, żeby się go radzi pozbyć wszelkimi możebnymi sposobami. Lecz darmo: fakt stoi, a tym co się na tekst Ewangelji sierdzą i targają, daliśmy już w samej mowie dostateczną odprawę. Teraz więc wyprowadzamy wniosek: jeżeli wszyscy biskupi, wzięci z osobna, upadać mogą, mogą upaść i wszyscy razem zebrani na Soborze; jednostki omylne nie mogą dać iloczynu nieomylnego. Dowód jest matematyczny.

Powiedzą, że na Soborach jest z nimi Duch Święty? Prawda, ale oni się oprzeć mogą Duchowi Świętemu, choćby i na Soborach, a więc choćby i na Soborach większość ich upaść może. Chrystus Pan nie rozróżnił Biskupów na Soborach od biskupów nie na Soborach, i to, co o możebności upadku



i o potrzebie potwierdzenia do nich powiedział, to na każdy przypadek powiedział do nich. Więc i bez Soboru i na Soborze upadać mogą i potwierdzonymi być potrzebują; i raz jeszcze: jednostki omylne nie dają iloczynu nieomylnego.

Powiedzą, że Duch św. wtedy cud czyni i zmienia naturę rzeczy przez samego Chrystusa przy swojej właściwości pozostawioną? To łatwo mówić, ale czem tego dowodzą? Niczem zgoła; i już tem samem kłopot swój zdradzają, że się muszą uciekać do cudu, to jest do nadzwyczajnego zmienienia natury rzeczy, jaką Chrystus pozostawił. Albowiem rzecz jest jasna jak dzień biały, że Chrystus pozostawił biskupom ich wolność całkowitą w pokusach wiary, i że ich nie zabezpieczył żadnym cudem, żadnem szczególnem opatrzeniem ich wolności obwarowaniem, tak jak Piotra, ale że ich tylko od upadku zabezpieczył tego Piotra potwierdzeniem; a wolność ich im całą razem z możebnością upadku w zupełności zostawił. Dlaczegoż oni poważają się zmieniać tę naturę rzeczy przez Chrystusa w całości pozostawioną, i wynajdywać wypadki, gdzie ona będzie przez cud zmienioną? A szczególnie, jak mogą być pewni tego cudu, o którym w słowie i w prawie bożem nigdzie wzmianki niema?

My im wystawimy prawdziwy stan rzeczy. Biskupi są nieomylni na Soborach, to prawda; ale nie dlatego, że się zmienia cała natura rzeczy, i że przestają być podległymi tej możebności upadku, która w nich tkwi zawsze, choćby i na Soborze; nie, nie dlatego wcale; tylko dlatego oni są nieomylnymi na Soborze, że Sobór potwierdza Papież. I z tej to przyczyny Sobór potrzebuje koniecznie potwierdzenia Papieża. Wszakże oni sami powiadają, że Sobór potrzebuje tego potwierdzenia, chociaż z drugiej strony przez niepojętą sprzeczność twierdzą, że gdyby Papież sprzeciwiał się Soborowi i nie chciał go potwierdzić, wtedy Sobór może Papieża złożyć i innego wybrać; co jeszcze więcej jest i gorzej niż gdyby twierdzili, że Papież sam potrzebuje potwierdzenia Soboru. Zgoła niepojęte są te sprzeczności, gdybyśmy nie wiedzieli, że błąd musi być zawsze z samym z sobą w sprzeczności i siebie samego zabijać. Lecz dajmy temu widowisku pokój, i bierzmy to ich niewątpliwe twierdzenie, o dawnych Gallikanach mówimy, bez którego byliby przestali być katolikami, że rzeczywiście Sobór potrzebuje potwier-

dzenia Papieża. Czemuż nie wyciągną wniosku, który w tym razie jest jak najprostszy i jak najoczywistszy. Gdyby postanowienia Soboru same z siebie były nieomyłne, nie potrzebowałyby jako żywo potwierdzenia papieskiego: a jeżeli go potrzebują, tedy innej w tem logicznej przyczyny niema i być nie może, jedno ta, że Sobór sam z siebie może być omylny. Gdyby ten wniosek byli uczynili, mieliby zarazem prosty, jasny, i przez historię wszystkich Soborów stwierdzony komentarz onych słów Chrystusa Pana: „Was szatan będzie przesiewał jak zboże: ale Piotra nie będzie; jego wiara nie ustanie, i on będzie was w wierze potwierdzał”. Wtedy zaprzestałiby niezawodnie swoich nierozumów i sprzeczności.

To dziwna! Ten komentarz słów powyższych Chrystusa Pana wypisała cała historia kościelna, powtarzając ciągle ten fakt potwierdzania Soborów przez Papieży, a zwolennicy bezwzględnej nieomyłności Soborów oczy mają, na fakt patrzą i nie widzą; i dlatego też zapewne słuchając onych słów Chrystusowych, uszy mają, a jednak nie słyszą i nie rozumieją: owszem wolą utrzymywać, że te słowa odnosiły się prywatnie do osoby Piotra, i razem z nim do grobu zstąpiły, że przeto w życiu Kościoła nic zgola nie znaczą. Tymczasem na ten bezrozum odpowiada właśnie to samo życie Kościoła, odpowiada cała jego historia, i oni sami odpowiadają, nie mogąc nie wyznać, że Sobory potrzebują takiego przez Papieży potwierdzenia. Więc znaczą, i bardzo znaczą te słowa, i nie co innego znaczą jedno, że biskupi na Soborach mogą być omylni, i że sam tylko Papież w osobie swojej i z natury rzeczy, jest nieomylny.

Albowiem tu przychodzi ta ostatnia uwaga, że utrzymując, że Papież jest nieomylny nie zmienia się zgola natura rzeczy, nie popełnia się sprzeczności i bezrozumu, tak jak gdy się twierdzi, że biskupi pojedynczo omylni, kiedy się razem zbiorą, stają się z nagła nieomylni. Nie zmienia się, powiadam, natury rzeczy; to jest, nie my ją zmieniamy, bo już ją Chrystus raz na zawsze zmienił, i z jego ustanowienia to co było omylnem stało się nieomylnem, i już jest i pozostaje nieomylnem. Z biskupami tego przemienienia natury nie uczynił, ale uczynił z Piotrem. Piotr tedy obleczony jest przez Chrystusa w inną naturę, ma dar być nieomylnym, i to w osobie swojej, i to zawsze i na

wszystkie razy. Nie staje się on za każdym razem z omylnego nieomylnym, tak jakby się dziać musiało z biskupami na Soborze, ale jest ciągle nieomylnym i przedtem, i potem, i zawsze. A więc nie zmienia się tu natury rzeczy i nie popełnia się tu tej matematycznej niedorzeczności, że liczby skończone dają całość nieskończoną; tu liczba jak była tak jest i tak nadal nieskończoną pozostaje. To jedno jest logiczne, to jedno jest mądre, tak jak zarazem to jedno jest prawdziwe, bo to jedno przez Chrystusa ustanowione.

A więc pierwsza racja, którąśmy nazwali z dołu, dostatecznie tłumaczy i dowodzi, że jeżeli biskupów będziemy uważali samych w sobie, i niezależnie od owego warunku bycia potwierdzanymi przez Papieża, tedy z natury rzeczy, to jest i z tego co ustanowił Chrystus i z tego co pozostawił, niezaprzeczenie wypływa, iż biskupi mogą się mylić, to jest, że nie posiadają ostatniej nieomylności w wierze, i że pod tym względem niema różnicy między biskupami zebranymi na Soborze a między biskupami uważanymi z osobna.

Tego samego dowodzi i to samo tłumaczy ona druga racja, którąśmy nazwali racją z góry, a która zamyka się w tym niejako metafizycznym pewniku: że Bóg bez potrzeby cudów nie mnoży. Ten pewnik zastosowując jako правило do naszego przypadku, twierdzimy naprzód, że owa nieomylnść biskupów, o jakiej stronnicy takowej mówią, byłaby cudem pomnożonym; utrzymujemy powtórę, że w danym przypadku żadnej a żadnej potrzeby niema podobnego cudu, wnioskujemy nareszcie jako konieczne następstwo, że Bóg takiej cudownej i niepotrzebnej nieomylności biskupom nietylko nie udzielił, ale pod pewnym względem, nie powinien był udzielić. Dowód ten jest tem mocniejszy, że się opiera na metafizycznej zasadzie, i nosi ten samem w sobie jakoby metafizyczną pewność.

A naprzód zasada jaką wyraziliśmy, że Bóg bez potrzeby cudów nie mnoży, nie podpada żadnej wątpliwości, ale ma owszem w sobie właściwości pewnika. Bóg nadał stworzonym przez siebie istotom pewne prawa, albo ściślej mówiąc, zakony (lex, loi, Gesetz), podług których te istoty istnieją, rozwijają się i żyją. Cud jest wyjątkiem z pod tego zakonu, jest zawieszeniem zakonu rządzącego jakąś istotą, jest czynem stwórcielskim, który sam Stwórca tylko dokonać może, a którym

zawiesza w jakiejś istocie zakon nią rządzący, i dokonywa jakiegoś skutku, który nie jest w związku z tym zakonem, a nawet pod pewnym względem może być mu przeciwnym. Otóż z samegoż pojęcia tak istoty jak zakonu, jakoteż stworzycielskiego działania, z metafizyczną koniecznością wypływa, że Stwórca nie dokonywa podobnego skutku w istocie jakiej bez wyraźnej potrzeby. Albowiem pocóżby dawał zakon istotom i stałe prawidło ich bytu, gdyby temi samemi istotami miał potem rządzić wyjątkami? Byłoby to niegodne jego mądrości, owszem, niegodne Jego powagi i godności, nie już nie mówiąc o świętości i nietykalności Jego. Ażaliżby doprawdy na to stanowił zakon, by go następnie, bez powodu, i potrzeby, jak gdyby dla igraszki i krotochwili, burzyć i przewracać? Zachowaj nas Boże od podobnych myśli, któremibyśmy zaiste większą naszemu własnemu rozumowi aniżeli Bogu krzywdę zadawali. Stoi tedy pewnik, że Bóg bez potrzeby cudów nie mnoży, ale nawet zgoła nie czyni.

Ten pewnik tak się zgadza z rozumem samym, że go niektórzy z myślicieli i filozofów, za nadto znowu po ludzku sądzący, za daleko posunęli. Są bowiem między nimi tacy, którzy utrzymują, że Bóg nigdy wyjątków w naturze nie czyni, i że w żadnym razie nie ucieka się do cudów. Twierdzenie podobne jest drugą ostatecznością i równie nierozumną jak kiedy się twierdziło, że Bóg bez potrzeby cudami szafuje. Albowiem może zajść prawdziwa potrzeba dla Stwórcy uczynienia cudu; i natenczas nietylko, że nie jest weale nieodpowiednem jego mądrości i godności dokonanie podobnego nadzwyczajnego skutku; ale przeciwnie jest że wszecch miar godne jego boskiego działania. Idzie tylko o pojęcie i przekonanie się, że może istotnie zachodzić taka potrzeba, idzie o zrozumienie jaka to potrzeba zajść może. Otóż taką potrzebę tłumaczy to, że Stwórca niektóre ze swych stworzeń, to jest istoty rozumne, obdarzył wolnością. Obecność istot rozumnych i wolności na świecie tłumaczy dostatecznie i najdokładniej potrzebę cudów. Warto się nad tem chwilę zastanowić.

W rzeczy samej, skoro raz jest wolność na świecie i istoty nią rozporządzające, natychmiast zjawiają się na nim dwa porządki rzeczy, dwa prądy wypadków: jeden przez Stwórcę zapoczątkowany i prowadzony, drugi zaś przez one istoty rozu-



mem obdarzone. Wolność tych ostatnich to sprawia, że porządek rzeczy i wypadków przez nie ziszczany może się nie zgadzać i być w sprzeczności z porządkiem zaprowadzonym i utrzymanym przez Stwórcę. Stwórca ze swej strony pozwala im tak czynić, inaczej gwałciłby wolność tym istotom raz udzieloną, tem samem gwałciłby zakon, jaki sam nadał tym istotom i nie pozwalałby im żyć według wymagań tego zakonu. Pozwala tedy Najwyższy Sprawca wszechrzeczy używać wolności tym rozumnym stworzeniom, a następnie pozwala do pewnej miary psuć porządek przez Siebie ustanowiony. Lecz nie może tego dozwolnić do końca i do ostatnich następstw. Gdyby tego dozwolił, wtedy cały ogólny porządek świata, a szczególnież ostatni cel, do którego ten porządek zmierza, mógłby być zwichniętym, a nawet ryczałtowo chybionym. Jest bowiem ostatni cel, jest porządek ostateczny, który sobie Stwórca w zakładaniu tego świata zamierzył, a który chybionym być nie może. Owóż gdyby wolności niczem nie pohamowane popuścić wiodło, a wszystkim jej skutkom dać się rozwijać, bez wyjątkowego ich naprawiania, zaledwie, a może też i zgola nie, ten ostatni Boży porządek i cel zdołałby być osiągniętym. Bóg to lepiej widzi, i wie kiedy i jak trzymać tę wolność na wędzidle, kiedy i jak złe jej skutki naprawić. Ale wtedy wdaje się bezpośrednio w ten drugi porządek rzeczy i wypadków, ten, mówię od wolności zależący; a to wdanie się jest nadzwyczajnem działaniem Stwórcy i nazywa się cudem. Głównem i naczelnem takim wdaniem się Stwórcy jest samo Wcielenie się Słowa Bożego, cud nad cudami; a dalej wszystkie inne podobne lub temu odpowiednie, na tej samej zasadzie oparte. Jest tedy potrzeba cudu.

Ale zarazem jest i granica, jak potrzeby, tak i cudu. Podobnie jak jedno tylko było Wcielenie, bo drugiego nie potrzeba było, tak i w każdym innym przypadku jeden tylko jest cud, gdzie drugiego nie potrzeba; a więc taksamo ma się i z nieomylnością w wierze. Nieomylność w wierze jest koniecznie potrzebna wobec wolności rozumu ludzkiego, który raz sobie powierzona prawdę Bożą może zaćmić, przekręcić, przefrymarczyć w spółkowaniu z błędem, i stracić ją do szczeru. Potrzebne tedy jest bezpośrednie wdanie się Boga, potrzebny cud osobnego rodzaju, aby nieomylność w wierze zabezpieczyć od

tych hazardów wolności rozumu ludzkiego. Atoli żeby nieomyślność ta utrzymała się na zawsze w Kościele i na świecie, dosyć jest ku temu jednego człowieka. A więc jest ten jeden człowiek, jest Papież cudownie przez Boga w nieomyślności utrzymywany. Ale zarazem dla tej samej przyczyny i drugih takich niema. Nie są potrzebni.

Więc teraz możemy powtórzyć, już jako rzecz dowiedzioną cały wywód rozumowania wyżej przez nas podany.

Powiedzieliśmy na pierwszym miejscu, że udzielenie nieomyślności biskupom, choćby razem na Soborze zebranych, byłoby cudem o tyleż pomnożonym. Któż teraz o tem powątpiewać może?

Położyliśmy na drugim miejscu, że podobnego cudu niema żadnej potrzeby. Czyż i tego każdy teraz nie widzi?

Zakończyliśmy nareszcie, że tego cudu Bóg nie uczynił, że nawet pod pewnym względem nie powinien był uczynić. Zdaje nam się, że po tamtych dwóch prawdach i tę trzecią każdy już przyzna.

Chcemy się jednak do samego końca zrozumieć. My nie twierdzimy, ani też możemy twierdzić, aby biskupi na Soborach w żaden a żaden sposób nie mieli udziału w nieomyślności. Owszem twierdzimy, że na Soborze biskupi są nieomylni, i to osobno od Papieża (chociaż nie oddzielnie od niego *distincte quamvis non separate*), i to nawet własnem, nie od Papieża pożyczanem, prawem (*proprio iure*); my to tylko jedno utrzymujemy, że nie są nieomylni sami od siebie, i niezależnie (*independenter*) od Papieża. Żeby to jednak zrozumieć, trzeba się zagłębić do samej istni Kościoła i tych stosunków jakie z ustanowienia Bożego, i głębiej jeszcze, bo z samej istoty i wiecznej myśli Bożej, zachodzą między Papieżem, a między nie już biskupami, lecz całym Episkopatem.

Sprawę tę staraliśmy się wystawić w osobnem dziełku<sup>1)</sup>, do którego odsyłamy czytelnika chcącego obszerniej mieć rozjaśnioną tę kwestyę. Dla ogółu jednak publiczności podamy tu w treściwym zarysie główne jej żywioły i ostatnie wnioski.

<sup>1)</sup> *Quid Papa et quid est Episcopatus ex aeterna ac divina ratione etc.*, Romae, apud Marietti, typis de Propaganda Sede 1879.

Istota Kościoła jest jedna w sobie ale ma trzy względne sposoby istnienia, spólnie odnoszące się do siebie. I w tem Kościół naśladuje Boga samego, jest najdoskonalszym w rzeczach stworzonych obrazem Boga, który, jak nas wiara uczy, jest jeden w swojej istocie (substantia) a troisty w osobach czyli w sposobach istnienia. Osoba bowiem nie innego nie jest tylko sposób istnienia natury czyli istoty. Ten jest punkt wyjścia wszelkiej głębszej i prawdziwej nauki i mowy o Kościele i o tem czem on jest.

Co do tych sposobów istnienia Kościoła, takich względnych, jak powiedzieliśmy, i odnoszących się do siebie, możemy je rozpoznać i wejść w bliższe o nich pojęcie, uważając naprzód, że na pierwszy rzut oka Kościół przedstawia nam dwa takie sposoby istnienia, oczywiste, odrazu uderzające i dla każdego widzialne. Tymi dwoma sposobami jest Kościół nauczający i Kościół nauczany. Albowiem w rzeczy samej są w Kościele ci co nauczają: Papież, biskupi, duchowieństwo; i są ci, co są nauczani, to jest lud wierny. I jedni i drudzy mają w sobie całą istotę stanowiącą Kościół, to jest mają całą jego prawdę, całą łaskę i cały skutek prawdy i łaski, którym jest życie nadprzyrodzone, mają właśnie wszystko to, co stanowi istotę Kościoła: ale w inny sposób ma to Kościół nauczający, bo w sposób czynny i udzielający drugim tego wszystkiego, a w inny sposób ma to samo Kościół nauczany, bo w sposób bierny i odbierający to wszystko od tamtego. A więc naprzód są w Kościele te dwa sposoby istnienia: jeden czynny a drugi bierny, jeden jako początek a drugi jako kres, jeden jako władza, a drugi jako jej poddany.

Otóż teraz, gdy się bliżej przypatrzymy pierwszemu z tych dwóch sposobów istnienia, to jest czynnemu, to jest Kościołowi, o ile istnieje jako swój własny początek, i jako władza, natychmiast spostrzeżemy, że i władza w Kościele istnieje także podwójnym sposobem, istnieje także jako względnie czynna i jako względnie bierna, jako początek i jako kres, jako władza poddana drugiej władzy. Tymi dwoma sposobami istnienia władzy jest z jednej strony Papież, a z drugiej całe ciało biskupów, czyli Episkopat. Te zaś dwa sposoby istnienia władzy mają każdy w sobie nietylko całą istotę, stanowiącą Kościół (tak ją mają one dwa pierwsze ogólne sposoby istnienia Ko-



ścioła: nauczający i nauczany); ale jeszcze mają w sobie każdy z osobna całą władzę Kościoła, chociaż każdy w inny sposób: to jest jeden (Papież) ma ją w sposób czynny i niezależny, drugi (Episkopat) ma ją w sposób bierny i zależny względem tamtego pierwszego, chociaż w sposób czynny i niezależny, jeśli się odniesie do ludu wiernego.

Tem tedy prawem jedna jest istota Kościoła, to jest: prawda, łaska i życie nadprzyrodzone, które tę istotę jedną stanowią, ale trzy są sposoby, którymi ta istota Kościoła istnieje: Papież, Episkopat i lud wierny. I znowu w tej istocie Kościoła jeden jest jej początek, czyli ta, która mu odpowiada, władza: ale dwa tej władzy sposoby istnienia: Papież i Episkopat. To wszystko zaś jest na wzór tego, co jest w samym Bogu, w którym także jest jedna istota czyli natura Boska, a trzy tej istoty sposoby istnienia: Ojciec, Syn i Duch Święty. I znowu w tych trzech osobach dwie istnieją jako początek, to jest Ojciec i Syn; trzecia zaś, to jest Duch Święty, jako tego początku kres i dopełnienie. Ale w tym początku Bożym (principium) inny jest sposób istnienia w Ojcu, a inny w Synu: w Ojcu niezależny i czynny względem Syna samego, a w Synu zależny i bierny względem Ojca, chociaż następnie niezależny i czynny względem Ducha Świętego.

Z tego wypływa wielkiej wagi następstwo, a tem jest, że w Kościele nietylko znajduje się na wzór Boży jedna istota, stanowiąca jego życie całe, ale że na ten sam wzór i władza w Kościele, stanowiąca tego życia przyczynę i początek, jest także jedna i doskonale jedna. Istota Kościoła nie może się na dwie lub trzy podzielić, a rozkładając się na sposoby istnienia nie rozkłada się na części; bo sposób istnienia nie jest częścią jakąś istoty, tylko jest całą istotą, choć pod innym względem i z innej strony uważaną. Tak samo i władza w Kościele na części się nie rozkłada i nie dzieli na kawałki, ale się tylko rozosobnia na one dwa swoje względy czyli sposoby istnienia, przez które władza nie rozpołowiła się i nie rozłożyła na dwie władze, lub na dwie części, ale w których, i to w każdym z nich znajduje się cała i całkowita władza, tylko tu w inny, a tam w inny sposób.

Powiedzieliśmy, że to następstwo jest bardzo wielkiej wagi, owszem trzymać wypada, że ono jest zasadą i prawidłem w całej



tej rozprawie i sądach o władzy w Kościele i o stosunkach wzajemnych Papieża i biskupów. Znaleźli się bowiem tacy i w niemałej liczbie, którzy w skutek niepojęcia tego pewnika, że władza w Kościele jest jedna tylko i podzielić się na części nie może, utrzymywali i utrzymują, że Papież ze swojej strony ma część pewną władzy kościelnej, choćby nawet przewyższającą i główną, ale, że biskupi mają także część tej władzy, i że bez tej drugiej części papieska władza nie jest całkowitą i zupełną. Tymczasem co innego zgoła twierdzić potrzeba: albowiem jest rzeczą pewną, że władzę kościelną, ponieważ właśnie jest jedna z natury swojej, na takie kawałki rozmaitej długości dzielić się nie godzi; i że dla tej przyczyny twierdzić to jedno tylko i można i potrzeba, iż ta władza jest całkowita w Papieżu i jest całkowita w Episkopacie; nic jej nie brakuje ani tam ani tutaj; tylko w Papieżu jest w inny sposób, a w Episkopacie w inny.

Żeby tę prawdę pojąć i poznać w całej jej właściwości i dokładności trzeba postawić to drugie prawidło, że jedna i ta sama władza może istnieć w dwóch lub więcej subiektach czyli osobach lub rodzajach osób, nie przestając być jedną i tą samą władzą. Takie twierdzenie możeby było trudniejsze do pojęcia i przypuszczenia, gdybyśmy nie mieli nawet w świeckiej historii przykładów tej rzeczy. Mamy tego mianowicie bardzo szczególny i świetny, a jak może być najdokładniejszy przykład w konsulach rzymskich. Albowiem obaj konsulowie rzymscy nie dzielili między sobą władzy królewskiej, którą piastowali (wiadomo bowiem, że konsul w swej władzy choć rocznym tylko, ale prawdziwym był królem), i kiedy chodziło o jej użycie, każdy konsul z osobna pełnem prawem mógł stanowić co mu się podobało: a jeśli drugi konsul nie wydał przeciwnego postanowienia, to co jeden z nich postanowił otrzymywało pełny skutek. Jeśli przypadkiem drugi ogłosił przeciwną uchwałę, wtedy, ponieważ jedno i drugie tej samej były wagi, to jest najwyższej i królewskiej, nie odwoływano się od nich zgoła do jakiejś wyższej jeszcze władzy, naprzykład Senatu lub do ludu (mądrość stara rzymska nie знаła jakiejś władzy wyższej od najwyższej), ale wtedy, dla tego samego, że oba postanowienia były najwyższe, a sobie przeciwne, więc jedno drugie znosiło

i żadne z nich skutku nie miało <sup>1)</sup>. Z tego się okazuje, że władza królewska w Rzymie nie dzieliła się między obu konsulów na dwie równe części, ale, że każdy z nich posiadał ją w całkowitości. Była tedy jedna i ta sama władza, ale posiadana przez dwa subiekta czyli osoby, i przez każdego całkowicie. Najodpowiedniejszy to tedy a razem najdokładniejszy przykład tego co się dzieje w Kościele, gdzie jedna i ta sama władza piastowana jest przez dwa osobne subiekta czyli osoby: przez osobę pojedynczą Papieża i przez osobę zbiorową Episkopatu.

Lecz jeśli w tym przykładzie jest podobieństwo, jest zarazem i różnica; nigdy bowiem rzeczy ludzkie, tembardziej kiedy nie poświęcone, nie mogą dorównanie rzeczy bożych malować i wyobrażać. Różnica ta w tem leży, że władza owa królewska między dwóch konsulów rozłożona nie była z sobą w koniecznem dodatnem odnoszeniu się i powiązaniu (była tylko w ujemnem, to jest, że mogła niweczyć jedna strona drugą); a tem samem nie była z sobą w hierarchicznej spójni. W Kościele przeciwnie, i jedna i druga strona związana jest spólną władzą w dodatny sposób, to jest, że do aktu władzy i jedna i druga spółprzyczyniają się, a tem samem są z sobą w hierarchicznym związku, to jest, że każda z nich ma swoje miejsce: jedna jest pierwszą, a druga jest drugą, jedna całkowitym początkiem, a druga dorównanym kresem, a tem samem przy równości względnej jest zarazem i zależność hierarchiczna; tak samo zupełnie jak w Trójcy Przenajświętszej, przy równości względnej a zarazem istotnej Ojca i Syna jest zależność hierarchiczna (że tak się godzi powiedzieć) Syna od Ojca. Tego w onych konsulach rzymskich nie było, bo być nie mogło; mimo to jednak są oni najdoskonalszym przykładem, jaki w rzeczach ludzkich być może tego sposobu, jakim jedna i ta sama władza kościelna jest całkowicie posiadana przez dwa osobne subiekta albo osoby, przez osobę pojedynczą Papieża i przez osobę zbiorową Episkopatu.

Przykład, któryśmy przytoczyli, był niezawodnie w historii ręką Opatrzności zrządzony; bo ona sprawiła, iż kiedy z jednej strony mocarstwo rzymskie w ogromie swoim było materialnym przedwzorem duchowej potęgi Kościoła, z drugiej

<sup>1)</sup> Dokładnie tę rzecz objaśnia Mommsen w swojej: *Römische Geschichte*.

strony władza tem mocarstwem rządząca była podobnież w swym składzie i postaci materyalnym przedwzorem tego bożego sposobu, jakim władza miała kiedyś w duchowem mocarstwie kościelnem rządy swoje sprawować.

Cóżkolwiekby, mamy przed sobą przykład materyalnie dostępny tego duchowego sposobu istnienia władzy kościelnej, o jakim mówimy. Twierdzimy tedy, że władza kościelna jak z jednej strony jest jedna w sobie i w całkowitości swojej niepodzielna, tak z drugiej strony w istnieniu swoim i w sprawowaniu rządów rozłożone jest między dwie osoby, z których każda posiada ją w całkowitości, chociaż z owem, jak mówiliśmy hierarchiczem podporządkowaniem. To twierdzimy: a twierząc, już rozumiemy dobrze, co znaczy to twierdzenie.

Teraz trzeba tego dowieść, i to czynimy w naszym powyżej wspomnianem dziełku, do którego odsyłamy po obszerniejszy wywód. Treść naszego dowodzenia na tem się zasadza, że takie jest ustanowienie Chrystusa. Dowiódłszy tam naprzód jedności i niepodzielności władzy z samej natury rzeczy (bo jak jedna jest istota (substantia) Kościoła, tak i początek jej istotny (principium) to jest władza, jedna tylko być może) dowodzimy następnie, że Chrystus Pan tę jedną i niepodzielną władzę raz dał całkowicie Apostołom razem wziętym, drugi raz dał ją całkowicie Piotrowi osobno i osobiście wziętemu. Są w Ewangelji dwa całe szeregi wyroków Chrystusowych: jednym z nich Chrystus daje władzę Apostołom, drugim zaś szeregiem wyroków daje ją Piotrowi jednemu. I Apostołowie tedy, ale również i Piotr sam jeden, posiadają tę władzę całą i całkowitą. Byłby to dualizm, a następnie źródło sprzeczności i niezgody, gdyby się z niego nie wychodziło odrazu tym najprostszym sposobem, że się władza przez to nie podzieliła, ale, że pozostając zawsze jedną w sobie i całkowitą, piastowana jest tylko przez dwa odnoszące się do siebie, to jest względne (relativa) subjekta.

Atoli w tej względności i odnoszeniu się do siebie subjektów jest zarazem i ich hierarchiczna jednego od drugiego zależność. W onym bowiem szeregu wyroków Chrystusowych, który się do Piotra odnosi dana jest ta całkowita władza kościelna Piotrowi, jako mającemu słowo potwierdzające, to jest źródło nieomyłności; jako dzierżącemu klucze, to jest źródło jurysdykcji czyli sądownictwa; jako piastującemu łaskę pasterską.



to jest źródło rządów wykonawczych; a przede wszystkim jako będącemu opoką, to jest podstawą i podwaliną, to jest pierwszym źródłem i dorównanym początkiem (principium) samejże, o której mówimy, i całkowitej władzy kościelnej. W ten tedy sposób jeśli w całym Kościele, co do jego istoty, początkiem (principium) tej istoty Kościoła jest władza, tedy w samejże władzy, i co do jej, że tak powiem, istoty, podobnym początkiem (principium) jest Piotr. W tej przeto władzy kościelnej, i w jej pojedynczej i nierozdzielnej istocie takie jest wzajemne odnoszenie się Piotra i Apostołów, Papieża i Episkopatu, że Papież jest pierwszym a Episkopat drugim: Papież początkiem, a Episkopat kresem: Papież środkiem ciała tej władzy i podwaliną jej budowy, a Episkopat spójnią ciała i budowy powiązaniem. Z tego zaś natychmiast wypływa owa zależność we wzajemnem odnoszeniu się, i Episkopat w sposobie piastowania i sprawowania władzy kościelnej zależy od Papieża jako drugi od pierwszego, jako kres od początku, jako spójnia ciała od jego środka, i gmach budowy od jej podwalin. I tu się jasno i przezroczysto widzi to dwoje: że i ta władza nie przestaje być jedną i tą samą, i że takie dwa są konieczne jej sposoby istnienia, bo wszystko na świecie, co w istocie swej jest jedno, ma w swoim istnieniu to dwoje: swój własny początek i własny kres, swój środek i swój obwód, swoją podstawę bytu i swoją postać zewnętrzną, swoje pierwsze i swoje ostatnie.

Z takiego najistotniejszego pojmowania rzeczy i natury władzy kościelnej, jak ją Bóg ustanowił na obraz i podobieństwo swoje, jak z jednej strony dokładnie rozumiemy czem jest Papież w Kościele, tak z drugiej niemniej doskonale pojąć możemy czem jest Episkopat: a raz mając to dokładne pojęcie Episkopatu, możemy rozwiązać wszystkie pytania i zadość uczynić wszystkim trudnościom, jakie przez teologów stron obu poruszone są ile razy jest mowa o Episkopacie i o jego stosunku z Papieżem.

Episkopat tedy, jeśli chcemy dać dokładne jego orzeczenie i określenie, musimy powiedzieć, iż jest osobą moralną, to jest, że jest to zebranie wszystkich prawowitych biskupów, stanowiące jedną moralną osobę, a ta osoba jest subjektem czyli podkładnikiem władzy kościelnej, i posiada tę władzę całkowicie obok Papieża i tak jak Papież, chociaż na drugim miej-



scu. Posiada ona tę władzę wprost i bezpośrednio od Boga co do jej istoty, ale co do sprawowania tej władzy (*exercitium*), posiada to sprawowanie pośrednio od Boga, a bezpośrednio od Papieża dla tego samego, że jest na drugim miejscu i że ta władza, ponieważ jest jedną i tą samą niepodzielną władzą, kiedy idzie o jej sprawowanie i wykonywanie, musi być w ten ruch wykonawczy wprowadzoną przez tego, który jest na pierwszym miejscu, który ją posiada jako początek, a tym jest Papież. Koniecznie tedy w sprawowaniu władzy Episkopat jest zależny od Papieża. Mimo to jednak, kiedy już raz początek wykonawstwa dany jest przez Papieża, Episkopat staje na swoim miejscu, nie jako od Papieża władzę mający, ale jako mający ją wprost od Boga, a zatem posiada tę władzę sobie od Boga daną własnem prawem (*proprio jure*) nie zaś od Papieża pożyczonem, i wykonywa ją w imieniu tegoż własnego prawa, a nie z polecenia Papieża. Episkopat tedy nie jest porucznikiem czyli delegatem Papieża, ale jest równym jemu co do władzy, chociaż na swoim miejscu; nie jest jego zastępcą lub wikarym, ale kolegą i spółnikiem; nie jest dowolnym i przypadkowym urzędnikiem w Kościele, ale istotnym i koniecznym, i równie koniecznym jak Papież. Papież nie może go pominąć żadną miarą. Jednem słowem chociaż w sprawowaniu władzy zależny od Papieża, we władzy jednak samej Episkopat jest takim samym jej dzierżycielem, jak i Papież, takim samym jak i on pełnym subjektem pełnej władzy.

Zaiste wysokie jest, owszem najwyższemu równe znaczenie Episkopatu w Kościele. Nigdy mu takiego znaczenia dać nie może ani też daje teoria gallikańska, która chociaż go na pozór wynosi i nad Papieża stawia, w rzeczy jednak samej poniża i kaleczy. Albowiem, że inne względy pominiemy, w teorii gallikańskiej tem samem, że władza dzieli się na części i rozłożona jest między Papieża i Episkopat, tylko część władzy kościelnej na Episkopat przypada, i to jeszcze część ta koniecznie jest mniejszą, gdyż i gallikańska teoria przyznaje, że Papież jest głową Kościoła i ma pierwszeństwo w tej władzy. Tu zaś dla tego samego, że ta władza się nie dzieli, i że Episkopat jest jej osobnym i pełnym subjektem, i to konieczne następuje, że Episkopat posiada tę władzę nie w części jakiejś, ale w całości. Doprawdy, teoria gallikańska nie śmia-

łaby kiedykolwiek, ani też w istocie nigdy nie śmiała takiej pełni władzy przypisywać Episkopatowi, która mu się jednak z prawa należy; chociaż mu przyznawała tak nadzwyczajne i całą władzę kościelną burzące prawa (jak składanie z urzędu Papieża), a które mu się zgola nie należą. Nadając Episkopatowi prawa niezależne a tem samem fałszywe, odbierała mu najprawdziwsze jego prawa i najśluszniej mu należące. Czyniła jak rewolucya, burząca samą zasadę porządku, i która kiedy rzekomo pod niebiosa wynosi, wszystko w istocie o ziemię obala.

Episkopat tedy jest tem czem powiedzieliśmy: jest drugim obok Papieża, względny do niego, a pełnym subjektem pełnej i całkowitej władzy kościelnej, w sprawowaniu tylko tej władzy od Papieża zależnym. I to jest prawdziwe i dokładne orzeczenie Episkopatu.

Tu się nasuwa uwaga: Czy takie znaczenie Episkopatu nie wprowadza do Kościoła owego dualizmu o którym wspomnieliśmy, a tem samem nie otwiera wrót szerokich do niezgody i rozerwania?

Żadną miarą. Albowiem cóż to jest dualizm w swoim właściwym znaczeniu? Jest to system nauki twierdzący, że są dwie istoty, albo dwa pierwiastki, a tem samem dwie przyczyny, stojące niezależnie jedna obok drugiej, obdarzone taką samą istotnością i taką samą siłą lub władzą, i mogące być każda początkiem osobnego szeregu następstw i czynów, a w koniecznym wniosku takich czynów i następstw, które mogą być i są z sobą w przeciwieństwie. Ten a nie inny jest dualizm, zaczawszy od Ormuzda i Ahrimana, aż do Idei i bezimiennej Materii Platona, aż do Bytu i Nica (das Seyn und das Nichts) nowoczesnych filozofów; dualizm, którego żaden sztuczny proces między obojgiem (jeśli każde, jak to trzeba koniecznie, weźmiemy w absolutnem znaczeniu) nie zdoła nigdy doprowadzić do jakiegoś stawania się (das Werden) czegoś jednego z tego dwojga, żyjącego koniecznie w wiecznym między sobą rozdwaju dla tego samego, że są dwoje, i każde z nich absolutne. Myśl ludzka przenieść tego i zgola pojąć nie może, aby tam gdzie nie było jedności poprzedniej mogła być jedność następna, kiedy bierzemy istotę rzeczy w absolutnem znaczeniu. Owszem, myśl ludzka z konieczności pojmuje, że

kiedy poprzednio jest dwoje czegoś, z których każde absolutnie siebie zatwierdza, to jest, jest sobą, wtedy i następnie musi być dwoje i zawsze dwoje, bo niema nic coby je jednało następnie, kiedy ich nie jednało poprzednio. Taka jest natura dualizmu.

To też dogmat chrześcijański o Trójcy Przenajświętszej jest wbrew czemś przeciwnem temu bezrozumowi, jakoteż tej późno pojawiającej nowożytniej niedorzeczności, chcącej czemś trzeciem następnem ratować ów bezrozum poprzedny. W dogmacie chrześcijańskim o Bogu, to co się pierwsze w Bogu pojmuje i wszystko poprzedza, co o Bogu myślimy, jest jego natura, która jest owem jednym poprzednem; potem dopiero (logicznie rzecz biorąc) ta jedna natura ma dwa sposoby istnienia: jeden jako początek czyli Ojciec, drugi jako kres czyli Syn, i ten jest ów święty, że tak powiem, dualizm, w którym Bóg naprzód istnieje; ale ten dualizm właśnie dlatego, że miał swoją poprzednią jedność w naturze, koniecznie dąży do podobnej jedności w istnieniu, i dlatego koniecznie przychodzi do trzeciego sposobu istnienia, który jest jednością dwóch poprzednich sposobów, a którym jest Duch Święty. I dlatego w Bogu jest jedność następna w istnieniu czyli existencji, że była jedność poprzedna w naturze czyli w essencji. To jedno jest prawdziwe, to jedno rozumne; a rozum ludzki chociaż rzeczy nie widzi, bo mu się jeszcze one ostatnie na absolutum patrzeć zdolne oczy nie otworzyły, sposób jednak pojmuje, i ten jeden sposób przyjęcia z dwojga do jednego uznaje za rozumny, za odpowiadający samemu zakonowi myśli swojej, to jest rozumu samego. Przetoż tembardziej, raz to pojawiawszy, uznaje wszelki dualizm, a następnie wszelkie one krzywe sposoby wyjścia z dualizmu do następnej jedności, za wierutne bałamuctwo rozumu ludzkiego.

Otóż tak samo rzecz ma się i z dualizmem w Kościele, czyli raczej z niemożebnością, aby w kościele był prawdziwy dualizm, i jako taki w nim pozostał. Albowiem podobnie jak w Bogu pojmuje się naprzód jedność natury, tak samo i w Kościele znajduje się naprzód jedność jego istoty. Tą istotą Kościoła jest łaska Boża, Duch Boży stanowiący życie Kościoła, jakeśmy to już widzieli. Ta łaska, ten Boży Duch jest jeden w sobie, i to jest Kościoła jedność poprzedna, jedność jego

istoty. Następnie ta jedność Kościoła istnieje w swoich dwóch pierwszych sposobach istnienia, jako władza, a naprzód jako tej władzy początek i tym jest Papież, potem jako jej kres, i tym jest Episkopat. Lecz tak pozostać nie może: bo te dwa sposoby istnienia jako władzy muszą wejść w ruch, to jest w wykonanie wszystkich skutków tej władzy, jaką w sobie noszą, aby i tym sposobem dokończyć, że tak powiem, swego istnienia i dopełnić czyli ziścić całą istotę Kościoła w ostatnim jej skutku. Tym ostatnim skutkiem, tym trzecim sposobem istnienia istoty Kościoła, to jest łaski Bożej i Ducha Bożego w człowieku, jest lud wybrany, jest całe zgromadzenie wiernych, jest Kościół powszechnego ciała. I to będzie jedność następna Kościoła w całym jego powszechnym istnieniu, tak jak była jedność uprzednia w jego istocie. Ale tej następnej by nie było, gdyby nie było owej poprzedniej, i Kościół dlatego jest jeden w swoim ciełe i zewnętrznym istnieniu, że jest przedtem i od początku jeden w swoim duchu i wewnętrznej istocie.

Tą wewnętrzną poprzednią istotą Kościoła, jakśmy rzekli, jest łaska Boża, jest Boży Duch. Otóż ten koniecznie, z natury rzeczy, jest jeden w sobie. Gdyby działanie jego w Kościele nie było niczem przeszkodzone, gdyby nie było wystawione na próby wolności ludzkiej, wtedy ów skutek, któryśmy tylko co wystawili, byłby osiągnięty nie tylko nieomylnie, ale prócz tego w każdym razie i we wszystkich osobach, czy Papieżu, czy biskupach, czy prostych wiernych, należących do Ciała Kościoła. Lecz tak nie jest; wolność ludzka przyczynia się tu ze swej strony do dzieła, i sprawia różnicę, na którą trzeba baczną raz jeszcze zwrócić uwagę.

Ta tedy jest różnica między sposobem istnienia Bożej natury w owych swoich trzech sposobach istnienia, a istoty Kościoła w swoich, że Boża przychodzi do tego ze wszechmiar koniecznie, z samego musu natury swojej; kościelna zaś z jednej tylko strony koniecznie do tego przychodzi, o ile zawsze za łaską Bożą będzie pewna liczba wiernych, która dojdzie do tego skutku ostatniego, ale z drugiej strony niekoniecznie, o ile będzie także znaczna druga liczba, którzy cofną się, upadną, z Kościoła wyrzuceni będą i do ostatniego skutku nie będą należeli.



Tu trzeba nam sobie przypomnieć, cośmy już wyłożyli o tych próbach wolności ludzkiej, i że na nie są wystawieni z samegoż ustanowienia bożego, nie tylko prości wierni, ale nawet sami biskupi. Zdaje nam się, że za pomocą tego nowego światła jeszcze lepiej pojmujemy, dlaczego Bóg wolności ludzkiej nie gwałci nie tylko wewnątrz, bo tam jej nigdy nie gwałci, ale nawet dlaczego jej nigdzie nie krępuje na zewnątrz, kiedy tego niema potrzeby. Pojmujemy bowiem, że Bogu idzie o to tylko, ażeby w Kościele ziścił się ostatni skutek tej łaski, którą mu dał za istotę i życie. Otóż ten skutek może się doskonale ziścić, nie krępując ludzkiej wolności zewnętrznej, nie tylko w prostych wiernych, ale nawet w biskupach, byleby jeden tylko pozostał w Kościele punkt bezpieczny dla tej łaski, na którym oparta nie chybiłaby swojego celu, którym to punktem podpory i bezpieczeństwa jest oczywiście Papież. Lecz zarazem i to tem lepiej pojmujemy, dlaczego na korzyść Papieża Bóg czyni ten cud opatrzny i historyczny obwarowania jego zewnętrznej wolności, w niektórych przynajmniej względach; albowiem bez tego ostatni ów skutek byłby narażony na szwank niechybny.

Chociaż i w tej sprawie z Papieżem musimy podziwiać również tę, że ją tak nazwę, oględność bożą, i to jego uszanowanie dla ludzkiej wolności. I u samego Papieża Bóg nie krępuje wolności woli poza granice koniecznej potrzeby. Dla potrzeby Kościoła wystarcza zupełnie, aby Papież w jednej tylko wierze granic wolnego umysłu ludzkiego, poza którymi omylnyść mieszka, przekroczyć nie mógł. I dlatego Chrystus Pan o to jedno tylko dla Piotra prosił, aby w wierze nigdy nie upadł, i to jedno tylko Papieżowi zostawił w dziedzictwie po Piotrze. Czego innego nie było potrzeba, to też i nie dał. I Papież przeto wystawiony jest na wszystkie próby wolności w swem życiu i postępowaniu; może być omylnym w uczynkach i w postępowaniu grzesznem; jedną tylko rzecz ma od Boga wzwyż nad innych: że w wierze upaść nie może. Tego jednego potrzeba było dla dzieła bożego, aby się cały jego skutek w Kościele ziścił.

Możemy tedy doprawdy podziwiać tę Bożą oględność, ale zarazem i podnieść na cześć Jego głos uwielbienia. Zaiste wielki jest i mądry i wszechmocny ten Bóg, który tak prostymi i naj-

prostszyimi środkami zapewnia jednak nieomylny skutek swojemu dziełu. Im prostsze i odpowiedniejsze zwyktemu biegowi rzeczy środki, których dobiera, im bardziej naraża on swe dzieło na wszystkie napady przeciwnych potęg, a z drugiej strony im mniej używa swojej, że tak rzekę, przemocy dla jego zabezpieczenia, tem więcej jaśnieje Jego mądrość i świętość, tem większe dziwo i cud bardziej boży.

Teraz wróćmy do treści rzeczy. Wiemy, że istota Kościoła to jest łaska i Duch Boży Kościół ożywiający, istnieje naprzód jako władza w dwóch sposobach istnienia, to jest: jako Papież i jako Episkopat. I to również wiemy, że Episkopat, a przynajmniej pewna część biskupów do jego składu wchodzących omylić się może. Otóż teraz zachodzi pytanie: czy cały Episkopat omylić się może i w każdym razie omylnym jest: czy też znajduje się pewien wzgląd pod którym uważamy Episkopat i może się nazywać i jest doprawdy nieomylnym? Odpowiedź na to pytanie zbliży nas, i owszem zupełnie doprowadzi do ostatecznego rozjaśnienia tego czem jest Episkopat i jaki jest jego ostatni stosunek do Papieża.

Zaiste gdyby Episkopat pod każdym względem musiał być uważany za omylny, toby nie tylko wiele ubliżało godności jego, którąśmy tak wysoką uznali, i owszem, najwyżej równą, lecz toby jeszcze sprzeciwiało się samej istocie jego i charakterowi, bo nie byłby rzeczywistym i prawdziwym nosicielem i subjektem tej samej władzy kościelnej, którą piastuje i Papież, a w koniecznym wniosku toby niszczyło całe dzieło boże, w którym Bóg sam dał Episkopatowi to wysokie miejsce. Żadną tedy miarą twierdzić nie można, iż niema względu to jest sposobu uważania Episkopatu, pod którymby on nie mogłby być nazwany i rzeczywiście nie był nieomylny. Episkopat tedy jest także nieomylny.

Ale pod jakim względem? Tu nam posłuży proste, a po tem wszystkiem cośmy wystawili niezaprzeczone prawidło. Jest ono takie.

Ponieważ istota Kościoła, to jest łaska boża i Duch Jego, jest w Papieżu i w Episkopacie ten sam i w obojgu jest jako we władzy, więc niezawodną jest rzeczą, że światło, które im dwojgu Duch Boży daje, nauka która ich oświeca, skutek do których ich prowadzi jest w obojgu jeden i ten sam, z góry

rzecz uważając. Ktoby temu zaprzeczył zniszczyłby istotę Kościoła i zaprzeczyłby Bogu samemu. Otóż ten jest pewnik, na którym się opiera całe a najłatwiejsze rozwiązanie owego trudnego na pozór pytania.

Za tym bowiem pewnikiem idzie to następstwo, i psychologicznie i niemal metafizycznie, a jeśli dodamy Opatrzność boską, teologicznie pewne i niewzruszone: iż być nie może, i nigdy się to też nie stało, aby jakkolwiek wolne puszczając wodze wolności ludzkiej, nie znalazło się między całym Episkopatem pewnej, a jak doświadczenie uczy, większej i daleko większej liczby biskupów, którzyby całkowicie wolnem zezwoleniem swego umysłu nie poszli za poruszeniem i natchnieniem Ducha Bożego. Twierdzić tedy z wszelką pewnością nie tylko można ale wypada, że na Soborach zawsze i w każdym razie znajdzie się taka część biskupów, która pójdzie za Bożym Duchem, tak, że kiedy Episkopat na dwie się połowy rozpadnie, jedna z nich niezawodnie jest nieomylna.

Ale teraz która? Tu ostatecznie staje na pomoc owo już tylekrotnie wyświecone twierdzenie, że Papież, który nie może się rozpaść na dwie połowy, który nie może mieć dwóch zdań, w żadnym też razie nie może się oprzeć zewnętrznemu przynajmniej owemu poruszeniu i nauczaniu Ducha Świętego, a więc w każdym razie jego głos i twierdzenie jest nieomylnie to, które pochodzi od Boga. Więc prostem następstwem ta część Episkopatu, która to samo twierdzi co Papież jest oczywiście nieomylną, i nie tylko jest nieomylną, ale ona jedna jest prawdziwym, prawowitym i (formalnie rzecz biorąc) całym Episkopatem. Druga część Episkopatu, która co innego twierdziła, ta druga formalnie już wtedy nie należała do prawdziwego Episkopatu; chociaż do niego należała jeszcze materyalnie; a kiedy oczywiście na wierzch wyszło, że co innego twierdzi niż Papież i co owa część Episkopatu z Papieżem zgodna, wtedy ta druga część powinna natychmiast się poddać, aby dalej do Episkopatu należeć. Jeśli się nie podoba i tego samego co tamta nie zatwierdzi, przestanie i materyalnie do niego należeć; wtedy zupełnie będzie wykluczona z tego wszystkiego co stanowi Episkopat prawdziwy w Kościele, i wtedy owa pierwsza część Episkopatu zgodna z Papieżem pozostanie jedynym prawdziwym Episkopatem, nie nie zważając na część wykluczoną.

Z tego jak najprościej i najpewniej wypływa, że jest zawsze w Kościele prawdziwy, formalnie wzięty Episkopat, do którego niekoniecznie wewnątrznie należą ci wszyscy, co zewnątrznie do Episkopatu się liczą. Wypływa dalej, że ten Episkopat formalnie wzięty jest w głębi rzeczy jedyny prawdziwy Episkopat w Kościele, i że ten prawdziwy Episkopat jest w każdym razie i zawsze nieomylny, i tak jak sam Papież nieomylny, chociaż nie w tym porządku co Papież.

I proszę uważać, że ten prawdziwy Episkopat nie jest nieomylnym dlatego, że powtarza za Papieżem, to co Papież mówić mu każe, jakto nienawistnie dosyć nasuwają przeciwnej strony rzecznicy, utrzymując, że wtedy biskupi powtarzaliby tylko, jak to mówią za panią matką pacierz, i byłiby jedynie czczem echem Papieża. Zgoła i najzupełniej nie. Ten Episkopat dlatego jest nieomylnym, że idzie za zewnątrzniem i wewnątrzniem nauczaniem Ducha Świętego, że zupełnie wolnem zezwoleniem umysłu swego przystaje na to, co mu Duch Święty poddaje i to wszystko sam od siebie głosi. A ponieważ Papież z konieczności za tym Duchem idzie i to samo od siebie twierdzi, więc rzecz równie prosta jak konieczna, że się z sobą zgadzają, chociaż każdy z osobna od siebie to twierdzą, często nawet wzajemnie nie wiedząc o sobie, jak to się niemal zawsze zdarzało. Kto tego nie pojmuje, kto się temu dziwi jeszcze, ten zgoła wiary niema; ten wierutnie uważa Kościół boży za takie samo towarzystwo jak każda inna ludzka społeczność, i ludzkim ją sądem na szali zawiesza. Wtedy nie dziw, że się żżyma, że się dąsa, i broni upadłej strony całym zastępem ludzkich przypuszczeń i rozumowań; ale przez to wszystko tembardziej pokazuje, że w dzieło Boże nie wierzy, że zwłaszcza nie wierzy w działanie Boga z góry w tem dziele swoim, i im bardziej rozprawia tem więcej dowodzi, nie dziełu bożemu fałszu ale sobie samemu i wszystkim innym, że go nie rozumie.



## KAZANIE XLII.

## O prześladowaniu w Polsce.

(Szkic przemowy mianej w Kole katolickim w Courtrai.)

(7 listopada 1876.)

(Z francuskiego.)

Panowie!

Wy Panowie jesteście Belgami, i szczerze wam tego winszuję.

Ja, jestem Polakiem, a wy, Panowie, zamiast mi winszować, może będziecie mię żałować i bylibyście w prawie, naturalnie.

Ale coś lepszego mamy do zrobienia, możemy się wznieść wyżej. I wy, Panowie, i ja, jesteśmy katolikami, synami Kościoła.

Jako katolicy, jako synowie Kościoła, wy Panowie, zapomnieć na chwilę o waszej przewadze, o waszej pomyślności, waszych tryumfach, a będziecie tylko czuć cierpienia Kościoła. I ja także mogę zapomnąć na chwilę o naszych cierpieniach, a cieszyć się będę z powodzenia Kościoła.

I tak będziemy na równi. Wszystko zmieszamy, połączymy wszystko w jednej miłości, aby mieć równy i jednaki udział i w cierpieniach i w radościach. Bo Kościół, Matka nasza, jest dla nas wszystkim.

Z tego stanowiska chcę do was przemówić. Na tym punkcie stojąc nie znachodzę różnicy między nami. Niema tu wtedy ani Greków, ani Barbarzyńców, ani Belgów, ani Polaków, są tylko dzieci jednego Ojca w niebie, i jednej Matki na ziemi, które się kochają i rozumieją tak dobrze! Tak stojąc, nie mam już obawy nudzić was mówiąc o nieszczęściach, które nie są waszemi. Między obcymi podobne rozprawy mogą nudzić; między braćmi, a szczególnie między braćmi z wiary, nigdy.

Zresztą, nie myślcie, że przychodzę do was z narzekaniami i tylko z narzekaniami. Mamy coś lepszego do robienia i do mówienia. Wiecie, Panowie, co mię tu sprowadziło. Kościół w Polsce cierpi coraz więcej. Seminarja, jedno po drugich, są zamykane. Biskupi, a głównie kardynał Ledóchowski, a co więcej Ojciec święty, chcieliby temu zaradzić, chcieliby powiększyć Kolegium polskie w Rzymie. Na to trzeba funduszków, więc mię tu przysłano. Oto dlaczego tu jestem.

Ale to samo mi jest wskazówką, o czem wam mam mówić. Przychodzę do was w interesie Kościoła w Polsce, trzeba tedy, aby mowa moja godną była Polski, którą tu przedstawiam, godną Rzymu, skąd przychodzę, godną was, Panowie, do których się zwracam, godną wkońcu charakteru sługi Bożego, jaki na sobie noszę.

Postaram się jak najlepiej temu odpowiedzieć. — Więc zaczynam.

---

Wiecie, Panowie, że prześladowanie sroży się w Polsce już od wieku prawie.

Jest i wielkie prześladowanie i małe. Wielkie dotyka masy, małe pojedyncze osoby.

Miliony w ubiegłym stuleciu za Katarzyny, miliony w tym wieku (1838) za Mikołaja — oto wielkie prześladowanie.

Małe prześladowanie odbywa się powoli przez regularne wykonywanie praw i środków administracyjnych. Tysiąc, dwieście, dwadzieścia tysięcy na rok i więcej. To stosunkowo mało. Ale już blisko sto lat ten stan trwa ciągle. — Są tedy i tu miliony.

Kościół stracił tym sposobem od 8 do 10 milionów dusz, to znaczy ludności obecnej 13 do 15 milionów.

Czy pójdziemy dalej w tem opowiadaniu? Jest pełne interesu bezwątpienia.

Ale szczegóły są długie, trzebaby nam na to dnie całe, a my mamy tylko kwadrans przed sobą.

Jest inny sposób przedstawienia tej samej rzeczy, który ma pociąg wielki dla mnie. Może wam się wyda dziwny. Zobaczmy.

---

W historyi kościelnej zawsze były prześladowania. Kiedy się je z sobą porówna, pokaże się, że mają one różny charakter, tak co do rodzaju, jak co do epoki, co do znaczenia swego. Jakie miejsce zajmuje wśród nich to prześladowanie, o którym mówimy, tak długie, tak wielkie, tak ważne? Jaki jest jego charakter? jego znaczenie? Gdzie znaleźć na to odpowiedź? jakiej się w tem sądzie trzymać mamy reguły, prawidła prawdziwego?

Znajdziemy odpowiedź w życiu Chrystusa Pana.

Niema żadnej wątpliwości w tem. Życie Kościoła jest powtórzeniem na inną skalę życia Chrystusa Pana.

Życie Chrystusa Pana jest zarodkiem, jest wzorem, powiedziałbym substancją; życie Kościoła to przypadłość (accidentia) tej substancji, to rozwijanie się tego zarodka.

Pierwsze jest słońcem, drugie to tysiące i tysiące zwierciadeł które je odbijają w przestrzeni i w czasie.

Pierwsze jest duszą, drugie ciałem. Christi corpus sumus. Popatrzmy z bliska.

Dzieciństwo.

Oto Herod — i oto cesarze rzymscy.

Tam Egipt — tu katakomby.

Tam śmierć tyrana — tu śmierć wszystkich tyranów. Już ich niema. A jaka śmierć ich! Czytaliście książkę Laktancyusza: *De mortibus persecutorum*, O śmierci prześladowców Kościoła. O nowi Laktancyusze, powstańcie! Dziś dopiero was potrzeba! O śmierci tylu innych mielibyście do opowiadania, a nie trudnoby wam było być Ciceronami<sup>1)</sup>.

Po śmierci tyrana — przychodzi Nazaret; po śmierci prześladowców dla Kościoła przychodzi państwo rzymskie.

Jezus, dziecko, naucza w świątyni. — Młody Kościół ma swoją epokę doktorów, Soborów dogmatycznych.

Rośnie, rozwija się, dojrzewa. To trwa aż do Karola W.

Teraz Chrystus Pan ma rozpocząć swoje publiczne nauczanie.

Kościół zacznie nawracać narody, trudnić się nauczaniem.

Ale zanim będzie nauczał, Chrystus Pan pójdzie na pustynię, aby być kuszonym.

W kuszeniu Jezusa tkwi tajemnica, znajduje się klucz do historii Kościoła w jego życiu publicznem. Charakter pokus i prześladowań.

1-e. Pierwsza pokusa — jest zmysłów.

To epoka Karola W. aż do Innocentego III, a nawet aż do św. Ludwika (Sobór laterański).

Z jednej strony w łonie Kościoła ciało buntujące się.

<sup>1)</sup> Laktancyusz był przezwany Ciceronem chrześcijańskim.

Z drugiej strony religja ciała, muzułmanizm.

Tryumfem jest Sobór lateraneński.

Skutkiem: obyczaj chrześcijański, prawo chrześcijańskie.

Owocem i środkiem: Dominikanie i Franciszkanie.

2-e. Druga pokusa jest ducha.

To epoka doktorów wszechnic, wielkie ognisko średnich wieków aż do Soboru trydenckiego.

To scholastyka. Chrześcijaństwo tworzy szkołę i kształci ducha chrześcijańskiego, jak tam kształcił zmysły.

Ale z jednej strony w łonie Kościoła podnosi się duch ludzki zbuntowany. To już Abelard, to szczególnie z wpływu Avveroesa dwie sławne szkoły: bolońska i padewska — prawdziwe mrowiska zgnilizny arystotelesowskiej albo raczej awe-roistycznej, tymczasem aż nie przyjdzie Odrodzenie (Renaissance), druga zgnilizna ze swoim Platonem i całym Olympem odmłodziła i tem bardziej obrzydliwym. To duch ludzki zbuntowany z wnętrza.

Na zewnątrz tworzy się religja. To protestantyzm — rozum ducha. Dogmat jego główny: że rozum tłómaczy Pismo święte, a w razie potrzeby je odrzuca. Luter posłuchał szatana: Idź naprzód — tyś Syn Boży — idź, wznies się na te wysokości, spuść się z tej wieży, Aniołowie nosić cię będą na rękę.

Tryumfuje Sobór trydencki.

Skutek: duch chrześcijański, katolicki ukształtowany, to jest: duch ludzki przez posłuszeństwo Kościołowi przeobrażony.

Owocem i środkiem: Teatyni, Somascy, Barnabici, Jezuici, Oratorianie.

Aby zachować skutki.

3-e. Trzecia pokusa jest woli.

Oto królestwa tego świata.

To epoka Soboru trydenckiego, aż do Soboru watykańskiego, który jeszcze nie zakończony.

Z jednej strony w łonie samegoż Kościoła wola zbuntowana.

To rozdział państwa od Kościoła.

To owo sławne *discessio*, rozdział, oddalenie, o którym mówi św. Paweł, a które ma poprzedzić ostatnie czasy.

Po wojnie trzydziestoletniej na Kongresie westfalskim ześwieczczono państwo i ogłoszono zasadę: *Cujus regio ejus religio*.



Kościół oddany na wolę tego, który ma siłę, Państwa, a Państwo powiada Kościołowi: Oddaj mi pokłon a dam ci wszystkie królestwa tego świata.

To wewnątrz. Na zewnątrz Państwo nic nie mówi do Kościoła, sam sobie tworzy religję. To religja Państwa.

Taką jest schyzma w Rosyi.

Herezya w Anglii.

Kodeks Napoleona we Francyi, to nowa Ewangelja. W swoim własnem imieniu mówi, co jest prawdziwem a co fałszywem, co dobrem a co złem. To nie Bóg powiada, to nie Chrystus, ani tem mniej Kościół — nie: ten co wam to mówi to człowiek, a naprzód jego majestat Cesarz.

Ale wkrótce on opuści swe miejsce. A wtedy inny majestat bierze jego miejsce i mówi nam to samo. To powszechne głosowanie (suffrage universelle). Zawsze to człowiek.

Ale i ten sobie pójdzie, a ostatni majestat który nam narzuca religję państwa albo swój kodeks (co na jedno wychodzi), to jedna z najsilniejszych koteryi i najbardziej podstępnych — to socyalizm, to komuna.

Oto na czem kończy religja państwa.

Jesteśmy świadkami tego.

Tu też ma swoje miejsce prześladowanie w Polsce.

Ona walczy z religją państwa, jak najmocniej ukonstytuowaną.

Polska zwyciężyła pokusę religji ciała.

Tatarzy.

Zwyciężyła pokusę ducha.

Protestantyzm.

Upada nie pod pokusą, ale pod prześladowaniem religji państwa.

A tu w dwóch słowach o systemie prześladowania.

Utworzono Kolegium kościelne w Petersburgu. To organ, narzędzie państwa. To nie jest rząd kościelny ustanowiony przez Chrystusa Pana, który to rząd jest osobisty. To Kolegium jest nieosobiste, a za niem stoi państwo.

Podobnież w każdej dyecezyi tworzy się konsystorz.

W nim sekretarz rządu, który jest narzędziem Kolegium.

Biskupi są zniweczeni, rząd boży w Kościele zniweczony.

Zostaje sumienie: jego osiągnąć nie mogą. I dlatego, choć doprowadzono Kościół do tego stanu, jeszcze im nie dosyć tego; chcą go zabić.

Po ludzku sądząc, niema na to sposobu, niema ratunku. Na granicy przy wejściu do Rosyi napisano jest:

**Lasciate ogni speranza.**

Ale pomimo wszystko to nie potrwa długo.

Jutrzenka tryumfu — widzieliśmy ją — to Sobor watykański.

Tak, będziemy tryumfować.

Wiele się o tem mówi: Czy będziemy tryumfować rzeczywiście?

Odpowiedź zapisana jest z góry, w życiu Chrystusa Pana.

Czytaliśmy w niem inne odpowiedzi, będziemy mogli odczytać i tę, i tak samo na pewno:

„Idź precz szatanie!” — Ruszaj daleko.

Taka będzie natura tego tryumfu. Wola zwyciężona i uchrześcijanizowana, to jest wola publiczna, życie społeczne.

Owoc i narzędzie: Nowe zakony, zakony społeczne.

Jak długo to trwać będzie?

Mniejsza o to. Przyjdzie ten tryumf, i to prędko, i dość będzie, by zająć i uszczęśliwić nasze życie.

Potem — Antychryst.

Chrystus Pan umarł — i Kościół musi umrzeć — ukrzyżowany — tak się będzie zdawało.

Ale trzeciego dnia zmartwychwstanie, pokaże się, że żyje.

Tymczasem pracujemy dla przyszłego tryumfu.

Przygotujmy robotników.

Czas dzisiejszy ciemny, męka jaką przechodzimy jest ciężką. Słowa Mistrza: *in mundo pressuram habebitis* — będziecie uciskani na świecie. Ale pracujemy, przyczynimy się ze wszystkich sił do wspólnej pracy: nie bójmy się niczego.

*Nolite timere, ego vici mundum.*

Nie bójcie się niczego, jam zwyciężył świat.

## KAZANIE XLIII.

## Do pielgrzymów polskich.

(W Rzymie, 5 czerwca 1877.)

Najmilsi!

Tak P. Bóg ukochał świat, że Syna Swego Jednorodzonego dał za żywot świata.

(Boga nikt nie widział — Jednorodzony Jego nam opowiedział i dał).

Otóż i Syn Jednorodzony, Jezus, Pan nasz, tak świat ukochał, że zostawił Papieża, i dał go światu, aby żył.

(P. Jezusa nikt nie widzi, ale żyje Piotr, i po wszystkie wieki żyje i jest widomy.)

Na tem świat stoi. I każdy naród tak, jak każdy człowiek.

Świataby nie było bez Papieża — (bo byłaby ciemność, głód, piekło.)

I Polskiby nie było — prawdziwej, dobrej, świętej Polski.

I patrzcie, co się dzieje ze światem i z Polską?

Świat dzisiejszy się burzy i nie chce uznać Papieża.

I dlatego taka ciemność.

Taka męka i cierpienie.

Taka niesprawiedliwość i zgroza.

Ach Polska powoli zapominała o Papieżu i nie pamiętała.

I życie się zmniejszało.

I przyszły wszystkie biedy i klęski.

Cierpimy, bośmy nie byli wierni, prawdziwie wierni, nie powiem Papieżowi, bo może niejeden nie zrozumie jeszcze, ale temu, co jest w Papieżu, czem jest Papież — a więc powiem: Papieżowi, a następnie Kościołowi, Chrystusowi, Bogu.

I dlatego cierpimy, albo raczej cierpieliśmy, bo nie było nadziei.

Dziś inaczej; jest nadzieja.

I ta nadzieja tu przedemną.

To jutrenka dnia szczęśliwego.

Witam was, najdrożsi, jako aniołów zwiastunów tej nadziei, tej jasności, tego nowego życia.

Przyszłście powitać Papieża. Błogosławione nogi wasze, błogosławione oczy, które go będą oglądały, błogosławione serca, które wrócą do domu z jego błogosławieństwem.

Powiem wam, co to Papież, aby szczęście i błogosławieństwo było pełne.

Papież to Chrystus na ziemi.

A Chrystus to Bóg.

I Papież przedstawia Boga.

Rzekł Chrystus do ucznia: Filipie, kto mnie widzi, widzi Ojca.

I Papież do każdego mówi: a takżej Kościół i Duch św. przez niego mówi: Chrześcijanie, kto mnie widzi, widzi Chrystusa, kto mnie słucha, słucha Chrystusa.

A my co na to?

Panie, słowa wiecznego żywota ty masz. Daj nam tego żywota.

O drodzy, o najdrożsi, słuchajcie! W trzech słowach wypowiem wam to słowo żywota całe.

Bóg jest prawdą, jest dobrem, jest życiem.

I Chrystus, i Papież.

1-e. Chrystus jest światłem świata. „Ego sum lux mundi”. Jest prawdą, jest Mistrzem.

I Papież.

„Confirma fratres tuos”.

Papież Mistrz.

Bez niego na świecie ciemność.

2-e. Chrystus jest dobrem.

Chlebem żywota „Ego sum panis vitae”.

Daje łaskę (Sakramenta.)

I Papież.

„Tibi dabo claves”.

„Accipite Spiritum Sanctum quorum remiseritis...”

Papież Ojciec.

Daje życie, bo daje łaskę.

Bez niego na świecie głód i śmierć.

3-e. Chrystus jest życiem i miłością.

Jest przykazaniem.

Pasterz Kościół.

„Ego sum pastor bonus”.



I Papież.

„Pasce agnos“.

„Pasce oves“.

Papież Król i Pan. — Daje zakon, przykazanie.

On daje rząd, ład, sprawiedliwość.

Pokój, miłość — raj na ziemi.

Bez niego na świecie piekło.

Przybyliście go powitać.

Poznać, uznać, wiarą i miłością otoczyć.

Zawrzeć przymierze — i każdego z osobna i całego narodu.

Więc powiecie jemu.

Tyś nasz Mistrz — prawdziwy.

Tyś nasz Ojciec — najlepszy.

Tyś nasz Król i Pan — jedyny.

Mistrzu! my twoi uczniowie!

Ojcze! my twoje dzieci!

Królu i Panie! my twoi poddani!

Uczniowie wierni.

Dzieci kochające.

Poddani posłuszni i miłośni.

I Polska nasza.

Mistrzu! jest twoją szkołą!

Ojcze! jest twoim domem!

Panie i królu! jest twojem królestwem!

To powiecie.

I stanie przymierze!

O błogosławiony Bóg, który nam sprawił takie życie, szczęście, gdy!

Błogosławionyś Ty Mistrzu, Ojcze, Panie, który tem dla nas jesteś!

I my błogosławieni!

I pójdziemy pełni tego do siebie.

I Polska będzie odtąd na świecie szkołą prawdy, domem Ojca niebieskiego, królestwem bożem.

I stanie się, stanie, co Chrystus przyniósł z sobą na ziemię.

Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

## KAZANIE XLIV.

## Mowa pochwalna

NA CZĘŚĆ ŚŚ. CYRYLA I METODEGO APOSTOŁÓW SŁOWIAŃSKICH  
miana wśród uroczystych obchodów w Rzymie, w kościele św. Klemensa  
dnia 3 lipca 1881 roku.

## WSTĘP.

Najmilsi Bracia!

Święty Cyryl i Metody, o których mam do was mówić, przyszli na świat i zostali przez chrzest święty porodzeni Kościołowi i Bogu o tej samej porze, w której, po długiem ukryciu w zamroczu przedhistorycznem, wielki ród słowiański miał już już wystąpić na jasny widok w historii, i miał być także przez chrzest święty Bogu i Kościołowi porodzonym. Było to w pierwszej połowie dziewiątego wieku. Już dawno był nawrócony świat ludów wschodnich, przeważnie grecki; już w zupełności także nawrócony był świat ludów zachodnich, przeważnie łaciński, któremu żywioł germański dodał nowej jedności i życia; teraz przyszła kolej na świat ludów północnych, nie tylko przeważnie, ale wyłącznie prawie słowiański, tak długi, jak Dunaj niemal od źródeł aż do ujścia; tak szeroki, jak przestrzeń od ujść Elby i od morza Bałtyckiego, aż do Adryatyku i do Egejskiego morza; świat, który jakkolwiek co do wykształcenia i prawdziwej oświaty ustępował bez miary dwom pierwszym światom, co do zdolności jednak umysłu i serca, co do instynktów szlachejnych, co do przymiotów wojennych, a jeśli się dobrze porachujemy i co do liczby nie ustępował ani jednemu, ani drugiemu.

Z wielką pieczęą przygotowała Opatrzność Boża tę chwilę historyczną, w której miało nastąpić nawrócenie i porodzenie do prawdziwego życia słowiańskiego świata. A naprzód rozstrzygnęła to ważne pytanie: kto nawróci słowiańszczyznę? Ażali świat grecki, czyli też łaciński? I stanęło w ich wyrokach na tem, że Wschód będzie matką, a Zachód ojcem; i że to nowe dziecię chrześcijańskie będzie nosiło na sobie charakter zjednoczenia obojga, że na niem spocznie od samego początku święte znamie Unii. To zaś stanie się przez dwóch świętych i we

wszystkiem znakomitych mężów. Cyryla i Metodego, których Grecya wprowadziła, którym atoli Rzym dał namaszczenie.

Jakie to dziwne! Właśnie w tej chwili, w tym IX wieku, ma się już Wschód i Zachód rozszczepiać, już żyje Focjusz i knuje zdrady przeciw Patryarsze, a jeżeli trzeba, przeciwko Rzymowi; nieza długo usiądzie świętokradca na stolicy Kościoła carogrodzkiego, a chociaż tym razem zbrodniarz marnie zginie, zbrodnia jego przeżyje go wszelako, i po wieku jednym i drugim znajdzie się, kto jej nareszcie dokona. Wschód od Zachodu rozszczepi się na wieki długie. Słowiańszczyzna jednak za nim nie pójdzie, a jeżeli część jej da się w końcu pociągnąć, to mimo to w jej łonie przechowa się zawsze święte zarzewie Unii, to pierwotne nienikłe źródło w jej istotę przez naszych świętych Cyryla i Metodego wszczepione, którzy ciałem wprowadzili byli Grekowie, duchem i czynem prawowierni Rzymianie.

O tych przeto dwóch wielkich Świętych, którzy położyli swe znamie na ludach słowiańskich, mam do was mówić, Słowianie a Bracia, późni potomkowie pierwszych uczniów tych przeznacnych Apostołów! Nie wiem, czy od samego początku była kiedy w sprawie ich apostołstwa, a tem samem i Słowiańszczyzny, ważniejsza od dzisiejszej chwila.

Mając tedy mówić w takiej sprawie i w takiej chwili, do kogóż się udam o pomoc, jeżeli nie do was samych, o najmiłsi Święci? Wy spuście łaskawy wzrok na waszego rzecznika, otoczcie go sercem, zasłońcie waszą osobą! Będę mówił naprzód o was samych, następnie o waszem dziele. Ale to wy za mnie mówcie! Niechaj zginę przed tymi miłymi słuchaczami: niech się im zda, że to wy do nich mówicie, a oni was słuchają. Wtedy będę, i już jestem bezpieczny, i w wasze imię przystępuję do rzeczy.

## I.

### OSOBY APOSTOŁÓW.

#### 1. Początki — Cyryl z Focjuszem.

Mówić będę naprzód o osobach Apostołów.

Dwaj nasi bracia z dostojnych pochodzili rodziców i od dzieciństwa byli wyćwiczeni we wszelakiej nauce i wyzwolonym kunszcie. Urodzili się w Tessalonice, po słowiańsku Solo-

nie, mieście, które naówczas ubiegało się z Carogrodem o pierwszeństwo w bogactwach, ogładzie i wspaniałości. Nie byli jednego wieku, Metodyusz był najstarszy, i urodził się zapewne przed 815 r., a Konstanty, późniejszy Cyryl, był najmłodszy z siedmiorga dzieci spólnego ojca Leona, i przyszedł na świat, jak można niemal z pewnością twierdzić, 826 r. Już Metodyusz, uznania godny wykształceniem, w młodym jeszcze wieku doszedł do urzędu stratega thematu czyli prowincyi, którybyśmy urząd niegdyś w Polsce nazwali starostą. Znaczącem Opatrzności zrządzeniem, kraj, którego strategiem został Metodyusz, był czysto słowiański, jakgdyby to starszeństwo cywilne miało być przepowiednią zarazem i przygotowaniem do przyszłego nad Słowianami duchownego ojcostwa. Tymczasem Cyryl, daleko od brata, kończył nauki w Carogrodzie, pod okiem zacnego swego opiekuna Teoktista, cesarskiego logoteta, rzeklibyśmy dzisiaj sekretarza stanu, i pod okiem samej cesarzowej Teodory, jednej z największych niewiast, jakie kiedy zasiadały na tronach królewskich, a którą Kościół uznaje i czei za świętą. Dwunastoletnie panowanie Teodory było jednym z pięknych i świetnych, niestety tylko zbyt rzadkich i krótkich ustępów w obrzydliwych zwykle dziejach bizantyńskiego państwa. Cyryl, zostawszy wkrótce mistrzem, zmuszony został zasiąść na katedrze filozofii, gdzie taką wnet okrył się sławą, iż do jego imienia cały świat współczesny, Grecya i Rzym, przydali imię filozofa, jako coś jemu szczególnie własnego; i ilekroć w historii spotkasz to imię *Constantinus Philosophus*, ani wątp, że to o naszym Konstantynie mowa.

Tu znowu znaczącem Opatrzności zrządzeniem był nasz Konstanty naprzód uczniem, a potem przyjacielem Focjusza; *fortissimus ejus amicus*, jak powiada *Anastasius Bibliothecarius*, sam, największy niezawodnie ze swej strony, naszego Cyryla później w Rzymie i przyjaciel, i zwolennik, i czciiciel. Atoli, jak Metody porzucił ziemskie sprawy i światowe rządy, aby się oddać Bogu i pójść za Chrystusem, tak i Cyryl odepchnął przyjaciela i ludzką jego mądrość, skoro trzeba było oświadczyć się za prawdą i pójść za Chrystusową mądrością. A czyn ten jest tak ważny, że go nie mogę nie powtórzyć według opowiadania tegoż Anastazego Bibliotekarza, któremu to widocznie sam święty Cyryl opowiadał w Rzymie:



„Przed kilku lub kilkunastu laty, powiada (a pisze to Anastazy w r. 870, kiedy Cyryl był w Rzymie, wypadek zaś mniej lub więcej zdarzył się koło roku 855), Focyusz począł rozgłaszać, że każdy człowiek z dwóch dusz jest złożony. Za co Konstanty filozof, wielkiej świętości mąż (powiada Anastazy), i najmocniejszy jego przyjaciel, zgromił go, mówiąc: Przecz taki błąd, między lud puszczając, tyle dusz umorzyłeś?“ Tu następuje rozmowa. A Focyusz daje Konstantemu tę wierutnie godną Focyusza odpowiedź: że on wcale nie myśli dusz zabijać, ani też nie wierzy w to, co mówi; ale chciał psotę wyrządzić Ignacemu patriarsze: bo co też ten prostaczek na taki syllogizm odpowie? Na podobne Focyusza oświadczenie, Konstanty odwrócił się od tego, tak dla pustej psoty improwizowanego duszodwojcy i duszobójcy, i porzucił go na zawsze; a ten szczęśliwy rozbrat był przepowiednią zbawienia Słowiańszczyzny, i dziś jeszcze woła do Słowian: czem był Focyusz, czem jest jego potomstwo, i czy można do niego należeć?

## 2. Polychron.

Takie były początki naszych Apostołów. Już Metodyusz, pożegnawszy świat, udał się na górę Olympu do klasztoru Polychronu, gdzie był postrzyżony na mnicha, a wkrótce, mimo woli, wyniesiony na opata, około r. 855. Około tegoż czasu Cyryl powrócił z pierwszej naukowej i apostolskiej wycieczki, kiedy na wezwanie, ze strony Arabów uczynione do Greków, aby bronili publicznie dogmatu Trójcy Przenajświętszej, wysłany był do nich, jako rycerz i obrońca wiary, i na tym turnieju nowego rodzaju, zgodnym z tamiecznemi i ówczesnemi zwyczajami, dzielnie i sławnie się sprawił. Wróciwszy z tryumfem, nasz trzydziestoletni zapaśnik, już poraz drugi czy trzeci, od dalszych stroniąc ziemskich tryumfów, na dobre ucieka od świata, a teraz chroni się do tegoż samego na Olympie Polychronu, gdzie brat jego Metodyusz, mało mu dotąd znany, sprawował rządy duchowe. Już tu myśli, że daleko od stolicy, daleko od świata, pod opieką poważanego brata, nie będzie wystawiony na dalsze nagabania ludzkie, i uchroni się bezpiecznie.

Dwaj bracia, długo rozłączeni, spotkawszy się, spojrzeli na siebie, podali sobie dłonie. rzucili się w wspólne objęcia, i odtąd dusza jednego i drugiego tak przyłgnęły do siebie, że stała

między nimi wieczny sojusz, i tu na ziemi, i tam na wieki. A co czulszego w tem jest i rzadkiego w przykładzie, to, że brat starszy, poznawszy lepiej młodszego, widząc z dnia na dzień coraz jaśniej, jaka w nim łaska Boża, nauka, mądrość, świętość, uznał za najmilszy dla siebie obowiązek poddać się młodszemu; i dziwnem zaparciem się siebie, dziwnem poszanowaniem łaski Bożej w swym bracie, zostać jego uczniem. Lecz ja jeszcze więcej podziwiam młodszego brata: jego wiarę, jego miłość, jego zapomnienie siebie samego! On zaiste musiał tylko Boga widzieć i tylko Jego mieć w sobie, aby się na to zgodzić.

O błogosławione mury Polychronu! jakżebym chciał was oglądać! Chciałbym, abyście się stały dla mnie zwierciadłami, w którychbym mógł dojrzeć cień jeszcze tych dwóch przedziwnych mężów, ślad ich cnót, odbłask łask Bożych, które się śród was na nich zlały, a potem tak jasno zaświeciły nad całą Słowiańszczyzną! O błogosławione mury! jakżebym szczególnie chciał tam Bogu podziękować za łaskę miłości i życia, która się poczęła śród was, a potem tak obficie na nas się wylała.

### 3. Chazary.

Szczęśliwa chwila wspólnego pożycia niedługo trwała: w życiu tak pełnem i przeznaczonem na tyle i tak wielkich czynów, jakim był żywot naszych Świętych, każda epoka musiała być krótką, i że tak powiem, pospieszną. Zaledwie obaj bracia tyle z sobą chwil przeżyli, aby się poznać i owo wyższe, wiekuiste zawrzeć między sobą braterstwo, aliści nowa trąba anielska, tam gdzieś z dalekiego Wschodu, wzywa ich do nowego trudu i dalszych prac apostolskich. W r. 857, w samem przededniu złowrogiego dnia, w którym Focyusz podniósł rękę ojcobójczą na świętego Ignacego, i wtrąciwszy go do ciemnego lochu, śmiał, samowład, usiąść na jego przystolu, w tęż porę, jakby na to, żeby odciągnąć naszych braci daleko od okrutnego widowiska, posłowie Chazarów, co na północ i wschód Morza Czarnego, po pod Kaukaz, olbrzymie dzierżyli państwo, przybywają do Carogrodu z jedynem dotąd w historii tego rodzaju poselstwem. Naród Chazarów, prawią, zwątpił o swoich zaboronach; z jednej strony Żydowie, a z drugiej Muzułmanie już go w tej rzeczy oświecili, lecz ma-li zostać Żydownem, albol-

też Islamitą? — tego jeszcze nie wie, zwłaszcza że wie o religii trzeciej, to jest chrześcijańskiej, która jest najwspanialszą, cesarską religią. Prosi tedy o nauczycieli chrześcijańskich: niechby się spotkali u nich z żydowskimi i muzułmańskimi nauczycielami, i wstępny bojem tamtych pokonawszy, przekonali i lud Chazarski i ich Chagana o swojej prawdzie.

Poselstwo przyjęte, nuż szukać posłów. Lecz któż lepszym być może, jeżeli nie Konstanty filozof, a temci lepiej, że ma teraz z sobą tak zacnego i uczonego brata, jakim jest Metodyusz? I cały Carogród przyklasnął, i dumny z takich posłów, myślą a sercem gonił za ich poselstwem.

Obaj bracia wylądowali w Chersonie, mieście położonem niedaleko Sebastopolu, w ówczesnej Taurydzie, w dzisiejszym Krymie. Był to kresowy temat Greckiego państwa, na pół niepewna posiadłość. Tam przez czas dość znaczny uczy się Cyryl chazarskiego języka, a potem puściwszy się w daleką drogę i nareszcie stanąwszy przed Chaganem, odbywa z uczonymi przeciwnej strony, rabbinami i ulemami, wałą rozprawę, którą powtórzył i raz, i drugi, i dziesiąty, a może i setny. — Święty Metodyusz spisał skrzętnie te rozprawy Cyryla w ośmiu osobnych księgach, drogi klejnot pierwszej literatury słowiańskiej: znajdował się on w licznych odpisach w X, XI i późniejszych jeszcze wiekach po ziemiach słowiańskich, później zaginął, i ułamki tylko gdzieś tam w innych pismach zostały nam zachowane. Miejmy nadzieję, że nie stracony, i że ze swego ukrycia kiedyś nam zabłyśnie.

Ale czy Cyryl swych przeciwników zwyciężył? Niema żadnej wątpliwości, świadczą o tem głośnie oklaski i podzięk, świadczą hojnie sypane dary, lecz że ich nasz filozof chrześcijański nie przyjął, świadczą przynajmniej ci jeńcy chrześcijańscy, których mu wszystkich Chagan darował, a on ich, jako najlepszy dowód zwycięstwa, do ojczyzny z sobą zaprowadził.

#### 4. Relikwie Klemensa.

Atoli i co innego z Taurydy, świętszą jeszcze zdobyć Cyryl przyniósł ze sobą. Były to relikwie św. Klemensa, papieża, który pod Chersonem za Trajana cesarza sławne poniósł za Chrystusa męczeństwo. Czas mi nie pozwala wyluszczyć, jakim sposobem odkrył Cyryl te drogie resztki pod tym sa-

mym Chersonem, na tem samem miejscu, gdzie przedtem, to jest przed siedmią przeszło wiekami, prześladowanie i męczeństwo, i cud Boży, były je w morzu zamknęły. To znalezienie było w owych czasach na cały świat chrześcijański ogromnej doniosłości wieścią i wielkiego znaczenia wypadkiem; a i dzisiaj, mnie mówiącemu w tej świątyni i u stóp tychże samych czcigodnych resztek świętego Klemensa, nie trzeba wielu słów, aby wam dać pojąć wagę tego wypadku. Oto lat już tysiąc, jak dostojny nasz Święty te wielobne szczątki, na swojej je często głowie dźwigając, przeniósł z morza do Chersonu, z Chersonu do Carogrodu, z Carogrodu do Polychronu, z Polychronu przez całą niemal Słowiańszczyznę do Welehradu, z Welehradu do Rzymu, i w tym tu czcigodnym, starożytnym kościele, wśród tłumów pobożnego ludu, przy biciu ich serc, przy okrzykach ich radości, pobożnie złożył; czekając póki niezadługo i sam tu nie spocznie, bo jak wiecie, w tym to kościele obok Klemensa spoczywa Cyryl. Był to tryumf wspaniały dla Klemensa! Tysiąc lat już dobrze minęło, ażaliż zatarł się wypadek, zamarała pamięć, osłabło choćby wspomnienie? albo czyliż i dzisiaj ten wypadek mniej znaczy, niż wówczas? Wy mi świadkami jesteście, ta świątynia mi świadkiem, wasze serca i dusze mi świadczą, że tutaj lat tysiąca wcale nie było, wszystko tak dzisiaj żyje, jak żyło wczoraj, to jest tyle wieków temu. Zdawałoby się tylko może, że się bohaterowie zmienili; ongi tryumfował Klemens, a was tu dzisiaj sprowadzają Cyryla tryumfy. Lecz niech się nam tak nie zdaje, ani mi mówcie, że was tu do Klemensa przypadkowo tylko sprowadził Cyryl; ja wam odpowiem, że tu przed wami z woli Bożej Cyryla sprowadził do siebie Klemens, i w zapłatę za podjęty trud dał u siebie gospodę. Obaj odtąd aż do końca świata tak nierozłączni na ziemi, jak są nierozłączni w niebie. Więc nie będziemy i my rozłączali we czei naszej, co Pan Bóg tak dziwnie z sobą połączył, i tylko głębiej jeszcze zawołamy: Jakiż przedziwny Bóg w Świętych swoich!

## 5. Poselstwo Rościszawa.

Wracamy do historii. Cyryl i Metody już do Konstantynopola z apostolskiej powrócili wycieczki. Było to około r. 860. Jakże tam odmienną znaleźli postać rzeczy! Dwudziestoletni



cesarz, Michał III, wyzwolony z pod opieki matki Teodory, jeden z najobrzydliwszych łotrzyków, co kiedykolwiek zbeszcześcił trony panujących, nosił z imienia koronę imperatorską, aby tem bezkarniej i publiczniej dopuszczać się mógł wszystkiego, czego się nazwać nie godzi. Państwem politycznie, z tytułem cezara rządził stary łotr, Bardas, stryj Focysza, Kościołem zaś, dość powiedzieć, Focysz! Niema śladu, aby Apostołowie nasi, przybywszy do stolicy, zdawali sprawę ze swego poselstwa, ani też, aby ich o nią pytano. Możemy śmiało przypuścić, że widząc, co się dzieje, uciekali prędko i daleko od tej Sodomy i Gomory, tem bardziej, że wyrwanym mimo swej woli z lubego Polychronu, niezawodnie teraz, po tylu trudach minionych, a dodajmy, i zgrozach obecnych, spieszo im było, tym ptakom duchownym, wrócić do rodzinnego gniazda, i tam odetchnąć.

W tym swoim raju ziemskim Święci nasi parę lat używali nadziemskiego wczasu, o niczem innem nie myśląc, jedno jakby tu na ziemi zaszcześcić królestwo Boże. Przyjdź Królestwo Twoje! to było ich hasło, i ta modlitwa. Tymczasem zbliżała się już przeznaczona od wieków godzina, w której rzeczywiście obaj bracia mieli być nad przewidzenie swoje użyci do założenia i do rozszerzenia królestwa Bożego na najdalsze rozmiary. Polem zdobyczy miał być cały świat słowiański. I oto już jesteśmy w środkowej chwili całego żywota naszych Apostołów.

Było to w roku 862. W krainach mniej znanych Grekom, niż Kaukaz albo Indye, od źródeł Odry i Wisły, ponad Morawą i ponad środkowym Dunajem, wzniosło się w ostatnich latach potężne państwo Morawii, nad którem po Moimirze, pierwszym jego twórcy, panował już od lat przeszło 15-tu jego synowiec Rościsław, mający obok siebie spokrewnionych książąt słowiańskich i przyjaźnią wtedy związanych, siostrzeńca w Nitrze, Świętopełka, a w dolnej Panonii, gdzie jeszcze Węgrów nie było, Kocieła. Była to już świetniejsza epoka słowiańskiej potęgi w tych stronach. Książę i kraj już byli chrześcijanami, ale dla Słowian to chrześcijaństwo było niemieckie, to jest niezrozumiałe. Rościsławowi więc chodziło przede wszystkim o to, aby mieć kapłanów po słowiańsku mówiących, a przez to i lud swój uczynić prawdziwie chrześcijańskim, i za

jednym zamachem opędzić się od Niemców, i od ich moralnej niewoli, ciągnącej polityczną za sobą.

Słyszał Rościsław o wyprawie Cyryla do Chazarów, zapewne dowiedział się zarazem, że umie po słowiańsku; dobrze też wiedział, że słowiańskimi są całe prowincje greckie, wnosi więc z tego, że chcąc znaleźć po słowiańsku mówiących kapłanów, trzeba ich szukać w Konstantynopolu, a wždy się uda i samego Cyryla stamtąd sprowadzić. Przetoż dłużej się nie waha, i w porozumieniu z Świętopelkiem i Kocielem, wysyła uroczyste poselstwo do cesarza Michała.

Zbyt długo byłoby powtarzać szczegóły podane nam przez tak zwane legendy Cyryla i Metodego, o rokowaniach między obiema stronami. Koniec ich ten, że Cyryl i Metody ruszyli za posłami słowiańskich książąt. W całej zaś rzeczy tego poselstwa to nas uderza, chociaż wcale nie dziwi, iż niema tam ani słowa o patryarsze. Inaczej być nie mogło. Ani Rościsław nie mógł mieć tej myśli w proszeniu, ani Cyryl byłby się zgodził na to, ani natura rzeczy na coś podobnego nie pozwalała, gdyż kraj, skąd był rodem Cyryl i Metody, Tessalonika, należał do patryarchatu rzymskiego, a kraj, do którego się udawali, Morawia, tembardziej do dycezyi rzymskiej się liczył. Naznaczmy tedy fakt pierwszej wagi: Kościół grecki nie miał żadnego urzędowego udziału w pierwszym nawróceniu Słowian i w posłannictwie do nich Cyryla i Metodego.

## 6. Alfabet słowiański.

Spojrzymy teraz ze czcią i wdzięcznością na pierwszy pobyt Apostolów naszych wśród swego ludu. Już w roku 863 widzimy ich w Morawii, z radością przez książęta powitanych, z uniesieniem przez naród przyjętych, spełniających ze świętą gorliwością apostolskie dzieło. Między przyczynami, dla których tak ich radośnie przyjęto, były naprzód resztki św. Klementa, które z sobą przynieśli, a następnie, powiadają nam to źródła historyczne, była przywieziona przez nich w słowiańskim języku Ewangelja święta. Odrazu na samym wstępie Ewangelja święta w słowiańskim języku? to i nas wielce cieszy, i daje dużo do myślenia. Widzieliśmy, że Cyryl i Metody umieli dobrze po słowiańsku, albowiem byli rodem z Tessaloniki, a według tego, co posłom słowiańskim powiadał samże

cesarz Michał, w Tessalonice po słowiańsku najczyściej mówią. Ależ umieć mówić po słowiańsku i napisać całą Ewangelię, to dwie osobne rzeczy. Ażaliż tedy było już abecadło słowiańskie, i to koniecznie już od pewnego czasu? I byłże mistrz, który umiał niem pisać? I pierwsze dzieło, tem abecadłem napisane, byłaż może właśnie ta Ewangelia słowiańska?

Tu nam iście drogę zabiega pytanie o alfabecie słowiańskim i jego początku. Mieliz Słowianie przed św. Cyrylem alfabet jaki? Alfabet głągolicki byłże doprawdy ich starodawnym alfabetem? Niemaż żadnej podstawy stare podanie, już od Innocentego IV zatwierdzone, że to był alfabet św. Hieronima? Nie wchodzę w te wszystkie pytania, które nie koniecznie są z taką pewnością rozstrzygnięte jak niektórzy myślą; ale które filologa raczej obchodzą, niż hagiografa. To jedno w każdym razie jest pewnem, że czy św. Cyryl dawniej istniejące żywioły głoskowe obrobił i lepiej oznaczył, czy też zupełnie na nowo wymyślił głoski słowiańskie, w jednym i drugim razie równem prawem może być nazwanym twórcą abecadła słowiańskiego, bo w jednym i drugim razie podjął zarówno święty trud, tem świętszy, że jego powodem była chwała Boża, celem dobro ludzi; a trud którego nikt inny przed nim nie podjął.

Jest tedy św. Cyryl twórcą alfabetu słowiańskiego, i ta mu chwała na zawsze pozostanie, chwała, którą papież Jan VIII z uznaniem na jego skronie włożył: *Litteras sclaviniscas a Constantino philosopho repertas... jure laudamus*. Jest tedy twórcą alfabetu, tylko broń Boże nie kirylicy, tak od jego imienia mylnie nazwanego, niemal o wiek cały późniejszego alfabetu, jedno zacnej, starej głągolicy, prawdziwego alfabetu słowiańskiego, którym i sam pisał i pisać uczniów swoich uczył, i tę złotą pierwszą Ewangelię słowiańską niezawodnie napisał.

Chrabr', czernoryziec, jeden z najstarszych słowiańskich pisarzy, dobrze z temi rzeczami obeznany, naznacza nawet z pewnością rok, w którym Cyryl alfabet słowiański ułożył, rok 855; a zatem stało się to na siedm lat jakich przed misją morawską. Przeciw tak stanowczemu twierdzeniu, a raczej świadectwu bardzo odpowiedniego świadka, niema żadnego innego świadectwa, ani racyi stanowczej. I owszem widzieliśmy, że

właśnie około tego r. 855 Cyryl połączył się ze swym bratem Metodym w monasterze Polychronu. Nie darmo Cyryl nazwany był filozofem; był to umysł zupełnie wyższy, niebieski w ziemskim ciele, duch iście anielski, należał widocznie do tych błogosławionych czystego serca, którzy Boga oglądają; więc nie dziwimy się wcale, jeżeli według źródeł niewątpliwie historycznych, z których czerpiemy, był nieraz w życiu swoim uraczony od Boga objawieniami z góry. Przetoż nie także dziwnego, że tam na górze Olympu, w zupełniejszym oderwaniu od świata, w bliższem obcowaniu z Bogiem, mógł zawczasu przeniknąć przyszłość, mógł głębiej uczuć potrzeby duchowne tych Słowian, z którymi go tyle węzłów łączyło, a do których Bóg go miał zaprowadzić, a zarazem dostrzedz musiał, że dla ludów nowego języka potrzeba też było nowego abecadła, bez którego nic się nie da uczynić. Bóg mu to wszystko dał widzieć, i więcej zapewne jeszcze. A on wierny natchnieniu Bożemu, wykonał poruczone dzieło. Że w ten sposób się stało, zdaje się najprostsza rzeczą; a my Słowianie czemuż nie mamy się cieszyć z tego tak pewnego niemal wdania się Bożego w pierwiastki nie tylko naszej wiary, ale i naszego słowiańskiego słowa i wiedzy? Czemuż nie mamy się cieszyć i dziękować Bogu, że nasz ojciec i Apostoł Cyryl był tak wielkim świętym, i tak wielkim filozofem?

### 7. Fundamenta Święte Słowiańskie.

Ale teraz podnieśmy nasz umysł i rozszerzmy serce, bo mamy już oglądać główne dzieło naszych Apostołów. Dotychczas krążyliśmy po przysionkach, teraz już czas wejść do samego przybytku, i zasiąść do uczty niebieskiej tu nam przygotowanej. Albowiem święci nasi ojcowie i karmiciele niebiescy ludu sobie powierzonego, hojnie nam od Boga przynieśli i zgotowali wszystko, czego jedno potrzeba do żywota wiecznego: nam tylko brać i pożywać.

Trzy są rzeczy, któremi żyje człowiek w przyrodzonym swem życiu, a bez nich życia dlań niema, trzy mówię: światło, powietrze i pokarm. Podobnież i w życiu nadprzyrodzonym: człowiek żyje naprzód światłem z góry, a tem jest słowo Boże; żyje następnie powietrzem duchownem, a tem jest modlitwa, jakoby wdychanie i oddychanie Bogiem, i połączona



z nią Ofiara święta; żyje nareszcie pokarmem nadistotnym, a tym jest chleb prawdziwy, który z nieba zstąpił, z nim razem wszystkie Sakramenta Boże. A więc te trzy rzeczy: Pismo święte, Liturgia Boża i Sakramenta Żywota wiecznego, te są one skarby, z których czerpie i utrzymuje się żywot prawdziwy chrześcijański. To jedna część życia. Lecz tego nie dosyć. Trzeba obok tego i wzwyż nad to, prawodawstwa, podług którego ma się wszystko odbywać i rządzić; hierarchii, która będzie rządziła. Owo troje bowiem pierwsze są to żywioły, którymi się żyje, a więc jakoby rzeczy; rzeczy same siebie nie dają, trzeba żeby je kto podawał, trzeba aby je strzegł wierne i według prawa i zakonu rozdzielał mądrze a zdrowo. — A więc trzeba zakonu czyli prawodawstwa, trzeba przede wszystkim hierarchii czyli świętorządztwa. A jak owe pierwsze rzeczy są od Boga, tak tem bardziej ta podług Zakonu służba wierna i roztropna powinna być od Boga, niewątpliwym a prawowitym porządkiemznaczona. Ta jest druga część żywota chrześcijańskiego, i dopiero gdzie przy pierwszej jest ta druga, tam żywot chrześcijański jest także pełny i całkowity.

Pierwsze owe trzy żywioły życia przynieśli w pełni narodowi słowiańskiemu święci jego Apostołowie, a dokonali tego w przeciągu pierwszych pięciu lat pobytu swego w Morawii, te drugie zaś zdobyli dla niego w swej podróży do Rzymu.

Naprzód dali Pismo święte. Jużśmy słyszeli o przyniesionej z sobą przez nich Ewangelji. Zdaje się, że przynieśli również i Psalmy, owo główne, i rzekłbym, wiekuiste narzędzie modlitwy dzieci bożych tak Starego jak Nowego Zakonu. Resztę Pisma świętego dopiero po zgonie św. Cyryla przetłómaczył św. Metody, za powrotem do Morawii, a żywotopisarz jego dokładnie nam czas nawet naznacza tak wielkiego dokonanego dzieła: „Wybrał, prawi, z pomiędzy swoich uczniów dwóch księży w szybkim pisaniu bardzo biegłych, i przełożył prędko wszystkie księgi (Pisma świętego) prócz Machabejczyków, w sześciu miesiącach, począwszy od marca do 26 października. A skończywszy, oddał należną cześć i sławę Bogu. Pierwej bowiem z filozofem przełożył był tylko Psalterz i Ewangelję z Apostołem (to jest Dziejami i Listami Apostolskimi) i wybranemi służbami czyli mszami kościelnymi. A wtedy (tj.

z Pismem świętem) i Nomokanon czyli prawidło Zakonu i księgi Ojców Kościoła przełożył“.

Zład mamy, że przedtem, nim dwaj bracia w r. 868 wyprawili się do Rzymu, już był cały Nowy Testament i część Starego po słowiańsku oddany, już nią była i służba kościelna czyli Liturgia św., następnie i porządek Sakramentalny, jednym słowem wszystkie główne żywioły kościelnego życia. Wszystko to nowe nawrócony naród słowiański miał w swoim słowiańskim języku. Czego wtedy brakowało, dopełniło się wkrótce potem, a dopełniło bogato, całkowicie. Stało i prawodawstwo kościelne, tak nazwany Nomokanon; ubrali się też w słowiańską szatę Ojcowie Kościoła, i nie bez milego zdziwienia obaczyli się Słowianami. Całe Pismo święte i cała Literatura kościelna na słowo Cyryla i Metodego, jakoby na drugą różezkę cudotwórczą nowego Mojżesza i Aarona, trysnęły żywym strumieniem z martwej dotąd skały słowiańskiej, i lunęły naokoło życiem i zbawieniem.

Zaiste podniesmy umysł i rozszerzmy serca, aby powitać i uczcić dzieło Boże w całej jego wielkości.

### 8. Pieczęć Rzymska.

Brakowało jednak pieczęci. Ona w Rzymie. Albowiem bez tej pieczęci, chociażby dzieło było nawet od Boga, nie może i nie powinno być za dzieło Boże uznanem od wiernych Bożych na ziemi. Taką w rzeczach wiary dał Bóg sam władzę Rzymowi. Któż wznioślejszy i bardziej Boży nauczyciel, niż Paweł? A jednak, jak uczy Kościół i powtarza jedna z legend naszych Cyrylowskich, chociażby kto był Pawłem, musi, jak Paweł, pojsć do Piotra, aby go potwierdził. Więc i święci nasi Apostołowie słowiansey nijak nie byliby od Boga, gdyby nie byli poszli do Rzymu, do Piotra, aby byli potwierdzeni od niego.

Piotr wtedy nazywał się w Rzymie Mikołajem I-szym, a był to jeden z wielkich i świętych Papięży. Właśnie zajmował się w tej chwili nawroceniem Bułgarii, które się rozpoczęło w rok lub dwa lata po przybyciu naszych Świętych do Morawii. Już z tego jednego powodu, że Bułgarzy mówili językiem słowiańskim, wieść o tem, co przedsiębrali w Morawii nowi wiary krzewiciele, zajęła Papięża nad miarę. Były i inne powody. Mikołaj wołał do Rzymu Cyryla i Metodego.

Był to znowu wspaniały pochód, ta podróż słowiańskich Apostołów do Rzymu. Nieśli oni z sobą, wspomnieliśmy już o tem, resztki św. Klemensa papieża, ale otaczało ich także i inne towarzystwo: cały zastęp wyborowej młodzieży, wychowanej przez nich w Morawii, wszyscy wyćwiczeni w słowie i służbie bożej, i przeznaczeni na przyszłe sługi Ołtarza i Ewangelji. Dobrana gromadka towarzyszyła świętym przewodnikom. Były to pączki i kwiaty słowiańskiego narodu, który w ich osobie dążył do Rzymu, aby tam otrzymać od Namiestnika bożego na ziemi błogosławieństwo i namaszczenie na przyszłość, i z tych kwiatów doczekać się wkrótce owoców, trzydziestych, sześćdziesiątych, stokrotnych. I Bóg z nieba błogosławił tej pięknej procesyi, tak wielką przyszłością brzemiennej. I Słowiańszczyzna naprzód, a potem cała Italia, przez którą przechodzili, zabiegała im drogę i również błogosławiła; i Rzym cały wstrząsł się z radości, i w świętej, odpowiedniej procesyi, z Papieżem na czele (ale nie był to już Mikołaj, lecz jego zacny następca Adryan) wyruszył daleko za miasto na ich spotkanie i błogosławił. I zanim jeszcze mieli czas przemówić do siebie: Apostołowie do Papieża, a Papież do Apostołów, to już sama arka zamykająca resztki Klemensa, którą Papieżowi do rąk powierzali, dała poznać kim są. W ich osobie Paweł pokłonił się Piotrowi, a Piotr poznał Pawła i pochwalił: ta zaś arka stała się arką przymierza między Rzymem a Słowiańszczyzną, między Słowiańszczyzną a Rzymem i jest nią do dnia dzisiejszego, i być nią nie przestanie.

### 9. Śmierć Konstantego czyli Cyryla.

Dziwne drogi Pańskie, jak pełne mądrości! Teraz rozumiemy, dlaczego Cyryl nie miał już wrócić do Słowian swoich. Dlaczego miał tu w Rzymie umrzeć, i tu w tej świątyni obok Klemensa być pochowanym. Oto już po pierwszych radościach poznania, po wstępnych tłumaczeniach, po dalszych sprawozdaniach, po ostatecznem wyrozumieniu i porozumieniu się, Rzym wszystko przyjął, a dzieło słowiańskie Apostołów wygrało sprawę stanowczo. Pismo święte w tym języku zatwierdzone, Liturgia uchwalona, Sakramenta uznane, całe tem samem życie kościelne stworzone dla Słowian, a na zakończenie wszystkiego ustanowiona osobna hierarchia, czyli świętorząd-



two, którego tak uporeczywie dotąd odmawiała słowiańskiemu narodowi zazdrość niemiecka; nasi święci Apostołowie przez Papieża samego wyświęceni zostali na biskupów, razem zaś z nimi na kapłanów i dyakonów poświęceni liczni wybrańcy, których z sobą przywiedli. Na niczem nie zbywa: już podwaliny Kościoła słowiańskiego położone, zabezpieczona przyszłość.

Leez nie, to jeszcze nie wszystko. Trzeba jeszcze temu dziełu nadzwyczajnemu osobnego opiekuna w niebie i szczególnego świadka na ziemi. Będzie nim Cyryl, ten mąż niezrównany, a będzie przez śmierć. On, taki jeszcze młody, 42 lub 43 lat zaledwie liczący, ale tak pełen dzieł i zasług, już zdaje się dokonał swego zawodu i głównej części powierzonego mu dzieła. Resztę śmierć jego sama dokona. I istotnie, jest w śmierci Cyryla pewna tajemnica boża. Powiada Apostoł (Hebr. 9, 16), że gdzie jest Testament, tam powinna nastąpić śmierć Testamentodawcy, bo Testament tylko w umarłych potwierdzony jest. Tak Chrystus Pan potwierdził swój Testament z nami, i dzieło zbawienia, którego przyszedł dokonać, dopiero przez Jego śmierć zatwierdzone zostało. Przy świetle tej nauki widzę coś podobnego w śmierci Cyryla. Zdaje mi się, że w swoich tajemnych z Bogiem obcowaniach, Cyryl ofiarował mu swe życie za lud ukochany. Legendy wspominają o objawieniach, jakie miał w tych czasach, wskutek których zmienił nawet swe dawne imię Konstantyna na nowe Cyryla, powiadając Papieżowi, że to ma od Boga; i otrzymawszy jego na to pozwolenie. Niewątpliwa tedy, że odprawiało się w jego wnętrzu tajemne dzieło, Bogu i jemu wiadome. Śmierć była jego skutkiem. Jakże ona w porę przyszła, a jak chwalebna, jak szczęśliwa, jak zbawienna i w błogie skutki obfita. Już teraz nie lękaj się wielki rodzie słowiański, masz u samego tronu Boga zastępcę i potężnego rzecznika, on stąd, z Rzymu będzie tam bronił twojej wiary, i nie dopuści, abyc stał się niewierny Rzymowi. A i ty Rzymie, nie lękaj się o twoje nowe dzieci! Cyryl ręczy za nie, i jako zakład, i rękojmię uczynionego przymierza i Testamentu, zostawia ci swoje własne ciało. Będzie ono zarazem świadkiem dla przyszłych pokoleń. I jeżeli kiedy znajdą się jacy odrodni potomkowie, co zapomną danej Rzymowi wiary, lub się jej wyrzekną, samo ciało Cyryla z grobu wołać będzie: Nieszczęśliwi! wy nie moi synowie, nie jesteście tam,



gdzie jest wasz Ojciec. A jeśli już koniecznie synami moimi chcecie się nazywać: przyjdźcież do Rzymu! Tu mnie tylko znajdziecie!

#### 10. Biedy Metodego.

Cyryl zakończył swój żywot w Rzymie roku 869. Powiada nam żywotopisarz Metodego, że Cyryl umierając, rzekł bratu swemu: „Oto, bracie, byliśmy sprzężajem jedną bródzę orzącym; ja padam na lepsze, swój dzień skończywszy, a ty górę miłujesz wielce (ów klasztor na Olympie), ale nie chciej gwoli góry rzucać apostołstwa swego: wszak-to przez nie zbawionym będziesz!” Metody pobożnie usłuchał brata, w którym od dawna czcił przełożonego, i wrócił do apostołstwa, ale tą razą brał się do niego, całą Stolicę apostołską odziany powagą, jako arcybiskup wskrzeszonej na nowo na korzyść Słowian dawnej metropolii pannońskiej w Tirmium, gdzie go już czekał Kocioł księżę. Wracał jako moralny patriarcha do swoich słowiańskich ludów od Papieża wprost do nich posłany, z całym szeregiem w Rzymie wyświęconych młodych Lewitów, i osiadł w Pannonii. O tej porze bowiem zaszły były w Morawii zaburzenia i zmiany, cały kraj był w wojnach i niepokoju.

Tu się wielki i dość długi rozpoczyna okres dziejów, liczący lat 15 lub 16, bo tyle żył Metody po śmierci swego brata. Okres ten przedstawia nam w życiu Metodego niezrównany obraz pracy, cierpliwości, poświęcenia, hartu i męstwa duszy, wszystkich cnót apostołskich w heroicznym stopniu. Bramy piekielne rozwarły się szeroko przeciwko nowemu chrześcijaństwu, i wypuściły ze swoich czeluści na jego zgubę sprzysiężone potęgi. Uderzyły one ze wszystkich stron na Metodego, a nieraz już wspomniany jego żywotopisarz, bardzo słusznie w tem jego z niemi spotkaniu się, przyrównywa nowego Apostoła do świętego Pawła: „biada od rozbójników, biada na morzu, biada na rzekach, biada od fałszywych braci, w trudach i kłopotach, w zapomnieniu od wszystkich, w głodzie i pragnieniu“, i innych udręczeniuach wszelakich. Jedną tylko lub drugą taką wielką biedę Metodego wspomnimy.

Pierwsza bieda, która go spotkała zaraz na wstępie po powrocie z Rzymu, była burza i napaść, rzeczywiście niesły-

chana i można powiedzieć wierutnie rozbójnicza, a co najboleśniejsza, przez współbraci podniesiona: przez arcybiskupa salzburskiego i trzech jego sufragánów. Św. Metody był z Pannonii pociągnięty przed ich samozwańczy trybunał, był złożony z urzędu biskupiego, policzkami srodze obity, wtrącony do więzienia, i mimo wciąż powtarzanych apelacyj do Stolicy Apostolskiej, w temże więzieniu, pewno nie lekkim, przez trzy długie lata trzymany, aż póki go zeń nie wydobył umyślnie w tym celu posłany legat papieski, Paweł, biskup ankoński. W listach papieskich, jakie legat przywiózł z sobą, a które, nieznane dotąd, szczęśliwym trafem, świeżo, bo zaledwie dwa lata temu, odnaleziono. Jan VIII, tak wielkie zbrodnie wyrzucając przestępnym sędziom na oczy, skazuje ich prawem odwetu na odsądzenie również długie od sprawowania urzędu: w jednym zaś z tych listów do Hermanricha, biskupa Passauskiego, najokrutniejszego śród wszystkich, wyrzuca temuż z osobliwym oburzeniem jego zuchwałstwo, które, że powtórzę słowa listu, jakiegokolwiek tyrana przeszło srogość (*tyranni saevitiam*), samą zwierzęcą przewyższyło dzikość (*vel bestialem feritatem*). Są słowa Papieża! Takich to Metody zamiast braci, doznał przeciwników, sędziów, oprawców. Wprawdzie Bóg wmieszał się był do tych sądów: albowiem wkrótce po wyrokach papieskich, w przeciągu kilkunastu miesięcy, wszyscy czterej Metodogo sędziowie, jeden po drugim nędną śmiercią pomarli. Lecz nasz Święty co przecierpiał, to przecierpiał: śnać było mu przeznaczonem, że do korony wynawcy miał przyłączyć i męczeński wieniec.

Drugą, niemłą biedą Metodogo był książę Świętopełk. Już Rościsława nie było w Morawii. Pódezas gdy obaj Święci przebywali w Rzymie, a w Morawii Rościsław, opiekun Metodogo, stanął u szczytu swej potęgi, wnet niespodzianie, a czarną zdradą Świętopełka, synowca, Rościsław wydany jest w ręce Niemców, którzy, wyłupiwszy mu oczy, wtrącają do więzienia, gdzie ginie bez słyhu. Świętopełk wprawdzie, zostawszy księciem, niepodległość państwową przeciw Niemcom potężnie zabezpieczył, ale o narodowy język i obyczaj zgoła się nie troskał, słowiański kościół Metodogo był mu nietylko obojętnym, ale raczej przeciwnym, na jego dworze łacińskie odbywało się nabożeństwo, dwór cały w niemieckie stroił się szaty, i nie-

mieckim żył obyczajem, a szukający fortuny przybysze z Niemiec ciężką gotowali dolę słowiańskiemu kościołowi.

Trzecią biedą Metodego był jeden z takich niemieckich przybyszów, biskup Wiching, będący wrzekomo arcybiskupa Metodego sufraganiem w Nitrze, ale tymczasem w istocie niezależny od niego, zwłaszcza, że łacińskim był biskupem, stał się wkrótce największym Metodego przeciwnikiem, i zatrął okrutnie ostatnie jego lata. Człek na wszystko odważon, zdrajca, okrutnik, bull papieskich fałszerz, bez sumienia, bez wiary, wszystko przygotował, aby zniszczyć Metodego dzieło. Nie podołał mu wprawdzie za jego życia, owszem, zawstydzony musiał się poddać i przynajmniej milczeć. Ale milcząc, czekał zdrajca, póki Methody nie umrze, a co wtedy się stało z kościołem słowiańskim na Morawii, tego nas wkrótce historia nauczy.

Takie główne, i wiele innych im podobnych, miał biedy święty i równy męczennikom Apostoł nasz w tym całym okresie swego osamotnionego po bracie apostołstwa. Jakże z nich wyszedł wielki i potężny! Podziwialiśmy w Cyrylu podniosłość i jasność niebieskiego ducha, jakby oblicze anioła bożego. Podziwiamy w Methodym ten inny charakter, który daje dzielność i siła: był on Mojżeszem, był Piotrem, był Pawłem, był patriarchą i wodzem niezłomnym ludu bożego, prowadzącym go pomimo wrogów, pomimo potworów, pomimo burz i gromów, przez pustynię tego żywota, do przybytków wiekuistych, i na każdy dzień łożącym duszę swoją za jego całość i zbawienie.

### 11. Tryumfy Metodego.

Teraz spojrzymy po raz ostatni, jakoby z wyższego poziomu, na dokonanie żywota naszego bohatera. Poselstwo Pawła z Ankony, oswobodziciela Metodego z więzień szwabskich, odbywało się w Niemczech w r. 873. Już tego samego roku zaczęli umierać prześladowcy naszego Świętego, a pierwszym był Adalwin, salzburgski arcybiskup. Papież od jego następcy Titmara domagał się stanowczo, aby wszelkiej nad Pannonią i księstwem Nitrzańskim zrzekł się władzy, i póty mu pallium nie przysłał, póki on tego nie uczynił. Wypuszczając od siebie Metodego wolnego, próżno jeszcze owi biskupi sędziowie grozili księciu Kocielowi swą zemstą; Methody z całem prawem



i swobodą swe rządy w Pannonii rozpoczął. Z Pannonii przeniósł się niezadługo do Morawii, albowiem przez te 3 lub 4 ciężkie lata niebytności Metodego zarządzili w Morawii kapłani niemieccy; lecz „Morawianie, powiada nam nieoceniony nasz stary żywotopisarz Metodego (którego powagę historyczną odnaleziono świeżo w Londynie listy Jana VIII przedziwnie we wszystkim zatwierdziły), Morawianie pożałowawszy grzechu swego i poznawszy księży niemieckich... wygnali wszystkich, i posłali do Apostolika (t. j. do Papieża), mówiąc... Daj nam Metodego za arcybiskupa i nauczyciela. I wnet Apostolik posłał go (powiada), i przyjął go Świętopełk i wszyscy Morawianie, i poruczyli mu kościoły wszystkie (t. j. duchowieństwo świeckie) i postrzyżeńców we wszystkich grodach (t. j. duchowieństwo zakonne).“

Po wielkiej tedy burzy nastąpiła wspaniała pogoda, po srożej wojnie chwalebne zwycięstwo i panowanie. Do Pannońskiej diecezyi przyłączył Papież Morawską, a Metody został Pannońsko-Morawskim metropolitą najniezaprzeczeniej, najswobodniej, najuroczyściej. Zaiste, był to początek nowego okresu tych dziejów, który mimo wszystko trwał aż do śmierci Metodego, lat jakich dwanaście. „Od tego czasu, powiada nam znowu nasz zacny żywotopisarz, bardzo szerzyć się zaczęła boża nauka, a państwo Morawskie najbardziej rozprzestrzeniać się poczęło i zwyciężać wrogów swoich bez grzechu“. Ach! jeżeli tak było, tedy błogosławione zaprawdę ono państwo Morawii, które, słuchając nauk Metodego, choćby tylko przez lat dwanaście mogło i umiało wrogów swoich bez grzechu zwyciężać. Z drugiej strony prawda jest, że zwyciężało, bo Świętopełk równie był wielkim wodzem wojennym jak i Rościsław, i równie w bitwach szczęśliwym.

W samym środku tego dwunastoletniego okresu, t. j. w r. 879 musiał Metody na nowo do Rzymu się udać. Świętopełk, nie wielki, jak widzieliśmy, miłośnik słowiańskiego języka, zaniepokoił Jana VIII o słowiańską liturgię, a Papież nieświadomy lub niepamiętny sprawy przed 10 laty w Rzymie przez Adryana załatwionej, zabronił tejże Liturgii na razie. Lecz następnie, chcąc lepiej rzecz rozpoznać, Metodego do Rzymu przywołał. Tam na pełnym Soborze biskupów święcili i Metody i Liturgia Słowiańska wspólny walny tryumf. Stała



uchwała. „że się to nie sprzeciwia ani prawdziwej wierze, ani nauce Kościoła, ani zdrowemu rozsądkowi, aby miała być odprawiana w słowiańskim języku masa święta, czytane Pismo św. Starego i Nowego Testamentu, udzielane Sakramenta i śpiewane nabożeństwa; bo ten, który stworzył trzy główne języki, stworzył i wszystkie inne dla chwały swojej i dla zbawienia ludzkiego“.

Przypomnijmy, że Metody całe Pismo św. dopiero teraz niedawno był przetłumaczył na język słowiański, a oto ma już jego uznanie. Szatan zdaje się na to tylko dostał pozwolenie tę nową burzę wznieść, aby dzieło ostatecznie dokonane nie czekało długo, albo nie zgoda, na ostateczne także i najwyższe zatwierdzenie.

Oto już Metody wrócił do Morawii z dwakroć i trzykroć potwierdzoną władzą swoją przez Papieża. O Wichinga łaszczersztwach, najzdradliwiej teraz uknutych, i mówić tu nie będę, bo, jak na teraz, w mig z dymem spęłży. Metodego urząd i powaga stanęły niezachwianie, i zaczęły z dnia na dzień nakoło się rozszerzać, tak jak się rozszerzały granice państwa Świętopelka, które w istocie daleko zaszyły. Niema wątpliwości, że Małopolska w nie weszła. Świadkiem tego jest ów potężny książę na Wiślicy, czyli raczej na Wiśle, jak nam się zdaje, że czytać trzeba, który przez Metodego przestrzeżony, by się ochrzcił dobrowolnie, kiedy nie posłuchał, był potem przez Świętopelka w niewolę wzięty i tam dopiero przez Metodego najpewniej ochrzczony został. Tu wyraźnie widzimy pierwsze w Polsce zasiewy Ewangelii i wiary chrześcijańskiej. Co o Małopolsce, trzeba to samo powiedzieć a przynajmniej i słusznie przypuścić i o Śląsku. Lecz i na wschód państwo Świętopelka rozciągało się niezawodnie daleko: może do dzisiejszego Lwowa, — a może i dalej, w niepewnych rozumie się granicach. Z drugiej strony stosunki jego z Czechami były rozliczne, wojuszami i związkami familijnymi stwierdzone: za nimi szły wpływy kościelne. Ze strony południowej posiadał Świętopelk samą Pannonię, a niezmierne stępy między Dunajem a Ciepą rozgraniczały zapewne z tej strony Morawię od Bułgarów.

Z granicami Świętopelkowego państwa tak rozszerzonymi, rozprzestrzeniła się zarówno Metodego władza arcybiskupia i jego kościół słowiański. Tym sposobem, my Polacy przyna-

mniej, a myślę że równem prawem i Rusini, z pewnością powiedzieć możemy, że Metody, jak był Morawian i Słowian pannońskich, tak był i naszym prawdziwym Apostołem, a nawet bezpośrednim biskupem. Wszelako, co tak ze szczęściem przyswajamy sobie, tego zgoła nie zabieramy drugim słowiańskim ludom, przyznajemy wszystkim chętnie to samo prawo, w ten, czy w inny sposób. Chcemy tylko w ogólnym zarysie nakreślić, jak szeroko, zaraz od początku, rozprzestrzeniło się działanie Metodego, i pokazać, że dosięgło niemal aż do krańców Słowiańszczyzny. Jak niegdyś Mojżesz, mający już umrzeć, tam z góry objął wzrokiem całą ziemię obiecaną, zanim ducha oddał Bogu, tak i nasz Metody, ale szczęśliwszy od niego, w środku ziem słowiańskich postawiony, przed śmiercią swoją objął je duchem wszystkie, otoczył sercem i cały ten skarb swój, tę swoją najmiłszą Słowiańszczyznę, wziął z sobą do nieba, i został przy niej na ziemi.

## 12. Śmierć Metodego.

Św. Metody umarł 6 kwietnia 885 r. Zostało nam zachowane ważne zdarzenie z ostatniego roku jego życia, pozwalające nam prawdopodobnie wnioskować, gdzie umarł. W roku 884, na kilka zapewne miesięcy przed śmiercią Metodego, powiada nam ta wiadomość, że „że poświęcony został kościół w Bernie (Brünn) na część świętego Piotra i Pawła, głównych Apostołów bożych, przez najprzewielebniejszego w Chrystusie Ojca Metodego, arcybiskupa morawskiego, w obecności przesławnego księcia Świętopełka i niezliczonego ludu“. To proste opowiadanie upoważnia nas do ważnych wniosków: że to był kościół nie byle jaki, najwspanialszy zapewne ze wszystkich Metodego, zwłaszcza że go wzniósł na samym końcu życia; sami patronowie, Piotr i Paweł, dowodzą, że był przeznaczony na główny kościół; zapewne była to ostatnia katedra arcybiskupia, jakoby środkowa świątynia narodu całego; i dlatego też i książę i lud niezliczony są obecni tej narodowej uroczystości. Wnioski te same z siebie płyną.

A teraz przyłączmy do tego opowiadanie inne, w którym dobrane nam znany żywotopisarz daje szczegóły śmierci Metodego:

„A gdy wszystko spełnił, miłym był Bogu, i przybliżył się czas, w którym miał przyjąć nagrodę cierpień i mnogich tru-

dów... W niedzielę kwietną, wobec liczego ludu wszedł do kościoła słaby, i miał kazanie, i błogosławił cesarzowi, i księcia, i ludowi całemu (czyż się nam nie zdaje być w tym samym berneńskim kościele?) i rzekł: Pilnujcie mnie dzieci aż do dnia trzeciego. A gdy zaświtał dzień trzeci, zawołał: W ręce Twoje Panie, oddaję ducha mego! I spoczął w Bogu na rękach kapłanów 6-go dnia miesiąca kwietnia, trzeciego indyktu, roku 6393 od stworzenia świata (t. j. 885)“.

Tak skończył przestawny, prześwięty, równoapostolski Metody.

Dodaje żywotopisarz: „Naradziwszy się jego uczniowie (a tu pozwólcie powiedzieć, że, mojem zdaniem, żywotopisarz do tej rady należał niechybnie), poradziwszy się tedy jego uczniowie, należną mu cześć wyrządzili, kościelne nabożeństwo po łacinie, po grecku i po słowiańsku odprawiając, i złożyli zwłoki jego w katedrze“.

Iście dobrze i mądrze naradzili się rozumni uczniowie, nie wiem nawet, czy sami wiedzieli, jak dalece dobrze, jak bardzo mądrze! Takiego pogrzebu był godzien Metody, i taki a nie inny jemu się należał. A ja tu na końcu odwołuję się do początku mojej mowy. Wszakże wam powiedziałem, zaczynając, że świat chrześcijański grecki i świat chrześcijański łaciński, kiedy przyszła chwila, wydały z siebie razem świat chrześcijański słowiański. Grecya była matką, Rzym był ojcem, a Słowiańszczyzna ich dzieckiem najdroższem, noszącem na sobie piętno ich zjednoczenia, ich Unii, zanim, niestety, miała się ta rozerwać. Atoli węzłem spólnym tego zjednoczenia był Metody, on był głową i sercem tej Unii, był niem wówczas na początku, był później przez wszystkie wieki, jest niem i dzisiaj, a od dzisiejszej chwili, z nowem światłem i z nową mocą będzie niem i na całą przyszłość. Więc kiedy umarł Metody, ten zjednoczyciel trzech światów chrześcijańskich, słuszną i dostojną rzecz była, proroczego i bożego ducha pełna, że nad jego zwłokami i świat grecki, i świat łaciński, i świat słowiański, dały sobie pocałunek miłości, i że wszystkie te trzy światy jednomyślnie i jednogłośnie dziękowały za spólne łaski, wylewały spólne żale, podnosiły ku niebu spólne, gorące nadzieje i modły, i spólną sławę oddawały Bogu.



## II.

## DZIEŁO APOSTOŁÓW.

## 1. Zniszczenie w Morawii.

Nie byłaby rzecz nasza dokładna, gdybyśmy słowa osobnego nie powiedzieli o dziele naszych Apostołów i jego dalszych losach.

To dzieło, to ich życie pozostałe po nich, a historya tego ich dzieła, jest ich samych dalszym żywotem. My jednak tego żywota w jego pełni wypowiadać nie mamy zamiaru w tem miejscu i w tej krótkiej chwili. Powiemy tylko słowo, jedno tylko, chociaż odpowiednie słowo.

Wiemy, z czego się składa dzieło naszych świętych Apostołów: Słowo Boże po słowiańsku, Liturgia z Sakramentami po słowiańsku, po słowiańsku także Prawodawstwo kościelne. To są główne żywioły dzieła. To, co stanowi życie dusz i był sam Kościół na Wschodzie pod szatą grecką, na zachodzie pod szatą łacińską, to samo na północy ma odtąd dawać był Kościołowi i życie duszom pod szatą słowiańską.

Mój Boże, że też Słowianie sami nie poznali się od początku dostatecznie na wielkości dzieła swoich Apostołów i na zaerności daru bożego, który mu oni przyniesli!

Lecz obaczmy raczej, co się z dziełem stało. Zaledwie oczy zamknął Metody, alści rzucili się na jego trzodę wilej drapieżni, kupa wściekła, a na ich czele Wiching, już nam dobrze znany, w te tropy pobiegł do Rzymu, przedstawił jak najfałszywiej rzecz papieżowi Stefanowi VI, i podchwycił list obalający całe a całe dzieło Metodiego. Liturgia słowiańska najsurowiej wzbroniona. Dziejopisarze nowsi, o tych rzeczach piszący, albo ten list za rzetelny nie przyjmują, albo przyjmując, nadziwować mu się nie mogą, w każdym razie nazywają go nierozwikłaną zagadką, najtrudniejszym do zgryzienia orzechem historycznym. Nie wiem dlaczego nie zrobili prostego wniosku, że list był podchwycony, nosi bowiem w sobie wszystkie cechy podobnego podchwycenia; to nie niema przeciwko nieomyślności papieskiej, a teoria listów, które się nazywają obreptitiae albo subreptitiae, jest szeroko i dokładnie w prawie kanonicznem rozwiniętą.



Na domiar złego Świętopelka, który i tak dziełu nie aprzyjał, nie było w kraju, Wiching wolne miał ręce, a był po śmierci Metodego jedynym biskupem w Morawii, przetoż jedyną władzą kościelną. Gorazd, przeznaczony przez umierającego Metodego na następcę, nie mógł rządzić, bo nie był biskupem, trzeba go było jeszcze święcić, a jaki biskup byłby się tego podjął? Zaczęło się tedy za wodzą Wichinga przesładowanie i gonienie, sprężyste a chytne, wszystkiego, co było słowiańskiem kościelnie. Główne jądro duchowieństwa, 200 słowiańskich kapłanów, wojenną ręką było wypędzonych do Bułgarii, wielu ich schroniło się do Sławonii, Kroacyi i Dalmacyi; a nie możemy też wątpić, że niejeden udał się do Polski i do Czech. Burza, huragan, trąba napowietrzna przeszła przez kraj i powyrywała dęby i cedry; ledwie gdzieś gdzieś jakiś został w ukryciu. W prawdzie w lat jakie 15 później, około r. 900, za Mojmira II, z pozostałych resztek miał być na nowo powstać kościół słowiański. Aż trzech legatów, tym razem biskupów, a trzech w tym jedynym celu, żeby mogli bez pomocy Niemców święcić biskupów słowiańskich, przybyło do Niemiec; wybrano i poświęcono biskupów aż czterech. Ale to chwila tylko była odetchnienia. Kilka lat nie minęło, a nie tylko kościół słowiański, lecz i sama Morawia, i cała Słowiańszczyzna nad-dunajska zagrzebaną została przez Węgrów we krwi, w gruzach i popiołach.

Tak upadło dzieło Metodego na miejscu, na którem się rozpoczęło. Lecz, o dziwne zrządzenie Opatrzności! w tejże chwili zaczęło żyć po różnych stronach, jak gdyby dlatego przestało być na jednym miejscu, by być na wielu. Ziarno niebieskie jest zaiste nieśmiertelne, gdziekolwiek je burza zamiecie, byleby znalazło ziemię, rósć i mnożyć się będzie.

## 2. Dwa prądy dzieła.

Nim patrzeć będziemy na dalsze losy dzieła, postawmy fakt najważniejszy, a dzisiaj zupełnie już wyświecony i niezaprzeczony. Liturgia Metodego nie była zgoła greckiego obrządku, jak mylnie, a nawet bez żadnej podstawy historycznej, owszem wbrew wszelkim danym ówczesnym i miejsc, i osób, i okoliczności. Jeszcze dwadzieścia lat temu ślepym przesądem utrzymywano. Liturgia Metodego była rzymską, w słowiański język

obleczoną, taką jaką jest dziś jeszcze w dycecezyach Veglia, Jadra, Spalato i Sebenigo nad morza Adryatyckiego słowiańskim wybrzeżem. Ta ostatnia liturgia od tamtej pierwszej pochodzi w prostej jak mówią, linii, i gdyby tamtej nie było, liturgia słowiańska rzymskiego obrządku ze swoją Glagolicą zaprawdę ani z pod ziemi, ani z pod morza nie byłaby sama wyszła.

Z tym faktem przed oczyma kiedy wyruszymy za naszymi kościelnymi wygnańcami morawskimi do krain, do których zaszli, zobaczymy, że głównem zdarzeniem, które spotkało dzieło Metodego, było rozdzielenie się na jego dwa prądy. Ci z jego uczniów, którzy się udali do Sławonii, Karynty, Krocacji, Dalmacyi, zachowali wiernie obrządek rzymski, tylko znalazłszy się wśród najprzychylniejszych okoliczności, tracili język słowiański w liturgii, prowincya po prowincyi, miasto po mieście, parafia po parafii. W trzynastym wieku już do samych jedno nadbrzeży znaleźli się przyparci. Wtedy to, jak gdyby Bóg Najwyższy chciał zachować aż do ostatnich czasów pamiątkę jakąś i okaz rodzimego i prawowitego dzieła Metodeusza, podał do umysłu Innocentemu IV, aby się zlitował i nad Glagolicą, alfabetem Cyryla, który mylnie przypisał św. Hieronimowi, i nad liturgią rzymską po słowiańsku, dziełem Metodego. Zlitował się tedy, owszem pochwalił, i rzecz dalej żyć mogła i dotąd żyje. To jeden prąd.

Drugi prąd jest tych uczniów, którzy się przenieśli do Bułgaryi. Tam oni znaleźli grecki obrządek. Atoli ponieważ Grecya była wtedy na nowo w zupełnej jedności z Rzymem (a będzie tem jeszcze lat 200 blisko), najmniejszej nie mieli trudności przyjęcia obrządku greckiego do swojej liturgii, zwłaszcza, że stosując się do liturgii greckiej, wiele zachowali ze swojej dawnej, szczególnie na cześć Piotra i Stolicy Apostolskiej, które to ustępy łatwośmy potem odnaleźli w liturgii ruskiej. Przyjęli tedy obrządek grecki. Uczynili to sumiennie, po cieńwie, dla chwały Bożej i dla dobra dusz. I niezmierne też dobro z tego wydarzenia wynikło. Grecya nie byłaby dała bułgarskiemu ludowi Pisma świętego, liturgii i reszty życia kościelnego w jego języku; i Bułgarya ma to nie od Grecyi, ale od Metodego, ale od Rzymu. Co miało być nastąpić w Morawii, to nastąpiło w Bułgaryi. Rozszerzyło się i wzmogło

piękne, zdrowe, kwitnące chrześcijaństwo. Grecy kapłani ustąpili, a ich miejsce zajęli słowiańscy: Gorazd, zamiast Morawskim został arcybiskupem Bułgarskim, a inni uczniowie biskupami po innych miejscach. Między nimi najczynniejszym był może Klemens, biskup bilicki albo bielicki od strony Macedonii. Ten przy końcu życia miał mieć 3.500 uczniów, których, rozumie się, wychowywał na kapłanów i sługi Boże, i wszędzie po Bułgaryi rozsyłał. Wzmogła się, wzbogaciła, zakwitła literatura słowiańska. To też w tych stronach znajdujemy i dziś najwięcej i najstarszych rękopisów słowiańskich, a im starsze, tem pewniej głągolicą pisane; najstarsze zaś bez wyjątku. To nas na nowo naprowadza na prawdę historyczną w tej rzeczy, że głągolica jest prawdziwym alfabetem św. Cyryla. Lecz czegoż więcej trzeba? Wiemy, kto wynalazł tę tak nazwaną dzisiaj kirylicę. Wynalazł ją ten sam właśnie Klemens, o którym tylko co wspomnieliśmy, i to w pierwszej połowie X wieku. Jego życiopisarz nam mówi: „Święty Klemens wymyślił także inne liter kształty, któreby daleko większą miały zrozumiałość, aniżeli te, które mądry Cyryl wynalazł“. Czegoż, mówię, więcej potrzeba?

Ale nam szło głównie o to, aby wykazać ten drugi prąd, za którym poszli uczniowie Metodego, i któremu Bóg w tych pierwszych wiekach tak obficie błogosławił. Szło nam o to, aby pokazać, choćby w błysku tylko, jaki to wspaniały kościół słowiański stanął był w Bułgaryi w X-ym i XI-ym wieku.

### 3. Jeden dzieła charakter.

Zastanówmy się na chwilę. Przy końcu IX i na początku X wieku, a zatem już po śmierci Metodego i między pierwszymi jego uczniami, widzimy już jego dzieło na dwie rozłożone połowy i w dwóch idące kierunkach. Lecz podziwiamy to raczej, niż cobyśmy mieli utyskiwać nad tem. Z jednej strony obrządek grecki, z drugiej obrządek łaciński, a oba obrządki równie święte i prawowite, złączone w jednym i tym samym języku słowiańskim! Ażaliż nie to właśnie jest charakterem całego dzieła Cyryla i Metodego? Wszakże tym sposobem się ziszcza, że Grecya jest Matką, Rzym Ojcem, a Słowiańszczyzna jednym i spólnem ich dzieckiem? I czyż to nie jest piękne? Nie błogosławioneż w skutkach?



Trwało to tak przez lat blisko 200, do drugiej połowy XI wieku. Ażaliż co było tak pięknem przez lat tyle, nie byłoby piękniejszym jeszcze, gdyby było trwało zawsze? I ażaliż nie szkoda, że złe duchy to zniszczyły?

#### 4. Nawrócenie Rusi.

Idźmy dalej i do głównej przystąpmy rzeczy. Najobfitszem błogosławieństwem, które złało się z góry na dzieło Metodego, najprzedniejszym owocem, jest nawrócenie Rusi: tego, mówię, wielkiego księstwa i rozmaitych księstw słowiańskich, które się rozciągały od Sanu do Dniepru, od Kijowa do Nowogrodu. Tu już doprawdy nie możemy wchodzić w szczegóły, ale naznaczamy z góry główny, najwydatniejszy fakt: Ruś kijowska nie tylko została chrześcijańską w chwili, kiedy Grecya i dogmatycznie i hierarchicznie, nie powiem, była w zgodzie z Rzymem, tego za mało; by prawdę całą wyrazić, muszę powiedzieć, była poddaną Rzymowi; więc nie tylko w podobnej chwili Ruś przyjęła wiarę i hierarchię, a więc i sama stała się poddaną Rzymowi; lecz co jest rzeczą stanowczą, przyjęła wszystko, co stanowi życie chrześcijańskie, przyjęła słowo Boże, a więc przedmiot wiary, przyjęła język liturgiczny, sakramenta, prawodawstwo, jednym słowem, wszystko przyjęła od Rzymu, bo przyjęła to od uczniów Metodego. Tak, Ruś dostała wszystkie swoje skarby duchowne nie od Grecyi, ale od Bułgaryi, a tem samem od Cyryla i Metodego, tem samem od Rzymu. Gdzieżby Grecya mogła była dać to Rusi? Do tego trzebaby było nowego Cyryla i Metodego, lecz tacy ludzie nie powtarzają się, a kiedy się raz urodzą, choćby w Grecyi, idą koniecznie do Rzymu po namaszczenie! Darmo tedy, Ruś nie od Grecyi naczelnie, ale iście od Rzymu otrzymała swoje skarby.

I tak coraz bardziej widzimy, jak onego czasu cała Słowiańszczyzna przechodziła przez ten swój pierwotny charakter i była nim niejako namaszczona, to jest, że była zjednoczeniem i Rzymu i Grecyi, że była ich spólnem dzieckiem, owocem świętej Unii.

#### 5. Wierność Rusi.

To też Ruś kijowska dotrwała w tem zjednoczeniu i zależności od Rzymu daleko dłużej, aniżeli na schizmę skazany



Carogród. Już Cerularyusz puścił się torem Focysza (było to r. 1053), już Grecya poszła za nim, już Bułgarzy poszli, a przynajmniej nie protestowali. Protestowała Ruś. Posłowie papiescy zmuszeni uciekać z Carogrodu, nie mając wolnej i bezpiecznej drogi przez cesarstwo Greckie, uciekli na Ruś i tam w jej stolicy ogłosili klątwę na Cerularyusza. Ruś została wierną Rzymowi, i przez koniec wieku XI, przez cały wiek XII, taki piękny wiek dla ruskiego Kościoła, gdzie tylu Świętych, tylu piosarzy, tyle niewiast znakomitych w nim jaśniało, gdzie Ławra peczerska rozlewała naokoło siebie woń świętości, gdzie w Kijowie dwie ruskie księżniczki, siostry i wdowy, jedna królowa francuska, druga cesarzowa niemiecka, tej samej wiary we Francyi lub Niemczech, co przedtem lub potem w Kijowie, spędzały resztki żywota na wychowaniu kilkuset dziatek w tej samej wierze, nie greckiej, bo już schizmatyckiej, ale rzymskiej, którą jedną znały: przez cały tedy powtarzam ten piękny wiek XII, a nawet przez cały wiek XIII, taki dla Rusi nieszczęśliwy; owszem, jeżeli nie o materyalną ale formalną schizmę chodzi, więc ani przez wiek XIV zacny ten, święty ruski Kościół odszczepieństwem od Rzymu się zmazał. Dopiero na początku XV wieku, po raz pierwszy wyraźnie, stanowczo usiadła na niedawno powstałym Moskiewskim przystółu schizma i nienawiść do Rzymu. Usiadła, lecz nie była ona z Rusi rodem, była przemytem sprowadzona z Grecyi.

Tak długo tedy pierwszy charakter, pierwsze wierności namaszczenie trwało w swych skutkach u tego narodu! Tak długo strzegli swej Rusi Cyryl i Metody!

## 6. Unia Brzeska.

Lecz oni jej nigdy nie zapomnieli, a najlepszym dowodem Unia Brzeska 1595 r. Tu powściągam me słowa, a w sercu szukam samej miłości, aby nie drażnić przesądów, nie ranić uprzedzeń, nie wywoływać do walki od młodu nabytych fałszywych wyobrażeń. Niechaj raczej Cyryl i Metody za mnie mówią przez moje usta, a mówią słodko, jasno, przekonywująco, godząco.

Co pomogło Unii Brzeskiej? Co dało jej do rąk dowody oczywiste, fakta przokonywujące, wnioski niezbite? Nie co innego, jedno to, co Cyryl i Metody włożyli do słowiańskiej lite-

ratury kościelnej, i co kościół ruski dotychczas prowadziło, a przez ten długi czas broniło go od schizmy. Albowiem patrzmymy. Wraz z Unią Brzeską powstały zastępy jej obrońców, ze św. Jozafatem na czele, którego tak godnie i potężnie zastąpił, krwią jego nawrócony, dawny prześladowca, Smotrycki. Napisano liczne, długie, uczone traktaty i księgi; a argumenta czerpano z samychże źródeł słowiańskich, z samychże faktów kościoła ruskiego. A jeśli jakiś książę Ostrogski lub inny patron Schizmy chciał na to odpowiadać, nie znajdował u siebie, w swym ruskim domu, ani co powiedzieć, ani na czym się oprzeć, musiał sprowadzać do pomocy niemieckich różnowierców, lub fałszować teksta lub zmyślać historie!

Więc cóż to pomogło Unii Brzeskiej? Niemasz wątpliwości: dzieło Cyryla i Metodego; i jeżeli Unia stanęła na nogi, to jej kamieniem węgielnym i dźwignią niebieską są zaiste nasi święci: Cyryl i Metody.

### 7. Kościół Wielko-Rosyjski.

Ach teraz, coraz mi ostrożniej, coraz miłośniej mówić wypada, boć chciałbym, boć winieniem nawet, w imieniu tych Apostołów wszystkich Słowian, w tym dniu ich, zwrócić słowo prawdy a zarazem miłości i do tego kościoła wielko-rosyjskiego, który tak się zmógł w liczbie i przestrzeni, że wszystkie inne słowiańskie przewyższa, a gdyby raz powrócił na łono swych Ojców, pocieszyłby wszystkie inne, pokrzepił, zachwycił. W ich imieniu i z ich miłością mówimy tedy do tego kościoła, i będziemy śmiało mówili prawdę; właśnie dlatego, że przychodzimy z miłością.

Najmilsi, wszakże i wy jesteście dziećmi tych Ojców, dziećmi Cyryla i Metodego! Czy ich znacie? Znacie wy doprawdy Ojców waszych? Niestety, gruba niewiedomość zakrywa przed wami prawdziwą ich historię! Inaczej, czyż podobna byście nie czynili tego, co oni czynili, a czynili to, czego oni nigdy nie czynili?

Nie, wy ich nie znacie, niestety! i w ten sposób miłość nasza tłómaczy niczem innem nieusprawiedliwione postępowanie wasze. Wyście nigdy nie słyszeli, jak Cyryl gromił Focyusza, duszodwojcę! Nie słyszeli, jak Cyryl i Metody Rzym kochali, a Rzym ich kochał nawzajem. Nie słyszeli, jak na pierw-

sze zawołanie Papieża, obaj bracia do niego przybiegli; jakiemi oni dla Papieża byli dziećmi, a on dla nich Ojcem. Zapewne nawet o tem nie słyszeliście, że Cyryl tu w Rzymie umarł i był z tryumfami, tylko Świętym oddawanymi, obok św. Klemensa pochowanym; wyraźnie, żeście o tem nie słyszeli, bo byście przecie tu byli! Nie słyszeliście, że całe wasze Słowo Boże i język liturgiczny Cyryl i Metody tu do Rzymu przynieśli i dali je pobłogosławić wprzód przez Papieża, aby je wam potem dać mogli święcie i prawowicie; oczywista, że ani się domyślacie, iż to wszystko przez tych Ojców waszych macie z łaski Rzymu i Papieża. Nie, nie domyślacie się, że cała piękna przeszłość pierwotnego Kościoła waszego, którą się słusznie szczyć możecie, wyszła ztąd, z Rzymu, i przez tych Ojców waszych do was przyszła! A tego już pewno zgoda się nie domyślacie, że dzieło Unii szczególnie jest przeważnem, naczelnem, od samego początku opatrnie charakterystycznym dziełem Cyryla i Metodego; ta święta, prawdziwa Unia, którą wy... Ale w tym dniu miłości, wyrzutów wam nie chcemy czynić, serca nam na to nie staje.

I cóżbyśmy wam zresztą wyrzucali, o najmilsi, kiedy was od wszystkiego wymawia gruba wasza nieświadomość!? Więc wzrok mój i głos gdzieindziej do góry, obracam i wołam: Panie odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią! Ty sam widzisz Panie, że nie wiedzą! A wy najmilsi, Cyrylu i Metody! Ojcowie nasi, i nasi i ich! módlcie się jak za nas, tak i za nich. Otwórzcie im oczy, otwórzcie serca! Niech was poznają! A przez was niech poznają prawdę i zbawienie, jakieście wy im dali i staliście się przez to Ojcami ich. Niech poznają w was Ojców swoich i rzucają się na łono wasze i staną się doprawdy synami waszymi, a wy się im staniecie Ojcami! O wtenczas będziemy braćmi! Ustaną zawiście, jady, gniewy, wojny; będzie pokój, zgoda, wesele, jedność braterska. I Aniołowie śpiewać będą doprawdy pokój na ziemi ludziom dobrej woli — i chwałę na wysokościach Bogu.

#### 8. Pansławizm i Unia.

Lecz na tem skończyć nie mogę. Prawdziwy koniec tej rzeczy wymaga innego słowa.

Ostatniem słowem w rzeczy słowiańskiej jest Unia.

Słowiańszczyzna, niestety! jest od kilku wieków podzielona na dwie przeciwne części.

Z jednej strony jest prawowierna połowa Słowiańszczyzny, i z greckim i z łacińskim obrządkiem, w zgodzie z sobą żyjącym; i wspólnie zatwierdzającym najwyższą władzę kościelną przez Boga ustanowioną, Rzym.

Z drugiej strony jest przeciwna Słowiańszczyzny połowa, greckiego tylko obrządku, i cała żyjąca zaprzeczeniem najwyższej władzy bożej w kościele.

Od początku nie było tak. Cyryl i Metody inaczej uczynili, inaczej przez nich uczynił Bóg.

Dlaczegoż to co Bóg połączył, człowiek rozłączył?

Grecka wyłącznie, a przeciwna strona Słowiańszczyzny, wiedzioną jest od pewnego czasu i myślą i instynktem, które dość oznaczę, jeśli wymienię nazwisko, jakim to ona nazywa, nazwisko Panslawizmu. Ta część chce skupić w jedną całość Słowiańszczyznę, ale nie przez Unię, w wyższej jedności, tego co greckie i słowiańskie; jedno przez niepowrotne zniszczenie wszystkiego co łacińskie; a następnie przez skupienie zgromadzonych już Słowian w jednym jakimś i jednoplemiennym narodowym środku władzy, mniejsza, że ze zniszczeniem wszystkich innych plemion; a więc w środku czysto świeckim i ludzkim, nie bożym.

Strona druga, łacińska i po części grecka zjednoczona z sobą, i przedstawiająca w mniejszych rozmiarach to, co ma być największe, obudziła się także i głosi od dziś dnia, że trzeba zdążać do tego samego skupienia Słowiańszczyzny w jedno; ale przez Unię naprzód. Niech nic nie będzie zniszczone, co greckie, niech zostanie greckie, co łacińskie, łacińskie; wszystko zaś niech się kupi jednością wiary i miłości w prawdziwym bożym środku władzy i jedności w Rzymie.

Niechaj w Słowiańszczyźnie stanie się na końcu, jak było na początku.

O święci Ojcowie Cyrylu i Metody, poznajecie co wasze, to wasze dzieło! To nie ja mówię, ale wy mówicie! To do was Cyryl i Metody mówią, Słowianie!

A wtedy, kto wie? Jeżeli Słowiańszczyzna się skupi w takim świętym Panslawizmie, a grecka cała i łacińska jej część będą doprawdy stanowiły jedno, gdy w ten sposób ozdrowieje



dziecko; kto wie czy i które z rodziców nie powstanie wtedy z martwych? kto wie czy świat grecki nie ożyje? i nie połączy się z łacińskim? A wtedy nie już tylko w Słowiańszczyźnie, ale na całym świecie będzie na końcu, tak jak było na początku; będzie z dwojga jedno, będzie Unia, będzie życie!

Teraz, teraz widzę całe wasze dzieło, o niezrównani święci, Cyrylu i Metody! To zarazem dzieło Kościoła całego, to dzieło Leona XIII, tak szczęśliwie przez niego zagajone, to dzieło pokoju i zbawienia ludzkiego, to dzieło Boże, które świat rozweseli, a które nareszcie i Słowiańszczyznę zbawi i uczyni ją wielką, świętą wśród wszystkich narodów.

O Boże wielki, błogosławże temu dziełu twojemu! A wy, święci Cyrylu i Metody, nim się wszyscy Słowianie w waszym duchu i w waszym dziele da Bóg zjednoczą, błogosławcie nam, dzieciom waszym, tu u stóp waszych zebranych, którzy Bogu i wam tę świętą zaprzysięgamy Unię; do waszych zaciągając się szeregów, za waszym przykładem i razem z wami, temu dziełu oddajemy serca nasze i dusze, to dzieło bierzemy w ręce nasze, chcemy jak wy żyć dla niego i życie nasze za nie, jak wy, położyć.

A Bogu cześć i chwała i wysławianie i dziękczynienie na wieki wieków. Amen.





















